

Heinrich Sultan Turek aus Ostpreußen.
Unterwegs nach Europa...



Heinrich Sultan Turek z Mazur.
W drodze do Europy...

Heinrich Bruno Turek



Odpryski.

Mühlental, Banditenstrasse, Europa i ja...

Kto to są Sultany.

Sultany to przydomek rodziny Turków z Majdanu Zbydniowskiego, czyli rodzinnej wsi naszego Taty. Początkowo nie wiedzieliśmy o tym, dziwiło nas tylko, że kiedy mama w sprzeczce z tatą wypominała mu, że nie udziela się w pracach domowych i zachowuje się jak turecki sułtan, bardzo się z tego śmiał.

Dopiero, kiedy w 1962 roku spędziłem wakacje w Majdanie, ciocia Wisia opowiedziała mi, o co tu chodzi.

Otóż w Majdanie były trzy wielkie rodziny Turków. Imiona powtarzały się tak często, że nie wystarczały już, by ich od siebie odróżnić. Przed prawdopodobnie dwustu laty pojawiły się we wsi przydomki, i każdy z rodów otrzymał swój pseudonim. Pojawiły się rodziny Turków Ułanów, Turków Prożków i nasza, Turków Sułtanów. Od tej pory w rozmowach nie używano już nazwisko, a jedynie imienia i przydomka. I tak mój tata nie nazywał się w Majdanie Mietek Turek, a Mietek od Sułtanów. Kiedy rodziny się powiększały, do tak skonstruowanego imienia dodawano jeszcze imię ojca. W ten sposób ja nazywałem się w Majdanie Heniek Mietków Sułtanów. Muszę przyznać, że obyczaj ten jest bardzo miły i bardzo łączy rodzinę.

Niestety, czas mija a kaprysy historii robią swoje i dzisiaj mamy trzy odłamy klanu Sułtanów. Jest to przede wszystkim klan nadal mieszkający w Majdanie i okolicach, czyli Sultany Majdańskie. Drugi odłam to Sultany Kalifornijskie, czyli mieszkające w Kalifornii i okolicach, a trzeci to Sultany z Ostpreussen, czyli z Mazur. My, mieszkający w Niemczech, też się do niego zaliczamy.

Są jeszcze Sultany w Głubczycach w opolskim, w Wielkiej Brytanii i pewnie w jeszcze kilku zakątkach świata, ale dla uproszczenia umieszczam je w nurcie głównym, czyli w Majdanie.

Odpryski.

Pamiętnik a licentia poetica.

Dlaczego akurat odpryski? Tak dokładnie, to i ja tego nie wiem, ale wynika to chyba z tego, że zapiski te nie są ani chronologiczne, ani tematyczne, ani też w jakikolwiek inny sposób uporządkowane. Są to raczej nieregularne odpryski pamięci. Takie bałaganiarskie, niewyglądzone, niechronologiczne i całkowicie nieułożone. Rodzaj wspomnień, które przychodzą najczęściej w bezsenne noce i kłębią się w głowie bez ładu i składu nie pozwalając zasnąć. Są to moje, całkowicie własne i całkowicie subiektywne odpryski, które to zdecydowałem się zwolnić z cenzury i pozwolić innym mieć w nich udział. Jest też „oczywista oczywistość”, że innym mogą się one wydawać nierzeczywiste, nieprawdziwe lub poprzekręcane. Wynika to z ich prywatności, czasami wręcz intymności, jak i z mojej subiektywnej oceny tych przeżyć oraz z mojego osobistego punktu widzenia. Upływ czasu i pamięć, która coraz bardziej oddaje swoją funkcję niepamięci też nie jest tu bez znaczenia. Niemniej opisałem te wydarzenia i przeżycia tak, jak je przeżyłem, jak je dzisiaj, po latach, widzę, a przede wszystkim tak, jak zanotowała je moja pamięć.



1953(?). Autor.

Co to są wspomnienia.

Skoro chodzi tu o wspomnienia, dlaczego więc są to ich odpryski, a nie jakiś uporządkowany, solidny pamiętnik lub rodzaj autobiografii? To proste. Taki pamiętnik byłby odwrotnością mnie i całego mojego jestestwa¹. Pamiętnik powinien być chronologiczny i powinien porządkować wspomnienia. Powinien też być w miarę dokładnym opisem zaistniałych kiedyś zdarzeń, bez większej wolności do własnej ich interpretacji.

Całe moje skromne życie starałem się być w miarę możliwości wolnym, od nikogo i niczego niezależnym człowiekiem. Udawało się to z raz lepiej, raz gorzej. Teraz, kiedy moją wolnością jest coraz bardziej mój wiek, postanowiłem włączyć do moich odprysków licentia poetica² by zasłonić nią niejedną lukę w pamięci.

Nie zawsze byłem przekonany, że mój wybór formy odprysków jest słuszny. Długo wahałem się, czy wybrać drogę odprysków pamięci, czy też solidnych, uporządkowanych wspomnień. Wówczas, jak to często bywa w długie, bezsenne noce, miałem wizję, która ugruntowała taką, a nie inną formę wspomnień. Była to wizja bez dopalaczy, trawki, czy grzybków. Nawet kleju biurowego nie wahałem, nie mówiąc już o butaprenie. Bezsenne noce działa czasami lepiej, niż tak modne w dzisiejszych czasach dopalacze. Można powiedzieć, że wizja przyszłych odprysków była wynikiem przemyślenia i przeanalizowania wszelkim możliwych form, czyli skutkiem ubocznym nieprzespanych nocy.

¹ Jestestwo – przestarzały, wieloznaczny polski termin filozoficzny oznaczający istotę żywą albo byt, bytowanie, egzystencję. (Źródło: Wikipedia)

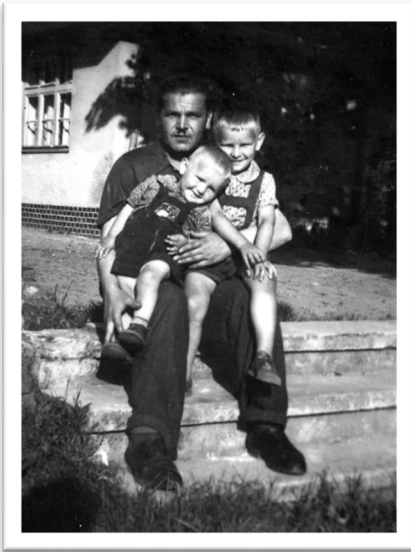
² Licentia poetica – wyrażenie pochodzące z łaciny, oznacza wolność twórczą i poetycką. Zasada, która dopuszcza w twórczości literackiej maksymalną swobodę, np. tworzenie na potrzeby danego utworu nowych słów, imion, nazw, zdarzeń lub stosowanie niespotykanej lub nawet błędnej formy odmiany danego słowa tak, aby zachować rytm albo rym. (Źródło: Wikipedia)

Cyborg.

Wyobraziłem sobie, że człowiek został tak skonstruowany, że potrafi zapamiętać i zapamiętuje wszystko, całe swoje życie. Każdy jego szczegół, rok po roku, miesiąc po miesiącu, dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta po minucie, sekunda po sekundzie. Dla pełnego obrazu całości zapamiętuje też wszystko, co widział i słyszał, czyli fragmenty życia innych ludzi. Do tego trzeba doliczyć przeczytane książki, obejrzone filmy, wysłuchaną muzykę itp.

Wizja ta przeraziła mnie. Po pierwsze, wyobraziłem sobie jakąś panią czy też pana, którzy posiadają opisane wyżej umiejętności. Głowy musieliby mieć wielkości sporej dyni lub balona. A może jeszcze większą. Przecież wszystkie zapamiętane dane trzeba by było gdzieś w pamięci zapisać i przechowywać. Wyobraziłem sobie coś w rodzaju cyborga, którego głowa nigdy nie przestaje rosnąć. Okrutne!!! W tym miejscu chciałoby się wznieść okrzyk: „jak to dobrze, że istnieje skleroza...”.

Potem doszła do głosu matematyczna część mojej natury i zacząłem przeliczać. Aby odtworzyć w wersji full, czyli jeden do jednego moich dobrze ponad sześćdziesiąt lat życia, potrzebnych by było również sześćdziesięciu kilku lat. Do tego trzeba by dodać za-



Rok 1953(?) Z Tata (na drugim dzieciu z Mama) i z Zygmuntem przed „naszvm” domem na stadionie w Mragowie.

pamiętane fragmenty cudzych życiorysów, które łączą się z moim życiorysem itp. To dałoby około sto lat prac przygotowawczych do napisania dobrego, szczegółowego pamiętnika. Potem należałoby jeszcze to wszystko spisać, co daje nam następne długie lata pracy. Objętość pamiętnika byłaby tak wielka, że nikt nie zdołałby go przeczytać, bo musiałby na to poświęcić całe swoje życie, albo czytanie zakończyłyby dopiero jego wnuki.

Może można by było przy pomocy wrodzonego odtwarzacza wspomnianego już cyborga nasze wspomnienia nieco przyspieszyć i „obejrzeć” je tak, jak się ogląda film puszczonego w przyspieszonym tempie. Czemu nie. Skutek będzie trochę śmieszny, tak jak wspomniany już przyspieszony film, ale „wszystko da się zrobić”. Z tym, że przyspieszenie nie może być zbyt duże, bo całe wspomnienia się zamażą i będą nieczytelne. Tak jak współczesna nam demencja starcza. Próbnie przyjąłem faktor przyspieszenia dziesięć i mimo to wyszło mi sześć lat na wspomnienia podstawowe i jeszcze kilka na wspomnienia dodatkowe, ściśle powiązane z podstawowymi. Do tego, mógłby człowiek oglądający siebie i swoich bliskich poruszających się w przyspieszonym tempie, nie wspominam tu już o sytuacjach szczególnych (każdy zna swoje własne sytuacje, ale tylko dla siebie), dostać tak



Zygmunt i ja na takiej modnej w tych czasach zakładowej imprezie plenerowej. W tamtych czasach życie było proste...
Na zdjęciu po lewej nasza mama, ja i niania Renata Klein.

zwanej głupawki³. Nie wspomnę już o tym, że spisanie tego zajęłoby tak jak poprzednio wiele lat. Po napadzie głupawki jeszcze więcej.

Dziękuję serdecznie. Pozostanę przy odpryskach. Podobnych do tych, które zostały na murze po potraktowaniu go przez Wańkę serią z kałacha. Odpryskach, które na murze moich wspomnień zostawił symboliczny kałach⁴ mojego życia. Odpryskach mojej pamięci. Przyznam, że czasami nie tylko mojej. Dla uzupełnienia niektórych wydarzeń, od czasu do czasu posiłkowałem się cudzą pamięcią, za co wszystkim zainteresowanym w tym miejscu serdecznie dziękuję.

Odpryski.

Odpryski przychodzą chaotycznie i bez żadnego szacunku dla chronologii, czyli w takiej kolejności, jaką same sobie ustalą. Przychodzą za to stadami. Stadami powiązanymi, jak grecki dramat⁵, jednością akcji, czasu i miejsca. Najczęściej dotyczą jednego

³ Głupawka –, jest to popularna nazwa dla niekontrolowanego napadu śmiechu. (Przyp. mój)

⁴ Kałach – Popularna nazwa karabinka AK – automatu Kałasznikowa, polskie oznaczenia: 7,62 mm pmK, 7,62 mm kbk – potocznie kałasznikow, karabinek automatyczny konstrukcji radzieckiej z okresu po II wojnie światowej. Zastąpiony został przez karabinek AKM. (Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Karabinek_AK)

⁵ Zasada trzech jedności (trzy jedności) – zespół trzech reguł podstawowych dla klasycystycznej koncepcji fabuły dramatu lub wyłącznie tragedii. Reguły te to jedność czasu, jedność miejsca i jedność akcji. (Źródło: Wikipedia)

wydarzenia lub jednego człowieka. Potem pączkują⁶ jak drożdże. Każdy odprysk przypomina o innych, z nim pośrednio lub bezpośrednio związanych, lub przypomina o puentach⁷, które do pewnych wydarzeń dopisało życie. Niejednokrotnie po wielu latach. I tak rozrasta się ten początkowo jednokomórkowy odprysk jak drożdże i po jakimś czasie jest wielki jak drożdżowa babka. Ma w sobie jedność akcji, czyli temat wiodący, ma jedność miejsca, czyli naszą pamięć i wyobraźnię, oraz jedność czasu – czas dawno już przeszły i najczęściej zapomniany. Nie ma jednak nic wspólnego z chronologią.

Wnioski: Odprysk jest tematycznym, pobawionym chronologii wspomnieniem. Temat odprysku może ciągnąć się latami lub powracać wielokrotnie w różnych latach. Łączy się z innymi odpryskami, tematycznie pokrewnymi, co wywołuje z najdalszych zakamarków pamięci coraz to inne, nowe odpryski. Zjawisko to można ze względu na podobieństwo do rozmnażania drożdży nazwać pączkowaniem. Wspomnienia przywoływane przez odpryski są najczęściej oszlifowane zębem czasu. Często mają też spore, spowodowane brakiem pamięci ubytki, ale można je wygładzić przy pomocy licentia poetica.

Życzę miłej lektury.

Banditenstrasse⁸, czyli obrazki z mojej ulicy.

Ulica Roosevelta czy ulica Ogrodowa?

Ulica Roosevelta w Mrągowie nosiła przed wojną nazwę „Ogrodowa” (Gartenstrasse). Po wojnie stara nazwa nie zdała egzaminu z historii, więc zaszczycono ją imieniem Prezydenta USA. Znacząc jednak powszechną opinie o jej mieszkańcach tej ulicy sędzę, że był to komunistyczny sposób na upokorzenie amerykańskich burżujów. Mój przyjaciel, Maciek Zborowski wymyślił związany z tym faktem i pozostający w nastroju tamtych lat, przedni żart:

-Dlaczego ta ulica nazywa się Roosevelta a nie Ogrodowa?

-Po pierwsze, bo nie lubimy ruskich⁹. Po drugie, Ogrodow niczym się dla naszego miasta nie zasłużył!

Obrazek pierwszy: Pani S. i koziorożce.

Scenkę tę opowiedział mi świadek tego wydarzenia, sąsiad pani S., mój brat Marian. Ulica Roosevelta albo Jeziorna w Mrągowie. Mogło to być też na ulicy Chopina lub jakiegokolwiek innej w tej okolicy. Nie jest to takie ważne, ponieważ Banditenstrasse, to nie była jedna ulica, lecz część miasta położona pomiędzy ulicą Warszawską i jeziorem Czos. Na długości rozpoczynała się ta część miasta od rzeźni przy ulicy Traugutta u kiosku spo-

⁶ Pączkowanie – rodzaj rozmnażania bezpłciowego polegający na wytwarzaniu przez rodzicielski organizm małego fragmentu, który po oderwaniu się od rodzica samodzielnie rozwija się w identyczną genetycznie jego kopię. (Źródło: Wikipedia)

⁷ Puenta, pointa – zaskakujące sformułowanie podkreślające sens wypowiedzi lub utworu literackiego umieszczone na końcu. (Źródło: Wikipedia)

⁸ Banditenstrasse - Z języka niemieckiego: Ulica Bandytów. W Mrągowie popularnie ulica Roosevelta i okolice.

⁹ W tłumaczeniu „z polskiego na nasze”, czyli w gwarze Banditenstrasse ruski to Rosjanin a ruskie to rosyjskie. Takie obowiązowały wtedy na naszej ulicy (i nie tylko) normy językowe.

życzego z piwem, zwanego przez mieszkańców „u Turka” na skrzyżowaniu ulic Warszawskiej i Traugutta, i ciągnął aż do ratuszowej promenady, czyli do kiosku Zawalichowej¹⁰.

Główną jej arterią tej dzielnicy była ulica Roosevelta, stąd skojarzenie Banditenstrasse z tą ulicą. Jednakże nawet ci, którzy mieszkali przy ulicy Warszawskiej, (ale tylko z tej właściwej strony, czyli z podwórkami od strony ulicy Roosevelta) jak również mieszkańcy ulic Mała Warszawska, Chopina, Jeziorna, Rybna i paru innych, też do nas należeli. Kiedyś, jeszcze przed budową Domu Kultury przy ulicy Warszawskiej, Banditenstrasse rozciągała się też na skwer, na którym odbywały się wszystkie miejskie uroczystości, począwszy do pierwszego maja a skończywszy na występach cyrku, który to zaglądał do Mrągorowa raz w roku, oraz na obok położone osiedle, które zamieszkiwali przybysze z tzw. „centrali”¹¹. Kiedy tamtejszych mieszkańców wysiedlono a domki rozebrano by stworzyć miejsce pod budowę Domu Kultury, „pomnika Rocha”¹² oraz nowego placu wiecowego do obchodów pierwszomajowych i innych świąt państwowych, granica rewiru skurczyła się i zaczynała tak, jak już wspominałem, przy znanym w mieście kiosku „U Turka”.

Gdzieś tam, w obrębie tych ulic rozgrywała się opisywana scenka. Dokładne miejsce zdarzenia nie jest takie ważne. Podobne jak nazwiska czy imiona uczestników. Scenki takie i podobne odbywały się tam każdego niemalże dnia.

Jedna z mieszkanki wspomnianej dzielnicy wraca nad ranem do domu. Jest w stanie wskazującym. Tak naprawdę, to nie tyle wskazującym, co głęboko przekonującym każdego, nawet przysłowiowego niewiernego Tomasza, że zażywała przez całą noc napoje najróżniejsze, ale pierwszeństwo miały niewątpliwie te, o sporej zawartości alkoholu. Puka do drzwi, niestety nikt nie odpowiada. Puka głośniej, niestety z tym samym skutkiem. Wali pięścią w drzwi, potem je kopie i wrzeszczy niebytnie cenzuralne określenia pod adresem tych, którzy nie chcą jej wpuścić. Powoli w okolicy zapalają się światła. Najpierw w tym samym domu, potem i w innych. Coraz więcej ciekawskich, czy też zniecierpliwionych obserwuje scenkę. Awantura nie ustaje. Pani „w stanie bardzo wskazującym” po prostu zapomniała, że klucz od mieszkania ma w kieszeni, a współmieszkańcy byli razem z nią na imprezie i tam się nadal bawią. Może któryś z nich wrócił wcześniej. Jeżeli nawet, to na pewno był również w stanie bardzo wskazującym i



W głębi, przed sklepem „1001 Drobiazgów” kiosk Zawalichowej.
Zdjęcie skopiowałem z książki
„Powojenne spojrzenie na Mrągorowo” ISBN 978-83-944763-1-1.

¹⁰ Kiosk Zawalichowej – Kiosk spożywczy naprzeciwko ratusza, na skrzyżowaniu ulicy Roosevelta z Warszawską. Zawalichowie mieszkali po sąsiedzku. Zawalichowa prowadziła kiosk a Zawalich czasami kręcił się wokół „kreatywnych” z kiosku „u Turka”. Ich córka „kollegowała się” z moimi siostrami.

¹¹ Określenie Polska Centralna miała w tamtym czasie inne znaczenia niż dzisiaj. Wtedy wszyscy, którzy nie byli tutejsi (czytaj: autochtoni albo Mazurzy) i nie byli przesiedleńcami ze wschodu, czyli z byłych terenów polskich teraz należących do Związku Radzieckiego, (czytaj: Repatrianci albo zabugowcy) pochodzili z Polski centralnej (czytaj: z centrali). Potem doszli jeszcze przesiedleńcy z akcji „Wista”, ale to już całkiem inna historia.

¹² Szerzej o tym fenomenie piszę kilka stron dalej.

śpi teraz snem sprawiedliwego. Żaden hałas nie jest w stanie postawić go teraz na nogi. Nie wspominajmy już o otwarciu drzwi...

Pani S., lokatorka i matka pozostałych lokatorów mieszkania, do którego się do-
bija po dłuższym czasie zaczyna rozumieć, że tym razem nie zostanie wpuszczona. Natu-
ralnie jest przekonana, że współlokatorzy z całkowicie bezinteresownej złośliwości nie
chcą jej wpuścić. To wymaga natychmiastowej zemsty. Okrutnie przeklinając wychodzi na
podwórko i zbiera kamienie. Potem systematycznie, okno po oknie wybija wszystkie szyby
swojego własnego mieszkania. Dla wzmocnienia efektu wrzeszczy w stronę tych, co jej nie
wpuścili, najgorszą obelgę, jaka przyszła jej do głowy:

„Brat pie....i siostrę! KOZIOROŻCY!!!“.

W języku bardziej dostępnym szerokiej społeczności miało znaczyć: „, Brat śpi z
siostrą! Kazirodztwo!!!“ ... Po pewnym czasie pani we własnej kieszeni znajduje klucz do
mieszkania i spokojnie, tym razem bez awantur, idzie spać. Do własnego, całkowicie po-
zbawionego szyb, mieszkania.

Obrazek drugi: Stary Pragacz i szorowanie podłogi.

Jeżeli tytuł odprysku sugeruje komukolwiek, że Pan Pragacz, ojciec sporej ro-
dziny kiedykolwiek pastwał podłogę, to niniejszym wyprowadzam go z błędu. Nie o to tu
chodzi...

Wielu mieszkańców naszej dzielnicy nie miało pracy. Nie pracowali z różnych
przyczyn. A jeżeli nawet pracowali, to i tak bieda była na Banditenstrasse (i nie tylko)
powszechna. Utrzymanie wielkich, wielopokoleniowych rodzin kosztuje, a zarobki były w
tych czasach takie, jakie były, czyli raczej skromne, a najczęściej niskie lub bardzo niskie.
Pomoc socjalna była w systemie socjalistycznym pojęciem obcym, a nawet bardzo obcym.
Każdy musiał sobie jakoś radzić, więc radzono sobie w sposób różnoraki. Na naszej ulicy
często całymi rodzinami wyplatano koszyki albo wyrabiano miotły z młodych brzoźowych
gałęzi, czyli tak zwane drapak.

Za czasów mojej młodości drapak były bardzo często używanym sprzętem do-
mowym. Poza zamiataniem, zarówno w domu, jak i na podwórzu, drapakami szorowano
też często podłogi. Do tej czynności miotły były trochę inaczej wiązane, aby były twardsze.
Tak zwane szcztoki ryżowe, których używano do szorowania podłóg w domach zamoż-
niejszych, były na przeciętną kieszeń za drogie. Poza tym, kogóż to stać było w tych cza-
sach na wydawanie w sklepie pieniędzy na coś, co można było zrobić własnym sumptem
lub dużo taniej kupić na rynku. Czasami nawet, jak w przypadku Banditenstrasse, po prostu
u sąsiadów? Lepiej było tych parę groszy zaoszczędzić...

Już widzę jak młodzież patrzy na mnie z politowaniem. Cóż to jest szorowanie
podłogi? Po co i komu może być takie dziwaczne zajęcie potrzebne? To proste. W tamtych
czasach nie wynaleziono jeszcze podłogowych laminatów, które wystarczy przetrzeć mo-
krą, konieczne miękka, ściereczką i podłoga błyszczy, że użyję tu sformułowania rodem z
Banditenstrasse z tamtych czasów, „jak psu j..a na wiosnę”. Osiągnięcie tego błysku w
tamtych czasach nie było takie proste jak dzisiaj. Podłogi zrobione były z solidnych, he-
blowanych desek, które, zgodnie z obyczajem należało w każdą sobotę wyszorować szarym
mydłem do białości. Tak pięknie wyszorowane drewno widziałem potem już tylko na ścia-
nach domów w Chochłowie, kiedy gażdziny przed Wielkanocą szorowały chałupy.

Lecz wróćmy do naszych podłóg. Kiedyś, znam to jeszcze z doświadcze-
nia, podłogi były szorowane twardą, specjalnie do tego celu wyrabianą drapaką. Tak robiła

jeszcze moja prababcia Piechotka w Młynowie. W mieście, u mojej mamy, wkroczyła już wtedy do tej dziedziny nowoczesność. Tu szorowało się podłogi kupioną w sklepie szczotką, tak zwaną ryżową. Mama pracowała w sklepie, a to nobilitowało i zobowiązy-



Drapak „na kiju”,
czyli z trzonkiem
leszczynowym

wało do nowoczesności. Obsługa tego sprzętu, tak jak w innych domach obsługa drapaki, pozostawała, w dosłownym tego słowa znaczeniu, w rękach mamy. Czasami my, za karę za jakieś tam inne grzechy musieliśmy mamę w szorowaniu podłogi wyręczyć. Przysięgam, nie była to lekka praca. Tym bardziej, że odbywała się ona pod surowym nadzorem Mamy.

Po wyszorowaniu podłogi musiały przez dłuższy czas schnąć. Każde przejście po mokrej podłodze zostawiało ślady, które pozostawały tam przez cały tydzień, aż do następnego szorowania. W związku z tym wejście do wyszorowanego pokoju, w którym podłoga jeszcze nie wyschła, było pod groźbą najbardziej wyszukanych kar, najczęściej cielesnych, surowo zakazane. Jeżeli już ktoś musiał przejść przez jakiś mokry odcinek podłogi, to mógł to zrobić jedynie za osobistym pozwoleniem Mamy stąpając delikatnie po ga-



Drapak. Inaczej
miotła brzoźowa.

zatkach. Wyjmowało się wtedy zza pieca stare gazety, które zbierane tam były na podpałkę i rozkładano je na wyszorowanej podłodze. Potem skakało się z gazetki na gazetkę jak w czasie gry w „klasy”. Pozostawienie przy tym jakiegokolwiek śladu na mokrej podłodze było w oczach kobiet ogromnym przestępstwem, karanym natychmiast ciosem mokrą ścierą „gdzie popadło”. Dobrze trafiony cios mokrą ścierą boli naprawdę. Wiem coś o tym...

Potem, kiedy powodziło się nam już trochę lepiej, w nasze życie wkroczyła farba olejna. Ciemnoczerwona, albo jak to się wówczas nazywało mahoniowa. Fanaberie z malowaniem podłóg na żółto, brązowo czy (co za ekstrawagancja!!!), na szaro przyszły dużo później. Poszczególne farby miały nawet najróżniejsze odcienie, ale nazywały się prosto, by nie komplikować sobie życia. Na przykład kolor brązowy był w trzech odcieniach. Brąz jasny, średni i ciemny. Te same odcienie miał mahoń i wiele innych kolorów. Koniec, kropka. Po co sobie komplikować i tak już skomplikowane życie.

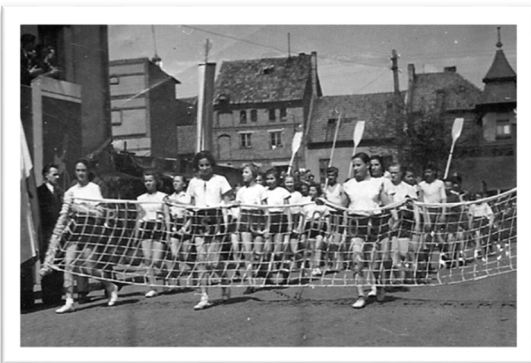
Z epoką malowania podłóg na olejno wiąże się nierozzerwalnie obrządek pastowania podłóg i, co za tym idzie, ich, tych wypastowanych podłóg „glancowanie”¹³. Znowu, tak jak kiedyś w epoce mycia podłóg, rodzina, a szczególnie dzieci, była w sobotnie popołudnie wyrzucana z domu. Po pastowaniu należało jednak „na czas” wrócić do domu. Nie za wcześniej i nie za późno. Nie za wcześniej, bo na świeżej paście człowiek ślizgał się jak na lodowisku. Można było się wywalić i połamać kończyny. Za późno też nie, bo froterowanie podłogi było naszym, chłopaków, obowiązkiem. Świeżej pasty nie dało się froterować, ale kiedy przegapiło się ten jedyny właściwy moment, pasta wysychała za mocno i froterowanie, czyli glancowanie podłogi stawało się katorgą. A i bez tego była to bardzo ciężka praca. Pasta zasychała i miejsca gdzie położona była trochę grubiej wymagały dużo wysiłku, żeby wszystko wyrównać i żeby podłoga błyszcząca równomiernie. Szczytem mistrzostwa we froterowaniu podłogi było jej wyglancowanie w równy, misterny wzorek.

¹³ Jak podaje Słownik języka Polskiego: glancować, glansować «nadawać powierzchni przedmiotów połysk» (Źródło: <https://sjp.pwn.pl/sjp/glancowac;2461699.html>)

Wymagało to szczególnych umiejętności operowania szmatą do froterowania, a w późniejszych, nieco bogatszych czasach, froterką. Co to było „froterka”? To był taki wynalazek do froterowania podłóg. Po wejściu w życie tego urządzenia, słowo glancowanie zostało na naszej ulicy zastąpione słowem froterowanie. Wynalazek ten ważył z pięć kilo, ale ja zawsze miałem wrażenie, że przynajmniej pięćdziesiąt... Pot kapał nam po plecach, jak ciągałiśmy „toto” po pokoju. W dodatku „ciągnięcia” musiały być ładne, równe i zawsze wzdłuż desek...

Uwierzcie, że nawet na najpiękniej błyszczącej podłodze mama zawsze znalazła miejsca do poprawki. Jedno, co mi po tym pozostało to fakt, że podczas późniejszej służby w wojsku nie miałem „w tym temacie” żadnych problemów. A były tam „hektary” podłóg do froterowania...

Wróćmy jednak do właściwego tematu. Dla przeżycia oraz dla jako takiego poprawienia sobie doli finansowej, wiele rodzin ze strefy Banditenstrasse zajmowało się prostym rękodziem. Wyrobem mioteł brzoźowych, czyli drapak oraz wyplataniem koszyków. Drapaki, jak już wspominałem, były różne. Najczęściej wyrabiano takie małe, do zamiatania i twarde do szorowania podłóg. Jedne i drugie mogły być bez trzonka, albo z trzonkiem, czyli „na kiju”. Takie, jak pamiętamy z filmów. Szczególnie tych o Warszawie, na których cieć stał na ogół w bramie oparty o taką właśnie draparkę. Zrobienie odpowiedniego „kija do drapaki” było rzemiosłem samym w sobie. Najczęściej robiono je z leszczyny. Świeżo wycięte, proste leszczynowe kije, na których miano potem osadzić drapaki, podobnie jak te na leszczynową wędkę, należało obrać z kory nie naruszając struktury drewna. Tak przygotowany surowiec sam z siebie wysychał, a wysychając nieco ciemniał i wygładzał. Po kilku dniach, kiedy kije wyschły i ładnie przylegały do ręki, montowano na nich drapaki. Tę samą technikę obróbki leszczyny stosowaliśmy też przy wyrobie kijów



Lata pięćdziesiąte. Pochód pierwszomajowy.

do wędek. Były to tzw. leszczynówki, które, jestem o tym głęboko przekonany, były dużo lepsze od wszechobecnych w późniejszych latach, kijów bambusowych.

Wtedy jednak każdy z nas marzył o bambusie. To było nowe i modne, a nieliczni posiadacze takich wędek opowiadali o tych cudkach, najbardziej niewiarygodne historie. Niestety prawie nikogo z nas nie było na te nowości stać. Z dużo późniejszych doświadczeń wiem jednak, że bambusówki nigdy swoją jakością

nie przewyższyły naszych „Made in Banditenstrasse” leszczynówek. Szczególnie tych, które w procesie technologicznym, pod koniec obróbki posmarowano podkradzionym w domu masłem i uwędzono na ognisku. Miały one nie tylko doskonałe walory wędkarskie, ale i piękny jasnobrązowy kolor. Jednym z mistrzów wyrabiających takie cudki był mój kolega z podstawówki, mieszkający po sąsiedzku Bogdan Łoskociński.

Znowu odeszliśmy od tematu. Nie tylko drapaki były hurtowo produkowane w naszej okolicy. Wyplatano tu również koszyki. Na ogół takie normalne, wyplatane z wi-

kliny kosze „na ziemniaki”. Na wsi służyły one do zbierania ziemniaków w czasie wykoppek, bo w tych czasach nie było jeszcze wszechobecnych potem koszy drucianych. W mieście służyły one do przynoszenia ziemniaków z piwnicy. Żadnych innych „dzieł sztuki wikliniarskiej” nie wyrabiano, bo moda na nie przyszła dopiero wiele lat później. Jednakże zdarzało się, że ten czy inny sąsiad zrobił czasem coś innego, niezwykłego. A to jakiś koszyk na nici czy włóczkę dla żony (robienie na drutach było w tych czasach na porządku dziennym), a to jakąś zabawkę dla dziecka czy inne temu podobne „wymysły”. Czyli potencjał był, ale brakowało rynku.

Zawsze fascynowało mnie, jak doskonale nasi sąsiedzi i ich dzieci radziły sobie z tym rękodziełem. Mój kolega Bogdan radził sobie z wyplataniem koszyków doskonale, a ja miałem cichy żal do taty, że nas tego nie nauczył. Szkoda, byłoby to ciekawe doświadczenie. Jednak pogląd naszych rodziców na wikliniarstwo i wyrób mioteł był inny. Oni byli dumni z tego, że finansowo na tyle dają sobie radę, że my nie musimy tego robić.

Wyrabianie tych produktów to był etap końcowy. Początkiem wszystkiego było zdobycie materiału, a więc zbiorowe rodzinne wycieczki do okolicznych lasów po brzozone różgi na drapaki, po leszczynę, po wiklinę na koszyki i inne przydatne dobro. Od czasu do czasu, szczególnie w czasie wakacji, uciekaliśmy naszej mamie i z rodzinami naszych kolegów wędrowaliśmy po okolicznych lasach. I to nie zawsze za takimi materiałami, o których już wspominałem. Zdarzało się też, że, w zależności od sezonu, zbieraliśmy grzyby, poziomki czy jagody. My zbieraliśmy je dla przyjemności, ale wielu naszych sąsiadów zbierało je wówczas w celach zarobkowych. Przetwać tamte czasy z dużą rodziną, to była sztuka sama w sobie...

We wtorki i piątki w mieście odbywał się targ. Najpierw był on na skrzyżowaniu ulic Ratuszowej i Mały Rynek. Potem umieszczono tam parking dla taksówek, a targi odbywały się na ulicy Mały Rynek. Kiedy na miejscu parkingu wybudowano dom, taksówki przeprowadzono na Mały Rynek, a targ na miejsce, gdzie jest do dzisiaj, czyli tam gdzie krzyżują się ulice 8-go Maja i Mickiewicza.

Jednym z rzemieślników wyrabiających drapaki i koszyki był Stary Pragacz. Dlaczego Stary? Aby odróżnić go od innych Pragaczy, czyli jego dzieci. Ja pamiętam tylko dwoje z nich. Zenek był rówieśnikiem i kolegą Zygmunta. Krysia była moją rówieśnicą. Znałem ją, ale nazwanie jej koleżanką byłoby przesadą.

Stary Pragacz znany był w całym Mieście. Znany z tego, że po udanym dniu na targu, po sprzedaniu drapak i koszyków lubił sobie „jednego golnąć”. Czasami nie tylko jednego. Nie był w tym stanie awanturny¹⁴, ale lubił sobie pośpiewać. Kiedy po dobrym dniu wracał do domu w stanie wskazującym, śpiewał na całą ulicę Warszawską:

„Pragac psije, Pragac ma, Pragacoju Pan Bóg da”

Co, w tłumaczeniu „z naszego na polski” oznaczało: „Pragacz pije, Pragacz ma, Pragaczowi Pan Bóg da”.

Obrazek trzeci: Sąsiedztwo.

Sąsiedztwo, takie najzwyczajniejsze ludzkie sąsiedztwo, czyli stosunki międzyludzkie na Mazurach w okresie powojennym to dzisiaj niezbadany fenomen. Dlaczego fenomen i skąd akurat u nas, na Banditenstrasse? Odpowiadam: fenomen ten był skutkiem

¹⁴ ... nie był awanturny – na Banditenstrasse oznaczało to człowieka raczej spokojnego, unikającego wszelkich awantur i scysji oraz niewywołującego awantur nawet, a może przede wszystkim po pijanemu.

wielkiej wojenno-powojennej „wędrowki ludów” i ściśle związanymi z tą wędrowką nowymi stosunkami sąsiedzkiimi. Z tym fenomenem musieliśmy sobie poradzić nie tylko my, mieszkańcy Banditenstrasse, ale wszyscy powojenni mieszkańcy tak zwanych „Ziem Odzyskanych” albo, jak to trafnie określił Pawlak w kultowym filmie „Sami Swoi“, „Ziem Wyzyskanych”.

Dla moich potrzeb uknułem sobie dla opisanego tych rodzących się w trudzie i znoju nowych stosunków sąsiedzkich określenie „Archipelag Ludzi Porąbanych”. Szerzej piszę tym w innym rozdziale odprysków. Źródłem tego określenia jest tytuł książki Igora Newerly „Archipelag ludzi odzyskanych”. Moja wersja tego tytułu jest jednak bardziej zbliżona do powojennej rzeczywistości zbiorowiska ludzi zamieszkujących „Ziemie Wyzyskane”, czyli również naszą Banditenstrasse, niż wersja pisarza. Nie było tu ani jednego „odzyskanego”, cokolwiek miałyby to znaczyć, a to, co się odbywało na Mazurach, to było to całkowicie przypadkowe spotkanie w jednym miejscu najprzeróżniejszych ludzi i kultur.

Spotkali się tu ludzie spędzeni z najprzeróżniejszych stron Polski, które pewnego dnia przestały być Polską. Mieszkańcom kazano po prostu się stamtąd wynosić. Wsadzono ich do bydłęcych wagonów i po tygodniach poniewierki wysadzono na ziemiach uważanych przez nich za rdzenne ziemie niemieckie. Byli to „repatrianci”, czyli jedna z grup „ludzi porąbanych”. Traktowali oni otrzymane tu z reformy rolnej gospodarstwa jak ukradzione. Według nich, to nie była ani ich ziemia ani ich zabudowania. Ich gospodarstwa zostały tam, na Wileńszczyźnie, czy na Kresach. Oni tęsknili „do swoich stron” i tam chcieli wracać. Wszystko, co było tutaj, traktowali przejściowo. To nie było ich miejsce na ziemi, a inwestować też się nie opłacało: „przecież Niemcy i tak nas stąd wyrzucą”. Nadzieja na powrót była jednak z każdym rokiem mniejsza, a tęsknota większa.

Z czasem wykształciła się tu całkiem spora grupa „ludzi z centrali¹⁵”, czyli druga grupa „porąbanych”. Byli to ci, którzy z różnych powodów musieli „zniknąć w tłumie”, bo mieli na sumieniu coś, co nie podobało się nowej władzy. A to należeli do niewłaściwej partyzantki, a to źle wyrazili się o nowej, socjalistycznej władzy, a to po prostu podpadli któremuś z prominentów partyjnych. Przyczyny były najróżniejsze, a do zniknięcia najlepiej nadawały się w tych czasach mieszanki ludnościowe ziem wyzyskanych. Oni, tak jak i wszyscy inni też czekali na zmiany, które pozwolą im wrócić „do siebie” i najmocniej ze wszystkich wierzyli w taką możliwość. Ich rodzinne strony pozostały w granicach Polski, więc szanse były większe. Niestety, na tak wielkie zmiany, które umożliwiłyby im powrót, trzeba było jednak czekać bardzo długo i tylko niewielu z nich dożyło tych dni, a jeszcze mniej wróciło po latach „do domu”. Większość z nich zdążyła się w czasie tego czekania urządzić na nienawidzonych ziemiach wyzyskanych i kiedy nadeszły takie czasy, że mogliby wrócić, pozostali. Nazywano ich tu „ci z centrali”, bo pytani o miejsce pochodzenia, odpowiadali najczęściej, że „z centralnej Polski”. Oznaczało to po prostu, że przyjechali tu z tej części Polski, której nie zabrał Związek Radziecki.

Trzecia „porąbana” grupa to „miejscowi”, czyli Mazurzy, według obowiązującego wtedy nazewnictwa zwani autochtonami. Oni też nie czuli się tu na swoim miejscu. Wszystkie zarządzone wobec nich przez nową władzę poczynania polityczno – wychowawcze umacniały w nich chęć wyjazdu „za Odrę”, a nie, jak to przewidywała polityka, ich „odzyskanie”. Poza tym nikt nie potrafił hasła „odzyskanie” zdefiniować. Była kilka nieudanych prób, ale można by je określić, jako śmieszne, gdyby nie to, że dotyczyły losów

¹⁵ „Z centrali”, czyli przybyszów z centralnej Polski, w odróżnieniu od przesiedleńców z tzw. Kresów, czyli repatriantów nazywanych czasami złośliwie zabugowcami.

ludzi, którzy stracili swoje miejsce na ziemi i chcieli po prostu wyjechać by poszukać nowego. Nie było na to, niestety, zgody politycznej. Mimo to, większość z nich wyjechała, ale niektórzy dopiero w drugim albo trzecim pokoleniu.

Jak się potem okazało, to zgodnie z oficjalnymi źródłami, repatrianci wcale nie pochodzili z Polski, lecz ze Związku Radzieckiego, a autochtoni, niezgodnie z oficjalnymi źródłami, wcale nie byli odzyskani i czekali na jakąkolwiek możliwość wyjazdu „za Odre”.¹⁶

Na początku wszystkich nowoprzybyłych łączyła z nami, „odzyskanymi” jedna tylko cecha. Wszyscy wiedzieli, że miejsce, w które rzucił ich los, nie jest ich miejscem na Ziemi. Wszyscy razem tworzyli swoisty, niesamowity i jedyny w swoim rodzaju „Archipelag ludzi porąbanych”. Przy czym słowo „porąbanych” nie donosi się w tym przypadku do siekiery, lecz do stanu psychicznego tych ludzi. Każdy z nich miał jakieś psychiczne „odchylenie, czyli porąbanie” i czuł się przez wiele lat na Mazurach czy też innych „Ziemiach Wyzyskanych” nie na swoim miejscu i nie w swojej skórze.

Wszyscy ówcześni mieszkańcy Mazur traktowali swój pobyt w tym miejscu, jako przejściowy. Każdy z nich tkwił na swoistym berlińskim murze i czekał na okazję by go przeskoczyć, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedział... Większość z nich jednak wiedziała, na którą stronę wtedy jeszcze niewidzialnego muru należy skakać.

Kiedy przeszły pierwsze wojenne niepokoje i sytuacja zaczęła się stabilizować okazało się, że na jednym podwórku mieszkają nie tylko ludzie z różnych stron świata, ale też ludzie obciążeni najróżniejszą przeszłością rodzinną, polityczną i co było w tym czasie bardzo ważne, pochodzeniową. Koło siebie zamieszkali repatrianci, autochtoni i ci z centrali.

Repatrianci¹⁷, czyli ludzie wyrzuceni ze swoich rodzinnych stron, które teraz stały się integralną częścią Związku Radzieckiego, na co dzień nazywani byli zabugowcami lub złośliwie ruskimi.

Autochtoni¹⁸, czyli pozostała tu po wielkiej ucieczce ludność miejscowa coraz częściej nazywani byli Mazurami. Z biegiem czasu słowo Mazur coraz bardziej wypierało



Początek lat pięćdziesiątych.
Prababcia Marie
i pradiadek Julius Piechotta

¹⁶ „Za Odre” oznaczało w tamtych czasach „do Niemiec”. Na początku było jeszcze wszystko jedno, do których. Potem określenie to zanikło. Bezpośrednio za Odre? Nie, to było trochę za blisko.

¹⁷ Repatriacja – powrót do kraju ojczystego osób (np. jeńców wojennych, osób internowanych lub przymusowo przesiedlonych), które wskutek różnych przyczyn znalazły się poza jego granicami. Często termin używany jest błędnie na oznaczenie deportacji, depatriacji albo też ekspatriacji, czyli przymusowych wysiedleń lub przesiedleń. W czasach PRL-u oficjalna propaganda nazywała „repatriantami” Polaków – mieszkańców Kresów Wschodnich, których po II wojnie światowej przymusowo wysiedlano z ich ziem ojczystych i osadzano na tzw. Ziemiach Odzyskanych. <https://pl.wikipedia.org/>

¹⁸ Autochton – człowiek należący do rdzennej ludności danego obszaru, np. Indianie amerykańscy czy Aborygeni australijscy. Według profesora Andrzeja Saksona, socjologa specjalizującego się w badaniach mniejszości etnicznych termin autochton określa także mieszkańca pogranicza polsko-niemieckiego, byłego obywatela III Rzeszy, deklarującego polskie pochodzenie. Termin

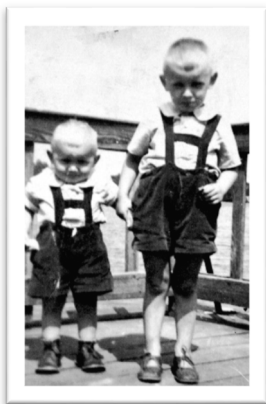
Autochtona. Często jednak słyszało się też najróżniejsze inwektywy. Jeszcze przez wiele lat nie zanikły takie przezwiska jak szwab, szkop, hitlerowiec czy gestapo¹⁹. Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, przezwiska te było jeszcze na porządku dziennym.

„Ci z Centrali²⁰”, czyli ci, co przyjechali tutaj z różnych stron obecnej, okrojonej Polski, zwanej teraz Polską Centralną na ogół przybywali tu, aby w tym ludzkim tyglu ukryć się przed obecną władzą, albo też przyjechali tu zwabieni przez propagandę obiecującą im własne gospodarstwa i wspaniałe życie na „Ziemiach Odzyskanych”.

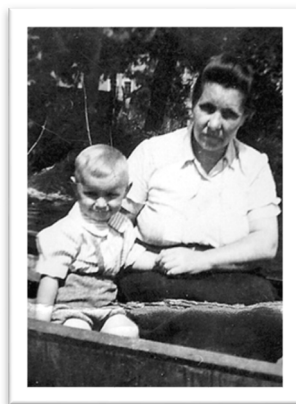
Z biegiem czasu nowi sąsiedzi poznawali się coraz bliżej. Powoli zanikały uprzedzenia i przezwiska. Dzieci bawiły się razem, a Banditenstrasse była ich jedyną małą ojczyzną. Innej i nie znali nie mieli. Opowieści rodziców mało nas w tym czasie obchodziły, ale przezwiska często przechodziły z pokolenia na pokolenie. Bawiliśmy się razem, ale kiedy w zabawie dochodziło do sporów czy niesnasek, natychmiast słyszeliśmy najróżniejsze nieprzyjemne przezwiska, wśród których szwab albo szkop należało uznać za pieszczochy.



1953. Młynowo. Z bratem Zygmuntem.



1953.(?) Zygmuntem z Babcią Bertą Just



1953(?) Z Zygmuntem na molo.

tlive. Jeżeli w naszych dziecięcych sporach dochodziło do przepychanek albo do drobnych bijatyk, to fronty między walczącymi zawsze były narodowościowe. Zjawisko to zaczęło zanikać dopiero w latach sześćdziesiątych.

Podobnej jak w środowisku dzieci działo się też w środowisku dorosłych. Powoli jedni dowiadywali się coraz więcej o drugich i to zaczęło ich zbliżać. Najprościej było rozszyfrować Mazurów. Oni byli po prostu stąd. Powoli docierało do nas, kto jest zza Buga, kto z Wileńszczyzny, a kto z Białorusi. Ci z centrali też okazali się bardzo różni. Jedni byli z Warszawy, a przynajmniej tak podawali, inni z Kurpi, jeszcze inni z Podkarpacia czy z

ten był niezrozumiały dla osób nim obdarzanych, był też stygmatyzujący. (Źródło: Wikipedia) Jak z powyższego wynika, byliśmy wtedy aborygenami Mazur. Patrz rozdział „Okrakiem”. (Przyp. mój)

¹⁹ Szwab, szkop, hitlerowiec czy gestapo to najpopularniejsze przezwiska, którymi obdarzano w okresie powojennym rdzennych mieszkańców Mazur. W latach sześćdziesiątych zanikły one niemal całkowicie.

²⁰ „Ja nie zza Buga, ja z centrali”. To zadanie, które dzisiaj uznane byłoby za rasistowskie padało w tych czasach dość często. Padało z ust Polaków, którzy pochodzili z tak zwanej Polski centralnej, a nie z kresów wschodnich. Gorszą odmianą tego rasistowskiego zdania było: „Ja nie repatriant, ja Polak”. Ustawiało to tych „z centrali” na wyższej pozycji niż repatriantów, czyli zaraz za komunistyczną władzą. Najniżej w tych kastach stali autochtoni.

Małopolski. Potem pojawili się gdzieś, przede wszystkim na wsiach, przesiedleńcy z Bieszczadów, ofiary słynnej akcji „Wisła”²¹.

Taka mieszanka narodowościowa mieszkała też na „naszym” podwórku. Każda rodzina z innego końca świata. Inne zwyczaje, inne sposoby funkcjonowania rodziny i inne języki, chociaż każdy z nich przypominał język polski. Nawet mazurska gwara naszej prababci był gwarą polską. Niemniej dogadać się było trudno. W pełnym tego słowa znaczeniu.

Z rozrzwiniem wspominać czas, kiedy to „robiłem za tłumacza” między prababcią Piechottkową a Ciocią Stefą, siostrą naszego taty. Ciocia zamieszkała z nami w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Babcia Marie też zamieszkała w tych czasach z nami, bo już nie bardzo radziła sobie sama w Młynowie. Babcia znała zarówno język niemiecki, jak i mazurski. Ciocia znała wyłącznie język polski, ale ten gwarowy, z Majdanu²², gdzie się urodziła i wychowała. Kiedy obie rozmawiały ze sobą po polsku, wychodziły z tego przezabawne nieporozumienia. Nie można się przecież dogadać, kiedy rzecz, którą babcia nazywała buksy, ciocia nazywała gacie. Zawołana na pomoc w rozstrzygnięciu sporu „sąsiadka z góry”²³, pani Piaścikowa stwierdziła, że nie są to ani buksy, ani gacie, lecz portki. Kobiety nie sprzeczały się długo. W swojej mądrości postanowiły wspólnie wypić kawkę i poczekać, aż ja wrócę ze szkoły i jako człowiek wykształcony, byłem w tym czasie uczniem trzeciej



Zygmunt w wojsku. 1967/68

czy czwartej klasy, będą wiedział najlepiej. Po moim powrocie uzgodniliśmy, że nieważne jest, jak się ta rzecz w innych językach polskich nazywa, lecz z całą pewnością chodzi tu o najzwyczajniejsze spodnie. Od tego czasu zostałem pewnego rodzaju autorytetem w tej dziedzinie i czymś w rodzaju nadwornego tłumacza z języka polskiego na język polski. Niemniej sytuacje takie jak ta i podobne zdarzały się jeszcze często. Na przykład, babcia chciała obrać ziemniaki na obiad. Ponieważ z powodu swoich licznych chorób nie mogła zejść do piwnicy, poprosiła ciocię:

- Stefa, pójdz do sklepu i przynieś parę kartofli.
- Już lecę – powiedziała ciocia, ubrała się i w te pędy pobiegła do sklepu.

²¹ Akcja „Wisła”, in. operacja „Wisła” – akcja pacyfikacyjna o charakterze wojskowym przeprowadzona w latach 1947–1950 przeciwko Ukraińskiej Powstańczej Armii i Nacjonalistów działających na terytorium państwowym RP. Polegała ona na masowym wysiedleniu ludności cywilnej z terenów Polski południowo-wschodniej (obszary na wschód od Rzeszowa i Lublina), głównie na tzw. Ziemi Odzyskanej, która objęła Ukraińców, Bojków, Dolinian i Lemków i mieszane rodziny polsko-ukraińskie. (Źródło: Wikipedia)

²² Majdan Zbydniowski – wieś w Polsce położona w województwie podkarpackim, w powiecie stalowowolskim, w gminie Zaleszany. Rodzinna wieś naszego taty.

²³ Sąsiadka „z góry” - sąsiadka mieszkająca piętro wyżej.

- Po co ona ubrała buty i płaszcz? – Zdziwiła się babcia.
 - Przecież miała iść tylko do sklepu.
- Ciocia wróciła po dwudziestu minutach. Babcia była zdziwiona:
- Cóżś ty tam robiła tak długo?
 - U Miłkowskiego na Warszawskiej było zamknięte, musiałam lecieć aż na Czerwonej Armii (dziś Królewiecka) ...
 - A co ty chciałaś u Miłkowskiego? Przecież miałas tylko przynieść kartofle...
 - Jak to, co? Przecież Babcia kazała iść do sklepu po kartofle...

Wtedy dopiero okazało się, o co tu chodzi. Sklep, to po mazursku piwnica. Babcia słowa piwnica nie znała, a ciocia mazurska piwnica (sklep) kojarzyła się wyłącznie z miejscem, gdzie się kupuje. Najbliżej miała do warzywniaka, który prowadził pan Miłkowski. Niestety sklep był w tym dniu zamknięty. Gdyby nie to, byłaby w pięć minut z powrotem i wszyscy myśleliby, że przyniosła ziemniaki z piwnicy, a nie kupiła w sklepie, a Babcia miałaby nadal problem, po co zakładać płaszcz i buty, kiedy się idzie do piwnicy.

Inny razem babcia kazała ciocie „uwarzyć zupę”. Niestety, w języku polskim „ż” i „rz” wymawia się tak samo i ciocia miała problem. Po cichu zapytała mnie, o co tu chodzi. Po co mam tą zupę ważyć? Dopiero po chwili zaskoczyliśmy, że tu chodzi o uwarzyć, czyli ugotować, co jak wiadomo nie ma nic wspólnego z wagą i ważeniem.

Wiele „językowych przygód” przeżyła też, szczególnie w okresie bezpośrednio powojennym, nasza mama. Ale o tym w dalszej części odprysków.

Banditenstrasse²⁴ czy Centrum Kultury Europejskiej?



Zdjęcie po lewej: Podwórko, na którym nie tylko wyrabiano miotły brzoźowe typu „drapak” i wiklinowe koszyki, ale też miejsce, gdzie „obwąchiwali się” się ludzie spędzeni tu wbrew ich woli z całej niemalże Europy. Było to swojego rodzaju Centrum Kultury Europejskiej, ale w tamtych czasach tego nikt jeszcze nie wiedział...

Zdjęcie po prawej: To samo podwórko uwiecznione na kadrze filmowym. W roku 1976 w Mrągowie i okolicach nakręcono film wg. powieści Jerzego Putramenta „Wakacje”. Akcja powieści toczy się na Mazurach w początku lat pięćdziesiątych. Okazało się, okolice Banditenstrasse doskonałe, w dodatku bez żadnych poprawek nadaje się na kulisy tego, dla młodych historycznego już, filmu. Na zdjęciu scena z „Wakacji”, którą nagrano na naszym podwórku. W czasach nakręcania filmu te wyżej wspomniane „obwąchiwanie

²⁴ Banditenstrasse - Z języka niemieckiego: Ulica Bandytów. W Mrągowie popularnie ulica Roosevelta i okolice.

się” przyszłych Europejczyków dawało pierwsze owoce. Po latach nieufnego sąsiedztwa zaczęto nawiązywać nieśmiało, lecz za to prawie międzynarodowe, dzisiaj powiedziano by, europejskie, znajomości. Przewodziły w tej europejskiej integracji kobiety. To one wymieniły między sobą pierwsze kuchenne przepisy, one zaprosiły sąsiadki na kawę i mazurskiego kucha²⁵. Potem w mazurskiej kuchni pojawił się czosnek i barszcz, a u repatriantów mazurskie kuchy czy też Flinsen²⁶ z kwaśną śmietaną albo kołaczce. Dzieci, które do tej pory bawiły się na ogół w wojnę, przypominały sobie inne, mniej waleczne, niestety dzisiaj już zapomniane zabawy. Powoli zapomniano o pochodzeniu sąsiadów. Wszyscy zaczęli stawać się „tutejszymi”, czyli naszymi. Oni stali się Europejczykami, zanim wymyślono Europę...

Banditenstrasse a kultura.

Po napisaniu pierwszych scenek z Banditenstrasse rozesałem próbki tekstu do kilku osób, które wiedzą, co ta nazwa znaczy. Pierwszy odezwał się Maciek Zborowski i kilka godzin dyskutowaliśmy nie tylko o wspomnieniach, ale też o zjawisku, jakim był w tym czasie ten kwartał ulic. Wnioski były zaskakujące. To nie był jakiś tam zapomniany kwartał ulic „na końcu cywilizacji białego człowieka”, lecz było to miejsce, w którym zagęszczenie placówek kulturalnych w przeliczeniu na ilość mieszkańców było, w porównaniu ze średnią krajową, niebywale wysokie. Ilość zabytków przekraczała wszelkie mrągowskie normy, a z zakładami pracy też nie było tak źle, jakby się mgło wydawać.



Budynek Domu Kultury Dzieci i Młodzieży, potem Młodzieżowego Domu Kultury stan obecny (2016). Zdjęcie M. Zborowskiego.

Zacznijmy od placówek

kulturalnych. Najważniejszy był prowadzony przez długie lata przez pana Zborowskiego – Seniora Młodzieżowy Dom Kultury. Wcześniej, w latach pięćdziesiątych, instytucja ta nazywała się Dom Harcerza. Potem, zgodnie z duchem czasu przemianowano ten obiekt na Dom Kultury Dzieci i Młodzieży²⁷.

To prawda, że był to jedyny Dom Kultury w mieście do czasu pobudowania w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych poprzedniego stulecia²⁸ Powiatowego Domu Kultury, dlatego był on dla nas bardzo ważny. Znajdował się przecież przy ulicy Jeziornej²⁹, czyli w samym środku naszego rewiru! Poza tym w naszym rewirze było też jedyne w

²⁵ Kuch – po mazursku ciasto. (Od niemieckiego Kuchen)

²⁶ Flinsen – placki ziemniaczane. W moim domu podawano je ze śmietaną lub musem jabłkowym.

²⁷ Marian Zborowski - tata Macka Jana Zborowskiego, mojego przyjaciela od ponad 50 lat.

²⁸ Powiatowy Dom Kultury

²⁹ Do roku 1958 na ulicy Warszawskiej, między budynkiem Nadleśnictwa i Szkoły Pielęgniarskiej, czyli tzw. „Pieluch”. Potem przeniesiony na ulicę Jeziorną.

mieście kino. Nazywało się „Mazur” i mieściło się koło placu z fontanną, między ulicami Warszawską i Roosevelta. Koło tego samego placu, przy ulicy Roosevelta, mieściła się Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna oraz Ognisko Plastyczne i Ognisko Muzyczne. Biblioteka przeniosła się potem do nowego budynku PDK, a Ognisko Muzyczne rozwinęło się do istniejącej w tym budynku do dzisiaj Szkoły Muzycznej.

To jeszcze nie wszystko. Na naszej ulicy znajdował się też kościół (ewangelicki), a na ulicy Chopina, nad Jeziorem Czos działała pod kierunkiem niezapomnianego pedagoga Józefa Nowickiego słynna

ze swoich osiągnięć Baza Sportów Wodnych. Z czasem Baza przeniosła się do odległych budynków ówczesnego klubu sportowego „Start”, w których po wielu rozbudowach i przebudowach znajduje się do dzisiaj i nosi zasłużoną nazwę Szkoły Mistrzostwa Sportowego. I słusznie, bo mistrzów wychowano tam, co niemiara. Od poziomu mistrzów miasta do poziomu mistrzów świata i mistrzów



Kino „Mazur”. Zdjęcie „zdobyt” dla mnie M. Zborowski.

olimpijskich. Potem, w latach dziewięćdziesiątych, w pomieszczeniach byłej Bazy na ulicy Chopina mieszkała moja mama i mój brat Marian z rodziną.

Jeżeli chodzi o zabytki, to dwa z trzech notowanych wówczas w mieście leżały w naszym kwartale ulic, czyli na Banditenstrasse. Najważniejszy zabytek w mieście, domek Bośniaków³⁰ znajduje się na koło Ratusza Placu Kajki, czyli o „rzut beretem” od Banditenstrasse, ale już poza nią. Pozostałe dwa zabytki należały już do naszego ścisłego rewiru.

Pierwszy z nich, to najstarszy budynek mieszkalny w mieście. Znajduje się on przy ulicy Warszawskiej, ale podwórko ma od strony ulicy Roosevelta i mieści się w nim dzisiaj restauracja Stara Chata³¹. Drugim zabytkiem jest stary spichlerz na ulicy Roosevelta, wybudowany, jak podaje Wikipedia, w 1786 roku. Na stary spichlerz wychodziły okna mojego pokoju. Mieściła się tam suszarnia zboża,



Banditenstrasse raz jeszcze.

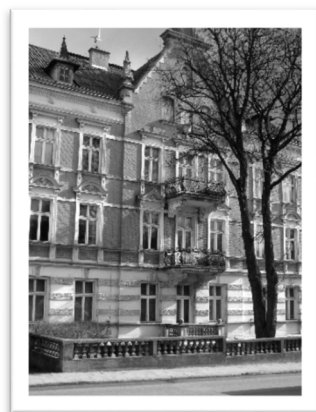
³⁰ W latach 1770-1792 przebywał tu 9. Pułk Bośniaków. Budynek, w którym mieściła się ich strażnica istnieje do dziś przy pl. Kajki. (Źródło: Wikipedia)

³¹ Stara Chata – obecnie restauracja. Mieści się najstarszym budynku mieszkalnym w mieście, zbudowanym z niewypalanych cegieł. Obecny ogródek piwny tej restauracji, to dawne podwórko moich kolegów D. Ogródek ten zauważyłem dopiero, kiedy byłem w „Starej Chacie” po raz drugi. Z udawanym oburzeniem w głosie zapytałem kelnera, dlaczego mi nie pokazał tego ogródka za pierwszym razem. Kelner odparł mój atak: „Panie, ten ogródek wychodzi w stronę ulicy Roosevelta, czyli Banditenstrasse. Nie ma czym się chwalić...” „Nooo, jeżeli tak, to powinien Pan też wiedzieć, na czym podwórku jest teraz ten ogródek.” Wiedział! Chłopak młody, ale urodzony w Mrągowie, wiec miał pojęcie. Od tego czasu wpadaliśmy tam częściej...

która była bardzo głośna i nie pozwalała nam zasnąć w długie zimowe wieczory. Cykl produkcyjny suszarni rozpoczynał się jeszcze latem, zaraz po żniwach. Suszono tu i przechowywano zboże skupione od okolicznych PGR-ów i rolników. Na podwórku spichrza stały trzy ruskie suszarnie do zboża napędzane ropą (dieslem), a zamontowane w nich potężne wentylatory wyły przez całą dobę jak potępięcy. Akcja ta kończyła się na przednówku i mieliśmy kilka miesięcy spokoju aż do następnych żniw. Jeżeli jednak wpadnie tu ktoś na pomysł, że w tej przerwie mogliśmy przynajmniej otworzyć okno, to się myli. Przerwa ta przypadała na miesiące wiosenno-letnie, a więc ciepłe.

Obok spichrza, dokładnie naprzeciwko naszych okien, tam gdzie dzisiaj stoi hotel Huszcza, była masarnia. I to była masakra. Śmieci wywożono w tych czasach nader rzadko. Jak dobrze poszło, to i raz w tygodniu mogło się to przydarzyć, ale niekoniecznie. Więc leżały sobie wszystkie te nie do końca oskubane z mięsa końskie czy też krowie nóżki i główki w lokalnym śmietniku i nabierały zapachu. Trzeba przy tym wspomnieć, że dawne śmietniki niczym nie przypominały dzisiejszych, szczelnych pojemników. Były to murywane budowle z klapą na górze do wrzucania i z drzwiczkami na dole do wybierania śmieci widłami i wrzucania ich na wóz konny w celu wywiezienia na wysypisko. Z tej „szczelności” śmietników w sposób nieograniczony korzystały nocą okoliczne psy i koty i roznosiły

Poniżej dawna, obok obecna Szkoła Muzyczna, w latach powojennych biblioteka i siedziba Ogniska Muzycznego i Plastycznego. Widokówka z okresu międzywojennego. Zdjęcie „zdobył” dla mnie Maciek Zborowski.



te „końskie łby” po całej okolicy. Odpowiedni zapaszek rozsnuwał się również po całej ulicy, więc spanie latem przy otwartym oknie było marzeniem ściętej głowy. Jak widzicie mimo najprzeróżniejszych przeszkód, „zagęszczenie” zabytków w naszej okolicy też było spore. Jak by nie liczył, byliśmy „posiadaczami” dwóch trzecich mrawgowskich zabytków.

Jeżeli chodzi o zakłady pracy, to też nie wyglądało to najgorzej. Zaczniemy od ulicy Traugutta. Była tam rzeźnia i magazyny GS. Ulica Roosevelta zaczyna się prywatną stolarnią Radzanowskiego, potem były warsztaty Zarządu Budynków Mieszkalnych, stajnie zakładu wywożącego śmieci, zakład mechaniczny Łasiewickiego i tkalnia Miłsztajna Mortki, kino i biblioteka. W środkowej części ulicy Roosevelta była Masarnia i Suszarnia Zboża, a na ulicy Chopina, była Galanteria Drzewna i kuźnia (taka prawdziwa, nawet konie tam kuli). Na końcu ulicy była przepompownia ścieków. Do tego należałoby doliczyć magazyn rybacki, kilku rzemieślników i sklepów „po naszej stronie ulicy Warszawskiej”.

Skoro było tak dobrze, to dlaczego było aż tak źle? Nie wiem. Pisałem już, że Banditenstrasse to nie była ulica czy dzielnica. To było zjawisko...

Mrażowski Pomnik Rocha

Pomnik Rocha należy z pewnością do powojennych zdobyczy kulturalnych naszego miasta, dlatego też postanowiłem umieścić kilka zdań o jego powstaniu w moich odpryskach. Na wstępie przytoczę kilka zdań ze strony internetowej <https://www.mazury.com/mragowo,zabytki,98181.html>:

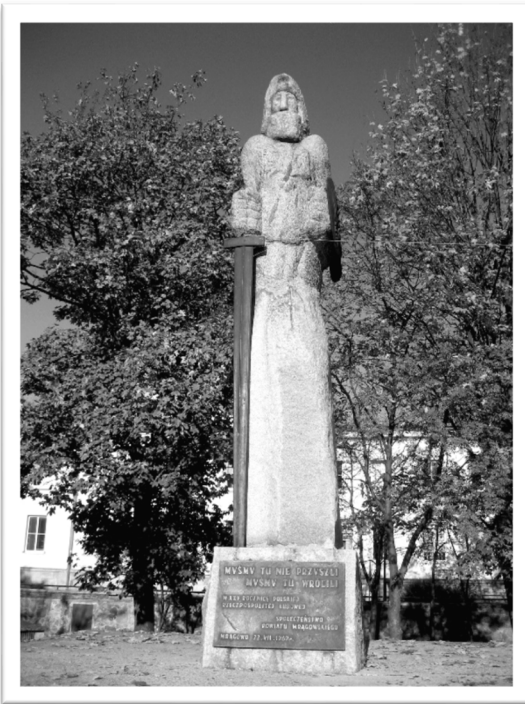
„Pomnik Rocha (Pomnik Zwycięstwa) stoi na Placu Piłsudskiego już prawie pół wieku. Jest dziełem olsztyńskiego artysty, Jana Nowickiego. Pomnik powstał dla uczczenia 25. Rocznicy powstania PRL. Zamierzeniem twórcy było ukazanie w granicach symbolicznego polskiego woja, co miało obrazować historię Warmii i Mazur oraz upamiętniać wyzwolenie tych terenów przez Armię Czerwoną. Mimo takiej symboliki monument nie spodobał się członkom Komitetu budowy i Kolegium Rzecznawców Pracowni Sztuk Plastycznych z Olsztyna. Mimo tych obiekcji artysta nie zgodził się na zmiany i nie dokończył swojego dzieła. Pomnik jednak odstonięto w przewidzianym terminie.

Z obecną nazwą wiąże się również anegdota. Dawniej monument nosił nazwę Pomnika Zwycięstwa. Popularnie nazywa się go Rochem, gdyż zaraz po odstonięciu pielgrzymka zmierzająca do Świętej Lipki, wzięła postać rycerza za św. Rocha. Cała grupa uklękła przed pomnikiem i zaczęła modlić się o deszcz. Od tego czasu w świadomości mieszkańców Mrągora funkcjonuje nazwa Pomnik Rocha.”

W roku 2001 nawiązałem internetowy kontakt z jednym z młodych redaktorów radia WAMA, który to „zaopatrywał” nas tutaj, za granicą w aktualne wiadomości z Mrągora. Miły chłopak, na imię miał Jarek, nazwiska nie pamiętam. (Witaj Jarku, leżeli trafisz gdzieś przypadkowo na ten tekst, pozdrawiam Cię serdecznie.) Któregoś razu w mailu padła nazwa „Plac Piłsudskiego”.

Zapytałem, gdzie to jest. Jarek odpowiedział, że to dawny Plac Rocha. Nawiązała się na ten temat ciekawa korespondencja, której fragmenty przytaczam poniżej.

Fragmenty maila Jarka N. z 2001 roku: Nie uwierzysz, ale będąc jeszcze w szkole średniej w Mrągorze jedna ze starszych uczennic (było to bodajże 3 - 4 lata temu) biegła z petycją, aby ZACHOWAC NAZWE PLACU ROCHA I NIE ZMIENIAC JEJ NA PIŁSUDSKIEGO. Wygląda na to, że akcja ta nie udała się organizatorom przedsięwzięcia, bo zmiana nazwy mimo protestów nastąpiła. Ale skoro Plac nigdy nie nazywał się Placem Rocha tylko XXV-cio lecia, to może był to powód, dla którego władze nadały mu nową nazwę. Jarek.



Fragmety mojego maila do Jarka: Cześć Jarku, serdecznie dziękuję za nową porcję wiadomości z Mrągowa. Jak zwykle czytelników zarówno w Herford, gdzie mieszkam, jak i w sąsiednim Bielefeld nie brakuje. W związku z tym mam prośbę. Te same wiadomości, które ja otrzymuję, mógłbyś przesyłać jednocześnie na adres ...@aol.com, do moich przyjaciół, mrągowian z dziada pradziada, obecnie mieszkających w okolicach Wuppertal. Wiadomości te rozejdą się w tamtych okolicach „pocztą mailowo - pantoflową“ równie szybko jak i tutaj.

Jeszcze jedno: zgadza się, że tzw. Plac Rocha nigdy oficjalnie tej nazwy nie nosił. Jego oficjalna nazwa brzmiała „Plac XXV-lecia“, a jego otwarcie poprzedziło krwawe starcie milicjantów z rzeźbiarzami, którzy chcieli się pozabijać dłutami w przeddzień odsłonięcia pomnika.

Szef oddziału Stowarzyszenia Rzeźbiarzy, jak się on tak naprawdę nazywał, nie wiem, dostrzegł na pomniku jakieś nierówności, które chciał wyrównać. Autor „rzeźby“ (cudzystów jest tu zamierzony - wyraża moją opinią o „dziele sztuki“) zdenierwowany okropnie, że mu w przeddzień otwarcia niszczą dzieło, rzucił się z dłutem w rękę na barbarzyńcę. Walkę wywołał tak okrutną, że nawet interwencja naszej dzielnej milicji nie potrafiła rozdzielić zwąśnionych stron. Była to prawdziwa walka na śmierć i życie. Dopiero użycie broni palnej i ranienie jednego z uczestników bójki w kolano zakończyło krwawą bitwę na dłuta. O ile dobrze pamiętam, rannym był prezes, a nie autor. Pracowałem w tym czasie w pogotowiu ratunkowym i wydarzenia te znam z relacji naocznego świadka wydarzeń, którym był mój kolega z pracy, interweniujący w tym tragicznym i jednocześnie śmiesznym wypadku.



Nazwa „Roch” to jednak całkiem inna historia... Tłumaczono nam wtedy, że pomnik przedstawia słowiańskiego woja „z tych terenów”, ale w którym okresie historycznym na ziemiach tych mieszkali Słowianie, tego nawet ówczesny sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR nie umiał określić. Za to bardziej skupiono się na fackie, iż nieprawdą jest, jakoby woj ten był garbaty. Rolę wyraźnego garbu tej pomnikowej postaci pełni kaptur, jakim to ówczesni wojowie słowiańscy okrywali głowę. „Nasz” woj ma kaptur zrzucony na plecy, stąd ten garb. Co on w tym kapturze nosi, że garb jest taki wielki, pozostanie tajemnicą autora i ówczesnych decydentów.

„Dzieło“ nie przedstawia też w żadnym wypadku Świętego Rocha. Takie wrażenie odniosła jedynie kilka tygodni po odsłonięciu pomnika jedna z pielgrzymek wędrująca w czasie upalnego i suchego lata z Kurpi na odpust do Świętej Lipki. Zobaczywszy stojącą w Mrągowie piękną rzeźbę, kropka w kropkę podobną do świętego Rocha³², uczestnicy pielgrzymki padli przed nią na kolana i modlili się o deszcz. Należy dodać, iż plony były tamtego roku bardzo zagrożone długotrwałą suszą.

Mrągowo gruchnęło gromkim śmiechem. Nie z modlących się pielgrzymów. Broń Boże! Raczej z radości, że niechciany do tej pory i nielubiany przez nikogo pomnik znalazł

³² Jak podaje https://pl.wikipedia.org/wiki/Święty_Roch (fragmenty): Święty Roch OFS (ur. w Montpellier we Francji, zm. przed rokiem 1420; w literaturze spotykana jest data urodzin przypadająca na rok 1295 oraz ok. 1345-1350, a data śmierci 1327 w Montpellier oraz 1377 lub 1378 w Voghera we Włoszech[1]) – tercjarz franciszkański[2], święty Kościoła katolickiego. ... Święty Roch jest patronem Montpellier, Parmy, Wenecji, aptekarzy, lekarzy, ogrodników, rolników i szpitali oraz brukarzy i więźniów.

nareszcie swoich wielbicieli. Uznanie pielgrzymów i komizm sytuacji spowodował, że pomnik nareszcie znalazł swoje miejsce nie tylko w mieście, lecz również w sercach jego mieszkańców. Lecz wyłącznie, jako Święty Roch, a nie polityczny pomnik.

Taka, trochę kpiąca i trochę żartobliwa rola pomnika pozostała do dzisiaj. Jest ona dużo lepsza, niż napuszone ideologie, które próbowano do tego niezbyt ładnego i niezbyt szczęśliwego dzieła przypisać. Złośliwi twierdzili, że nawet napis na tablicy pasuje – wystarczy przetłumaczyć, ale to już całkiem inna historia.

W ten sposób Roch został Rochem, a plac, Placem Rocha po wsze czasy i żadne oficjalne zmiany jego nazwy nic tu nie pomogą. Zarówno nazwa jak i pomnik są zjawiskiem społecznym i jest to bardziej temat dla socjologów niż dla terenowych polityków, którzy sądzą, że zmiana nazwy wystarczy. Ten plac ma nazwę niezależną od tego, co politycy każą napisać na tablicach informacyjnych. Tego nie da się zmienić.

Tylko „przypadek Rocha“ mógł spowodować społeczną akceptację niechcianego pomnika i tak też się stało. Ta trochę kpiąca i trochę żartobliwa akceptacja jest wartością samą w sobie i miejscowi politycy powinni nad tym pochylić głowy. Taka jest wola społeczeństwa!!! Kto tego nie rozumie, nie ma czego szukać w polityce. Ani w tej małej, miejskiej czy powiatowej, ani w tej dużej...

Jeżeli kiedyś powstanie komitet obrony Placu Rocha mający na celu oficjalne wprowadzenie tej nazwy, zostaną pierwszym jego członkiem.

Pozdrowienia. HT

Banditenstrasse, posłowie.

Jeżeli chodzi o zdjęcie Banditenstrasse w latach pięćdziesiątych, to wymaga ono dodatkowego, obszernego komentarza. Pierwszy budynek po lewej, ten z kamiennymi schodami z metalową poręczą, to Roosevelta 30, potem 24, czyli dom, w którym mieszkaliśmy od 1958 roku. Trzecie okno na parterze, to „mały pokój” graniczący przez ścianę z Galanterią Drzewną (następny budynek). Widoczne na zdjęciu schody są bardzo ważnym elementem naszej ulicy. Są to jedyne w naszej okolicy schody kamienne, na których doskonale grało się w grę zwaną „Bańczykiem”, dzięki czemu przy naszych schodach często spotykała się „arystokracja młodzieży” naszej ulicy, ba pograć w tą, jakby nie było, hazardową grę.

Drugie zabudowanie to Galanteria Drzewna, potem ulica Chopina i budynek narożny gdzie mieszkali m. in. Pac, Miąsek i kilka innych rodzin. Dalej widać wytwórnię oranżada Miąska.

Po prawej: Cuchnąca niewywożonym śmietnikiem masarnia granicząca dalej, na zdjęciu już tego nie widać, ze spichlerzem z suszarnią zboża. Dzisiaj w miejscu masarni znajduje się hotel Huszcza. Daleko, w głębi zdjęcia widać wieżę kościoła ewangelickiego, czyli, jak się to w tamtych czasach nazywało, niemieckiego.

Za płotem masarni skręcaliśmy w prawo w ulicę Chopina i koło kowala przechodziliśmy na plac przy ulicy Jeziornej, na którym graliśmy w palanta. Dzisiaj nazywa się to baseball. Nie wiem, kto wymyślił tą zmianę, ale powiedzenie komuś nielubianemu „ty palancie”, co było w tamtych czasach dość popularne, całkowicie straciło sens. Nazwanie kogoś „ty kiju baseballowy” to już nie to samo...

Koło placu do gry w palanta znajdował się budynek, w który mieściła się Baza Sportów Wodnych prowadzona przez Pana Józefa Nowickiego. Najważniejszym dla nas obiektem Bazy był pomost, który stanowił podstawę naszego, mieszkańców Banditenstrasse, kąpieliska. Jak to zwykle bywa, kąpiel w tym miejscu była „surowo wzbroniona”, jak to głosiły każdego roku na nowo stawiane tu w wodzie tablice informacyjne. Tablicę tę stawiało miasto w trosce o nasze bezpieczeństwo, a wycinaliśmy my, użytkownicy kąpieliska w trosce o nasze wakacje, które na ogół spędzaliśmy w tym miejscu. Pał, na którym mocowana była tablica, fachowcy wbijali głęboko w dno jeziora, aby nie można było go wyrwać. Wycinaliśmy go każdego roku przed wakacjami piłą. Ciąć należało głęboko, tuż przy dnie jeziora, aby sobie potem, przy okazji kąpeli nie uszkodzić nóg.

Tablica nie była jedyną szykaną „kąpieliskową” stosowaną wobec nas przez władze miasta. Ścigali nas tam również milicjanci wodni. Wpadka groziła wysokim mandatem, ale nie pamiętam, aby udało im się kiedykolwiek któregoś z nas złapać...

Należąca do kąpieliska plaża, czyli końcówka ulicy Chopina, miała jedyną w swoim rodzaju wspaniałą atrakcję. Była nią stara, blaszana szalupa. Leżała tam lata całe na kołkach, odwrócona do góry dnem. Na słońcu rozgrzewała się do niesamowitych temperatur. Przed południem, zanim słońce dokonało swego, szalupa służyła nam do opalania się. Po południu, kiedy temperatura blachy już nie pozwalała na leżenie, robiliśmy zakłady, kto dłużej na tej rozgrzanej blasze wytrzyma. Niejeden z kolegów przypłacił tą zabawę oparzeniami. Nie wolno nam też zapomnieć, że pod szalupą bały jedyna na naszej plaży szatnia...

Zimą końcówka ulicy Chopina służyła nam, jako górką saneczkowo – łyżwiarsko – bobkowa, a jezioro Czos, jako najpiękniejsze w mieście lodowisko. Pytasz, co to był bobek? Bobek była to samodzielna konstrukcja do zjeżdżania po śliskim podłożu z górką albo do ślizgania się po lodzie. Bobek składał się z trzech starych łyżew i dwóch desek. Jednej długiej i drugiej szerokiej. Kto nie miał łyżew mógł zbudować do tego celu trzy płoży z deski z umocowanym w odpowiednim miejscu grubym stalowym drutem. Wspaniałe pojazdy, który miał ogromną przewagę nad sankami, bo: Po pierwsze, nie trzeba było go kupować. Po drugie, bobek skręcał, bo miał kierownicę, czy jak kto woli, urządzenie sterujące. Po trzecie, kiedy wpadało się nim na lód jeziora, niósł duuużo dalej niż sanki. Po czwarte, przy odpowiedniej pogodzie łatwo było przy pomocy podprowadzonego matce przecieradła i kija od szczotki zamienić go w mini bojer. Kiedy na jeziorze nie było śniegu,



Banditenstrasse, lata pięćdziesiąte.
Zdjęcie pochodzi z książki „Powojenne spojrzenie na Mragowo” – ISBN 978-83-944763-1-1.
Po lewej, dom ze schodkami, ul. Roosevelta 30, potem 24. W nim mieszkałem ponad 20 lat.
Po prawej masarnia. Dzisiaj w tym miejscu znajduje się Hotel Huszcza.

wielu z nas dobudowywało do bobków przemysłne, własnej konstrukcji żagle, aby pośmięgać po lodzie. Nie będę wspominał reakcji matek, kiedy któraś z nich zobaczyła na jeziorze swoje najlepsze prześcieradła...

Wspominałem już, że Galanteria Drzewna była jedną z trzech zniechędzonych przez nas, czyli mnie i moją rodzinę, firm. Miało to swoje bardzo głębokie powody. Suszarnia zboża i spichlerz to był ciągły huk i permanentne dokarmianie niezliczonych w tej okolicy szczurów. Były ogromne, chodziły stadami i, jak twierdziły niezliczone na naszej ulicy legendy, potrafiły zeżreć nawet kota. Po naszym spokojnym podwórku chodziły nawet w dzień, jak króliki. Nie bały się nikogo. To raczej my się ich baliśmy. Moja prababcia, po przeniesieniu się do nas z Młynowa, z powodu swojego kalectwa praktycznie nie opuszczała mieszkania. Spędzała za to wiele godzin wyglądając przez okno. Dzięki temu nie tylko znała ona wszystkie szczury, ale potrafiła też odróżnić jednego od drugiego. Nadała im też imiona. Kiedy wracaliśmy ze szkoły, opowiadała nam, który dzisiaj był i co robił, a którego dzisiaj jeszcze nie było.



1963r. Autor.

Szczury były, bo być musiały. Przecież nigdzie nie mogły mieć lepszych warunków bytowania, niż w naszej okolicy. Dokarmiały się na ogół zbożem z suszarni. Jeżeli miały ochotę na potrawy mięsne, masarniany³³ śmietnik stał, w pełni tego słowa znaczeniu, otworem. Do tego niemal każdy z mieszkańców hodował tu kury, króliki czy świnię. Stwarzało to szczurom dalsze możliwości żywieniowe. Do tego miały one nie tylko wyżywienie, ale też „wolną chatę” w Galanterii Drzewnej. Były tam na pół zasypane wojennym gruzem i nieużywane od 1945 roku piwnice. Czy mógł być gdziekolwiek na świecie wspanialszy szczurowy raj?



1968. Pogrzeb Taty. Wtedy zmieniło się wszystko.

A propos świnek. Hodowane one były przez wiele mieszkających w naszym rewirze rodzin aż do połowy lat siedemdziesiątych. Każdy hodowców trzymał zawsze dwie sztuki. Jedną dla potrzeb własnych i jedną na sprzedaż, czyli, jak to się wtedy nazywało, na skup. W ten sposób ci, co hodowali, nie musieli stać w kolejce w sklepie mięsny i dodatkowo zadbali o to, by ci, którzy muszą stać w tej kolejce, mogli coś kupić. Zmieniło się to nagle w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Wtedy to, jak twierdziła moja mama, smród naszych świnek dotarł do Komitetu Centralnego i Gierk zakazał takiego bezpieczeństwa jak hodowanie świń w mieście. Zaczęły się kontrole i nękanie w wykonaniu sanepidu. Ludzie się poddali i na skutki nie trzeba było czekać. Coraz większe kolejki w sklepach mięsnych. Niedługo potem wprowadzono na wiele lat kartki na mięso...

³³ Masarniany – należący do masarni. Śmietnik ten był miejscem nocnych spotkań psów z całej dzielnicy, ponieważ był zawsze otwarty, a jego zawartość wywożono nie częściej niż raz w tygodniu, więc okoliczne psy zawsze tam jakąś smakowicie śmierdzącą kość dla siebie znalazły. Z psami konkurowały okoliczne szczury.

Lecz miałem opowiedzieć, dlaczego nienawidziłem firmy Galanteria Drzewna, która znajdowała się w sąsiednim zabudowaniu, tuż za ścianą naszego mieszkania. Firma rozciągała się praktycznie na ulicy Chopina od ulicy Warszawskiej aż po ulicę Roosevelta. W tej części budynku, która przylegała do naszego mieszkania znajdował się magazyn tarcicy. Jest to rodzaj desek o grubości około 5 i szerokości około 25 lub więcej centymetrów, oraz o długości równej wysokości drzewa, z którego została wycięta. Wyobraźcie sobie ten huk, kiedy się rzuci jedną taką deskę z wysokości około jednego metra „na płask” na drugą. Ja sobie tego wyobrażać nie muszę, bo znam ten dźwięk. Słyszałem go niemal każdej nocy, kiedy to fachowcy z nocnej zmiany szukali odpowiedniego materiału na jakiś tam wyrób. Oczywiście, że nigdy nie mogła to być ta deska, która leżała na górze. Najlepiej „pasowała” fachowcowi na ogół ta z samego dna. Dla niego sprawa była prosta. Należało przerzucić wszystkie deski, by dostać się do tej z dołu.

Historyjkę tą uzupełnię jeszcze jednym szczegółem. Pokój, w którym my w tym czasie spaliśmy był dość wąski. W związku z tym jakiś chory umysł postanowił go kiedyś, przed laty, powiększyć poprzez wydłubanie w nim wnęki. Powstała ona kosztem grubości ściany od strony galanterii. Polegało to na tym, że wydłubano z dość grubej w tym miejscu ściany większość cegieł, pozostawiając tam jedynie „ściankę maskującą”. Była ona tak gruba, że kiedy jeden z robotników wysikał się kiedyś na tą ścianę OD STRONY FIRMY, mocz spływał po niej strumieniami OD STRONY POKOJU!!!

Bo życie to jest teatr... Od Bernarda do Bibi.

Bernard Ładysz i Bibi Blocksberg.

Co wspólnego może mieć Bernard Ładysz, czyli polski śpiewak operowy, wspinały bas – baryton oraz aktor z postacią z kreskówek dla dzieci, uwielbianą przez pięcio-, sześćoletnie dziewczynki młodocianą czarownicą, Bibi Blocksberg. Okazuje się, że wiele. Nawet bardzo wiele. Oboje, zarówno Bernard Ładysz, jak i Bibi Blocksberg stali się przyczyną miłości do teatru całych pokoleń naszej rodziny. Pierwszym z dotkniętych tą przypadłością byłem ja, a stało się to prawie sześćdziesiąt lat temu. Potem, trzydzieści lat później to samo stało się z Marcinem. Zarówno mnie, jak i Marcina zaczarował ten sam człowiek. Bernard Ładysz.

Potem zmieniły się czasy, zmieniło się też miejsce akcji. Zawirowania losu przeniiosły nas Polski do Niemiec. Przyszedł czas Julii. Bernard Ładysz już nie koncertuje, ma 94 lata i czasami tylko pokazuje się na różnego rodzaju jubileuszach. Nic dziwnego, że to nie on zaczarował dla teatru Julię, tak jak to uczynił ze mną i z Marcinem prze wielu laty. Ją porwała dla teatru Bibi Blocksberg³⁴. Początkowo była to ta rysunkowa,



Bernard Ładysz w arii Skołuby z opery „Straszny dwór” Moniuszki, Drugiego aktora nie rozpoznaję. Nie wiem też, z którego spektaklu pochodzi to zdjęcie, które „podebrałem” z Internetu. Zamieściłem je tu, ponieważ takim zobaczyłem Ładysza po raz pierwszy i takim pozostał dla mnie na zawsze.

³⁴ Bibi Blocksberg – brytyjsko - niemiecki serial animowany emitowany dawniej w 2007 roku w paśmie Dwójka dzieciom w TVP2, a obecnie od 31 października 2013 roku w TV Puls 2. Zawiera 39 odcinków podzielonych na 4 sezony.

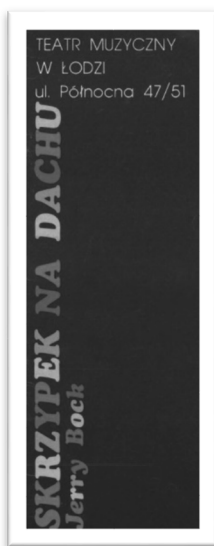
serialowa Bibi z telewizji. Aż do 1 maja 2016, kiedy to pojechaliśmy z Julią na spektakl musicalu "Bibi Blocksberg – Hexen, Hexen Überall". Tam stało się z Julią to, co stało się ze mną prawie sześćdziesiąt lat temu, a z Marcinem przed trzydziestu laty. Otworzyła się dla teatru. Mam nadzieję, że zostanie to w niej na zawsze. Zaczniemy jednak od początku.

Bernard Ładysz w Mrągowie.

Dokładnie nie da się tego z dzisiejszej perspektywy ocenić, ale to nie jest też takie ważne. Był rok 1959 albo 1960. Ponieważ Powiatowy Dom Kultury w Mrągowie w tych czasach jeszcze nie istniał, więc wszystkie poważniejsze imprezy odbywały się na jedynej „poważnej scenie w Mieście” w Domu Kultury Dzieci i Młodzieży na ulicy Jeziornej, czyli w obrębie wcześniej już opisanej Banditenstrasse.

W Mrągowie wystąpił Bernard Ładysz. Naturalnie nie miałem absolutnie żadnego pojęcia, kim jest Ładysz. Nie miałem też pojęcia, co to jest opera, teatr, scena czy występy sceniczne. Byłem typowym, tak jak i wielu moich ówczesnych kolegów wytworem Banditenstrasse, czyli takim na pół dziko chowanym (nie mylić z wychowywanym, to jeszcze nie były te czasy) chłopakiem z ulicy, albo, jak to wiele lat później pięknie określił Wojtek Malajkat, „chłopakiem z puszczy”. Zapewniam też, że nikt mi nie kupił biletu na spektakl. W tamtych czasach na naszej ulicy nie wydawało się jeszcze pieniędzy na tego rodzaju fanaberie. Były inne, ważniejsze i pilniejsze wydatki i dlatego nawet przez myśl by mi nie przeszło, by poprosić rodziców o pieniądze na bilet. Nawet, by pójść od czasu do czasu do kina na poranek, co kosztowało 3,00 złote, należało wcześniej sprzedać butelki, by te pieniądze zarobić. My byliśmy w tej sytuacji jeszcze poniekąd uprzywilejowani. U nas sprzedawało się wyłącznie butelki z gospodarstwa domowego, czyli po occie, oleju, czasami po piwie czy gorzałce, a pieniądze mogliśmy zachować dla siebie. Na najczęściej na kino. Na słodczye raczej nie wydawaliśmy, bo zarówno mama jak i tata pracowali w sklepach. Tata najczęściej w spożywczych. Kiedy zachciało się nam słodczy, „kupowaliśmy” w sklepie u taty bez pieniędzy. Byłe nie za dużo i nie za często. Dlatego też zarobione na butelkach pieniądze najczęściej wydawaliśmy na kino. Ja kupowałem też gazetę „Świat Młodych”, gdzie na ostatniej stronie były przygody Tytusa, Romka i

A‘Tomka. Był to jednak bardzo poważny wydatek. Gazeta kosztowała 45 groszy i wychodziła dwa razy w tygodniu. W przeliczeniu była to prawie jedna sprzedana butelka (a‘1 zł) w tygodniu tylko na gazety. W tych czasach była to już prawie rozrzutność, więc czasami, z braku funduszy zamiast kupować, chodziłem czytać do czytelni miejskiej. Była ona też przy naszej ulicy i miała jedną wielką zaletę. Tam były „wszystkie” gazety. Przy okazji mogłem przeczytać „Na przelaj” z Lucky Luck'em na ostatniej stronie. Na jej kupno nie było mnie absolutnie stać. Nie pamiętam dokładnie, ale kosztowała chyba całe 1,50 zł. Ma-ątek!!! Nie wspomnę już o „Płomyczku” czy „Płomyku”, które kosztowały jeszcze drożej.



Program „Skrzyпка na dachu” w Teatrze Muzycznym w Łodzi.

Ze względów finansowych nie uczestniczyłem też w zorganizowanej przez „Płomyczek” akcji zbierania pieniędzy na zakup żyrafy dla warszawskiego ZOO³⁵.

Wspominałem już, że ja i moje rodzeństwo było w tej sytuacji uprzywilejowanej. My nie musieliśmy, jak wielu naszych rówieśników zbierać nad jeziorem butelek i zarobione w ten sposób pieniądze oddawać rodzicom „na życie”. Z tego powodu byliśmy też trochę „arystokratami Banditenstrasse”. Kiedy bawiliśmy się z chłopakami nad jeziorem, nie byliśmy dla nich konkurentami, którzy przed nimi mogą dopaść pozostawione tam przez pijaków butelki. Mogli być o to spokojni. Wszelkie znalezione w czasie tych wypraw butelki należały do nich. Za to lubili nas i chętnie się z nami bawili.

Wróćmy jednak do koncertu, który zmienił moje życie. Nie wiem, jak znalazłem się na sali. Na pewno nie za pomocą biletu. To byłaby fanaberia. Był to wiec koncert bezpłatny, albo udało nam się „wykiwać” Dziadaka³⁶ i wejść na salę nielegalnie. Innej możliwości nie było. Za niekoniecznie legalnym wejściem na widowień przemawia fakt, że nie mianem siedzącego miejsca. Razem z kilku takimi jak i ja typami w wieku 7 – 9 lat siedłem sobie skromnie tzw. „półgębkiem” na schodkach prowadzących z widowni na scenę. Tak blisko sceny znalazłem się po raz pierwszy w życiu i byłem oczarowany. Czym? Nie wiem. Scena była trochę brudnawa, od lat niemalowana, kurtyna zakurzona, ale „odsłaniała się sama!!!”. Dwa przedwojenne reflektory rzuciły kolorowe światło na występujących. Na scenie poza instrumentami stały mikrofony i głośniki... Europa (ta po właściwej stronie granicy) przyszła do nas... Wpadłem w zachwyt i oczarowanie, które trwa już sześćdziesiąt lat i chyba nigdy się nie zmieni. I to wszystko działo się naprawdę, zanim jeszcze zaczął się spektakl!!! Dusza kilkulatka oderwała się po raz pierwszy od rzeczywistości. Coś takiego przeżywają chyba tylko narkomani w czasie odlotu. Nie wiem, nigdy nie brałem, ale tak sobie to wyobrażam. Musiałem być blisko. Musiałem tego dotknąć. Siedząc „półgębkiem” na scenicznym schodku przenosiłem się powoli coraz dalej, na coraz to wyższy schodek. Każdy milimetr zbliżenia do Artystów i światowej techniki był ważny. Pod koniec występu siedziałem już z rozdziawionym i zachwytu dziobem na brzegu sceny i wcale nie tak daleki z boku. I wtedy stało się!!! Na scenę wyszedł ubrany po szlachecku wąsaty artysta. Drugi był bez wąsów. Ten wąsaty zaśpiewał, a ja odpłynąłem gdzieś w inny wymiar poznawać nieznaną mi całkowicie świat muzyki. Cały



Tadysz, jako Tewie w „Skrzypku na dachu” w łodzi. Zdjęcie pochodzi ze zbiorów Instytutu Teatralnego

³⁵ Jak ten czas leci. Nie pamiętam już szczegółów. Nie wiem, czy to był „Płomyk” czy „Płomyczek”, nie jestem pewny. Czy chodziło tu o ZOO warszawskie, czy też inne. Na pewno dzieci składały się na zakup żyrafy. Ja nie, chociaż akcją uważałem za ciekawą. Niestety, już wtedy byłem typem businessmana, czyli wiedziałem, że jak nie mam, to nie mogę zapłacić. Moje businessowe umiejętności pozostały niestety do dzisiaj na tym samym poziomie...

³⁶ Pana Dziadaka opisałem już w rozdziale „Czapajew”: „Inną przygodą było oglądanie telewizji w MDK. Właściwie to ten telewizor był dostępny tylko dla członków kół zainteresowań MDK, a „na bramce” stał słynny w całym mieście woźny, Pan Dziadak. Najbardziej znany był z tego, że każdą niemal rozmowę zaczynał od zdania „Ja i pan dyrektor ustaliliśmy...”. Znał na pamięć wszystkich uczestników i zawsze wypatrzył nieproszonych gości. Jego trafienia ścierką były mistrzowskie i bolesne. Próby wejścia do MDK stały się dla młodych mieszkańców naszej ulicy prawie „sportem narodowym”, który często mimo najróżniejszych trików i podstępów kończył się boleśnie. Woźny Dziadak był niezłomnym obrońcą domokulturowych podwoi i nie dawał się zwieść absolutnie żadnym podstępem. Dzięki niemu do MDK dostęp mieli tylko uprawnieni. Za to był jednym z najbardziej zniechęconych postaci naszej ulicznej gromadki. Jednocześnie szanowaliśmy go bardzo za jego niezłomność.”

dotychczasowy spektakl przepadł. Ta chwila była jedyna i mogła trwać w Niedokończoność. Nie wiedziałem jeszcze, że pieśń ta niesie jeszcze jedną, życiową dla mnie pułapkę. Pułapkę teatru. Wiemy wszyscy, że Ładysz, to nie tylko cudowny śpiewak, ale też wspaniały aktor. Zagrał wtedy chyba specjalnie dla mnie scenkę „Strach waści. Nie? Zażyj tabaki!”. Efekt był taki, że ze śmiechu niemalże spadłem ze sceny, na której półgębkiem siedziałem. Nie był jednak szczyt moich artystycznych doznań tego dnia. Była jeszcze druga zwrotka i drugie komediowe zagranie „Strach waści. Nie? Zażyj tabaki!” Za pierwszym razem był to od stu lat zepsuty zegar, którego koncertik miał obudzić śpiącego w komnacie gościa, za drugim razem były to wychodzące z ram cześnikowe prababki. Obie te scenki, jak i cała aria przeniosła mnie na całe już życie w inny świat. Świat muzyki i teatru. Nie jestem w tym świecie żadnym wybitnym znawcą sztuki. Nadal jestem tym dawnym „chłopakiem z puszczy”, któremu jest lepiej na świecie, jeżeli ma kontakt z muzyką, teatrem i wszystkim, czym dysponuje scena. Nie znam się na gatunkach, rodzajach czy innych podziałach. Podział jest tylko jeden. Jest to, co mi się podoba, i to, co mi się nie podoba. Przy tym nie zawsze to drugie idzie „do wiecznej odstawki”. Często po latach dorastam do pewnych dzieł i wracam do nich. Teraz są one piękne i wracam do nich coraz częściej. Niezmienna jest tylko aria Skołuby w dawnym wykonaniu Bernarda Ładysza. Ta jest nieśmiertelna.

Bernard Ładysz po raz drugi.

Ładysza widziałem na scenie „na żywo” dwa razy. Po raz pierwszy około sześćdziesiąt lat temu – patrz wyżej, po raz drugi około trzydzieści lat temu w spektaklu „Skrzypek na dachu” w Teatrze Muzycznym w Łodzi.



Marcin z czasów dawnych,
teatralnych wypraw...

Zorganizowałem wycieczkę dla pracowników mrągowskiego Bumaru, w którym wówczas pracowałem. Był to czas po stanie wojennym, czego skutki najlepiej było widać na pustych półkach sklepowych. Pracowałem w dziale socjalnym Bumaru i mówiąc skrótowo moim obowiązkiem było tak dbać w imieniu firmy o załogę, by załoga ta była w miarę możliwości jak najmniej niezadowolona z życia. Właściwe wykonywanie swojej pracy, czyli osiągnięcie zadowolenia załogi było w tym czasie zadaniem kompletnie niewykonalnym, ale starałem się jak mogłem. Różne były przykłady tych starań. Na przykład kupowałem w grójeckim „zagłębiu jabłkowym” tanie jabłka, a na Kurpiach smaczne ziemniaki, by zaopatrzyć załogę na zimę. Dla dzieci pracowników organizowałem wycieczki, kolonie i spływy kajakowe. Załatwiałem dla naszych pracowników wszelkiego rodzaju zachcianki wczasowe, oczywiście w ramach FWP³⁷, a nawet udało mi się załatwić kolonie dla dzieci i kilka wycieczek w NRD, co było na te czasy sporym osiągnięciem.

³⁷ Fundusz Wczasów Pracowniczych (FWP) – przedsiębiorstwo turystyczne, zarejestrowane m.in., jako "Fundusz Wczasów Pracowniczych Spółka z o.o." Nazwa kojarzona z okresem PRL i de facto monopolem organizacji/przedsiębiorstwa o tej nazwie, zgodnie z tendencjami PRL do centralizacji uczestnictwa obywatela w życiu publicznym. W praktyce organizacja dodatkowo o znaczeniu politycznym, do np. zakupu wczasów lub pobytu w ośrodkach wypoczynkowych nie wystarczała rezerwacja oraz zapłacenie oczekiwanej kwoty, dodatkowo wymagane skierowanie udzielane przez FWP. Pełniło ono funkcję promesy(zasadniczo

Wracajmy jednak do tematu. Półki sklepowe w Mrągowie były puste. Krążyła jednak plotka, że w dużych miastach, a szczególnie w robotniczej łodzi półki sklepowe się zapełniają, ponieważ władze mają pietra przed „niekontrolowanymi wybuchami robotniczego gniewu”, jak to się nazywało w oficjalnej nowomowie. Aby zaspokoić głód kupowania postanowiono zorganizować wycieczkę „na zakupy” w Łodzi. Ponieważ mi przypało w udziale zorganizowanie tej wycieczki, nie mogło w jej programie niej zabraknąć obowiązkowego dla mnie punktu wszystkich wyjazdów, czyli wizyty w teatrze. Telefonicznie, za pośrednictwem biura Mazur-Tourist udało mi się zorganizować jakieś bilety i pojechaliśmy. Już na miejscu okazało się, że mamy bilety do Teatru Muzycznego na sztukę „Skrzypek na dachu”. Nikt z nas nie wiedział, co to jest. Spektakl ten, jak się okazało był polskim prawykonaniem tego światowej sławy musicalu, a o tym, że wystąpi w nim Bernard Ładysz dowiedziałem się dopiero, kiedy przy wejściu na salę kupiłem program.



Julia

Na wycieczce był z nami pięcioletni wtedy Marcin. Kiedy dowiedziałem się, że sztuka będzie trwała dobrze ponad trzy godziny, przeraziłem się. Jak to dziecko ma wytrzymać tyle czasu praktycznie bez ruchu, kiedy ma już za sobą prawie cały dzień jazdy autobusem. Myślałem nawet o rezygnacji ze spektaklu, ale Marcin oświadczył, że on tu zostaje. Nie miałem więc innego wyjścia. Musiałem zostać. Postanowiłem, że kiedy padnie ze zmęczenia, to po prostu wezmę go na rękę i zawiozę do hotelu.

Marcin nie dał się jednak. Jego fascynacja sztuką była tak wielka, że w czasie przerw biegał dookoła kolumn przed teatrem, aby się rozbudzić i dotrwać do końca spektaklu. O żadnej rezygnacji nie mogło być mowy. Marcin zachowywał się tak jak ja trzydzieści lat wcześniej w Mrągowie. Kiedy zaczynała się muzyka odpływał do innego świata, a kiedy Ładysz śpiewał słynną arię Tewiego, Marcin był duchem nieobecny. Kiedy próbowałem go zapytać, jak mu się podoba, machnął tylko ręką, by mu nie przeszkadzać. Kiedy na scenie odbywa się wielka scena ukraińsko – żydowskiego wesela gdzie mieszają się tańce ukraińskie z żydowskimi, a na scenie wszystko się rusza i wiruje, Marcin tańczył swój własny taniec przed swoim krzesłem. Kiedy Ładysz - Tewie rozmawiał z Panem Bogiem, Marcin śmiał się do rozpuku. Treść tej rozmowy jest wprawdzie bardzo poważna, ale młody wiek Marcina i vis comica³⁸ Ładysza spowodowały, że Marcin zachowywał się dokładnie tak, jak ja przed laty w czasie „Arii Skołuby”. Wtedy właśnie Ładysz zaczarował go dla teatru...

Kiedy po trzyipółgodzinnym spektaklu, spytałem Marcina: „No i co? Zmęczony?”, on popatrzył na mnie trochę dziwnie i powiedział: „Tak, zmęczony. Ale wytrzymałem! A jutro przyjdziemy tu jeszcze raz!”

pozwolenia), a udzielenie "skierowania" mogło zależeć, od przynależności partyjnej, oceny danego zakładu pracy, braku historii "opozycyjnej", wolnych miejsc, czy wykorzystania urlopu poprzednio. Dodatkowo do najbardziej atrakcyjnych miejsc skierowania, według swojej własnej decyzji przyznawały rady zakładowe(nie były one organem FWP, który pełnił rolę "hurtownika" w takim wypadku). Dawniej była to wyspecjalizowana instytucja, działająca w Polsce, od 1949, której zadaniem było zapewnienie możliwości wypoczynku pracownikom państwowych i uspołecznionych zakładów pracy i instytucji. Podlegały jej ośrodki wypoczynkowe zlokalizowane w atrakcyjnych miejscach na terenie całego kraju. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

³⁸ Vis comica – [wis komika] (łacina) siła komiczna, talent wzbudzania śmiechu (np. u aktorów komediowych) (Źródło: <http://portalwiedzy.onet.pl/>)

Tym razem nie Ładysz. Teraz kolej na Bibi Blocksberg.

Minęło trzydzieści parę lat. Wybrałem się z wnuczka Julią, córką Marcina i Ani na musical "Bibi Blocksberg – Hexen, Hexen Überall", co w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Bibi Blocksberg – czarownice, wszędzie czarownice”.

Bibi Blocksberg to postać z kreskówek dla dzieci, która zdobyła serca wszystkich dziewczynek poniżej lat dziesięciu. Jest to bardzo miła czarownica z wielkiej rodziny czarownic, między którymi żyje i którym robi niesamowite psikusy.

Jest to jednak normalna współczesna dziewczynka, która ma mamę – czarownicę, tatę czarownika, ciotki czarownice, koleżanki czarownice i chodzi do normalnej szkoły dla czarownic. Poza tym, że umie czarować, niczym się nie różni od innych dziewczynek.

Telewizyjny sukces serialu zaanimował artystów do stworzenia musicalu, który z wielkimi sukcesami występuje w całej niemieckojęzycznej Europie. Pomiedzy występami w Berlinie, Wiedniu i innych stolicach, daje też występy na prowincji. Nam udało się dostać bilety na spektakl w Lübbecke. Już w foyer zaczęły się czary. Czarowali handlowcy sprzedając niezbędne do obejrzenia spektakli gadgety. Były tam czarodziejskie różdżki w dowolnym kolorze, mrugające korony i wiele temu podobnych „cudowności”. Ponieważ ja mam z Julią już od lat umowę, że kupujemy w takich przypadkach tylko jedno „coś”, co się jej podoba, obyło się bez większego stresu. Jedna czarodziejska różdżka w kolorze zielonym, podświetlana różnokolorowymi światełkami załatwiła sprawę. Obok pozostałych koron,



Julia z głównymi bohaterkami spektaklu.

koronek, sukieneczek, diademów oraz innych mrugających i niemrugających czarodziejskich przedmiotów przeszliśmy bezboleśnie. Pierwsze czary były za nami.

Jak się okazało, większość widowni stanowiły pięcioletnie dziewczynki i kilku chłopców w podobnym wieku. Po ich minach widać było, że byli to na siłę tu przyciągnięci razem z siostrami nieszczęśliwi braciszkwowie. Szły całe rodziny, więc braciszkwowie musieli też. Nie mogli przecież zo-

stać w domu sami, chociaż na pewno by to woleli. Bibi to przecież bohaterka dziewczynskiej bajki! Co im do tego!

Poza tym była tam mała grupa rodziców i ogromna rzesza dziadków. Czyli byłem tam również na właściwym miejscu. Jak się potem okazało, nie tylko z powodu „przekroju widzów”, ale też z przyczyn muzycznych. Okazało się, że twórcy muzyki „polecieli Abba” i zrobili muzyczną oprawę, która w swoim stylu, jako żywo przypominała lata siedemdziesiąte i słynny zespół ABBA. Czyli typowy musical dla pięcio- i sześćdziesięciopięcioletków jednocześnie. Takie dwa w jednym. Jak proszek do prania. Czyli znowu czary...

Wypiliśmy coś chłodnego i pora była wchodzić na widownię. Mieliliśmy miejsca w prawym sektorze na parterze w drugim rzędzie. Ku naszej radości okazało się, że drugi rząd jest praktycznie rzędem pierwszym, bo rzędu pierwszego nie ma. Czyli siedzieliśmy

niedaleko niezbyt wysokiej sceny i tuż koło schodków z widowni na scenę. Tak jakby mi to coś przypominało...

Zgasły światła. Na scenie pojawiła się Bibi. Popatrzyłem na Julię. Odplynęła. Nie widziała i się słyszała nic oprócz muzyki i aktorów. Całkowicie przeniosła się uludny świat teatru i muzyki. Ona była tam z Bibi. Mało tego. Ona chyba była Bibi, bo inaczej nie umiem sobie tego blasku w oczach wytłumaczyć. Do mnie odezwała się dopiero na przerwie. Upewniła się, czy na pewno możemy na przerwie wyjść z widowni. Nie chciała stracić ani kawałka widowiska. Po kilkukrotnym zapewnieniu, że Bibi na pewno na nią poczeka, udało mi się ją namówić, by skorzystała z toalety. Potem był tylko szybki powrót na widownię i niecierpliwe oczekiwanie na ciąg dalszy.

Zgasły światła i spektakl potoczył się dalej. Julia nadal przeżywała każdą nutkę i każde słowo. Kiedy jednak Bibi zapraszała gestami do wspólnego tańca, Julia wstydziła się



Sceny z Musicalu „Bibi Blocksberg – Hexen, Hexen Überall! ”Źródło: <http://www.cocomico.de/bibi-hexen-hexen-ueberall/>

wstać i tańczyć, chociaż widziałem, że korci ją to okropnie. Inni, jak się okazało, też wstydziła się wyjść z krzesłek. Wtedy, oczami wyobraźni zobaczyłem siebie i moje wejście do teatralnego świata przed sześćdziesięciu laty. Postanowiłem pomóc Julii w zwalczeniu wrodzonej nieśmiałości, która trzymała ją jeszcze na krzeselku, mimo że duchem była już przy Bibi. Doskonale pamiętam, co działo się przed wielu laty w mojej duszy w podobnej sytuacji... Szepnąłem jej do ucha, że jestem tuż obok i będę się nią opiekował i nic się jej nie stanie. Może spokojnie wstać i podejść do sceny, do Bibi. Julia wstała. Najpierw postąpiła chwilę przy krzeselku, potem powoli, krok po kroku zaczęła „skradać się” do sceny. Kiedy już tam była, położyła brodę na scenie i długo wpatrywała się w Bibi, która teraz była w zasięgu ręki. W dodatku nikt inny nie był tak blisko jej. Raz tylko odwróciła się do mnie i pomachała, że wszystko jest w porządku.

Potem na scenie zaczęły się tańce. Inne dzieci poszły w ślady Julii i na widowni zrobiła się dyskoteka. Czarownice tańczyły na scenie, kilkadziesiąt pięciolatek przed sceną a z boku, przy głośnikach, skromniutko i nieśmiało podrygiwało kilkunastu dziadków po sześćdziesiątce. Wspominałem już, że artyści „polecieli Abbą”. Była to „nasza” muzyka w stylu lat siedemdziesiątych. Nic dziwnego, że grupka dziadków pod pretekstem podprowadzenia wnuków na „Disco pod Sceną” utknęła z nami, przy głośnikach. Nie zdradzę, kto był prowodyrem dziadkowych podrygów tanecznych. Mogę w tym miejscu złożyć jedynie oświadczenie, że nasza obecność w tym miejscu była niezbędna, ponieważ pilnowaliśmy wnuków.

Po spektaklu Julia nie bardzo chciała opuścić widownię, ale dała się przekonać dziadkowi, że to jeszcze nie koniec czarów. Dziadek wyczarował jeszcze DVD z muzyką ze spektaklu i pomógł wnuczce zdobyć autograf Bibi oraz jej koleżanki, młodej czarownicy Schubii z zielonymi włosami. Na tym jeszcze nie koniec czarów. Obie młode czarownice zgodziły się, by wspólne z Julią zrobić sobie zdjęcie. Szczęście dziecka osiągnęło zenit.

Nieco później, już w drodze do domu, kiedy to emocje już nieco opadły, dziadek usłyszał z ust wnuczki najpiękniejszy komplement. Julia popatrzyła na mnie i powiedziała: „Weist Du was, Opa? Mein Papi weiß nicht wo ist Bibi!” „Wiesz, dziadku, że mój tata nie wie gdzie jest Bibi!” **PRZEZ CHWILĘ BYŁEM WAŻNIEJSZY OD TATY!!!**



Czapajew.

Był Czapajew psem czy kotem?

Czapajew był kotem. Właściwie, to był kotką, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Dopiero po latach, kiedy został mamą musieliśmy przyznać, że jest kotką. Czapajew był też trochę psem. Ale tylko z charakteru i wychowania. Zaczniemy jednak od początku. Zaczęło się to jeszcze w latach sześćdziesiątych czy też siedemdziesiątych dwudziestego stulecia, czyli jeszcze w poprzednim tysiącleciu. Skąd wziął się Czapajew w naszym domu? Nikt już tego nie pamięta. Pamięć o tym zanikła w zawirowaniach rodzinnej historii. Wszyscy pamiętają jednak, iż pewnego dnia pojawił się u nas ślepy młody kociak, czyli kocie „dziecię w kołysce”. Był sierotą, to było pewne, lecz czy został porzucony przez matkę, czy też uratowany został z akcji topienia niepotrzebnych kociąt³⁹, tego dzisiaj już nikt nie pamięta.

Czapajew miał szczęście. W dodatku podwójne. Po pierwsze: W naszym domu zwierząt się nie topiło, lecz je wychowywało i oddawało „w dobre ręce”. Po drugie: Nasza suczka miała akurat szczeniaki i bez oporów zaadoptowała dodatkowe „szczenię”. W ten sposób zyskał Czapajew rodzinę, czyli nas i zastępczą matkę, naszą suczkę. Fakty te miały w przyszłości ogromny wpływ na rozwój zwierzęcia – dziwadła. Ale o tym potem.

Telewizja, internet i klub „Ruchu”

Kiedy ślepy kociak pojawił się w naszym domu, długo się nie zastanawialiśmy i oddaliśmy go pod opiekę suczki. Decyzje wieku dziecięcego są proste i spontaniczne, a tym przypadku, jak pokazał czas, okazały się życiowo, w pełni tego słowa znaczeniu, ważne dla kociaka. Poza tym, gdzie i u kogo mieliśmy się poradzić. Od zapracowanych rodziców (takie były to czasy) mogliśmy, co najwyżej, usłyszeć „nie zwracaj mi głowy” albo „mało to już mamy psów kotów i królików?”⁴⁰ Odnieście to tam, skąd przynieśliście”.

³⁹ Były to czasy proste i w sposób prosty okrutne. Niechciane szczeniaki czy kocięta po prostu zabijano czy też topiono. Kastrowanie zwierząt czy też schroniska dla zwierząt są to wynalazki dużo późniejsze.

⁴⁰ Młodych ludzi chciałbym poinformować, że w tych zamierzczłych czasach króliki były zwierzęciem gospodarczym hodowanym wyłącznie w celach konsumpcyjnych. Ich rola, jako zwierzątka domowego zaczęła się wiele lat później.

Musieliśmy radzić sobie sami, tym bardziej, że Internetu ze wszystkowiedzącym wujkiem Googlem jeszcze w tych czasach nie było. Mało tego. Wtedy nikt, w najskrytszych nawet marzeniach nie pomyślał, że coś takiego może się kiedyś pojawić. Poza tym, co tam mówić o internecie, kiedy wówczas w naszym domu nie było nawet telewizora... W co zamożniejszych domach pojawiały się już wtedy telewizory, ale my biegaliśmy na telewizję do domu kultury lub którejs z zakładowych świetlic. Takie to były czasy. Większe, bogatsze zakłady pracy, które stać było na telewizor, kupowały takowy i organizowały dla swoich pracowników i ich rodzin świetlice, w których największą atrakcją było oglądanie telewizji. Oczywiście zatrudniano tam specjalnego pracownika do włączania i wyłączania oraz, przede wszystkim, do pilnowania skarbu, jakim był w tych czasach telewizor. Kanałów pracownik ten nie musiał umieć przełączać, bo w tamtych czasach był tylko jeden program, a dla jakości odbioru programu najważniejsze było właściwe ukierunkowanie anteny na, niejednokrotnie dwadzieścia metrów wysokim, maszcie. Najbliższy nadajnik był w Olsztynie, a Mrągowo schowane było od tej strony za górką. Osiedli Parkowa, Brzozowa i Grunwaldzkiego⁴¹, które miałyby do tych celów korzystne położenie geograficzne, jeszcze wtedy nie było. Poza Domem Kultury Dzieci i Młodzieży telewizory⁴² były dostępne w świetlicach w tartaku przy ulicy Lenina⁴³ i PKS przy ulicy Oficerskiej. W tartaku było najłatwiej. Nasz tata prowadził w tym czasie kiosk przy skrzyżowaniu ulic Brzozowej i Lenina, czyli tuż koło tartaku. Sprzedawca artykułów spożywczych był w tym czasie Kimś (od Ktoś – w takim przypadku pisane dużą literą), więc żadna gospodyni domowa z nim nie zadzierała. Pani świetliczanka z tartaku też. Wstęp na telewizję w tej świetlicy mieliśmy bezproblemowy. Wiele lat później, w miejscu, w którym wówczas stał kiosk, czyli na skrzyżowaniu ulic Brzozowej i Lenina zbudowano pralnię chemiczną.

Panie świetliczanki były przez nas darzone dużym szacunkiem. One mogły w okamgnieniu pozbawić nas tej darmowej rozrywki, za którą w kinie trzeba było płacić, a o pieniądze na kino nie było łatwo. Były to czasy, kiedy wyraz kieszonkowe był zarówno w naszym pokoleniu, jak i w pokoleniu naszych rodziców wyrazem obcym, a nawet bardzo, bardzo obcym. Wręcz nieznanym. Oczywiście, czasami otrzymywaliśmy od rodziców jakieś tam grosiki. Najczęściej była to reszta z zakupów, po które musieliśmy biegać. Czasami rodzice w przypływie dobrego humoru, ot tak, z dobrego serca, dali złotówkę alba dwa. Czasami mieliśmy szczęście i tata wrócił do domu „w stanie wskazującym”, lecz nie na tyle wskazującym, by mama „musiała” mu za to zrobić awanturę. Korzystaliśmy z tego, bo tata będący „pod wpływem” i wprowadzony dodatkowo w dobry humor z powodu braku obligatoryjnych w takim przypadku wymówek żony, miał dużo „łżejszą rękę” do finansowego obdarowywania sporej gromadki latorośli. Stosowaliśmy też różne tricki, lecz nikt z naszej gromadki nie był w nich tak dobry jak Basia. Ona umiała płakać „na zawołanie”. Odczekiwała na właściwy moment i zaczynała ryczeć. Trwało to tak długo, aż wymusiła od rodziców to, co chciała. Nieważne, czy to był bilet do kina, nowy ciuch czy też wycieczka szkolna, na którą naprawdę nie było nas stać. Niestety, na niedzielny poranek filmowy trzeba było wydać trzy złote, których, mimo stosowania wszystkich tricków świata, na ogół nie mieliśmy. Trzeba było je zarobić. Najprościej było sprzedać trzy butelki w skupie „u Janka” na końcu ulicy Roosevelta. A skąd te butelki brać?

⁴¹ Osiedle Parkowa zaczynało się wtedy budować na tzw. świńskim rynku, pozostałe osiedla do historia dużo późniejsza.

⁴² Czytaj: Mniejsza kontrola przy wejściu, czy jest się rodziną pracownika danego zakładu. Kłamać nie było sensu, bo w takim małym miasteczku wszyscy się znali. Dodatkowo nasi rodzice byli dość popularnymi mieszkańcami miasta i „wszyscy” ich znali. Ale o tym w innym miejscu tych wspomnień.

⁴³ Teraz (2016) ulica Mrongowiusza.

Z bajkowych poranków szybko jednak wyrosliśmy, a seanse popołudniowe kosztowały już od pięciu złotych w górę. Takie zaś superprodukcje jak np. „Biały Kanion” kosztowały więcej niż 10 zł. To był majątek!!! Trzeba jednak przyznać, że od czasu do czasu ratowała nas babcia, a właściwie prababcia Piechottka (1879-1963), która nigdy w życiu nie była w kinie⁴⁴, jednakże od czasu do czasu odpałała nam parę złotych na tą całkowicie jej obcą rozrywkę. Nie było to jednak zbyt często. Jest to jednak zrozumiałe, kiedy dzisiaj, jako dorośli, porównamy ceny. Jeden bilet kosztował mniej więcej tyle, co dwukilogramowy chleb. A były to jeszcze czasy, w których dwukilogramowy chleb ważył dwa kilogramy. Później to się zmieniło. Po wybudowaniu w Mrągowie nowoczesnej piekarni przemysłowej wprowadzono też, podobno z przyczyn technologicznych chleby kilogramowe. Ważyły one niestety już tylko, zgodnie z obowiązującymi przepisami, osiemset gram.

Inną młodzieńczą przygodą było oglądanie telewizji w MDK⁴⁵. Właściwie to ten telewizor był dostępny tylko dla członków kół zainteresowań MDK, a „na bramce” stał słynny w całym mieście woźny, pan Dziadak. Najbardziej znany z tego, że każdą niemal rozmowę zaczynał od zdania „Ja i pan dyrektor ustaliliśmy...”. Znał na wszystkich uczestników Domu Kultury i zawsze wypatrywał nieproszonych gości. Jego trafienia ścierką były mistrzowskie i bolesne. Efektem tej restrykcyjnej polityki Pana Dziadaka był nowy rodzaj sportu, czyli próby „nielegalnego” wejścia do MDK. Próby te stały się dla młodych mieszkańców naszej ulicy prawie „sportem narodowym”. Sport ten często, mimo najróżniejszych tricków i podstępów „zawodników” kończył się dla nich boleśnie. Woźny Dziadak był niezłomnym obrońcą domokulturowych podwoi i nie dawał się zwieść absolutnie żadnym podstępom. Dzięki niemu do MDK dostęp mieli tylko uprawnieni. Pan Dziadak był za to jedną z najbardziej zniechodzonych postaci naszej ulicznej gromadki. Jednocześnie szanowaliśmy go bardzo za jego niezłomność.

W czasach nieco późniejszych telewizory zaczęły pojawiać się w klubach „Ruchu”. Kultowym dla mrągowskiej młodzieży był klub „Ruchu” prowadzony w podziemiach Powiatowego Domu Kultury. W tych czasach byłem niestety za młody, by móc tam przebywać. Mogłem tam, co najwyżej, wejść, coś kupić i wyjść. Ponieważ moje środki finansowe były raczej skromne, byłem tam zaledwie kilka razy i to całkowicie przypadkowo, a nie w celach towarzysko-klubowych. Co się tam, na tych towarzysko-klubowych spotkaniach działo, tego, z przyczyn obiektywnych, nie wiem. Na pewno wiedziałyby to mój, niestety nieżyjący już, starszy brat Zygmunt. Był ode mnie o trzy lata starszy, czyli należał już do tej elity, której wolno było przebywać w tym siedlisku rozpusty, chuligaństwa i bananowej młodzieży⁴⁶. Według ogólnej opinii pokolenia ówczesnych rodziców

⁴⁴ Okazało się, że babcia była raz na seansie filmowym, zorganizowanym w pałacu w Młynowie w ramach tak modnego po wojnie upowszechniania kultury. Niestety, kiedy pociąg ruszył z ekranu w stronę widowni, babcia z krzykiem opuściła salę kinową.

⁴⁵ MDK – Młodzieżowy Dom Kultury. W tamtych czasach nazywał się DKDiM, czyli Dom Kultury Dzieci i Młodzieży. Mieścił się w dawnym Domu Starców na ulicy Jeziornej, czyli w obszarze Banditenstrasse. Jeszcze wcześniej był to Dom Harcerza i mieścił się na ulicy Warszawskiej. Chodzi tu jednak o ten sam obiekt kulturalny, prowadzony przez kilka dziesięcioleci przez Pana Mariana Zborowskiego, wspaniałego człowieka i jednocześnie ojca mojego przyjaciela Maćka Zborowskiego.

⁴⁶ Wikipedia podaje: „Bananowa młodzież – termin powstały na początku lat 60. XX wieku, wykorzystywany przez polskie władze w celu poniżenia przywódców młodzieży akademickiej (określanej również jako grupa awanturników z Uniwersytetu Warszawskiego wywodząca się z kręgów bananowej młodzieży) odpowiedzialnej za protesty przeciwko rządowej nagonce antysemitycznej (marzec 1968 r) PZPR posługując się tym sformułowaniem, usiłowała skompromitować studentów pochodzących z bogatych rodzin (najczęściej) były to rodziny wysokich urzędników PRL), sugerując, że wychowani w luksusie symbolizowanym w tym przypadku przez deficytowe w okresie małej stabilizacji banany, nie znają istotnych problemów środowiska akademii, a tym samym nie mogą reprezentować jego interesów.” Nasi „Władcy” powiadali o nich (o nas?): „W głowach się gówniarzom poprzewracało!!! Pewnie by się jeszcze coca-coli napili!!! Do nauki niech się smarkacze zaborą!!!” Tak, tak! W tamtych czasach młodzież

klub ten był ostoją wszystkiego, co najgorsze, a to, co młodzi tam wyrabia, to wstyd i palenie papierosów. Co do tego drugiego to na pewno mieli rację. Co do wstydu, nie potrafię się do tego odnieść...

Jakby nie było i co by to nie było, nieważne, jakich sposobów musielibyśmy się imać, kolejny poniedziałkowy odcinek „Zwierzynca”⁴⁷ z Michałem Sumińskim i kolejnym odcinkiem „Psa Huckelberry” należało obejrzeć! Inaczej byłoby się wśród kolegów człowiekiem przegranym... Nie mieć nic do powiedzenia na temat nowych tricków psa Huckelberry czy Misia Yogi... To było straszne... O popularności tej audycji niech świadczy fakt, że jedna z kultowych w tym czasie postaci z wyświetlanych w „Zwierzynca” kreskówek, Goryl Magilla, dał na długie lata pseudonim jednemu z nas, Januszkowi Grądzikowi. Niewielu w mieście znało jego prawdziwe imię, wszyscy jednak wiedzieli, kim jest Magilla.

Potem przyszły inne audycje i filmy. Od „Wojny Domowej” po „Kobrę”. Wiele z nich również awansowało do kategorii kultowych. Ale do tego musielśmy jeszcze dorosnąć, a z biegiem czasu coraz więcej telewizorów pojawiało się w naszych domach.

Opowiastka o perypetiach kinowych, czyli o tym, jak być starszym niż na to pozwala legitymacja szkolna.

Inne popularne w mieście osoby, które miały u nas szalone poważanie, były to panie bileterki w kinie „Mazur”. Były to Pani Stefaniakowa i Pani Grynkowa (nie wiem, czy nie przekręcam tego nazwiska, ale to już tyle lat...). Później dołączyła do nich Pani Siemaszkowa. Nie wiem, jak one to robiły, ale one zawsze wiedziały, kiedy któryś z nas próbował nielegalnie przeszwarcować się na niedozwolony dla niego z przyczyn wiekowych film. Przypominam, że telewizory były w tym czasie niezbyt dostępne i było ich tylko w kilka w mieście, zatem na dobre filmy chodziło się tradycyjnie, do kina. Całkowicie inna historia, to sposoby, jakie stosowaliśmy, by zdobyć fundusze na takie fanaberie. Rzućmy na to jednak zasłonę milczenia. Nie o to tu chodzi.

Chodziło się, jak już wspominałem, do kina. Tam, „na bramce”, stały panie bileterki. Mało tego, że stały, to jeszcze miały prawo do kontrolowania legitymacji szkolnych i robiły z tego użytek. A „oko” do podrobionych legitymacji szkolnych miały lepsze, niż eksperci milicyjni. Poza tym znały nas, okolicznych mieszkańców, jak zły szeląg. Miesz-

miała, w mniemaniu naszych władz, tak poprzewracane w głowach, że z pewnością chętnie napiłyby się obrzydliwego napoju imperialistów amerykańskich, za jaki w oczach naszych siemniężnych gomulkowskiach władz uchodziła coca cola. My naturalnie nigdy nie widzieliśmy tego napoju, nie mówiąc już o jego konsumpcji. Coca colę wprowadził w Polsce Gierek w latach siedemdziesiątych i wtedy to przestała symbolem zgnilizny moralnej polskiej młodzieży. W naszym miasteczku też istniała „bananowa młodzież”. Mianem tym określano wszystkich młodych ludzi, którzy nie pasowali do wyśnionego przez władze i niektórych rodziców ideału „ulizanego” (ulizanego oznaczało wówczas pięknie, gładko uczesane – jakby go krowa ulizała), grzecznego młodego człowieka, który zawsze wie, komu się uklonić i do kogo uśmiechnąć i którym rodzice zawsze się mogą pochwalić. Ponieważ takie ideały nie istnieją w żadnym pokoleniu i młodzi ludzie zawsze się buntują, dlatego wszyscy należeliśmy kiedyś mniej czy też więcej do ówczesnej „bananowej młodzieży”.

⁴⁷ Zwierzyniec – przyrodniczy program telewizyjny skierowany do dzieci i młodzieży. Był emitowany w Telewizji Polskiej w latach 1968 - 1988 w paśmie popołudniowym w poniedziałki, typowo od 16.30 do 17.30. Gospodarzem programu był Michał Sumiński, myśliwy i miłośnik zwierząt. W skład "Zwierzynca" wchodziły gawędy Pana Michała, opowieści o zwierzętach Marii Sołtyńskiej, filmy przyrodnicze. Na koniec wyświetlano kreskówki wytwórni Hanna-Barbera m.in: Pies Huckelberry, Pixie, Dixie i Pan Jinks, Miś Yogi, Goryl Magilla, Wally Gatora. Program rozpoczynał się piosenką o słowach: "I kudłate i łaciate, przegowane i skrzydlate. Te, co skaczą i fruują na nasz program zapraszają". Autorką tekstu była Maria Terlikowska. (Źródło: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Zwierzyniec_\(program_telewizyjny\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Zwierzyniec_(program_telewizyjny)))

kały przecież wszystkie, za wyjątkiem pani Grynkowej, po sąsiedzku. Z synem Pani Siemaszkowej przyjaźniłem się nawet jakiś czas. Panie te za jakiegokolwiek próby oszustwa mogły wytargać za ucho i naturalnie nie wpuścić do kina. Było to wielkim wstydem, bo świadków było zawsze dużo i koledzy nie oszczędzili potem uszczypliwości. Przyjmowaliśmy te szykany godnie, bo należały one do naturalnych kosztów obejrzenia niedozwolonego filmu. Poza tym, każdego mogło to kiedyś trafić, bo świętych pod tym względem w naszej dzielnicy na pewno nie było. Karą znacznie dla nas dotkliwszą niż niewpuszczenie do kina, była skarga u rodziców. Wtedy, w zależności od rodziców, można było nawet dostać w skórę. Lecz, tak to oceniam dzisiaj, panie były jednak bardzo wyrozumiałe. Przecież one znały każdego z nas osobiście jak zły szeląg. Były naszymi sąsiadkami, a w takiej pipidówce, jaką było wówczas Mrągowo, wszyscy znali wszystkich.

Panie bileterki potrafiły też być wielkie i łaskawe. Po obejrzeniu filmu same decydowały, czy ograniczenie wiekowe konkretnego filmu ma sens, czy też nie. W tym drugim przypadku „zapominały” często o sprawdzaniu legitymacji szkolnych i udawały, że wierzą w naszą „dorosłość”. W ten sposób udało mi się „całkiem legalnie” i bez tricków obejrzeć cudowny „Biały Kanion” na rok czy też półtora przed tym, zanim dorosłem do wymaganego przez dystrybutora filmu wieku 14 lat. Trzeba tu też dodać, że po bilet na taką superprodukcję, jak tu wspomniana, stało się wówczas w kolejce przynajmniej trzy dni. Potem mogło się okazać, że Pani bileterka skontrolowała legitymację szkolną, a do wymaganych 14 lat brakowało ci jeszcze kilka miesięcy albo i lat. Klęska totalna. Nie tylko totalny wstyd przed kolegami za wpadkę, ale też strata tak ciężko zarobionych na ten właśnie bilet funduszy.

Hansi.

Wspominałem już, że z wieku oglądania poranków filmowych w niedzielę wyrosliśmy dość szybko. Dotyczyło to większości z nas. Nie dotyczyło to jednak mnie i mojego przyjaciela Janka Gruszki. Tak się nazywał. Jednak dla mnie był to Hansi. Tak nazywała go jego mama i to przeszło na mnie. Tak nazywałem go „od zawsze”, aż do jego tragicznej śmierci w 1977 roku. Miał wtedy 25 lat.

Poznaliśmy się w tak zamierzchłej przeszłości, że nikt już tego, a my w szczególności, nie pamięta. Krążyły jednak legendy, że kiedy nasze mamy spotykały się na mieście albo na spacerku, to przystawały na chwilę by wymienić najnowsze wieści, albo tak całkiem zwyczajnie trochę poplotkować. Ja i Hansi, siedząc w wózeczkach, też wymienialiśmy wówczas poglądy naparząc się grzechotkami. I to zostało nam na zawsze. Nie grzechotki, lecz wymiana poglądów. Nie zgadzaliśmy się ze sobą nigdy i na żaden temat. Kłóciliśmy się o wszystko, zawsze i wszędzie. Ale to nie były spory rujnujące, lecz budujące. Byliśmy nierozłączni i zawsze, w każdej sytuacji mogliśmy na sobie polegać. Mimo tak wielkich różnic, mieliśmy też wiele wspólnego. Rozumieliśmy się zawsze bez słów. Jeden popatrzył na drugiego i już wiedzieliśmy, o co chodzi. Nawet, jeżeli mieliśmy na ten temat całkowicie różne poglądy. Potem, kiedy zaczęliśmy dorastać, kochaliśmy się w tych samych dziewczynach. Czasami jednocześnie, a czasami na przemian. Mimo, że ja byłem od niego o rok starszy, jego zabrano do wojska rok wcześniej niż mnie. Trafiłem jednak do tej samej jednostki wojskowej. 1109 w Giżycku. Kiedy ja się tam pojawiłem, byłem, jak to każe wojskowy obyczaj „kotem”. On był już po roku służby, czyli był „vice rezerwistą” i mógł mnie trochę przed najgorszym losem kota bronić. Półtora roku później, kiedy to ja byłem już „rezerwistą”, a Hansi już zapomniał o wojsku, byłem świadkiem na jego ślubie.

W dniu jego ślubu odbywałem akurat wojskową karę ZOK⁴⁸. Mimo to na ślub przyjaciela przyjechałem. Nielegalnie. Z „przepustką od majora Płota”⁴⁹, ale przyjechałem... Nie było innej możliwości.

Mimo wszystkich łączących nas różnic, łączyła nas też miłość do kina. Między innymi do rysunkowych bajek wytwórni Walt’a Disney’a. Fakt ten spowodował, że nasze wyrastanie z poranków filmowych, na których pokazywano naszych rysunkowych bohaterów, trwało kilka lat dłużej, niż u naszych kolegów. Nawet, kiedy mieliśmy już po dwadzieścia kilka lat, często siedzieliśmy w kinie między małymi dziećmi i oglądając po raz trzydziesty któryś naszego ulubionego Goofy’ego rechotaliśmy głośniej niż siedzące dookoła dzieciaki. Tylko panie bileterki patrzyły na nas z politowaniem...

Poza bajkami chodziliśmy z Hansim obowiązkowo (!) i jednocześnie całkowicie dobrowolnie (!!!) na wszystkie filmy radzieckie. Najpierw obowiązkowo, bo w październiku każdego roku odbywały się we wszystkich kinach w Polsce Dni Filmu Radzieckiego i każda szkoła prowadziła swoich uczniów za rączkę na te filmy. Za wymiganie się z takiej wycieczki groziła obniżona ocena ze sprawowania. Zatem chodziliśmy tam. Najpierw, tak jak wszyscy obowiązkowo. Potem coraz częściej dobrowolnie. Później uznaliśmy za nasz obowiązek, żadnego z tych filmów nie przeoczyć. Dlaczego? Czyżby te filmy były takie wspaniałe? Nie przeczę, było w tym również kilka wartościowych filmów i te też potrafiliśmy docenić. Nas



Mój przyjaciel Janek Gruszka, czyli Hansi z młodszym bratem Martinem. Lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia.

ciągnął jednak do kina zupełnie inny aspekt tych powszechnie znieawidzonych filmów. Było to nasze odmienne, niejednokrotnie bardzo sarkastyczne poczucie humoru i wynajdowanie w najpoważniejszych nawet scenach „drugiego dna” i sytuacji, „które się autorom scenariusza nawet nie śniły”. Bo czyż można sobie wyobrazić piękniejszą scenę niż ta, kiedy hrabianka wysyła służącego do mamy, hrabiny, by „zapytał czy Panienka ma umyć szyję do małego czy do dużego dekoltu”. Była to jedna z wielu kolekcjonowanych w naszej pamięci scenek z serii „Jak Wania wyobraża sobie życie burżuazji”. Zgadzały się one „toczka w toczku” z innymi scenami opowiadanymi nam przez naszych seniorów o „wyzwolicielach” z 1945 roku. Ale to już jest całkiem inna historia.

⁴⁸ ZOK - Kara zakazu opuszczania koszar wymierzona żołnierzowi zasadniczej służby wojskowej polegała na zakazie opuszczania koszar w godzinach i dniach wolnych od zajęć służbowych. Ukaraný miał obowiązek meldować się na określony sygnał u oficera dyżurnego jednostki z bronią i osobistym oporządzeniem wojskowym. (Źródło: Wikipedia). Ja miałem wybitne „szczęście” do tej kary. Kiedy zakończyłem służbę to miałem jeszcze 6 dni ZOK do odbycia.

⁴⁹ Przepustka od majora Płota - określenie nielegalnego opuszczenia terenu koszar przez żołnierza bez przepustki. Oficjalnie nazywało się to „Nielegalne opuszczenie miejsca zakwaterowania”. Za łżejsze przypadki groziło do 14 dni aresztu, co przedłużało w efekcie służbę wojskową o ponad miesiąc, przypadki cięższe mogły zostać zakwalifikowane jako dezercja i groziły za to kary wieloletniego więzienia. W przypadku ślubu przyjaciela, ewentualne skutki nie miały dla mnie większego znaczenia. Wolałem o nich nie myśleć. Hansi nie mógł wziąć ślubu beze mnie. To się nie godziło. Poza tym byłem jego świadkiem. Inny świadek nie przeszedł mu przez myśl...

Inne scenki rodzajowe z radzieckich filmów, które nas bawiły, można było określić „Jak Wania naprawia świat przy pomocy rewolucji”. Dwie z nich zostały mi do dzisiaj w pamięci.

Scenka pierwsza:

Oddział „Czerwonych” wywala gdzieś w Kazachstanie harem. Przystawia komсомолец ⁵⁰Wania postanawia przeprowadzić akcję uświadamiającą dla kobiet z haremu. W tym celu zarządza wiec, na którym obecność pań z haremu jest obowiązkowa. Wania wygłasza na nim płomienną mowę, jakie to luksusy zapewni im teraz komunizm i komсомоł. Co najważniejsze, każda z „towarzyszek pań z haremu” będzie teraz mogła mieć swojego własnego męża i nie będzie się nim dzielić z innymi paniami. Kobiety zdębiały na wieść o tak wielkich zmianach. „Starsza” haremu nie wierzyła własnym uszom. Tak na wszelki wypadek, zaczęła wypytywać o szczegóły tych zmian:

- Czy to na pewno znaczy, że każda z nas nie tylko będzie miała jednego męża, ale, co za tym idzie, ten mąż będzie miał tylko jedną żonę?

-Tak jest, tak teraz będzie! – Odpowiedział Wania

-To znaczy, że teraz każda z nas będzie sama musiała wykonywać tę pracę, którą do tej pory dzieliłyśmy na nas wszystkie????!!!

Cięcie. Następna scena: Wania ucieka, co sił w nogach. Panie gonią go i okładają wszystkim, co im akurat w rękę wpadło...

Scenka druga:

Sytuacja podobna jak w scenie pierwszej, lecz tym razem Wania szkoli gdzieś na dalekim wschodzie wyzwolone przez rewolucję i czerwonych kobiety niezamężne, mieszkanki niedalekich jurty. Długo tłumaczy im nowości, które rewolucja przyniosła również tutaj, na daleki wschód, a co za tym idzie, do każdej jurty. Dziewczyny szybko pojęły, w czym rzecz.

Cięcie. Następna scena: Jurta. Jedna ze szkolonych przed chwilą przez komсомolca Wanię dziewcząt tłumaczy ojcu, że teraz już nie będzie mógł jej sprzedać za mąż. Teraz ona sama wybierze sobie męża, a ojciec nie dostanie za nią żadnego okupu.

Cięcie. Następna scena: Step. W głębi widać biegnącą zyzgakiem dziewczynę, która przed chwilą szkoliła ojca. Przed jurty stoi ojciec i mierzy z dubeltówki...

Perypetii kinowych ciąg dalszy.

Wróćmy jednak do tematu. W chodzeniu do kina, obok którego mieszkaliśmy, mieliśmy często najróżniejsze trudności. Większość z nich właśnie opisałem. Ale były też „tłuste czasy”. Te najlepsze mieliśmy wówczas, gdy nasz tata prowadził kinowy bufet. Bufet znajdował się w drugiej poczekalni. To znaczy tej, w której czekało się na seans już po kontroli biletów. Był to czas, kiedy tata nie umiał się opędzić od chętnych do pomocy w bufecie. Było tam sporo do zrobienia: A to pozbierać brudne szklanki czy też butelki po lemoniady pozostawione przez klientów w całej poczekalni, a to umyć szklanki no i cała lista innych prac pomocniczych. Na całe szczęście nie wolno było wносить butelek na salę kinową, co wydatnie zmniejszało nasz „obszar działania”. Tego pilnowały już Panie bileterki.

Zygmunt i ja kłóciliśmy się codziennie o to, kto dzisiaj idzie pomagać tacie w pracy. Praca ta mimo wszystkich swoich uciążliwości mała jeden ogromny plus. Pracowało

⁵⁰ „Wania” należy tu potraktować symbolicznie. Nie jako imię, lecz jako symbol młodego komсомolca i rewolucjonisty.

się tylko do rozpoczęcia seansu, bo potem już nie było klientów. Wszyscy oglądali kronikę, a potem film. W czasie kroniki kończyło się sprzątanie bufetu. Poza tym, kronika nie interesowała nas, więc chętnie z niej zrezygnowaliśmy. Po kronice była dziesięciminutowa przerwa, czyli jeszcze jedna fala kupujących, potem już tylko krótkie sprzątanie i można było cichcem przemknąć na salę. Panie bileterki przymykały na to oko, ale z wielkiego dla nich respektu i tak staraliśmy się nie wchodzić w oczy. To były naprawdę prawdziwe „tłuste czasy” w naszych kontaktach z mediami, a co za tym idzie, w naszym medialnym wykształceniu. Kilka razy w tygodniu oglądaliśmy jakiś film...

Dość jednak tej wycieczki w krainę mediów i związanych z mediami dawnych obyczajów. Powróćmy do tematu, o którym chciałem opowiedzieć, czyli do Czapajewa.

Przygód Mamy i Czapajewa ciąg dalszy.

Jak już wspominałem, Czapajew był kotem. Właściwie to był kotką, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Dopiero po kilku latach, kiedy Czapajew został mamą, musieliśmy przyznać, że jednak jest kotką. Czapajew był też trochę psem, ale tylko z charakteru i wychowania. Kiedy pojawił się w naszym domu był maleńkim, prawie jeszcze ślepy kociakiem. Najpierw nie wiedzieliśmy, co z tym zrobić. Potem, rada w radę podłożyliśmy go karmiącej suczce, jako dodatkowego szczeniaka. Ona przyjęła go serdecznie i wychowała jak swojego. Tak jest. Nie tylko go wykarmiła, ale też wychowała najlepiej jak umiała, czyli jak szczeniaka. Co za tym idzie, Czapajewowi, a takie imię dostał od naszej mamy za swoją wojowniczą postawę, przez całe jego życie wydawało się, że jest psem. Był jednak kotem, tylko on wtedy o tym jeszcze nie wiedział. Właściwie to był kotką, ale o tym my wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy.



Mama, Sabina i Marian w „tamtych czasach”,
czyli prawdopodobnie w 1971 roku.

Skutek tego był taki, że Czapajew zachowywał się w swoim codziennym życiu jak pies. Pierwsze, co się rzucało w oczy, to fakt, że Czapajew nie umiał miaćceć. Wydawał wprawdzie z siebie jakieś dźwięki, ale trudno było to nazwać miaćceniem. Po pewnym czasie stwierdziliśmy, że są to nieudolne próby szczekania. Nie najlepiej mu to wychodziło, ale próbował. Nie miał też kociego charakteru. Jego charakter był jednoznacznie psim charakterem. Nie reagował na żadne kici-kici czy też inne kocie sygnały. Reagował za na gwizd i na swoje imię. Tak, jak każdy porządny pies. Był strasznym chuliganem, znanym nie tylko mieszkańcom ulicy Roosevelta, ale także całej okolicy. Od Ratusza, aż po rzeźnię na ulicy Traugutta. Znały go również i unikały wszystkie okoliczne psy i koty. Omijały go zawsze w bezpiecznej odległości, a na nasze podwórko nie ważył się wejść żaden z nich. Jeżeli już się jakiś przez przypadek zaśląkał, był on na pewno obcy, z dalszych okolic miasta, to otrzymywał od Czapajewa bolesną nauczkę i już wiedział, kto tu rządzi. Dotkliwie pogryziony (!), a nie podrapany, jakby to można było spodziewać się po kocie, zmiatał gdzie pieprz rośnie i więcej się w okolicy nie pokazywał.

Czapajew zawsze dał się przywołać po imieniu albo gwizdaniem, jak to prawdziwemu psu przystoi. Zawsze jednak wiedział, kiedy wołający chciał go złapać i ograniczyć mu z takich czy innych powodów jego wolność osobistą. Podchodził wówczas, ale miał się na baczności, by go nie złapać. Na kolana dał się wziąć tylko wtedy, gdy on miał na to ochotę.

Był jednak jeden sposób na złapanie Czapajewa. Był to sposób prosty, lecz w wielu przypadkach nie do zastosowania. Szczególnie w obecności osób obcych czy małych dzieci. Otóż, jak już wspominałem, Czapajew miał charakter psa, a nie kota. Tak też był przez nas traktowany. Nauczono go, nikt dzisiaj już nie pamięta, kto, kilku sztuczek typowych dla psa. Między innymi nauczono go prawidłowo reagować na komendę „do nogi”. Komenda ta musiała być wydana głośno, stanowczo i zdecydowanie. Trybem rozkazującym, jak każda komenda. Czapajew porzucał wówczas swoje zajęcia, i siadał w pozycji wyczekującej (na następne rozkazy) przy prawej nodze rozkazującego i można było go całkiem spokojnie złapać. Czyli zachowywał się jak dobrze wyszkolony pies policyjny. Problemem była jednak sama komenda. Nie brzmiała „do nogi” czy też „siad”, lecz całkiem inaczej...

Nastał czas, kiedy Czapajew zaczął się robić coraz szerszy. Wyglądał jak przydepnięty balon na czterech nogach. Babcia Turkowa, wówczas jeszcze Mama Turkowa stwierdziła, że pies, to znaczy kot, jest chory. Pewnie ma raka albo tasiemca. A być może coś jeszcze gorszego i trzeba zacząć go leczyć, bo niewątpliwie zdechnie. Należy z nim pójść do weterynarza. Ludzie, Turkowa zwariowała!!! Z kotem do weterynarza⁵¹ (!!) Zdziwienie, również, a raczej przede wszystkim w sąsiedztwie było ogromne... Wprawdzie były to już czasy nowoczesne i zwierzęta użytkowe prowadziło się czasem do lekarza. Ale zwierzęta użytkowe, które zasługiwały na lekarza to był koń albo krowa. No może czasami i świnia. Ale żeby kot!? To były w tamtych czasach czyste fanaberie! Koty i psy po prostu były i po jakimś czasie zdychały. Taka była kolej rzeczy i na tym koniec. A tutaj nagle kot do lekarza! Skaranie boskie z ta nowoczesnością! Babcia, czyli mama Turkowa, zapakowała Czapajewa pod pachę i poszła. Tak. Zgadza się. Pod pachę. Bo któż w tych czasach słyszał o przenośnych klatkach, czy koszykach do przenoszenia małych zwierząt. Klatki to były, ale do przewożenia świń albo hodowania królików. Krowę można było przywiązać za wozem i doprowadzić do weterynarza. A kto nie radził sobie z kotem pod pachą, mógł go wrzucić do worka i w ten sposób przenieść tam, gdzie chciał... Najczęściej, żeby utopić..., ale żeby do lekarza??? W głowie się ludziom przewracało... Mama Turkowa zapakowała kota Czapajewa pod pachę i poszła do weterynarza przy ulicy Rynkowej. Ponieważ kot, jak to psy mają w zwyczaju, uznawał mamę za przewodnika stada, więc pozwolił się spokojnie i bez większych problemów zanieść do lecznicy. Lekarz go zbadał i postawił diagnozę. Po badaniu i diagnozie mama wybrała się w drogę powrotną. Niestety, Czapajewowi znudziło się bycie posłusznym pieskiem czy też „kanapowym” kotkiem. Tuż po wyjściu z lecznicy skorzystał z chwili nieuwagi i wyskoczył mamie z ręki. Mama idzie w jednym kierunku, a kot w drugim. Mama go woła, kot podchodzi, ale nie daje się złapać. Przechodnie próbują pomóc, ale wszystkie ich kici-kici kot ma w serdecznym poważaniu. Czapajew nie reaguje, a tłum gapiów i chętnych do pomocy kobiecie rośnie. Mama Turkowa wie, co należałoby w tej sytuacji zrobić. Ale jak tutaj, wobec tłumy gapiów, w tym

⁵¹ W języku polskim używane są różne znaki przestankowe. W grupie znaków wyrażających emocje mamy wykrzyknik, wielokropek, myślnik i pytajnik. W moim odczuciu, do właściwego wyrażania emocji na piśmie, brakuje jeszcze jednego znaku. Dla moich potrzeb wymyśliłem go. Jest to zdziwiennik, który graficznie wyrazić można poprzez połączenie pytajnika z wykrzyknikiem:?!

zarówno ludzi starszych jak i dzieci wydać jedyną w tej sytuacji rozsądną komendę, na którą Czapajew na pewno zareaguje? Przecież komenda ta brzmi:

„Czapajew, ty sk...synu!!!”

Na całe szczęście tłum się po jakimś czasie znudził i zaczął rzednąć. Po jakimś czasie mama mogła wydać tą jedyną w tej sytuacji sensowną komendę i złapać kota.

Przygoda mamy z Czapajewem na stałe weszła do annałów rodzinnych opowieści, a kot od tego czasu zyskał ksywkę „Czapajka”. I to wcale nie z tej przyczyny, że nie chciał dać się złapać. Przyczyna zmiany imienia była bardziej prozaiczna. Weterynarz stwierdził, że Czapajew jest kotką i będzie niedługo rodzić. Dlatego zrobił się taki szeroki...

Dzieci, wnuki i prawnuki Czapajewa – Czapajki jeszcze długie lata mieszkały w naszym domu i zawsze nosiły sławne imiona zasłużonych komunistów jak np. Róża Luksemburg. Żadne z nich nie zdobyło jednak takiej sławy jak Czapajew i nigdy do naszego domu nie weszły takie kocie imiona jak Lenin albo Stalin.

Egzaminy.

Egzamin życia. Wyścig szczurów. Bracia D.

Każdy z nas musiał w swoim życiu zdać jakieś egzaminy. Różne egzaminy. Zarówno życiowe, jak i szkolne. Los również mnie w tym przypadku nie szczędził. Wręcz przeciwnie. Los zadbał o to, by moje życie było barwne, różnorodne i ciekawe. Zadbał też o, abym ciągle miał szansę na sprawdzenie moich umiejętności i nie szczędził mi możliwości do zdawania wszelkiego rodzaju egzaminów. O tych życiowych pisał nie będę. Te musi każdy z nas zdać indywidualnie i nie da się w tu nic odpowiedzieć. Te inne, czyli te „szkolne” czy „naukowe” też nie są proste, ale na pewno łatwiej je zdać, niż te pierwsze, a skutki ich niezaliczenia nie są aż tak tragiczne, jak tych pierwszych.

Zajmijmy się tym drugim rodzajem egzaminów. Jak już wspominałem, miałem ich w życiu sporo. Niemalże do starości musiałem się uczyć. Zmieniała się moja życiowa sytuacja, zmieniał się rodzaj pracy, rozwija się nauka, technika i otoczenie. Tak było, tak jest i tak będzie i pod tym względem nic się nie zmieni. Wręcz przeciwnie. Dzisiaj te zmiany dotyczą każdego z nas. Dotyczą nas coraz częściej i coraz bardziej. Szczególnie młodych. Kto chce w dzisiejszych czasach przetrwać i na jako takim poziomie żyć, musi się permanentnie uczyć. Ja załapałem się na sam początek epoki, która dzisiaj zwana jest „wyścigiem szczurów”⁵². W mojej młodości zjawisko to nie istniało. Wtedy każdy uczył się w młodości jakiegoś fachu i ten stanowił dla niego fundament, na którym budował życie. Nieważne, czy to był rzemieślnik, czy wysokiej klasy naukowiec. Mechanizm był ten

⁵²Wyścig szczurów to określenie pozbawionej sensu, bezwartościowej i niekończącej się pogoni (najczęściej wyczerpującego wysiłku współczesnych ludzi, dążących do osiągnięcia materialnego i zawodowego sukcesu). Określenie pochodzi od sposobu zachowania szczurów laboratoryjnych, biegnących bez końca w labiryntach lub w obracających się kołach i nieosiągających w ten sposób niczego, ani jako grupa, ani jako jednostka.

Absorbująca praca zawodowa (najczęściej dla pracodawcy i w zespole) jest często uważana za "wyścig szczurów", ponieważ rzadko jest właściwie doceniana i wynagradzana. Dla wielu pracodawców normą stało się ciągle podwyższanie wymagań wobec pracowników, aby zwiększyć wydajność pracy. Częstym zjawiskiem jest stres związany z pracą i niezapłacone godziny nadliczbowe. Wielu socjologów uważa, że czynności związane z pracą zarobkową (nie tylko sam czas pracy, lecz także czas konieczny na dojazd do i powrót z miejsca pracy) zajmują w życiu współczesnego mieszkańca krajów rozwiniętych tak dużą ilość czasu, że mało zostaje go dla rodziny (coraz mniej cenionej) oraz korzystania ze zdobyczy cywilizacji i wyższego poziomu życia. Faktem jest, że od połowy XIX w. Przeciętny mieszkaniec kraju uprzemysłowionego poświęca więcej czasu na działalność zarobkową niż we wcześniejszych epokach historycznych. Stąd wolne zawody są na ogół uznawane za bardziej satysfakcjonujące. Częstym zjawiskiem jest brak zadowolenia z pracy i ograniczona możliwość korzystania z jej rezultatów. (Źródło: Wikipedia)

sam: zdobyć zawód i potem pracować. Pracować za godziwą dla danego fachu zapłatę. To drugie, czyli godziwa zapłata, niestety nie zawsze, lub raczej bardzo rzadko wchodziła w rachubę. Niemniej, żyło się z tego, czego się człowiek w młodości nauczył. Dalsza nauka, jeżeli takowa się czasami zdarzyła, była jedynie pogłębianie umiejętności w raz zdobytym fachu.

Moje życie potoczyło się (niestety, albo całe szczęście) raczej po ruinach tych odwiecznych zasad. Stałem się ofiarą wyścigu szczurów, zanim ten termin wymyślono. Dotyczyło to, naturalnie, nie tylko mnie. Dotyczyło dużej części mojego pokolenia, które w pewnym momencie nie wiedziało, gdzie się znajduje i co ma dalej robić. Początek tego, do tej pory nieznanego zjawiska, nazwanego potem wyścigiem szczurów, był dla tego pokolenia główną z przyczyną wielu szybkich i spektakularnych sukcesów oraz wielu równie spektakularnych upadków. Niemniej prawdziwymi tego wyścigu ofiarami były tysiące przeciętnych ludzi, którzy pogubili się w tych zmianach i są dzisiaj tą przegraną życiową masą, o której nikt już nie pamięta. Stąd też w moim pokoleniu oprócz ludzi, którym udało się osiągnąć spektakularny sukces i dołączyć do tego wyścigu szczurów, jest tak wiele ludzi wykończonych, alkoholików, ludzi nieprzystosowanych do życia, często zwanych menełami, czy marginesem społecznym. Oni, tak jak prawie cała Banditenstrasse w Mrągowie, po prostu odpadli od nowego życia. Odpadli, bo stare sposób życia legło w gruzach, zaś nowego czy innego nie znali i nikt im nie pomógł do tej nowej, twardej rzeczywistości przeskoczyć. Wygodniej było uznać, że to tylko pijacy i menele i poczekać, aż problem sam się rozwiąże. Rozwiązał się. Banditenstrasse wymarła. W pełnym tego słowa znaczenia. Większość z mieszkańców tej dzielnicy nie doczekała pięćdziesiątki. Umierali często pijani i zniszczeni życiem na marginesie. Jednakże byli to niejednokrotnie ludzie bardzo inteligentni oraz bardzo⁵³ delikatni i głęboko przeżywający swoje niedobre życie i swoje życiowe porażki. Przykładem mogą tu być bracia D. Rysiek zwany na Banditenstrasse Grubym i Zdzisiek, zwany Badyłem. Wychowywali byli tak jak i wszyscy inni w tej dzielnicy, czyli wszechobecną w tych czasach metodą „zimnego wychowu cieląt”. Nie będę tej metody po raz kolejny opisywał. Szczegóły jej opisałem już winnych częściach odprysków.

Czy chłopcy, a raczej ich rodzice, mieli z nimi problemy wychowawcze? Oczywiście, że mieli. Takie same jak i inni rodzice z każdym z nas. Niestety, oni znaleźli mniej zrozumienia i tak obrońca młodszych kolegów, gołębiego serca Gruby zniknął kiedyś z naszej ulicy. Prawdopodobnie na wniosek własnego ojca, który sobie z nim nie radził albo chciał się pobyć problemu, trafił do poprawczaka. (Być może są to plotki - nie wiem.⁵⁴) Tam przeszedł odpowiednią „szkołę” i po powrocie był postrachem naszej dzielnicy. Nie wiem, dlaczego. Nigdy nikogo z nas nie skrzywdził. Wręcz przeciwnie. Ja pamiętam go, jako mojego obrońcę, który nigdy nie pozwolił, aby starsi chłopcy pastwili się nade mną. Powodów do pastwienia się mieli zaś sporo. Najważniejszym był fakt, że byłem strasznym ciamajdą, nie umiałem ani się bić ani się bronić. W tamtym światku, przekreślało mnie całkowicie. Tylko dzięki braciom D. i jeszcze kilku innym osobom klanów „Stachelaków”, Mielczarków czy też Wojtka Kuliny⁵⁵, którzy czasami wstawiali się za takimi jak ja, mogliśmy tam egzystować, a nawet w pewnym sensie należeć do wspólnoty Banditenstrasse.

⁵³Teraz parę osób mnie prawdopodobnie wyśmieje, bo to, co napiszę, w głowie im się nie mieści... JA jednak znam tych ludzi, ja się tam, między nimi wychowałem i wiem, o czym piszę!

⁵⁴Jestem jednak przekonany, że tak było. Takie się wtedy stosowało metody. Straszanie „jak się nie poprawisz, to cię oddam do poprawczaka” było wtedy na porządku dziennym i nieraz to słyszeliśmy. Nas tylko tak straszono, inni rodzice po prostu to robili.

⁵⁵ Wojtek rozpił się i zmarł w Niemczech jako uliczny menel. Opowiadała mi o tym po latach jego siostra.

Niestety, pobyt w poprawczaku nie wyszedł Grubemu na dobre. Uwierzył tam, że jest bandytą i przeszedł twardą szkołę. Potem zaczęła się seria odsiadek i dopiero po latach Gruby trochę się ustatkował. W tym czasie nie miałem z nim już żadnych kontaktów, ale Krysia, jego szwagierka opowiadała mi trochę o nim. O jego partnerce i jego miłości do niej. O śmierci partnerki i jego rozpacz po niej. Nie czuję się powołany do opisywania jego historii. Może zrobi to kiedyś Krysia D., albo jego brat Mirek? Jedno jednak muszę napisać: To był naprawdę człowiek o gołęmb sercu.

Wszystkie dobre rzeczy, które tu napisałem o Ryśku, mogę też napisać o jego bracie Ździśku, który wśród nas znany był, jako Badył. Dodatkowo był on podobnym ciamajdą jak ja i bardzo czytany. Pamiętam go tylko z książką w ręku. Wszędzie i w każdej sytuacji. Taki pozostał do końca. Mogło mu zabraknąć jedzenia, ale nigdy książki.

Daleko odbiegłem od tematu. Powróćmy do niego, czyli do egzaminów. Wspominałem już, że jako członek pokolenia zmian brałem udział w „wyścigu szczurów”, zanim to zjawisko określono i opisano. Korciły mnie czasem zachowania opisane później jako „Generacja X”, lecz wrodzone lub wpojone mi przez „zimny wychów” poczucie odpowiedzialności za samego siebie, nie pozwoliło mi pójść w tym kierunku. Alternatywą były „Dzieci kwiaty”⁵⁶. Ta filozofia pasowała mi jeszcze bardziej, lecz byłem zbyt tchórzliwy, by porzucić wszystkie utarte ścieżki i pójść na niewiadome. Do tak radykalnego kroku, jak skok w nieznane, dojrzałem znacznie później i zawdżęcam to wyłącznie Heni. Było to w roku dziewięćdziesiątym, kiedy zdecydowaliśmy się na ucieczkę⁵⁷ do Niemiec.

Jednakże w efekcie, to dopiero teraz uświadomiłem, że i ta pierwsza decyzja, czyli nieuczestniczenie w rewolucji dzieci kwiatów, jak i ta druga, czyli nowy początek w Niemczech, wymagały jednego - ciągłej nauki. Skutkiem tej ciągłej nauki są, jak to w życiu bywa, ciągle egzaminy. Zdałem ich sporo. Wykształciłem w sobie nawet pewne sposoby ich zdawania i stworzyłem swój własny katalog różnych szczególnych umiejętności, które niezbędne są, by zdać egzamin. Okazało się, że nie zawsze wiedza, a przynajmniej nie ta wiedza, którą sugeruje rodzaj egzaminu, jest najważniejsza...



Zdjęcie z 1966 roku. Jako trzeci siedzi Pan Nahorski, jako piąty ja. Za mną Zenek Pietkun z Mikołajek, mój kolega ze szkolnej ławki w pierwszej klasie technikum. Za nim chyba kolega Naruszko z klasy równoległej.

⁵⁶Ruch hippisowski, hippisi, dzieci kwiaty (ang. hippie,-s; to be hip – żyć na bieżąco, dniem dzisiejszym) – kontrkultura kontestacyjna II połowy lat 60. i początku lat 70. XX wieku. Była to rewolucja proklamująca bunt młodych przeciwko światu dorosłych (nie wierzenie nikomu po trzydziestce) i jego instytucjom: rodzinie, Kościołowi, szkole, zakładowi pracy, szefom, rywalizacji, pieniądzwowi, wojsku, wojnie, normom, przymusom, zakazom (zakazuje się zakazywać), hipokryzji, konwencji ubioru, własności prywatnej (życie w komunach). Przejaw kontrkultury odrzucającej normy społeczne oparte na konsumpcji, rywalizacji i materializmie. Instytucje i struktury, którym się sprzeciwiali, hippisi określali, jako establishment. Mimo akcentu tego ruchu na zwalczanie obowiązujących konwencji ubioru, sam także wykreował specyficzny gatunek mody. (Źródło: Wikipedia)

⁵⁷Dzisiaj brzmi to nieprawdopodobne, ale to prawda. W tamtym czasie była to jeszcze ucieczka!

Stop!!! To jednak nie tak. Wiedza jest najważniejsza!!! O nią tu w końcu chodzi. Jednakże udowodnienie, że się tę wiedzę posiadało, czyli zdanie egzaminu, nie zawsze jest, bez różnych dodatkowych umiejętności, proste. Jakie zatem umiejętności i cechy są w tym przypadku pomocne? Bardzo różne i bardzo wiele. Te, moim zdaniem cztery najważniejsze, postaram się opisać.

Po pierwsze: niezwykle pomocny w zdawaniu wszelkiego rodzaju egzaminów, nawet tych życiowych jest:

Przypadek, czyli zbieg okoliczności.

Przy jego pomocy udaje się czasami przejść przez egzamin tak zwanym „psim swędem”⁵⁸. Jako przykład przytoczę tu mój egzamin do szkoły średniej, czyli do Technikum Rachunkowości Rolnej w Karolewie w 1965 roku.

Wybrałem tę szkołę prawie całkowicie przypadkowo. W szkole podstawowej jedynym przedmiotem, który zawsze lubiłem i który nie sprawiał mi nigdy żadnych kłopotów była matematyka. Zawdzięczam to wspaniałej nauczycielce, pani Wysuwie, a szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczam fakt, że to właśnie ona mnie tej matematyki uczyła. Jej talentowi pedagogicznemu zawdzięczam natomiast, że dostrzegła ona we mnie talent matematyczny i za wszelką cenę, nawet mimo moich oporów i oślego uporu, starała się ten talent rozwijać. Swoją drogą ona była autorką najkrótszej charakterystyki, opisującej mnie, jako ucznia. Brzmiała ona: zdolny leń. Miała rację. Tak było. Lecz dzięki jej uporowi w nauczaniu matematyki i matematycznego myślenia, osiągnąłem niezły matematyczny poziom i dzięki niej wybrałem szkołę średnią, która okazała się placówką dla mnie doskonałą. Stosowane tam metod przewidywały, że kiedyś przyjdzie tam taki uparty osioł jak ja i trzeba będzie pokonać jego durny opór i jeszcze durniejsze podejście do życia. Szkoła ta była jedyną w swoim rodzaju doskonałą placówką, zarówno w znaczeniu „naukowym” jak i w zakresie przygotowania nas, młodych i głupich, pozbieranych z całej niemalże Polski dzikusów, do prawdziwego życia. Przychodziliśmy do tej szkoły, jako czternastoletni smarkacze, a wychodziliśmy z niej, jako dorośli, przygotowani do życia i samodzielnej pracy na najdalszych rubieżach kultury, czyli w PGR-ach, samodzielni ludzie. Placówka ta była szczególnie ważna dla takich młodych ludzi, jak ja. Na pół dzikich, prowadzonych dotąd metodą „zimnego wychowu” na kompletnej pedagogicznej pustyni.

Dzisiaj wiem, że tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, który postawił na mojej życiowej drodze zarówno panią Wysuwę, jak i Karolewską Szkołę, jestem tym, kim jestem. Dzisiaj jestem zarówno pani Wysuwie jak i wszystkim pedagogom z Karolewa głęboko wdzięczny za to, że starali się przełamać moje wrodzone lenistwo i zmusić mnie do nauki i do myślenia. Wtedy jednak nienawidziłem ich za to szczerze.

Wybór szkoły w Karolewie⁵⁹ to też kwestia szczęśliwego zbiegowi okoliczności i mojego kompletnego w tym czasie kretyństwa. Dzięki pani Wysuwie umiałem i lubiłem liczyć, a w nazwie szkoły było słowo „rachunkowość”, które kojarzyło mi się z rachowaniem, czyli liczeniem. To przeważało. Stwierdziłem, że jeżeli tam trzeba liczyć, to jest to szkoła dla mnie. Złożyłem papiery i zostałem zaproszony na egzaminy. Miały one trwać

⁵⁸Psim swędem - bez większego nakładu pracy, tanim kosztem, bez wysiłku, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, zaskakująco, nieoczekiwanie łatwo, nie wiadomo jak. (Źródło: <http://sciaga.pl/slowniki-tematyczne/>)

⁵⁹Technikum Rachunkowości Rolnej w Zespole Szkół Rolniczych w Karolewie.

dwa dni. Należało zdać egzamin z języka polskiego, matematyki i biologii. Jedynym warunkiem było przedstawienie przed egzaminem świadectwa ukończenia siódmej klasy. Ponieważ świadectwa te otrzymywaliśmy dopiero kilka dni przed egzaminami wstępnymi, należało zabrać je ze sobą na egzamin, bo pocztą prawdopodobnie nie zdążyłyby dojść.

W tym miejscu warto podsumować moje przygotowanie do tego ważnego wydarzenia, jakim były moje pierwsze w życiu egzaminy: Matematyka? Bardzo dobrze. Byłem pewny, że ten egzamin zdam bez trudu. Język polski? Gorzej. Dużo gorzej. Gorzej już być nie może.... Przepraszam, może! Biologia może. Niestety...

Jeżeli chodzi o język polski, to mogłyby mi pomóc przeczytane książki. Czytałem wówczas bardzo dużo. Dużo, ale niekoniecznie to, co powinienem. Niestety, w moim życiu nie było wtedy żadnego guru, który pomógłby kształtować moje literackie gusta. Czytałem wszystko, co mi wpadło w rękę. Za wyjątkiem lektur. Jeżeli trafiłem na ciekawą książkę, to potrafiłem czytać całą noc, a potem, w szkole, na lekcjach odsypiać. Najczęściej na biologii albo fizyce. Cóż jednak z tego, że czytałem, kiedy nie jednak umiałem pisać... Naturalnie litery znałem i pisać potrafiłem, ale skleić jakikolwiek własny tekst, to była dla mnie w tym czasie ekwilibrystyka wyższego stopnia. Pisanie własnym tekstem przekraczało całkowicie moje umiejętności. Skleić trzy zdania na papierze, to była katorga. Pyszczyć, czyli gadać, to i owszem, zdarzało mi się. Nawet kłótnie z nauczycielami należały, i owszem, do mojego repertuaru... Jednakże przenieść to na papier... Nie ... to nie była taka prosta sprawa.

O biologii nie będę tu, przez szacunek dla moich nauczycieli⁶⁰ z podstawówki, wspominał. Totalna porażka w 150 procentach...

Można by powiedzieć, że mam jeden plus (matematyka), jeden bardzo pewny minus (biologia) i jeden minus z niewielkim światełkiem w tunelu (język polski). Tylko nikt nie wie, czy te światełko, to nie jest nadjeżdżająca z naprzeciwka lokomotywa...

Sytuacja wyjściowa to dwa minusy i jeden plus. Całkiem niezłe, jak na początek. Niestety, całe życie miałem wyjątkowe zdolności w przysparzaniu sobie kłopotów. Szybko dopisałem sobie jeszcze jeden minus. Było to wspomniane już świadectwo ukończenia siódmej klasy. Jednak wcale tu nie chodzi o oceny, na które i tak lepiej spuścić zasłonę milczenia, lecz o fakt, że **NIE ZABRAŁEM GO NA EGZAMIN!!!**

Nadeszły dni egzaminów. Nie było innego wyjścia. Pojechałem. Byłem chyba jedynym uczniem, który przyjechał na egzaminy do szkoły średniej sam. Inni byli tu z rodzicami, z rodzeństwem, czy też z innymi wspierającymi ich w tych trudnych dniach, osobami. Tylko ja byłem tam, zgodnie z zasadami „zimnego chowu cieląt”, sam jak palec. W dodatku nie miałem zbyt dużo gotówki, więc od Kętrzyna do Karolewa dyrałem na piechotę, bo na taksówkę nie było mnie stać. Innych środków lokomocji na tej trasie nie było. Czerwone autobusy wprowadzono wiele lat później. Dobrze, że rok wcześniej Basia była na koloniach letnich w Kruszewcu⁶¹ i odwiedziliśmy ja tam wówczas z mamą, więc wiedziałem gdzie to całe nieszczęsne Karolewo się znajduje. Inaczej, może bym tam nie trafił...

Już na miejscu okazało się, że zapomniałem zabrać ze sobą świadectwa ukończenia siódmej klasy. Fakt ten spowodował, że już na wstępie byłem przekonany, że nic z tego nie będzie. Przecież świadectwo było warunkiem dopuszczenia do egzaminów... Postanowiłem jednak zaryzykować. Jak zwykle dopomógł mi szczęśliwy przypadek, który w tej,

⁶⁰Biologię uczył mnie w podstawówce pan Tułodziecki. Niektórzy żartowali sobie ze mnie, że przedmiot ten zaliczyłem zaocznie, czyli nauczyciel mnie przepuścił, bo nie chciał mnie więcej widzieć na oczy... Chyba coś w tym było.

⁶¹Wieś między Kętrzynem a Karolewem

decydującej o moich dalszych losach chwili, postawił na mojej drodze wspaniałego człowieka, Michała Nahorskiego⁶².

Było to tak: Po szkole biegł jakiś gruby pan, posturą przypominający mojego tatę. Tak na moje oko musiał on być kimś bardzo ważnym, ponieważ był w ciągłym ruchu,



Zdjęcie z tradycyjnego w Karolewie „Balu Gałganiarzy” w 1967 roku. Od lewej: Danka Bogdanowicz, Pani Profesor Aleksandra Kuźys, moja wychowawczyni i ja przebrany za dziewczynę. Drugiej koleżanki nie pamiętam.

ciągle na kogoś krzyczał, na wszystkim się znał, o wszystkim wiedział i umiał odpowiedzieć na każde pytanie zadawane przez grupę przestraszonych kandydatów do technikum. Co chwila ktoś się go o coś pytał, a on znał odpowiedzi na wszystkie te pytania. W tym tłumie i zgiełku wyglądało to niesamowicie. Mimo wszystkich jego krzyków i rozstawiania wszystkich po kątach, wydał mi się sympatyczny. Postanowiłem zaryzykować. Raz kozie śmierć!

Kiedy Dyro, jak go potem nazywaliśmy, po raz kolejny zbiegał ze schodów podszedłem do niego i przedstawiłem mu problem:

- Proszę pana, przyjechałem na egzaminy, ale nie zabrałem ze sobą świadectwa. Mogę je jednak jutro przywieźć... - dodałem szybko, sam dziwiąc się swojej śmiałości.

On, czyli, jak się potem okazało, sam wszechwładny dyrektor Technikum Rachunkowości Rolnej, pan Michał Nahorski, po raz pierwszy chyba w swoim życiu zaniemówił... Zatrzymał się, przerwał swój nieustanny bieg i ciągnął walkę z problemami. Popatrzył na mnie badawczo, zmarszczył brwi i przez krótką chwilę, która wydawała mi się wiecznością, milczał... Pewnie myślał, co tu zrobić z takim bezczelnym szczeniakiem, który śmie go oderwać od tak ważnych zajęć..., jeżeli nawet tak nie myślał, to ja tak próbowałem natychmiast zapaść się pod ziemię. Niestety, to zapadanie się nie mi wyszło, a Dyrektor po dłuższej chwili odzywał głos... Ten głośny i groźny pan odezwał się do mnie wyciszonym, ciepłym i przyjaznym głosem:

- No i czego tu jeszcze stoisz? Goń do klasy, bo za chwilę zaczyna się egzamin z języka polskiego. Jak się spóźnisz, to i ja ci nie pomogę.

Zdębiałem i stałem jak posąg. Popatrzył na mnie raz jeszcze i swoim już normalnym głosem powiedział:

- No i czego tu jeszcze stoisz! Chcesz się spóźnić? A jak jutro nie zobaczę tego świadectwa, to mnie popamiętasz ruski miesiąc!!! – Dobiegło do mnie jeszcze, kiedy wbiegałem do klasy.

⁶²Michał Nahorski (ur. 15 września 1922 r. w Ciesnowej, zm. 10 marca 1980 r.) – nauczyciel. Absolwent gimnazjum (1939 r.), Liceum Pedagogicznego w Lidzbarku Warmińskim (1950 r.). Ukończył studia administracyjne na UMK w Toruniu (1966 r.) oraz studia rolnicze w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie (magisterium 1970 r.). Pracował jako dyrektor i z-ca dyrektora w Technikum Ekonomiki i Rachunkowości Gospodarstw Rolnych w Karolewie (1956-1966) oraz Zespole Szkół Rolniczych w Karolewie (1966-1980), gdzie nauczał prawa, geografii i ekonomii. Za swoją działalność otrzymał m.in. Złoty Krzyż Zasługi, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznakę Honorową Zasłużonym dla Warmii i Mazur. Źródło: <http://encyklopedia.warmia.mazury.pl/>

Sam egzamin z języka polskiego, mówiąc ogólnie, nie był moim sukcesem. Nie było też żadnych niespodzianek. Wydusiłem z siebie jakieś kilka, byle jakich zdań. Niecałe pół kartki „rękopisu”. Do tego jeszcze dwa czy też trzy klekсы i praktycznie nieczytelny charakter pisma. Klęska!!! Takiego ucznia sam bym przegrał na cztery wiatry.

Na szczęście nie miałem specjalnie czasu na rozpamiętywanie moich wątpliwych sukcesów, bo za chwilę zaczął się egzamin z matematyki. Piszę „na szczęście”, bowiem na tym egzaminie mogłem się pochwalić autentycznym matematycznym talentem. Poza tym, przewodniczącym tej komisji egzaminacyjnej był, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pan Nahorski. Dyrektor szkoły i wtedy, już od dwóch godzin, mój ulubiony nauczyciel. Pozostał nim (tym ulubionym nauczycielem) do końca mojej kariery w Karolewie i jest nim do dzisiaj. Potem, już po szkole cieszyłem się jego przyjaźnią, i jestem z tego do dzisiaj bardzo dumny.

Do klasy, w której odbywał się egzamin, wszedłem bez najmniejszego stresu. Tak też pozostało do końca egzaminu, czyli całe 12 minut. Tyle czasu na przepisanie zadań z tablicy i zapisanie przy nich wyniku, który w czasie przepisywania zadania wyliczyłem w pamięci. Dokładnie tak, jak nauczyłem się tego u pani Wysuwy. Cicho, spokojnie i bez nerwów.

Wróćmy jednak do tych 12 minut, które zadecydowały o całym moim dalszym życiu. Do klasy wszedł dyrektor Nahorski i zapisał zadania na tablicy. Rozdał nam kartki i powiedział:

- No, orły, proszę przepisać zadania z tablicy, rozwiązać je i oddać. Kto ma pytania, proszę pytać teraz, aby potem nie przeszkadzać innym. Kto skończy, odda mi kartkę i wychodzi z klasy. Teraz proszę o ciszę i do pracy! Życzę powodzenia.

Kiedy po chwili podchodziłem do niego z kartką, popatrzył na mnie badawczo, zmarszczył brwi i powiedział:

- Chłopcze, spróbuj, może jednak uda ci się coś rozwiązać. - Był wyraźnie przekonany, że poddałem się walkowerem.

- Ja nie muszę próbować. Wszystko rozwiązałem. - Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- To może jeszcze sprawdzisz. - Widać było, że za wszelką cenę chce mnie przekonać, abym jednak się nie poddawał i zdał ten egzamin.

- Ja już sprawdziłem. - Tyle bezczelności na raz, to chyba do tej pory nie widział. Patrzył na mnie badawczo przez kilka sekund i powiedział:

- Jeśli tak chcesz, to dobrze, ale w 12 minut⁶³ jeszcze nikt nie zdał w tej szkole egzaminu wstępnego... - Wtedy dopiero popatrzył na moją kartkę. Mina mu zrzedła. Popatrzył raz jeszcze. Tym razem widać było, że jeszcze raz w pamięci sprawdza wyniki. Spytał:

- Skąd masz te wyniki?

- Wyliczyłem.

- Jak? Przecież na tej kartce nie ma żadnych obliczeń.

- Jak to jak. - W tym momencie stawałem się może trochę bezczelny, ale matematyki uczyła mnie Pani Wysuwa. To zobowiązuje!

- Normalnie. W pamięci. - Moja bezczelność powaliła go, a ja wznosiłem w duchu modły dziękczynne do Pani Wysuwy, za jej mądrość.

- No to pokaż mi, jak to liczyłeś. - Powiedział Dyrektor i wskazał mi jedno z zadań.

⁶³Stąd wiem, jak długo trwał egzamin. Dyr. Nahorski sprawdził to, kiedy zobaczył takiego upartego smarkacza, a ja zapamiętałem tą scenkę na całe życie.

-To... pokazałem palcem jakąś liczbę, ... podzielić przez to, a potem ... i tak dalej... i tak dalej... - tłumaczyłem moją, a właściwie nie moją, tylko pani Wysuwę, technikę liczenia w pamięci.

Długo mógłbym jeszcze opisywać rozmowę, którą miałem z Dyrektorem tuż po egzaminie. Mógłbym też szczegółowo opisać drugi dzień egzaminów, lecz to nie wniosłoby nic do tematu. Wspomnę tylko, że wtedy to poznałem wspaniałego polonistę, pana Stanisława Staszkiela i odbyłem z nim długą rozmowę o książkach. Początkowo chciałem w tym miejscu użyć sformułowania „o literaturze”. To byłaby jednakże zbyt duża przesada. Byłem w tym czasie dzikim chłopakiem z buszu, który czytał bardzo dużo książek. Co to jest literatura nauczył mnie dopiero później pan Staszkiel. Mimo tej mojej „dzikości z buszu” zauważył on we mnie już wtedy potencjał, który dopiero kiełkował i należało go najpierw rozwijać. On nauczył mnie nie tylko czytać literaturę, lecz także pisać własnym tekstem.

Egzamin do szkoły średniej zdałem. Zdałem, lecz nie wiedzą, którą powinienem był się wykazać, lecz talentem do matematyki i uporem pani Wysuwę, mojej matematyczki, która nawet wbrew mnie postanowiła ten drzemiący we mnie talent rozwijać. Naturalnie dobra rozmowa o książkach też mi pomogła, lecz najważniejszy był tu szczęśliwy przypadek, który postawił na mojej drodze wspaniałego człowieka, jakim był Michał Nahorski. On, czyli pan Nahorski, umożliwił mi podejście do egzaminu z matematyki i on prawdopodobnie potem zwrócił uwagę pana Staszkiela, by mimo mojej strasznej wpadki na egzaminie pisemnym, porozmawiał ze mną raz jeszcze. Wszystko inne nie ma tu najmniejszego znaczenia. To był tylko szczęśliwy przypadek, który miał ogromny wpływ na moje całe życie. Dzięki niemu dostałem się do Karolewa, a tam spotkałem wielu ludzi, którzy mieli ogromny wpływ na moje dalsze losy i na wiele moich życiowych wyborów i to nawet wiele, wiele lat po opuszczeniu tej szkoły.

Poza wspomnianym tu już panem Michałem Nahorskim, czy panem Staszkiem, ważnymi osobami byli jeszcze: Moja wychowawczyni, Pani Aleksandra Kużys, która potrafiła dzikusa z lasu powoli oswoić i wprowadzić na ścieżki cywilizacji. Ona też była cichym kibicem i pilotem (tu zabrakło mi właściwego słowa. Chciałem użyć niemieckiego słowa Begleiter, niestety tłumacz google przetłumaczył mi to na język polski, jako akompaniator... Niestety, nie o to tu chodzi) mojej pierwszej wielkiej miłości. Wybuchła ona (ta miłość) nagle i niespodziewanie i nie bardzo wiedziałem, co z tym zrobić. Pani Kużys swoimi inteligentnymi żartami i delikatnym pokpiwaniem ze mnie potrafiła wszystko to „utrzymać w ryzach” i jednocześnie mną w tym czasie tak pokierować, że nie ucierpiała na tym nauka, ani ja, a kiedy przyszło to, co nieuniknione, czyli wielkie rozstanie po wielkiej miłości, dzięki otrzymanym w ten niekonwencjonalny sposób naukom było ono dla mnie ogromną tragedią, ale całkiem nieźle je przetrwałem.

Naturalnie w tamtym czasie szczerze nienawidziłem moją wychowawczynię ze jej wtrącanie się w sprawy, które, moim ówczesnym zdaniem, nic jej nie obchodziły. Dzisiaj wiem, że Ona dała mi wtedy oparcie i życiowe nauki, które w normalnych warunkach dostaje się w domu. W moim domu, niestety, nie miałem na to szans... Już po odejściu z Karolewa rozmawiałem z nią kilka razy. Bardzo lubiłem te rozmowy, a z dawnej, szczerzej nienawiści nie było wtedy już śladu. Nigdy, niestety jej nie podziękowałem, a szkoda...

Pani Zofia Skrzyniarz nasza historyczka była osobą, której bali się „wszyscy”. To znaczy wszyscy uczniowie. Może nie tyle jej, co jej często bardzo złośliwych, lecz zawsze bardzo trafnych uwag. Też się jej bałem, lecz mimo to bardzo lubiłem jej wykłady, bo miała



Karolewo 1967. Zdjęcie z niedzielnego spaceru (prawdopodobnie nad Gubrem).

dar niezwykle ciekawego opowiadania. Mimo że zawsze słuchałem jej z zainteresowaniem, nigdy z nauką tego przedmiotu nie przesadzałem. Słuchałem wykładów, z przyjemnością czytałem historyczne książki i to musiało wystarczyć. Znaczący nie byłem asem w dziedzinie „szkolnego” widzenia historii. Czasami nawet do przeciętności było mi daleko. Jednak, jak się kiedyś okazało, pani Skrzyniarz⁶⁴, mimo wszystko bardzo mnie ceniła, jako ucznia. Dowiedziałem się tego przez przypadek. Z jej ust padł, mimo braku z mojej strony jakiegokolwiek aktywności, która by to

usprawiedliwiła (zawsze byłem u niej średnio – trójkowym uczniem), najwyższy komplement, jaki może uczeń usłyszeć w szkole.

Któregoś razu tak sromotnie podpadłem, że postanowiono usunąć mnie ze szkoły. Odbyła na ten temat Rada Pedagogiczna, na której przedstawiono wiele argumentów przemawiających za tą ważną decyzją. Pani Skrzyniarz spokojnie wysłuchiwała wszystkich argumentów i krótko podsumowała całą dyskusję: „A do koga ja będę w tej klasie mówiła?” To przeważało. Zostałem w szkole, mimo bardzo poważnego przewinienia. O przebiegu tego spotkania Rady dowiedziałem się kilka lat później i nigdy nie miałem okazji podziękować pani Profesor za to, co dla mnie zrobiła. Szkoda...

Wspomnę tu jeszcze Pana Fabiańskiego i Panią Gabryś, którzy to pomimo moich oporów nauczyli mnie księgowości, czyli mojem prawdziwego zawodu. Do końca mojej zawodowej aktywności, a nawet teraz, kiedy jestem już emerytem i tylko dorabiam, jako, można by powiedzieć, rodzaj eksperta, w pełni korzystam z nabytych od nich umiejętności. Dziękuję Wam...

Pan Zenon Werner, lub lepiej druh harcmistrz Werner uczył mnie mechanizacji rolnictwa. W tym fachu nie odniósł w stosunku do mnie zbyt wielkich sukcesów. On jednak

⁶⁴Zofia Skrzyniarz urodziła się 19 stycznia 1926 r. w W 1954 roku rozpoczęła pracę w szkole w Karolewie. Podczas swojej pracy zawodowej w Karolewie nauczała historii, geografii oraz wiedzy o społeczeństwie, była także wychowawczynią internatu. W swojej pracy była wielokrotnie nagradzana za wzorową pracę pedagogiczno-wychowawczą. Za osiągnięcia w pracy nauczycielskiej otrzymała nagrodę pierwszego stopnia, przyznaną przez Ministra Oświaty i Wychowania (1980), Srebrną Odznakę Honorową „Zasłużonym dla Warmii i Mazur” (1965) oraz medal „Za zasługi dla oświaty województwa olsztyńskiego” przyznany przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Olsztynie. Została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi za nienaganną pracę pedagogiczną (1975) oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1982.). W 1983 roku Zofia Skrzyniarz odeszła na emeryturę (Źródło: <http://karolewo.fc.pl/>)

wciągnął mnie do harcerstwa, co przedłużyło na ponad 25 lat moją aktywną tam przynależność. Zostałem instruktorem harcerskim, organizowałem wiele kolonii wuchowych i obozów. To druh Werner zabrał mnie w 1966 roku na mój pierwszy spływ kajakowy. Było to na Krutyni. Od tego czasu pływałem tam wielokrotnie i zorganizowałem wiele spływów. Zostałem przewodnikiem turystyki kajakowej. Zamiłowanie do kajaków odziedziczył po mnie Marcin. Jak to w życiu bywa, właśnie na spływie Krutynią poznał swoją żonę Anię. Jest to dowód na to, że przypadkowe spotkania mogą zmienić nie tylko bieg życia pojedynczych ludzi, ale również pokoleń.



Karolewo 1967. Po prawej Zosia Gackiewicz Czterdzieści lat później doniesiono mi, że Zosia kochała się we mnie... A ja, cymbał, nic o tym nie wiedziałem...

Chciałbym tu jeszcze wspomnieć jeszcze kilku innych, napotkanych w Karolewie, którzy nie bez znaczenia wpłynęli na moje dalsze losy. Był między nimi pan Paweł Abramowicz, mój profesor, który nauczył mnie chemii i zaufania do ludzi. Niestety bardzo szybko odszedł z Karolewa. Potem, po latach poznałem jeszcze jego mamę⁶⁵, ale jego nigdy już nie miałem okazji wspomniane już spotkać.

Wróćmy jednak do tematu. O zdaniu egzaminu, decydują różne czynniki. Po pierwsze: niezwykle pomocny w zdawaniu wszelkiego rodzaju egzaminów, nawet tych życiowych, jest opisany wyżej szczęśliwy przypadek. Po drugie: niez-

Łut szczęścia⁶⁶.

Tu nie ma pomyłki. Przy pomocy łuta szczęścia udaje się czasami przejść przez egzamin tak zwanym „psim śwędem⁶⁷”. Nie tylko przez egzaminy „szkolne”, ale od czasu do czasu także te życiowe. Łut szczęścia poparty pracą potrafi nie tylko „przeszmuglować” nas gdzieś dalej, lecz potrafi zdziałać niemalże cuda, Chciałbym tu, jako przykład, przytoczyć mój egzamin z mechanizacji rolnictwa.

Wykładany przez, skądinąd lubianego przeze mnie profesora Wenera, przedmiot nie interesował mnie zupełnie. Był największym złem koniecznym, jakie mogło mi się na tym etapie nauki przydarzyć. Znaczyło to, że zamiast przygotowywać się do egzaminu, czytałem jakąś interesującą książkę, lub zajmowałem się innymi równie interesującymi sprawami, niemającymi naturalnie najmniejszego powiązania z mechanizacją rolnictwa. Czas przed egzaminem upływał mi przyjemnie i żadne myśli o egzaminie nie były w stanie

⁶⁵Pr o t o k ó ł Nr XXVI/12 z XXVI sesji Rady Miejskiej w Kętrzynie w dniu 26 stycznia 2012r. w godz.1600 –2000 - w Sali Nr 108 Urzędu Miasta w Kętrzynie.

Ad. pkt 3 Przewodnicząca Rady Halina Piasecka oraz Zastępca Burmistrza Miasta Andrzej Degórski wręczyli na Panom Piotrowi Abramowiczowi i Pawłowi Abramowiczowi tytuł „Zasłużony dla Miasta Kętrzyna” nadany pośmiertnie ich matce śp. Marii Abramowicz w uznaniu jej zasług.. Panowie Piotr i Paweł Abramowiczowie podziękowali przede wszystkim wnioskodawcom nadania tytułu ich matce oraz podziękowali Radzie Miejskiej za nadanie tego tytułu.

⁶⁶Łut szczęścia - Odrobina szczęścia jako konieczny warunek powodzenia, odrobina szczęścia gwarantująca powodzenie czegoś; łut – dawna jednostka wagi, 1/32 funta = 12,8 g (Źródło: <http://sciaga.pl/slowniki-tematyczne/>)

⁶⁷Psim śwędem - bez większego nakładu pracy, taniem kosztem, bez wysiłku, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, zaskakująco, nieoczekiwanie łatwo, nie wiadomo jak. (Źródło: <http://sciaga.pl/slowniki-tematyczne/>)

przerwać tego błogostanu. Aż przyszedł dzień „X”. Byłem pewny, że polegę. Mimo wszystko na egzaminie trzeba było się pojawić, by nie zmarnować szansy na egzamin poprawkowy. Pojawiłem się więc, tak jak tego wymagał zdrowy rozsądek. Rozpoczęcie egzaminu przeciągało się jednak, więc staliśmy pod drzwiami i czekaliśmy, co będzie dalej. Jedni wkuwali, inni stali tylko i patrzyli z przerażeniem w oczach na drzwi sali egzaminacyjnej, a jeszcze inni, tacy jak ja, którzy nie mieli nic do stracenia, kręcili się tu i tam i opowiadali głupoty, próbując rozbawić przerażone towarzystwo. Im przecież nic nie groziło. Oni ten egzamin już spisali na starty, więc czego tu się bać. Jeżeli się coś wydarzy, to może być już tylko lepiej. Taka filozofia pomaga wprawdzie przetrwać czas egzaminu bez zawału spowodowanego strachem, ale nie załatwia sprawy, czyli egzaminu. Ponieważ ja też należałem do wyznawców tej wygodnej idei, opowiadałem głupoty by wyprowadzić towarzystwo oczekujące na egzamin z apatii i przerażenia. W pewnym momencie zauważyłem leżący na parapecie zeszyt z notatkami z mechanizacji. Dla żartu otworzyłem go w zupełnie przypadkowym miejscu i zacząłem głośno czytać, małpując dla żartu dawno już zapomniane przemówienia wodza Gomółki. Przeczytałem chyba pięć albo sześć stron, kiedy otworzyły się drzwi sali egzaminacyjnej. W otwartych drzwiach pojawił się Profesor Werner⁶⁸ i zaprosił mnie w pierwszej kolejności na egzamin. Pewnie chciał się pozbyć tego, który wprowadzał zamęt na korytarzu.

Nie wiem, czy profesor słyszał przez drzwi, co ja czytałem, czy podobał mu się mój talent aktorski, czy też miałem wówczas niesamowite szczęście. Niezbadane są wyroki boskie, ale odpowiadałem na wszystkie trzy pytania jak komentator sportowy w radio. Bez pomyłki, bez zająknięcia i ze znajomością tematu. Dlaczego? Skąd ta moja nagła przemiana? Skąd moja wiedza? Odpowiedź jest prosta: To łut szczęścia uratował mój tyłek. Odpowiedzi na wszystkie trzy pytania mieściły się w notatkach, które zdążyłem przeczytać i zinterpretować, jako „Towarzysz Wiesław” tuż przed egzaminem. Gdyby padło czwarte pytanie, padłbym i ja, bo cała moja „nacytana” przed egzaminem wiedza została zużyta na odpowiedź na trzy pierwsze pytania. Na moje szczęście czwarte pytanie nie było.

Mimo tego, że odpowiadałem na pytania jak telewizyjny komentator bez pomyłki, bez zająknięcia i ze znajomością tematu, profesor Werner postawił mi tylko ocenę dostateczną, czyli dużo gorszą, niż wynikałoby to z moich odpowiedzi, ale duuuużo lepszą, niż wynikałoby to z poziomu mojej rzeczywistej wiedzy. Uważałem wówczas, że pobieżna wiedza o mechanizacji na ogół ekonomicznej rolnemu wystarcza, a egzamin miałem zaliczony. Łut szczęścia i niezmierną mądrość profesora Wenera pozwoliła mi przejść przez ten egzamin bezstresowo. Czasami jednak myślę sobie, że być może profesor Werner był, tak jak ja, fanatykiem teatru i kabaretu? Tego nie dowiem się już nigdy, a Profesor zostanie na zawsze w mojej wdzięcznej pamięci. I to nie tylko z powodu tego egzaminu. Profesor Wener był też szczepowym szczepu harcerek w Karolewie i wciągnął mnie do harcerstwa, co miało ogromny wpływ na moje dalsze życie. Tak to łut szczęścia może decydować nie tylko o egzaminie, ale też o życiu całych pokoleń...

Wróćmy do tematu. Wspominałem już, że zdanie egzaminu, nie zawsze jest proste. Decydują o tym różne czynniki. Po pierwsze; szczęśliwy przypadek. Po drugie: szczęście, a po trzecie: do zaliczenia egzaminu niezbędna jest:

⁶⁸Zenon Werner. Całe życie zawodowe związany był ze szkołą rolniczą w Karolewie. Tu był nauczycielem, długoletnim kierownikiem internatu, tu założył szereg harcerek. Sam prowadził drużynę żeglarską, z której wyszło wielu wilków morskich i do dzisiaj rozslawiają dobre imię Polski na morzach i oceanach świata. W swojej pracy był wytrwały i niezmordowany. Robił to dla młodzieży i szkoły społecznie za darmo nie licząc czasu. W ciągu służby instruktorskiej przeprowadził ok. 80 obozów harcerek. Zmarł w wieku 81 lat w dniu 24 września 2012. (Źródło: <http://karolewo.fc.pl/>)

Inteligencja.

O tym, że inteligencja pomaga w zdawaniu egzaminów, przekonał mnie niezapomniany profesor Masłowski, wykładowca statystyki. O tym, że trudno się przy okazji obyć bez pewnej dozy beczelności, przekonało mnie życie. Jakże inaczej można nazwać fakt maskowania swojej niewiedzy inteligencją. Prawdą jest, że udało mi się wspomniany egzamin zdać, nie udało mi się jednak zamaskować mojej niewiedzy przed Profesorem. Odkrył to natychmiast i dostałem od niego nauczkę na resztę mojego życia. Było to tak: Profes

profesor przyjmował egzaminowanych zbiorowo, po trzy osoby jednocześnie. Odpytywał ich taśmowo. To znaczy, że na pytanie, na które nie odpowiedział zapytany, odpowiadał następny z trójki. Jeżeli i temu się nie powiodło, pytanie przechodziło na następnego. Na ogół, jeżeli egzaminowany nie znał całej odpowiedzi, to próbował coś tam wydukać. W ten sposób pomagał następnemu, który mentalnie już przygotowywał się do odpowiedzi. Jeżeli ten drugi też nie dał rady, trzeci z kolei miał już sporo odpowiedzi od poprzedników. Trzeba było jednak uważać, bo mogły to być odpowiedzi kompletnie nieprawidłowe. Wychodząc jednak z założenia, że każdy poprzednik próbował, chociaż trochę się do egzaminu przygotować, to ten trzeci, zakładając, że umie korzystać z inteligencji, miał największe szanse na prawidłową odpowiedź.

Wspominany już trójkowy system profesora Masłowskiego okazał się podstawą mojego egzaminu. Podczas sesji egzaminacyjnej spotkałem koleżankę i kolegę, którzy czekali pod drzwiami

gabinetu Profesora na egzamin. Umówiony termin egzaminu mieli za pięć minut, a trzeci kandydat nie przyszedł. Nie wiadomo (albo i wiadomo...), dlaczego. Martwili się bardzo, że całe ich przygotowanie pójdzie na marne, bo Profesor ich nie przyjmie. Ponieważ z poprawkami u Profesora problemów nigdy nie było, postanowiłem pomóc przerażonym kuzynom i pójść z nimi, jako ten niezbędny trzeci. Kalkulacja była prosta: Ponieważ oni wkuwali całą noc, więc egzamin mają „w kieszeni”, byle tylko mogli do niego przystąpić. Ja z kolei nic nie tracę. Profesor mnie obleje i zgłoszę się jeszcze raz, tak jak to już wcześniej sobie zaplanowałem.

Weszliśmy. Profesor przywitał się i wskazał krzeselka. Przypadło mi w udziale to trzecie krzeselko, czyli, to premiowane wiedzą poprzedników. Pierwsze pytanie, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, dotarło do mnie, i było, jak to już wspominałem „przemielone wiedzą obojga poprzedników”. W ruch poszła cała dostępna mi inteligencja plus resztki wiedzy i udało mi się poskładać całkiem zgrabną, moim zdaniem (zdanie profesora nie było chyba dokładnie takie jak moje), i trafną, odpowiedź. Tak też leciało dalej. Aż do końca egzaminu. Moich komilitonów zjadł strach. Uczyli się całą noc, ale nie po to by zrozumieć sedno statystyki, lecz by zdać egzamin i zapomnieć. To ich zgubiło. Jedynym dobrym tej nauki skutkiem był fakt, że ich nieudolne próby przypomnienia sobie czegokolwiek, podpowiadały mi, o co tu chodzi.



Karolewo 1967. Moje zdjęcie z tamtych czasów.
(W mundurku harcerskim)

Po egzaminie profesor zaprosił moją koleżankę i mojego kolegę na egzamin poprawkowy, a mi wręczył indeks z zaliczeniem na „trzy na szynach”. Potem wyjął z teczek podręcznik, podszedł do mnie, wręczył mi go, i powiedział: „Pan, panie Turek, zdał. Na trzy z dwoma minusami, ale zdał. Nie jest to jednak ocena za wiedzę, ale za inteligentne zdawanie egzaminu. Wykazał Pan, że jest pan w stanie pojąć sedno statystyki, a reszta jeszcze przyjdzie. Ten podręcznik wręczam panu na pamiątkę dzisiejszego dnia. Po pierwsze, by Pan zobaczył, jak taki podręcznik wygląda, bo z pewnością nigdy go pan jeszcze nie widział. Po drugie, we właściwej chwili skorzysta Pan z niego. Po dzisiejszym egzaminie nie mam najmniejszych wątpliwości, że będzie Pan potrafił z zawartej w nim wiedzy skorzystać.”

Kochany Panie Profesorze. Miał Pan rację. Korzystałem z tego podręcznika wielokrotnie, bo meandry życia zawodowego zawiodły mnie w takie miejsca, gdzie statystyka była niezbędna. Korzystałem ze zdobytej od Pana wiedzy całymi garściami. Podarowany mi przez Pana podręcznik zaginął mi wprawdzie gdzieś w czasie życiowych zawirowań, ale niech mi Pan wierzy, przeczytałem go przedtem i korzystam ze zdobytej z niego wiedzy do dzisiaj. Dziękuję.

Wróćmy do tematu. Wspominałem już, że o zdaniu egzaminu decydują różne czynniki. Po pierwsze: szczęśliwy przypadek. Po drugie: łut szczęścia. Po trzecie: inteligencja. Po czwarte, do osiągnięcia celu niezbędna jest:

Elokwencja⁶⁹ i erudycja⁷⁰.

Elokwencja, czyli umiejętność ładnego i logicznego, a przede wszystkim zrozumiałego wystawiania się jest w sztuce zdawania egzaminów tak niezbędna, jak w życiu umiejętność oddychania. Dlaczego? To proste. Jeżeli nie umiesz się ładnie i zrozumiale wystawić, nie pomoże Ci nawet największa wiedza. Możesz sobie spokojnie odpuścić każdy egzamin, bo i tak go oblejesz. Możesz być największym nawet erudyta, jeżeli nie potrafisz skleić do kupy nawet trzech prostych zdań, z całą pewnością odpadniesz na każdym egzaminie. Będąc trochę odczytanym i elokwentnym, można udawać erudyte. Wiem, że tak jest, ponieważ czyniłem to wielokrotnie. Natomiast mało elokwentny erudyta nie potrafi pokazać swojej ogromnej i rozległej wiedzy. Trzeba jednak uważać, by nie wpaść w czającą się tu pułapkę, i nie pomylić elokwencji z gadatliwością. Taka pomyłka nie tylko powoduje „oblanie” egzaminu, ale przede wszystkim ośmieszy delikwenta. Chyba, że ma on ten przysłowiowy łut szczęścia i ten pomoże mu się wykaraskać z tej śmiertelnej dla jego opinii pułapki.

W moim przypadku, dopóki nie posiadałem sztuki elokwencji, wolałem zdawać egzaminy pisemnie.

- Jak to? – Mogłoby tu paść pytanie. – Pisemne?! Przecież na samym początku tego rozdziału wspominasz, że pisanie było twoją piętą achillesową⁷¹.

⁶⁹Elokwencja – umiejętność, sposób dobrego, pięknego, zrozumiałego wystawiania się. Wg. Słownika Języka Polskiego pod red. W. Doroszewskiego.

⁷⁰Erudycja to, jak podaje Słownik Języka Polskiego, rozległa i wszechstronna znajomość jednej lub wielu dziedzin nauki, gruntowne wykształcenie; wiedza książkowa, odczytanie, uczoność, a erudyta, to osoba o wielkiej erudycji - rozległej wiedzy, gruntownym wykształceniu, odczytaniu; chodząca encyklopedia.

⁷¹Pięta achillesowa, Achillesa – wywodzący się z mitologii greckiej związek frazeologiczny oznaczający słaby punkt kogoś lub czegoś. Achilles jako dziecko został zanurzony przez matkę, boginkę morską Nereidę Tetydę, w wodach Styksu. Ciało jego miało być dzięki temu uodpornione na wszelkie ciosy. Jedynie pięta, za którą trzymała go matka w czasie kąpeli, była później jego

Zgadza się, lecz tylko do pewnego momentu mojego życia. Do momentu, w którym moje kręte życiowe ścieżki zawiodły mnie na spotkanie z panem profesorem Staszkiem z Karolewa. On stał się moim polonistycznym guru i jemu zawdzięczam umiejętność przelewania myśli na papier. Po raz pierwszy spotkałem go na egzaminie z języka polskiego. Pisemną jego część zdawałem pierwszego dnia. Jak już wspominałem była to katastrofa szerokiego zasięgu. Kilka byle, jakich zdań, które z wielkim trudem udało mi się przenieść na papier niczym nie wspierały moich nadziei, że może jednak się uda. Jaki był temat wypracowania i o czym ja pisałem (Znając siebie z tamtych lat, to wcale nie musiało być zbieżne), jak również „ortograficznego stanu pracy egzaminacyjnej” po ponad pięćdziesięciu latach już nie pamiętam lub raczej wolę nie pamiętać. Praca ta była na pewno pod psem, jednakże po moim sukcesie matematycznym, nie byłem już osobą anonimową. Zapamiętał mnie już nie tylko dyrektor Nahorski, ale też kilku innych egzaminatorów. Sądzę też, że kiedy doszło w drugim dniu egzaminów do pierwszego mojego bezpośredniego spotkania z profesorem Staszkiem, w głowie dyrektora Nahorskiego już zrodziła się myśl, że powinien mnie, mimo wszelkich moich dotychczasowych wpadek, jednak do tej szkoły przyjąć, więc sposób egzaminowania był też już przesądzony. Nie o to chodziło, aby sprawdzić stan mojej wiedzy, ale by sprawdzić stan mojej niewiedzy i w efekcie zastanowić się, co można by z takim dzikim chłopakiem z puszczy począć i jak się do tego zabrać.

Nie byłem w tym czasie chłopakiem czytany, bo do tego należy dużo więcej, niż przeczytanie wielu książek. Człowiek czytany, to zgodnie z definicją słownika języka polskiego człowiek, który dużo czytał i zdobył tą drogą wiele wiadomości. Pierwszą część tej definicji spełniałem w nadmiarze. Czytałem dużo, a nawet bardzo dużo. Tym bardziej, że na Banditenstrasse, niemalże po drugiej stronie ulicy była biblioteka. Korzystałem z tego sąsiedztwa „garściami”. Niestety, nie było nikogo, kto mógłby tę „naczytaną” wiedzę w mojej głowie poukładać. Nie było też osoby, która podpowiedziałyby mi, jak należy sensownie dobierać lekturę, by łatwiej korzystać w życiu z drzemiącej w niej wiedzy. Dlatego druga część definicji „oczytany” pasowała do mnie tylko warunkowo. Nawet bardzo warunkowo. Być może już wtedy drzemały we mnie pokłady wiedzy, ale ja jeszcze tego nie wiedziałem.

Lekturę na ogół dobierała mi przypadkowa pani bibliotekarka. Ta pani bibliotekarka, która akurat stała za ladą, kiedy odstałem w bibliotece swoją kolejkę. To nie pomyłka. W tych czasach biblioteka przypominała sklep. I to nie taki samoobsługowy. Takie sklepy wymyślono u nas na prowincji dopiero wiele lat później. W tamtych czasach pani stała za ladą i podawała. W sklepie chleb albo margarynę, w bibliotece książkę. Nie było, więc żadnej możliwości wyboru. Czytałem to, co podała pani bibliotekarka. Z drugiej strony, gdybym nawet mógł wybrać, co czy umiałbym to zrobić? Raczej nie. Rzeczywistość była taka, jaka była i nawet nie wyobrażałem sobie wtedy, że mógłbym w bibliotece pomarudzić i poprosić o podanie innej książki. Inni kolejkowicze wyrzuciliby mnie z kolejki i tyle bym wywalczył.

Radykalnie zmieniło się to w 1963 roku, kiedy to wybudowano w Mrągowie nowy Dom Kultury, w którym umieszczono bibliotekę. Tam był wolny dostęp do półek z książkami. Nareszcie można było poszaleć i z Hansim (Jankiem Gruszką), moim wspaniałym przyjacielem, korzystaliśmy z tego przywileju garściami. Niejednokrotnie znikaliśmy między półkami na całe popołudnia. Zanim zdecydowaliśmy się na wypożyczenie czegoś do

najslabszym punktem. Według jednej z wersji mitu Achilles zginął podczas wojny trojańskiej ugodzony w piętę zatrutą strzałą Parysa. (Źródło: Wikipedia)

domu, czytaliśmy duże fragmenty wielu innych książek. To była duchowa uczta. Szybko zauważyły to panie bibliotekarki i staliśmy się z Hansim stałymi gośćmi zapraszaniymi przez bibliotekę na najróżniejsze imprezy czytelnicze.

To był piękny czas... szaleliśmy między książkami bez ładu i składu. Czytałem, co wpadło do ręki. Od bajek po Lema, od Trylogii, po książki, do których jeszcze nie do-rosłem, jak Gargantua i Pantagruel⁷². W wieku lat dwunastu!!!

Z takimi pokładami nieuporządkowanej, a jeszcze częściej ukrytej wiedzy poszedłem na egzamin. Egzamin, który, jak się potem okazało, praktycznie zadecydował o tym, kim będę w przyszłości. I to nie koniecznie w tej zawodowej przyszłości...

Profesor Staszkiel nie egzaminował mnie w powszechnym tego słowa znaczeniu. On przeprowadził ze mną bardzo dobrą i ciekawą rozmowę. Rozmowę, której sens i zna-czenie zrozumiałem dopiero wiele lat później. Po wstępnym ustaleniu, że oprócz liczenia, mam jeszcze jedną słabość, czyli czytanie książek, wypytał mnie szczegółowo o to, co w ostatnich czasach czytałem. Lista lektur była dość spora, ale jej zawartość, to była raczej rozpacza.

Nie miałem jednak pojęcia, czy to, co ja czytam jest dobre, czy złe (oczywiście z punktu widzenia egzaminu). Opowiada-łem po prostu o książkach, które przeczyta-łem. Czy mi się podobały, czy też nie, a naj-ważniejsze, dlaczego...

Profesor słuchał, czasami włączał się, rzucał krótkie uwagi, pytał, był zaintere-sowany. Pierwszy raz w życiu miałem okazję porozmawiać z kimś (oprócz Hansiego) o książkach. Tak naprawdę porozmawiać. To

było niesamowite. Chłopak z puszczy, wytwór „zimnego wychowu cieląt” miał zaszczyt nie tylko rozmawiać, ale nawet podyskutować o książkach z kimś ważnym, z kimś, kto się naprawdę na tym zna. Mało tego. Z kimś, kogo naprawdę zainteresowało, co czytam i dla-czego. To był sen. Do tej pory moje czytanie książek nikogo nie obchodziło. No może nie do końca. Czytaliśmy chętnie wszystkie, całe rodzeństwo. Rodzice chwalili nas za to, że czytamy, ale nikt nigdy nie zainteresował się tym, co czytamy i dlaczego właśnie to. Chyba, dlatego ten egzamin, a właściwie ta rozmowa wywarła na mnie takie niezwykle wrażenie. Po raz pierwszy w życiu poczułem się ważny i chyba wtedy miałem ten pierwszy przeblysłk, że czytanie jest bardzo ważne i daje mi coś wielkiego, coś, czego jeszcze nie potrafiłem określić czy ocenić. Wiedziałem jednak, że jest to coś bardzo w życiu ważnego. Lecz tak naprawdę, czym jest to „coś”, nie wiem do dzisiaj. Przysięgam jednak, że to jest, to istnieje i do tego trzeba dążyć. Ja będę tego szukał nadal. Może kiedyś znajdę... Najważniejsze, że od czasu tej rozmowy, już ponad pięćdziesiąt lat wiem, że to jest i że trzeba tego szukać.



Karolewo odwiedzałem wielokrotnie. Po raz ostatni (mam na-dzieję że nie po raz ostatni w życiu) byłem tam w 2009 roku. Były akurat ferie wiosenne, więc wszystkie Karolewskie alejki były puste i smutne, ale spacerek był miły no i te wspomnienia... wspomnienia... wspomnienia...

⁷²Gargantua i Pantagruel, pełny tytuł Życie Gargantui i Pantagruela - cykl pięciu powieści François Rabelais 'go opisujący losy dwóch olbrzymów: Gargantui i jego syna Pantagruela. Gargantua i Pantagruel napisany jest językiem ludowym, niestroniącym od wulgaryzmów; równocześnie Rabelais, znający doskonale łacinę i grekę, wprowadził do utworu szereg neologizmów zbudowanych na bazie słów z języków martwych. Autor prowadzi grę ze średnio-wieczną tradycją utworów jarmarcznych, szeroko posługując się groteską w opisie i charakterystyce bohaterów, a także w konstruowaniu fabuły, opartej na szeregu absurdalnych i niewybrednych wydarzeń.

Wiem też, że to profesor Staszkiel uświadomił mi tą potrzebę szukania przez czytanie i czytania dla szukania. Skomplikowane? Na pewno. Też to tak odbieram, ale tak to po prostu jest i liczę na to, że kiedyś uda mi się to zrozumieć.

Wróćmy jednak do Profesora. On to przez następne trzy lata⁷³ nauczył mnie tak dobierać sobie lekturę, by z tego wyciągnąć jak najwięcej korzyści, czyli wiedzy. Dzięki niemu coraz lepiej potrafiłem przelewać myśli na papier. Dzięki temu coraz bardziej doceniałem możliwość pisemnego zdawania egzaminów. Zacząłem też coraz bardziej odróżniać gadatliwość i elokwencję. Pełne zrozumienie tego, to jest jednak proces, który trwa bardzo długo. Tak długo, że niektórzy nigdy do tego nie dojdą...

Niejedną przerwę przegadaliśmy z Profesorem o tym, jak być elokwentnym i jednocześnie nie zanudzać słuchaczy swoimi wywodami i jak korzystać przy tym z nabytej przez czytanie książek wiedzy. To były bardzo ciekawe i pouczające rozmowy, które pozwoliły zamieniać chłopaka z puszczy w elokwentnego i nieco zarozumiałego młodzieńca, któremu życie musiało niejednokrotnie przytępić rogi zarozumiałości. Mam nadzieję, że skutecznie.

Dzięki tym rozmowom zacząłem też coraz częściej preferować egzaminy ustne. Stając się coraz bardziej elokwentnym młodym człowiekiem i mając trochę „naczytanej” wiedzy uczyłem się, jak przy odrobinie dobrej woli „sprzedać się”, jako człowiek o rozległej wiedzy, jako erudyta. Moje ustne egzaminy rozpoczynałem niejednokrotnie od sztuczki wzmówienia egzaminującym, że to, o

czym ja opowiadam ściśle związane jest z tym, a nawet jest dokładnie tym, o co zapytał mnie egzaminator. Jest to trochę karkołomna konstrukcja, ale na ogół się udaje. Warunkiem tu jest jednakże chociażby minimalna wiedza „na temat” i inteligentne przejście do tematu, na który mamy dużo większą wiedzę. Trzeba tu wykorzystać elokwencję i poniekąd mimochodem zaznaczyć, że zmiana tematu jest tylko chwilowa i zaraz wrócimy do sedna sprawy, lecz poruszany przez nas dodatkowo temat jest bardzo ściśle powiązany z tematem i bez niego odpowiedź byłaby bardzo zubożona. Jednakże, jak już zaznaczyłem, do takich sztuczek trzeba być odczytanym i elokwentnym, a



Karolewo. Budynek „Świerczewski”. W nim mieszcili się Technikum Rachunkowości Rolnej i Technikum Hodowlane. Tutaj, w drzwiach wejściowych w 1965 roku w czerwcu po raz pierwszy zobaczyłem człowieka, który zmienił moje życie. Był to Dyrektor Technikum Rachunkowości Rolnej, profesor Michał Nahorski.

nie gadatliwym. Wpadka w takiej sytuacji jest katastrofą bliską przynajmniej trzęsieniu ziemi. Udało mi się na szczęście takiej wpadki uniknąć, chociaż muszę przyznać, że kilka razy byłem już bardzo blisko...

Jak taki egzamin wygląda praktycznie? Załóżmy, że zdajemy egzamin z literatury. Egzaminator pyta o Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Egzaminowany jest fanatykiem poezji międzywojennej, ale bardziej interesuje go Tuwim i skamandryci niż Dobrowolski i kwadryga. Siłą rzeczy niewiele wie o poecie, jednakże potrafi go zlokalizować w epoce. Idzie więc tą drogą i już po chwili dociera do ulubionego Skamandra i do Tuwima. Wystarczy wspomnieć Kwadrygę, ta jest zaś pięknym przeskokiem do Skamandra, o którym można opowiadać przez następne piętnaście minut, bo to jest konik egzaminowanego. Potem

⁷³Potem wyjechał z Karolewa. Nigdy go już nie spotkałem. Szkoda. Miałbym mu tyle do powiedzenia.

Tuwiem i Słonimski albo Leśmian. Nie zapomnij wspomnieć Iwaszkiewicza. Lepszy jesteś z Gałczyńskiego, to proszę bardzo. Cały czas należy jednak podkreślać, że to są tematy poboczne, aczkolwiek pominąć ich nie sposób, bo przecież należą do epoki, do całości. Potem wracamy jeszcze na krótko do kwadrygi i Dobrowolskiego i po mniej więcej 45-minutowej wypowiedzi na temat naszych największych poetów egzaminator nie będzie miał sumienia oblać kogoś, kto tak elokwentnie opowiadał o polskiej poezji. Mniej ważny staje się w tym momencie fakt, że nie o tej poezji opowiadał, o którą go pytano. Ważniejszy jest fakt, że opowiadał pięknie i wykazał się bardziej wszechstronną wiedzą, niż ta, o którą go pytano.

Klasyycznym przykładem z mojego życia jest tu mój egzamin z „przedmiotu dodatkowego” na maturze. Jako fach dodatkowy wybrałem język polski, a właściwie to obronę pracy z języka polskiego. Były to czasy, w których można było sobie wybrać do egzaminu przedmiot dodatkowy. Dodatkowo, można było wybrać, czy się chce zdawać egzamin w sposób „klasyyczny”, czy też bronić wcześniej napisanej pracy.

W tamtym czasie jeszcze nie wiedziałem czy wolę zdawać egzaminy pisemne, czy ustne, wybrałem drogę pośrednią. Wymyśliłem sobie, że obrona pracy to jest dwa w jednym i dodatkowo, wybrany temat ogranicza w pewien sposób pole odpytywania egzaminowanego delikwenta do obszaru, w którym umieszczona jest praca. Oznaczało to mniej „wkuwania”, bo musiałem przygotować się jedynie z tej epoki literackiej, z której przygotowuję pracę.

Wszystko wydawało się łatwe i proste, „ale droga pod górkę” zaczęła się już podczas wyboru tematu pracy i prawdę mówiąc, był to jej najtrudniejszy etap. Pani Profesor⁷⁴ miała całkiem inne poglądy na to, czego powinna dotyczyć praca, niż ja. Zmagania trwały kilka miesięcy. W końcu doszliśmy do porozumienia, co do tematu, ale nie, co do szczegółów. Tematem miał być Tuwim, to było pewne. Co do szczegółów, które powinno się w tej pracy poruszyć, dyskutowaliśmy kolejnych kilka tygodni. Pani Profesor wyobrażała sobie pracę o znanych i poważnych wierszach Tuwima, należących do klasyki literatury i do szkolnych lektur. Mnie bardziej pociągała zwiewność i lekkość jego utworów, jego humor i jego nie do końca przyzwoita, przynajmniej w rozumieniu pani Profesor, zbyt wysoko podkasana muza kabaretowa. Przekonywałem Panią Profesor, iż Muza ta nie zawsze była zbyt wysoko podkasana. Była czasami wielka i pełna uczucia. Nie też wolno zapominać, że tekst do najpiękniejszej i nieśmiertelnej piosenki miłosnej „Miłość ci wszystko wybaczy” napisał Tuwim...

Dyskusje trwały kilka tygodni. W efekcie doszliśmy jednak do porozumienia. Pani profesor zrezygnowała z powagi, ja zaś z podkasanej muzy i zdecydowaliśmy się na coś z życia Poety. Ja postawiłem jednak warunek, że nie będzie to kolejny życiorys. Dostałem



Karolewo 2009. Na zdjęciu wyżej internet „Kościuszkwowiec”. Mieszkałem w nim przed laty.

⁷⁴Nie był to już, niestety, wspaniały pan Profesor Staszkiel, ani lubiana przeze mnie Pani profesor Skrago, jego następczyni. Nazwiska tej Pani profesor już nie pamiętam, ale pamiętam mój spór z panią profesor na temat wiersza „Kartofliśko” Leopolda Staffa. Spór poważny, ale na temat. Trwał on kilka kolejnych lekcji i chyba wtedy Pani Profesor stwierdziła, że ja mięsam własne zdanie i niechętnie z niego rezygnuję i aby mnie przekonać, trzeba mieć poważne argumenty. Myślę, że to utrudniało jej mijsę przekonania mnie do innego tematu pracy.

na to zgodę i w ten sposób, końskim targiem powstała praca pod tytułem „ZAKOCHANY CZARODZIEJ, CZYLI ZBIERACKIE PASJE TUWIMA”, poświęcona tej jego, graniczącej z manią⁷⁵, pasji zbieractwa⁷⁶. Poeta z uміłowaniem zbierał wszystko, co mu wpadło do ręki. Zarówno jego mieszkanie w Warszawie, jak i jego dom w Aninie pełne były jego zbierackich trofeów. Między zebranymi eksponatami czuł się najlepiej i one pomagały mu tworzyć. Kiedy w 1939 roku znalazł się nagle na emigracji, najbardziej brakowało mu jego zbiorów i prawdopodobnie ich brak zainspirował go do napisania największego dzieła o ludzkiej tęsknocie, czyli „Kwiatów Polskich”. On też był autorem pół żartem, pół serio wygłaszanego twierdzenia, że „książek pożyczonych nie należy oddawać, aby pożyczających odzwyczaić od pożyczania”.

Kiedy praca była gotowa, trafiła w ręce mojej serdecznej koleżanki Danusi Jasioneck, która była najlepszą znaną mi maszynistką⁷⁷. Maszynistką, to znaczy osobą umiejącą profesjonalnie pisać na maszynie. Wyjaśniam to, ponieważ w dzisiejszych czasach, w dobie komputeryzacji i milionów ludzi, którym się wydaje, że umieją pisać na maszynie, niewielu pamięta o tej sztuce. Tak, kochana młodzieży poniżej czterdziestki. Dobre, profesjonalne pisanie na maszynie było i jest sztuką. Niestety, bardzo już zapomnianą, a większość tych, którzy uważają, iż sztukę tę posiadli, chciałbym uświadomić, że między pisaniem na maszynie czy w dzisiejszych czasach komputerze, a umiejętnością posługiwania się klawiaturą komputera jest wielka różnica. Tak wielka, że wygląda jak przepaść...

Danusia przełała moją pracę na papier i ruszyłem do Karolewa. Tam kolejna dyskusja z panią Profesor. W podtytule pracy zamieściłem informację, że jest to kompilacja⁷⁸. Tak to czułem, bo przecież nie napisałem nic nowego i nic nie odkryłem, zebrałem jedynie w całość i opisałem to, co znalazłem w już istniejących pracach. Pani Profesor po przeczytaniu stwierdziła, że cytatów jest wprawdzie wiele, ale tekst jest własny i podejście do tematu nowe, więc o kompilacji nie ma tu mowy. Po dyskusji poprzestaliśmy na tym, że ja wykreślę kompilację ze strony tytułowej, a Pani Profesor w recenzji napisze, że praca ma momentami charakter kompilacyjny, co jednak nie umniejsza jej wartości, ponieważ przypisy dokładnie wyjaśniają źródła pochodzenia wszystkich wykorzystanych fragmentów i cytatów.

Tak podbudowany ruszyłem na egzamin. Nastawiłem się na zagadanie komisji egzaminacyjnej i prawdę mówiąc, komisja bardzo mi w tym pomogła. Pierwsze pytanie, jakie mi zadano, brzmiało: „Dlaczego wybrał sobie Pan taki temat pracy?”

Tak sformułowane pytanie był jakby „darem od Boga”. Wszystko, cokolwiek się w tym przypadku powie, jest odpowiedzią prawidłową. Postanowiłem wykorzystać to z premedytacją i nie dopuścić egzaminatorów do głosu. Tak się też stało. Opowiedziałem wszystko, co wiedziałem o Tuwimie i o jego wierszach. Zarówno tych wielkich, jak i tych mniej ważnych. Tych poważnych i tych stworzonej dla podkasanej muzy, tych napisanych

⁷⁵Mania – zaburzenie psychiczne (nie choroba sensu stricto) z grupy zaburzeń afektywnych charakteryzujące się występowaniem podwyższonego bądź drażliwego nastroju. (Źródło: Wikipedia)

⁷⁶Julian Tuwim był bibliofilem, kolekcjonerem, nazywanym w kręgach kolekcjonerskich zbieraczem kuriozów. Kolekcjonował przede wszystkim przeszłość, to co było staroświeckie, dziwne i barwne i co dodawało kolorytu tak często szarej i zgrzebnej rzeczywistości czasów w jakich żył. (Źródło: <http://w-zaciszu-biblioteki.blogspot.de/2012/11/cicer-cum-caule-czyli-groch-z-ka-pusta.html>)

⁷⁷Wikipedia podaje dwie definicje tego słowa: * maszynistka — osoba zawodowo wpisująca teksty za pomocą maszyny do pisania, co ze względu na szybkość pisma wymaga bezwzrokowego pisania* maszynistka — kobieta, która prowadzi pociąg (maszynista) W tym przypadku chodzi o definicję pierwszą.

⁷⁸Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: Kompilacja to «praca, utwór będące połączeniem fragmentów innych utworów lub zestawieniem wyników cudzych badań».

dla dzieci i tych, które raczej w ręce dzieci wpaść nie powinny. Był tam zarówno „Bal w Operze” czy „Kwiaty Polskie” i „Lokomotywa”, ale był też „Wiersz, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w dupę pocałowali”. Trochę było też o innych, współczesnych mu poetach, o Skamandrze, o Kwadrydze, o Leśmianie i Dobraczyńskim, o Gałczyńskim, o teatrze i kabarecie, o Ordonównie i Krukowskim oraz o Qui pro Quo. Wszystko to przemieszane Tuwimem i zawsze z zaznaczeniem, że to wszystko należy do epoki i że o tym można by mówić bardzo długo, ale trzeba wrócić do tematu. Potem znowu trochę o Tuwimie i następna wielka wycieczka tematyczna. Tak przez prawie godzinę. Komisja miała mnie powoli dosyć. Nie dość, że opowiada taki, co mu ślina na język przenesie, to jeszcze przez nieprecyzyjnie zadane pytanie nie bardzo można mu przerwać, Poza tym wszystko jest jakby nie na temat, a jednak trzyma się tematu. Zgroza. Czas leci, a następne osoby do przeegzaminowania czekają... Po niecałej godzinie komisja zdecydowała się przerwać ten spektakl. Niestety, jeden bardzo nie lubiany przeze mnie Pan z komisji (Spuśćmy na jego nazwisko zasłonę milczenia) postanowił jeszcze się odgrzyźć i zadał mi pytanie dodatkowe:

-Wspomniał Pan o Dobrowolskim. Czy mógłby Pan więcej o nim opowiedzieć? – Najwyraźniej chciał mnie pogrążyć, ale źle trafił. „W tym temacie” byłem obkuty⁷⁹ i z całą premedytacją odpowiedziałem pytaniem na pytanie:

-Chodzi Panu Profesorowi o poetę i założyciela Kwadrygi Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego czy o Czesława Dobrowolskiego, mało znanego paryskiego poetę z przełomu wieków? A może chodzi o Jerzego Dobrowolskiego, znanego aktora teatralnego, kabaretowego i filmowego, założyciela kabaretów „Koń” i bardziej znanego „Owca”?

Niektórzy członkowie komisji wiedzieli, jakie „sympatie” nas łączą i nie dopuścili do eskalacji. Poza tym szkoda im było czasu, bo jeszcze kilka osób czekało za drzwiami. Egzamin zaliczyłem z całkiem niezłą oceną i to liczy się najbardziej.

Z kamerą wśród ... nas.

Kamera od dawna towarzyszyła życiu naszej rodziny. Najpierw fotograficzna, później od czasu do czasu również filmowa. Mało tego. My, mam tu na myśli moją wielką rodzinę, byliśmy niejednokrotnie filmowani. Prawdopodobnie niektóre fragmenty naszego życia nadawały się na scenariusze niezłych i interesujących filmów. Ciekawskich odsyłam tu do rozdziału o Eginhardzie i jego ucieczki z NRD czy też do przygody Zbyszka w Nowym Jorku. Życie Eginharda czeka jeszcze, by je sfilmować, natomiast przygody Zbyszka zastały niezależnie od niego „wynalezione” przez Hollywood i sfilmowane. Każdy, kto obejrzy film „Terminal”⁸⁰ natychmiast skojarzy z nim przygody Zbyszka, które opisałem w rozdziale „Gołdowie”. Oczywiście, że to nie Zbyszek jest bohaterem tego filmu. Szkoda, bo to jednak on przeżył tę przygodę na nowojorskim lotnisku naprawdę, a dodatkowo było to prawie dziesięć lat przed powstaniem filmu. Zatem to on i jego przygoda mogły być

⁷⁹Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: Obkuci się - potocznie «nauczyć się czegoś dobrze, zwłaszcza pamięciowo i z wysiłkiem»

⁸⁰The Terminal - Fabuła filmu "Terminal" opiera się na prawdziwej historii człowieka, który przez wiele miesięcy koczował na terenie lotniska, ale z pozoru wygląda ona nieprawdopodobnie. Centralną postacią filmu jest Viktor Navorski (Tom Hanks), który przylatuje do Nowego Jorku z fikcyjnej Krakozji. Dokładnie w tym samym momencie w jego ojczyźnie dochodzi do puczu wojskowego. Pechowy turysta nagle staje obliczu biurokratycznego absurdu. Jego paszport i wiza przestają być ważne, nie może więc ani wjechać na teren Stanów Zjednoczonych, ani też wrócić do domu. (Źródło: <http://www.filmweb.pl/Terminal/descs>)

inspiracją do tego filmu. Jedyne, co się tam nie zgadzało, to motyw pobytu na lotnisku. W filmie był to motyw polityczny, u Zbyszka zaś jego krańcowa głupota.

Chronologicznie rzecz biorąc, to jednak ja, a tak właściwie, to nie tyle ja, co mój brzuch, był pierwszym⁸¹ w rodzinie bohaterem prawdziwego filmu. Wprawdzie nie filmu fabularnego, lecz telewizyjnego reportażu, ale, jak by nie było, filmu...

Pogotowie ratunkowe w Mrągowie (reportaż TVP Gdańsk).

Był to początek lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Pracowałem wówczas, jako sanitariusz w Pogotowiu Ratunkowym w Mrągowie. W tym czasie w Polsce miała odbyć się wielka reforma służby zdrowie i wszystkie, samodzielne do tej pory oddziały pogotowia ratunkowego, miały zostać całkowicie zreorganizowane. Nasza stacja RG, jako jedna z nielicznych brała udział o testowaniu tego pomysłu. Najpierw podzielono pogotowie na dwie jednostki. Przy przychodni obwodowej pozostała jedna część pogotowia, zwana od tej pory Działem Przewozowo Dyżurnym. Miała się ona zajmować wyłącznie przewozem pacjentów. Drugą część przekształcono w przyszpitalny Oddział Pomocy Doraźnej, mający od tej pory zajmować się wyłącznie ratowaniem życia i zdrowia. Aby ratowanie to usprawnić, połączono ten dział ze szpitalną izbą przyjęć. Po kilku miesiącach trwania eksperymentu przyjechała telewizja, by zrobić reportaż o jego wielkim sukcesie. Były to czasy, kiedy zaczynał się gierkowski okres propagandy sukcesu, co oznaczało w praktyce, że wszystkie zaordynowane przez władze eksperymenty, niezależnie od ich przebiegu i wyniku, były obowiązkowo bardzo udane.

Pan redaktor z TV przepytał dyrekcję szpitala i co ważniejszych lekarzy o ich (oczywiście obowiązkowo pozytywne) zdanie o eksperymencie. Potem umyślił sobie, że ich wypowiedzi „puści” w telewizji na tle pracującej załogi ratunkowej. Karetka i jej obsługa były na miejscu, brakowało jedynie pacjenta. Ponieważ zakończyłem akurat nocny dyżur i wybierałem się do domu, pan redaktor poprosił mnie, abym w czynie społecznym⁸² zagrał ratowanego przez pogotowie pacjenta. Nie tylko, że się zgodziłem, to jeszcze byłem dumny z takiego wyróżnienia. Położyłem się na noszach. Karetka wyjechała tylną bramą ze szpitalnego podwórka i zajechała z piskiem opon, na syrenie i światłach alarmowych pod szpitalną izbę przyjęć. Koledzy wnieśli mnie (w tamtych czasach nie było jeszcze, jak to widzimy dzisiaj na serialach medycznych, noszy na kółkach) na izbę przyjęć. Przełożono mnie na szpitalną leżankę i zaczęło się badanie pacjenta. Doktorzy Urban, Kowalczyk i Ząbek zagraли zatroskanych lekarzy i z zaangażowaniem dyskutowali mój trudny przypadek.

Po obowiązkowych skrótach i montażu w reportażu pozostał tylko brawurowy wjazd karetki na szpitalne podwórko i mój brzuch na leżance w szpitalnej izbie przyjęć. Przez chwilę mignęli na ekranie również doktorzy. Na tym tle leciał komentarz o niezwykle udanym eksperymencie reformy służby zdrowia.

Potem widziałem jeszcze wiele takich eksperymentów i reform, które w efekcie doprowadziły Służbę Zdrowia tego, co mama dzisiaj. Do totalnej zapaści.

⁸¹ Jak się okazało w trakcie pisania to prawdą jest, że ja jestem pierwszym w rodzinie bohaterem ekranu. Miało to jednak miejsce kilka lat wcześniej i dotyczyło filmu fabularnego. Szczegóły w dalszej części tego rozdziału.

⁸² Czyn społeczny – w okresie PRL nazywano tak nieodpłatne prace wykonywane na rzecz ogółu, zwykle w dni wolne. Czyny społeczne najczęściej były organizowane przez zakłady pracy, szkoły, organizacje partyjne i młodzieżowe. W czynie społecznym były wykonywane prace, przez niektórych uważane za zbyt ciężkie, które miały jedynie przekazywać ducha wspólnego dzieła dla kraju. (Źródło: Wikipedia)

„Bąble” w Perkozie i... w Ameryce (reportaż TVP Gdańsk).

Akcją kolejnej przygody filmowo – telewizyjnej był obóz harcerski zespołu Bąble w ośrodku harcerskim Perkoz nad jeziorem Pluszne koło Olsztyńka. Prawdę mówiąc, to niewiele mogę sobie z tego dnia przypomnieć. Wiem jedynie, że pewnego dnia przyjechał do nas pan redaktor z TVP Gdańsk i nakręcił wakacyjny reportaż, który miał „lecieć” w wieczornej gdańskiej Panoramie. Niestety, zanim reportaż „puszczono”, my byliśmy już na obozie niedaleko Grunwaldu. Tam nie było ani prądu, ani telewizora. Reportażu nie obejrzelśmy.

Z obozem w Perkozie kojarzy mi się jeszcze jeden bardzo ważny fakt. Korzystając z pobytu w tych stronach zespół Bąble⁸³ wystąpił jedyny raz w AMERYCE. Oczywiście, w tej polskiej Ameryce. Tej koło Olsztyńka. Wieś mała, ale nazwa wielka. Wyobraźcie sobie, że po latach ktoś z naszego zespołu wspomni wnukom ot tak, od niechcenia: „Nasz Teatr dał w 1980 roku spektakl w Ameryce.”



Pan z TVP Gdańsk nakręca wakacyjny reportaż.

„Żądło” (reportaż Kroniki Filmowej (WFDiF⁸⁴)).

Rok 1980 bogaty był nie tylko w wydarzenia polityczne. Dla mnie był to też rok zmiany pracy. Przeszedłem wtedy z Domu Kultury w Mrągowie do działu socjalnego PGR Biskupiec. Był to czas schyłkowego Gierka, który mocno stawiał na „ukulturalnienie” wsi,



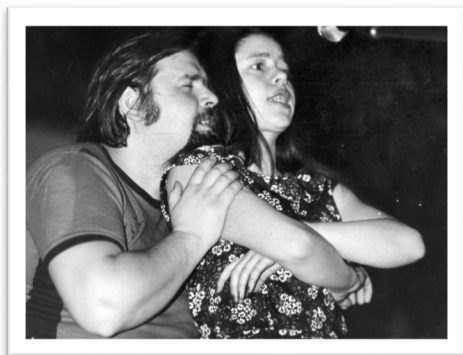
1980. Kabaret Żądło, Biskupiec. Reportaż Polskiej Kroniki Filmowej. Na „wklejce” pszczołka z żądłem, herb kabaretu.

a szczególnie Państwowych Gospodarstw Rolnych. Co za tym szło, to były wysokie dotacje, jakie w tych czasach otrzymywały PGR-y. Z tej prostej przyczyny tak zwani „kulturalnicy” zarabiali tam niejednokrotnie dwa razy tyle, co w domach kultury. Również ja dałem się zmotywować do „powrotu do źródeł”. Byłem przecież absolwentem Karolewa...

⁸³ Pełna nazwa zespołu brzmiała Harcerski Teatr Estradowy „Bąble” i występował zawsze z zespołem wokalnym „Nutki” z Sorkwit. Szefem „Nutek” był Maciej Zborowski. Prapoczątkiem zespołu był jednak Zuchowy kabaret „Kajtek”.

⁸⁴ WFDiF - Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych.

W Biskupcu znalazłem się w za przyczyną Gwidona Mikuły, który był „teatralnikiem” w Domu kultury w Biskupcu. Najpierw namówił mnie do współpracy z Kabaretem „Żądło”, a potem do przyjęcia posady w PGR Biskupiec, który był sponsorem



1980. Występ w Teatrze Bagatela w Krakowie.

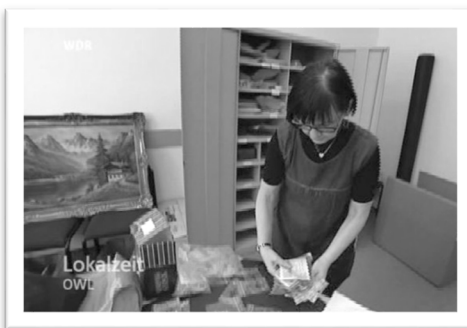
kabaretu. Flirt z PGR nie był zbyt długi. Uciążliwości dojeżdżania do Biskupca i uciążliwości wynikające ze współpracy, a właściwie braku współpracy z panią kierowniczką działu socjalnego spowodowały, że po niespełna roku przeniósłem się do mrągowskiego Bumaru. Flirt z kabaretem trwał nieco dłużej i zakończył się po powrocie do kabaretu Ryśka Ch., z którym się serdecznie nie polubiliśmy. Pozostał jednak z tego czasu reportaż nakręcony przez Polska Kronikę Filmową we wrześniu 1980 roku. Obejrzałem ją po raz pierwszy po ponad dwudziestu latach w jakimś programie wspomnieniowym w TV Kino Polska. Załączone zdjęcia pochodzą z tamtego „flirtu z kabaretem Żądło”. Dwa z nich pochodzą ze wspomnianej już Polskiej Kroniki filmowej i dwa z koncertu w Teatrze Bagatela w Krakowie w 1980 roku.

Basia.

Basia też miała swoje pięć, a nawet dwa razy po pięć minut, jako gwiazda lokalnej telewizji. TV WDR Bielefeld, nagrywała materiał o nowej metodzie leczenia bólu w stawie



Basia w TV. Reportaż medyczny.



Basia w TV. Reportaż o pracy policji.

kolanowym. Barbara, jako pacjentka z tym właśnie schorzeniem, na której to kolanie wdrażano tą nową metodę leczenia, zgodziła się na udział w nagraniu.

Reportaż zaczynał się od krótkiego z nią wywiadu. Opowiadała w nim o efektach zastosowanej metody. Potem był pokaz wstrzykiwania nowego leku. Reportaż wyemitowano 05.04.2013 roku.

Z wielkim zdziwieniem zobaczyliśmy Basię ponownie w telewizji już kilka dni później, 19.05.2013 roku. Tym razem wystąpiła z powodów zawodowych. Jako policyjny fotograf prezentowała dziennikarzom odzyskaną przez policję biżuterię.

Obydwa reportaże nagrałem i są one razem z innymi archiwialiami dumą naszego rodzinnego archiwum cyfrowego.

Marian i jego „Rancho”.

Kiedy oglądałem w Telewizji Polskiej serial „Rancho”, moją uwagę zwróciła wspaniała scena pokazująca rozmowę dwóch policjantów. Polskiego i włoskiego, przebywającego tu na europejskich praktykach. Obaj uczestniczą w wioskowej uroczystości w Wilkowyjach i są w stanie bardzo „wskazującym⁸⁵”. Żaden z nich nie zna języka swojego rozmówcy. Nie przeszkadza to im jednak w pogawędce, która trwa do samego świtu i rozumieją się przy tym doskonale. Różnice językowe są z każdym kieliszkiem coraz mniejsze, a porozumienie coraz większe.

Okazuje się, że nie tylko Zbyszek Gołda miał talent do życia życiem jeszcze nie napisanych scenariuszy (patrz film „Terminal”). Podobne przeżycia mieli też inni członko-



2003. Moje urodziny. Były tańce, hulanki i nocne, nie tylko rodaków, rozmowy...

wie naszej rodziny, jak na przykład już wspomniany w tym rozdziale Eginhard, którego brawurowa i pełna fantazji nieudana ucieczka z NRD⁸⁶ czeka jeszcze na sfilmowanie. Bohaterem kolejnego scenariusza jest Marian, mój młodszy braciszek.

To nie filmowcy pierwsi stworzyli opisaną wyżej scenkę rozmowy pijanych policjantów, Polaka i Włocha. Wyrzucił ich w roku 2003 Marian, podczas moich pięćdziesiątych drugich urodzin. Film „Rancho” nakręcony został parę lat później, więc według mnie, za tą scenę Marianowi należą się tantiemy.

⁸⁵ Chodzi tu naturalnie o typowy w policyjnym żargonie zwrot „Stan wskazujący na spożycie alkoholu”. Policjanci często skracają sone ten nieco przydługi zwrot, mówiąc jedynie „Jesteś Pan w stanie wskazującym”. Stąd też żartobliwe użycie tego zwrotu w opisaney scenie.

⁸⁶ Patrz Rozdział „Eginhard”.

Wróćmy jednak do sedna sprawy. Uroczystości urodzinowe odbywały się w naszym i naszego sąsiada Klausa ogródku. Był grill, był alkohol i wielu gości. Były nasze dzieci ze swoimi partnerami, było moje rodzeństwo i ich dzieci, byli też sąsiedzi i znajomi. Największym problemem był język. Wielu szczęśliwców „posiadło” dwa języki i z nimi nie było problemu. Gorzej było z tymi, co znali tylko język niemiecki, tak jak wszyscy sąsiedzi z Klausem na czele, albo tylko język polski, tak jak część rodziny z Marianem na czele. Piwko, jak wiadomo, rozwiązuje języki, więc przy pomocy dwujęzycznych gości konwersacja, mimo pewnych uciążliwości, rozwijała się coraz bardziej.

Marian i Klaus okazali się smakoszami „twardych” trunków, a te jak wiadomo mają jeszcze większe zdolności do rozwiązywania języków niż preferowane przez innych



Klaus i Marian. Na początku bohaterowie unikali kontaktu. Nocnych rozmów niestety nikt nie sfotografował.

trunki „miękkie”. Sprawa była prosta. Marian i Klaus coraz bardziej zbliżali się do stanu wskazującego, a nawet, około północy, stan ten bardzo przekroczyli. Wtedy to po raz pierwszy zobaczyłem scenkę, którą po latach tak podziwiałem w filmie. Nasi bohaterowie, którzy od początku imprezy z powodów językowej raczej siebie nawzajem unikali, usiedli teraz razem przy (niejednym) kieliszeczku czegoś mocniejszego. Na początku korzystali jeszcze od czasu do czasu z tłumacza. Z czasem jednak nie był on im potrzebny. Obaj panowie rozprawiali, jeden po polsku, drugi po niemiecku, aż do białego rana. Żadna bariera językowa im w tym nie przeszkadzała.

Jak zostałem „wycięty” z filmu „Dancing w kwaterze Hitlera”.

Największymi rolami, zarówno na scenie czy w filmie, jak i w życiu, są te, których nigdy nie zagraliśmy. Są one jak piękne, niespełnione marzenia. Dopóki jeszcze je mamy, świat jest piękny i coś nas gna do przodu. Lecz piękne są one wyłącznie z tego powodu, że są niespełnione. Podniecają nas i marzymy o ich spełnieniu. Są motorem wielu naszych decyzji. Tych wspaniałych i tych nieudanych. Kiedy jednak nam się spełni i uda nam się taką wymarzoną rolę zagrać, okazuje się ona taka sama przyziemna, jak wszystko inne, co udało się nam do tej pory zrobić. Spełnione marzenie traci swoją czarodziejską moc, która przносиła nas do krainy marzeń.

Życie nie lubi jednak próżni i miejsce marzenia spełnionego zajmuje nowe, niespełnione. Wypełnia ono znowu naszą wyobraźnię i goni nas do przodu, do nowych wymarzonych celów i ról. Bo, jak śpiewali kiedyś Skaldowie, nie o to chodzi, by złapać króliczka...

Podobnie jak z marzeniami, jest z niezagranyymi rolami. Dopóki tłamszą się gdzieś tam w naszej wyobraźni, są wielkie. Potem, jeżeli uda nam się którąś z tych wymarzonych ról zagrać, staje się ona jedną z wielu w naszym teatrze życia. Jedne z nich są lepsze, inne gorsze, jak to w życiu. Wszystkie z nich stanowią jednak część naszego życia i nie da się, tak jak w kinie, jednej z przeżytych czy też zagranych ról po prostu wyciąć. Szkoda. Gdyby taka możliwość istniała, wielu z nas korzystałoby z niej pełnymi garściami.

Inaczej jest w kinie. Tam każdy, kto zagra jakąś rolę marzy, by jej z filmu nie wycięto. Nie zawsze jednak to marzenie się spełnia. Nawet tak wielki aktor jak Mistrz Daniel Olbrychski miał w swoim życiu epizod, że „wycięto go” z którejś hollywoodzkiej produkcji.

Kiedy Mistrz Daniel opowiadał o tym w telewizji, przypomniałem sobie, że w moim życiu też wydarzył się taki epizod. Był rok 1967 albo 1968. Chodziłem w tym czasie do szkoły w Karolewie. Któregoś dnia pojawili się w naszej szkole filmowcy. Okazało się, że właśnie kręcą w Gierłoży film „Dancing w kwaterze Hitlera” na podstawie opowiadania Andrzeja Brychta. Obsada, jak się potem okazało, była wspaniała. Niemalże same gwiazdy polskiego kina. Że wspomnę tu tylko Łapickiego, Damięckiego czy Łacza. Jeżeli któryś z aktorów nie był gwiazdą w tym czasie, został nią później. Reżyserował Jan Batory. Po prostu śmietanka polskiej kinematografii.

Oczywiście, że u nas w szkole pojawili się jacyś tam pomocnicy pomocników, ale nam to nie przeszkadzało. Przyjechali filmowcy. To było coś! W dodatku szukali statystów. Każdy z nas widział już oczyma duszy swoją twarz na wielkim ekranie...

Niestety. Wszystkich wziąć nie chcieli. Dyrektor Nahorski wskazał uczniów, którzy mogą bez szkody dla nauki zająć się przez kilka godzin czymś innym, a filmowcy wybrali z tej grupy kilkanaście osób. Wśród nich byłem też ja. Następnego dnia po południu pojechaliśmy do kwatery Hitlera i nakręcono zdjęcia. Niestety, kiedy film ukazał się na ekranach na próżno szukałem w nim swojej twarzy. Sceny, w których mógłbym ewentualnie zaistnieć zostały wycięte. Potraktowano mnie tak, jak czterdzieści lat później Hollywood potraktował mistrza Olbrychskiego. Wycięto mnie!!! Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że dzięki temu znajdę się po latach w bardzo dobrym towarzystwie. W towarzystwie „wyciętych przez film”, czyli w tej samej grupie, w której jest Mistrz Daniel...

PS. Dzisiaj, tak dla uzupełnienia wspomnień obejrzałem jeszcze raz fragmenty filmu. Na samym początku, jeszcze zanim przeleca napisy, jest scenka, w której dwóch młodych ludzi wysiada z autobusu. Niestety nie patrzę w kamerę, więc nie widać ich twarzy. Po kilkukrotnym obejrzeniu materiału stwierdziłem, że jedna z tych czupryn może należeć do mnie. Teraz mam problem. Nie wiem, czy lepiej opowiadać wnukom, że grałem w jednym filmie razem z Mistrzem Łapickim, czy opowiadać, że wycięto mnie z filmu jak Mistrza Olbrychskiego w Hollywood. Przyznacie, że obie wersje są ponętne...

Grudziądz. Wojsko a teatr.

Dlaczego żołnierz wychodzi na przepustkę.

Scenka z wojska. Było to pod koniec mojej służby wojskowej, czyli w Grudziądzu, w roku 1975 roku. Byłem już, jak to się w wojskowym żargonie nazywało, starym

żołnierzem⁸⁷ i miałem czas na czytanie gazet. Stąd też wiedziałem, co dzieje się na świecie i w najbliższej okolicy.

Dowiedziałem się między innymi, że w grudziądzkim teatrze grają Tango Mroźka. Sztukę tę oglądałem już w 1968 roku w wykonaniu teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Rolę Stomila grał wtedy sam niezapomniany, wielki Aleksander Sewruk. Tutaj miał go zagrać nieznany mi wówczas aktor, Stefan Burczyk, a Alę młoda aktorka Ewa Nijaki. Kilka lat później okazało się, że Rościszewski, dyrektor teatru w Grudziądzu, przeszedł do Olsztyna i przejął dyрекcję tamtejszego teatru. Razem z nim przeszło wtedy wielu aktorów. Między innymi Stefan Burczyk z żoną Ireną Telesz i grająca w grudziądzkim spektaklu, o czym później jeszcze wspomnę piękna, młoda aktorka, Ewa Nijaki.



1973. Bieszczady. Spotkanie z generałem Berlingiem

Tango oglądane przed kilku laty zafascynowało mnie bardzo, więc nic dziwnego, że tą jego inscenizację chciałem również obejrzeć. Zgłosiłem, zgodnie regulaminem chęć wyjścia w sobotę na przepustkę.

Wojsko posiada regulaminy, które w zasadzie regulują całe wojskowe życie. W zasadzie, ponieważ oprócz regulaminów obowiązują jeszcze durne wojskowe obyczaje, które nie wiadomo kto, kiedy i po co wymyślił. Niejednokrotnie potrafią one jednak doszczętnie obrzydzić człowiekowi wojskowe życie, albo przynajmniej doprowadzić go do szewskiej pasji. Są też pewne sprawy, o których się po prostu wie. Bez zastanawiania się i bez dyskusji. Tak po prostu jest i nikt⁸⁸ nigdy nie pomyśli, że mogłoby być inaczej.



1974. Giżycko. Pochód pierwszomajowy.

Do takich spraw należy między innymi pewność, po co żołnierz idzie na przepustkę. Tego nikt nie musi mówić, to wszyscy wiedzą. Żołnierz idzie na przepustkę, aby się upić i zapomnieć o całej durnej wojskowej rzeczywistości i, jeżeli dopisze mu szczęście, poderwać jakąś dziewczynę. Jej wygląd jej i wartości intelektualne nie mają tu żadnego znaczenia. Jeżeli zaś żołnierz wspomina coś o wykształceniu poznanej dziewczyny, to ma na ogół na myśli szczegóły, które natura „wykształciła” na wybrance, jak piersi czy pośladki, a nie jakieś tam „nauki”. Ponieważ chodzi tu na ogół jedynie o krótką wojskową znajomość, może to być równie dobrze tak zwany kaszalot jak i super – dziewczyna. Wszystko jest dopuszczalne.

⁸⁷ W koszarowym żargonie żołnierz w pierwszym roku służby to kot, nazywany też młodym żołnierzem. Żołnierz, który odbył już pierwszy rok służby to wicek albo wice rezerwista. Stary żołnierz albo rezerwa, to żołnierz, któremu pozostało mniej niż pół roku służby. Im starszy (odbył służbę) jest żołnierz, tym więcej przysługuje mu wszelkiego rodzaju niepisanych, ale obyczajowo przestrzeganych przywilejów.

⁸⁸ Ci, bardzo nieliczni, którzy jednak czasami pomyślą, co w wojsku może okazać się nawet niebezpieczne, albo się do tego nie przyznają, albo wykorzystują to na swój sposób. Ale to już jest całkiem inna historia.

Jak już wspominałem, wszyscy o tym wiedzą, lecz mimo to, dochodzi tu do głosu ogólnowojskowy obyczaj, który każe kapralowi wypytać każdego żołnierza z osobna, dla czego chce skorzystać z przepustki. Tak było i tym razem. Kapral zebrał wszystkich chętnych do sobotniego wyjścia i rozpoczął ceremonial. Każdemu z chętnych zadawał sakramentalne⁸⁹ pytanie:

- A po cóż wam, obywatelu żołnierzu, potrzebna jest przepustka.

Na ogół pada tu zawsze taka sama albo bardzo podobna odpowiedź:

- Umówiłem się z dziewczyną

Na to kapral ze zrozumieniem kiwał głową i wręczał wcześniej już przyznaną i podpisaną przez szefa kompanii przepustkę.

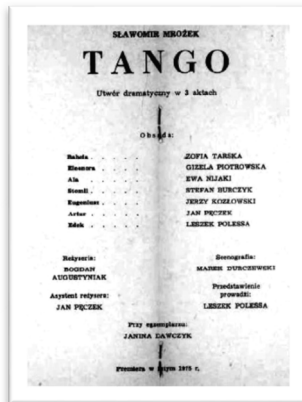
Nie lubiłem odprawiającego w tą sobotę żołnierzy kaprała i postanowiłem sobie z niego trochę zakpić. Ponieważ, jak już wspominałem, byłem starym żołnierzem, a to w wojskowych obyczajach dużo znaczy i zapewnia wiele przywilejów, byłem pewny, że mimo moich kpin, nie odbierze mi przywileju przepustki. Poza tym, musiałby najpierw zrozumieć, że sobie z niego kpię. Tym bardziej, że zaplanowaną przeze mnie kpiną, było powiedzenie mu prawdy. Takiej prawdy, w którą większość kaprali na świecie nie potrafi uwierzyć. Tak było i tym razem. Moja odpowiedź wprowadziła wszystkich zgromadzonych w osłupienie:
-Chcę iść do teatru. Właśnie grają Tango Mrożka. Warto zobaczyć.

Kapral zdębiał. Ze zdziwienia zaniemówił i nie wy dobył z siebie kolejnego prostackiego żartu. Cała grupa żołnierzy oczekujących na przepustki po chwili wymownego milczenia gruchnęła śmiechem. Prostym, żołnierskim żartom, skierowanym naturalnie przeciwko kapralowi, nie było końca. Kapral „wpadł”, a ja zyskałem jego dozonną nienawiść i uznanie kolegów. Ich zdaniem, zakpiłem sobie z durnego kaprała, który udaje, że nie wie, po co żołnierz idzie na przepustkę. Scenę podsumował jeden z moich kolegów, który podszedł do mnie, poklepał po ramieniu i powiedział:

- Masz rację. Na głupie pytanie, głupia odpowiedź.

Nikt przecież nie uwierzył, że ja naprawdę pójdę do teatru. To, zdaniem kolegów, było jasne. Jeżeli zaś kapralowi chciało się zadawać głupie pytania, to teraz ma za swoje...

Mimo to, że nikt z obecnych nie uwierzył w to, że żołnierz służby zasadniczej w ten sposób może zmarnować przepustkę, ja naprawdę byłem w tym dniu w teatrze i obej-



1975. Tango na grudzieńskim scenie.



1974. Giżycko. tzw. „Pamiętka” z wojska.

⁸⁹ Sakramentalne - 1. W teologii: taki, który ma moc sakramentu, został uzyskany poprzez sakrament, np. związek sakramentalny; 2. Potocznie: zgodny ze zwyczajem, uświęcony tradycją, np. sakramentalne pytanie; tradycyjny, zwyczajowy, utarty. (Źródło: <http://sjp.pwn.pl/>)

rzałem z wielką przyjemnością tamtejsze „Tango”. Inscenizacja była naprawdę interesująca, ale spektakl ten z całkiem innych powodów pozostał mi w pamięci na całe życie. Poziom granej sztuki był bardzo wysoki. Na tyle wysoki, że zapamiętałem nawet nazwiska aktorów w niej występujących. Kiedy kilka lat później zdarzyła się w Olsztynie możliwość porozmawiania z nimi przy okazji jakiegoś teatralnego święta, mieliśmy sporo tematów wspólnych tematów. Oni też zapamiętali ten spektakl. I to wcale nie z tego powodu, że ja na nim byłem. Wspólny temat był całkiem inny i nie dotyczył przebiegu sztuki na scenie, lecz na widowni.

Żołnierz na przepustce. W mundurze czy bez?

Zacznijmy od początku. Dostałem przepustkę i wyszedłem do miasta. Tramwajem pojechałem do teatru, a tam niespodzianka. W okienku kasowym wisiała kartka: „Serdecznie Państwa przepraszamy, ale wszystkie bilety na dzisiejszy spektakl zostały sprzedane.” Totalna klęska, lecz postanowiłem jeszcze powalczyć. Zagadałem Panią w kasie, że może jednak..., może jakaś dostawka albo coś w tym rodzaju... Jeżeli naprawdę nie będzie żadnego już miejsca, to ja mogę siedzieć nawet na podłodze... Przecież Pani rozumie, że przepustkę nie zawsze się dostaje, a ja czekałem na nią kilka tygodni, i tak dalej, i tak dalej...

Pani w kasie miała serce na właściwym miejscu i już po chwili stałem się szczęśliwym posiadaczem biletu. Postanowiłem jeszcze chwilę pospacerować, bo do spektaklu było jeszcze ponad dwie godziny. Udałem się do „tajnego miejsca”, gdzie z kolegami przechowywaliśmy cywilne ciuchy. Było to nielegalne, bo żołnierz służby czynnej powinien chodzić wyłącznie w mundurze. Nie chciałem się jednak w teatrze wyróżniać i świecić mundurem szeregowca ludziom w oczy. Zaryzykowałem przebranie za cywila i, jak się później okazało, ten właśnie fakt wyróżniał mnie tego wieczoru szczególnie.

Kasjerka ostrzegła mnie wprawdzie, że daje mi bilet do ostatniego rzędu, ale nie wspomniała o tym, że spektakl ten został zarezerwowany przez wojsko. Na całe szczęście, nie przez moją jednostkę...

Tuż przed spektaklem wróciłem do teatru, a tu niespodzianka. W foyer⁹⁰ zobaczyłem około 600 żołnierzy i kilku nadzorujących ich oficerów. Byłem załamany. Specjalnie przebrałem się w nielegalne cywilne ciuchy, za które, w razie wpadki groziło mi kilka dni paki, by nie wyróżniać się w tłumie. Teraz, dzięki tym ciuchom dopiero się wyróżniałem. Jedyny cywil wśród kilkuset żołnierzy. W dodatku przystrzyżony dokładnie tak samo jak i kilkuset pozostałych widzów i w wojskowych butach. Moje tajne cywilne buty właśnie się rozpadły, więc „z braku laku” używałem wojskowych. Na całe szczęście psa z kulawą nogą⁹¹ nie interesowała moja dziwna postać i bezproblemowo doczekałem spektaklu. Jak już wspominałem, miałem miejsce w ostatnim rzędzie. Okazało się to wielkim plusem, ponieważ mogłem dokładnie obserwować nie tylko scenę, ale też reakcję widowni. Ta zaś była bardzo ciekawa. W pewnym momencie stała się nawet ciekawsza od wydarzeń na scenie. Dlatego spektakl ten tak ł głęboko utkwii w pamięci. Nie tylko w mojej, ale również w pamięci grających w nim aktorów.

⁹⁰ Foyer (wym. fuaje) – duże i rozległe pomieszczenie (lub zespół pomieszczeń) w budynku teatru, opery, filharmonii, hali widowiskowej, kina itp., przylegające do widowni sali widowiskowej lub koncertowej, przeznaczone dla widzów do odpoczynku oraz spotkań towarzyskich, wykorzystywane przed rozpoczęciem spektaklu oraz w trakcie jego anaktów (przerw), ale bywa również miejscem uroczystości po zakończeniu spektaklu. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

⁹¹ W zwrotach: nikt. Przykłady: Ten sklep ma złą lokalizację. Pies z kulawą nogą tu nie zajrzy; Kolokacje: Pies z kulawą nogą nie przyjdzie • nie zainteresuje się • nie zajrzy • nie wspomni. (Źródło: <https://pl.wiktionary.org/wiki>)

Cóż się stało? Nic strasznego. Spektakl dla „normalnej” widowni przeszedłby tego dnia bez echa. Tym razem widownią było wojsko. „Wyposzczone”, niekoniecznie w znaczeniu kulinarnym, wojsko. Sześciuset młodych ludzi skoszarowanych w jednopłciowych koszarach. Daleko od żon, dziewczyn, narzeczonych, kochanek i innych przedstawicielek płci pięknej...

Spektakl. Scena i widownia.

Surrealizm, albo rzeczywistość równoległa.

Na scenie poza innymi aktorami również była również młoda aktorka grająca Alę, Ewa Nijaki. Od początku grała w powiewniej, jasnej ni to sukience, ni to koszulinie. Widok cudowny. Podniecenie widowni rośnie. Krzesła skrzypią coraz głośniej. Siedząc na końcu widowni coraz mniej mogę się skupić na scenie, bo piękna wysoka dziewczyna, czyli Ewa Nijaki coraz bardziej dręczy samą swoją obecnością i skromnym przyodziewkiem młodych ludzi na widowni, a mnie coraz bardziej interesuje zachowanie widowni, a coraz mniej scena. Westchnienia, szeptem wymieniane uwagi i całkowite ignorowanie sztuki i jednocześnie wchłanianie całym sobą, wszystkimi możliwymi zmysłami i członkami widoków

ze sceny to najtrafniejsze określenie widowni, jakie potrafię oddać. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem widowni tak wpatrzonych i tak oddanej aktorowi, a w tym przypadku, aktorce.

Kiedy widownia była już całkowicie „napalona” i zdawało się, że żadnej widowni na świecie nie da się bardziej rozgrzać, tę widownię rozgrzano. Piękna, młoda aktorka opuściła swoją powiewną koszulinę aż do pasa i pokazała widowni swoje młode, jędrne piersi... Widownię ogarnęło szaleństwo. Przepiękny widok ze sceny wbił młodych ludzi w fotele i całkowicie zamurował. Na widowni zapanowała surrealistyczna cisza. Skończyły się ogólnowojskowe żarty i komentarze. Skończyły się westchnienia i skrzypienie krzesel. Gdyby w sali pojawił się w tym momencie komar,

byłoby go słyszeć. Nikt nie odważył się w jakikolwiek sposób przerwać stanu oszołomienia Sztuką. Sztuką przez duże S... Widownia znalazła się jakby w innej, równoległej rzeczywistości. Rzeczywistości surrealistycznej, która nie miała żadnego przełożenia na grane akurat „Tango”. Widzowie osiągnęli wyższy stan przeżywania duchowego, a niektórzy z nich pewnie nie tylko duchowego...

Potem Ala, czyli Ewa, zeszła ze sceny i głębokie westchnienie przywróciło widzów Teatrowi. Widzowie wrócili z duchowego zesłania na łono niesamowitych przeżyć, na które przez chwilę przeniosła ich sztuka i Pani Ewa.



1968. Tango na deskach Teatru w Olsztynie. Oglądałem, mało rozumiałem, ale byłem zafascynowany. Było to moje pierwsze spotkanie z Mroźkiem.

Na zdjęciu od lewej Janina Sobolewska, J. Korsztyn, niezapomniany Aleksander Sewruk, H. Lubaczewska, W. Jęzowski, K. Woźniak (ARCHIWUM TEATRU) (Źródło: <http://olsztyn.wyborcza.pl/>)

Zajścia uliczne, czyli muzyczna rebelia w Mrągowie. The London Beats.

Jak doszło do zadymy?

W czerwcu albo w pierwszej połowie lipca 1965 roku (Dokładnej daty nie udało mi się ustalić, ponieważ wszelkie źródła internetowe milczą na ten temat, a pamięć ludzka jest zawodna) doszło w Mrągowie do ulicznych rozruchów. Udział w nich wzięli, z małymi wyjątkami, młodzi ludzie w wieku od lat 17 do 25. Uszło im to, o dziwo, bezkarnie. Jedynie mrągowska milicja była przez kilka dni trochę wystraszona. Co najdziwniejsze, nawet komunikat o chuligańskich wybrykach, co było jak na ówczesne czasy normą, się nie ukazał. Dlaczego tak się stało, mam własną teorię. Po prostu władze miasta i milicji nie zameldowały tego faktu wyżej. Dlaczego? To proste. Władze miasta obawiały się, by nie zarzucono im dopuszczenie do takich gorszących politycznie⁹² zdarzeń poprzez brak czujności w podejmowaniu ważnych decyzji, a policji nieudolności w działaniu i zapobieganiu wybuchom chuligańskim.

Dzisiaj takie imprezy, czy też gorzej, zadymy, odbywają się po każdym niemalże piłkarskim meczu. W tamtych szarych, pszenno – buraczanych czasach głębokiego komunizmu takie rzeczy się nie zdarzały. Mogę sonie jednak wyobrazić, że gdyby się jednak

zdarzyły, winni zostaliby „po cichu” i przykładnie ukarani, a sprawa zamieciona pod dywan. Po cóż szerzyć złe przykłady?

Skąd wiem, kto brał udział w tych wydarzeniach? To proste. Miałem wtedy 14 lat i próbowałem dołączyć do kolumny manifestantów. Pogonili mnie, bo, jak stwierdzili, gówniarzy im w tym gronie nie potrzeba. Nawet mój siedemnastoletni brat Zygmunt, który był wśród nich, pogonił mnie na cztery wiatry. Dlatego też całe młodsze pokolenie chłopaków⁹³ z Banditenstrasse przyglądało się temu idąc za pochodem w bezpiecznej, kilkudziesięciometrowej odległości. Większość z nas, zbul-



1959. Pochód pierwszomajowy. Tą samą trasą przeszli „rebelianci” w 1966 roku po koncercie zespołu The London Beats. Ponieważ nikt ich nie zatrzymywał, poszli dalej niż pierwszomajowy pochód i doszli aż do Komendy Milicji.

wersowana tym, że nie pozwolono nam iść razem, w okolicach ratusza odłączyła się i wróciła do domu. Jak się to wszystko zakończyło dowiedzieliśmy się z opowiadań starszych kolegów. Opowiadania te na tyle różnią się od siebie, że musiałem na potrzeby „Odprysków” wybrać jedno z nich. Wybrałem to, które mi się najbardziej podobało i było najbardziej prawdopodobne. Nie znaczy to jednak, że jest ono prawdziwe czy też nieprawdziwe.

⁹² W tych czasach wszystko było polityczne. Wybryki chuligańskie były na ogół polityczne, ponieważ była to tzw. „woda na młyn...”, co opiszę nieco później, a wystąpienia polityczne zawsze niwelowano do wybryków chuligańskich. Skutek tego jest prosty. Wszystko było chuligaństwem i wszystko było polityką.

⁹³ Dziewczyny, czyli bab, na takie akcje się nie zabierało. One stały jeszcze niżej w „piramidzie ważności” na Banditenstrasse. Najpierw byli „chłopaki”, czyli młodzież starsza, potem „gówniarze”, czyli my, a po nas dopiero „baby”, czyli dziewczyny. Niezależnie od wieku. W niektórych przypadkach były kultywowane na naszej ulicy zasady szczególnie ważne. Tam, gdzie się można było narazić, bab nie zabierano. Nawet „na jabłka”. Co najwyżej mogły one, już po akcji te jabłka zjeść.

Kto był chuliganem w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Zanim jednak przejdę do sedna sprawy, starszym chciałbym przypomnieć, młodym zaś opowiedzieć, jakie to były czasy. Był rok 1965. W Polsce panował ponury, czarno – szary siermiężny, gomułkowski socjalizm. Zgodnie z szerszymi wówczas zasadami, my, obywatele Ludowej Ojczyzny nie mieliśmy, poza prawem do ciężkiej pracy, żadnych innych praw. Mieliśmy za to wiele obowiązków. Szczególnie wobec Ludowej Ojczyzny. Może można by było gdzieś tam w na obrzeżach rzeczywistości znaleźć jakieś plusy tej filozofii. Niestety, jak się okazało po latach, było wśród partyjnych kacyków zbyt wielu takich, którzy siebie uważali za Ludową Ojczyznę, a nas za tych, którzy mają tej Ojczyźnie (czytaj: im) służyć.

Jak już wspominałem, dookoła nas było szaro⁹⁴ smutno i ponuro. Jeżeli już pojawiła się gdzieś na horyzoncie jakaś iskierka nadziei, to natychmiast bombardowano ją jakimś niesamowitymi wiadomościami, których zadaniem było pogrążyć nas ponownie w otaczającym nas marazmie. Roztaczano przed nami wizję Niemców (tych zachodnich⁹⁵, bo enerdocy⁹⁶ byli cacy⁹⁷), którzy z nożami w zębach w towarzystwie całego burżuazyjnego świata i Ameryki czekają na granicy Demoludów⁹⁸ by wejść do biednej Polski i wyrznąć nas wszystkich, a w szczególności mieszkańców Ziemi Odzyskanych⁹⁹, w pień. Przy okazji wyrzną też innych mieszkańców Demoludów, a tym, których nie dadzą rady wyrznąć, bo im się noże stępią, urządzają tu po groźbą bomby atomowej niewolnictwo w stylu Ameryki Północnej, w której jak powszechnie wiadomo, biją



Tarcza szkolna.

⁹⁴ Tak naprawdę to głębiej tek szarości uświadomiła mi po prawie pięćdziesięciu latach moja siostra Basia. Stwierdziła ona w jednej z rozmów, że właściwie to wszystko mogłaby komunie wybaczyć. Wszystko, poza jednym. Poza tym, że komuna pozbawiła ją kolorów. To prawda, nasze jeziora były nadal błękitne, drzewa zielone, a kwiaty kwitły kolorowo. Tego nawet komuna nie potrafiła zepsuć. Jednakże nawet wszystko to, co pozostało kolorowe i czerwone komunistyczne flagi, nie potrafiły przykryć komunistycznej szarości...

⁹⁵ Niemcy zachodni - Mieszkańcy Niemiec Zachodnich. Niemcy Zachodnie – określenie Republiki Federalnej Niemiec w latach 1949-1990, kiedy państwo to obejmowało tereny aktualnie stanowiące zachodnią i południową część Niemiec. Państwo zostało utworzone w 1949 roku z brytyjskiej, amerykańskiej i francuskiej stref okupacyjnych (tzw. trizonii). W 1957 został przyłączony do niego Protektorat Saary. W 1990 r. nastąpiło przyłączenie dawnego NRD do RFN (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>.)

⁹⁶ Enerdocy, w późniejszych czasach Ossi - nieformalne określenie mieszkańców byłej Niemieckiej Republik Demokratycznej (NRD), czyli wschodnich Niemiec, pochodzi od niemieckiego określenia wschodu - ost. Określenie Ossi pojawiło się w Niemczech Zachodnich (RFN), by podkreślić różnice pomiędzy mieszkańcami wschodnich i zachodnich Niemiec, które wynikały z powstałych dużych różnic kulturowych i światopoglądowych w podzielnym granicą kraju. Po zjednoczeniu wśród Niemców z Zachodu (Wessi) miało znaczenie pejoratywne. W Polsce używane jest rzadko, znacznie częstsze jest, odpowiadające mu, określenie, pochodzące od polskiego akronimu nazwy tego państwa - enerdocy.

⁹⁷ Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: 1. Ironicznie, żartobliwie: na cacy - zupełnie, całkowicie. 2. Potocznie, żartobliwie: dobry, ładny; dobrze, ładnie.

⁹⁸ Blok wschodni (blok socjalistyczny, państwa socjalistyczne, kraje demokracji ludowej, kraje komunistyczne, potocznie demoludy) – zespół państw, które wprowadziły bądź staraty się wprowadzić zmiany życia społecznego i gospodarczego zgodnie z ideologią komunizmu, na który składały się: dyktatura proletariatu, gospodarka planowa oraz idee sprawiedliwości społecznej. Blok ten był wyróżniany od zakończenia II wojny światowej do początku lat 90. XX wieku. W praktyce w krajach tych władzę przejmowała partia komunistyczna w wyniku przewrotu (powstania, rewolucji) albo interwencji z zewnątrz. W żadnym z krajów, które zaliczano do tej kategorii, partie komunistyczne (zwane też robotniczymi – w Polsce była to PZPR, socjalistycznymi – np. w NRD była to SED, albo partiami pracy – np. w Wietnamie Północnym była to Partia Pracujących Wietnamu) nie przejęły władzy w wyniku legalnych i wolnych wyborów. Ustrój polityczny panujący w tych krajach określany był zwykle oficjalnie, jako socjalizm lub demokracja ludowa, określany jest też często, jako realny socjalizm lub komunizm. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>.)

⁹⁹ Ziemie Odzyskane (początkowo także: Ziemie Zachodnie i Północne, Postulowane lub Powracające – termin używany w okresie Polski Ludowej na określenie terytorium byłego Wolnego Miasta Gdańska oraz ziem zachodnich i północnych współczesnej Polski, które zgodnie z postanowieniami konferencji poczdamskiej zostały przyznane Polsce. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>.)



Murzynów. Powstrzymuje ich przed tym niecnym planem tylko nasza niezłomna przyjaźń ze Związkiem Radzieckim.

Takie i jeszcze gorsze wizje przyszłości czekające nas pod ewentualnymi rządami burżujów i kapitalistów malowała nam na codzienna, sięgająca do każdego zakątka naszego jestestwa, propaganda. Naszymi najgorszymi wrogami, zgodnie z propagandą, byli w tamtych czasach Amerykanie i rewizjoniści zachodniomiercy¹⁰⁰ z Hubką¹⁰¹ i Czają¹⁰² na czele.

Naturalnie nie miałem wtedy pojęcia, kim są rewizjoniści zachodniomiercy, a Hubka i Czaja kojarzyli mi się z nieogolonymi zbójami z bajkowego ciemnego lasu ze znanym z bajek Zbójem Madejem. Bardziej przyjazny ludziom zbój, czyli Rumcajs ze swoim synkiem Cypiskiem dotarli do nas z ówczesnej Czechosłowacji za pośrednictwem telewizji dopiero dziesięć, albo i piętnaście lat później. W latach sześćdziesiątych żadnych pozytywnych zbójceckich wzorców nie było, więc Hubka i Czaja kojarzyli mi się już od dziecka jak najgorzej. Tym gorzej, że według ówczesnej propagandy, nieświadoma część naszego społeczeństwa wciąż łała wodę na młyn rewizjonistów zachodniomierczych.

Cokolwiek by się nie stało i ktokolwiek by cokolwiek powiedział, co nie pasowało w odpowiednie ramki, było to wodą na młyn rewizjonistów zachodniomierczych, a czasami nawet amerykańskich burżujów!!!

Jako dziecko długo zastanawiałem się, na co im jest potrzebny ten młyn. Co łączyło rewizjonistów z młynem? Czyżby byli młynarzami? Nie! To niemożliwe. Młynarzem

¹⁰⁰ Rewizjonizm w stosunkach międzynarodowych oznacza dążenie do zmiany obecnej sytuacji międzynarodowej, ponownego zawarcia umów między państwami na innych warunkach. Szczególnie dotyczy to umów pokojowych i terytorialnych. W praktyce jest eufemizmem stosowanym dla rewanżyzmu (np. rewizjonizm niemiecki po pierwszej wojnie światowej). (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>) Według ówczesnej propagandy sztandarowymi przedstawicielami rewizjonistów zachodniomierczych byli Hubka i Czaja, którymi straszono nas w dzień i w nocy. Jako dziecko naprawdę wierzyłem, że ci straszni ludzie przyjdą tu i nas skrzywdzą. Jako człowiek dorosły, już po czterdziestce zapisałem się do Ziomkostwa Prus Wschodnich, ale wtedy i ja się zmieniałem i Ziomkostwo, zatem pasowaliśmy do siebie bardziej, niż przed laty.

¹⁰¹ Herbert Hupka (ur. 15 sierpnia 1915 w Diyatalawa na Cejlonie, zm. 24 sierpnia 2006 w Bonn) – niemiecki polityk i dziennikarz. Długoletni chadecki (CDU) deputowany do Bundestagu. Po wojnie odnalazł matkę i wraz z nią wyjechał do Monachium. Został dziennikarzem i związał się z SPD. Równocześnie działał w środowisku niemieckich wypędzonych dzieląc rozpowszechnione w nim poglądy, że postanowienia poczdamskie i wyznaczona wówczas granica na Odrze i Nysie są tymczasowe, a deportowani po wojnie Niemcy będą mogli wrócić w rodzinne strony. W latach 1969–1987 zasiadał w Bundestagu. Został szefem Ziomkostwa Ślązaków i wicprzewodniczącym Związku Wypędzonych. To za jego sprawą Bundestag przyjął rezolucję zawierającą stwierdzenie, że „przyjęcie nowych członków do Unii Europejskiej musi się wiązać z uznaniem prawa wypędzonych do powrotu i odszkodowań”. Sam o sobie mówił: „Jestem obrońcą starych wielkich Niemiec, w starych prawowitych granicach”. Jednak później, jako pierwszy polityk z kręgów wypędzonych uznał traktat i granicę. O Polsce wypowiadał się w coraz cieplejszym tonie. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

¹⁰² Herbert Czaja (ur. 5 listopada 1914 w Cieszynie, zm. 18 kwietnia 1997 w Stuttgarcie) – niemiecki polityk chadecki, reprezentant niemieckich wypędzonych. Był posłem do zachodniomierczego Bundestagu w latach 1953–1990, wieloletnim członkiem Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików i prezesem Związku Wypędzonych w latach 1970–1974. Czaja urodził się w niemieckojęzycznej katolickiej rodzinie w wielokulturowym Cieszynie, znajdującym się wówczas w granicach monarchii austro-węgierskiej. Po podziale Śląska Cieszyńskiego i samego Cieszyna w roku 1920 jego rodzina znalazła się w polskiej części miasta i przyjęła polskie obywatelstwo. Po wojnie przez polskie władze komunistyczne został oskarżony o zdradę państwa i w 1946 przymusowo wysiedlony. Zamieszkał w Stuttgarcie w amerykańskiej strefie okupacyjnej. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

był przecież mój dziadek Alfred Just. Przed wojną pracował młynie wodnym w Uklance¹⁰³. Dziadek był jednak wspaniałym człowiekiem, a rewizjoniści byli zbrojami, zatem nie mogli być młynarzami. W żadnym wypadku! Jednakże ciągle ktoś napędzał ten ich młyn... Dziwne są drogi propagandy w głowie dziecka... Przysłowioiwą już „wodą na młyn...” mogło być wszystko. Była to zarówno źle wykonana praca, czyli brakoróbstwo, jak i gdzieś po cichu opowiedziany żart polityczny. No i oczywiście młodzież. Ta niesforna, bananowa¹⁰⁴, jak to mówili niektórzy. Jej pomysły, muzyka, długie włosy i inne wybryki spędzały sen z powiek nie tylko rodziców, ale też kierownictwa jedynie słusznej Partii. Postępowanie bananowej młodzieży było prawdziwą wielką wodą na młyn rewizjonistów zachodnoniemieckich. Tak przynajmniej nam to przedstawiano.

Poza wszystkimi wyżej wspomnianymi zarzutami była jeszcze moda. Ta napędzała wspomniane już młyny bez przerwy. Zaczęło się od bikiniarzy. Jak wspomina Wikipedia: Cechą odróżniającą bikiniarzy od reszty społeczeństwa było ekstatyczne umiłowanie muzyki jazzowej i kultury amerykańskiej. Przejawiało się w to w charakterystycznym ubiorze: szerokiej marynarce (tzw. "na kilowatach"), wąskich spodniach, butach "na słoninie" - gumowej grubej podeszwie, fryzurze (tzw. "plerezie"), piratkach - jaskrawo kolorowych skarpetkach i kolorowym krawacie, na którym najczęściej widniały gołe girlsy (według propagandy - uosobienie zbrodniczego ustroju kapitalistycznego, w którym to nie panowały żadne zasady). Szczególnie upodobaną barwą był kolor czerwony.

Władze PRL aktywnie zwalczały ten ruch młodzieżowy, uważając go za przejaw kosmopolitycznych ciągotek i miłości do USA. Główną różnicą w stosunku do beatników było nastawienie na konsumpcjonizm. (Źródło: <https://pl.wikipedia>.)

Potem, kiedy znikli bikiniarze, było już tylko gorzej. Wraz z big beatem pojawiły się marynarki zapinane pod szyję, buty beatlesowski, a jeszcze później czapki degolówki wiele innych nieprawomyślnych gadżetów. Wszystko było „wodą na młyn...”. Jedynie degolówka zdała egzamin polityczny i nikogo nie ścigano za jej noszenie. Co to była degolówka? Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: Czapka kroju wojskowego kepi francuskiego, popularna wśród młodzieży w Polsce po wizycie de Gaulle'a (we wrześniu 1967 roku). Ponieważ komunistyczna propaganda uznała wizytę tę za wielki sukces polityczny, nagły wybuch mody na degolówki, był komunie bardzo na rękę i tak czapka ta trafiła nawet do Słownika Języka Polskiego PWN.

Niestety, degolówka była wyjątkiem, a wszystkie inne pomysły polskiej młodzieży traktowane były przez władze niezmiennie jako „woda na młyn...”. Czasami wymyślano też inne określenia, jak już wspomniani „bikiniarze” czy też „bananowa młodzież”. O szczególnie upierdliwych młodzieńcach powiadano nawet: „Tym to się w głowach poprzewracało. Pewnie by się nawet coca-coli napili.” Zdanie to wypowiedziano głosem pełnym oburzenia, które miało podkreślać nie tylko złą postawę ideową młodzieży, ale też podkreślać właściwy

Wycinek z Dziennika Bałtyckiego z 16 czerwca 1965 roku o planowanym koncercie w Elblągu.

¹⁰³ W po ponad 50 latach, w1981 roku prowadziłem w Uklance kolonię zuchową. Oboźnym był tam Wojtek Malajkat, dzisiejszy wspaniały aktor, prof. dr hab. Wojciech Malajkat, rektor Akademii Teatralnej w Warszawie.

¹⁰⁴ Bananowa młodzież – termin powstały na początku lat 60. XX wieku, wykorzystywany przez polskie władze w celu poniżenia przywódców młodzieży akademickiej (określanej również jako grupa awanturników z Uniwersytetu Warszawskiego wywodząca się z kręgów bananowej młodzieży) odpowiedzialnej za protesty przeciwko rządowej nagonce antysemickiej (marzec 1968 r). PZPR posługując się tym sformułowaniem, usiłowała skompromitować studentów pochodzących z bogatych rodzin (najczęściej były to rodziny wysokich urzędników PRL), sugerując, że wychowani w luksusie symbolizowanym w tym przypadku przez deficytowe w okresie małej stabilizacji banany, nie znają istotnych problemów środowiska akademii, a tym samym nie mogą reprezentować jego interesów.

kręgosłup polityczny wypowiadającego te słowa. W ten sposób coca-cola, o której przeciętny Polak wiedział tyle, że gdzieś tam, na zgniłym zachodzie, taki napój istnieje, awansował do narzędzia walki politycznej, zaś przyznanie się, że się ten napój kiedykolwiek miało okazję spróbować, a jeszcze, nie daj Panie Boże, przyznać się, że smakował, graniczyło z politycznym samobójstwem.

„Wodą na młyn rewizjonistów zachodnioniemieckich” była też muzyka młodzieżowa. Słuchano jej zbyt głośno i, o zgrozo, noszono przy tym długie włosy. Skończyła się epoka młodzieży strzyżonej „pod fajerkę”. Niewtajemniczonym podaję, że tak nazywano w moim wczesnym dzieciństwie najbardziej wśród dzieci popularną fryzurę, czyli trochę nieco dłuższych włosów na czubku głowy, a reszta wystrzyżona do gołej skóry. Wyglądało to, jakby ktoś nałożył delikwentowi obręcz lub fajerkę z pieca na głowę i ostrzygł na goło to, co było poniżej tego przedmiotu, a pozostawił to, co było powyżej. Naturalnie było kilka wariantów tej fryzury. Na przykład, na zimę pozostawiało się tylko grzywkę, która wystawała spod czapki. Na pierwszy rzut oka wyglądało, jakoby delikwent miał bujne włosy. Po zdjęciu czapki okazywało się, że był prawie całkowicie łysy, bo pozostawiono mu tylko grzywkę „na wystawie”.

Nic dziwnego, że kiedy zaczęła się moda na długie włosy, strzyżenie „na bi-telsa”¹⁰⁵, czy też noszenie tak zwanej plerezy¹⁰⁶ było szczególnie naganne. Każda młody człowiek noszący długie włosy, a plerezę w szczególności, był, w oczach władz i milicji, chuliganem. Z chuliganami należało walczyć. Nie można było przecież dopuścić, by się ta nowa zachodnia zaraza rozpleniła i ogarnęła również zdrowe części naszego społeczeństwa. Rozpoczęto walkę. Na początku dyrektorzy szkół średnich przestali wpuszczać do szkoły chuliganów noszących plerezę. W skrajnych przypadkach uczeń odmawiający ścięcia plerezy mógł być nawet relegowany ze szkoły. Przesłupstwo to stało się gorsze niż brak tarczy szkolnej¹⁰⁷ na rękawie.

Potem do walki z chuliganstwem włączyła się również milicja. Włączyła się w sposób, który dziś można by uznać za śmieszny, ale według ówczesnej władzy jedyny, jaki mógł przynieść szybkie rezultaty. Według ówczesnej filozofii długowłosey młody człowiek

¹⁰⁵ Nie mniej ważne od ich muzyki były... fryzury Beatlesów, zwane w Anglii i Stanach jako 'moptops' czyli miotła mop. Pierwszym Beatlesem, który nosił fryzurę 'na Beatlesa' był Stu Sutcliffe, pierwszy 'basista' zespołu.

Stało się to w roku 1961, gdy dziewczyna Stu (później jego żona) Astrid Kirchner, fotografka artystka z zawodu, zafundowała mu taką fryzurę. Gdy John zobaczył swego przyjacielaomal nie pękł ze śmiechu (to ciekawie!), ale George'owi całkiem się spodobała i wkrótce był drugim Beatlesem z fryzurą 'na Beatlesa'. Paul i John zmienili swoje uczesanie (z przypominającego fryzurę Elvisa Presleya) dopiero po tym jak spotkali w Paryżu kumpla Astrid Juergena Vollmera, na którym ta fryzurka leżała jak ulał... Warto zauważyć, że Ringo z początku nie przyjął fryzury 'na Beatlesa', ale w końcu tak się odróżnił od reszty, że na początku 1963 zrezygnował ze swojej grzywki na kaczo i spuścił ją na czoło, tak jak pozostali.

Pierwszym z Beatlesów, który pozbył się fryzury na Beatlesa był John, który zgolił się prawie na tyso, ku przerażeniu fanek, podczas kręcenia filmu *How I Won The War* jesienią 1966. (Było to tuż po zakończeniu kariery koncertowej zespołu). (Źródło: <http://beatles.kielce.com.pl/>)

¹⁰⁶ Plereza - fryzura męska z dość długich włosów zaczesanych do tyłu, opadających na kark. (Źródło: <http://sjp.pwn.pl/>)

¹⁰⁷ Tarcza szkolna – mała plakietka wykonana z sukna lub filcu najczęściej w kształcie tarczy herbowej, przeznaczona do noszenia na ubraniu w celu identyfikacji szkoły, do której uczęszcza noszący ją uczeń. Przez wiele lat, począwszy od wprowadzenia reformy szkolnej (w latach 1932–1933), była obowiązkowym elementem stroju uczniowskiego w Polsce. Przez pewien okres wymagano również noszenia tarcz poza szkołą. Na przełomie lat 80. i 90. XX wieku zaprzestano egzekwowania noszenia tarcz w szkole, po czym szybko wyszły one z użycia. W 2007 tarcza powróciła do szkół wraz z mundurkami szkolnymi, ale nie jest już tak powszechna ani obowiązkowa. Jako obowiązkowy i kłopotliwy element stroju uczniowskiego tarcza była niechętnie noszona przez młodzież szkolną. Natomiast nauczyciele rygorystycznie podchodzili do obowiązku noszenia tarczy, sprawdzali, czy uczniowie mają przyzwyte tarcze zarówno do mundurka szkolnego, jak i ubrania wierzchniego. Notoryczny brak tarczy mógł wpływać na obniżenie oceny ze sprawowania. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/>)

był chuliganem. Wniosek stąd prosty, że młodzieniec z krótkowłosą fryzurą nie był chuliganem. To znaczy, że chuligan po obcięciu włosów przestawał być chuliganem. Zmuszano zatem młodych ludzi do ścinania włosów i w ten sposób pozbywano się chuliganów.

Kiedy po raz pierwszy, było to w połowie lat sześćdziesiątych, zobaczyłem w „Expressie Wieczornym” nagłówek „10 tysięcy chuliganów mniej”, zdębiałem. To był ogromny sukces polskiej milicji. Wysuplałem jakieś ostatnie grosiki i kupiłem gazetę, albowiem zżerała mnie ciekawość, jak oni to osiągnęli. Okazało się, że metoda była prosta. Podczas ostatniej soboty i niedzieli milicja we wszystkich dużych miastach przeprowadziła akcje antychuligańskie. Wyłapywała na ulicach wszystkich długowłosych młodzieńców i pod przymusem dostarczała do fryzjera. Tam młody człowiek miał wybór. Albo pod opieką milicjanta dobrowolnie pozwalał, aby fryzjer ostrzygł go według powszechnie obowiązującej mody „pod fajerkę”, albo był dostarczany na komisariat milicji, gdzie tamtejszy fryzjer ścinał go „na zero”, czyli do gołej skóry. W ten sposób długowłosi, czyli chuligani stawali się przyzwoicie ostrzyżonym młodymi ludźmi, których widok nie zakłócał więcej, przynajmniej przez jakiś czas, cudownych widoków na socjalistyczny dobrobyt. Ten to fakt triumfalnie ogłaszał „Express wieczorny” w swoim sprawozdaniu. W tłumaczeniu z języka obowiązkowego na powszechnie znany, 10 tysięcy młodych ludzi w Polsce straciło swoje plerezy.

W takiej to atmosferze wodnego młyna, plerezy, degolówki i bitelsówek powstawały w latach sześćdziesiątych polskie zespoły młodzieżowe. Cichcem, nocami słuchano zachodniej muzyki z niesłusznych radiostacji zgnitego zachodu. Czasami ci nieliczni, którzy mogli podróżować, przywozili nielegalnie czy też półlegalnie płyty z muzyką takich zespołów jak „The Beatles”, czyli, mówiąc po naszymu, Bitelsi, „Rolling Stones”, czyli Rollingsonów czy „The Shadows”, czyli po naszymu Szedowski, albo, jak powiadali złośliwi „Szli do wsi” i wielu innych. Każdy, kto dostał od znajomego czy też jakiegoś wujka czy ciotki z zagranicy taką płytę, był dla kolegów Wielki. Szacunek u kolegów miał prawie taki, jak nieliczni posiadacze gitar, z którymi siadywało się w letnie wieczory w zaprzyjaźnionym kręgu nad jeziorem i śpiewało, albo tylko słuchało tego, co potrafił wybrzdąkać domorosły gitarzysta.

Zadyma w mieście.

W takiej atmosferze zaproszono w 1965 roku do polski na trasę koncertową angielski zespół The London Beats. Nawet nasza Mira Kubasińska nagrała z nim cztery utwory, których dzisiaj można posłuchać na YouTube. Szukałem w internecie jakiegokolwiek śladu, że grali w Mrągowie. Nic nie znalazłem. Grali jednak na pewno, bo pamiętam atmosferę tamtych dni. Znalazłem też wycinek z Dziennika Bałtyckiego z 16 czerwca 1965 roku o planowanym koncercie w Elblągu: „Na ostatnich występach w Hali Stoczni Gdańskiej zespołów spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem młodzieżowej publiczności. Szczególnie gorąco oklaskiwani zostali: zespół "The London Beats", piosenkarka angielska Linda Fortune i duet piosenkarek Sisters "Poko". Na wszystkich dotychczasowych imprezach w Polsce (a było ich ponad 40), widownia wypełniona była do ostatniego miejsca. Radzimy więc zaopatrzyć się wcześniej w bilety wstępu, które nabywać można we wszystkich kasach na miejscu imprezy. W Elblągu "The London Beats" wystąpi 19 i 20 bm. (Źródło: <http://www.portel.pl/>).

Nie dosyć, że zaproszono do Polski światowej sławy zespół, czyli jak to powiadało starsze pokolenie, szarpidrutów, to zespół ten miał wystąpić na samym końcu świata, czyli

w Mrągowie. Zawdzięczamy to jednej z nowocześniejszych sal widowiskowych wybudowanych po wojnie na prowincji. Dlaczego akurat w akurat w Mrągowie, tego nikt nie wie. Salę oddano do dyspozycji mieszkańców w 1963 roku wraz ze wspaniałym Domem Kultury.

Nieważne. Za pomysłami ówczesnych decydentów nikt nie był i nie jest w stanie nadażyć. Ważnym było, że "The London Beats" mieli dać koncert. Koncert prawdziwego zachodniego beatu, o którym czytaliśmy w gazetach i słuchaliśmy w radio, że nie jest muzyka „cacy¹⁰⁸”, lecz raczej „be¹⁰⁹”. Mimo tak niedobrych oficjalnych ocen, muzyka ta pojawiała się coraz częściej obok naszej muzyki młodzieżowej na antenie Polskiego Radia.

Do takiego koncertu należało się przygotować. Po pierwsze, trzeba było zdobyć pieniądze, co nie było takim łatwym zadaniem. Moich zapasów i dochodów ze sprzedaży butelek niestety nie starczyło i na koncercie nie byłem. Może i dobrze, bo starsi chłopcy mogliby mnie, czternastoletniego małolata stamtąd przepędzić. Zygmuntovi się udało zdobyć gotówkę i był na koncercie. Po drugie, należało kupić bilet, co też nie było proste. Zespół grał w Mrągowie tylko raz, więc dostępnych było około 500 biletów. Na koncert chcieli iść „wszyscy”. Sprawa była trudna, niemiej pięciuset szczęśliwców, dzisiejszych siedemdziesięciolatków widziało ten koncert. Z pewnością do dzisiaj wspominają zarówno koncert, jak i to, co zaszło później, z łezką w oku. No i po trzecie, (to dotyczyło już tylko pięciuset wybrańców), przygotować marynary. Wielu młodych ludzi zapyta, o co tu chodzi. Odpowiadam: chodzi tu o pewnego rodzaju zjawisko kulturowe. Marynare, czyli, jak to

nazywali nasi rodzice, marynarkę, posiadał każdy. Była to jedyna część odzieży, na temat której nie było w tych czasach sporu pokoleniowego. Rodzice uważali, że garnitur jest jedyną przyzwoitą formą odzieży dla chłopca i że w nim można się „pokazać” wszędzie. Dla nas nie było to powodem do sporu, bo rodzice uważali, aby tak uroczystej odzieży nie nosić zbyt często, by jej nie zniszczyć. Nie musieliśmy się zbyt często wstydzić przed kolegami, że jesteśmy zbyt, jak się to wtedy nazywało, „ulizani¹¹⁰”, i pokazujemy się otoczeniu w galowych ciuchach. Garnitur był bardzo drogi, więc najczęściej wisiał w szafie i czekał na takie



The London Beats, circa March 1965
(Źródło: <http://thestrangebrew.co.uk/>)

okazje jak komuniam, urodziny ważnej ciotki itp. Poza jednym wyjątkiem. Wyjątkiem tym był beatowy koncert. Wtedy, najczęściej nawet wbrew rodzicom, wyciągało się z tym marynarkę. W żadnym wypadku nie mógł to być cały garnitur, lecz wyłącznie marynarka. Nie po to, by uroczyste i „ulizanie” wyglądać. Nieee... Marynara (proszę zauważyć, że w

¹⁰⁸Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: 1. Ironicznie, żartobliwie: na cacy - zupełnie, całkowicie. 2. Potocznie, żartobliwie: dobry, ładny; dobrze, ładnie.

¹⁰⁹Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: 1. Nazwa litery B; 2. Wyraz naśladujący zwierzęce beczenie, głównie owcy; bee; 3. W zwrotach (do) dzieci: brzydki, zły itp. lub coś brzydkiego, złego itp.

¹¹⁰Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: Ulizać - potocznie:1. Ułożyć gładko włosy, przygładzić, często za pomocą odpowiednich substancji, np. żelu do włosów; 2. Ulizać się - ułożyć gładko własne włosy. Przep. Mój; Ponieważ wszelkiego rodzaju żele w tych czasach były dla nas na Banditenstrasse zbyt drogie, rodzice najczęściej starali się przy uroczystych okazjach poskromić nasze fryzury plując na dłoń i głaszcząc w ten sposób zwłogconą dłoń „siano na naszych głowach”.

takim przypadku marynarka stawiała się marynarą) nie była odzieżą. Marynara była przedmiotem służącym do wyrażania swojej euforii, do pokazania, jak muzyka nas w danym momencie porywa i do uświadomienia całemu światu, że słuchając dobrej według nas, a zbyt głośniejszej, według pokolenia „starszych”, czyli naszych rodziców, muzyki, przekraczamy próg siódmego muzycznego nieba. Marynarą się po prostu na koncercie kręciło czy też machało. Techniki machania były różne, ale nie było dobrego koncertu, jeżeli nie było na nim latających czy też fruwających marynar... .

Nadszedł dzień koncertu. Kilka godzin wcześniej wokół domu kultury zbierały się tłumy. Zarówno tych, którzy mieli bilety do rajku, czyli na koncert, jak i tych, którzy liczyli na to, że może uda im się jakimś psim śwędem dostać do środka. Nas, smarkaczy, starsi koledzy najpierw pogonili z okolic wejścia do domu kultury. Mieliśmy im nie przeszkadzać, lecz nie bardzo wiem, w czym. Myślę, że oni po prostu chcieli przetrwać czas do koncertu jak najbliżej miejsca zdarzenia i nie przegapić wejścia. Bilety były wprawdzie numerowane, ale kto wie...? Może akurat zabraknie miejsca.

W końcu zaczęto wpuszczać. Najpierw tylko do domu kultury, który z okazji wydarzenia był w tym dniu zamknięty. Przy tej okazji wybito dwie szyby w drzwiach wejściowych, bo przecież po tylu godzinach czekania każdy chciał być pierwszy. Przy okazji pchała się do wejścia spora grupa „bezbiletowych” licząc na fuksa¹¹¹ i cudowne wejście na koncert. Nie z takimi tłumami radzili sobie jednak domokulturowi ciecie, czyli pan Banach i pan Mickiewicz.

Koncert był podobno warty swojej ceny, Co z tego, kiedy po pierwsze: nie miałem gotówki na dość drogi bilet, po drugie: starsi koledzy i tak nie dopuściliby, by jakiś smarkacz znalazł się na widowni. Zatem nie pozostało nam nic innego, jak podsłuchiwać koncert przy tylnych drzwiach do domu kultury. Słyszać było całkiem nieźle, ponieważ drzwi te prowadziły bezpośrednio na zaplecze sceny.

Po koncercie nasi starsi koledzy „nabuzowani”¹¹² muzyką wyszli z domu kultury. Po tak wielkim przeżyciu nie spieszyło im się do domu. Pewnie marzyło im się, by koncert ten nigdy się nie skończył i grupowym spacerem przez miasto próbowali przedłużyć te cudowne chwile. Jak wiadomo marzenia dodają skrzydeł, więc cały czas marynary były w ruchu. Wirowały ponad kilkusetosobowym tłumem jak jakieś ponadczasowe i ponadwymiarowe śmigła. Od czasu do czasu tłum wznosił okrzyki. W okrzykach tych nie rozpoznałem żadnej treści. Były to po prostu pierwotne okrzyki radości czy też jakiś pierwotny sposób dalszego przeżywania tego, co jeszcze niedawno słyszeli ze sceny. Okrzyk ten falował. Pojawiał się w jednej części tłumy i rósł. Był coraz pełniejszy i coraz głośniejszy, a potem powoli wyciszał się i zanikał. Za chwilę znowu powracał. Do tego latające marynary... Niesamowite...

Próbowaliśmy dołączyć do tłumy. Niestety, zostaliśmy sromotnie wygnani. Cokolwiek byśmy się wykombinowali, słyszeliśmy tylko niezmiennie: „Wynocho, smarkacze. Nie macie tu nic do roboty. Trzymajcie się z daleka, bo jeszcze wam milicja pałą przyłoży.”

Milicja jednak ignorowała zbiegowisko i żaden milicjant nie pojawił się w pobliżu. Za to tłum rósł i wzbudzał moją coraz większą ciekawość. Zgodnie, bez problemów i animozji szli sobą młodzi ludzie za całego miasta. Zarówno ci z Banditenstrasse, jak i z Czerwonej Armii, czyli rewiru Grądzików czy też z Bohaterów Warszawy, z Lenina i „zza

¹¹¹ Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: Fuks - 1. Potocznie «Niespodziewane powodzenie»; 2. «W wyścigach konnych: koń, na którego zwycięstwo nikt nie liczył»; 3. «Niespodziewana wygrana»; 4. Dawniej «osoba początkująca w jakimś zawodzie»

¹¹² Jak podaje Słownik Języka Polskiego PWN: Nabuzowany - 1. Potocznie «bardzo wzburzony»; 2. Pospolicie «bardzo pijany»

koszar”. To było prawie niemożliwe. W „warunkach normalnych” w takiej mieszance zawsze wybuchał jakiś konflikt. Zawsze trzymaliśmy się swoich rewirów, bo inne były po prostu niebezpieczne. „Tamtejsi” mogli po prostu przetrzepać intruzowi skórę. Teraz po raz pierwszy zobaczyłem, ale zrozumiałem to dopiero po wielu latach, że muzyka nie tylko łagodzi obyczaje, ale też jednoczy ludzi. Ten zjednoczony muzyką tłum szedł całą szerokością ulicy Warszawskiej, niemalże jak pochód pierwszomajowy, tyle, że z „latającymi marynarami” i że śpiewem przerywanym falującymi okrzykami. Szli w stronę ratusza. My, smarkacze, ruszyliśmy kilkadziesiąt metrów za nimi. Ludzi na ulicy było niedużo, bo był to już wieczór. Nieliczni spacerowicze znikali w popłochu w korytarzach i bocznych ulicach. Niedaleko cukierni jakaś babcia otworzyła okna i pytała nas, którzy szli za starszymi, czy aby nie wybuchła wojna. Na ogół jednak okna na wszelki wypadek zatrzaskiwano, by nie mieć z tymi rozruchami nic do czynienia. Nie wszyscy jednak znikali, tak jak większość. Zaobserwowałem starsze małżeństwo, które zatrzymało się i przyglądało temu, co się dzieje. Kiedy pochód nieco się oddalił pani powiedziała: „Żeby tylko jakaś rewolucja, albo inna strzelanina z tego nie wynikała.”



1978. H. Turek

Ponieważ aż do ratusza nic niesamowitego się z tym niecodziennym pochodem nie stało, my, młodzi, skrzyliśmy na naszą Banditenstrasse. Dlatego też dalszy ciąg tej historii znam tylko z opowiadań, które bardzo się od siebie różniły. Przytaczam tu wersję najbardziej prawdopodobną. Pochód przeszedł jeszcze przez ulicę Czerwonej Armii, dziś Królewiecka i doszedł w okolice komisariatu milicji. Chłopcy spodziewali się pewnie zdecydowanej reakcji milicjantów. Tej jednak nie było. Postali tam zatem jeszcze trochę, pośpiewali i pokrzyżeli. W końcu zdudzili się i rozeszli do domów. Tak skończyły się wywołane przez muzykę rozruchy w Mrągowie.

Złośliwi długo jeszcze opowiadali, że milicjanci ze strachu zabarykadowali się na komisariacie i do rana na wszelki wypadek nie wychodzili na zewnątrz. Władze miasta, szczególnie te polityczne, na wszelki wypadek nic nikomu nie meldowały, aby nie ujawniać swojej niekompetencji. Po prostu udawano, że nic się nie stało, a prasa i władze wojewódzkie nic na ten temat nie wiedziały. W ten sposób można nawet wielkie sprawy zamilczeć na śmieć...

Okradłem muzeum.

Posłannictwo Spółdzielni Mieszkaniowej „Perspektywa” i jej inspektor do spraw społeczno – wychowawczych.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia pracowałem w Mrągowie w Spółdzielni mieszkaniowej „Perspektywa”. Pełniłem tam tak poważną funkcję, że jeszcze dzisiaj, kiedy przypomnę sobie oficjalną jej nazwę, ogarnia mnie duma. Duma, że dzięki panu Worobiejewi, prezesowi spółdzielni, wolno mi było piastować stanowisko z aż tak poważnie brzmiącą nazwą. Stanowisko to nazywało się „inspektor do spraw społeczno – wychowawczych”. W codziennym życiu stanowisko to nie było jednak aż tak poważne,

jak jego nazwa. Byłem po prostu pracownikiem, który miał nieco umilić życie ludzi w blokowiskach osiedli z wielkiej płyty. Ponieważ już wcześniej zajmowałem się pracą z dziećmi, zarówno w harcerstwie, jak i prowadząc zespoły artystyczne w Domu Kultury



Prace społeczne na osiedlu Brzozowa.
Na pierwszym planie Mirek Lesiński.

przeróżniejsze zajęcia. Miało to odciągnąć ich, chociaż w części, od wybijania szyb, palenia papierosów i innych tego typu wesołych popołudniowych rozrywek. Znaczy to, że rozpocząłem orkę na tak zwanej pustyni pedagogicznej¹¹⁶. Nie było to proste, ale miałem wielu sojuszników. Tym bardziej, że praca „za friko“, była, mówiąc po dzisiejszemu, „na topie“, czyli modna. Jednakże związanej ze mną grupą społeczników, o których ktoś kiedyś powiedział „Ci, którym się nawet wtedy chciało chcieć“, nie chodziło słynne, organizowane na ogół przez partię i jej młodzieżowe odłamy, takie jak FSZMP czyny społeczne, które nigdy do niczego nie prowadziły i oprócz propagandowego wrzasku niczego nie dawały. Nam chodziło o zwyczajną pracę u podstaw. Pracę z dziećmi i z młodzieżą w ich środowisku, niedaleko ich domu, na wspomnianej już „pustyni pedagogicznej“, i to wielu z nas robiło z wielką przyjemnością oraz z wielką, aczkolwiek niematerialną korzyścią dla siebie i dla innych.

Nasza praca „na pustyni“ zaczęła się od tego, że prezes Worobiej przekazał nam pierwszą, zorganizowaną w pomieszczeniach piwnicznych osiedlową harcówkę. Wiedział on, że z niczego nic się nie zbuduje, więc pomieszczenia przeznaczone do pracy z dziećmi są niezbędne. W pełni popierała jego zdanie pani Góralczyk, czyli „minister finansów spółdzielni“. z ich inicjatywy Spółdzielnia mieszkaniowa oraz obiecała nam poza pomieszczeniami „z piwnicznego odzysku“ na osiedlu Parkowa, również pomieszczenia w piwnicach nowobudowanego osiedla „Brzozowe“.

Podstawy zapewniające początek dobrego działania już były. Do harcówki należało „tylko“ sprowadzić harcerzy, a do innych pomieszczeń, które spółdzielnia stawiała

¹¹³ Zgadza się, to był ten sam Dom Kultury, który opisałem w rozdziale o Banditenstrasse.

¹¹⁴ Jan Worobiej, wieloletni, zasłużony dla budownictwa mieszkaniowego w Mrągowie prezes Spółdzielni mieszkaniowej „Perspektywa“, wielce zasłużony dla tejże spółdzielni. Kto twierdzi inaczej, niech idzie z tym di IPN, bo u mnie postuchu nie znajdzie.

¹¹⁵ Jak podaje Słownik Języka Polskiego: potocznie: za darmo, gratis (np. Ten długopis dostałem za friko.)

¹¹⁶ Towarzystwo Przyjaciół Dzieci już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, wychodząc z założenia, że środowisko zamieszkania dziecka jest w istocie „pustynią pedagogiczną“, a po rodzinie i szkole odgrywa ono szczególnie ważną rolę w rozwoju i wychowaniu dziecka. (Źródło: <http://warszawa.tpd.org.pl/>) Spółdzielczość mieszkaniowa tworząc etaty pracowników do spraw społeczno wychowawczych, którzy mieli ożywić życie społeczne blokowisk, podjęła temat „pustyni pedagogicznych“ sygnalizowany już wiele lat wcześniej przez TDP.(Przyp. autora)

nam do dyspozycji, jako kluby zainteresowań i różnorakie pracownie, inne dzieci i młodzież z naszych osiedli. Należało tylko zaplanować, a potem zorganizować działania w kolejnych pomieszczeniach piwnicznych, które Spółdzielnia, zgodnie z ustaleniami, systematycznie nam przekazywała. Tak to powstawał, jak to kiedyś nazwał prezes Worobiej, Podziemny Osiedlowy Dom Kultury, a ogniwem, łączącym Spółdzielnię Mieszkańców z ZHP¹¹⁷ i DKDiM byłem ja, inspektor do spraw społeczno – wychowawczych.

O tych, którym się nawet wtedy chciało chcieć... (Harcówka, & Co.)

Do tej pory harcerstwo organizowało się i pracowało w szkołach. Po południu, po zakończeniu zajęć w szkole, dzieci wracały do domu nudziły się tam indywidualnie albo wychodziły przed blok i nudziły się razem z kolegami. Niejednokrotnie wpadały z tych nudów na bardzo nieciekawe pomysły. Jako cel postawiliśmy sobie zagospodarowanie tej pedagogicznej pustyni. Korzystając z przekazanych nam przez Spółdzielnię pomieszczeń zaproponowaliśmy dzieciom popołudniowe zajęcia w miejscu zamieszkania, w blokowisku, bezpośrednio na istniejącej tu dotychczas pedagogicznej pustyni.



W piwnicznej harcówce na osiedlu Parkowa.



Na wycieczce...

Zjawisko „dzieci z kluczem na szyi”¹¹⁸ było w tych czasach nagminne. Zastąpiło ono w wielu rodzinach opisany już w innym rozdziale „zimny wychów cieląt” i było źródłem drobnych przestępstw, tworzenia się pierwszych podwórkowych gangów, które sami uczestnicy nazywali klubami. Często szukali oni siedziby czy miejsca spotkań dla swoich band czy klubów. My wykorzystywaliśmy to i udostępnialiśmy im nasze pomieszczenia. Potem, powoli zdobywaliśmy ich zaufanie i metodą drobnych kroków, przy pomocy różnych sztuczek kierowaliśmy na „lepsze drogi” i większość młodocianych gangów zamieniła się w koła czy kluby zainteresowań.

¹¹⁷ Związek Harcerstwa Polskiego

¹¹⁸ W tamtych czasach tysiące dzieci wracało codziennie ze szkoły do pustego domu. Tysiące rodziców podejmowało każdego dnia decyzje o pozostawieniu dziecka samego w domu, ponieważ oni musieli iść do pracy, załatwiać ważne sprawy czy też udzielać się towarzystwo. Szacuje się, że mniej co trzecie dziecko przesiadywało nieraz całymi godzinami bez opieki, chociaż jeszcze do takiej samodzielności nie dorosło. W skrajnych przypadkach dzieci były pozostawiane bez nikogo na noc. Dziecko, które samo otwierało drzwi do pustego domu i regularnie spędzało w nim wiele czasu bez rodziców, nazywane było często "dzieckiem z kluczem na szyi". (Źródło: https://www.aacap.org/App_Themes/AACAP/docs/facts_for_families/polish/Dziecko_z_Kluczem_Na_Szyi.pdf)

Wróćmy jednak do tematu, czyli początków. Udało mi się skrzyknąć gromadkę przyjaciół, pasjonatów harcerskiego życia i wspólnego działania „za friko”. Byli tam Bożena Maziarczyk, Danusia Jasionek, Ewa Zarębska, Maciek Zborowski, Darek Knorps, Wojtek Jabłczyński, Waldek Maziarczyk, Tadek Kwiatkowski, no i ja. Nieco potem dołączyli Grzesiu, Mirek i Romek Karpije, Urszula Knorps, Romek Gruszczewski, Maryla Zielińska, Mirella Zielonka oraz wielu innych, których nazwiska z powodu mojej galopującej sklerozy zapomniałem. Przepraszam, ale takie są prawa życia i sklerozy...

Stowarzyszenie Turystów z Ograniczoną Odpowiedzialnością Klubu Unikania Roboty i Ewentualnych Kłopotów (StooKurek).

Dla podkreślenia naszych zainteresowań i działań wszelakich założyliśmy klub turystyczny, który przyjął nazwę „STOO KUREK”, co należało rozszyfrować, jako Stowarzyszenie Turystów z Ograniczoną Odpowiedzialnością Klubu Unikania Roboty i Ewentualnych Kłopotów. Naturalnie nazwa ta była bardzo przekorna i z pewnością nie oddawała prawdziwego charakteru naszej działalności. Klub się rozrastał, dochodzili nowi członkowie, a napisana w tym czasie przez Maćka Zborowskiego z pomocą, czasami nawet twórczą, innych członków klubu piosenka podkreślała zainteresowania dziewiątki jego założycieli:



Kurkowa brać to my to my.
Morze i góry to nasze sny
Wędrować chcemy noc i dzień
I nikt nie powie o nas leń.

Ref.: O StooKurku, o StooKurku,
słysząc w Londynie, w Paryżu w Turku.
Wszyscy się dziwią, co to za ludzie,
wypowiedzieli wojnę nudzie
Stoo Kurek, Stoo Kurek,
dla nas dobry i pagórek.
Trzy dziewczyny, sześciu chłopów,
ale będzie nas i kopa.

Tu było cicho, było miło,
Czasami jakiś pies zaszczekał.
aż jakieś licho się zjawiło
i głos ten słyhać gdzieś z daleka:

Ref.: O StooKurku...

Harcówka w podziemiu.

W krótkim czasie udało się uruchomić drugie pomieszczenie „w piwnicznej izbie” w bloku na osiedlu Parkowym 15. Dokładnie pod mieszkaniem państwa Knorps.¹¹⁹ Tam odbywały się nasze spotkania i pomieszczenie to awansowało do naszej głównej, zarówno klubowej, jak i pustynno-pedagogicznej kwatery, a dzieci naszych „sąsiadów z góry”, Ula i Darek Knorps szybko dołączyli do naszej gromadki i zaangażowali się w naszą społeczną pracę. Dodatkowym plusem tej lokalizacji był fakt, że zaraz obok znajdowała osiedlowa świetlica, z której też mogliśmy korzystać. Trzeba tu też wspomnieć, że mieliśmy tam do dyspozycji kolorowy telewizor, co nie było w tych czasach zjawiskiem powszechnym. Niemniej, jak pokazało życie, Maciek z gitarą najczęściej wygrywał z kolorową telewizją i kiedy się pojawiał w harcówce, większość z nas opuszczała świetlicę i przenosiła się do harcówki.



1975. Gierłoż - Kwatera Hitlera.
Z Mirkiem Lesińskim na rajdzie
"Śladami Kłobuka".

Aby przybliżyć atmosferę tamtych czasów sięgnę do tekstu napisanego kiedyś dla potrzeb naszej wspomnieniowej strony internetowej: „Harcówka na Osiedlu Parkowa, „w podziemiach” bloku nr 15 była w tym czasie czymś bardzo specjalnym. Tam koncentrowało się życie towarzyskie i społeczne ludzi, o których można było powiedzieć, że po prostu „mieli ochotę”. Mieli ochotę zrobić coś dla innych i to bez pytania „za ile”. Mieli ochotę zrobić coś wspólnie z innymi albo całkiem po prostu pobyc z innymi i to niekoniecznie pod budką z piwem. Dotyczyło to zarówno dorosłych, jak również dzieci i młodzieży. Wstęp był wolny dla wszystkich, od lat pięciu do stu pięciu. Jedynym kryterium było „mieć ochotę”. Do harcówki przychodzili „wszyscy”. Jedni, bo rozpierała ich energia, inni mieli

po prostu ochotę posiedzieć i pogadać, a jeszcze inni z prostej ciekawości... Przychodzili na chwilę i najczęściej zostawali z nami bardzo długo. Jedni angażowali się w pracę społeczną czy też harcorską, (obozy w Brejdynach, na polach Grunwaldu, w Perkozie i wiele innych) inni wtapiali się w kółka zainteresowań czy też w zespoły artystyczne (kółka fotograficzne, zespoły taneczne, Harcerski Teatr Estradowy Bąble i inne.). Jeszcze inni zostawali turystami (patrz: StooKurek, spływy Drwęcą czy Krutynią, wycieczki, wyrypy, biwaki...) czy też wędkarzami, że wspomnę tu harcorską drużynę wędkarską nieżyjącego już Tadzia Kwiatkowskiego. Spójrzysz Tadeusz z chmurki na piszącego te słowa. Pewnie nie uwierzysz, ale to uosobienie wszelkich antytaentów wędkarskich, czyli ja, zostało na stare lata (!) wędkarzem.

¹¹⁹ To, że harcówka mieściła się pod mieszkaniem Uli i Darka nie było bez znaczenia. Po pierwsze, Darek i Ula zeszli kiedyś do piwnicy, by zobaczyć, co się tam dzieje i zostali z nami „na zawsze”. Po drugie, ich mieszkanie stało się czymś w rodzaju „magazynu w nagłej potrzebie”. Jeżeli nam czasami czegośkolwiek zabrakło, niezależnie czy cukru, czy gwoźdźcia czy czegośkolwiek innego, biegliśmy po pomoc „na górę”, bo z biegiem czasu rodzice Uli i Darka stali się naszymi najlepszymi przyjaciółmi i wspierali nas we wszystkich naszych działaniach. Do dzisiaj zastanawiam się, jak oni to wszystko znosili...

Słowem: Harcówka na Parkowej była w tych czasach centrum wielu ważnych wydarzeń. Z harcówki "wylewały" się na osiedle, a potem na całe miasto najrozmaitsze imprezy. Panie Prezesie Worobiej. To pan „wyczuł sprawę” i udostępnił nam pomieszczenia. Skorzystały z tego obie strony. Dziękujemy”.¹²⁰

Drużyna wędkarska, kółka fotograficzne i inne grupy zainteresowań.

To oczywiste, że jako instruktorzy harcerscy zaczęliśmy naszą pracę od zakładania i prowadzenia drużyn harcerskich i zuchowych. Potem Tadeusz Kwiatkowski przyciągnął do nas grupkę młodzieży, którą dzisiaj nazwano by „młodzieżą zagrożoną”. Większość z nich znana była na osiedlach, najczęściej jednak nie z tej najlepszej strony. Znaleźliśmy jednak do nich „dojście”. Łączyła ich wszystkich pasja wędkarska. Tą ich pasję wykorzystaliśmy, by ich do nas przybliżyć. Razem ze Spółdzielnią Mieszkaniową, Komendą Hufca ZHP i Zarządem Wojewódzkim PZW¹²¹ stworzyliśmy chyba jedyną w Polsce harcerską drużynę wędkarską. Chłopcy jeździli z Tadeuszem na obozy harcerskie, na biwaki i zawody wędkarskie, a ja, największy w tamtych czasach antytalent wędkarski na Mazurach powołany zostałem w skład Komisji Sportowej Zarządu Wojewódzkiego PZW w Olsztynie!!!



Dużym powodzeniem cieszyło się w tym czasie amatorskie fotografowanie. Założyliśmy, należy tu wspomnieć, że za pieniądze Spółdzielni Mieszkaniowej, ciemnię fotograficzną, w której spora grupa młodych ludzi uczyła się sztuki fotografowania i obróbki zdjęć. Naszymi „nadwornymi fotografami byli w tamtych czasach Maciek Zborowski i szef naszej pracowni fotograficznej, Mirek Karpiej.

Były też inne kółka zainteresowań, ale na tym nie kończyła się nasza działalność. Organizowaliśmy wycieczki, imprezy turystyczne i sportowe, coroczne święto osiedla, imprezy z okazji Dnia Dziecka i wiele, wiele innych. Trudno to wszystko spamiętać czy zliczyć. Jednak bardzo ważne jest fakt, że w całej tej działalności tylko ja byłem na etacie, czyli brałem za to pieniądze. Wszyscy inni robili to społecznie, czyli „za friko”. Dziękuję Wam za to, przyjaciele. Myślę, że poza mną, o Waszej pracy pamięta wiele dojrzałych już dzisiaj, a czasami nawet podstarzałych „osiedlowych dzieci”, które biegały wtedy z kłucami na szyi.

W tym miejscu należy też wspomnieć o naszych wcześniejszych poczynaniach, w których zdobywaliśmy ostrogi do późniejszej, opisaną tu działalności w środowisku wielkoosiedlowych dzieci. W tym miejscu również posłużę się naszą stroną internetową i przyciężę wpisy dotyczące HKTA „Odcisk” i Nieobozowej akcji Letniej.

¹²⁰ Źródło: http://wspomnien-czar.czos.eu/html/stookurek_0.html

¹²¹ Polski Związek Wędkarski

Harcerski Klub Turystyczno-Artystyczny „ODCISK”.

„Początek działalności Harcerskiego Klubu Turystyczno - Artystycznego "Odcisk" to wczesne lata siedemdziesiąte. Zaczęło się od pieszego rajdu "Śladami Kłobuka" zorganizowanego przez HKT "Kłobuk" z Olsztyna. Na tym rajdzie spotkała się grupka mrągowian, którzy odkryli w sobie pasję wędrowania i poznawania świata (i to nie tylko tego najbliższego) na piechotę. Na pewno był w tej grupie mój późniejszy przyjaciel i "współwiny" wielu imprez, przede wszystkim turystycznych, ale nie tylko, Mirek Lesiński. Byli tam też Rysiek, Zbyszek i Halina Kozdrun, Maryla Zielińska, Danka Oracz, Januszek Grądzik zwany Magillą oraz wielu innych, których imiona wyleciały mi z pamięci. W nieco późniejszych czasach naszym dobrym turystycznym duchem była pracująca w PTTK Miecia Świderek. Była ona osobą, która trzymała w ryzach formalne strony organizowanych przez nas imprez.



Obozy, spływy, Nieobozowa Akcja Letnia.

Niewtajemniczonym tłumaczę: „NAL”, był to skrót Nieobozowej Akcji Letniej organizowanej w każde wakacje przez harcerzy. Akcja ta skierowana była do dzieci, które nie mogły, najczęściej z przyczyn finansowych, wyjechać na wakacje i polegała na działaniach, mających tym dzieciom zapewnić miłe spędzenie wakacji w miejscu zamieszkania. Były to różnego rodzaju akcje, spotkania, wycieczki. Największą jednak atrakcją był wyjazd na kilka dni na biwak pod namiotami. W tym celu organizowaliśmy przy obozach harcerskich stacje NAL, w których odbywały się wspomniane kilkudniowe biwakowe turnusy.

W czasie wakacji, poza akcją nieobozową organizowaliśmy też obozy harcerskie, obozy wędrowne i spływy kajakowe. Stałym miejscem mrągowskich obozów harcerskich była w tym czasie polana nad jeziorem Wągiel koło Bredyn. Lecz nie tylko. W ramach wymiany z pionierami węgierskimi byliśmy też kilka razy w Szajki koło i Szombathely i w Balatonokali.



Z wielką przyjemnością organizowaliśmy imprezy kajakowe. Stałym szlakiem krótkich, dwu-, trzydniowych spływów kajakowych i „wyrp” był szlak od jeziora Czos, a czasami nawet od jeziora Wierzbowskiego do Świętej Lipki i z powrotem.

Wakacyjnym, dwutygodniowym „samograjem” kajakowym był szlak rzeki Krutyni z Sorkwit do Rucianego. Dla wielu chłopców pozostanie jednak na zawsze w pamięci spływ rzeką Drwęcą z Ostródy do Torunia w 1979 roku. Szczególnie dobrze zapamiętali uczestnicy tego wydarzenia towarzyszącą nam pogodę. Złośliwi powiadali, że w czasie tej trzytygodniowej imprezy deszcz padał tylko dwa razy. Za pierwszym razem padał przez dziewięć dni, a za drugim razem przez jedenaście dni. Poza tym cały czas było bardzo słonecznie...

Harcerski Teatr Estradowy „Bąble”·Perkoz, Grunwald, Bonanza i wyrzypy.

Harcerski Teatr Estradowy „Bąble” to nie tylko próby i występy. Teatr uczestniczył też w wielu obozach i imprezach harcerskich oraz turystycznych. Byliśmy między



1979 Artystyczny obóz wędrowny Lembruk, Boże, Notyst, Nowe Sady i Baranowo.

innymi na obozach w Harcerskim Ośrodku „Perkoz” na półwyspie Waszeta nad jeziorem Pluszne koło Olsztyńka i braliśmy udział w akcji obozowej na polach Grunwaldu. Jedną z najciekawszych imprez wakacyjnych był z całą pewnością obóz wędrowny po Państwowych Gospodarstwach Rolnych dawnego powiatu mrągowskiego nazwany przez jego uczestników „Wyprawa Bonanzą”. Nazwa ta wzięła się od rodzaju środka lokomocji, którym się poruszaliśmy.

Zrzućmy do moich wcześniejszych notatek: „Wakacje 1979 roku zespół rozpoczął obozem wędrownym. Ideą obozu było wciągnięcie do wakacyjnej zabawy dzieci, które z różnych przyczyn nie pojechały na wakacje i nie miały żadnych szans na wakacyjną rozrywkę. Wspólnie z Miejskim Domem Kultury oraz z PGR-ami¹²² Szestno i Baranowo zorganizowaliśmy obóz. Zadaniem zespołu było organizowanie w "miejscach postoju", czyli w najbardziej odległych od cywilizacji osiedlach PGR-owskich zajęć dla zamieszkałych tam dzieci. Właściwie była to wspólna zabawa uczestników obozu i miejscowych dzieci. Nasi instruktorzy organizowali gry, zabawy, tańce, dyskoteki i temu podobne rozrywki, a Bąble wystawiały wieczorami swoje spektakle. Bawili się wszyscy. Zarówno my, Bąble, jak i oni, czyli dzieci z odwiedzanych przez nas wiosek.

Trasa obozu wiodła, jak już wspominałem, przez najmniejsze PGR-owskie wioski. Byliśmy w Lembruku, w Bożem, w Notyście, w Nowych Sadach i w Baranowie. Namioty niezbędne dla zorganizowania tego obozu otrzymaliśmy ze Spółdzielni Mieszkaniowej, sprzęt nagłaśniający i oświetlenie z Domu Kultury, a PGR-y udostępniły nam "Bonanzę" i możliwość wykupienia obiadów w zakładowych stołówkach. Śniadania i kolacje przyrządzaliśmy sami.



Moja podobizna z Tamtych czasów. Przystojniak...

¹²² Państwowe gospodarstwo rolne (PGR) – forma socjalistycznej własności ziemskiej w Polsce w latach 1949–1993; gospodarstwo rolne, którego właścicielem było państwo. (Źródło: Wikipedia)

Co to było "Bonanza"? Odpowiedź jest prosta: Bonanza była przeróbką towarowej przycepy ciągnikowej na wersję luksusową, osobową. Wynalazkiem tym dowożono w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dzieci z PGR-ów do Zbiorczych Szkół Gminnych. Bonanza była też praprzodkiem Osinobusu. Co to był Osinobus? Był to bardzo popularny w tamtych czasach środek lokomocji, służący do przewożenia pracowników. Było to unowocześnione nadwozie Bonanzy zainstalowane zamiast tak zwanej „paki“, czyli nadwozia towarowego, na podwoziu ciężarówki "Star".

Plac zabaw na osiedlu Brzozowa a jedyny w historii napad na mrągowskie muzeum.

Oczywiście poza wakacyjnymi akcjami, codzienna praca z dziećmi i nie tylko z dziećmi w osiedlowych podziemiach trwała również. Ilość piwnicznych pomieszczeń dla naszych i nie tylko naszych potrzeb rozrastała się na osiedlach Parkowa i Brzozowa dość szybko. Dodatkowo mieliśmy ogromne wsparcie dużej grupy mieszkańców tych osiedli. Jeszcze większa ich grupa patrzyła na nas bardzo przyjaźnie. To bardzo ułatwiało naszą działalność.

Kiedy już całkiem niezłe opanowaliśmy spółdzielcze osiedla, czyli Parkowe i Brzozowe, zaczęliśmy wychodzić z piwnic i robić coraz więcej imprez na świeżym powietrzu.



Imprezy... imprezy... imprezy...

Wspólnie z TKKF organizowaliśmy dla dzieci i dla dorosłych mieszkańców osiedli najprzeróżniejsze „olimpiady” sportowe, imprezy z okazji dnia dziecka, święta wiosny i wiele, wiele innych. Niejednokrotnie przy takich okazjach podeptaliśmy parę trawników, które były oczkiem w głowie prezesa spółdzielni mieszkaniowej, pana Worobieja. Sumienie prezesa stanęło na rozdrożu, bo i trawniki były ważne, ale impreza też była całkiem niezła. To pomogło nam przekonać go, że osiedla nasze mają zbyt mało miejsca do zabawy, a istniejące place zabaw, są najczęściej nieatrakcyjne i ciasne. Były tam metalowe, ciężkie huśtawki, parę piaskownic i niewiele więcej.

Był to jednak czas łamania standardów i czas wielkich czynów oraz wprowadzania nowości. W tej atmosferze Prezes dał się przekonać i wyraził zgodę na plan budowy innego niż dopuszczaly to dotychczasowe standardy placu zabaw, i „skierował na ten odcinek”, jak

to się wtedy mówiło, grupę budowlaną Spółdzielni.

Na górnej Brzozowej odkryliśmy dwupoziomowy teren zielony, który doskonale nadawał się na ten „inny” plac zabaw. Niestety, plan zagospodarowania osiedla przewidywał, że tylko w dolnej jego części może powstać plac zabaw. Na górnej części zaplanowano trawnik.

Mój pogląd na te plany był nieco inny. Uważałem, że miejsce to jest doskonałe dla przełamania polskich stereotypów dotyczących placu zabaw. W burzliwych dyskusjach naszej grupy przyjaciół wyłonił się nowy zarys placu zabaw. Po pierwsze, urządzenia zabawowe powinny zostać zbudowane z drewna, a nie z metalu. Odbiegało to całkowicie od obowiązującej w tym czasie w Polsce mody, więc bez pomocy „szychy”, czyli Prezesa, nie przepchalibyśmy tego typu pomysłów nigdy. Dolną placu część miała stanowić centralnie

umieszczona piaskownica, która w razie potrzeby mogła być przykryta specjalnymi pokrywami z desek i zamienić się w scenę. Za piaskownicą zaplanowaliśmy możliwość zawieszania ekranu do wyświetlania filmów. Poza tym, od strony parkingu miał powstać kącik z ławkami i stołem dla rodziców czy też dziadków pilnujących bawiących się dzieci. Od strony skarpy w kierunku sklepu zaplanowano duże i nieszablone urządzenie do wspinańcek. Najlepszym rozwiązaniem byłoby tu korona starego rosochatego drzewa ustawiona „do góry nogami“, co dawałoby możliwość przeżywania wielkiej dziecięcej przygody zarówno na, jak i pod jego konarami. Oczywiście drzewko musiałyby być dorodne, rosochate, odpowiednio przycięte i dość nisko ustawione, by uniknąć wypadków.

Na skarpie, która w fazie planowania osiedla przeznaczona została na trawniczek i klomb dla kwitnących krzewów, zaplanowaliśmy trzy sektory ław z wygładzonej i zabezpieczonej przed wpływami atmosferycznymi tarcicy, czyli widownię naszego mini-amfiteatru i kina

(patrz piaskownica). Kiedy nie było ani występów ani filmów, ławy te mogły służyć do pokonywania skarpy między dolną i górną częścią placu zabaw, jako swoisty rodzaj schodów. Między sektorami ław zaplanowaliśmy zjeżdżalnię do szybszego niż po schodach pokonywania skarpy w dół. Zjeżdżalnię te były jedynym niedrewnianym elementem placu zabaw.

Na górnej części placu, gdzie pierwotnie również zaplanowano trawnik, postanowiliśmy zbudować drewniany zamek z obronną palisadą. Była to, jak się później okazało, największa atrakcja naszego placu. Dodatkowego smaczku obronnej palisadzie i warownemu zamkowi dodawał ustawiony niedaleko ogromny pień wypalanej w środku wierzby, którą odkrył nad jeziorem pan Kuś, nasz mraǳowski plastik, a prezes Worobiej, za naszą oczywiście namową, kazał przewieźć pień na osiedle i ustawić na wskazanym przez pana Kusia miejscu. Potem pień ten okazał się zmorą wszystkich matek, ponieważ wszelkie próby zabezpieczenia przypalonego drewna, by nie brudziło, kończyły się fiaskiem. Nie pomagało ani mycie wodą, ani chemikaliami, ani wymalowanie spalenizny lakierem. Pień brudził zawsze. Dzieci, które bardzo lubiły bawić się w wypalanej dziupli, wychodziły z niej zawsze, ku przerażeniu matek, umorusane jak prawdziwe diabły...

Jak już wspominałem, Prezes Worobiej pomimo początkowych wątpliwości dał się do tego planu przekonać. Pomysł podobał mu się z dnia na dzień coraz bardziej. Skierował na budowę placu ekipę stolarsko ciesielską i zaczęły się roboty. Pierwsze trzy dni mieszkańcy przyglądali się z niejakim zdziwieniem, co się tam dzieje, a my, „działacze”, jak to się wtedy w oficjalnym języku nazywało, robiliśmy osiedlową propagandę. Po kilku dniach „całe osiedle” wiedziało już, co się tam buduje. Potem okazało się, że nie tylko osiedle. Wiedziało już „całe województwo” i mieliśmy coraz więcej gości spoza naszego miasta. Przyjeżdżali podglądać naszą budowę jak dwugłową oślicę na przedwojennym jar-



Imprezy... imprezy... imprezy - Osiedlowe i harcerskie uroczystości...

marku. Okazało się, że jest to jeden z pierwszych placów zabaw w Polsce budowany niemalże wyłącznie z drewna i planowany z dużym udziałem jego przyszłych użytkowników, czyli dzieci.

Coraz więcej rodziców przychodziło do nas na budowę, by w tzw. czynnie społecznym wspomóc nasze działania, a ja awansowałem, poniekąd „z marszu”, na społecznego szefa budowy placu zabaw. Po kilku dniach wzajemnego „obwącianięcia się” coraz więcej rodziców włączało się aktywnie do budowy. Zarówno do pracy przy jego budowie, jak i do planowania. Ich poprawki były niejednokrotnie bardzo cenne. Ich znajomości w różnych środowiskach również.

Pan Kuś, plastik z Domu Kultury zaprojektował nam piękną fontannę, która miała stanąć po drugiej stronie ulicy, niedaleko placu zabaw. Niestety do jej budowy, pomimo zgody prezesa, nie doszło. Pan Trawiński z Domu Dziecka wykonał piękny, wypalany w drewnie szylt z nazwą placu „Królestwo Bolka i Lolka” itd., itd. Inni przychodzili po prostu pomóc w pracy albo coś doradzić. Najważniejsze, że budową interesowali się wszyscy, a duża większość okolicznych mieszkańców „była, za”, co było naszym głównym sukcesem.

Dzięki anonimowym pomocnikom nawiązałem kontakt z Nadleśnictwem, które pozwoliło mi nie tylko wybrać odpowiednie dla naszego placu zabaw drzewo, to jeszcze bezpłatnie je wycięło i przekazało. Poza tym poleciło też swoim pracownikom odpowiednio je, pod moim kierownictwem poprzycinać, tak, by dzieci mogły się na nim bezpiecznie bawić. Dziękuję panu, panie Grzybowski,

Gwaru wokół naszej budowy było dużo. Na dodatek nie tylko w mieście czy województwie. Okazało się, że jesteśmy prekursorami w budowie placów zabaw w kraju. Podobno przed nami tylko Szwedzi budowali place zabaw z drewna. Nie wiem czy to prawda, ale to nam powtarzano wychwalając spółdzielnię mieszkaniową za pomysł.

Budowa dobiegała końca, a ja ciągle nie miałem odpowiedniego stołu do „kącika rodziców”. Wymyśliłem, że powinien tam stać stół z przepołowionego grubego pnia. Niestety nigdzie nie udało mi się go dostać. Pewnego dnia, któryś z naszych dobrowolnych pomocników poinformował mnie, że w mrągowskim ratuszu po raz kolejny zmieniają wystawę w Muzeum. Część wystawy, która mieściła się na ratuszowym podwórku, ma zostać zlikwidowana. Główną częścią tej ekspozycji był wielki dębowy stół z przepołowionego pnia i odpowiednie ławy. Dokładnie taki, jaki wymarzyłem sobie do kącika rodziców na placu zabaw.

Wiedziałem, że prezes Worobiej jest przyjacielem naczelnika miasta (dzisiaj brzmiałoby to „burmistrza”), pana Antoniego Chudego. Fakt ten należało wykorzystać. Popędziłem do Prezesa i już po chwili miałem zgodę na przejęcie stołu – własności miasta Mrągowa na potrzeby placu zabaw „Królestwo Bolka i Lolka” na osiedlu Brzozowa. Oczywiście była to zgoda ustna, bo tak, tzn. „na słowo” prowadzona była cała ta budowa...

Zorganizowałem transport oraz kilku silnych mężczyzn do dźwigania i następnego dnia rano pojechaliśmy do Ratusza. Wejście na ratuszowe podwórko było otwarte. Wynieśliśmy stół i ogromnym wysiłkiem zapakowaliśmy na ciągnikową przyczepę. Ruszyliśmy w kierunku Brzozowej. Nie było nam jednak dane, dotrzeć tam bez przeszkód. Po drodze zafundowano nam akcję rodem z amerykańskich filmów gangsterskich. Dogoniła nas i zatrzymała jadąca na sygnale milicja. Wylegitymowali mnie i zapytali, co ja wiozę i skąd to mam. Odpowiedziałem, że wiozę stół, który naczelnik miasta podarował na potrzeby naszego placu zabaw. Milicjanci też byli mieszkańcami osiedla, więc od razu domyślili się, o

jaki stół i o jaki plac zabaw chodzi. Uśmieli się serdecznie, a potem wyjaśnili, dlaczego zostałem zatrzymany. Pan Naczelnik zapomniał poinformować ówczesnego kierownika wydziału kultury, że przekazał nam stół. Kiedy więc pan Kierownik Stanisław Dąbrowski zobaczył przez okno, jak odjeżdżam ze stołem na przyczepie, złapał za telefon i zadzwonił na policję: „Panowie! Alarm! Turek okradł muzeum! Proszę go natychmiast zatrzymać!!!”

Jak Beja zamknęła ośrodek wypoczynkowy.

Było to pod na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. W którym roku – już nie pamiętam, ale nie jest to też takie ważne. W każdym razie były to już czasy, kiedy stacje wodne na szlaku Krutyni, pierwotnie przeznaczone dla kajakarzy, zaczęły również zarabiać pieniądze przyjmując wczasowiczów na regularne dwutygodniowe turnusy wczasowe. Był to czas upadku tych pięknych, spokojnych stanic, w których spotykali się przy wieczornym ognisku kajakarze by pośpiewać przy gitarze, pogawędzić i wymienić kajakarskie doświadczenia. Zaczynał się etap ośrodków wczasowych, czyli wieczorków zapoznawczych zwanych przez nas złośliwie rozpoznawczymi, nocnych tańców i gigantofonów oraz niejednokrotnie, pijaństwa aż do świtu. Nie chciałbym tu imputować, że kajakarze byli bez grzechu. Wśród nich też, szczególnie, kiedy zebrała się grupa dorosłych, wypróżniono niejedną butelkę, i to niekoniecznie soku pomidorowego. Bywało też, że śpiewano, czy też nawet tańczono przy gitarze do świtu, jednak imprezy te nie przekraczały pewnych granic. Wszyscy pamiętali, że jutro trzeba płynąć dalej, a to wymagało wypoczynku. Jednocześnie coraz częściej szefami dawnych stanic wodnych stawali się coraz częściej hotelarze, albo, co gorzej ludzie spragnieni „szybkich pieniędzy”. Te zaś zdobywało się wtedy kosztem warunków zakwaterowania i wyżywienia turystów, oraz zatrudnianiem w stanicach ludzi, którzy nie mieli o tego rodzaju pracy żadnego pojęcia. Ważne, że nie trzeba było im zbyt dużo płacić. Wtedy też zaczęło się zjawisko zwane przez nas, kajakarzy „falą pomidorowej”.



Beja

Aby wyjaśnić to zjawisko muszę cofnąć się do połowy lat sześćdziesiątych, kiedy to zaczynałem moją kajakową przygodę. Większość stanic wodnych nie posiadała w tamtym czasie domków campingowych i na spływach nocowało się w namiotach, które rozstawialiśmy każdego wieczora, a raniem zwijaliśmy. Chlubnym wyjątkiem były stacje w Spychowiu, Krutyni i w Kamieniu. Być może były jeszcze domki w innych stanicach, ale takich szczegółów już nie pamiętam. Zasada była prosta. Skoro już ciągaliliśmy za sobą namioty, to korzystaliśmy z nich również tam, gdzie były domki. Dla nas najważniejszą budowlą każdej stanicji była wiata kuchenno–stołówkowa, a najważniejszą osobą kucharka. Gotowała zawsze tę samą zupę, a przy piecu można było wysuszyć przemoczone ciuchy. Pod stołówkową wiatą jedliśmy czekającą na nas zupę, a w razie deszczu można było tam posiedzieć tam z gitarą, by nie moknąć przy ognisku.

Zasada stanicowych kuchni dla kajakarzy była prosta. W każdej stacji kucharka gotowała zawsze tą samą zupę, ale inną niż zupy gotowane w kolejnych stanicach. O pozostałe wyżywienie musieliśmy już zadbać sami. System był prosty: prowiant na śniadanie i kolację woziliśmy ze sobą zaopatrując się w nielicznych wiejskich sklepach, na obiad była codziennie inna zupa w kolejnej stacji. W ten sposób wyżywienie było bardzo zróżnicowane, a zupa jedynym ciepłym posiłkiem kajakarza w ciągu dnia.

Kiedy w miejsce stanic nastąpiły ośrodki wczasowe, zbudowano w nich domki dla wczasowiczów i zainteresowanie kierownictwa przeszło się z kajakarzy na wczasowiczów.



„Psie budki” to te domki w głębi. Ten na pierwszym planie jest za duży na psią budkę. (Zdjęcie ze strony <http://www.stanicaspychowo.pl/>)

Plusem było to, że już nie musieliśmy dźwigać namiotów i wyżywienia, bo noclegi i całonocne wyżywienie zapewniały stacje, które były teraz ośrodkami wczasowymi. Minusem było, że gościły one coraz więcej wczasowiczów. Naturalnie, ośrodkowe kuchnie nie mogły już gotować codziennie tej samej zupy, bo większość gości pozostawała tam całe dwa tygodnie. Dla nich ustalano menu i nie uzgadniano tego z sąsiednimi ośrodkami. Tym, którzy ponieśli na tym największe straty, byli kajakarze. Zdarzało się, że trzy albo cztery dni po kolei jadali w kolejnych ośrodkach te same dania. Najczęściej zupę pomidorową. Stąd pochodzi powiedzenie, że jedziemy „na pomidorowej fali”. Każdego ranka, ruszając do następnego ośrodka zastanawialiśmy się, czy dzisiaj „pomidorowa fala” się przedłuży, czy też uda się nam zjeść coś innego.

Na wspomnianym już spływie byłem z Marcinem i z Asią, a z nami wybrał się nasz pies, który nas nigdy nie opuszczał, Beja. Pogoda wyjątkowo nas rozpieszczała, więc nawet początek pomidorowej fali nie był w stanie nas wyprowadzić z równowagi. Ta sama zupa w Bieńkach i w Babiętach dała się zjeść. Robiliśmy zakłady, czy w Spychowie trafimy na dalszy ciąg fali. Nie przejmowałem się jednak tym zbyt, ponieważ kierowniczką i zarazem kucharką w Spychowie była starsza pani, która od lat prowadziła stację i jak mało kto znała problemy kajakarzy. W razie potrzeby potrafiła nawet podać kajakarzom inne menu, niż dostawali wczasowicze. Wczesnym popołudniem, w porze obiadowej dobiiliśmy do brzegu. Po krótkim wywiadzie przeżyliśmy pierwsze rozczarowanie. Starszej pani już nie było w ośrodku. Teraz prowadzili ośrodek dwaj znani „biznesmeni” z Mrągowa. Znałem ich nawet z widzenia, ale z „wiadomych przyczyn” wołę ich nazwisk nie wspominać.

Rozpakowaliśmy kajaki, zakwaterowaliśmy w domkach zwanych przez nas już od lat psimi budkami i wybraliśmy się na obiad. Tam drugie rozczarowanie. Obiad fatalny. Jakaś tam, jak to nazywali chłopcy, „zupa ze ścierki”, a na drugie danie wołowa rolada. Niestety lekko śmierząca. Ponieważ prawie nikt nie był w stanie zjeść tego luksusu, zebrałem kilka porcji na talerz i postanowiłem nakarmić tym psa.

Beja pilnowała na przystani kajaków. Aby dojść ze stołówki do przystani musiałem przejść przez centralny plac stacji, dookoła którego zbudowane są domki. Był to czas

sjęsty¹²³. Kajakarze jedli obiad jako ostatnia stołówkowa zmiana, więc większość wczasowiczów, którzy obiad zjedli wcześniej, siedziało przy swoich domkach i odpoczywało po jedzeniu. Niektórzy z nich drzemali w cieniu drzew. Widownia spektaklu, który miał się chwilę całkowicie spontanicznie rozpocząć była spora.

Trzymając w ręku talerz z mięsem ruszyłem w stronę przystani by nakarmić psa. Ze mną poszedł Maciek Zborowski i mimowolnie został razem ze mną wplątany w dalszą część wywołanej przez psa afery.

Beja tymczasem znudziła się pilnowaniem kajaków i wyszła nam naprzeciw. Spokaliśmy się na samym środku głównego placu stancy. Postawiłem przed psem talerz z mięsem. Pies powąchał to uważnie, popatrzył na mnie z wyrzutem w oczach, jeszcze raz powąchał, odwrócił się ostentacyjnie i wolnym krokiem ruszył w stronę kajaków. Jego każdy ruch wyrażał przy tym najgłębszą pogardę do przyniesionego mu poczęstunku.

Na placu rozpętało się piekło. Z jednego z domków ruszyła w moim kierunku korpulentna pani. Minę miała taką, jakby chciała mnie pobić. Zastanawiałem się tylko, za co. Chyba, że za znęcanie się nad psem... Po tej pogardzie, jaki Beja okazała przyniesionemu obiadkowi wszystko było możliwe... Po chwili sytuacja się wyjaśniła.

-No i widzi pan, jak to jest.- Krzyknęła korpulentna pani,

-Nnnooo, - widzę..., ale nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi...

-Pies nie chce tego żreć, a nas karmią tak codziennie!!! – Wyjaśniła pani dość głośno. Krzyki korpulentnej Pani nie pozostały bez echa wśród mimowolnych widzów tego spektaklu. Większość z nich przerwała sjęstę ruszyła w stronę placu wznosząc podobne okrzyki. Nawet ci drzemający obudzili się i dołączyli do rosnącej gromady buntowników. Po chwili cały plac zamienił się w coś w rodzaju manifestacji przeciwko kierownictwu stancy, a przywódcami całego tego zamieszania zostaliśmy, ponieważ mianowani przez psa, ja i Maciek. Nie chcąc jednak mieszać się do polityki, wytłumaczyliśmy tłumowi, że my się na te stanowiska nie nadajemy, bo jutro rano ruszymy dalej. W ten sposób uniknęliśmy mianowania nas szefami rozruchów, a w przywództwo grupy oszukiwanych, teraz również zbuntowanych wczasowiczów, wrobiliśmy znaną już korpulentną panią.

Za naszą poradą (W tym momencie „robiliśmy za”¹²⁴ ekspertów i doradców strajkowych), buntownicy zadzwonili do wojewódzkiego oddziału PTTK¹²⁵, który odpowiadał za tą stanicę. Telefonować musieli naturalnie z poczty w Spychowie, bo telefon stancy był do tych celów niestety niedostępny. Młodzieży przypominam, że wszystko to działo się jeszcze w epoce „przedkomórkowej”, „przedkomputerowej i „przedinternetowej”. W tamtych zamierzczłych czasach bywał niestety tylko jeden telefon we wsi, na ogół u sołtysa, i to pod warunkiem, że to była większa wieś. Na szczęście Spychowo było wsią gminną i była tam nawet poczta, więc do godziny 16,00 istniał tam telefon.

¹²³ Sjęsta – krótka drzemka we wczesnych godzinach popołudniowych, często po obiedzie. Taki okres snu jest wspólną tradycją w niektórych krajach (głównie w basenie Morza Śródziemnego), zwłaszcza w słoneczny dzień. (Źródło: Wikipedia)

¹²⁴ „Robiliśmy za” – żartobliwie robić za oznacza udawać kogoś, podszywać się pod kogoś. Np. Robić za eksperta – w tym przypadku udawać eksperta lub z braku lepszych ekspertów starać się nim być. Z kolei powiedzenie „robić za małpę” nie oznacza jednak udawanie małpy, albo nie w pełni to oznacza. Powiedzenie to oznacza kogoś, kto bawi i rozśmiesza towarzystwo, czyli jest to taki trochę mniej intelektualny zwrot zastępczy za „duszę towarzystwa”.

¹²⁵ Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze (PTTK) – stowarzyszenie powstałe z połączenia w 1950 Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego, grupujące turystów i krajoznawców. Towarzystwo stawia sobie za zadanie upowszechnianie na terenie Polski turystyki kwalifikowanej i krajoznawstwa. (Źródło: Wikipedia)

Reakcja PTTK była natychmiastowa. Panowie kierownicy stacji musieli natychmiast zawiesić działalność kuchni, a wczasowiczom wypłacać godziwy ekwiwalent pieniężny, by mogli stołować się w innych restauracjach lub też na własną rękę. W każdym razie wczasujący w stacji Spychowo ludzie od natychmiast przestali być narażeni na groźbę zatrucia pokarmowego, a Beja stała się bohaterem dnia i była do końca pobytu w stacji karmiona najlepszymi przysmakami przez wszystkich wczasowiczów.



Melina. Dawniej cwaniak i spekulant, dzisiaj biznesmen.

Czym spekulant się różnił od biznesmena.

Nigdy nie byłem typem biznesmana. Prawdopodobnie wynikały z tego powodu poważne szkody finansowe dla mojej rodziny, ale nigdy nie potrafiłem znaleźć się w gronie ludzi, dla których celem życia było zarabianie pieniędzy. Być może wynikało to z wychowania. Możliwe, że dałem sobie to wmówić przez wszechobecny¹²⁶ komunizm.¹²⁷ Nie wiem. Taki po prostu jestem i tego nie da się zmienić. Jeżeli już musiałem podejmować jakieś działania czy też zająć się jakimiś sprawami, to zawsze w pierwszej kolejności załatwiane były sprawy innych. O sobie nigdy nie myślałem. Sprawy innych zawsze były ważniejsze.

Inna sprawa, że w tamtych czasach dobro i zło jakoś się dziwnie ze sobą splatało i nigdy nie było między tymi krańcowo różnymi zjawiskami jakiejś klarownej granicy. Granica ta, jeżeli się już gdzieś nieśmiało pojawiała, to była ona była jakaś dziwna, pokręcona i rozmyta. Pojawiły się też zamienniki klarownych kiedyś słów. Zamiast mówić kradzież czy złodziejstwo, mówiło się kombinowanie. Umieć kombinować, czy też umieć coś skombinować było cechą raczej dodatnią i wręcz podziwianą.

Jednocześnie w oficjalnej nowomowie człowiek, który potrafił „zakręcić się” koło jakiegoś interesu nie był, jak to jest dzisiaj, biznesmenem, lecz spekulantem i kombinatorem. Zaradność była ostro potępiana, a człowiek zaradny natychmiast otrzymywał „stempelek” kombinatora, cwaniaka i spekulanta.

Prawdziwymi kombinatorami nie byli jednak ci, których o to oskarżano. Kombinatorami byli na ogół ci, którzy tak łatwo szafowali tym słowem wobec innych. Najczęściej

¹²⁶ Komunizm – ideologia społeczna klasyfikowana jako utopijna, polityczna, gospodarcza, której celem jest utworzenie społeczeństwa komunistycznego, a więc społeczności opartej na wspólnej własności środków produkcji i braku różnic klasowych. W pismach Karola Marksa, Fryderyka Engelsa i innych teoretyków marksizmu, komunizm jest przyszłym ustrojem rozwiniętych społeczeństw, w którym wspólnota własności obejmować będzie przede wszystkim środki produkcji. Potocznie komunizmem nazywa się też ustrój polityczny: zaprowadzony w państwach, w których władzę zdobyły partie marksistowsko-leninowskie (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/>)

¹²⁷ W tym przypadku chodzi mi o fakt, że co piękniejsze i bardziej utopijne idee komunizmu przedstawiano nam, jako idee już w takcie realizacji, że za chwilę będziemy je wszędzie wokół nas mieli. Tylko człowiek okazał się jakiś dziwnie niedoskonały i nie umiał tego docenić. W ogóle, w każdej ideologii, zawsze najłagodniejszym elementem okazywał się człowiek, lecz my, jako dzieci, wierzyliśmy w to wszystko i próbowaliśmy nawet być tacy dobrzy, jak bohaterowie Makarenki.

ludzie na wysokich stanowiskach, szczególnie politycznych. Przy tym nikt nie potrafił ograniczyć ich pazerności, a piastowanie stanowisko politycznego dawało niemalże niekończące możliwości prawdziwego kombinowania „do własnej kieszeni”.

Kombinowali wszyscy. Nawet ja, biznesowy nieudacznik. Kombinowali bogaci, bo chcieli być jeszcze bogatsi. Kombinowali też biedni, bo nie mieli innych możliwości, by przeżyć. Kombinowały nawet dzieci, a ja byłem tego najlepszym przykładem.

Proza życia w początkach lat sześćdziesiątych. Pierwszy mrągowski biznes „na czarno”.

Był początek lat sześćdziesiątych. Komunizm dał pracę teoretycznie prawie wszystkim, lecz płace były nędzne. Sytuację na rynku pracy i płacy najdobitniej określało popularne powiedzonko: „Oni udają, że płacą, my udajemy, że pracujemy”. Nic dodać nic ująć. Prawie wszyscy mieli pracę, ale nikt nie mógł z niej wyżyć, więc każdy kombinował jak mógł. Niektórzy dorabiali półlegalnie, na przykład wypłatając koszyki czy wiążąc tzw. drapak. Inni mniej legalnie. Jak? Nie wiem. Nikt się tym nie chwalił. Mogę opowiedzieć tylko o sobie i o moim udziale w tym nielegalnym biznesie.

Kiedy się to zaczęło, miałem 11 albo 12 lat. Czyli więcej niż pięćdziesiąt lat temu. Przepęstwo dawno już przedawnione.

Najpierw zmarła prababica. Krótko po tym nasz Tata miał wypadek. Wyszedł z niego ze złamaną nogą i w efekcie stracił pracę. Kilka miesięcy później prace straciła mama. Rodzina pozostała bez środków do życia. Wspominałem już, że w tamtych czasach, nawet mając prace, trudno było przeżyć. Bez pracy stawało się to niemożliwe. Nie było wtedy takich wynalazków jak zasiłek dla rodzin wielodzietnych czy też zasiłek dla bezrobotnych. Jednocześnie, zgodnie z obowiązującą linią (!), bezrobotnych nie było. Byli jedynie leniwi i uchylający się od pracy dla socjalistycznej ojczyzny, a takim ani zasiłek, ani inna pomoc się po prostu nie należała.

Kiedy rodzice stracili pracę, rodzina znalazła się w najgorszej chyba sytuacji w swojej historii. Czwórka dzieci, tata po wypadku z uszkodzoną prawą nogą i tymczasem niedający się do żadnej pracy oraz mama, która straciła pracę w sklepie i nie było dla niej innej. Niby opiekuńcza komuna niestety się w tym przypadku nie sprawdziła i zostawiła nas „na lodzie”. Przez kilka miesięcy jeszcze jakoś się toczyło. Bardziej z rozpędu niż normalnie, Ale z dnia na dzień było gorzej.

Wtedy się zaczął się nasz „biznes”, chociaż tak naprawdę to nie znaleźliśmy nawet tego słowa. Z dnia na dzień staliśmy się w tej dziedzinie pionierami, czy jak to określała oficjalna nowomowa, spekulantami i kombinatorami..

Zanim przejdziemy jednak do spraw biznesowych, chciałbym w tym miejscu oświadczyć, że w tym najgorszym dla naszej rodziny czasie w domu często brakowało pieniędzy na podstawowe rzeczy. Często brakowało nam ciuchów, ale w tej kwestii pomagała nam rodzina z Bielefeld, przysyłając paczki¹²⁸ z używanymi ciuchami. Wiele z tych

¹²⁸ Od początku paczki obłożone były opłatami celnymi. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych opłaty te były nie za duże i paczki z Niemiec w sposób oczywisty poprawiały jakość naszego życia. Potem komuniści też postanowili na tym interesie zarobić i obłożyli paczki zaporowymi cłami. Opłaty celne przewyższyły trzykrotną miesięczną pensję prowincjonalnego robotnika. Na takie opłaty nie było nas stać. Wkrótce okazało się jednak, że z opata tych zwolnieni są renciści i emeryci. Sprawa była prosta. Za niewielką opłatą paczki zaczęły przychodzić „na słupa”. W naszym przypadku stępem była baszy sąsiadka (mieszkałszy wtedy jeszcze na stadionie) i właścicielka budki z lodami, pani Pietrzakowa.

ciuchów pasowała na nas i te zatrzymaliśmy do naszego użytku, pozostałe mama sprzedawała znajomym, aby za zarobione w ten sposób pieniądze kupić nam inne, brakujące ciuchy, albo też wzmacniała nimi nasz w tam czasie nader skromny budżet. Nigdy jednak nie brakowało nam jedzenia. Tego było w naszym domu zawsze pod dostatkiem. No, może momentami nie było chleba. Ale zawsze była kielbasa i mięso. W dodatku zawsze w najlepszym gatunku. Najpierw masarnicy¹²⁹ dbali o rodzinę przyjaciela, potem przyszły czasy meliny. Jeszcze później tata znalazł pracę. Gorzej było w czasie kolejnego kryzysu, kiedy tata zmarł. Były to już inne czasy i dalsze prowadzenie „czarnego” biznesu było niemożliwe. Wróćmy jednak do czasów pierwszego kryzysu.

„Pod Kulasem”.

Tata był nie tylko osobą znaną w naszym miasteczku, ale on też „znał wszystkich”, a przede wszystkim pracowników masarni mającej swoją siedzibę naprzeciwko naszego domu. Z niektórymi z nich był nawet zaprzyjaźniony. Wiedział też, że kilka razy dziennie któryś z nich „urywa się” na chwilę i „leci” do monopolowego po zaopatrzenie. Na tej podstawie powstał pomysł, który dzisiejszych czasach nazwano by „biznesplanem”. Plan był prosty. Dlaczego któryś z pracowników masarni miał systematycznie, kilka razy dziennie przerywać pracę i wychodzić na godzinę albo i na dłużej, by zrobić sprawunki „dla całej załogi”. Przecież w sprzyjających okolicznościach można te sprawunki załatwić w ciągu kilku minut. Wygodniej i szybciej byłoby dokonanie niezbędnych zakupów gdzieś niedaleko i bez stania w kolejce. Za to warto by było nawet uiścić drobną dopłatę. Zysk byłby i dla pracowników i dla firmy. Nikt nie musiałby biegać do monopolu na drugim końcu miasta, co do tej pory powodowało codzienne przerwy w pracy.

W dzisiejszym biznesplanie po stronie minusów pojawiłaby się uwaga o podwyższonej cenie towaru, a po stronie plusów byłyby zapisy o dostępności towaru byłą całą dobę, i o znacznym przybliżeniu towaru do klienta. Najbliższy sklep z wiadomym towarem był na Kościuszki, drugi na Czerwonej Armii. Możliwość zakupu towaru po drugiej stronie ulicy zmniejszyłby nieuzasadnione przerwy w pracy a dotychczasowi „zaopatrzeniowcy” uniknąłby jakże niebezpiecznych spotkań z pracownikami biurowymi PSS. Spotkania takie kończyły się najczęściej naganą, co nie było zbyt bolesne, ale w powiązaniu z utratą miesięcznej, a czasami nawet kwartalnej premii, było już dokuczliwe.

Wniosek z biznesplanu (W tamtych czasach nikt jeszcze nie znał tego słowa, mimo to bez planu trudno było stworzyć biznes, czyli jak wówczas mówiono, interes), był jeden: wyższa cena alkoholu u sąsiada, czyli „na Melinie” nie jest tak dokuczliwa jak utrata premii i inne szykany pracodawcy. Tym bardziej, że organizowana wtedy przez moją tatę pierwsza melina w mieście z czasem zaczęła też świadczyć inne usługi. Na przykład krótkoterminowe pożyczki. Ich wysokość wynosiła na ogół nie więcej niż melinowa cena jednej butelki wódki, a czas spłaty określano na ogół na „najpóźniej jeden dzień po wypłacie”. Oczywiście nie spisywano żadnych umów i nie prowadzono żadnych wykazów dłużników. Taki wykaz byłby w razie wpadki „dowodem w sprawie”, a dług „na melinie” należał do długów honorowych i nikt nie miałby odwagi go nie spłacić. Gdyby się jednak taki odważny pojawił, koledzy by go palcami wytykali, a możliwość zakupu alkoholu poza monopolowym znikłaby dla takiego typa natychmiast.

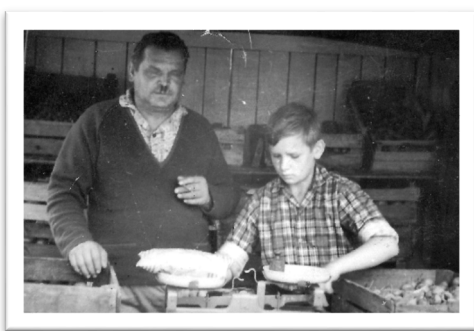
¹²⁹ Pracownicy masarni.

Z biegiem czasu nasz „punk usługowy” zyskał status „czynny całą dobę”, bo wieść o nim rozniósła się po mieście i obsługiwano w nim już nie tylko masarników, czyli pracowników masarni, ale też innych „potrzebujących”. Najpierw byli to pracownicy niedalekiej rzeźni, a potem wielu, wielu innych. Nawet milicja wpadała czasami, lecz przyznać trzeba, że nieczęsto, na „nocną kontrolę”. Dodam tu, że milicjanci zawsze płacili za towar. Były to czasy, kiedy milicjanci jeszcze nie ściągali w ten sposób haraczu.

W tym czasie nasz tata był po wypadku i chodził o kulach, a potem, przez jakiś czas przy pomocy laski. Dzięki temu melina uzyskała nazwę „Pod Kulasem” i pod tą nazwą znana była w mieście dość powszechnie.

Mój udział w przestępczym interesie.

Jaki był mój udział w tym biznesie? Początkowo żaden, ale z czasem coraz większy. Moim wkładem była praca. Po prostu wyobrażano sobie wówczas, że nikt nie będzie podejrzewał dwunastolatka o udział w nielegalnych działaniach spekulacyjnych. Tak też było. Po pewnym czasie działalności meliny „pod Kulasem” okazało się, że masarnicy nie zawsze mieli gotówkę, aby opłacić zakupy. Krótkotrwała działalność pożyczkowa nie sprawdzała się w tym przypadku, bo stali klienci musieliby „po wypłacie” oddać całą swoją wypłatę, a biznes, czy jak to w tamtych czasach nazywano, interes, cierpiałby na permanentny brak płynności finansowej i zbankrutował. Aby tego uniknąć szef interesu „pod Kulasem” zaczął przyjmować zapłatę w towarze, czyli w naturaliach. Jakimi naturaliami dysponowali, bo tylko ich dotyczyła ta zasada, masarnicy czy też rzeźnicy? Oczywiście, nazwijmy to po imieniu, było to skradzione mięso i wyroby wędliniarskie. Zawsze świeże i zawsze w najlepszym gatunku, pochodziły przecież „z pierwszej ręki” i od najlepszych fachowców.



1962(?). Z Tatą, jako sprzedawca w straganie z warzywami naprzeciw ratusza. Rodzice prowadzili sezonowy kiosk z warzywami. Ja byłem tym, który w tym kiosku najczęściej sprzedawał. Wymalowanie tej budy farbą olejną przed sezonem, to była też moja praca. Pierwszego roku, kiedy nie miałem jeszcze trzymać pedzla, narobiłem sobie ogromnych, krwawiących odcisków. Mimo to, pracę trzeba było skończyć. Zarabiano się tylko wtedy, gdy był obrót...

Do „Afery Mięsnej”, jak w tym samym czasie w stolicy, nie doszło. Była w tym na pewno i moja zasługa. Nikt przecież nie podejrzewał dwunasto-, czy też trzynastolatka o udział w zorganizowanym procederze przestępczym. Ale o tym potem.

W bardzo krótkim czasie okazało się, że z handlu mamy coraz więcej mięsa i wyrobów, a coraz mniej gotówki. Rodzina nie nadążała z konsumpcją i coraz więcej towaru gromadziło się w domu. Coraz trudniej było o główkę na zaopatrzenie interesu. Trzeba było działać. Najpierw mama zaczęła rozprowadzać nadmiar wyrobów wśród bliższych i dalszych, a z biegiem czasu, coraz to dalszych, sąsiadów. To nie wystarczało, potrzebne były decyzje bardzo radykalne.

Jak już wspominałem, nasi rodzice całe swoje zawodowe życie pracowali w mągowskim handlu. Bardzo często pomagałem im w pracy. Kiedy tata pracował w kiosku, zwanym potem przez wiele lat, a nawet po śmierci taty „U Turka”, często pomagałem mu przy wykładaniu towaru na półki, układaniem czekolad i innych słodczych w witrynach itp.

Kiedy mama pracowała w pasmanterii również często stałem tam za ladą. Jako dziesięcio- czy jedenastolatek nie byłem dopuszczany do lewej strony lady, gdzie sprzedawało się biustonosze, ale po prawej stronie, tam gdzie były igły, nici tasiemki, guziki i wiele innych towarów, byłem prawie ekspertem. Zmieniło się to, kiedy MHD¹³⁰ zatrudniło uczennicę, która miała w sklepie dwa razy w tygodniu praktykę. Od tego czasu ja miałem dwa popołudnia wolne.

Na początku lat sześćdziesiątych rodzice prowadzili w sezonie letnim kiosk z warzywami i owocami naprzeciwko ratusza. Przed sezonem malowałem ten kiosk farbą olejną na zielono. Ponieważ trzymanie pędzla nie było wtedy moją mocniejszą stroną, po wymalowaniu kiosku miałem na wszystkich palcach krwawiące bąble – odciski. Pracę skończyłem jednak na czas. Jak się prawidłowo trzyma pędzel w rękę nauczyłem się dopiero parę lat później, kiedy pomagałem мамie w pracy w sklepie chemicznym na Placu Kajki. Tam zaopatrywali się w farby i odpowiedni sprzęt zawodowi malarze i oni nauczyli mnie tak trzymać pędzel, by się nie nabawić odcisków.

Z kioskiem warzywniczym kojarzy mi się jeszcze jeden fakt. Dzisiaj powiedziałbym, że całkiem przypadkowo wygrałem wówczas konkurs na najpiękniejszą sklepową wystawę w mieście.

Bało to tak: Któregoś dnia, jak niemalże codziennie zastępowałem przez dłuższy czas rodziców w kiosku. Przyjąłem właśnie towar. Świeżutkie, niemalże prosto z drzewa wiśnie. Nie było większego ruchu i nawet te cudowne wiśnie początkowo nikogo nie kuśiły. Był to pierwszy w tym roku zbiór, więc ceny były raczej wysokie, co również być przyczyną sprzedażowej flauty. Nudziłem się. Z nudów pokroiłem papier pakowy i zacząłem z niego robić tutki¹³¹. Dla młodych: były to czasy, że byliśmy szczęśliwi, jeśli dostępny był papier pakowy i nie trzeba było zawijać towaru w gazetę. Wszechobecne dzisiaj torebki plastikowe pojawiły się wiele lat później. Robienie papierowych tutek należało do umiejętności każdego sprzedawcy. Szczególnie sprzedawcy towarów sypkich.

Przy umiejętnym zawinięciu dolnego różka, tutka nie rozpadała się. Napelniona zaś do trzech czwartych pojemności cukierkami czy też, jak w moim przypadku wiśniami i położona dłuższym końcem do dołu, towarem w stronę konsumenta, doskonale prezentowała w sposób „niedbało – elegancki” wystawiony w niej towar. Kiedy skończyłem przycinanie papieru i robienie zapasu tutek na wypadek zwiększonej sprzedaży wiśni, nadal się nudziłem. Postanowiłem zagospodarować puste półki straganu. Powinny tam stać skrzynki z wiśniami, ale mianem za mało siły, aby je tym umieścić. Stały one zatem w rogu straganu jako sztapel. Przeznaczone na nie półki postanowiłem wykorzystać na tutki napelnione wiśniami. Pomyślałem sobie, że na wypadek, gdyby nagle pojawiła się większa ilość klientów na raz, przygotuję sobie pewną ilość torebek po pół kilograma wiśni w każdej. Mógłbym ich szybko obsłużyć i nie musieliby stać w kolejce. Wypełnione przepięknymi wiśniami otwarte torebki ułożyłem na pustych półkach odwrócone towarem do potencjalnego klienta.

Wyglądało to pięknie. Tak pięknie, że sam wyszedłem przed stragan, aby podziwiać moje dzieło. Wtedy do straganu podszedł starszy pan. Jak się potem okazało, był to prezes Spółdzielni Pszczelarsko Ogrodniczej, czyli pracodawca moich rodziców. Dzisiaj

¹³⁰ MHD - Miejski Handel detaliczny. Jedna z firm handlowych prowadzących sklepy w mieście w tamtych czasach

¹³¹ Tutka, nm., torebka z papieru, zawiniętego lejkowato, na towary suche i sypkie; rurka; rurka z bibułki do papierosów // M. Arcta Słownik ilustrowany języka polskiego

(Źródło: https://pl.wikisource.org/wiki/M._Arcta_%5C%82ownik_ilustrowany_%C4%99zuka_polskiego/Tutka)

stwierdzam, że znał się facet na handlu. Powiedział mi, że to piękna wystawa i wszyscy straganiarze z jego firmy powinny brać ze mnie przykład, a na koniec naszej rozmowy stwierdził, że nie wie jak to będzie u innych straganiarzy, ale ja na pewno sprzedam wszystkie wiśnie jeszcze dzisiaj. Miał facet rację. Tak się stało. Kilka godzin później, mimo nie najniższej ceny, wiśni już nie było. Okazało się, że nawet w głębokim komunizmie reklama nadal pozostała dźwignią handlu i dawała sobie radę nawet z wysokimi cenami. Była to pierwsza lekcja praw rynku w moim życiu.

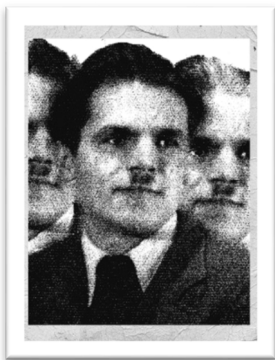
Wróćmy jednak do tematu, czyli do meliny „Pod Kulasem”. Moim obowiązkiem w tym interesie był obnośny handel detaliczny mięsem i wyrobami wędliniarskimi. W niedługim czasie stałem się w tej dziedzinie całkiem niezłym fachowcem, który potrafił prowadzić długie dysputy z klientkami na temat dostarczanego im towaru. Kim były klientki? To proste. Klientkami były sprzedawczynie pracujące w mrągowskich sklepach. Znałem je wszystkie, bo były one koleżankami z pracy moich rodziców. Ponieważ w tej pracy ja też się ciągle gdzieś tam przewijałem, były one również moimi znajomymi. Kiedy „na tapecie” stanął problem sprzedaży wyrobów, które były nie tylko doskonałej jakości, ale też tańsze niż w sklepie, mama pomyślała o swoich koleżankach. Dystrybucją „lewych” towarów musiał się zająć ktoś „mało podpadający”. Padło na mnie, ponieważ z powodu mojego młodego wieku spełniałem ten ważny warunek. Dodatkowo, miałem jeszcze jeden atut. Byłem dobrym znajomym wszystkich pań sprzedawczyń, czy jak to się w tym czasie nazywało, sklepowych. Dodatkowo, jak już wspominałem, byłem po praktykach handlowych w sklepach, w których pracowali moi rodzice. Znałem się na handlu i do tego całkiem niezłe liczyłem, szczególnie w pamięci. Znałem się też, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, na marketingu, chociaż wtedy nie znałem nawet tego wyrazu. Wyraz ten był w tych czasach wyrazem obcym, a nawet bardzo obcym. I to w nie tylko moim środowisku, ale też we wszystkich innych mrągowskich środowiskach, łącznie ze środowiskami zbliżonymi do handlu. Niemniej, zawsze wiedziałem, kiedy obniżyć cenę, jak przekonać kogoś do kupna czegoś, na co klient nie do końca miał ochotę i miałem zawsze na podorędziu kilka tricków, w dzisiejszych czasach zwanych marketingowymi, które w efekcie zwiększały moje obroty¹³². Muszę się pochwalić, że byłem doskonałym łącznikiem między firmą „Pod Kulasem” i odbiorcami naszych towarów, ponieważ, byłem przez nich bardzo lubiany. Zyskałem wśród nich nawet ksywkę „Nasz Student”.

Od czasu, gdy zastartowała firma, mogłem korzystać z wolnego po lekcjach czasu dopiero po odbyciu rudki handlowej przez miasto. Kiedy wracałem ze szkoły do ręki wciśkano mi teczkę wypełnioną towarem. Mama informowała mnie, co jest w środku i jakie obowiązują aktualnie ceny. Podane przez mamę ceny były tylko wskazówką, do której, w zależności od okoliczności mogłem, ale nie musiałem się stosować. W uzasadnionych przypadkach miałem prawo do samodzielnego kształtowania cen. Dzisiaj wiem, że takie są zasady marketingu. Wtedy tak się po prostu pracowało. Mój wrodzony talent handlowca – „naturaśczyka¹³³” mógł się w tych warunkach bez przeszkód rozwijać.

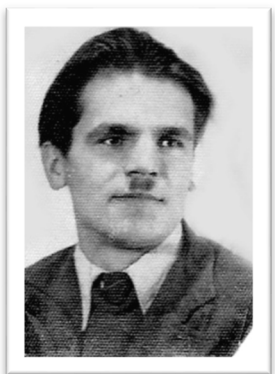
¹³² Pisząc tą część wspomnień zdałem sobie sprawę, że w swoim dorosłym życiu zawsze dużym łukiem omijałem wszystkie propozycje pracy, które miały cokolwiek wspólnego za sprzedaż. Widocznie podświadome doświadczenia z dzieciństwa wypełniły moją potrzebę pracy w tej dziedzinie. Jednak, kiedy w firmie Naviflash przez jakiś czas odpowiadałem za sprzedawców, mieli oni ze mną ciężkie życie. Mimo iż byłem tylko w tej dziedzinie „naturaśczykiem” z dumą stwierdzam, że byłem lepszy o tych, którzy uważali się za zawodowców, co im niejednokrotnie udowodniłem, a klienci dzwonili bezpośrednio do mnie, chociaż w tej firmie byłem tylko księgowym.

¹³³ Naturaśczyk - (1) osoba biorąca udział w filmie lub przedstawieniu niebędąca zawodowym aktorem; (2) osoba zajmująca się jakąś dziedziną bez wykształcenia zawodowego w tym kierunku. (Źródło: <https://sjp.pl/naturaśczyk>)

Najpierw szedłem do sklepu nabiłowego na skrzyżowaniu ulic Warszawskiej i Małej Warszawskiej, znanego kiedyś, jako „Sklep pod Kasztanem”, potem, jako „Sklep pod Świętym Kasztanem”. Tam panie pozwalały mi zważyć poszczególne partie towaru. Za tą uprzejmość panie miały u mnie promocyjne ceny, a czasami nawet jakiś kawałek wędliny gratis. Potem zaczynała się pielgrzymka od sklepu do sklepu przez całe miasto. Najbardziej lubiłem duże sklepy, takie jak RDT czy WDT¹³⁴, w których pracowało więcej sprzedawczyń. Tam sprzedawałem najwięcej wyrobów. Jak miałem szczęście, to pozbywałem się tam całego towaru i nie musiałem latać po małych sklepach aż w okolice szpitala. Najczęściej tam jednak był najdalszy punkt mojej rundy. Kiedy miałem pecha i nie pozbyłem się całego towaru, w drodze powrotnej skręcałem jeszcze na ulice Bohaterów Warszawy, gdzie były jeszcze dwa sklepy.



1948 (?) Tata. Zdjęcia są artystycznym dziełem naszej mamy



Po zakończeniu rundy sprzedażowej pozostawało jeszcze zaopatrzenie. W mojej służbowej torbie mieściło się, o ile dobrze pamiętam, sześć półlitrowek. Czasami obrót był mniejszy i nie miałem wystarczająco dużo pieniędzy, więc kupowałem mniej. Miałem wtedy łzej, bo sześć butelek gorzały waży niemało i było co dźwigać.

Na ogół zaopatrywałem się w monopolowym przy skrzyżowaniu ulic Kościuszki i Mickiewicza i stamtąd bliżej było do domu. Czasami musiałem się jednak zaopatrywać przy ulicy Czerwonej Armii (dziś Królewiecka). Wtedy dotrzeć do domu było trudniej.

Jeżeli kogoś trapi pytanie, kto sprzedawał małaolatowi gorzałę, odpowiadam: Po pierwsze – byłem na tyle młody, że nikomu nie przyszłoby do głowy, że ja całą tą gorzałą wypiję. Po drugie, między moim ojcem a sprzedawcami było to załatwione. Jak załatwione, nie wiem, ale z pewnością nie za darmo. W interesach ponosi się też koszty... Ja miałem tylko wejść do sklepu, podać pustą teczkę, zapłacić i odebrać pełną teczkę. Poza tym, była to epoka filmów wojennych, w której oglądaliśmy setki filmów o tępych Niemcach i mądrych konspiratorach. W tym przypadku my byliśmy tymi mądrymi konspiratorami i do głowy by nam nie przyszło, że ktoś mógłby rozszyfrować, że gówniarz z pełną teczką może nielegalnie roz-

prowadzać mięso lub też kupować gorzałę. Nigdy w życiu! My byliśmy przecież „ci dobrzy”!

Jeszcze tylko apel do zwolenników, popleczników i innych wyznawców ministra – prokuratora Z. Jestem ostatnim żyjącym uczestnikiem tego niecnego proceduru. Nie ma potrzeby, by szukać innych jego uczestników. Faktem jest, że już ich nie ma, a upływ czasu dał nam immunitet. Po ponad pięćdziesięciu latach prawo, zarówno te ówczesne, komunistyczne, jak i te dzisiejsze, nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Nie traktujcie tych wyznań samooskarżenie, lecz jako obrazek folklorystyczny z Banditenstrasse.

¹³⁴ RDT, WDT, Rolniczy Dom Towarowy, Wiejski Dom Towarowy. Sklepy przy ulicy Warszawskiej.

Dyplom (acja). Dyplomy na (słusznie wy) czerpanym papierze.

Dyplomowa moda.

“Dyplomację“, czyli manię wręczania dyplomów uznania przy każdej okazji i z każdego powodu można uznać za trochę śmieszna i trochę żenująca, lecz była ona częścią tamtych czasów i naszego ówczesnego życia. Częścią, czasami humorystyczną (patrz przykład mój i mojego i taty), ale czasami też niebezpieczną (patrz przykład mojej mamy).

Jak już wspominałem, dyplomy otrzymywało się wówczas przy różnych okazjach i z różnych powodów. Okazjami były: Pierwszy Maja, czyli Święto Pracy, Święto Odrodzenia Polski, każda kolejna rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i kilka innych. Przyczyny czy też powody wręczania dyplomów też były różne. Dyplom można było otrzymać „za wszystko“. Za dobrą pracę, czyli wkład w odbudowę Ludowej Ojczyzny i budowę socjalizmu, za wkład w realizację planu sześcioletniego i wszystkich następnych, za osiągnięcia w pracy zawodowej lub za taką czy inną działalność społeczną. Szczególnie ważne, bo niejednokrotnie powiązane z poważnymi premiami były dyplomy za udział i dobre wyniki we wszelkiego rodzaju współzawodnictwach pracy¹³⁵. Mogła to być działalność w organizacji młodzieżowych, w turystyce czy też upowszechnianiu kultury. Powodom nie było końca...

Osobnym rozdziałem były dyplomy sportowe, czyli za zwycięstwo czy też tylko za udział w różnego rodzaju tak modnych wtedy masowych imprezach sportowych. Należałoby jednak przy tym wspomnieć, iż ówczesny sport nie był sposobem na zarabianie pieniędzy. Sport nie zatracił wtedy jeszcze swoich pierwotnych idei i służył przede wszystkim rekreacji i miłemu spędzaniu wolnego czasu. Masowe imprezy sportowe były naprawdę masowe i to nie tylko pod względem ilości kibiców, ale też ilości uczestników. Sprawiły one spracowanym ludziom wiele radości. Nie pamiętam np. zakładowej wycieczki na skrzyni towarowego “Lublina” na specjalnie do tego celu przygotowanych ławach z prostych desek do lasu czy nad jezioro (poza tymi „na grzyby”), na której nie rozпинаłoby się natychmiast między drzewami siatki do siatkówki i to wcale nie w celach dekoracyjnych. Oczywiście byli i tacy, których po takiej wycieczce w stanie wskazującym wrzucano na skrzynię samochodu, a potem pomagano mu dotrzeć do domu. Byli „za słabi”, by dotrzeć tam samodzielnie. Lecz faktem jest, iż wszyscy bawili się doskonale.



Jedyné zdjęcie ślubné rodziców.

¹³⁵ Współzawodnictwo międzyzakładowe to była całkiem inna historia. Nie pamiętam jak wyglądały takie współzawodnictwa w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ale w latach siedemdziesiątych byłem już, jak mówią Niemcy, “voll dabei”. Współzawodnictwo takie mógł wygrać tylko taki zakład pracy, którego szef rozumiał kilka podstawowych zasad. Zasady te nie były skomplikowane, ale dla ludzi umiejących myśleć ekonomicznie nieco trudne w zastosowaniu – rozum niestety się buntował. Współzawodniczące zakłady oceniane były poprzez różnego rodzaju procentowe wskaźniki wzrostu. Zasada niesamowicie prosta, lecz życie jak zwykle płata figle. Na przykład: bardzo zły zakład, który nagle zaczął cokolwiek robić, miał dużo większe procentowe przyrosty wskaźników, niż zakład dobry, więc bez trudu wygrywał takie współzawodnictwo. Popatrzmy na to okiem ekonomisty. Jeden zakład, w naszym przykładzie ten ze złymi wynikami, miał np. 10.000,00 zł obrotów. W następnym roku zwiększył je o 5.000,00 zł. Wskaźnik obrotów wzrósł w tym przypadku o 50%. Dobry zakład miał w tym samym czasie 100.000,00 zł obrotów i w następnym roku zwiększył je o 25.000,00 zł, czyli osiągnął tylko 25% wzrostu. Kto wygrywał? Wiadomo. Ten, kto miał większy wskaźnik wzrostu!!! Realna gotówka w tym przypadku mało znacząca. No może nie do końca. Znacząca, ale dopiero później i jej znaczenie przekładało się na sporą premię dla zwycięzcy. Ponieważ wygrana łączyła się z dużymi premiami dla załogi, szefowie firm szybko zrozumieli istotę wygranej. Wygrać można było tylko co drugi rok. W pierwszym roku należało zaniedbać firmę, a w drugim ją z tego wyciągnąć. Wskaźniki rosły gwałtownie, że załoga miała zapewnioną dodatkową roczną premię.

W tym miejscu nasuwa się pytanie: A może robiono to po to, aby oderwać ludzi od szarej codzienności. Być może. Nie wiem. Niech się tym zajmą młodzi specjaliści z IPN. Oni, ze swoim doświadczeniem wiedzą na pewno więcej. Ja za to wiem, jak było to odbierane „tam na dole”.

Mój ulubiony dyplom.

W każdym razie możliwości i okazji do wręczania dyplomów było wiele. Może zbyt wiele... Dlatego moim ulubionym dyplomem jest ten, który otrzymałem z okazji Dnia Działacza Kultury w 1980 roku. Wręczał go mi, jak i wielu innym zebranych naczelnik Miasta Mrągowa, pan Antoni Chudy. Czyżby dyplom był dla mnie tak ważny z tego właśnie powodu? Niekoniecznie, albo może nie tylko z tego powodu. Najważniejsza w tej historii jest sama gala, na której został ten dyplom wręczony i okolicznościowe przemówienie, które wygłosił z tej okazji pan Naczelnik. Przemówienia, z którego pamiętam tylko ostatnie zdanie. Ostatnie, ale jakże znaczące.



Dyplom, który się wprawdzie zdaniem Naczelnika Miasta zdewaluował, ale mimo to...

Zacznijmy od początku. Zbliżał się Dzień Działacza Kultury. Dzień ten był zawsze uroczystie obchodzony w całej Polsce, więc i nasz pan Naczelnik zorganizował w Domu Kultury galę. Zaprosił na nią wszystkich animatorów kultury czyli, jak to się wtedy nazywało, działaczy kultury naszego miasta. Dla władz była to, jak co roku, wspaniała okazja, aby nam, społecznikom, podziękować za naszą pracę i wręczyć kolejną partię dyplomów. Impreza była jak się patrzy. Mężczyźni wbili się w garnitury, kobiety w super kreacje. Przybyły władze miasta. Poza Naczelnikiem był i Pierwszy Sekretarz jedynej i słusznie minionej Partii. Głos zabrali i towarzysze i goście. Jako ostatni przemawiał gospodarz spotkania, Naczelnik Miasta. Mówił ciekawie, a mowę zakończył zdaniem: „Wprawdzie dyplomy się ostatnio zdewaluowały, ale myśmy Państwu po jednym przygotowali...”, po czym wręczył każdemu z nas zasłużony niewątpliwie dyplom. Czy po tak niekonwencjonalnym przemówieniu mógłbym nie polubić mojego dyplomu???

Dyplomy naszego taty.

Zupełnie inną dziedziną były dyplomy sportowe. W tej dziedzinie specjalistą był mój tata. Niestety, w moim IPN¹³⁶ uchował się tylko jeden jego dyplom. Dyplom za zajęcie pierwszego miejsca w Biegach Narodowych (cokolwiek by to nie było) w dniu 15 kwietnia

¹³⁶ Mój IPN, czyli ilustracje z Pudełka po Niciach - porządkując kiedyś strych znalazłem tam stare pudełko po niciach. Leżało sobie zakurzone w kąciuku. Od dawna nikt do niego nie zaglądał i nikt już nie pamiętał, co kryje w swoim niepozornym wnętrzu... Skromne, niepozorne pudełko przeżyło z nami niejedną dziejową burzę, niejednen stres i kryzys. Tak wrosło w „wędrowną” część naszego inwentarza, że praktycznie nieotwierane i, można by powiedzieć, zupełnie zbędne, przeżyło z nami również emigrację i liczne przeprowadzki. Otworzyłem i zaniemówiłem... W środku była prawdziwa bomba!!! Bomba większa od „Teczek Macierewicz” i „Szafy Lesiaaka” razem wziętych!!! Były tam zdjęcia dokumentujące działalność moją i ludzi ze mną w różnych okresach mojego życia związanych. Zdjęcia, które zdemaskują i mnie i ludzi ze mną związanych. Zdjęcia, które udowodnią np. naszą przynależność do zbrodniczej, reżimowej organizacji ZHP, w której działaliśmy bardzo aktywnie. Mało tego, niektórym z nas udowodnią, że przynależeli w tzw. reżimowego LWP, czyli, mówiąc po prostu, odbyli kiedyś służbę wojskową.

1951 roku w Mrągowie¹³⁷. Jak on tego dokonał, nie wiem. Ja pamiętam go, jako zagorzałego kibica. Jego postura nie wskazywała jednak na to, by miał cokolwiek wspólnego z biegami przełajowymi. Raczej z wagą superciężką w boksie, w którym w tamtych czasach odniósł również swoisty sukces. Zdobył tytuł, z rozmysłem nie piszę, że był, bokserskiego mistrza województwa olsztyńskiego w wadze ciężkiej czy też superciężkiej.

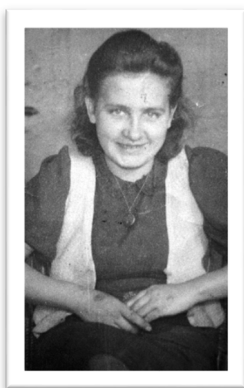
Historię tę znam z opowieści jego kolegów, działaczy sportowych. Opowiadali mi to już kilka lat po jego śmierci. Z tej przyczyny nie mogłem tej opowieści zweryfikować ze wspomnieniami głównego jej bohatera, zatem powtarzam ją tak, jak usłyszałem. Historia ta ma z pewnością również wątki zmyślane lub przynajmniej podkoloryzowane, lecz w swojej istocie jest prawdziwa. Potwierdzał ją odpowiedni dyplom, który wisiał kiedyś na honorowym miejscu w naszym domu. Niestety zaginął gdzieś w dziejowych burzach naszej rodziny.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych tata mój był już, jak mówią jego ówczesne zdjęcia, „słusznej postury” wskazującej raczej na działacza, niż na aktywnego sportowca. Mrągowski klub sportowy (nie wiem, czy był to jeszcze „Start” czy już „Mazur”) brał udział w Mistrzostwach Województwa Olsztyńskiego w boksie. Poza zawodnikami wybrali się tam oczywiście. A może przede wszystkim działacze. W tym również mój tata. Mrągowski klub nie odniósł w tych zawodach specjalnych sukcesów. Poza jednym. Bardzo spektakularnym. Mój tata, przypominam – działacz, 120 kg wagi, został bokserskim mistrzem województwa w wadze ciężkiej.

Jak do tego doszło? Otóż mrągowianie dowiedzieli się, że jest tylko jeden kandydat do tytułu mistrza w wadze ciężkiej czy też superciężkiej. Tytuł zdobędzie bez walki, bo nie ma przeciwnika. Jeżeli znajdzie się jakiś przeciwnik, to walka się odbędzie, a przegrany będzie wicemistrzem i dodatkowo zdobędzie tak cenne punkty dla zespołu. Decyzja zapadła szybko. Z postury na zawodnika tej wagi nadawał się tylko mój tata. Szybko przeko-



Młynowo 1948. Mama i Tata.

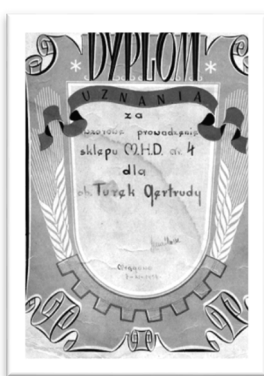
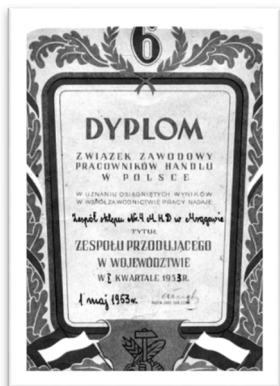


¹³⁷ Dwa i pół miesiąca później, 1. Lipca ja przyszedłem na świat.

nano go, że ma tylko wejść na ring, podłożyć się i zostać wicemistrzem. Cena będzie niewielka – ewentualnie kilka siniaków. Przebrano go za boksera i wypuszczono na ring. Rzeczywistość przekroczyła wszelkie oczekiwania. Przeciwnik zobaczył na ringu potężnego chłopa i stchórzył. Poddął się bez walki. Mrągowski klub sportowy uzyskał upragnione punkty, a mój tata, Mieczysław Turek, został bokserskim mistrzem województwa. Była to jedyna w jego życiu “walka bokserska” i jedyny jego pobyt na ringu, ale za to bardzo brzemnienny w skutkach...

Dyplomy naszej mamy.

Zupełnie inną historię mają dyplomy mojej mamy. Mama była cenionym w mieście pracownikiem uspołecznionego (tak się to wówczas nazywało) handlu. Przez wiele lat prowadziła sklepy MHD (Miejskiego Handlu Detalicznego), PSS (Powszechnej Spółdzielni Spożyców - wówczas jeszcze „Grunwald” potem „Społem”), Klubokawiarnie „Ruch” i inne obiekty handlowe. Za dobrą pracę otrzymywała sporo dyplomów. Ale tylko



Mama i część jej dyplomów.

do maja 1955 roku. W 1955 roku otrzymała jeszcze dyplom z okazji Święta Pracy, a potem już nic. Dlaczego? Cóż to takiego ważnego przerwało ten „zwycięski marsz po dyplomy”? Otóż w roku 1955 moją mamę, jako zasłużoną pracownicę i osobę wielokrotnie nagradzaną

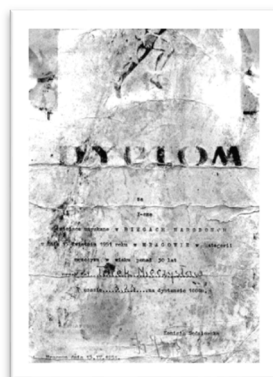
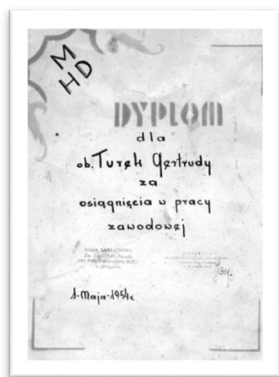
dypłomami poproszono, by wygłosiła mowę na akademii z okazji kolejnej rocznicy wyzwolenia przez armię radziecką. Mama spytała, o czym miałyby mówić. Oczywiście o tym, jak wyzwoliła ją Armia Czerwona, stwierdził jeden z działaczy. Mama dla pewności spytała jeszcze raz:

- Czy aby na pewno mam opowiedzieć o własnych przeżyciach?

- Ależ oczywiście! - Odpowiedział sekretarz. Wówczas mama zadała mu pytanie pomocnicze:

- Czy na pewno mam opowiedzieć o tym, jak w dwudziestostopniowym mrozie wyzwolono mnie z butów i z ciepłego płaszcza. Czy na pewno mam opowiedzieć jak wyzwolono mnie z pierścionka, zegarka i złotego łańcuszka? Czy mam opowiedzieć, jak chciano rozstrzelać mojego dziadka, bo nie chciał oddać ostatniego konia i o tym jak rozstrzelano moją ciotkę i wujka? Czy mam opowiedzieć jak to moi dziadkowie ukrywali mnie miesiącami w kryjówek na strychu za stertą starych rupieci, by nie znalazły mnie hordy pijanych żołdaków szukających niemieckich dziewcząt???

Uważam, że mama miała w tym dniu bardzo dużo szczęścia, ponieważ sprawa nie zakończyła się dla niej dużo gorzej. Wykreślono ją jedynie z listy kandydatów do dyplomów. Sądzę, że towarzysz sekretarz przestraszył się własnego udziału i faktu spowodowania tego rodzaju rozmowy oraz konsekwencji, jakie mogły stąd wyniknąć. Nie tylko dla mojej mamy, ale też dla niego. Poza tym musiałby pewnie złożyć samokrytykę, że przez wiele lat pozwalał na nagradzanie dyplomami rewizjonistki¹³⁸. Jego kariera byłaby z całą pewnością skończona, a dalsze tego skutki nieprzewidywalne. Lepiej było, zgodnie z obowiązującą wówczas zasadą, że ci, co opowiadali kawały polityczne budowali lewą stronę, a ci, co ich słuchali prawą stronę kanału Wołga - Don, zachować milczenie. Milczenie to było w tym przypadku bardzo cenne nie tylko dla mojej mamy, ale przede wszystkim dla niego. Jediną karą, jaka spotkała mamę był fakt, że nie otrzymywała więcej dyplomów. Chociaż może nie do końca tak. Wiele lat później, w roku 1980 otrzymała z okazji Dnia Matki dyplom za „matczyzny trud”.



Dalsze dyplomy Mamy. Mimo, a może z tego właśnie powodu, że widać na nich przejść iż są „po przejściach” postanowiłem je opublikować. Stan tych dyplomów najlepiej pokazuje głęboko skrywany przed nami stan naszej Mamy rozerwanej między Mazurami i Niemcami i dodatkowo pogłębiony ciemnym okresem powojennym, który dzień po dniu niszczył jej duszę.

¹³⁸ Rewizjonista - osoba kwestionująca istniejący porządek rzeczy, granic i traktatów międzynarodowych. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przypinano taką łatkę każdemu, kto choćby na krok odchylił się od obowiązujących sloganów.

Gagarin.

Krótko po swoim locie w kosmos (12.04.1961) Jurij Gagarin¹³⁹ odwiedził Polskę. Był tu od 20 do 22 lipca 1961. Jak to było wówczas w zwyczaju, obwożono go po większych miastach naszego kraju otwartą limuzyną. Na trasie jego przejazdu gromadziły się na chodnikach i poboczach dróg prawdziwe tłumy. Droga przejazdu zasypała się kwiatami. Gagarin wylansowany został przez nasze skromne media na gwiazdę miary gwiazd big beatu. Spotkania z bohaterem były bardzo spontaniczne, a sam Gagarin okazał się bardzo sympatycznym i miłym człowiekiem. Jego kult można wówczas było porównać tylko grupą The Beatles, albo bardziej współcześnie, z Madonną. Z tym, że wtedy Madonna, jako gwiazda jeszcze nie istniała, bitelsów do Polski nie wpuszczono, a Gagarin był. Jedni widzieli go w telewizji, inni na taśmie filmowej, a jeszcze inni, czyli ci, którzy mieszkali w wielkich miastach mogli go zobaczyć „na żywo”.

Sceptycy mogą powiedzieć, że tłumy te były „z łapanek”, jak to się wtedy złośliwie mówiło. Znamy tę stosowaną w tamtych czasach dość powszechnie metodę. Na ogół dotyczyło to „spontanicznych przywitań” Wielkich Przywódców Socjalizmu na ulicach Warszawy, a czasami i innych wielkich miast. Tłumy „z łapanek” witały takie osobistości jak Chruszczow czy Breżniew. Zamykano wtedy zakłady pracy oraz szkoły, a ludzi wypędzano na ulicę, gdzie występowali w charakterze „spontanicznie witających tłumów”. Potem pokazywano to w dzienniku telewizyjnym i w kronice filmowej¹⁴⁰.

Takie przywitania organizowano tylko Wielkim Wodzom. W przypadku Gagarina organizowanie takiego cyrku nie miało sensu. On był „kims”, on był współczesnym bohaterem i tłum kochał go miłością prawdziwą, jak każdą gwiazdę. Każdy z nas chciał przynajmniej raz zobaczyć bohatera, bo był on naprawdę wielki i popularnością nie przewyższał go w tym czasie nikt. No, może kilka lat później porucznik Kloss i Cztery Pancerni do spółki z Szarikiem.

Powróćmy jednak do rzeczy. W lipcu 1961 Gagarin był w Polsce. Odwiedził kilka większych miast. My mieliśmy jednak wrażenie, że odwiedził przynajmniej pół Polski. Tak naświetlała to poprzez prasę, telewizję i kronikę filmową ówczesna propaganda. Kronika filmowa była w tym czasie głównym naszym informatorem. Z niej dowiadaliśmy się, najczęściej podczas niedzielnych poranków filmowych, o ważnych wydarzeniach. Jeżeli ktoś miał trochę szczęścia to czasami z telewizji, bo ktoś w wieku lat dziesięciu czytał prasę. Ja nie. Chyba, że był to Świat Młodych z Tytusem, Romkiem i A ‘Tomkiem albo Płomyczek. Należy jednakże wspomnieć, że w Mrągowie były już wtedy dwie świetlice, w których można był oglądać telewizję. Było też kilka prywatnych telewizorów.

Wizyta sobowtóra w Pieckach.

Nie jest to zresztą takie ważne kto, co, gdzie i kiedy wówczas czytał czy oglądał. Propaganda robiła swoje i nasze wrażenie było takie, że Gagarin jeździ po całej Polsce, od miasta do miasta i lada chwila odwiedzi również nas. Do tego ten jedyny w swoim rodzaju

¹³⁹ Jurij Aleksiejewicz Gagarin (ros. Юрий Алексеевич Гагарин, ur. 9 marca 1934 w Kłuszynie, zginął 27 marca 1968 w okolicach Kirżacza) – radziecki kosmonauta, pierwszy człowiek w przestrzeni kosmicznej[1], Bohater Związku Radzieckiego, Lotnik Kosmonauta ZSRR. (Źródło: Wikipedia)

¹⁴⁰ Polska Kronika Filmowa (PKF) – cotygodniowa polska kronika filmowa, (magazyn filmowy) emitowana w latach 1944–1994 przez Wytwórnice Filmów Dokumentalnych; poprzedzała projekcję filmu w kinach. W 1995 przestała się ukazywać w kinach i telewizji. Działała (pod nazwą Studio Filmowe "Kronika" sp. z o.o.) aż do 2012 roku, rejestrując najważniejsze wydarzenia w kraju. (Źródło: Wikipedia)

i z serca płynący, prawdziwy i spontaniczny “kult jednostki”. W takich warunkach naszym tatusiom nie trzeba było wiele, by wpaść na istnie szatański pomysł.

Trzeba przypadku, że w Mrągowie jeden z taksówkarzy, chyba Jablonka, sprowadził z Niemiec mercedesa cabrio. Wielki, czarny kabriolet. Dokładnie taki sam, jakim wożono Gagarina. Widziałem ten pojazd w kronice! Był dokładnie taki sam, jak ten z mrągowskiego postoju taksówek. Wyobraźnia i magia kina potrafią zdziałać cuda... Dla mnie był to dokładnie taki sam pojazd!

Cabrio-taxi w połączeniu z najaktualniejszą wizytą było inspiracją akcji czy też żartu znanego w mieście pod hasłem „Gagarin w Pieckach”, wspomnianego w Mrągowie i okolicach z rozrzewnieniem i humorem jeszcze przez długie lata.

Kilku panów¹⁴¹ po kilku kieliszkach wpadło na pomysł wspianiałej zabawy. Jeżeli duże miasta mogą mieć takie atrakcje jak wizyta kosmonauty, to dlaczego nie mieliby się ucieszyć taką wizytą mieszkańcy jakiejś mniejszej miejscowości. Niech mają ludziska uciechę. W małych miasteczkach i wioskach też się ludziom coś od życia należy. Padło na Piecki.

O właściwy samochód nie było trudno. Właśnie od kilku dni całe Mrągowo podziwiała nowy kabriolet. Panowie zrobili zrzutkę i wynajęli go. Do tego wszystkie pozostałe mrągowskie taksówki, a było ich chyba z osiem. Kawalkada musiała prezentować się godnie.

Potrzebny był jeszcze Gagarin. Padło na mojego tatę. Dlaczego? Nie wiem. Trudno sobie wyobrazić dwie bardziej niepodobne do siebie osoby. Prawdopodobnie z tego powodu nie zorganizowano w Pieckach żadnych innych, większych uroczystości, a jedynie sam przejazd kosmonauty. Z daleka trudno rozpoznać...

Najpierw pojechał jeden samochód, taki rodzaj wici, aby zorganizować przejazd. Poruszono niebo i ziemię, sołtysa i Gromadzką Radę, szkołę i zakłady pracy. Kto żyw spieszzył na jedyną w Pieckach ulicę, by pomachać bohaterowi. Wyległy tłumy z chorągiewkami i z kwiatami. Po pewnym, pełnym tęsknego wyczekiwania czasie (napiecie musiało rosnąć), nadjechała kawalkada samochodów. Wszystkie mrągowskie taksówki i kilka samochodów prywatnych, które z czystej ciekawości dołączyły do kawalkady. Na czele jechał kabriolet z Gagarinem.

Radości było, co niemiara. Rzucano kwiaty w stronę przejeżdżającego kosmonauty, którego w kabrioecie personifikował mój tata, machano chorągiewkami, wznoszono okolicznościowe okrzyki itp.

Milicyjne poczucie humoru.

Impreza była wyjątkowym sukcesem. Nie spodobała się jedynie milicji. Ktoś rozpoznał mistyfikację i zawiadomił, kogo trzeba. Pozwolono wprawdzie kawalkadzie przejechać przez wieś, lecz kawałek dalej zatrzymano ją i organizatorów imprezy odwieziono na komendę w Mrągowie.

Po latach zastanawialiśmy się, dlaczego nie zatrzymano ich natychmiast, jeszcze w Pieckach. Nie wiem. Może milicjanci też mieli poczucie humoru. Albo nie chcieli pozbawiać mieszkańców Piecek złudzenia, że widzieli Gagarina. Szczególnie ówczesne dzieci były nawet po latach przekonane, że widziały bohatera.

¹⁴¹ Pan Zieliński, pracownik milicji; pan Malinowski pracownik Motozbytu; Pan Adam pracownik CPN; pan Olek Fryzjer Wierciszewski, pan Gąsiorowski mój tata i paru innych, czyli dość znana w ekipa.

Skutkiem milicyjnej akcji wszyscy jej organizatorzy, z moim tatą na czele zostali ukarani wysokimi karami grzywny. Nie wiem, dlaczego. Czyżby komuś przeszkadzało, że to nie on był autorem wspaniałej akcji propagandowej? W końcu sytuacje, w których Polacy podziwiają Rosjanina i szczerze wiwatują na jego cześć, nawet w tamtych czasach nie były zbyt częste.

Nie znam przebiegu tej imprezy z ust jej organizatorów. Opowiadali mi o niej świadkowie przejazdu Gagarina, dlatego też nie wszystkie jej szczegóły muszą być do końca prawdziwe. Kiedy jeszcze żył tata, byliśmy zbyt młodzi, by go wypytywać o takie imprezy. Teraz nie żyje już żaden z jej uczestników...

Mama chuliganka.

Biedni bogacze. Powojenni młodzi na Ziemiach Odzyskanych.

Jak to się stało, że nasza mama, najbardziej chyba stateczna kobieta w mieście, kobieta szanowana przez rodzinę, przyjaciół, znajomych, sąsiadów, współpracowników i przełożonych została prawdziwą, taką z wyrokiem i więzienną odsiadką chuliganką? Dla tych, którzy tamte czasy przeżyli, sprawa jest dość prosta, dla współczesnych może okazać się skomplikowana, dlatego wstęp do tej opowieści będzie nieco dłuższy.

Historia ta zaczęła się jeszcze przed 1958 rokiem, a zakończyła w roku 1961 albo 62. Jest to niezbyt precyzyjnie określony czas tamtych wypadków, ale dokładniejsze jego określenie nie wniosłoby tu nic nowego, Wydarzenie te miały swój początek, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w domku na stadionie sportowym, a ja nie chodziłem jeszcze do szkoły, czyli przed 1958 rokiem, a zakończyły niedługo po tym, kiedy Sabina skończyła 3 lata, czyli w 1961 roku lub nieco później. Wróćmy jednak do początków tych wydarzeń.

Lata pięćdziesiąte były bardzo nieciekawe dla młodych ludzi, jakimi byli wtedy nasi rodzice. Powojenna bieda wyglądała z każdego kąta. Wprawdzie nie każdy tak to odbierał, ale taka była rzeczywistość. Niektórzy, tak jak nasz tata, próbowali zaprzeczać tej rzeczywistości, ponieważ ich życie zmieniło się pod względem materialnym na dużo lepsze. Pochodzili oni z rodzin skrajnie biednych, z wiosek leżących „gdzieś na końcu świata“, w których jeszcze kilka lat wcześniej żyło się jak w średniowieczu. Rzecz oczywista, że to, co zastali na Mazurach, czyli, jak to powiedział filmowy Pawlak¹⁴² „na Ziemiach Wyzyskanych”, było dla nich szczytem bogactwa. Do tej pory nigdy takiego dobrobytu nie widzieli. Sytuacje pokazane w filmie „Sami swoi” nie są wytworem wyobraźni. Pamiętam, że w domu Panów Szustakowskich w Młynowie, sąsiadów naszej prababci, jeszcze w czasach mojego dzieciństwa spało się na piecu. Panowie ci, dwaj bracia i zatwardziali kawa-

¹⁴² Sami swoi. – Komedie Sylwestra Chęcińskiego opowiadająca o Ziemiach Odzyskanych. Sukces kasowy filmu spowodował powstanie trylogii – kontynuację stanowią: Nie ma mocnych (1974) i Kochaj albo rzuć (1977). Film, początkowo w wersji czarno-białej, został skoloryzowany w 2000 r. przez firmę Dynacs Digital Studios z Hollywood na zlecenie Polsatu. Większość scen kręcono w Dobrzykowicach pod Wrocławiem, gdzie znajdowały się zagrody, a sceny w miasteczku kręcono w Lubomierzu. W miasteczku mieści się muzeum Kargula i Pawlaka. Pawlak i Kargul nie są postaciami zupełnie wymyślnymi. Pierwowzorem Pawlaka był Jan Mularczyk ze wsi Tymowa koło Ścinawy. On krzyknął do rodziny "Wysiadamy, bo tu nasze ludzkie są", gdy zobaczył na łące krasulę Mikołaja Polakowskiego, sąsiada i krewnego Mularczyka, jadąc pociągiem na Ziemię Odzyskane z Boryczówki. Jan Mularczyk z Tymowej był stryjem Andrzeja Mularczyka, autora scenariuszy do trylogii o Kargulach i Pawlakach. Źródło: <https://pl.wikipedia.org/>.

lerowie byli powojenny właścicielami gospodarstwa, które przed wojną należało do Kaptejnów¹⁴³. Jak we wspomnianym już filmie zbudowali oni w kuchni gliniany piec, który służył do wszystkiego, nawet do spania, a tzw. „Westfalka”, czyli opalany węglem albo drewnem nowoczesny piec kuchenny z piekarnikiem stał nieużywany na świeżym powietrzu.

Możę sobie wyobrazić, a kilka scenek, które mam jeszcze w pamięci oraz opisane tu wydarzenia to potwierdzają, że nasz tata w tamtych czasach nie znał materialnej wartości posiadanych mebli, sprzętu domowego itp. Po swoim niełatwym dzieciństwie w Majdanie i po przymusowych robotach u niemieckiego bauera, na które trafił mając zaledwie czternaście lat¹⁴⁴, musiał z przyczyn o których lepiej było w tamtych czasach nie wspominać¹⁴⁵ uciekać. Trafił do Mrągowa. Poczł się tu jak milioner na urlopie. Miał tu, jego zdaniem, wszystko, albo i jeszcze więcej. W rzeczywistości nadal był powojennym biedakiem, ale miał dużo więcej niż pozostawił w Majdanie, a to, co dostał od miasta na zagospodarowanie, to było więcej, niż kiedykolwiek posiadał on i cała jego rodzina. Poza tym, jak zabrakło garnka, czy innego przedmiotu pierwszej potrzeby, można było iść do „prezydium¹⁴⁶” i dostać to na przydział z tzw. mienia ponemieckiego. Podobnie jak on myślało też wielu innych młodych przybyszów. Wydawało im się też, że tak będzie zawsze. Większość z nich rozmawiała: „Tak jest przecież dobrze, więc po co to zmieniać.” Byli to typowi „bogaci biedacy”. W porównaniu z tym, jak żyli przed, czy też w czasie wojny, byli bogaci, ale porównaniu z tym, jak żyli tu przedtem „tutejsi”, byli bardzo biedni. Teraz zarówno przybysze, jak i tutejsi żyli na podobnym poziomie, jednakże ich subiektywne odczucia były w tym temacie bardzo różne.

Nasza mama była „tutejsza”¹⁴⁷, inaczej Mazurka albo Autochtonka. Jak kto woli. Słowo Niemka było w tym czasie zakazane, a UB ściagał każdy objaw niemieckości. Poza

¹⁴³ Wilhelminie Kaptejna była siostrą i sąsiadką naszej prababci do 1945 roku. Kiedy wszyscy w styczniu 1945 roku uciekli, Kaptejniowie pozostali we wsi by pilnować gospodarki. Kiedy babcia z rodziną pozbiierali się po ucieczce i wrócili do Młynowa, zastali oboje Kaptejnów zastrzelonych na progu ich domu. Pochowano ich na ich polu, bo czas był niespokojny i ludzie bali się iść do lasu na cmentarz. O rodzeństwie prababci Marii przeczytaj w postliwio do tego rozdziału.

¹⁴⁴ Jedyna wersja jego pobytu na robotach, jest byś może przekoloryzowana, ale tylko tą jedną znam. Tata nigdy z nami na ten temat nie rozmawiał. Uważał, że dzieci będą szczęśliwsze, kiedy nie będą o wszystkim wiedziały. Czyli to, co teraz napiszę po składałem ze strzępków różnych podsłuchanych rozmów między dorosłymi. Otóż jego starszy brat Adolek ożenił się ze stryjenką Wisią jeszcze w czasie wojny. Krótko po tym szczęśliwym wydarzeniu dostał niestety wezwanie no przymusowej pracy w Niemczech. Rada w radę, czternastoletni wówczas Mietek wziął skierowanie i podając się za brata pojechał na roboty. Był gdzieś w Czechach u niemieckiego bauera.

¹⁴⁵ Krótko po wojnie okazało się, że działający w okolicach Majdanu partyzancki oddział Tarzana nie złożył broni. Mieszkańcy prawdopodobnie popierali go, a młodzi chłopcy, jak nasz tata, byś może nawet do niego wstąpili. Tak naprawdę to dzisiaj już nikt tego nie wie. W czasach komunistycznych o tym się nie rozmawiało, bo rozmowy takie były zbyt niebezpieczne, a dzieci trzymano od takich tematów bardzo daleko. Znowu z podsłuchanych tu i tam strzępków rozmów spróbuję odtworzyć fakty. Któregoś dnia, kilka miesięcy po powrocie taty z robót, po wsi poszła szeptana plotka, żeby młodzi chłopcy się pochowali, albo jeszcze lepiej wyjechali, bo nocą UB będzie brało. Nawet podobno wymieniano kilka nazwisk. Przyczyn nikt nie znał, ale wszyscy zgodnie łączyli to z partyzantką (W języku oficjalnym: bandą) Tarzana i jej pobylem na jakimś okolicznym weselu, gdzie rozochoceni alkoholem chłopcy trochę sobie postzelali w sufit. Naturalnie w pierwszej kolejności musieli zniknąć ci, co byli na tym weselu. Nie wiem, kto uciekał jeszcze, ale pozoy naszym Tatą uciekał jego brat Jasiiek i prawdopodobnie w tym samym czasie uciekał Rysiek Chciuk, kuzyn stryjenki Wisi. Aby uświadczyć sobie powagę sytuacji powiem tylko, że Jasiiek osiedlił się w Głubczycach w Opolskim, Rysiek w Jabłonnej, a Tata w Mrągowie. Tak to się wtedy ukrywało i zacierało ślady, by utrudnić pracę UB.

¹⁴⁶ Prezydium – tak nazywano powszechnie budynek, w którym mieściło się Prezydium Powiatowej Rady Narodowej na ulicy Czerwonej armii, teraz ulicy Królówieckiej.

¹⁴⁷ Miejscowych nazywano tu wówczas autochtonami, później przebiło się określenie Mazur.

Autochton – człowiek należący do rdzennej ludności danego obszaru, np. Indianie amerykańscy czy Aborygeni australijscy. Według profesora Andrzeja Saksona, socjologa specjalizującego się w badaniach mniejszości etnicznych, termin autochton określa także mieszańca pogranicza polsko-niemieckiego, byłego obywatela III Rzeszy, deklarującego polskie pochodzenie. Termin ten bywał niezrozumiały dla osób nim obdarzanych, bywał też stygmatyzujący. Źródło: Wikipedia) Jak z powyższego wynika, byliśmy

tym, na Mazurach, zgodnie z obowiązującą doktryną nie było Niemców. Byli tylko oszukani przez hitlerowców Polacy, którym wmówiono, że są Niemcami. Teraz właśnie (to znaczy po 1945 roku) nastał czas, by przywrócić te właśnie zbłąkane dzieci na łono ojczyzny. I to niezależnie od tego czy oni (Autochtoni) tego chcieli czy też nie. Socjalistyczna (!) Ojczyzna wiedziała lepiej od nich, czego oni chcą i tego trzymały się lokalne i nie tylko lokalne władze. Zaś mazurskich Aborygenów, przepraszam, Autochtonów należało trzymać z daleka od imperialistycznej propagandy rewizjonistów zachodnoniemieckich pokroju Czai¹⁴⁸ i Hupki¹⁴⁹. Szczegółowo opisują to „przywracanie na ojczyzny łono” w innym rozdziale, bo tutaj nie o to chodzi. Bardziej chodzi to o to, że nasza mama miała za sobą całkiem inną historię niż nasz tata. On, pochodzący ze skrajnej biedy Polak, ona, Niemka z niezłe do tej pory prosperującego ośmiohektarowego gospodarstwa. Teraz, po przejściach wojennych, gospodarstwo to przestało funkcjonować, ale sam fakt jego posiadania stawiał babcię i tych, którzy kiedyś z niego żyli, na progu kułactwa. Nawet skromną, nie pamiętam już czy to było 300,00 czy 400,00 złotych rentę, odebrano babci z powodu kułactwa. Dla historycznej prawdy należy jednak wspomnieć, że babcia wpłacała składki na tę rentę przez całe swoje pracowite życie do niemieckich ubezpieczalni. Po wojnie władze polskie przejęły zobowiązania niemieckich ubezpieczalni i uznały, że renta się staruszcze należy. Niestety, po kilku latach uznano, że jest kułakiem, a takim nie należy się nic...

wtedy aborygenami Mazur. Poza tym z tą deklaracją polskości to też nie było takie proste. Opiszę to w innym rozdziale, bo temat jest ważny i niemały. (Przyp. mój)

¹⁴⁸ Herbert Czaja – niemiecki polityk chadecki, reprezentant niemieckich wypędzonych. Był posłem do Bundestagu prezesem Związków Wypędzonych w latach 1970–1974. Czaja urodził się w niemieckojęzycznej katolickiej rodzinie w wielokulturowym Cieszynie, znajdującym się wówczas w granicach monarchii austro-węgierskiej. Od 1969 pełnił funkcję rzecznika Ziomkostwa Górnoślązaków, a w latach 1970–1974 był prezesem Związku Wypędzonych. Ponadto od 1948 należał do Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików. W latach 70. i 80. konsekwentnie sprzeciwiał się uznaniu polsko-niemieckiej granicy na Odrze i Nysie. W 1990 wyraził pogląd, że nie można uznać zjednoczenia Niemiec za pełne, gdyż nie brały w nim udział wschodnie prowincje z 1937. Zaproponował wówczas utworzenie z zachodniej Polski obszaru autonomicznego pod kontrolą międzynarodową. Po 1990 zaangażował się w działalność na rzecz pojednania polsko-niemieckiego. Pojawiał się na Górnym Śląsku, pracując dla władz województwa polskiego. Popierał ideę Centrum przeciwko Wypędzonym, jako symbolu pojednania i pokojowego współżycia Polaków, Niemców i Czechów. Jednocześnie kontrowersyjne wywołały zawarte w książce „Unterwegs zum kleinsten Deutschland?” stwierdzenia, że „z prawnego punktu widzenia historyczne wschodnie prowincje Niemiec mogłyby ponownie zostać połączone z państwem niemieckim” oraz że „w przeszłości miliony Polaków żyły w niemieckim państwie i może tak stać się znowu, jeżeli te ziemie zjednoczą się z Niemcami”. (Źródło(skrót) <https://pl.wikipedia.org/>)

¹⁴⁹ Herbert Hupka – niemiecki polityk i dziennikarz. Długoletni chadecki (CDU) deputowany do Bundestagu. Matkę wywieziono do obozu w Terezynie, który przeżyła. Po wojnie odnalazł matkę i wraz z nią wyjechał do Monachium. Został dziennikarzem i związał się z SPD. Równocześnie działał w środowiskach niemieckich wypędzonych podzielał rozpowszechnione w nim poglądy, że postanowienia poczdamskie i wyznaczona wówczas granica na Odrze i Nysie są tymczasowe, a deportowani po wojnie Niemcy będą mogli wrócić w rodzinne strony. W latach 1969–1987 zasiadał w Bundestagu. Został szefem Ziomkostwa Ślązaków i wiceprzewodniczącym Związku Wypędzonych. To za jego sprawą Bundestag przyjął rezolucję zawierającą stwierdzenie, że „przyjęcie nowych członków do Unii Europejskiej musi się wiązać z uznaniem prawa wypędzonych do powrotu i odszkodowań”. Jednak później, jako pierwszy polityk z kręgów wypędzonych uznał traktat i granicę. O Polsce wypowiadał się w coraz cieplejszym tonie. Hupka zawsze czuł się raciborzaninem i chętnie wracał do miasta swojej młodości. Nie odmówił, gdy w listopadzie 1994 został za pośrednictwem działaczy DFK poproszony o pomoc w załatwieniu dotacji na budowę oczyszczalni ścieków. Pomógł w uzyskaniu 5 milionów marek zachodnoniemieckich. Tak znaczna pomoc spowodowała, że rada miasta przyznała mu tytuł „Zasłużonego dla Miasta Raciborza”. W 1997 wspomógł znów Racibórz po wielkiej powodzi. W tym samym roku samorząd miasta nadał Hupce tytuł Honorowego Obywatela Raciborza. Zmarł w wieku 91 lat, do końca życia był członkiem CDU i praktykującym katolikiem. (Źródło(skrót) <https://pl.wikipedia.org/>)

O tym, jak zostaliśmy dziećmi najbardziej statecznej chuliganki w mieście.

W latach pięćdziesiątych mieszkaliśmy na mraǳowskim stadionie sportowym, w jednym z domków pierwotnie (jak i teraz) przeznaczonych dla miejscowego klubu sportowego. W tym czasie sytuacja materialna rodziny nieco się poprawiła, ponieważ zarówno mama jak i tata pracowali. Po kilku latach stać ich było nawet na taki luksus jak zakup radia. Najtańszego, jakie było na rynku, ale w domu mieliśmy nareszcie nowoczesność. Pierwsze radio w życiu nie tylko naszym, ale też naszych rodziców. Należy tu jeszcze wspomnieć, że radio kupiła mama, która na ten cel przez długie miesiące oszczędzała swoje zaskórniaki nie kupując sobie ciuchów i rezygnując z wielu przyjemności. Była przecież tutejsza, czyli w jej świadomości biedna i oszczędna. Inaczej niż tata, który był bogatym biedakiem i do tego, jak niemal wszyscy młodzi mężczyźni w jego wieku przejął przybyły z wschodniej granicy zwyczaj, że „nie marksista, nie katolik, ale trochę alkoholik”. Zwyczaj ten w pewnym sensie „uprawomocniał” pijaństwo mężczyzn.

Zgodnie z tą zasadą tata lubił sobie z kolegami „polatać”, a to kosztowało i nieźle obciążało budżet rodzinny. Do tego dochodziły od czasu do czasu „koszty dodatkowe” przeróżnych imprez, czyli mandaty i grzywny nałożone przez kolegium do spraw wykroczeń¹⁵⁰.

Tak było i tym razem. Tata „zarobił” jakąś karę za nieznaną nam, a popełnioną podczas któregoś ze spotkań towarzyskich z kolegami czyn, uznanego przez kolegium za czyn karalny. Niestety, nie zapłacił nałożonej na niego kary, bo bogaty biedak jak zwykle „przelatał” swoje zaskórniaki z koleżkami. Mamie w ogóle się nie przyznał, że wisi nad nim wyrok kolegium, bo bał się domowej awantury. Niestety, prawo jest nieubłagane i po jakimś czasie przed drzwiami naszego domu stanął komornik. Nazwiska komornika nikt z naszej rodziny nie zapamiętał, cała rodzina zapamiętała za to nazwisko jego pomocnika, niejakiego pana Skrzypczaka, znanego w późniejszych latach w Mraǳowie milicjanta. On to bowiem, swoimi nieco podkolorowanymi zeznaniami spowodował, że nasza mama stała się najbardziej stateczną w naszym mieście chuliganką. I to taką, która nobilitowana była wyrokiem do odsiadki.

Jak już wspominałem, pod drzwiami naszego domu zjawił się komornik. Poinformował mamę, co zbroił tata i że trzeba zapłacić karę. Było tego kilkaset złotych plus odsetki, czyli więcej niż jej miesięczna wypłata. Mama grzecznie odmówiła i równie grzecznie wyjaśniła mu powody, dla których nie mogła spełnić jego „zachcianek”. Po pierwsze nie ma pieniędzy, a po drugie, dlaczego ona miałaby płacić za wysoki pijaka. Przecież to on, jej mąż pijak został ukarany przez kolegium, a nie ona, więc niech pan komornik zabierze sobie swojego pomagiera Skrzypczaka i idzie z nim do winnego i od niego wyegzekwuje należną sumę. Komornik był jednak innego zdania i sytuacja robiła się coraz bardziej napięta. Po dłuższej i coraz to głośniejszej (ze strony komornika, bo mama jeszcze zachowywała stoicki spokój) dyskusji urzędnik poinformował mamę, że jeżeli nie ma ona gotówki, to skonfiskują jej na poczet długów taty radio. Nooo nie!!! Tego było stanowczo za dużo. Jedyny luksus, na jaki pozwoliła sobie mama po kilkunastu latach ciężkiej pracy chciano jej ot tak po prostu zabrać. Co to to nie!!! Mama wybuchła. Kiedy ta,

¹⁵⁰ Kolegium do spraw wykroczeń – organ pozasądowy, który od 1951 roku w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej orzekał w pierwszej instancji w sprawach o wykroczenia. Kolegia ds. wykroczeń działały przy organach administracji, a w 1990 zostały przejęte przez Ministerstwo Sprawiedliwości, działając od tej pory przy sądach rejonowych. (Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Kolegium_do_spraw_wykroczeń)

ich zdaniem, najspokojniejsza pod słońcem kobieta wybuchła panowie przestraszyli się i z przerażeniem w oczach dali się wyrzucić z domu. Jeszcze przez zamknięte drzwi próbowali przez chwilę negocjować. Bezskutecznie. Mama postanowiła bronić swojego siódmego cudu świata, czyli radia, jak niepodległości albo jeszcze bardziej...

Komornik nie miał innego wyjścia i wezwał milicję. Przyjechało dwóch milicjantów i teraz oni próbowali przemówić mamie do rozsądku. Niestety też bez skutku. Nie mieli innego wyjścia i musieli przejść do działań siłowych. Nie było to trudne, bo nasz dom nie był w tych czasach zamykany na klucz, Nie było takiej potrzeby. Domu pilnował pies Reks i to na ogół wystarczało. Klucz leżał sobie w jakimś schowku, aby go nie zgubić, więc mama go wcale nie szukała, lecz zamknęła drzwi wejściowe na zasuwkę. Niestety, kilka dni wcześniej świetlik w tych drzwiach pozbawiony został przeze mnie i Zygmunta w czasie jakiejś wojennej zabawy szyby, więc jeden z policjantów skorzystał z tego i je otworzył. I wtedy stało się. Skrzypczak odepchnął mamę od drzwi i podbiegł do radia. To był jego życiowy błąd. Gdyby po radio, siódmy cud świata naszej mamy sięgnął policjant, mama cierpiałaby, ale pozwoliła na to. Była przecież dobrze wychowaną Niemką, która wiedziała z doświadczenia, że władzy wolno wszystko..., ale żeby taki gołowąs, w dodatku cywil, nawet nie komornik, lecz tylko jego pomocnik śmiał sięgnąć po JEJ RADIO, w dodatku popychając ją na ścianę jak jakiegoś smarkacza!!! Tego było za dużo... W mamę wstąpił duch walki. Nigdy potem nie widziałem jej już takiej wściekłej. Odwróciła się i cicho poprosiła Skrzypczaka, by odstawił radio. On pewnie uznał ten spokój za zwycięstwo, a nie za ciszę przed burzą i nadal rozmontowywał radio. Przypominam sobie, że sama antena w kształcie pięknej miedzianej sprężynki miała kilka metrów długości, więc było co robić. Niestety. To była jednak cisza przed burzą. W mamę wstąpił... właściwie to trudno mi powiedzieć, co w nią wstąpiło. Po prostu złapała Skrzypczaka za włosy i wyprowadziła za drzwi. Jak potem zeznawał w sądzie, podobno mama wyrwała mu podczas tej operacji całą garść włosów i mama nie potrafiła mu tego kłamstwa wybaczyć. Przecież w garści zostało jej tylko kilka włosów, a łysiny u niego też nie zauważyła. No chyba ze kilka lat później...

Do pracy przystąpili policjanci i całkiem spokojnie zabrali sporne radio. Dla mamy nie był to jednak koniec afery. Skrzypczak podał mamę do sądu za pobicie. Jak zeznał, nasza mama pobiła go i wyrwała mu całą garść włosów. Jako że był on w tym czasie urzędnikiem na służbie, sąd potraktował sprawę bardzo poważnie i mama została ukarana za popełnienie czynu chuligańskiego karą dwumiesięcznego więzienia.

Nie pamiętam, czy Sabina była już wtedy na świecie, czy urodziła się krótko po opisanych wypadkach, odegrała jednak w historii mamy – chuliganki bardzo ważną rolę. Były to czasy, kiedy to z przyczyn społecznych nie zamykano w pierdłu¹⁵¹ kobiet karmiących swoje dzieci piersią. Ochrona ta mogła trwać aż do ukończenia przez dziecko trzeciego roku życia. Wtedy nie było litości. Jednakże, jeżeli kobieta wcześniej przerywała karmienie piersią, zamykano ją wcześniej.

Łatwo się domyślić, mama karmiła Sabinę aż do marca 1961 roku, bo to chroniło ją (Mamę, nie Sabinę) przed pójściem do pierdła. Kiedy jednak dziecko urosło i osiągnęło wiek „nieochronny”, trzeba było wyrok odsiedzieć. Mama próbowała jeszcze kilku innych sztuczek, bo panicznie bała się więzienia, ale udało się jej odsunąć termin odsiadki tylko o kilka miesięcy. Prawo były nieubłagane. Dzień „X” musiał nadejść. Któregoś dnia, kiedy wróciłem ze szkoły, mamy nie było w domu. Zygmunt był jeszcze w szkole, a Basia i

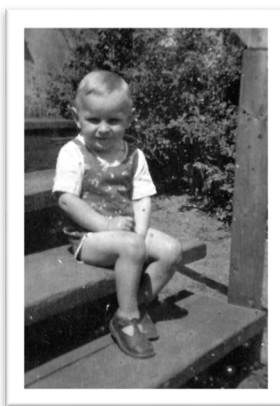
¹⁵¹ Pierdel – potocznie: więzienie

Sabina siedziały w pokoju i ryczały. Po długim odpytywaniu wyplakały w końcu, że mamę zabrali do więzienia. Całe szczęście mieszkała już u nas „Babcia z Młynowa“, czyli nasza ponad osiemdziesięcioletnia Prababcia, Oma Maria (Piechottka). Ona wytłumaczyła mi bardziej zrozumiale, co się stało i ona pełniła przez następne miesiące rolę naszej mamy.

Okres odsiadki minął i mama wróciła. Zdawałoby się, że będzie załamana i zapłakana. Nic z tego. Była w doskonałej formie. Jak potem wspominała, przez kilka pierwszych dni ryczała w poduszkę. Potem posłuchała „koleżanek spod celi” i przestała ryczeć. Powoli pozbierała się i żeby nie siedzieć cały dzień beczynn timer i popadać w depresję zgłosiła się do pracy. Sprzątała więzienne biura i inne pomieszczenia ogólnego przeznaczenia. Dzięki temu depresja szybko minęła, a mama z dnia na dzień czuła się coraz lepiej. Kiedy kilka lat później zapytałem ją, jak tam było, mama powiedziała:

- To był mój pierwszy i w tamtym czasie najlepszy urlop wypoczynkowy. Było spanie i jedzenie, nikt nic ode mnie nie chciał, a do pracy chodziłam, aby nie zgłupieć z nudów.

W późniejszych latach mama korzystała z wielu prawdziwych i ciekawych wyjazdów urlopowych, ale ten pierwszy wspominała zawsze z nutką rozrzewnienia. Ma zaś zostaliśmy dziećmi najstateczniejszej chuliganki w mieście. W dodatku chuliganki dyplomowanej, uhonorowanej w pełni odsiedzianym wyrokiem sądowym.



U góry: Tata, dzieci (Heniek i Zygmunt) oraz Mama. Lata pięćdziesiąte.

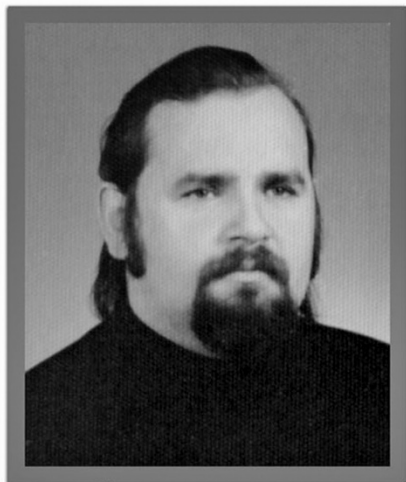
U dołu: Nasza mama Gertruda, jej brat Wöłfi i siostra Hela oraz Ich rodzice Berta i Alfred Just.



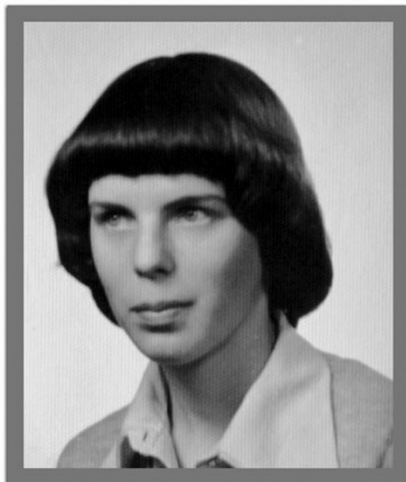
Spotkania. Henia.

Jesień 1976. Oleśnica. Pierwsze spotkanie.

Było to bardzo, bardzo dawno temu. Tak dawno, że nawet najstarsze szafy Lesiaka¹⁵², teczki Macierewicza¹⁵³, czy też inne zbiory IPN¹⁵⁴ tego już nie pamiętają. Nawet moje słynne Ilustracje z Pudełka po Niciach¹⁵⁵, które przez wiele lat gromadziło rodzinne i



Seniek



Henia

¹⁵² Jan Lesiak był pułkownikiem Służby Bezpieczeństwa i szefem zespołu specjalnego Urzędu Ochrony Państwa. Pracował w departamencie III, który zwalczał opozycję, gdzie rozpracował opozycjonistów m.in. Jarosława Kaczyńskiego i Jacka Kuronia. Kojarzony był głównie ze sprawy tzw. szafy Lesiaka. W latach 1991-1997 ówczesny płk. UOP Jan Lesiak zbierał informacje o różnych partiach politycznych, w tym również o obozie Lecha Wałęsy. Dokumenty świadczące o inwigilacji przywódców prawicy przechowywane były przez jego zespół w specjalnej szafie. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/>)

¹⁵³ Noc teczek – sformułowanie używane w publicystyce na określenie wydarzeń nocy z 4 na 5 czerwca 1992, związanych z odwołaniem rządu Jana Olszewskiego. Przyczyną odwołania była sprawa lustracji życia publicznego w Polsce. Było to jedno z najostrejszych przesilen w polskiej polityce. Rząd Olszewskiego został odwołany w ciągu 15 godzin od dostarczenia listy Macierewicza do Sejmu. Wniosek o natychmiastowe odwołanie premiera i rządu złożył prezydent Lech Wałęsa. 5.06.1992 Waldemar Pawlak został desygnowany przez Lecha Wałęsę i Sejm na stanowisko prezesa Rady Ministrów. 19.06.1992 Trybunał Konstytucyjny orzekł, że uchwała lustracyjna była sprzeczna z konstytucją Polski. Sformułowanie noc teczek nie oddaje charakteru tamtych wydarzeń. Teczki, z których Antoni Macierewicz sporządził raport, cały czas leżały w archiwum służb specjalnych. Jedynymi dokumentami, jakie otrzymali politycy (szefowie klubów) były zalakowane koperty z listami przygotowanymi na podstawie uchwały Sejmu z 28 maja 1992. Koperty zostały im dostarczone po godzinie 10 rano, a nie w nocy, na co wskazywałoby sformułowanie. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/>)

¹⁵⁴ Instytut Pamięci Narodowej

¹⁵⁵ Ilustracje z Pudełka po Niciach, czyli mój prywatny IPN. Zajrzyjmy na stronę internetową www.ipn.czos.eu

„Porządkując strych znalazłem stare pudełko po niciach. Leżało sobie zakurzone w kąciuku. Od dawna nikt do niego nie zaglądał i nikt już nie pamiętał, co kryje w swoim niepozornym wnętrzu... Skromne, niepozorne pudełko przeżyło z nami niejedną dziejącą burzę, niejednen stres i kryzys. Tak wrosło w "wędrowną" część naszego inwentarza, że praktycznie nieotwierane i, można by powiedzieć, zupełnie zbędne, przeżyło z nami również emigrację i liczne przeprowadzki. Otworzyłem i zaniemówiłem... W środku była prawdziwa bomba!!! Bomba większa od "Teczki Macierewicza" i "Szafy Lesiaka" razem wziętych!!! Były tam zdjęcia dokumentujące i demaskujące działalność autora tej strony oraz ludzi z nim w różnych okresach jego życia związanych. Zdjęcia, które udowodnią np. ich przynależność i aktywną działalność w zbrodniczej, reżimowej organizacji ZHP. Jakby tego było mało, odnalazłem tam dowody, że niektórzy z nich, a przede wszystkim autor tego tekstu odbywali służbę do tzw. Ludowym Wojsku Polskim. No, Nooo!!!”

nie tylko fotografie okazało się bezradne i nie ma w nim żadnych zdjęć, dokumentów, czy też jakichkolwiek zapisków na ten temat. Z tego powodu poczułem się zobligowany do podjęcia tego wątku i „popelnienia” pierwszego tym doniosłym wydarzeniu historycznego zapisu.

Była to jesień 1976 roku. W starym zamczysku w Oleśnicy koło Wrocławia spotkała się grupa instruktorów harcerskich. Cel mieli zbożny. Jako że w zamczysku mieściła się Centralna Szkoła Instruktorów Zuchowych, przyjechali tu, aby się kształcić. A że nie samą nauką człowiek żyje, drugiego dnia naszego pobytu zorganizowano w lochach zamczyska dyskotekę, czyli bardzo modny w tamtych czasach na wieczorek zapoznawczy, nazywany nieco złośliwie wieczorkiem rozpoznawczym. Nie wiedziałem wtedy jeszcze ile prawdy, w tym prawdy szczególnie ważnej dla mojej przyszłości tkwi w tym żarcie. Na tym, a właściwie to przed tym wieczorkiem rozpoznawczym stało się coś, co ułożyło mi i spotkanej tam osobie całe dalsze życie... Spotkaliśmy się wtedy po raz pierwszy!!! Dalszych tego skutków nietrudno się już domyślić...

Ja, jak to przystało na męską połowę rodu ludzkiego, zjawiłem się wraz z innymi kursantami płci męskiej wcześniej. Chodziło jak zwykle o to, aby wcześniej zająć miejsce z widokiem na długi korytarz wiodący do sali dyskotekowej. Mieściła się ona, jakby dla ostrzeżenia licznie tu przybyłej męskiej części rodzaju ludzkiego, w dawnej (o, zgrozo!!!) sali tortur. Niepomny dziejowych ostrzeżeń wraz z innymi przedstawicielami płci mniej pięknej zająłem strategiczne miejsce z dobrym widokiem na wspomniany już, prowadzący do sali tortur, przepraszam, dyskotekowej, korytarz. Już za chwilę miały nim defilować przybywające na dyskotekę przedstawicielki płci piękniejszej.

Ona, jak to na prawdziwą Damę przystało, spóźniła się trochę. Niewtajemniczonym wyjaśniam, iż panie nie spóźniają się na spotkania czy inne imprezy, czyli jak to się dzisiaj nazywa eventy¹⁵⁶, bo nie zdążyły z makijażem itp. Nic podobnego! Jest to największe nieporozumienie tysiąclecia!!! Prawda jest taka, iż panie spóźniają się, by mieć OPOWIEDNIE WEJŚCIE!!! Aby to wejście było zauważone. Uzyskać to można tylko wtedy, kiedy sala jest pełna. Cóż to za wejście, gdy na sali nie ma jeszcze nikogo???

W opisanym tu przypadku dodatkowym atutem płci najpiękniejszej był ten ogromnie długi piwniczny, doskonale spełniający rolę czerwonego dywanu korytarz, wiodący do sali tortur..

Tak też było i tym razem. Panowie z lekkim zniecierpliwieniem okupowali nieco przydługi korytarz i okolice wejścia do sali tortur, a panie, jak zwykle, taktycznie nieco się spóźniały. Powoli przyszedł jednak czas, kiedy zaczęły się pojawiać. Niektóre pojedynczo, inne w małych grupkach. Panowie podziwiali przechodzące zjawiska i komentowali każdy damski przemarsz. Przechodzące panie trochę się krygowały i udawały niedostępne, ale tak naprawdę były zadowolone ze zgotowanego im przywitania..

Wówczas pojawiła się ONA... Zaniemówiłem. Ona zbliżała się coraz bardziej a milczałem i podziwiałem, jak to się mówi „z otwartą gębą” ... Kiedy mnie mijała odzyskałem w końcu mowę (przypominam, że korytarz był bardzo długi) i rzekłem, niby to do kolegi, ale tak, aby Ona też to usłyszała:

-Idzie najpiękniejsza dziewczyna...

¹⁵⁶ Event – z języka angielskiego wydarzenie. Kolejny „makaronizm”, który opanowuje nasz piękny język.

Ona zatrzymała się, zmierzyła mnie krytycznym wzrokiem i skierowała w moją stronę pierwszą oznakę rodzącego się uczucia. Powiedziała tak, aby wszyscy obecni to usłyszeli, głośno i dobitnie:

-Głupi...

Początek był, jak widać, bardzo zachęcający... Potem też nie było ani prosto, ani łatwo. Ale jak się człowiek zawzięmie... Pominę kilka szczegółów i przejdę do spraw najważniejszych. Dzisiaj, w 2018 roku, obchodzimy czterdziestą rocznicę naszego ślubu, i mamy dwoje wspaniałych dorosłych dzieci i dwójkę cudownych wnuków.

Nadal, z wielką radością jesteśmy razem. Czasem tylko żona moja przypomni mi pierwszy komplement, jaki od niej usłyszałem wiele, wiele lat temu... Głupi...

23.09.1978. Mrągowo. Ach, co to był..

Zaczęło się wszystko odwrotnie niż w piosence o córce rybaka. W piosence ona

była "córką rybaka, Mazura z Mazur" a on "Góralem z Tatr". W życiu nie był on wprawdzie synem rybaka, ale za to Mazurem z Mazur. Tym najprawdziwszym z najprawdziwszych. Ona nie pochodziła z Tatr, ale była najprawdziwszą, rodowitą Góralką Żywiecką. Pozostałe



szcegóły jak te „całuski” i „rybie łuski” zgadzały się w 150 procentach. Zgadzało się wszystko tak dokładnie, iż Tatry stały się ich ulubionym miejscem urlopowym do końca ich pobytu w Polsce. Ale o tym potem. Wróćmy do początków.

Życie, jak to zwykle bywa, pisze scenariusze, których nie powstydziliby się najlepsi scenarzyści.

Ona z Żywca, on z Mazur, czyli zgodnie z logiką spotkali się w... Oleśnicy. W pięknym



oleśnickim zamku, (może ten zamek nie należy do najpiękniejszych, ale dobre wspomnienia robią swoje) na kursie instruktorów ZHP. Ona była najpiękniejszą dziewczyną na kursie, on młody i przystojny. Tak, tak, drogie dzieci. Może dzisiaj, kiedy z określenia młody i przystojny pozostało tylko „i”, trudno jest w to uwierzyć, ale tak było naprawdę...

Ówczesna "Gazeta Olsztyńska" tak donosiła na tę okoliczność: „W sobotę, 23 września ulice Mrągowa zaludniły się młodzieżą w harcerskich mundurach. W drużynach i szczepach ogłoszono mobilizację i dzień mundurowy z okazji... Ślubu pary instruktorów z komendy hufca Mrągowo.

Trudy dalszego życia postanowili dzielić wspólnie harcmistrz Henryk Turek, zastępca komendanta hufca i przewodnik Henryka Gramatyka, instruktor w tymże hufcu. Druh Henryk jest w cywilu pracownikiem działu społeczno – wychowawczego Spółdzielni Mieszkaniowej "Perspektywa", jego wybranka technikiem mechanikiem w Zakładach Sprzętu Mechanicznego.

W południe przed Miejskim Domem Kultury zebrały się drużyny zuchowe, harcerskie, HSPS-owskie i kręgi instruktorskie, by towarzyszyć Henryce i Henrykowi w drodze do Urzędu Stanu Cywilnego w miejskim ratuszu. Na czele harcerskiego korowodu stanęła orkiestra dęta, następnie młoda para oraz tłumy dziewcząt i chłopców. Po ceremonii ślubnej harcerska gromada z muzyką i piosenką na ustach powróciła do MDK. U wejścia młodzi zostali



przywitani chlebem i solą przez dyrektorkę MDK (również instruktorkę ZHP), podharcmistrz Janinę Przyborowską. W sali widowiskowej na młodożeńców czekał drugi ślub – z harcerską obrzędowością, który celebrował harcmistrz Jan Biłat, komendant hufca Mrągowo. W obecności kilkuset zgromadzonych świadków Henryka i Henryk ślubowali sobie kierować się w życiu i postępować zgodnie z zasadami moralności i etyki harcerskiej, a przyszłe potomstwo wychować na

harcerzy i godnych obywateli. By węzeł małżeński był trwały i nierozzerwalny, ich dłonie połączył solidnej grubości... drut. Z okazji instruktorskiego ślubu, została wydana okolicznościowa „Gazeta Ślubna”. Na przyjęciu w MDK-u bawiono się wesoło, jak to harcerze potrafią. Było ono wykwintne i oczywiście bezalkoholowe. I ja tam byłem, herbatę piłem...” (Foto: Andrzej Burdziej)

23.09.1978. Mrągowo. Fragmenty "Gazety Ślubnej"

Wydanie specjalne, bezcenne

Gazeta Ślubna

Mrągowo - Sobota - 23.09.78 - godz. 13.32 /
Nakład 50 egz.

Wydana z okazji zawarcia związku małżeńskiego
pomiędzy hm Henrykiem Turkiem a pwd Henryką
Gramatyka.

Drodzy Państwo ŚWIĘTO mamy.
Weselisko wyprawiamy.
Lecz nie takie to wioskowa,
tylko nasze - młodzieżowe.

HENIEK - druh na druchu,
żalem okrył swe dziewuchy,
kończą czasy kawalerskie
a zaczyna swe małżeńskie.
Przyjaciele

Wielki talent ma niewiasta:
chłop w jej rekach ma kształt
ciasta

Henio nie sypia, nie jada
i ze ścianami gada

Co zrobić, by wszyscy byli jednacy?
Ogolić do glacy i popędzić do
pracy!!!

Dobrana z nich para:
On cymbal - Ona fujara.

...a muzyczka ino ino, a muzyczka gra...

Na górze różę na dole fijołki
Oni się kochają jak dwa aniołki

Kobieto, wstan!!!
i ze mna idz!!!
aż wszystkie krzywdy nam się
spłacą..

Idziesz sobie niewinnie ścieżką polną -
a marzysz o tym, o czym ci nie wolno!
Myśli się kłębią, Bo wszystko wzbronione
przez Kosciół, Demokrację i Żonę.

Odeszły więc,
bo dałem im kosza.
A każdej z nich, niebodem,
kapały łzy do biustonosza
bo tamtędy im było po
drodze...!

A Męża trzeba bić -
nie pytać, tylko bić!
On sam już będzie wiedział za co...
A chociażby nawet niewinny był facet -
Historia pozwala! - Masz babo placet!

Mawiał mi ojciec, mawiał mi dziadek:
- spojrz, ile panien, wdów i sąsiadek ...
Noś serce przy sobie! (na wszelki wypadek)
A może w dzień biały, lub pośród nocy
sentymentalnej ktoś wezwie pomocy..

Dzis, gdy to wspomnę, łza płynie z oka...

Dnia 23.09.78r. nagle i za przyczyną

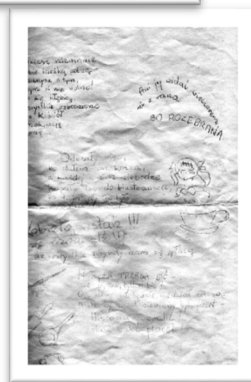
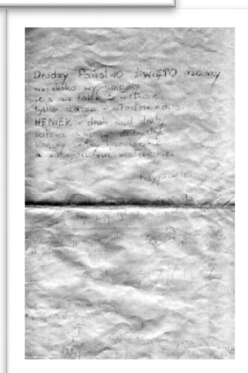
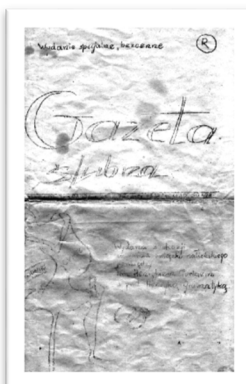
Henryki Gramatyki

w 27 roku życia opuścił nasz stan kawalerski
nieubłagany wróg spódniczek, kompan błesiad i hulanek,
wesołej pamięci

HENRYK TUREK

Pozostający w smutku
Koledzy - Kawalerowie

Szkoda, że nie z Mrągową,
ale z Żywca też morowa!!!



Herford. 25 - lecie ślubu.

Sprawozdanie z imprezy zorganizowanej przez Asię i Marcina. Teksty: Asia i Marcin.

Słowo do pary (nawet po 25 latach) młodej!¹⁵⁷:

Kochani rodzice, wiemy, że bardzo baliście się, najwięcej chyba mama, co my takiego planujemy. (Komentarz Marcina: dziękuję za codzienne wydzwanianie do mnie!!!). Nie jest to nic wielkiego, ale myślimy, że będzie wesoło! Byliście bardzo ciekawi! (Komentarz Asi: Pierwszy raz widziałam to u taty!). Niestety jeszcze parę dni musicie poczekać (Komentarz Asi: Tata, naprawdę nie wiesz, co na ciebie czeka!!!!) i zobaczycie, że wasze dzieci tyle samo humoru mają, co wy. (Co nie znaczy, że musi to być coś dobrego... ha ha...)

Nie łamcie sobie głowy nad tym, co was czeka, tylko bawcie się razem z nami, bo do następnej niespodzianki minie kolejne 25 lat!

A teraz życzymy dużo przyjemności w drodze od roku 1978 do dzisiaj!!! ... Marcin i Asia

25 lat miłości, szczęścia, a czasami i kłótni!

Był 1976 rok, kiedy spotkali się na kursie harcerskim. Bardzo piękna dziewczyna, Henia i przystojny chłopak, Heniek. Gdy ją zobaczył, nie wiedział jak do niej podejść. Jej olśniewająca piękność onieśmiała go i zawróciła mu w głowie, ale żeby ta opowieść nie skończyła się w tym momencie, podszedł do niej, popatrzył jej głęboko w oczy i powiedział: "Ładne oczy masz, komu je dasz???"



Organizatorzy imprezy 20 lat wcześniej.

Ona, zaskoczona, długo zastanawiała się nad jego pytaniem... W końcu podarowała mu swe oczy, błyszczące jak gwiazdy. Potem dwa lata jeździła tak często jak mogła, pociągami z Żywca do Mrągorowa, żeby się z nim spotykać. Mimo wyśmiewek¹⁵⁸ przyjaciół latała za nim przez całą Polskę.

Był piękny wieczorek, gdy on zaprowadził ją nad jezioro i zadał jej najważniejsze pytanie w życiu. Wstała z ławki, na której siedzieli i skakała z radości dookoła niej.

23.09.1978 odbyło się wielkie, do dzisiaj największe i najładniejsze, wesele w Mrągorowie. Było fantastyczne, ale on myślał jednak, że dla tak cudnej dziewczyny nie było wystarczająco fajne. Może przez to, że było bezalkoholowe. Już tydzień później zrobił jeszcze cudowniejsze w Żywcu. Do dzisiaj jeszcze ludzie w Mrągorowie, a także w Żywcu wspominają, jaka to zabawa była. Jedyne takie fantastyczne wesele i taka piękna para młoda od powstania pierwszego człowieka. W tym momencie trzeba zaznaczyć, że już ich noc poślubna pełna była sukcesu. Parę miesięcy później urodził się piękny synek. Dali mu na imię

¹⁵⁷ Oryginalne teksty wygłoszone przez nasze dzieci na zorganizowanej przez nich imprezie z okazji naszego Srebrnego Wesela.

¹⁵⁸ Wyśmiewka – słowo to stworzyli na potrzebę tego tekstu Asia i Marcin. Oznacza to samo, co zapomniana już dzisiaj staropolska podśmiejka, czyli ironiczne traktowanie kogoś; kpina, drwina. S

Marcin. Było to i jest do dzisiaj takie cudowne, śliczne i wesołe dziecko, że postanowili mieć ich więcej. Wiec całowali się całymi nocami i jakiś czas później urodziła się dziewczynka o imieniu Asia. Wrzaski i kłótnie tej dwójki rozbójników sprawiły, że porzucili plany dalszego powiększania rodziny.

Parę lat później miał nasz przystojny pan niesamowity pomysł i powiedział do swojej żony: "Kochana, zawiozę cię do kraju, w którym pomarańcze i meble przez cały rok kupić można, i do tego bez kolejek!" Wiec wkuwali słówka i dialogi, żeby móc np. kupić kwiaty. "Ich möchte Blumen kaufen", "Was für Blumen?", "Ich möchte Schnittblumen!" itd. Jak to w życiu bywa czasami pojawiały się też trudności, ale z czasem zbudowali sobie życie pełne szczęścia. Żeby dopełnić kielich szczęścia, polecili przez olbrzymi staw do kraju, gdzie wszystko jest trochę większe.

Ameryka! Kraj wolności i ... Gry. By nie doprowadzić, przez jej zamięłowanie do gier, do bankructwa rodziny wrócili z powrotem. I tak wśród chwil szczęścia i miłości upływało im powoli życie, aż do dnia dzisiejszego.

Dziękujemy Wam...

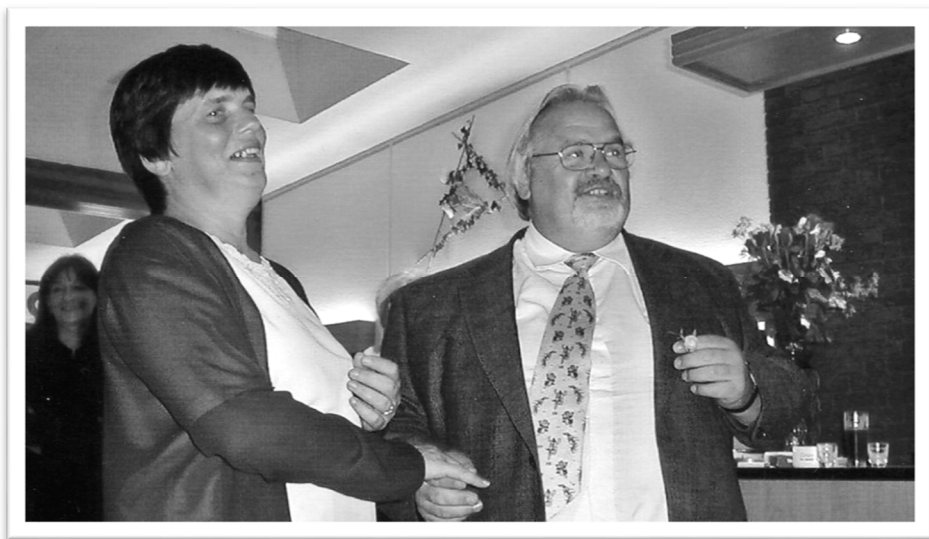
Asia i Marcin.



Okolicznościowy wiersz autorstwa Asi i Marcina.

Wir gratulieren, wir gratulieren,
ihr habt es geschafft 25 Jahre miteinander zu fungieren
Sie veränderte ihn und sein Wesen
manchmal auch mit dem Besen
nicht das sie ihn gehauen hat
aber sie hatte immer einen guten Rat
Nur er wollte nicht hören

und das mußte sie ja stören
Wir wollen nicht nur auf ihre Schlechtigkeiten eingehen,
denn auch Seine sind nicht zu übersehen
Um seinen Sturkopf zu ertragen
und dabei nicht zu versagen
mußte sie oft vor ihm flüchten
um ihn nicht zu vernichten
er hat oft nicht nachgegeben
aber sie dachte nur : so ist das Leben,
Euren Humor habt ihr aber Gott-sei-dank nicht verloren
sonst gäbe es jetzt ein paar auf die Ohren
Falls ich mich doch in den letzten 2 Zeilen irren sollte
es war Martin, der dies hier schreiben wollte
Ihr kennt euch also nun seit 27 Jahren
in dieser Zeit habt ihr vieles erfahren
Ihr hab euch geliebt aber auch gestritten
was sind das bloß für Sitten?
Ich dachte wir könnten als Kinder von euch lernen
aber das war wohl Luft gepustet in Laternen
Ihr merkt schon, ich sollte an dieser stelle aufhören,
denn meine Reime scheinen sich gegenseitig zu stören
aber eins wollte ich euch noch sagen
es ist überhaupt keine Frage
wir wünschen euch noch weitere 1000 Jahre
voller Liebe - das wäre doch das Wahre





Burj Khalifa Dubaj 2019. Heniek i Henia.
Lata mijają a oni, ANIOŁKI, trwają. W Dubaju urosły im nawet skrzydła...



...a w Szwecji oboje „chodzą” na ryby...

Archipelag.

„Archipelag ludzi odzyskanych” czy „Archipelag ludzi porąbanych”?

Skąd ten dziwny tytuł? To proste. Przed laty, kiedy po raz drugi przeczytałem książkę Igora Newerly „Archipelag ludzi odzyskanych”, doszedłem do wniosku, że tytuł tej jest bardzo dobry, ale nie do końca oddaje rzeczywistość Ziemi Odzyskanych. Nie widziałem tego podczas pierwszego jej czytania, czyli w dzieciństwie. Wtedy za mało wtedy rozumiałem z tego, co dzieje się wokół mnie. Książka była doskonałym, napisanym lekkim piórem czytałem i trudno się było od niej oderwać. To prawda. Lecz podczas drugiego jej czytania, kilka czy też kilkanaście lat później zrozumiałem, że to nie tak. Że książka ta jest „produkcyjniakiem” napisanym na zamówienie i potwierdzenie słuszności prowadzonej wówczas wobec nas, aborygenów Mazur¹⁵⁹, czyli autochtonów, polityki. Robiono wówczas wszystko, aby udowodnić nam, naszą polskość. Książka ta miała być w tym pomocną. Nie wiem, czy Newerly dał się zmanipulować czy też robił to nieświadomie, jednakże książka ta idzie tym nurtem. Na pewno autor spotkał opisanych tam ludzi, na pewno opowiedzieli mu to, co opisał, lecz pokazanie tego, jako głównego nurtu i postaw ludzkich uważam za nadużycie. Niemniej doceniam „lekkość pióra” i opisy Mazur, zaś tytuł książki uważam za majstersztyk.

Życie toczyło się jednak bardzo daleko od powieści. To, co próbowano z nami zrobić nazywało się repolonizacją Autochtonów. Jednakże dla znakomitej większości Mazurów była to przymusowa ich polonizacja, a na to nie wszyscy i nie zawsze mieli ochotę. Dygnitarze państwowi i partyjni postępowali na ogół tak, że nawet ci, którzy skłonni byli na tę darowaną im polskość przystać, w krótkim czasie rezygnowali nawet z myśli o tym. Jeden z działaczy mazurskich na rzecz Polski, nie pamiętam już, który, powiedział, że Polacy zrobili przez kilka powojennych lat więcej dla zniemczenia Mazurów niż Niemcy przez stulecia. W pełni podzielam to zdanie. Najlepszym tego przykładem może być moja prababcia. Urodzona jeszcze w XIX wieku, jako osoba dorosła, brała udział wraz z trójką dzieci w ucieczce podczas pierwszej wojny światowej. Należała do pokolenia, które mówiło po polsku (mazursku) i po niemiecku, jednakże głównym jej językiem na był język niemiecki. Dla jej pokolenia nie było ważne, czy Mazury są polskie, czy niemieckie. Ważne było wszystko pozostało na swoim miejscu. Cesarz w Berlinie, ksiądz w kościele, a Pan¹⁶⁰ we dworze. Inne drobiazgi nie były ważne.

Jej największym przeżyciem politycznym był dzień abdykacji cesarza. Znam to wydarzenie z jej opowiadań. Było to krótko po pierwszej wojnie, kiedy wróciła już do domu po wojennej ucieczce. Życie powoli wracało do normy. Pewnego dnia Pan wezwał

¹⁵⁹ Autochton – człowiek należący do rdzennej ludności danego obszaru, np. Indianie amerykańscy czy Aborygeni australijski. Według profesora Andrzeja Saksona, socjologa specjalizującego się w badaniach mniejszości etnicznych termin autochton określa także mieszkańca pogranicza polsko-niemieckiego, byłego obywatela III Rzeszy, deklarującego polskie pochodzenie. Termin ten bywał niezrozumiały dla osób nim obdarzanych, bywał też stygmatyzujący. (Źródło: Wikipedia) Jak z powyższego wynika, byliśmy wtedy aborygenami Mazur. Patrz rozdział „Okrakiem”. (Przyp. mój)

¹⁶⁰ Pan – Pan wg. mojej prababci, to był właściciel ziemski, ziemianin, a nie obszarznik, jak to usiłowano jej wmówić po 1945 roku. Co za tym idzie, prababcia nigdy nie rozumiała, skąd się w Polsce bierze tyle Panów. Przecież to wszystko gołodupcy, bez majątku, dlaczego więc tytułują się „Pan”? W jej świecie Pan mieszkał w pałacu, był pracodawcą i troskliwym opiekunem mieszkańców „jego” wsi albo folwarku. Tak, były takie czasy! On nimi kierował, on nimi zarządzał, ale też dbał o nich, ingerował, kiedy kogoś krzywdzono. On organizował też te znane nam z historii ucieczki w czasie pierwszej i drugiej wojny i on dbał o to, by wszyscy, nawet ci najbardziej znaleźli miejsce na furmance. Nie zawsze był to, jak nas uczono, krwio pijca i wyzyskiwacz. Kiedy do tych wszystkich zmian doszedł fakt, że w pałacach zamieszkałi nowi panowie, czyli PGR-y, prababcia przestała rozumieć ten świat.

wszystkich mieszkańców do Dworu. Kiedy mieszkańcy folwarku się tam pojawili, przeczytał im pismo o abdykacji cesarza. Całe zgromadzenie wybuchło płaczem. Jakże to teraz będzie? ... Tak całkiem bez cesarza?... Tak się nie da...

Po drugiej wojnie prababcia już nie wracała do dworskiego folwarku. Pradziadkowie kupili w okresie międzywojennym gospodarstwo w Młynowie. Prababcia wracała tym razem na swoje. Nieważne było, kto rządził teraz na Mazurach. Cesarza i tak już dawno nie było a Pan z Młynowa rozparcelował i wyprzedał majątek. Ona i jej mąż byli beneficjentami tej parcelacji i wyprzedaży...

Obiecałem się zająć tytułem tego rozdziału, więc wracam do tematu. Tytuł „przysposobiłem” dla moich potrzeb z książki Igora Newerly¹⁶¹. Przez lata od pierwszego do drugiego czytania tej książki rozumiałem jednak, że sytuacja Ziem Odzyskanych (Ziem Wyzyskanych, jak to trafnie określił Pawlak w kultowym filmie „Sami Swoi”) bardzo odbiega od tej opisanej w książce. Że tu nie chodzi już tylko o tych, których autor nazwał ludźmi odzyskanymi. Chodzi tu też o tych, którzy niekoniecznie z własnej woli znaleźli się tu po 1945 roku. Ludzi, z których każdy czuł, że miejsce, gdzie rzucił go los, nie jest jego miejscem na tym świecie. W połączeniu z „tutejszymi”, którzy z biegiem czasu też przestali się tu czuć na swoim miejscu, powstał niesamowity i jedyny w swoim rodzaju „Archipelag ludzi porąbanych”. Przy czym słowo „porąbanych” nie donosi się w tym przypadku do siekiery, lecz do stanu psychicznego tych ludzi. Każdy z nich miał jakieś psychiczne „odchylenie” i czuł się przez wiele lat na Mazurach, czy też innych „Ziemiach Wyzyskanych” nie na swoim miejscu i nie w swojej skórze. Każdy z nich traktował ten stan, jako przejściowy i czekał na okazję do zmian. Każdy z nich tkwił na swoistym berlińskim murze i czekał na okazję by go przeskoczyć, ale wtedy jeszcze nic o tym murze nie wiedział... Większość z nas wiedziała jednak, w którą stronę należy skakać.

Każdy z nas, czy to dawny, czy nowy mieszkaniec był trochę „porąbany”. Tych „porąbań” były trzy główne nurty, tak jak trzy nurty pochodzenia tutejszych mieszkańców. Każde pochodzenie rodziło w ludziach inne „odchylenia” czy „porąbanie”, ale wszystkie miały jeden mianownik: „Tu nie jest moje miejsce, ja chcę do siebie, do swoich.” To wspólne „porąbanie” jednoczyło nas. Powoli, spokojnie, najpierw obwąchiwaliśmy się wzajemnie jak przygodnie napotkane psiaki. Potem, coraz częściej zaczęliśmy w tych innych dostrzegać normalnych ludzi. Jeszcze podśmiewywaliśmy się z siebie nawzajem, ze swoich wad czy przywiezionych z dalekiej ojcowizny zwyczajów, lecz śmiech ten był coraz bardziej serdeczny i coraz mniej złośliwy. Zaczęliśmy powoli i nieufnie podglądać doświadczenie i zaradność „tych innych”. Stwierdziliśmy, że od nich też można się czegoś nowego nauczyć. I nawzajem. „Oni” zaczęli się uczyć od nas. Najpierw były to drobiazgi.

¹⁶¹ Archipelag Ludzi Odzyskanych to książka, która zrodziła się z powojennych wędrowek kajakowych po Warmii i Mazurach, z wsluchiwania się w opowieści napotkanych ludzi i z obserwacji domu dziecka w Bartoszycach. Pierwotnie nosiła podtytuł "Opowieść historyczna z roku 1948" i - podobnie jak poprzednia książka - miała swą wersję radiową w postaci cyklu ok. trzydziestu audycji. Czytając rzecz ponownie po latach, Newerly dostrzegał pewną jej nierówność ("Są tu rzeczy mocne i słabe, kamień i piasek w wielkim pomieszaniu"). (Źródło: <http://culture.pl/pl/tworca/igor-newerly>)

Książka składająca się z trzech części. Pierwsza jest gawędą o wędrowce Igora (tu występuje sam Newerly) z bezprizornym Kubą. Wówczas czytelnik poznaje historię Mazur, wyjaśniona jest kwestia mazurskości, różnicy pomiędzy Niemcami, a Mazurami. Newerly pięknie opisuje mazurską przyrodę oraz ludzi mieszkających w regionie. Część druga jest odpowiedzią na tzw. socrealizm, który miał miejsce po tzw. zjeździe szczyńskim w 1949 roku. Autor opisuje życie Kubę w poprawczaku, doszukuje się idei dla kraju. Druga część pełni funkcję wychowawczą. Nie ma w niej miejsca na ciekawą opowieść podobną w pierwszej części. Ostatnia część zawiera historię mazurską oraz wyjaśnienia autora. Książkę na pewno warto przeczytać- choćby z powodu pięknych opisów przyrody oraz dobrego pióra Newerlego!!! (Źródło: <http://lubimyczytac.pl/ksiazka/88617/archipelag-ludzi-odzyskanych>)

Kobiety wymieniały kuchenne przepisy. Do naszej kuchni przywędrował nieznanymi mi dotąd czosnek. Wigilijna kolacja składała się z 12 postnych, katolickich dań naszego taty, ale na samym środku stołu królowała ewangelicka gęś naszej mamy. I tak dalej, i tak dalej... Przez wiele, wiele lat.

Wróćmy jednak do naszych „Porąbanych”. Jedną z „porąbanych” grup byli tutejsi. Ci, co zimą 1945 roku powrócili z wielkiej ucieczki, bo dogoniła ich rosyjska armia i pozwoliła uciekać dalej, aż do terenów późniejszych Niemiec. Wrócili doświadczeni ucieczką w trzaskający styczniowy mróz i doświadczeniami spotkania z sowiecką armią. Wrócili doświadczeni gwałtami, kradzieżami, rozstrzeliwaniem itp.

Mój pradziadek Julius Piechotka trzykrotnie stał pod murem, bo nie chciał oddać koni. Na szczęście trafił na litościwych żołdatów, których wzruszył płacz prababci i pozostałych kobiet. Darowano mu życie, jednak uraz psychiczny pozostał. Nigdy już nie zdołał się z niego otrząsnąć. Do końca swoich dni musiał być pilnowany, bo w swojej świadomości był w trakcie ucieczki. Szczególnie źle było nocą, kiedy budził się i uciekał przed rozstrzelaniem. Zmarł w 1952 roku w szpitalu dla nerwowo chorych w Choroszcy.

Naszą mamę pozbawiono kolczyków, złotego łańcuszka, zegarka i butów (przy trzaskającym mrozie została w skarpetach, ale za to przy życiu). Pięćdziesiąt lat później, w wywiadzie z Ralphem Giordano, niemieckim pisarzem, przyznała się, że była zgwałcona. My o tym nie wiedzieliśmy, bo takich rzeczy dzieciom, nawet dorosłym, się nie opowiada.

Jeszcze gorzej było z tymi, co nie uciekali. Tych rozstrzeliwano na miejscu, tak jak siostrę prababci, Kapteinkę i jej męża. Nie uciekali. Pozostali we wsi pilnować dobytku. Znaleziono ich rozstrzelanych na progu własnego domu.

Tak mniej więcej wyglądała pierwsza grupa „ludzi porąbanych” na Mazurach. Część z nich wysiedlono jeszcze w latach czterdziestych do Niemiec, inna część musiała pozostać. Nikt dzisiaj nie wie, jakimi przesłankami kierowano się wysiedlając Mazurów. Niektóre wioski wysiedlono do ostatniego mieszkańca, innych nie wysiedlano. Do tych niewysiedlonych wiosek przyjeżdżała specjalna komisja i zbierała wszystkich mieszkańców, łącznie z małymi dziećmi, w największym pomieszczeniu, jakie było w danej wsi. Obecność wszystkich była obowiązkowa i nikt nie miał prawa bez zezwolenia zebrania tego opuścić. Podczas spotkania najpierw wyjaśniano mieszkańcom, że wcale nie są Niemcami. To wredni hitlerowcy zgermanizowali ich, naiwnych Mazurów zwanych teraz autochtonami. Lecz Polska jest wyrozumiała dla wszystkich swoich obywateli, nawet tych błędzących. Wystarczy dobrowolnie (!) podpisać oświadczenie, że jest się Polakiem, a Ojczyzna przyjmie ich znowu na swoje łono i wybaczy im wszystkie ich grzechy i wypaczenia.

W Młynowie też odbyło się takie spotkanie. Dowiedziałem się o nim wiele lat później, bo rozmowy na takie tematy były niebezpieczne. Tak jak i w innych wioskach, zebrano mieszkańców pochodzenia miejscowego w największej dostępnej sali. Była to sala balowa miejscowego pałacu. Odczytano kwieciste orędzie, które mówiło o tym, że wszyscy Mazurzy są Polakami, lecz zostali podstępnie zgermanizowani przez faszystów, hitlerowców i innych złych ludzi. Polska ojczyzna jest jednak wielkoduszna i wybaczy im wszystkie grzechy. Wystarczy jedynie złożyć odpowiednie oświadczenie. Dla ułatwienia sprawy oświadczenie takie zostało już przygotowane i wydrukowane, wystarczyło je tylko podpisać.

Początkowo chętnych do podpisania „lojalki” nie było. Tym bardziej, że nie było za to żadnych sankcji. Jedyne ci, którzy nie podpisali, nie mogli opuścić sali obrad. Początkowo nie było to groźne. Lecz wieczorem, kiedy niedojone i niekarmione bydło zaczęło

ryczeć, było trudno. Polscy sąsiedzi, którzy nie musieli brać udziału w tym spotkaniu, próbowali pomóc i zająć się dobytkiem niemieckich sąsiadów. Niestety, odpowiednie służby nie dopuściły do tego. Niedojone bydło ryczało coraz głośniejsze a na sali gospodarze byli coraz bardziej niespokojni. Pierwszy z nich „pękł” nocą. Podpisał. Pozwolono mu iść do domu, do obrządku. Ale tylko w swoim gospodarstwie. Broń boże u sąsiadów. Z biegiem czasu chętnych do złożenia podpisów było coraz więcej. Najbardziej uparty wytrzymał trzy dni. Można powiedzieć, że po trzech dniach Młynowo stało się w sto procentach polską wioską. Niestety, Babcia Berta straciła ostatnią szansę na ponowne zobaczenia swojego męża, Dziadka Alfreda. Ona była teraz Polką, a dziadek był Niemcem i po zwolnieniu z rosyjskiej niewoli osiedlono go przymusowo w NRD. Kilka razy próbował składać papiery na powrót do rodziny. Bezskutecznie. Jako Niemiec nie miał w Polsce nic do szukania.

Okrakiem. Aborygeni Mazur.

Okrakiem czy w rozkroku?

Skąd ten tytuł? Nie wiem. Jakoś tak sam się znalazł. Zaczęło się od tego, że w 2012 roku, po emisji w Radiu Planeta audycji o piekowskich występach naszego taty, jako Gagarina, pani redaktor Paulina Duszak-Jabłonowska¹⁶² próbowała minie zainspirować do napisania wspomnień. Myślała pewnie przy tym o takich prawdziwych wspomnieniach nadających się do wydrukowania, dlatego odmówiłem. Potem, po wielu miesiącach rozmyślań rzucone raz ziarno zakiełkowało i zdecydowałem się je spisać, ale w formie bardziej kameralnej i bardziej brutalnej, bez upiększeń. W wersji przeznaczonej wyłącznie dla rodziny i z przeznaczeniem przede wszystkim dla wnuków. Dorosłych wnuków. Wtedy wspomnienia czy też, jak kto woli odpryski, będą już tak odległe w czasie, że staną się odrealnione i może jeszcze niektóre fragmenty będą śmieszyć i cieszyć, ale nic nie będzie już bolało.

Kiedy w ostatnich latach porządkowałem lub też usiłowałem uporządkować chaos moich przeżyć, czyli wspomnienia, wydawało mi się, że tą ich część najlepiej spinał będzie tytuł „W rozkroku”. Skąd to się wzięło? Wszyscy „powojenni” mieszkańcy Mazur, zarówno ci tutejsi, jak i ci, których rzucił tu los mieli ogromne problemy tożsamościowe. Z kolei my, pierwsze pokolenie zrodzone na tej ziemi, pochodzące najczęściej z przemieszania się tych tutejszych z przybyszami lub przemieszania się przybyszy z różnych stron, mieliśmy jeden problem więcej. Problem narodowościowy. Byliśmy Polakami czy też Niemcami? A jeżeli Polakami, to którymi? Tymi z Wileńszczyzny, czy też tymi z Kresów. A może tymi z Polski Centralnej¹⁶³? Z tym pytaniem konfrontowanie byliśmy niemal codziennie, a odpowiedź na nie była czasami brzemienią w skutkach. Pamięta, że w czasach, kiedy ani ja, ani Zygmunt nie chodziliśmy jeszcze do szkoły, pytanie to zadawano nam

¹⁶² Paulina Duszak-Jabłonowska <paulina.duszak-jablonowska@planeta.fm> eMail z dnia 07.09.2012: Witam Serdecznie. Chciałbym pana zachęcić do pisania wspomnień z Mrągowa, Dariusz Żyłowski kierownik mrągowskiego muzeum (tel. do pracy 089 741 28 12) z ramienia towarzystwa miłośników ziemi mrągowskiej zachęca do pisania wspomnień. Akcja ma się zakończyć najprawdopodobniej na koniec tego roku, wystawą wspominkową. Ze względu na to że na pewno pana wiedza na temat Mrągowa i wspomnień z tym miejscem związanym jest duża, na pewno takie napisane wspominki były by bardzo przydatne. Dziękuję i pozdrowienia Paulina Duszak-Jabłonowska Planeta FM Mrągowo Mazurska 20, 11-700 Mrągowo

¹⁶³ Określenie Polska Centralna miała w tamtym czasie inne znaczenia niż dzisiaj. Wtedy wszyscy, którzy nie byli tutejsi (czytaj: autochtoni albo Mazurzy) i nie byli przesiedleńcami ze wschodu, czyli z byłych terenów polskich teraz należących do Związku Radzieckiego, (czytaj: Repatrianci albo zabugowcy) pochodzili z Polski centralnej (czytaj: z centrali). Potem doszli jeszcze przesiedleńcy z akcji „Wisła”, ale to już całkiem inna historia.

dość często. Najczęściej podczas rodzinnych. W spacerach tych na ogół nie uczestniczył nasz tato, ponieważ jako ważny działacz miejscowego klubu sportowego musiał być w tym czasie na stadionie, gdzie odbywał się kolejny mecz. Myślę, że w jego obecności nikt nie odważyłby się zadawać nam takie beczelne pytania. Mama była niestety tylko autochtonką, Mazurką, czyli Niemką, więc ją i jej dzieci można było spróbować upokorzyć. Na spacerku, najczęściej nad Czosem, spotykało się innych spacerowiczów. Po obligatoryjnym przywitaniu i „jakie piękne dzieci” i „jak one ostatnio urosły” itp. bardzo często padało w stronę dzieci niemalże sakramentalne „hej, a ty jak masz na imię” i potem „a ty jesteś Niemiec czy Polak?”. To miał być chyba żart, ale żart ten mógł być niebezpieczny. Mama się tego pewnie domyślała, my nie. Mimo to nienawidziliśmy tego pytania. Jak niesie rodzina wieść reagowaliśmy na to każdy na swój sposób. Ja robiłem bardzo obrażoną minę i nie rozmawiałem więcej z delikwentem, czasami nawet podczas spotkania w przyszłym tygodniu. Zygmunt natomiast miał na to pytanie swoją własną reakcję i własną, całkowicie autonomiczną odpowiedź, po której delikwentowi wydłużała się mina i najczęściej w przyszłości unikał zadawania nam głupich pytań. Mój starszy braciszek „brał się pod boki” i z poważną miną, patrząc rozmówcy w oczy dobitnie odpowiadał: TUREK!!!

Tak jak my, tak i wielu innych znajdowało się w tamtych czasach w pozycji „w rozkroku”. W dodatku każda z nóg stała na innej łódce, a łódki się ciągle rozplywały. Pozycja ta dzieliła i łączyła jednocześnie dwie ciągle rozjeżdżające się jaźnie. Zarówno ja, jak i inni młodzi ludzie staliśmy w tym wyimaginowanym rozkroku na dwóch łódkach. Spędziliśmy w tej pozycji sporą część naszego życia. Ja i moja rodzina tą polską i tą niemiecką część. Inni inne tożsamościowo części życia. Potem, po latach okazało się, że to nie było rozdwojenie jaźni. Jaźń była jedna. Europejska. My zaś staliśmy nie tylko na tych dwóch rozplywających się łódkach, lecz także siedzieliśmy na tym przez nas wyimaginowanym, a potem wybudowanym berlińskim murze okraciem, podtrzymując się przy tym nawzajem, aby z niego nie spaść na niewłaściwą stronę. Ale wtedy tego jeszcze nikt nie wiedział. Ani my ani nikt inny. Niemniej czasami był to już nie tyle rozkrok, co prawdziwy szpagat. Szpagat, z którego obawiałem się, więcej się nie podnieść. Udało się to dopiero w 1990 roku, kiedy uciekliśmy do Niemiec. Wtedy okazało się, że poza pokonaniem szpagatu, wyładowaliśmy też po właściwej stronie muru, na którym tyle lat siedzieliśmy. Wejście Polski do Unii Europejskiej potwierdziło słuszność naszej decyzji o przeprowadzce do Niemiec. Wtedy zrozumiałem też, że moim dzieciom oszczędzone zostanie stanie w rozkroku na dwóch rozplywających się niezwykle ważnych do normalnego życia łódek. Łódki polskiej i niemieckiej. Dla nas zostaną one na zawsze razem, bez konieczności decydowania, na której chcemy dalej płynąć. Kilka lat później Europa przyszła też do tych, którzy tkwili jednocześnie w tych dwóch łódkach i na naszym murze, a nie zdołali wyjechać. I TAK MA ZOSTAĆ!!!

Europa i Europejczycy, czyli okraciem na wirtualnym Berlińskim Murze.

Podczas bezsennych nocy porządkowałem w myślach materiały do przelania na papier. Doszedłem do wątku Eginharda. Zobaczyłem się z nim po ponad czterdziestu latach. Poprzednio widziałem go w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy wraz z rodzicami złożył u nas wizytę pożegnalną przed wyjazdem do NRD. On był wtedy małym chłopcem, a ja nastolatkiem. Teraz on był człowiekiem w sile wieku i po wielu przejściach, a ja starszym panem. Od pierwszego momentu naszego spotkania rozumieliśmy się tak, jakby powróciliśmy do przerwanej wczoraj rozmowy. Przegadaliśmy trzy noce i od tego czasu

znowu jesteśmy w stałym kontakcie. Jego historia, a szczególnie wątek ucieczki z NRD zafascynował mnie. Kiedy doszła do tego historia Liselotty, zwaną w rodzinie Długą Lottą (Die Lange Lotte), historia mojego dziadka Alfreda Justa ze Strzelna, zmarłego w 1959 roku Altwarp w NRD, i wielu innych członków naszej wielkiej rodziny, tytuł zmienił się sam. Zrozumiałem, że my nie staliśmy w rozkroku między kulturami, narodami czy państwami. My od samego początku byliśmy Europejczykami, tylko wtedy jeszcze nikt o tym nie wiedział...

Siedzieliśmy okraciem na Berlińskim Murze¹⁶⁴ już od samego początku. Już wtedy, kiedy go jeszcze fizycznie nie było. Mur zbudowano w 1961 roku, ale symbolicznie istniał on w ludzkich głowach i w polityce już w 1945. Istniał wtedy jedynie w świadomości tych, którzy chcieli nas, przyszłych Europejczyków koniecznie rozdzielić. Przecież ludźmi podzielonymi i skłóconymi łatwiej się manipuluje. Lecz my, przyszli Europejczycy, od początku twardo siedzieliśmy na tym Murze. Trzymaliśmy się go rękami i nogami, zębami, pazurami i czym się tylko dało, by nas nikt z niego nie ściągnął, szczególnie na tą niewłaściwą stronę. Siedzieliśmy na nim tylko symbolicznie, naszą postawą i działaniami, ale historia przyznała nam rację.

Dlaczego? To proste. Tak jak Mur Berliński był symbolem podziału nie tylko Berlina, ale też Niemiec, Europy, Świata i pojedynczych ludzi, tak powojenna historia mojej niemieckiej jak i polskiej rodziny był symbolem naszego rozdarcia i pogubienia, lecz też wynikającej stąd rozpaczliwej siły, by mimo wszystko być razem. Mimo wszystkich granic i wmawianych nam różnic, być razem. Mimo granic, zarówno tych między państwami, ale i tych między wielkimi blokami politycznymi i militarnymi, między poglądami, między narodami i kulturami, czy też granic między wszelkiego rodzaju „...izmami”¹⁶⁵ chcieliśmy być razem.

Zaraz po otrzeptaniu się z wojennego kurzu zaczęliśmy liczyć rodzinne straty. Nie te materialne. Raczej te ludzkie. Pod Stalingradem zginął babci brat Fridrich Piechotka. Pozostali po nim w Pniewie żona Gertruda i kilkumiesięczny syn Ulrich. Syn mieszka do dzisiaj w Marcinkowie, przez wiele lat był w Mrągowie taksówkarzem. Żona, zgwałcona przez ruskich żołdatów urodziła córkę Gizelę, która później ukończyła mrągowskie Liceum Pedagogiczne i wyjechała z Mrągowa. Od tego czasu nie miałem z nią żadnego kontaktu. Szkoda, bo bardzo ją lubiłem.

Nie wrócili z wojny bracia Jablonski – synowie brata mojej prababci, czyli odłam rodziny z Zyndak. Max zginął w 1944 roku w Czechach, Fritz zginął 19.03.1944 w Rosji, a Gerhard uznany został za zaginionego. W domu oprócz starych rodziców zostały tylko dwie dziewczyny: Hildegard i Elise, matka wspomnianego już Eginharda.

Mój dziadek Alfred Just dostał się na Helu do rosyjskiej niewoli. Po wypuszczeniu z niewoli nakazano mu osiedlić się w NRD. Nie pozwolono mu wrócić na Mazury, czyli do Polski, gdzie mieszkała jego żona, dzieci i wnuki. Jako Niemiec nie miał tam nic do

¹⁶⁴ Mur Berliński – system umocnień o długości ok. 156 km (betonowy mur, okopy, zapory drutowe, miny). Zwany był również eufemistycznie w języku propagandy NRD – antyfaszystowskim wałem ochronnym (antifaschistischer Schutzwall), od 13 sierpnia 1961 do 9 listopada 1989 oddzielał Berlin Zachodni od Berlina Wschodniego. Był on jednym z najbardziej znanych symboli zimnej wojny i podziału Niemiec. Podczas prób przedostania się przez strzeżone urzędnictwo graniczne do Berlina Zachodniego wielu ludzi zostało zabitych. Dokładna liczba ofiar jest sporna i niepewna, różne źródła podają od 136[3] do 238 śmiertelnych przypadków. (Źródło: Wikipedia)

¹⁶⁵ Moim zdaniem, szczególnie groźne dla pojedynczego człowieka, a co za tym idzie, również dla ludzkości, są wszelkiego rodzaju „...izmy”. Nieważne jest przy tym, czy to chodzi o komunizm, socjalizm, kapitalizm czy też inne, słusznie minionie, obecne, czy też przyszłe „...izmy”. One zawsze głoszą dobro ludzkości, a przynajmniej ogromnej tej ludzkości części i zawsze krzywdzą prostego, pojedynczego człowieka.

szukania. Nam, pomieszaney już w tym czasie rodzinie, nie pozwolono wyjechać do niego, bo nasze miejsce było, zgodnie z ówczesną polityką, na Mazurach.

Jego szwagier, mąż ciotki Miety, Friedrich Czychowski zabrany w 1944 roku Volkssturmu¹⁶⁶, miał bronić Królewca. W ostateczności udało mu się uciec statkiem do Danii i tam dostał się do niewoli amerykańskiej. Ciotka Mieta, jego żona a siostra mojej babci i nasza późniejsza dobra wróżka znalazła się z trójką dzieci, Ulą, Geogiem i Gerdem w angielskiej strefie okupacyjnej w okolicach Bielefeld. Poprzedzała to wielka ucieczka z Sensburg do Gdańska. Początkowo pociągiem, potem pieszo. W Gdańsku udało im się dostać na statek do Danii. Z Danii po wielu perypetiach dotarła w okolice Bielefeld i tu do dzisiaj drugie „siedlisko” naszej rodziny. Tam też odnalazł ich po wyjściu z niewoli amerykańskiej wujek Fridrich.

Cała rodzina dziadka Justa odnalazła się w Celle w okolicach Hannover. Żyła prababcia Marie Piechottka i pradziadek Julius Piechottka oraz ci, co razem z nimi uciekali, czyli moja babcia Berta Just i jej troje dzieci: nasza przyszła mama Tuta (Gertrud), Hela i Wölfi (Wolfgang). Niestety po powrocie do Młynowa znaleźli siostrę prababci Friderike i jej męża (Kapteina, imienia nie pamiętam), zastrzelonych na progu ich domu w Młynowie. Oni jedyni z całej wsi nie uciekli, bo chcieli pilnować dobytku. O ich dzieciach, piętnastoletniej córce Liselotte (we wsi znana jako „Lange Lote – Długa Lota”) i kilka lat starszym Willim zaginął wszelki ślad. Ich wojenną i powojenną historię poznaliśmy się dopiero w 1977 roku.

Nieważne jednak, co kogo spotkało i przez co przeszedł. Ci, co się odnaleźli, byli psychicznie pokaleczeni wojną i wielką ucieczką, Mimo to próbowali rozpocząć nowe życie. Lecz w tym nowym życiu wszystko było inne. Nic nie pasowało do dotychczasowego życia i do znanych standardów. Powrót z tej ucieczki niczym nie przypominał powrotu z ucieczki w czasie pierwszej wojny. W dodatku klan został rozrzucony po całej Europie. Do tego po sąsiedzku zaczęli osiedlać się polscy przesiedleńcy. Przede wszystkim ze wschodu, z terenów gdzie Polska miała zniknąć. Potem doszli do tego Polacy, którzy za wszelką cenę musieli, z takich czy innych powodów, schować się przed nową władzą. Najlepiej można to było zrobić na Ziemiach Odzyskanych, mieszając się z tłumem innych wędrowców. Wszyscy przybysze mieli takie same problemy, jak miejscowi.¹⁶⁷ Wojna się kończyła i wszyscy chcieli wrócić do swoich, do rodzin. Sytuacja polityczna i nowa, komunistyczna władza miała jednak wobec nich inne zamiary. Wtedy to, najpierw nasi, czyli „tutejsi”, potem wszyscy przyjezdni usiedli okrakiem tym wielkim intelektualnym Murze i tkwili na nim, nie wiedząc na ogół, po co. Wtedy nie chodziło o żadną wielką politykę. Ci pierwsi na tym intelektualnym murze chcieli po prostu być razem ze swoimi, których wojna rozrzuciła po całym świecie, a potem polityka nie pozwoliła na ponowne spotkanie.

Kilka lat potem okazało się, że swoi, to już nie tylko ci, z którymi rozdzieliła nas wojna. Swoimi stali się z biegiem czasu wszyscy, którzy w tamtych smutnych czasach wdrapali się intelektualnie na tamten mur, którego fizycznie jeszcze nie było. Niezależnie, czy byli to przesiedleńcy, uciekinierzy, czy tutejsi. Wszyscy mieli te same problemy i podobne cele. Potem na ten sam mur wdrapało się pokolenie urodzone po wojnie i trwało tam z razem z rodzicami.

¹⁶⁶ Volkssturm (pol. Szturm ludowy) – formacja o charakterze pospolitego ruszenia, użyta przez Niemców w ostatniej fazie II wojny światowej. Została powołana do życia dekretem podpisanym przez Adolfa Hitlera 25 września 1944 (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Volkssturm>)

¹⁶⁷ Archipelag ludzi porąbanych

Kiedy po latach, 13 sierpnia 1961 powstał, nazwano go Murem Berlińskim. Jednakże dla nas, mieszkańców tzw. Ziemi Odzyskanych był tylko symbolem tego muru, na którym trwalibyśmy mentalnie już od wielu lat.

Zauważyłeś może jak blisko od tego trwania do idei wspólnej Europy? My to zauważyliśmy, ale dopiero czterdzieści lat później. Wtedy, kiedy się to zaczęło nikt jeszcze o tym w tych kategoriach nie myślał... Nikt nie przypuszczał, że to my będziemy protoplastami Europejczyków. Niech się tam politycy o swoje prawo pierwszeństwa we wszystkich możliwych instytucjach z Europejskim Parlamentem na czele kłóćą. My wiemy swoje...

Niektórzy z nas próbowali przeskoczyć na drugą stronę muru. Obojętnie, czy legalnie czy też nie, ale próbowali. Jednym się to udało, innym jak Eginhardowi, nie. Jedni próbowali, ale dotarli w tym pędzie tylko do NRD. Innym się udało. Szczególnie tym, którzy mieli atrakcyjnie nad jeziorem położone gospodarstwa czy domy. W latach siedemdziesiątych, kiedy do Polski dotarła moda na tzw. daczę¹⁶⁸, atrakcyjne położone gospodarstwo czy domek były ważną kartą przetargową w staraniach o pozwolenie na wyjazd, jak to się wtedy mówiło „za Odrę”¹⁶⁹, ale nie do NRD.

Usiłowano różnymi sposobami ściągnąć nas z tego muru na tą „jedynie słuszną stronę” i czasami im się to nawet udawało. Lecz jeżeli już ktoś z tego muru zszedł, to najczęściej jedynie na chwilę lub na tę drugą, właściwą stronę. Dobrze że ci, którzy tak zaciekle nas z tego muru ściągali, wtedy jeszcze nie wiedzieli, która jego strona jest tą stroną właściwą...

Jedni siedzieli na tym symbolicznym murze już od 1945, inni nieco później, a jeszcze inni wskakiwali tam po różnych historycznych zakrętach po tej „słusznie minionej” stronie muru. Lecz kto się już raz w tym miejscu znalazł, ten trwał. Siedział okrakiem i trzymał się muru pazurami. I tak powoli dojrzewaliśmy do Europy. Tylko, że wtedy nikt jeszcze tego nie wiedział. Jedno jest pewne. Ci, których telewizja pokazała w listopadzie 1989 roku na murze, nie byli tam pierwsi. Oni jedynie, jako pierwsi fizycznie wdrapali się tam, gdzie my, rozrzućeni po całym świecie Europejczycy z Mazur, Śląska, Pomorza i innych tego typu regionów już od lat siedzieliśmy. Nie fizycznie, ale symbolicznie i mentalnie. Tylko wtedy nikt tego jeszcze nie wiedział.

Pokolenie dzieci powojennych.

Tym bardziej nie wiedziałem tego ja, syn Niemki i Polaka urodzony tuż po wojnie¹⁷⁰. Byłem, tak jak i inni urodzeni w pierwszym powojennym dziesięcioleciu tzw. „dzieckiem powojennym”, czyli dzieckiem na specjalnych prawach. Najważniejszym z tych praw było zrozumienie prostego faktu, że naszych rodziców na nic nie stać. Zdanie „Dopiero kilka lat po wojnie, a wam się w głowach przewraca i chcielibyście ...” Kropki w tym zdaniu można zastąpić dowolnym wyrazem. Zdanie to było na tyle uniwersalne, że powtarzano je raz po raz w radio, a potem i w telewizji. Różnorakie odmiany tego zdania stosowali dygnitarze w swoich kierowanych do Narodu przemówieniach, a nauczyciele w

¹⁶⁸ Dacza (z ros. дáча), domek letniskowy, dom wakacyjny – dom, zwykle nieduży i otoczony działką, znajdujący się poza miastem, ale najczęściej w jego pobliżu, służący celom wypoczynkowym. Dacze są bardzo popularne na terenie dawnych republik radzieckich, gdzie były swoistym symbolem pozycji społecznej. W przeszłości wydzielano specjalne tereny dla dacz prominentów: polityków, artystów, naukowców. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Dacza>)

¹⁶⁹ „Za Odrę” oznaczało w tamtych czasach „do Niemiec”. Na początku było jeszcze wszystko jedno, do których. Potem określenie to zanikło. Bezpośrednio za Odrę? Nie, to było trochę za blisko.

¹⁷⁰ W 1951 roku

szkole wyjaśniali przy jego pomocy, że my, pokolenie powojenne, nie mamy marzeń, lecz fanaberie. Zdanie to powodowało, że coraz bardziej czuliśmy się winni. Winni wojny, która zdaniem naszych rodziców, odbyła się nie tak dawno, naszym zdaniem natomiast, było to przed wiekami i my, dzieci, nie mieliśmy w tym żadnej winy i żadnego udziału. Mimo to udało się wpędzić nas w kompleks winy, momentami czuliśmy się bardziej winni wydarzeniom wojennym, niż ci, którzy tę wojnę wywołali.

Byliśmy pokoleniem dzieci, któremu nie należały się zabawki, bo skąd na nie brać. Słodczyce były też fanaberiami i do tego psuły się od nich zęby. Oczywiście, bywały też wyjątki od reguły. Moja mama była takim wyjątkiem. Kiedyś zaryzykowała wydanie pieniędzy na coś, co nie tylko nie było artykułem pierwszej potrzeby, ale było też, zdaniem naszych wodzów, zupełnie niepotrzebne w naszym prząsnym życiu. Kupiła, nie wiem czy w sklepie, czy też na targu, plastikową buzię lalki. Doszyła do tego z gałganków najpierw głowę, a potem całą lalkę. Była to najpiękniejsza zabawka, jaką dostałem w życiu. Zazdrościły mi jej wszystkie dzieci sąsiadów. Kilka dni później dostałem od mamy jeszcze wózek do wożenia tej lalki. Tym razem nie były to już żadne fanaberie. Był to zwykły karton po butach z dowiązaniem sznurkiem do jego ciągnięcia. Zużywał się dość szybko, więc mama musiała dbać o częste dostawy kartonów, ale nie było to zbyt trudne. Pracowała przecież w sklepie, więc o kartony było łatwo. Lalka bardzo długo pozostała w naszej rodzinie i pochowana została razem z naszą prababcią na cmentarzu ewangelickim w Mrągowie w 1963 roku. Lalka należała już wtedy do mojej siostry Sabiny. Ona podarowała ją babci Piechottkowej na ostatnią drogę. Włożyła ją do babcinej trumny. Był to pierwszy pogrzeb w rodzinie, który pamiętam. Potem było jeszcze wiele pogrzebów. Może za wiele. Pamiętam też goździki. Morze goździków wokół babcinej trumny. Od tego czasu nienawidzę tego zapachu...

Zpracowani rodzice byli w ciągłej w pogoni za groszem, toteż nie mieli dla nas zbyt wiele czasu. Wspomnieć jednak należy, że nie chodziło tu o pogoń za majątkiem i karierą. Taka pogoń, zwana dzisiaj wyścigiem szczurów cechuje raczej dzisiejsze społeczeństwo. Wtedy była to pogoń za groszem na codzienną kromkę chleba z margaryną. Do tego wyścigu nasi rodzice zmuszeni byli sytuacją gospodarczą, a nie pogonią za karierą. Do tego doszły stosowane wówczas powszechnie metody wychowawcze, których zasady można było porównać do zimnego wychowu cieląt¹⁷¹. Dziecku należało zapewnić jedzenie i w miarę możliwości zadbać o jego zdrowie, najlepiej przez hartowanie. O resztę wychowania zadba już samo życie, czyli najczęściej ulica i bardziej doświadczeni koledzy. Dotyczyło to też tak ważnych i do dzisiaj nierozwiązanych tematów jak ten, skąd biorą się dzieci... My mieszkaliśmy jednak na Banditenstrasse, więc problemy te tłumaczyli nam starsi koledzy bardzo wcześnie. Za wcześnie...

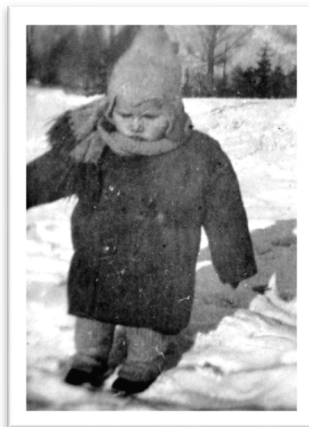
Na fanaberie nie było czasu. Metoda „zimnego wychowu cieląt” stosowana była od pokoleń. Również przez naszych rodziców. Jej ślady i to wcale nie małe, stwierdzam na sobie do dzisiaj. Ale to już jest całkiem inna historia... Pokolenie powojenne charakteryzowało się jednak jedną, niedocenioną i przez naukę zapomnianą cechą. Pokolenie to dojrzało, siłą rzeczy, bardzo wcześnie, a sposób i warunki życia powodowały, że duża jego

¹⁷¹ Istota zimnego wychowu cieląt polega na utrzymywaniu zwierząt w otwartych budkach umieszczonych na dworze. Chronią one cielęta przed wyziębiającym działaniem wiatru, ale temperatura w nich jest prawie taka sama, jak na zewnątrz. Ten system utrzymania cieląt zapobiega schorzeniom układu oddechowego i pokarmowego, ze względu na wykorzystanie procesu „hartowania się organizmu”. Dodatkowo cielęta uczą się od siebie wzajemnie na przykład pobierania paszy. Cielęta muszą być utrzymywane na głębokiej ściółce, która łagodzi większe zmiany klimatyczne. (Informacja z <http://www.portalhodowcy.pl>)

część to urodzeni Europejczycy. Nie tacy sztucznie powołani przez wejście kraju czy krajów do Unii Europejskiej, lecz urodzeni, tacy z krwi i kości Europejczycy. Ale wtedy nikt tego jeszcze nie wiedział. My też nie, ale jak inaczej można nazwać tę pomieszaną generację. Kim bowiem były dzieci, które rodziły się tam po wojnie. Dzieci z niemieckich, czy jak to wtedy należało poprawnie mówić, mazurskich¹⁷² albo autochtonskich¹⁷³ matek i polskich ojców¹⁷⁴. Rodziło się też dzieci polskie. Ale czy nie były również pomieszane, jak te polsko-niemieckie? Raczej tak. Były to dzieci repatriantów¹⁷⁵ „zza Buga”, pomieszane z repatriantami z Wileńszczyzny, z Kurpiami, czy też z Polakami z różnych innych stron kraju, którzy przyjechali tu, aby z takich czy innych powodów ukryć się w tym tyglu różnorodności. Najlepszym tego przykładem był z pewnością nasz tata, ale to już jest całkiem inna historia.

Możliwości pomieszania i wymieszania narodów i kultur były ogromne, a możliwe konstelacje tego wymieszania jeszcze większe. Wyposzczeni latami wojny i związanej z nią niepewności jutra, spragnieni miłości młodzi ludzie szybko okrzepili po wojennym szoku i w pełnym tego słowa znaczeniu, padli sobie w ramiona. Po tych wielu ciemnych, wojennych latach nic nie było w stanie powstrzymać ich pragnienia normalności i miłości. Żadne granice, czy różnice narodowościowo-pochodzeniowo-kulturowe nie były w stanie ich powstrzymać. Starzy żyli się trochę i zrzędzili „poszukałbyś / poszukałabyś swojego / swojej, kogoś z naszych stron...” Ale młodzi głusi byli na te argumenty. Wszelkimi siłami i we wszelkich wspomnianych konstelacjach zaczęli zapępiać przyszłą Unię małymi Europejczykami. Ale tego, że są to Europejczycy, wtedy jeszcze nie nikt wiedział.

Otóż ja, syn ukrywającego się przed jedyną słuszną wówczas władzą Polaka spod Rozwadowa, byłego przymusowego robotnika u niemieckiego bauera, Mieczysława i Niemki albo, jak kto woli, Mazurki lub autochtonki (zamiast określenia autochton wolę używać mazurski aborygen – to bardziej oddaje stan naszej duszy w tym czasie) Gertrudy, jako typowe dziecko „Ziem Odzyskanych” (określenie Pawłaka z filmu „Sami swoi” – Ziemi Wyzyskanych” dużo bardziej tu pasuje) byłem nie tylko „dzieckiem powojennym”, ale byłem też Niemcem, co należało w tych smutnych czasach ukrywać i Polakiem, co



1953. H. Turek

¹⁷² Mazurzy (właśc. Mazurzy pruscy, w odróżnieniu od Mazurów właściwych zamieszkujących Mazowsze) – mieszkańcy południowych Prus Wschodnich, potomkowie polskich osadników z Mazowsza (przeważnie chłopów, ale także szlachty), którzy w kilku falach osadnictwa zasiedlili południową i częściowo wschodnią część Prus Książęcych od XIV w.

¹⁷³ Autochton – człowiek należący do rdzennej ludności danego obszaru, np. Indianie amerykańscy czy Aborygeni australijscy. Według profesora Andrzeja Saksona, socjologa specjalizującego się w badaniach mniejszości etnicznych termin autochton określa także mieszkańca pogranicza polsko-niemieckiego, byłego obywatela III Rzeszy, deklarującego polskie pochodzenie. Termin ten był nie zrozumiały dla osób nim obdarzanych, był też stygmatyzujący. (Źródło: Wikipedia) Jak z powyższego wynika, byliśmy wtedy aborygenami Mazur. Poza tym z tą deklaracją polskości to też nie było takie proste. Opiszę to w innym rozdziale, bo temat jest ważny i niemały. (Przyp. mój)

¹⁷⁴ Dzieci niemieckie zaczęły się rodzić dobre dziesięć lat później. Przyczyna tego była prosta. Po wojnie nie było na Mazurach niemieckich chłopców w odpowiednim do „zeniacki” wieku. Wojna ich wykosła w całości. Pozostały tylko dzieci i starcy.

¹⁷⁵ Często termin używany jest błędnie na oznaczenie deportacji, depatriacji albo też ekspatriacji, czyli przymusowych wysiedleń lub przesiedleń. W czasach PRL-u oficjalna propaganda nazywała „repatriantami” Polaków – mieszkańców Kresów Wschodnich, których po II wojnie światowej przymusowo wysiedlano z ich ziem ojczystych i osadzano na Ziemiach Odzyskanych. (Źródło: Wikipedia) U nas byli to najczęściej wysiedleńcy zza Buga i z Wileńszczyzny.

należało w tamtych czasach mocno podkreślać. Dzisiaj jestem zarówno Niemcem, jak i Polakiem. Zarówno jednym i drugim w 100 procentach. Do tego Europejczykiem. Też w 100 procentach. Nazbierało się tych procentów, ale takie jest życie. Dokładne i logiczne jak matematyka. Logika z kolei jest ważną częścią filozofii, więc na pewno znajdzie się jakiś filozof, który to to zjawisko wytłumaczy. Ja tego wytłumaczyć nie umiem, ale wiem, że tak jest.

Trudno się żyje w ciekawych czasach.

132 i Patriota roku.

Jesienią 2016 roku ogłoszono w Polsce, że „naczelnym polski patriota” pan Antoni Macierewicz mianowany został „Patriotą roku”.

Byłem tym faktem zaszokowany. Pomijając wyróżnioną „osobistość”, nie umiałem zrozumieć, o co tu chodzi. Do tej pory sądziłem, że patriotą po prostu się jest i nikt nie musi nigdy i nigdzie tego potwierdzać ani ogłaszać, szczególnie poprzez przyznawania tytułu „Patriota roku”. Nigdy nie rozumiałem i nadal nie rozumiem znaczenia tego tytułu. Czyżby oznaczał on, że uhonorowany tym zaszczytnym tytułem był patriotą tylko w roku jego nadania? A co potem?

Patriota roku w świetle logiki i matematyki.

Pomyślałem nad tym trochę i wyliczałem, że jestem 132 razy lepszym patriotą od wyróżnionego tym, podobno zaszczytnym, tytułem pan AM. Jestem bowiem patriotą na co dzień, każdego dnia i każdej godziny. Od sześćdziesięciu pięciu lat. W dodatku od zawsze jestem patriotą polskim, jak i jednocześnie patriotą niemieckim. Do tego jeszcze patriotą europejskim. Rzeczywistość tak sobie zakpiła z polityki i z historii, że od początku moich dni wyrastałem w poszanowaniu tych obu narodów i w efekcie stałem się patriotą polskim i niemieckim (kolejność nie ma znaczenia). Stąd bierze się tytułowa liczba 132. Bazując na tytule „Patriota Roku” wyliczyłem:

W 2017 roku miałem 66 lat. Jestem patriotą dwóch krajów i Europy. Dla ułatwienia Europę pominiemy w wyliczeniach. Zatem: $66 \times 2 = 132$. Tak, kochani. Jako patriota codzienny jestem 132 razy lepszym patriotą od patrioty roku. Prosta logika.

Widzę już oczyma wyobraźni te hordy napadających na mnie „patriotów wybitnych i jedynych”, „prawdziwych Polaków”, czyli po prostu nazistów, którzy usiłują mi udowodnić, że nie można być patriotą dwóch krajów jednocześnie, w szczególności krajów z taką przeszłością jak Polska i Niemcy. Można, panowie, można... Ja i moja rodzina jesteśmy tego najlepszym przykładem. Wy też możecie. Wystarczy, że oddacie wasze szabelki do muzeum, albo odstawicie do kąta, a flagi, obydwie flagi wyjmować będziecie jedynie z bardzo ważnych powodów. Pięknym powodem może być na przykład mecz piłkarski Polska – Niemcy. Dodatkowym bonusem jest w tym przypadku fakt, że nie jest ważne, która drużyna ten mecz wygra. Zawsze wygrają „nasi”.

Pomyłką zaś jest używanie flag na barykadach, lub podczas szturmowania barykad. Jakiegokolwiek barykady by to nie były...

Zerwane okowy.

Długa nocna rozmowa, NRD 1987 Opowiada Eginhard Becker. Nagranie i opracowanie Heinrich Turek.

Prolog.

Dla mnie historia ta zaczęła się jeszcze w XIX wieku. Wtedy to, 24.06.1879 roku, w Zyndakach (Sonntag), a tak właściwie to na kolonii między Zyndakami a Botowem (Bothau) urodziła się moja prababcia, Marie Piechottka, de domo Jablonski. Była jedną z trojga rodzeństwa. Miała dwie siostry: Wilhelminę (po mężu Krause) i Friderikę (po mężu Kapteina) oraz brata Fridricha.

O Wilhelminie wiem tylko tyle, że udało się jej po wojnie wyemigrować do Niemiec i tam zmarła. Dzieci chyba nie miała.

Wilhelmina w czasie pracy, jak się to w tamtych czasach nazywało, „na saksach” w Oranienburgu niedaleko Berlina poznała swojego przyszłego męża. Nazywał się Kapteina, imienia niestety nie znam. Był wdowcem i miał dwoje dzieci. Wilhelma i Liselotte. Podczas parcelacji majątku Młynowo Friderike z mężem oraz moi pradziadkowie Julius i Marie Piechottka kupili dwa sąsiadujące ze sobą gospodarstwa.

Brat Fridrich pozostał w Sonntag na ojcowiznie. Miał trzech synów: Maxa, Fritza i Gerharda, którzy nie powrócili z frontów Drugiej Wojny Światowej i dwie córki, Hildegardę i Elizę. O Hildegard wiem niewiele, bo nie miałem z nią żadnych kontaktów, ale nasze kontakty Elizą były zawsze bardzo miłe. Niestety pod koniec lat sześćdziesiątych wyjechała wraz z rodziną do NRD i kontakt z nią całkowicie się zerwał. Tym bardziej było mi miło, kiedy po obaleniu muru berlińskiego ciocia odnalazła nas (już w Niemczech) i odbudowaliśmy nasze sympatyczne relacje bardzo szybko. Dzisiaj ciocia Eliza mieszka w Schwerin pod bardzo troskliwą i serdeczną opieką swojej licznej rodziny, bo niestety ma demencję.¹⁷⁶ Jej mężem był Gerhard Becker i z nim miała czworo dzieci. Córka Giselę (1952), która wyszła za mąż za Petra Kalnischkis i ma z nim córkę Gizelę (1972) roku. Syn Alfred Kurt (1955) ma syna Kristiana (1992). Syn Klaus (1959) ożenił się z Kerstin Scholz (1962) i na z nią troje dzieci: Ania (1982), Mario (1984) i Arnold (1997).

Niestety kontakt udało mi się nawilżyć tylko z Eginhardem (1960), który jest dumnym tatą Maxa (2006, mama Cindy Klein).

Eginhard jest moim kuzynem, ale tak naprawdę to wujkiem. Jest on młodszy ode mnie o dziewięć lat, więc czujemy się po prostu kuzynami. Fakt, że pokoleniowo jest on o jedno pokolenie starszy nie robi żadnej różnicy. Znaliśmy się już, jako dzieci, lecz tak naprawdę poznałem go dopiero we wrześniu 2012 roku, kiedy odwiedziłem go w jego siedlisku na Rugii.

Naturalnie pamiętam go też z czasów wcześniejszych, z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, czyli sprzed ich wyjazdu do NRD. Ja mieszkalem z rodzicami w Mrągowie

¹⁷⁶ (15.02.2016) Dzisiaj rozmawiałem z Eginhardem. Ciocia ma się dobrze, ale z powodu demencji już prawie nikogo nie poznaje. Kiedy ktoś do niej przychodzi zadaje mu sakramentalne pytanie: „Kim jesteś?”. Pytanie to zadaje też coraz częściej własnym dzieciom.

a on ze swoimi rodzicami i rodzeństwem rodzinnej posiadłości mojej Prababci, czyli rodziny Jablonski, niedaleko Zyndak (Sonntag). Jak to drzewiej¹⁷⁷ bywało rodzinne gospodarstwo miał przejąć po ojcu Max. Niestety ani on, ani pozostali dwaj bracia, jak już wspominałem nie wrócili z wojny i w ten sposób gospodarka przeszła w ręce córki, czyli cioci Elizy. Na początku lat pięćdziesiątych wyszła ona za mąż za gospodarskiego syna, Gerharda Beckera z Warpun. Ponieważ jej ojciec dobiegał już siedemdziesiątki, oni przejęli gospodarstwo, które prowadzili aż do 1969 roku. Dziadka Fridricha Jablonski poznałem, kiedy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych odwiedził¹⁷⁸ swoją siostrę a moją prababcę Marie w Młynowie. Była to wizyta pożegnalna, bo krótko potem trafił do szpitala, gdzie zmarł w wyniku powikłań pooperacyjnych po wycięciu wyrostka robaczkowego. Miał wówczas 70 lat.

Na gospodarstwie pozostali młodzi, czyli ciocia Eliza i wujek Gerhard. Pamiętam, że potem, kiedy mieszkałem już w Mrągowie odwiedzali nas od czasu do czasu, przy okazji pobytu w mieście w dzień targowy. Czasami wpadali z dziećmi. Miel ich czworo. Najstarsza była Gizela, która urodziła się w 1954 roku. Rok po niej na świat przyszedł Alfred. Potem, w 1959 roku Klaus i w 1960 Eginhard. Była to spora gromadka i od czasu do czasu któreś z dzieci, czasami nawet wszystkie odwiedzały nas z ciocią i z wujkiem. Po raz ostatni odwiedzili nas w 1969 roku, prze wyjazdem do Niemiec. Nie do tych prawdziwych, za które uważano wtedy RFN, ale do tych drugich, do NRD. Skoro inaczej się nie dało, to i taki wyjazd wydawał się sensowny. Na bezrybiu i rak ryba, a wyjazd to wyjazd. Trzeba pamiętać o tym, że w tamtych czasach każdy wyjazd za granicę był trochę jak pogrzeb, a pożegnanie wyjeżdżających przypominało stypę. Wiadomo było na pewno, że tych, którzy wyjeżdżają, już nigdy w życiu nie zobaczymy. Pozostaną tylko listy. Innych możliwości komunikacji w tych czasach nie było. Listy zaś szły, chyba w dosłownym znaczeniu, od dwóch do czterech tygodni. Lecz jak się później okazało, był to czas wyliczony do prawdziwych Niemiec, tych zachodnich. Do NRD trwało to znacznie dłużej i najczęściej po kilku wymianach w ogóle przestały przychodzić. Człowiek pisał jeszcze kilka razy. Odpowiedzi nie było i tak kontakt po jakimś czasie ustawał całkowicie. Tak było i tym razem. Wiele lat później rozmawiałem z ciocią Elizą na ten temat. Okazało się, że ona też do nas pisała wiele razy. Ale kiedy odpowiedzi przestały przychodzić, przestała pisać. Co się z tymi listami stało, wie chyba tylko StaSi¹⁷⁹. W momencie pożegnania doświadczenia te były jeszcze przed nami.

¹⁷⁷ Drzewiej albo drzewniej, czyli dawniej; niegdyś, dawniej; ongi, ongiś

¹⁷⁸ Dla potomności: przyjechał z Zyndak do Młynowa jedynym w tych czasach dostępnym rolnikowi środkiem lokomocji, czyli wozem konnym. Samochód w tych czasach widywało się od czasu do czasu w Mrągowie. Do Młynowa takie cuda techniki nie docierały. Moja mama na swój sposób przypisywała czasy do symboli lub do konkretnych czasów. Lata powojenne, aż do końca lat sześćdziesiątych, to były „lata bata”. Niekoniecznie oznaczało to sytuację polityczną, chociaż teraz, po latach, można stwierdzić, że i owszem... Mojej mamie bardziej jednak chodziło o to, że w dni targowe widywało się w mieście mnóstwo ludzi z batem. Byli to rolnicy, którzy przywieźli produkty rolne na targ, a po zakończeniu targu szli „w miasto”. Na zakupy a trochę i dla rozrywki. To była jedyna okazja oderwać się od ciężkiej codziennej pracy na roli i z kimś, niejednokrotnie przy kufelku piwa, albo i nie tylko, trochę pogadać. Furmanki „parkowały” w tym czasie w drugiej części rynku, a bat zabierało się ze sobą, bo taką drobną rzecz mógłby ktoś podprowadzić (potocznie: ukraść). Potem, w latach siedemdziesiątych, przyszły czasy kasków. Polska motoryzacja rozwijała się i motocykle WFM a potem WSK coraz częściej docierały na polską wieś. Wówczas to w dni targowe coraz mniej widziało się na ulicach ludzi z batem, a coraz więcej ludzi z kaskiem w rękę. Tylko przyczyna została ta sama. Dzień targowy w mieście.

¹⁷⁹ StaSi – Staatssicherheit – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej (niem. Ministerium für Staatssicherheit (MfS)), powszechnie zwane Stasi – naczelny organ bezpieczeństwa NRD, utworzony 8 lutego 1950. MfS odpowiedzialne było za kierunek bezpieczeństwa wewnętrznego, wywiadu wewnętrznego i zagranicznego oraz kontrwywiadu Niemieckiej Republiki Demokratycznej. (Źródło: Wikipedia)

Pożegnaliśmy się i życzyliśmy im wszystkiego dobrego w nowym, lepszym życiu, które na nich czekało w nowym starym kraju. Kobiety uroniły, jak to na stypie, trochę łez. Nam, młodym, też nie było do śmiechu. Miałem przecież stracić ciocię Elizę, kuzynów i kuzynkę, a przede wszystkim wujka Gerharda, którego bardzo polubiłem, chociaż tak naprawdę to go wcale nie znałem. Przecież widziałem go tylko kilka razy w czasie tych krótkich wizyt w mieście. Wtedy to widziałem po raz ostatni przed 2012 rokiem Eginharda.

Eginhard i NRD.

Dlaczego więc napisałem wcześniej, że poznaliśmy się w 2012 roku? To proste. Kiedy oni wyjeżdżali z Polski on miał 9 lat, ja 18. On był dzieciakiem a ja kawalerem, osiemnastoletnim młodzieńcem. Wiedziałem, że kręci się tam pod nogami jakiś chłoptaş, ale nie był on dla mnie partnerem ani do zabawy, ani do rozmowy. Dzielili nas zbyt duża różnica wieku, jak na tamte czasy. Kiedy jednak spotkaliśmy się po ponad czterdziestu trzech latach, od razu przypadliśmy sobie do serca i nasze rozmowy oraz opowiadanie rodzinnych historii nie miało końca. Noce były po prostu zbyt krótkie. Wtedy to opowiedział mi o sobie i o swojej próbie ucieczki z NRD do Niemiec Zachodnich. Próby, która była tak misternie przygotowana, że nadaje się na scenariusz do dobrego hollywoodzkiego filmu. Wszystkie elementy się zgadzają. Nic nie brakuje, by nakręcić dobry, pasjonujący film. Jest Stasi, jest zbuntowany młody człowiek, jest intryga i skomplikowany plan ucieczki z NRD przez Polskę i NRD do Niemiec Zachodnich. Jest Checkpoint Charlie¹⁸⁰ w Berlinie i aresztowanie, jest sąd i więzienie. Potem jest jeszcze nieco mniej emocjonując zakończenie filmu, czyli happy end. Winowajca zostaje wykupiony za pośrednictwem mecenasa Vogla¹⁸¹ przez te drugie Niemcy i ucziwie pracuje w normalnym kraju. Po prostu klasyczny scenariusz dobrego kina!

Po wysłuchaniu wspomnień Eginharda o ucieczce, postanowiłem dać im osobny rozdział w moich wspomnieniowych odpryskach. Doskonale wiem, że to nie jest mój odprysk. Zgadza się. Historia Eginharda, jest jednak bardzo ważna. Ważna nie tylko dla naszej rodziny, lecz ważna również w wymiarze dużo szerszym, dlatego uznałem, że należy go umieścić w tym pamiętniku, by nie zapomnieli o nim nasze dzieci, wnuki i dalsze pokolenia. Stąd też cały ten, może trochę przydługi prolog. Chciałem w nim opowiedzieć o

¹⁸⁰ Checkpoint Charlie – w okresie zimnej wojny jedno z najbardziej znanych przejść granicznych między NRD a Berlinem Zachodnim. Poza tym były też przejścia, na których kontrolowała tylko NRD-owska kontrola graniczna. Mieściło się na ulicy Friedrichstrasse, na skrzyżowaniu z Zimmerstraße, w samym sercu Berlina podzielonego wówczas Murem Berlińskim. Oficjalna nazwa przejścia po stronie NRD-owskiej brzmiała właśnie Zimmerstraße. Od strony zachodniej przy przejściu znajdowała się stacja metra Kochstraße.

Na przejściu alianci zachodni (żołnierze USA, Francji i Wielkiej Brytanii) nie sprawdzali wszystkich przekraczających granicę. W ich budce zgłaszały wyjazd do Berlina Wschodniego (we własnym interesie, w razie zatrzymania lub zaginięcia w NRD) tylko członkowie sił zbrojnych aliantów zachodnich. Natomiast drobiazgową kontrola wszystkich przekraczających granicę odbywała się po stronie NRD. Zgodnie z decyzją władz NRD przejście przeznaczone było tylko dla cudzoziemców (tj. nie-Niemców) – zarówno zwykłych turystów, jak i personelu dyplomatycznego. W 1991 roku Armia Stanów Zjednoczonych oficjalnie opuściła „Checkpoint Charlie”. Obecnie znajduje się tam Muzeum Muru Berlińskiego oraz symboliczny punkt kontroli granicznej – atrakcja turystyczna, w której można nabyć odcisk pieczętki kontroli granicznej z wybranej przez siebie strefy okupacyjnej.

(Źródło: Wikipedia)

¹⁸¹ Wolfgang Heinrich Vogel (* 30. Oktober 1925 in Wilhelmsthal, Kreis Habelschwerdt, Niederschlesien; † 21. August 2008 in Schliersee) war Rechtsanwalt in der DDR, Organisator des ersten Agentenaustausches (1962) im Kalten Krieg und später Unterhändler der DDR beim so genannten Häftlingsfreikauf.

Wolfgang Heinrich Vogel urodzony 30.10.1925 roku na Dolnym Śląsku, zmarł 31.08.2008 w Schliersee. Był adwokatem w NRD i organizatorem pierwszej wymiany agentów (1962) podczas zimnej wojny. Potem pośredniczył w sprawach wykupu przez Niemcy Zachodnie więźniów politycznych z NRD. (Źródło: Wikipedia)

tym, skąd wzięła się i kim był Eginhard i jak dojrzewała w nim myśl o opuszczeniu tego chorego kraju, jakim było NRD. Wróćmy jednak do tematu. Jak już wspominałem, rodzina Beckerów wraz z Eginhardem wyjechała do NRD. Dlaczego akurat tam, nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że jak wielu mazurskich Niemców chcieli koniecznie do ojczyzny, czyli do Niemiec. Ponieważ nie uzyskali zgody na wyjazd do Niemiec Zachodnich, zdecydowali się wyjechać do Zony¹⁸².

Tak jak to w tamtych czasach bywało, wymieniliśmy z Ciocią Elizą kilka listów i nagle kontakt się urwał. Nasi NRD - owcy przestali odpowiadać na nasze listy. Po jakimś czasie my przestaliśmy do nich pisać i wiele lat zdawało się, że tak zakończy się ta część rodzinnej sagi. Przez następna dwadzieścia lat powoli zapominaliśmy o przeszłości. Trochę się ożywiło, kiedy do naszej mamy napisała Hildegard (Ciocia Hilda), siostra cioci Elizy. Mama straciła z nią kontakt krótko po wojnie, a ja, prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałem o jej istnieniu. Hilda nadal mieszkała w Polsce. Pracowała w jakimś PGR niedaleko Węgorzewa i aż do swojej śmierci utrzymywała listowny kontakt z naszą mamą. Zmarła w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia na raka. Od niej dowiedzieliśmy się, że ciocia Eliza i jej rodzina żyje i ma się dobrze. Dlaczego do nas nie pisali, nadal jednak nie wiedzieliśmy. Dowiedzieliśmy się tego dopiero po upadku muru berlińskiego, czyli wiele lat później. Mur ten przewracał się jak kostki domina i pociągał za sobą wszystko wzdłuż i wszerz. Wywracał nie tylko granice i systemy, ale niejednokrotnie przewracał też dokumentnie życie całych rodzin, rodów i narodów.

Dla nas skutek tego upadku był taki, że zaleźliśmy się w Niemczech zachodnich i tam od nowa układaliśmy sobie życie. W roku 1991 albo 1992, szczegółów już nie pamiętam, pojechaliśmy do Remscheid na spotkanie stowarzyszenia dawnych młogowian, czyli Kreisgemeinschaft Sensburg¹⁸³. Po raz pierwszy w tym spotkaniu brali udział goście z polski, czyli aktualni młogowianie, członkowie nowopowstałej organizacji Młogowian

¹⁸² Zona (czytaj: cona) - Tak nazywali Niemcy radziecką strefą okupacyjną. Radziecka strefa okupacyjna w Niemczech (niem. Sowjetische Besatzungszone, SBZ; ros. Советская зона Германии) – obszar środkowych (w granicach przedwojennych) lub wschodnich (w granicach powojennych) Niemiec, okupowany przez ZSRR od końca II wojny światowej w 1945. 7 października 1949 utworzono na jego terenie Niemiecką Republikę Demokratyczną. Była jedną z czterech stref w Niemczech, które utworzono po zakończeniu II wojny światowej. Zgodnie z konferencją poczdamską Radziecka Administracja Wojskowa w Niemczech (SMAD) objęła kontrolę i odpowiedzialność nad wschodnią częścią Niemiec. Część terenów, które przypadły do radzieckiej strefy okupacyjnej zostało w czasie działań wojennych zajęte przez wojska amerykańskie, które wycofały się z nich dopiero po nastaniu pokoju. Radziecka administracja dopuściła utworzenie w swojej strefie okupacyjnej czterech partii politycznych, które utworzyły później Front Narodowy. W kwietniu 1946 wschodnioniemieckie struktury SPD i Komunistyczna Partia Niemiec utworzyły wspólnie SED. Początkowo Józef Stalin miał nadzieję na objęcie swoim wpływem całości Niemiec, gdy stało się to nierealne zadowolił się utworzeniem na terenie swojej strefy okupacyjnej państwa NRD. Administracja wojskowa ZSRR przejęła część obozów koncentracyjnych III Rzeszy na potrzeby własne. W 1952 zlikwidowano w NRD landy, tworząc 14 okręgów (Bezirke) oraz miasto Berlin Wschodni.

Die Zone - Die Sowjetische Besatzungszone (SBZ) oder Ostzone (umgangssprachlich auch Zone genannt) war eine der vier Zonen, in die Deutschland 1945 entsprechend der Konferenz von Jalta von den alliierten Siegermächten des Zweiten Weltkrieges aufgeteilt wurde. Zur SBZ gehörten die mitteldeutschen Länder Sachsen und Thüringen, die Provinz Sachsen-Anhalt, ein großer Teil der Provinz Brandenburg sowie Mecklenburg und Vorpommern. Nicht dazu gehörten die deutschen Ostgebiete, die von Polen und der Sowjetunion bis zu einer friedensvertraglichen Regelung verwaltet werden sollten. Ausnahmen bildeten anfangs lediglich die westlich der späteren Oder-Neiße-Grenze gelegenen Gebiete um Stettin und Swinemünde, welche auf Grund der unklaren künftigen Grenzziehung zunächst noch Teile der SBZ waren. Die Gebiete wurden im Zuge der Beschlüsse des Potsdamer Abkommens wenige Monate nach dem Kriegsende aus der SBZ wieder ausgegliedert. So wurde zunächst das Stettiner Gebiet am 5. Juli 1945[1] aus der SBZ herausgelöst und der polnischen Verwaltung unterstellt. Am 6. Oktober 1945 erfolgte die Übergabe der Stadt Swinemünde an die polnische Verwaltung. Am 7. Oktober 1949 wurde die SBZ das Staatsgebiet der neu gegründeten Deutschen Demokratischen Republik (DDR). (Źródło: Wikipedia)

¹⁸³ Die Kreisgemeinschaft Sensburg e.V. ist der Zusammenschluss der geflüchteten, vertriebenen und nach dem Zweiten Weltkrieg in den Westen übersiedelten deutschen Bewohner des früheren Kreises Sensburg in Ostpreußen und deren Nachkom-

Stowarzyszenie Niemieckie Miasta i Rejonu Mrągowo Niedźwiedzia Łapa w Mrągowie (Deutsche Gesellschaft "Bärentatze" in Sensburg)¹⁸⁴ oraz dawni mrągowianie z terenów upadłego już NRD. Tam, po dwudziestu kilku latach, znowu spotkałem ciocię Elizę, mamę Eginharda. Rozmowom, wspomnieniom i opowiadaniom nie było końca. Wtedy dowiedziałem się, że oni, podobnie jak i my długo jeszcze pisali do nas listy, ale nigdy nie dostali odpowiedzi. Po jakimś czasie dali sobie spokój i przestali pisać. Sprawa wyglądała bardzo prosto. Kontakty międzynarodowe Niemców z Zony nie były zbyt mile widziane. Próbowano je ukrócić wszędzie, gdzie się dało. Wyłapywano listy zarówno mojej mamy, jak i cioci Elizy. My zaś myśleliśmy, że ta druga strona nie chce z nami żadnego kontaktu. W ten sposób nasze listy zamiast do adresatów, dotarły na śmietnik historii komunizmu. Skutek takiego traktowania ludzi mógł być tylko jeden. Mur berliński musiał się przewrócić.

Wtedy to, podczas tej długiej rozmowy dowiedziałem się po raz pierwszy o poczynaniach Eginharda. Zarówno w szkole, jak i w pracy. Nawet po tej, z czasowego przymusu krótkiej opowieści Cioci zrozumiałem, że nie miał on w komunizmie łatwo. Jego całe jestestwo tęskniło za wolnością. Jego charakter, jego poglądy i niezłomność w dążeniu do celu musiało doprowadzić do ucieczki, a w najgorszym wypadku przynajmniej do próby ucieczki do wolnego świata. Decyzja ta dojrzała jednak bardzo powoli i bardzo długo.

Już w szkole Eginhard myślał i postępował inaczej niż jego szkolni koledzy. Jego pierwszym szerzej znanym wystąpieniem politycznym, po którym prawdopodobnie uzyskał kartoteką i niezbyt przychylnie opinie w annałach StaSi, była kontrola osób podlegających



Checkpoint Charlie odwiedziliśmy z Henią dopiero w 2015 roku. Mimo, że nie mam bezpośrednich wspomnień z nim związanych, to trudno tam być i pomyśleć o tej całej porzucanej po prawie wszystkich kontynentach rodziny.

men, soweit diese in der Namens- und Adresskartei registriert sind. Die Kreisgemeinschaft ist korporatives Mitglied der Landsmannschaft Ostpreußen e.V. mit Sitz in 22087 Hamburg, Buchtstraße 4. Seit einigen Jahren unterhält die Kreisgemeinschaft regelmäßig Kontakte mit der deutschen Minderheit in Mrągowo [Sensburg], die in der Deutschen Gesellschaft "Bärentatze" Stadt und Kreis Sensburg / Mrągowskie Stowarzyszenie Niemieckie "Niedźwiedzia Łapa" organisiert ist.

(Źródło: <http://www.kreis-sensburg.de/> oraz <http://www.bkge.de/Heimatsammlungen/Verzeichnis/Herkunftsgebiete/Ostpreußen/Sensburger-Heimatstube.php>)

¹⁸⁴ Mrągowskie Stowarzyszenie Niemieckie Miasta i Rejonu Mrągowo "Niedźwiedzia Łapa" w Mrągowie
Wolność 15 lok. 1, 11-700 Mrągowo, Polska - Misja: Stało to się w dniu 15.10.1999 roku. Naszym dążeniem i celem jest integracja całego środowiska ludności pochodzenia niemieckiego, utrzymania jedności kulturowej oraz więzów narodowych jak i działanie na rzecz zacierania uprzedzeń narodowościowych, oraz niesienie pomocy socjalno-bytowej dla naszych członków. Prowadzone działania: Naszym zamiarem jest w przyszłości zorganizować szkołę, w której nauka odbywała się w języku niemieckim. Spotkania członków, pogadanki, prelekcje.

(Źródło: <http://bazy.ngo.pl/search/info.asp?id=217>)

rejestracji do obowiązkowej służby wojskowej w NVA.¹⁸⁵ „Impreza” ta odbywała się w szkole, na krótko przed maturą. Panowie z Wojskowych Komend Uzuppełnień¹⁸⁶ przyszli na spotkanie z chłopcami, którzy tuż po zakończeniu szkoły powinni odbyć zasadniczą służbę wojskową. Trochę opowiadali o wojsku, a przy okazji sprawdzali, czy wojskowe kartoteki przyszłych żołnierzy są prawidłowo wypełnione i ewentualnie je uzupełniali. Takie spotkanie odbyło się też w klasie, do której uczęszczał Eginhard. Miał on wtedy 17 czy 18 lat, ale jego poglądy były już stałe i przemyślane. Panowie wojskowi po wojskowo politycznym wstępie zapytali chłopców, czyli, w języku wojskowym, przedpoborowych, „Kto z was ma krewnych w RFN?”. Eginhard zgłosił się z jadownym uśmiechem na twarzy. On wiedział już, co się szykuje i co z tego wyniknie. W tym miejscu trzeba wspomnieć, że ojciec Eginharda, Gerhard, pochodził z wielodzietnej rodziny. Mało tego. Całe jego rodzeństwo było dorosłe, pożenione i wielodzietne. Prawie wszyscy mieszkali w Niemczech Zachodnich (RFN) a niektórzy z nich dochowali się już sporej gromadki wnuków. Do tego dochodziła jeszcze dość liczna zachodnioniemiecka gałąź naszej rodziny, czyli krewni mamy Eginharda.

Panowie wojskowi poprosili go do siebie, dali mu kartkę papieru podaniowego¹⁸⁷, by sporządził listę krewnych mieszkających w RFN. Eginhard przyjął papier, usiadł i zaczął pisać. Trwało to dość długo. Nagle wstał, podszedł do komisji i poprosił o jeszcze jeden arkusz. Albo może lepiej dwa, aby tyle nie chodzić. Panowie wojskowi zdębieli. „

- A po cóż ci tyle papieru? – padło pytanie.

- Przecież kazaliście mi spisać wszystkich moich krewnych, których mam w RFN. Na to potrzeba papieru i czasu. Ja mam bardzo dużą rodzinę.

Panom z NVA wydłużyły się miny. Przez krótki moment nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić. Po naradzie zdecydowali, że nie ma potrzeby, aby dokładnie wypisać wszystkich. To, co do tej pory zapisał, wystarczy. Pod koniec spotkania panowie zapytali go jeszcze, czy „w przypadku ostatecznym”¹⁸⁸ strzelałby do żołnierzy przeciwnika, czyli do żołnierzy zachodnioniemieckich. Eginhard odpowiedział tu z całą powagą i stanowczością:

-Do mojej rodziny!?! Nigdy!!!

Tak skończyła się jego przygoda z NVA, czyli z wojskiem. Do wojska nigdy go nie powołano. Prawdopodobnie w oczach armii był elementem zbyt mało odpowiedzialnym, zbyt niepewnym.

Po ukończeniu szkoły rozpoczął pracę. Jak to dawniej zarówno w NRD, jak i u nas bywało, w firmie państwowej. Innych przecież nie było. Na wstępie, poniekąd „z rozdzielnika” trafił też do związków zawodowców. Nie tych wolnych, bo takich nie było, lecz do tych normalnych, które były. Nie dość, że były, to były też zawsze zgodne z linią partii.

¹⁸⁵ Nationale Volksarmee (NVA, pol. Narodowa Armia Ludowa) – siły zbrojne Niemieckiej Republiki Demokratycznej, istniejące od 1 marca 1956 do 2 października 1990 roku.

(Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

¹⁸⁶ Wojskowa Komenda Uzuppełnień (WКУ) – jednostka administracji wojskowej (należącej do administracji rządowej – niespolonej) w Polsce zajmująca się administracją rezerw osobowych. WКУ pełnią rolę organu wykonawczego Ministra Obrony Narodowej i są podporządkowana bezpośrednio szefom Wojewódzkich Sztabów Wojskowych. Wojskowy Komendant Uzuppełnień odpowiada za realizowanie problematyki obronnej i administracji wojskowej administrowanego terenu. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>) W NRD działały podobne systemy poboru do wojska.

¹⁸⁷ Papier podaniowy zwany też kancelaryjnym – Papier w kratkę używany niegdyś w biurach i kancelariach (stąd kancelaryjny) oraz prywatnie odręcznego pisania pism urzędowych, najczęściej podań (stad podaniowy). W dobie komputerów został prawie zapomniany, dlatego chciałbym uświadomić przyszłym czytelnikom, jedna kartka papieru podaniowego to tyle samo, co dwie kartki - osiem stron znanego dzisiaj papieru do drukarki A4, albo cztery kartki – osiem stron ze zwykłego zeszytu.

¹⁸⁸ Smutni panowie z LVA (i prawdopodobnie Stasi) użyli tu określenia „Im Fall der Fälle“, co oznacza przypadek ostateczny czy sytuację bez wyjścia.

Znamy to z naszych polskich doświadczeń. U nas trafiła nam się niejako „po drodze” Solidarność. U nich, w NRD, niestety nie.

Eginhard był jednak człowiekiem myślącym i nie potrzebował „Festiwalu Solidarności”, by przynależność do komunistycznych związków zawodowych go uwierzała jak zbyt ciasny but. Przy jego charakterze i sposobie myślenia nie miał najmniejszej szansy, by stać się „dobrym obywatelem NRD”. Logicznym ciągiem postępowania była jego kolejna decyzja. Decyzja o wystąpieniu ze związku zawodowego. Zgłosił to odpowiednim działaczom związkowym i sprawił ich w osłupienie. Nie byli w stanie zrozumieć, dlaczego robotnik nie chce należeć do „robotniczych”, przynajmniej z nazwy, związków. Długo próbowali go przekonać by tego nie robił. Sądzę jednak, że to nie związkowa przynależność Eginharda była dla władz taka ważna. Ważniejszy był fakt, że ktoś odważył się głośno powiedzieć, że cała ta zabawa w związki zawodowe i ta niby dobrowolna do nich przynależność mu się po prostu nie podoba. Do tego potrafił sformułować i wypowiedzieć inne konkretne i prawdziwe zarzuty przeciwko związkom. Dodatkowo takie wręcz nieprawdopodobne jak na NRD odejście ze związków podważało autorytet aktywu związkowego i partyjnego nie tylko w zakładzie pracy. W efekcie całej tej afery mogły się nawet zachwiać fotele lokalnych kacyków partyjnych i związkowych.

Z drugiej strony, jeżeli tak łatwo odpuszczają jednemu, to w jego ślady mogą pójść inni. Zabawa stawała się niebezpieczna, a Eginhard stawał się wrogiem numer jeden „jedynego słusznego systemu”. Ostatnim „rzutem na taśmę” zakładowi działacze próbowali jeszcze uratować swój autorytet i „duszę” Eginharda. Przewodniczący wytoczył najcięższe armaty i zapytał niesfornego kandydata do „popelnienia jednego z największych błędów życiowych” czy wie, że odchodząc ze związku, rezygnuje z dwóch niezwykle ważnych przywilejów przysługujących tylko jego członkom. Zaskoczony i zdziwiony Eginhard zapytał: „A cóż to za przywileje?” Przewodniczący poprawił się w fotelu i wygłosił niezwykle uroczystym tonem: „Po pierwsze: Gdybyście kiedyś chcieli pojechać na urlop za granicę, to związki zawodowe zwrócą wam koszty biletu kolejowego drugiej klasy aż do granicy państwa. Po drugie: W przypadku Waszej śmierci związki zawodowe pokryją koszty waszego pogrzebu.” Eginhard był zdruzgotany. Argumenty były rzeczywiście bardzo poważne. Lecz nie na rzecz pozostania, lecz na rzecz odejścia ze związku.

Przygotowania i ucieczka.

Mimo krętych dróg politycznych kraju, w którym mieszkał nasz kuzyn, jego droga przez życie była prosta i mogła wieść tylko do jednego celu. Do opuszczenia NRD. Ponieważ krok ten nie był oficjalnie dopuszczalny, pozostawała ucieczka. Ucieczka, czyli przedostanie się na drugą stronę berlińskiego muru. Symbolicznie i mentalnie zrobił on to już dużo wcześniej. Od lat jego pobyt w NRD był pobytem przymusowym i przepełniony myślami, jak pokonać ten prawdziwy, betonowy mur oddzielający go od wolności.

Kiedy spotkaliśmy się w 2012 roku poprosiłem go, by opowiedział mi historię ucieczki. Opowiadanie okazało się tak fascynujące, że za jego zgodą nagrałem je i postanowiłem je w tym miejscu przytoczyć. Naturalnie, nie oryginał, lecz moje tłumaczenie.

Była piękna, wrześnieowa noc na Rugii. Dom Eginharda stoi daleko za wioską. Z jednej strony są pola gdzie zebrało się tysiące żurawi przed wylotem na południe. Z drugiej

strony graniczy z lasem, gdzie odbywały się właśnie jelenie gody, czyli rykowisko.¹⁸⁹ Długo w noc siedzieliśmy przy butelce piwa przed domem i z zafascynowaniem słuchaliśmy niezwyklej opowieści o ucieczce z NRD, przerywanej od czasu do czasu godowym rykiem jeleni. Nad ranem, już po wschodzie słońca od czasu do czasu przelatowały nad nami stadka żurawiu trenujących z młodymi loty. Eginhard opowiadał:

„Był rok 1987. Jak już wspominałem, odszedłem ze związków zawodowych. Po-tem odszedłem też z pracy, co była chyba naturalnym skutkiem odejścia ze związków. Za-cząłem dorabiać, jako kelner. Musiałem przecież z czegoś żyć. Poza tym, w tych czasach należało mieć jakąś pracę. Myśl, którą nosiłem w sobie od ćwierćwiecza, by opuścić NRD, umacniała się coraz bardziej. W głowie powoli układał mi się plan, jak mogę ten zamiar wcielić w życie. Jedyłą moją szansę widziałem w ucieczce przez Polskę. Wprawdzie kraj ten został dla nas po „Festiwalu Solidarności” w 1980 roku zamknięty, ale ja miałem szansę by tam pojechać, ponieważ tam mieszkała moja ciocia¹⁹⁰. Złożyłem papiery na wyjazd na urlop do Polski, do cioci. Dostałem, o dziwo, pozwolenie. Wtedy zapadła ostateczna decy-zja. Sprzedałem samochód, a pieniądze zdeponowałem u mojej mamy. Było tego dużo. Pięćdziesiąt pięć tysięcy marek. U mojej mamy były one z wiadomych przyczyn znacznie bezpieczniejsze niż u mnie. Moje mieszkanie po prostu zamknąłem na klucz i pojechałem do Berlina. Naturalnie do wschodniego. Zabrałem wszystko, co się zabiera w podróż. Do-wód osobisty (Ausweis), pozwolenie na wyjazd do Polski itp.”

Ja: „Nikt z rodziny naturalnie o tym nie wiedział? To byłoby zbyt niebezpieczne?”

Eginhard: „Oczywiście. Ani nikt z rodziny, ani w ogóle nikt. Ani z rodziny, ani w knajpie, gdzie pracowałem, ani nikt inny.”

Ja: „że nikt obcy to jasne...”

Eginhard: „To byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne. Wszystko w tej dziedzinie było jasne. Nawet moi dobrzy znajomi nie byli wtajemniczeni. Nikt. Absolutnie nikt.

Z Berlina pojechałem do Warszawy. Lecz jak już wspominałem, nie miałem za-miaru, odwiedzić cioci. To była tylko wersja oficjalna, aby otrzymać odpowiednie papiery. Odwiedziny u cioci byłyby piękne, ale zbyt czasochłonne. Moje prawdziwe zamiary były inne. Planowałem udać się do ambasady Niemiec Zachodnich w Warszawie i poprosić o wystawienie mi zastępczego paszportu RFN. Przedtem, podczas wizyty u nas kuzyna Re-inharda Beckera, syna cioci Ketty z Warendorf¹⁹¹, nauczyłem się na pamięć wszystkich jego danych. Miejsce zamieszkania, data i miejsce urodzenia, rodzice, rodzeństwo, krewni itp. Po prostu wszystko. Dane, których nie udało mi się wyciągnąć od niego, usiłowałem niepostrzeżenie wydobyć z mojej mamy. Nie mogłem się przecież wygadać, że zbieram takie dane i po co. To byłoby kłęska.

Tak wyposażony wysiadłem w Warszawie, wziąłem taksówkę i kazałem się za-wieźć do ambasady. Taksówkarz znał kilka słów po niemiecku, kilka po angielsku, więc mogłem mu wytłumaczyć, że nie chcę do ambasady NRD, lecz RFN. Zawiózł mnie pod

¹⁸⁹ Rykowisko – okres godowy jeleni szlachtetnych, w Polsce rozpoczyna się w drugiej połowie września i trwa ok. 4 tygodni. Samce jeleni zaczynają wydawać głośne odgłosy, zaczynając tuż przed zachodem słońca, a kończąc o świcie. Przez całą noc potężny, basowy ryk byków rozlega się echem na wiele kilometrów po okolicy. Okres godowy jeleni wschodnich (sika) jest nazywany gwizdowskim. Rykowiskiem nazywa się również miejsce pojedynków byków w okresie godowym oraz miejsce odbywania go-dów. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

¹⁹⁰ Chodzi o wspomnianą już przeze mnie ciocię Hildegard Jablonski

¹⁹¹ Warendorf - niemieckie miasto powiatowe leżące w kraju związkowym Nadrenia Północna-Westfalia, w rejencji Münster, siedziba powiatu Warendorf. Obecnie jest najlepiej znane z dobrze zachowanego średniowiecznego centrum miasta oraz dogod-nych warunków dla jeździectwa i kolarstwa. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

właściwy adres. Przed ambasadą była ogromna kolejka. Taka około 200 metrów długa i 3 metry szeroka. Boże drogi – pomyślałem – tutaj postoisz sobie ze trzy dni! Przypuszczam, że to Polacy ustawili się tam, aby zdobyć pozwolenia na pracę. Albo też w innym celu. Nie wiem. Nieważne. W każdym razie zbyt długie czekanie w kolejce było dla mnie nie do przyjęcia. Powiedziałem sobie, że tak nie może być. To jest wypadek losowy, musisz coś zrobić. Podeszedłem do furki i zwróciłem się do portiera:

- Uważaj, ja straciłem wszystko. Paszport, dokumenty itd. Potrzebuję pilnie pomocy ambasady i nie mam czasu na czekanie w tej kolejce.

- W porządku, proszę przejść – odpowiedział portier i wpuścił mnie do środka. Przeszedłem i w ambasadzie przedstawiłem moją zmyśloną historię urzędnikowi. Nazywam się Reinhard Becker, przyjechałem z Warendorf w RFN. Zostałem okradziony w pociągu i straciłem wszystkie dokumenty. Urzędnik w ambasadzie wszystko dokładnie spisał i powiedział, że muszę dostarczyć zdjęcia do paszportu, wówczas ambasada wystawi mi ważny trzy dni dokument podróży i na jego podstawie będę mógł wrócić do domu. Muszę też zgłosić się do jakiegoś polskiego urzędu, nie pamiętam już, jakiego, aby otrzymać wizę i że muszę też zgłosić kradzież dokumentów na polskiej milicji.

Wyszedłem z ambasady i zgłosiłem się na milicję. Tam przesłuchiwał mnie ktoś, kto bardzo dobrze mówił po niemiecku. Pytał o najróżniejsze rzeczy. Byłem na to przygotowany i odpowiedziałem prawidłowo na wszystkie pytania. Gdzie pracuję, gdzie mieszkam itd. itd. Dało się jednak wyczuć, że chce mnie dokładnie wy badać co, gdzie i kiedy, i czy wszystko razem do siebie pasuje. To było jasne. Jestem jednak pewny, że egzamin ten zdałem bardzo dobrze i w niczym nie podpadłem, a już na pewno nikt się nie domyślił, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Potem poszedłem do urzędu, który miał mi wystawić wizę. W międzyczasie dostałem już z ambasady dokument ze zdjęciem i poświadczenie o zgłoszeniu kradzieży dokumentów wystawione przez milicję. Brakowało mi tylko wizy. Pani, która mnie obsługiwała, mówiła łamaną, ale zrozumiałą niemieczyzną, więc mogliśmy się niezłe porozumieć. Występowała mnie uważnie i kazała zgłosić się za kilka godzin. Mimoходом rzuciła w moim kierunku:

- Panie Becker, mamy trudności z potwierdzeniem, że pan do wjechał Polski.”

To prawda. Przecież ja wjechałem do Polski na podstawie zupełnie innego dokumentu, jako ktoś zupełnie inny. Okazało się, że Polacy ze swoimi informacjami są na moje nieszczęście dużo dalej niż Niemcy. Naturalnie odezwały się we mnie natychmiast wszystkie dzwony alarmowe i zacząłem kombinować, jak tu się z tej sytuacji wymigać. Całe szczęście pani mnie nie kazała zatrzymać, lecz kazała zgłosić się ponownie za kilka godzin. W ten sposób na razie uratowała moją wolność i mało tego, ostrzegła mnie. Może było to celowe? Nie wiem...

Miałem przy sobie około 1000 marek zachodnich, 300 dolarów i 500 do 600 franków. Wszystko to było w tych czasach twardą walutą. Zastanawiałem się, co dalej. Po wizę nie mogłem się już zgłosić, bo to byłoby samobójstwo. Miałem trochę twardej waluty, miałem zachodnioniemieckie papiery, które bez wizy były nieużyteczne. Miałem jeszcze moje wschodnioniemieckie papiery, ale skorzystanie z nich oznaczało odwołanie całego planu. Dodatkowo nie udało mi się w Warszawie dostać żadnego pokoju, a akcja trwała już dłużej niż jeden dzień. W Warszawie odbywał się akurat jakiś kongres i wszystkie pokoje były wynajęte. Noce spędzałem w parku na ławce.”

Ja: „W Warszawie w tamtych czasach zawsze brakowało pokoi hotelowych. To było zjawisko normalne.”

Eginhard: „Tak, ale przez ten kongres sytuacja stała się jeszcze gorsza. Nawet łapówki w dolarach nie pomogły. Wolnych pokoi nie było i koniec. Byłem zmęczony i wyczerpany. Nie spałem już dwie noce. Aby odpocząć wybrałem się do kina. Tam było przynajmniej ciepło.

Jeszcze raz przemyślałem sprawę z wizą. Niestety. Nie mogłem się po nią zgłosić, bo tam groziło mi aresztowanie. Po aresztowaniu wysłaliby mnie na pewno do NRD, to było jasne. Tego bałem się najbardziej. Sprawa była jasna. Mój pierwotny plan, czyli wyjazd na papierach mojego kuzyna z pewnością się nie uda. Siedząc w ciepłym kinie wymyśliłem nowy plan. Postanowiłem wrócić na moich starych papierach do Niemiec wschodnich i tam skorzystać z ciągle jeszcze ważnego dokumentu uzyskanego w ambasadzie. Poszedłem na stację i wykupiłem bilet na pociąg do Köln przez Berlin. Poszedłem na peron. Stała tam pani, której pomogłem wnieść do pociągu walizki. Przedtem byłem jeszcze w dworcowej restauracji. Siedział tam pan rozmawiający po niemiecku. Okazało się, że jest muzykiem, pracującym w NRD. W rozmowie poradził mi:

- Uważaj. Weź 50 złotych, albo trochę waluty i daj konduktorowi. Dostaniesz za to miejsce do leżenia, albo i cały przedział. Inaczej będziesz całą drogę stał.

Po takich naukach wiedziałem już, o co chodzi. Kiedy pomagałem poznanej na peronie pani wnieść do pociągu walizki, wcisnąłem konduktorowi do łapy jakąś sumkę. Otworzył mi drzwi i powiedział:

- Hier bitte nehmen Sie Platz. Tutaj. Proszę zająć to miejsce.

W ten sposób mieliśmy dla siebie cały przedział. Ja i pani z Köln. Nie, ona była z Bremen, tylko jechała w kierunku Köln. Pewnie w Hannover się przesiadła. Miło spędziliśmy czas podróży.

Wróćmy jednak do tematu. Znowu jechałem na wschodniemieckich papierach. Nie miałem odwagi na ten temat cokolwiek powiedzieć. Byłem totalnie załamany. Do tego dwie noce nie spałem i ze zmęczenia padałem „na twarz”. Pogryżyłem się w myślach. Wiza nie uda mi się zdobyć. To jedno jest pewne. Bez niej nie puszczą mnie dalej. Będę musiał zostać w NRD... Wtedy zobaczyłem, jak konduktor odprawia wspomnianą już panią z RFN. Aha... tu muszę jeszcze wspomnieć, że dałem się odprawić, jako obywatel NRD. Wtedy dopiero zobaczyłem jak wygląda odprawa obywateli RFN. Szkoda... Gdybym wcześniej wiedział, że wiza, której nie udało mi się mimo tylu starań zdobyć, zostaje u konduktora... On ją zatrzymuje i stawia w paszporcie odpowiednią pieczętkę. Wtedy pomyślałem, mój boże, gdybym ja pięć minut wcześniej o tym wiedział, to miałem przy sobie dość „twardej” gotówki, aby mi konduktor wbił tą pieczętkę w „moim” zachodnim paszporcie. Przecież zawsze wiadomo było, że na kolei nie zarabia się zbyt dobrze i sprawa ta miała duże szanse na powodzenie. Albo i nie, nie wiem... A ty jak myślisz?” - Zwrócił się do mnie.

Ja: „Sądzę, że wówczas było to do załatwienia. I to nie tylko z powodów finansowych. W tamtych czasach pomóc komuś opuścić pielesze komunizmu należało do czynów patriotycznych, chociaż groźnych ze względu na mogące nastąpić represje. Niemniej przeciętny Polak, traktował takie sprawy bardzo poważnie i z pełną sympatią dla uciekającego. W pełni rozwinął się ten trend w 1989 roku w czasie masowej ucieczki Niemców z NRD, co w efekcie skończyło się rozbiórką berlińskiego muru.”

Eginhard: „Tak, To prawda. Niestety, tą jedyną okazją przegapiłem. Nie mogłem się przecież przyznać, że mam dwa paszporty i różną tożsamością, a co gorsze, z różnym

obywatelstwem. Przecież w tym momencie siedziałem już w pociągu jako obywatel NRD.”

Ja: „Tak, ale to trzeba było wiedzieć wcześniej. W momencie, kiedy wsiadałeś do pociągu, nie wiedziałeś o tym. Potem było już za późno...”

Eginhard: „Zgadza się. A do tego byłem jeszcze potwornie zmęczony. Cały ten pośpiech, brak snu niepewność dawały mi się w tym momencie solidnie we znaki. Wróciłem do NRD i wysiadłem w Berlinie wschodnim. Nie miałem odwagi spróbować przejazdu do Berlina zachodniego na uzyskanym w Warszawie dokumencie. Brakowało mi pieczątki od konduktora albo wizy. Kiedy później, już w więzieniu analizowałem to wszystko, to doszedłem do wniosku, że powinienem wówczas wsiąść do autobusu, wrócić do Warszawy zacząć całą operacją od nowa. Wystarczyło wsiąść na pierwszym przystanku za Warszawą i wrócić. Niestety, w tym właściwym momencie nie przyszło mi to do głowy. Teraz z kolei stałem już w Berlinie i marzyłem o tym, by się przespać. Pojechałem na Alexanderplatz do Interhotel Stadt Berlin. Niestety w całym hotelu mieszkali Rosjanie i nie było nic wolnego. Sympatyczna pani z recepcji poradziła mi pojechać do hotelu Adria na Friedrichstrasse. Na tej ulicy znajdowała się kocowa stacja kolejowa w Berlinie wschodnim, a na jej drugim końcu słynne przejście graniczne Checkpoint Charlie. Posłuchałem dobrej rady i pojechałem tam. Rzeczywiście, udało mi się. Wynająłem pokój i nareszcie mogłem spać. Odpocząłem, wyspałem się i poszedłem do restauracji, aby coś zjeść. Było cudownie. Mogłem nareszcie odpocząć i sobie niczego nie żałować, wschodnich marek miałem pod dostatkiem. Cały sztapel. Do tego jeszcze parę tysięcy zwiniętych w rolkę, by je można było lepiej schować. Wtedy zacząłem się znowu zastanawiać, co dalej. Popatrzyłem na mój zachodni paszport. Był ważny jeszcze do północy. Pomyślałem sobie, że tu niedaleko jest słynny Checkpoint Charlie. Trzeba coś zrobić, bo zbyt dużo czasu nie zostało. Pomyślałem sobie, że gdyby mnie nawet zatrzymali, to cały ten cyrk długo nie potrwa. Na ogół odbywało się to tak, że po kilku miesiącach sprzedawano złapanych zbiegów do Niemiec zachodnich. NRD potrzebowało pieniędzy... Rachunek był prosty. Jeżeli mnie zatrzymają, to mnie potem sprzedadzą. Tak czy inaczej trafię na Zachód. Chyba, że każą mi zgnieć w więzieniu. Taką możliwość też należało brać pod uwagę. W tych czasach było to już trochę mniej prawdopodobne, ale jednak...

Zebrałem się w sobie i wyspany, wykąpany oraz świeżo ogolony ruszyłem na granicę. Torbę z rzeczami i wszystko inne po prostu zostawiłem w hotelu i poszedłem. Przed przejściem granicznym stało dwóch żołnierzy z kałasznikowami. Poprosili o paszport. Grając bardzo pewnego siebie podałem. Musiałem udawać pewniaka, bo każdy fałszywy gest mógłby mnie zdradzić. Ubrany też byłem tylko w zachodnie ciuchy, bardzo na takie drobiazgi uważałem.

Podałem im paszport i zacząłem tłumaczyć, że w drodze do Polski zostałem okradziony, dlatego mam tylko dokument zastępczy i jestem właśnie w drodze powrotnej do domu. Wcale ich to nie interesowało. Patrzyli tylko na mój paszport.

- Jak długo jest pan już w drodze? - Zapytał jeden z panów.

- Trzy dni. - Odpowiedziałem.

- Hmm...- zaczął się zastanawiać -... jak na tak długą podróż, to jest pan bardzo zadbany.

- Bo się ogoliłem. - Odpowiedziałem.

- Niemniej, wygląda pan na bardzo zadbanego, jak na taką podróż. - Upierał się przy swoim pogranicznik.

- Na to nie mam odpowiedzi”.

- Aha!?! Pozwoli pan ze mną.

- Dobrze. - Odpowiedziałem i udałem się za nim do innego pomieszczenia. Tam przejął opiekę nade mną już ktoś inny. To był już oficer, chyba kapitan. Znowu ta sama wymiana zdań. Potem długo przyglądał się fotografii w paszporcie. Pomyślałem sobie, że fotografia jest w porządku. Czego on tam szuka? Przecież to jest oryginalny paszport. Wszystko gra. Może mnie jednak przepuszczają, przeleciało mi przez myśl. Wtedy odezwał się kapitan:

- Proszę przejść do tamtego pokoju. - Wskazał mi ręką drzwi. Wszedłem. Stało tam tylko jedno krzesło i jeden stół.

- Proszę usiąść. Za chwilę będzie pan przeszukany. - Powiedział kapitan i wyszedł z pokoju. To była pułapka. Chcieli mnie wybadać, ja dałem się podejść jak małe dziecko. Ja miałem przy sobie wszystko, co chciałem ze sobą zabrać, łącznie z pieniędzmi. Próbowałem to poutykać w mniej podpadające zakątki odzieży, a oni już wszystko filmowali. Widzieli dokładnie gdzie i co chowam. Po chwili przesłuchujący mnie kapitan wrócił i spytał, co mam w kieszeniach. Musiałem wyjąć zarówno wschodnie marki jak i, niestety, moje wschodnie dokumenty tożsamości. Słowem: totalna wpadka. Z drugiej strony, cały czas wiedziałem, że ryzyko jest bardzo duże i jego skutki brałem pod uwagę.

Zostałem aresztowany. Jeden dzień spędziłem w więzieniu Stasi w Berlinie, potem przewieziono mnie do Schwerin. Dammlerplatz to było znane w całym NRD więzienie Stasi. Ja pochodziłem ze Schwerin, więc te budynki były mi już wcześniej znane, ale tylko z zewnątrz. Tam zostałem skazany na rok i osiem miesięcy więzienia. Prokurator zarzucił mi, że moje poczynania mocno zachwiały pokój w środkowej Europie. Przeze mnie doszło prawie do wybuchu wojny.

Lecz muszę jeszcze wrócić do okresu przed procesem. W tym więzieni mieli też więźniów kryminalnych. Tych dokładano do cel więźniom niekryminalnym (politycznych w NRD nie było), aby ich szpiegowali i na nich donosili. Tak też było ze mną, ale ja o tym wiedziałem, więc nie mogli mi zrobić zbyt wielkiej szkody. Temu, który trafił do mojej celi powiedziałem tylko, że ja nie potrzebuję adwokata. Decyzja o wysokości kary dla mnie już gdzieś tam zapadła, więc bronić mogę się sam. Lecz on powiedział mi, że jeżeli ja mam zamiar opuścić NRD, to mogę to zrobić tylko poprzez mecenasa Vogla w Berlinie. Po to, by nawiązać z nim kontakt, potrzebuję adwokata, bo sam do niego tu z więzienia nie dotrę. Dał mi też radę, że praktycznie to tylko przy pomocy Stasi mogę wynająć właściwego do tego celu adwokata. Inaczej się nie da. Posłuchałem tej rady i wynajmłem obrońcę. Potem wszystko potoczyło się ustalonym torem. Obrońca mnie odwiedził i od razu na wstępie poinformował, abym zbyt wiele d niego nie oczekiwał, bo on jest członkiem partii. Powiedziałem mu, że ja nic od niego nie oczekuję, tylko żeby uregulował sprawy z mecenasem Voglem. Po procesie trafiłem do Halle Saale. To znaczy, że w kraju już powoli zaczęło się politycznie gotować. Ale to zrozumiałem dopiero później. Na razie tylko więzienia dla dorosłych stawały się coraz bardziej przepełnione, więc trafiłem do ośrodka dla młodocianych. Młodociani też tam jeszcze byli, a nawet było ich sporo. W każdym razie trwało to jeszcze sześć... nie, siedem miesięcy i zostałem sprzedany. Cała ta transakcja odbywała się oficjalnie, ale jej szczegółów nie znam."

Ktoś ze słuchaczy: „To za ile cię sprzedali?”

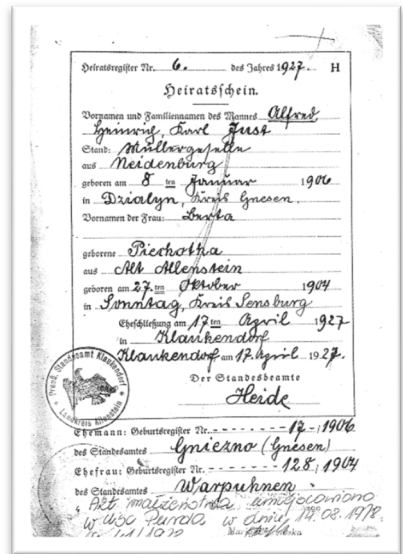
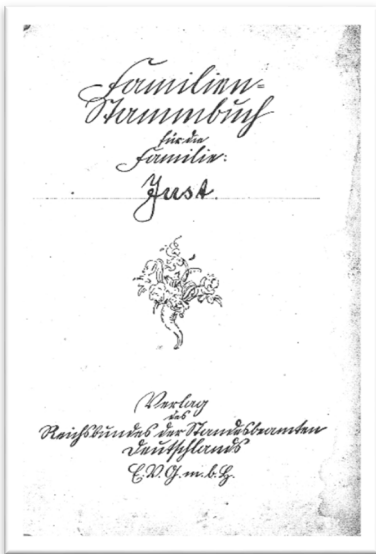
Eginhard: „Sądzę, że było to dziewięćdziesiąt siedem tysięcy marek zachodnich. Za głowę. Obojętnie czytają... Wcześniej myślałem, że to zależy od wykształcenia. Na przykład za lekarza więcej niż za robotnika. Nie. Wszyscy byli równi a cena zawsze taka sama:

dziewięćdziesiąt siedem tysięcy marek zachodnich. Każdego tygodnia zawierano piętnaście takich transakcji. Kiedy się przez to przechodziło, to się o tym wiedziało... Najpierw zawieziono mnie więzienia Stasi w Karl-Marx-Stadt (Chemnitz), a stamtąd busem na pociąg do Gießen. Przypominam, że kiedy mnie aresztowano, miałem przy sobie oprócz pieniędzy wschodnioniemieckich, około tysiąca, dokładnie już nie pamiętam, marek zachodnich, około czterysta dolarów i mniej więcej tyle samo franków francuskich. Wszystko twardy pieniądz. Niestety, nie oddano mi ani centa. Dostałem jednak prowiant na drogę. Kromkę chleba i jedno jajko na twardo. To miało mi wystarczyć aż do Gießen.

Potem było już wszystko normalnie. Pracowałem, mieszkalem w wolnym kraju a po obaleniu muru wróciłem na „stare śnieci”. Teraz, jak widzisz, mieszkam z Maxem¹⁹² na Rugii i bardzo sobie to chwalam

Ucieczka Basi i jej rodziny.

Okazuje się, że rok 1987 był, mimo wszystko, dobrym rokiem dla naszej rodziny. W tym samym roku uciekła też do Niemiec zachodnich moja siostra Barbara z rodziną. Lecz nie z NRD, lecz z Polski. Wykupili voucher na urlop w Hiszpanii. Lecz nie na przelot samolotem, lecz na dojazd samochodem. Kupili sobie właśnie starego malucha¹⁹³, więc postanowili użyć go, jako „narzędzia zbrodni” i uciec nim do RFN. Rozwiązanie to była też jedyną możliwością, by nowo zakupionego cacuszka¹⁹⁴ nie zostawić w Polsce. Był to

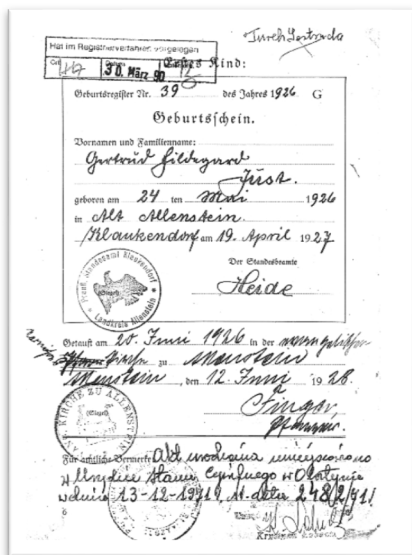
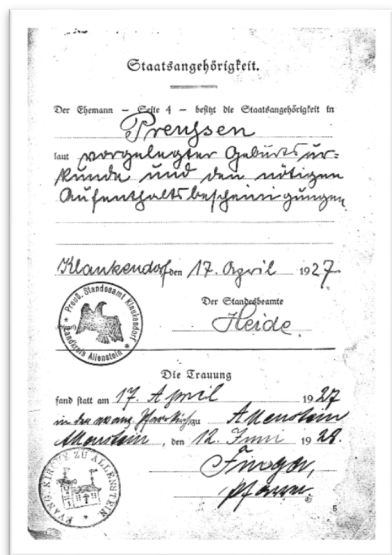


¹⁹² Max Becker, syn Eginharda.

¹⁹³ Oficjalnie: Fiat 126 (centoventisei) – samochód osobowy skonstruowany w zakładach FIAT, produkowany we Włoszech w latach 1972–1980, a w Polsce od 6 czerwca 1973 do 22 września 2000 roku (Polski Fiat 126p) . Przez wiele lat był jednym z najczęściej spotykanych samochodów na polskich drogach, doczekał się też bardzo wielu nazw potocznych i zwyczajowych, z których najpopularniejsza – Maluch, stała się pod koniec produkcji tego modelu (1997) jego oficjalną nazwą. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

¹⁹⁴ Jak podaje Słownik Języka Polskiego: Cacuszko - rzecz dająca właścicielowi satysfakcję z jej posiadania; coś nowego, nieużywanego; coś, co zostało dobrze wykonane

przecież najbardziej luksusowy wydatek, na który pozwolili sobie w dotychczasowym życiu. Czego takiego nie można było po prostu ot, tak pozostawić na poboczu... Tak myśleli w tym czasie nie tylko oni, lecz ogromna większość wychowanego w komunistycznej bie-



Fragmenty przemyczonego przez Basię Familienstambuch, który później oddał nam wszystkim wielkie przysługi.

dzie społeczeństwa. Niestety, powiedziano im, że naturalnie, mogą sobie jechać na urlop swoim pięknym samochodem, ale nie wolno im jechać przez Niemcy. Trasa alternatywna do Hiszpanii wiodła przez Czechosłowację, Austrię i Francję. Zaczęli się starać o najróżniejsze, potrzebne na ten przejazd dokumenty, ale alternatywnie zaczęli też, jak to leżało w polskiej naturze, kombinować¹⁹⁵. Próbowani coś wymyślić, by jednak pojechać prostą drogą, przez NRD i jak najszybciej dojechać do celu, który w tym czasie już tylko oficjalnie nazywał się Hiszpania. Byli zdecydowani pozostać w RFN. Kombinowali tak długo, aż znaleźli na tyle skorumpowanego pracownika milicji, który za odpowiednią opłatą wystawił im papiery na przejazd przez NRD, które oczywiście były nie do końca legalne. Najważniejszym bagażem był Familienstambuch¹⁹⁶. Rozczłonkowali go na pojedyncze kartki i ukryli pod tapicerką samochodu. Potem zapakowali trochę podręcznego bagażu i pojechali. Mieli szczęście. Bez trudu przedostali się przy pomocy nielegalnego pozwolenia przez NRD. Ich syn, Sebastian, miał wtedy jedenaście lat, więc nie wtajemniczali go w szczegóły wyjazdu. Był przekonany, że jedzie do Hiszpanii na wczasy. Dopiero w Bielefeld dowiedział się, gdzie jest, że zostaje tu na stałe i, przynajmniej na razie, nie ma żadnej możliwości powrotu do Polski.

Początkowo nie dzwonili do naszej rodziny. Najpierw chcieli stanąć na własnych nogach, apotem dopiero nawiązać kontakt. W czasie rejestracji musieli jednak podać, że

¹⁹⁵ Jak podaje Słownik Języka Polskiego: Kombinować - potocznie: sprytnie przeprowadzać jakieś plany, prowadzić podejrzane, nieuczciwe interesy; kręcić, mieszać, motać; szukać rozwiązania jakiegoś problemu, zastanawiać się nad czymś; główkować, rozmyślać; robić coś, poprawiać, zmieniać, zwykle w sposób nieudolny lub niezupewnie uczciwy; grzebać, majstrować, manipulować.

¹⁹⁶ Familienstambuch – tzw. Książka rodzinna z wszelkimi rodzinnymi dokumentami jak metryki urodzenia, śmierci, ślubu itp.

mają w Bielefeld rodzinę. Pierwsza na liście rodziny stała nasza ciotunia Marie Czychowski, w rodzinie zwana Tante Miete. Po dwóch czy trzech dnia zostali ponownie wezwani przez urzędnika, który się nimi zajmował i ponownie, tym razem bardzo szczegółowo wypytani o całą rodzinę, szczególnie o tą z Bielefeld. Dało się przy tym wyczuć, że urzędnik nie jest już taki serdeczny jak do tej pory i wszystko, co mu mówią traktuje z dużym dystansem. Wyraźnie było widać, że coś tu nie pasuje.

Po tej rozmowie Barbarę coś tknęło. Postanowiła zadzwonić do cici. Ciocia ucieszyła się i jednocześnie przeraziła.

- Ach Barbara. To ty. Bardzo się cieszę, że was nareszcie poznam.... Hmm... Niedobrze...

- Co jest niedobrze?" - Zapytała Basia.

- Wiesz, Barbara?" - Zaczęła opowiadać ciocia - Kilka dni temu miałam z ratusza zapytanie, czy znam rodzinę Niewiarowski. Odpowiedziałam, że nie. Skąd miałam wiedzieć, że ty się teraz tak nazywasz...

Tajemnica się wyjaśniła. Urzędnik myślał, że Basia z rodziną usiłowała się pod kogoś podszyć. Szybka akcja cici i kuzynów z Bielefeld wyjaśniła nieporozumienie i przywróciła wszystko do normy. Kuzyni zawieźli Cicię do ratusza do ratusza, gdzie złożyła odpowiednie oświadczenia i urzędnicy znowu stali się mili, a początkowe nieporozumienie szybko poszło w zapomnienie. Cała Basi rodzina mieszka w Bielefeld i bardzo to sobie chwali. Ona sama od prawie 30 lat pracuje na policji. Sebastian jest programistą, a jego żona Judith jest sędzią. Mają trójkę wspaniałych dzieci.

Familienstammbuch, który z narażeniem wolności przemycili do RFN dobrze przysłużył się kolejnym pokoleniom mazurskiej gałęzi rodu Turków...

Zygmunt.

Rodzeństwo.

Zygmunt to mój starszy brat. Powinienem napisać „był moim starszym bratem”, jednakże mi to nie wychodzi. To sformułowanie jest zbyt ostateczne. Pozostanę więc przy „Zygmunt to mój starszy brat.” Najstarszy z całego rodzeństwa. On urodził się w 1948 roku a ja trzy lata później, w 1951. Między nami była jeszcze Irenka, ale zmarła w wieku dwóch miesięcy, więc nikt z nas jej nie pamięta. Potem, w 1955 roku przysłała na świat roku Basia, czasami złośliwie nazywana przez nas Chinką¹⁹⁷, a w roku 1958 Sabina. Po Sabinie długo nic nie było, aż w 1965 roku dołączył do nas Marian...

Nigdy nie byłem z Zygmuntem zbyt mocno związany emocjonalnie. Dla osób wychowanych w czasach „zimnego wychowu”¹⁹⁸ dzieci nie ma w tym nic dziwnego. Tak wtedy po prostu było. Na budowanie więzi emocjonalnych między dziećmi rodzice nie mieli wówczas czasu, a mody na to też jeszcze nie było. Poza tym Zygmunt był trzy lata starszy niż ja. Jak na tamte czasy przystało, dyskwalifikowało mnie kompletnie w oczach jego kolegów jako towarzysza zabaw, czy też kompana do wspólnego spędzania wolnego

¹⁹⁷ Basia była czwartym dzieckiem w rodzinie. Statystycznie, co czwarty człowiek, który się rodzi na świecie jest chińczykiem.

¹⁹⁸ Okazuje się, że nie tylko my, ale i nasi rodzice wychowani byli w sposób, który bardzo zbliżony jest do znanego w hodowli tzw. „zimnego wychowu cieląt”. Tzn. Dziecku (podobnie jak w podręczniku cielakowi) należało zapewnić jedzenie i w miarę możliwości zadbać o jego zdrowie. Najlepiej przez hartowanie. O resztę wychowania zadba już samo życie, czyli najczęściej ulica i koledzy (w przypadku cielaka – łąka i stad). Na inne fanaberie nie było czasu. Metoda ta stosowana była od pokoleń. Również w stosunku do naszych rodziców, a potem przez naszych rodziców w stosunki do nas. Jej ślady i to wcale nie małe, stwierdzam na sobie do dzisiaj. Ale to już jest całkiem inna historia...

czasu. Wszyscy jego koledzy byli starsi niż ja, a i zainteresowani też byli całkiem innymi sprawami niż ja i moi rówieśnicy. Takich smarkaczy jak my trzymali daleko od siebie, aby nie przeszkadzali im w ich poczynaniach. Chłopcy ci mieli wtedy, tak jak Bimbach¹⁹⁹, czyli Zygmunt po 13, 14 lat i zupełnie inne zainteresowania niż ja, czyli Mały Turek albo Mały Bimbach²⁰⁰ i jego kumple. Ja i moi koledzy dziesięciolatkiem byliśmy wtedy jeszcze na etapie gry w antka czy w pikuty²⁰¹. Czasami graliśmy jeszcze w podchody albo w klipę²⁰². Oni tymczasem prowadzili poważne rozmowy o dziewczynach, grali na pieniądze w bańczyka, a czasami udało im się nawet zdobyć jakieś piwo, które wspólnie wypili. My, małe latki nie powinniśmy o ich poczynaniach zbyt dużo wiedzieć. Przecież któryś z nas, smarkaczy, mógłby ich jeszcze niechcący przed rodzicami wysypać. To wszystko powodowało dodatkową przepaść między nami i utrudniało porozumienie. Poza tym muszę w tym miejscu jeszcze wspomnieć o największym moim przewinieniu „na podwórku”: Nie lubiłem i nie umiałem grać ani w palanta²⁰³, a gra ta była w tym czasie bardzo popularna, ani w piłkę. Nieważne, czy to piłka ręczna, nożna, czy też dwa ognie. To nie był mój świat. Z tej przyczyny definitywnie odpadałem w przedbiegach ze wszystkich rozgrywek. Nawet, kiedy w którejś z drużyn brakowało zawodnika, mnie nikt nie chciał przyjąć nawet „na zastępstwo”.

Zatem, jak już wspominałem, nigdy nie byliśmy z Zygmuntem zbyt blisko i nigdy nie zostaliśmy przyjaciółmi, jak to czasami między braćmi zdarza. Ot, byliśmy takimi sobie normalnymi braćmi, jak to normalnie w życiu bywa. Mimo to los i życie jednego z nas zawsze interesował tego drugiego a kiedy trzeba było, mogliśmy na siebie liczyć. Zasada ta dotyczyła nie tylko mnie i Zygmunta, ale również całego naszego rodzeństwa.

¹⁹⁹Bimbach - tak nazywali Zygmunta jego koledzy. Skąd się to przezwisko wzięło i co oznaczało, nie wiem. Przygłębło ono jednak do niego we wczesnym dzieciństwie i „wisało” na nim przez całe życie. Nawet, kiedy już po jego śmierci potkałem w Mrągowie jednego z jego kumpli, nie pytał on o Zygmunta. Pytał o Bimbacha.

²⁰⁰Mały Bimbach, Mały Turek – Ja, w odróżnieniu od Bimbacha, byłem dla jego kumpli Małym Bimbachem albo Małym Turkiem. Nie lubiłem tego przezwiska, bo już samo określenie „Mały” dyskwalifikowało mnie w kontaktach ze starszymi kolegami. Niestety przygłębło ono do mnie tak mocno, jak „Bimbach” do Zygmunta.

²⁰¹Pikuty – gra zręcznościowa z wykorzystaniem noża, polegająca na jego wbijaniu w ziemię po wykonaniu określonej sztuczki. Dawniej bardzo popularna gra podwórkowa zwana również „grą w noża”. W grze uczestniczyło co najmniej dwóch graczy (optimalnie 2-8 graczy). Potrzebne było miękkie podłoże - ziemia lub piasek. Gra polega na przyciśnięciu noża do skóry i rzuceniu go w taki sposób, aby ostrze wbiło się w grunt. Gra posiadała kilkanaście poziomów, a wygrywał gracz, który jako pierwszy przeszedł je wszystkie. Rzut nożem wykonywało się po kolei, czyli pierwszy rzucający przekazywał nóż kolejnej osobie, a ta jeszcze kolejnej. Udane wbięcie ostrza w ziemię dawało awans na kolejny poziom, natomiast, gdy rzut był nieudany i ostrze nie wbiło się w ziemię, należało powtarzać rzut do skutku na bieżącym poziomie. Rzut uznawany był za zaliczony, jeśli pomiędzy rękojeścią, a podłożem mieściły się co najmniej dwa palce. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Pikuty>)

²⁰²Klipa – typ popularnej niegdyś gry podwórkowej, będącej głównie rozrywką dzieci. Na ziemi rysuje się koło. Do gry służą dwa kije, jeden długi (ok. 1 m), drugi krótszy (10-15 cm), o zaostzonych końcach, zwany „klipą”. Gra polega na tym, iż jeden zawodnik wybija większym kijem ten mały (tzw. "klipę") z koła jak najdalej, a inni zawodnicy próbują złapać klipę lub odkopnąć w kierunku koła. Następnie zawodnik, który klipę złapał lub odkopnął, stara się wrzucić klipę do koła. Osoba w kole próbuje do tego nie dopuścić. Jeżeli klipę nie wpadła do koła, osoba broniąca ma prawo do trzykrotnego odbicia klipy, uderzając ją w zaostrome końce i wybijając, kiedy podskoczyła do góry. Następnie osoba w kole liczy liczbę kroków od klipy do koła. To są jej punkty. Kto wrzucił klipę do koła, zajmuje miejsce wybijającego. Wygrywa ten, kto jako pierwszy zdobędzie określoną liczbę punktów. (Źródło: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Klipa_\(gra\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Klipa_(gra)))

²⁰³Palant – zespołowa gra na punkty z użyciem drewnianego kija i piłeczki. Podobne gry to niemiecki Schlagball, rosyjska laptka oraz rumuńska oina. Uczestnicy podzieleni na dwie drużyny po 12 graczy, na boisku o wymiarach 25 × 60 m odbijają kijem o długości 60–80 cm małą laną piłkę gumową. Również nazwa kija do gry. Norman Davies w książce „Boże igrzysko” stawia tezę, że popularna w USA gra baseball może pochodzić od palanta, granego przez polskich emigrantów. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Palant>). Słownik synonimów podaje: Palant – potocznie, obraźliwie: o człowieku patafian, bałwan, dureń, idiota, kretyng, wariat, imbecyl, debil, baran, osioł, muł, głupiec, głupol, tuman, gamoń, bęcwał, głąb... (Źródło: <https://www.synonimy.pl/synonim/palant/>)

Zygmunt jednakże zawsze od nas trochę odstawał. Zawsze był trochę z boku, ale też zawsze był z nami. Spotykał się z nami, świętował z nami i jak każdy z nas sprzeczał się z nami na najróżniejsze tematy. Najwięcej sporów i sprzeczek miał z Basią. Ona, jak wiadomo, ma najbardziej niewyparzony język w rodzinie. Trenowała na nim ten swój język, wypominając mu na co dzień jego wpadki (a było ich sporo) i jego niezbyt poważne podejście do życia. Robiła to na tyle dobrze, że nieczęsto ktoś z pozostałego rodzeństwa musiał w tych sporach coś dodać. My mogliśmy się z nim mniej sprzeczać, chociaż zawsze było o co. Załatwiała to za nas Basia. Ona go stawiała do pionu, a on nie pozostawał jej dłużny. Na tej linii iskrzyło zawsze. Od czasu do czasu wydawało się, że już oni nigdy nie



Duży Turek i Mały Turek, czyli Bimbach i Mały Bimbach, jak nas nazywano na Banditenstrasse.
Połowa lat siedemdziesiątych, biwak nad jeziorem Wągiel w Brejdynach.

zamienią ze sobą słowa. Kiedy jednak sytuacja stawała się poważna, znowu byliśmy razem. Nie kto inny, lecz Basia była przy nim aż do jego ostatniego oddechu. To o czymś świadczy...

Choroba i śmierć.

Zygmunt umierał bardzo długo. Jego odchodzenie trwało kilka miesięcy. Momentami było z nim bardzo źle. Momentami zaś wyglądało na to, że już jest dobrze, albo przynajmniej lepiej. Wyniki badań nie potwierdzały tego jednak. Wręcz odwrotnie.... On na całe szczęście o tym nie wiedział. Aneta, starsza córka Zygmunta, ukrywała to przed nim, więc te jego ostatnie miesiące były dla niego raczej pogodne. Leczył się i miał mnóstwo planów. Kiedy podczas kolejnego pobytu w szpitalu po raz ostatni stracił przytomność, kompletnie się tego nie spodziewał. Pisał właśnie SMS-a, którego nie było mu dane już nigdy dokończyć. Był przekonany, że to tylko kolejny etap leczenia i niedługo będzie mógł wrócić do domu. Niestety, tak się nie stało. Zmarł po sześciu dniach nie odzyskawszy przytomności. Były przy nim jego córki i Basia...

Zacznijmy jednak od początku jego choroby. Dowiedziałem się o niej w maju 2011 roku. Trochę jakby przez przypadek, o co pozostanie we mnie na zawsze żal do jego córek, Anety i Agnieszki.

Byliśmy w domu. Zadzwoił telefon. Po drugiej stronie odezwał się Grzegorz, były mąż Basi. W tym czasie był sąsiadem Agnieszki, młodszej córki Zygmunta. Zdawało mi się nawet, że w tle słyszę głos Dobka, męża Agnieszki. Grzegorz zapytał o numer telefonu Mariana, mojego młodszego brata. Podyktowałem mu. Nie minęło pięć minut, kiedy telefon zadzwonił po raz drugi. Marian poinformował nas, że Zygmunt leży nieprzytomny w szpitalu po nieudanej operacji wycięcia raka płuc. Raka nie udało się usunąć i dodatkowo w ranie operacyjnej rozlała się ropa i spowodowała sepsę. Stan bardzo ciężki, a właściwie beznadziejny.

Byłem wstrząśnięty. Nie tylko niespodziewaną chorobą Zygmunta. Również sposobem, jaki zastosowały jego córki, by nas o tym poinformować.

Po pierwsze, nie powiadomiły nas, rodzeństwa, ani wtedy, gdy choroba się zaczęła ani potem, gdy została zdiagnozowana. Zadzwoiły dopiero wtedy, gdy było już bardzo źle i Zygmunt leżał umierający w szpitalu.

Po drugie, wiadomość tę przekazano nam w sposób, który trudno wymyślić nawet w scenariuszu filmowym. Dobek, który zna mój numer telefonu, idzie do Grzegorza, osoby w tym przypadku obcej, aby ten zadzwonił do mnie i dopytał się o numer telefonu do Mariana. Potem dzwoni do Mariana i informuje go o chorobie Zygmunta. Marian z kolei dzwoni do mnie, by mi tę wiadomość przekazać. Tej sztafety informacyjnej nigdy już nie uda mi się zrozumieć. Chyba jestem na to za tępy... Nie prościej byłoby po prostu zadzwonić do mnie? Nie, nawet nie zadzwonić... Po prostu zamiast pytań o numer Mariana, po prostu powiedzieć... Powiedz mi Agnieszka, czy ja jestem głupi, trędowaty albo w inny sposób „naznaczony”??? Nie wiem. Może nie należę do rodziny? Może nie zasługuję na rozmowę? Nie wiem. Zabolęło mnie to bardzo, ale tematu tego nigdy nie poruszałem i poruszać nie będę. Szkoda czasu, bo efektów tak z takiej rozmowy i tak nie będzie. Jeżeli dziewczyny same nie dorosną do zrozumienia pewnych życiowych subtelności, to nikt trzeci nie jest w stanie im pomóc...

Powiadomiliśmy o chorobie Zygmunta Sabinę, bo po takim potraktowaniu mnie i Basi, nie spodziewałem się, że ktoś będzie sobie jeszcze zwracał głowę telefonami do Polski. I tak też było.

Pojechaliśmy do szpitala. Tam dowiedzieliśmy się od Agnieszki i Anety, jak się to wszystko zaczęło. Już na początku roku zaczęły się jakieś bóle w piersi. Lekarze postawili diagnozę i leczyli go przez kilka miesięcy na serce. Po kilku miesiącach okazało się, że nie serce, to rak płuc. Trzeba było operować.

Wczorajsza operacja jednak się nie udała. Raka nie dało się usunąć. Dodatkowo, podczas operacji rozlał się ropień i zakaził organizm. Wystąpiła sepsa. Zygmunta wprowadzono w śpiączkę farmakologiczną i, jak poinformowali lekarze, zaordynowano mu najwyższe możliwe dawki leków, jakie jego organizm był w stanie przyjąć. Jak do tej pory bezskutecznie. W tym momencie można było tylko czekać i mieć nadzieję. Musieliśmy mieć bardzo dużo nadziei, bo lekarze jej już specjalnie nie mieli.

Sultański organizm Zygmunta, leki i nasza nadzieja zaczęły powoli dawać efekty. Stan Zygmunta zaczął się powoli poprawiać. Po kilku dniach zaczęto go wybudzać. Miało to potrwać dość długo. Lekarze prosili, by z nim jak najwięcej rozmawiać. No, może nie

tylko rozmawiać, co do niego mówić. Dużo mówić. To pomaga w wybudzaniu. No i rozmawialiśmy. Najczęściej jednak, poza córkami rozmawiała z nim Basia. Kiedy Zygmunt był już bardzo bliski wybudzenia, Basia stwierdziła: „Cholera, chyba pójdę do domu. Przecież jak on się obudzi i usłyszy, że ja tu do niego gadam, to jeszcze dostanie zawału.”

Została. Zygmunt się obudził i zawału nie dostał. Jednakże następna ich sprzeczka była bardzo krótko po jego „powrocie”... Taki był standard i taka jest Basia. Pyskata, bez tabu w rozmowach, a szczególnie w sprzeczkach. Obowiązują tu zasady „Kawa na ławę” i „Co w sercu to i na języku”. Bez względu na okoliczności czy ewentualne konsekwencje. Dlatego też byliśmy często, a Zygmunt w szczególności, za to jej pyskowanie obruszeni. Lecz bez tych ciągłych sprzeczek, oboje chyba źle by się czuli. Poza tym wiemy, że serce ma Basia po właściwej stronie, chociaż nie zawsze to tak na pierwszy rzut oka wygląda. W tej sytuacji Zygmunt widok Basi po powrocie między żywych nieźle przetrzymał.

Potem przyszedł czas rehabilitacji. Sanatorium i wzmocnienie organizmu przed planowaną chemioterapią. Wszystko przebiegało według planu i Zygmunt czuł się coraz lepiej. Rzeczywistość była jednak inna, ale Aneta z Agnieszką ukrywały to przed ojcem. Tym bardziej, że on czuł się coraz lepiej i z dnia na dzień wracał do życia. Dzięki temu do końca nie miał świadomości, co się z nim dzieje naprawdę. Cieszył się każdym drobiazgiem. Każdy jego spacer czy też wyjście na zakupy, szczególnie, jeśli był to spacer dłuższy od poprzedniego, traktował jak kolejny objaw wychodzenia z choroby. Duży wkład wносиła tu Irena, jego była żona, która opiekowała się nim w tym czasie. Myślę, że on to bardzo doceniał, iż dzięki jej pomocy żyje mu się lepiej i łatwiej.



14.04.2007. Zdjęcie teraz już historyczne. Ostatnie spotkanie całego rozrzuconego po świecie rodzeństwa i Mamy. Od lewej. Stoją: Sabina i Marian, siedzą: Heniek, Mama, Zygmunt i Basia

W tym czasie i my odwiedzaliśmy go częściej. Opowiadał nam wtedy o swoich planach na przyszłość. Był przekonany, że na pewno wygra z chorobą i że to jest tylko kwestia czasu. Dziękuję Ci, Aneta. Dzięki Twojej decyzji, Twój tata przeżył ostatnią jesień swojego życia w spokoju i bez stresu.

Tej jesieni był też jakiś czas w szpitalu. Jak zwykle, najczęściej z rodzeństwa odwiedzała go Basia. Słów „jak zwykle” nie użyłem w tym miejscu przypadkowo. Jak zwykle było jak zwykle. Basia nie tylko jak zwykle najczęściej z nas go odwiedzała, ale też jak zwykle najczęściej się z nim kłóciła. Ona wywaląca mu wszystko „kawa na łąkę” a on nie pozostawał jej dłużny. Kiedy się nie kłócili, opowiadał jej o swoich planach i marzeniach, najczęściej takich nie do zrealizowania. Albo jeszcze gorzej. Często planował rzeczy, których wykonanie graniczyło w jego sytuacji z samobójstwem²⁰⁴. Takim pomysłem był plan wyjazdu do Mrągowa, do przyjaciółki, w której był do końca swoich dni bardzo zakochany. Chyba jednak tylko jednostronnie. Ona tego chyba nie odwzajemniała. Nie wiem...Spuśćmy na to zasłonę milczenia.

Ja mogę milczeć. Basia nie. Opowieści Zygmunta o nierealnych planach kończyły się na ogół kolejną kłótnią. W ten sposób jedna z wizyt Basi w szpitalu, podczas której Zygmunt opowiedział jej o planach dłuższego wyjazdu do Mrągowa, weszła do annałów rodzinnych, jako najkrótsza wizyta w szpitalu. On powiedział jej, co planuje. Ona powiedziała mu bardzo dobitnie(!!!), co o tym myśli, on jej w swoim stylu odpowiedział i na tym wizyta się zakończyła.

Nie znaczy to jednak, że Basia nie odwiedziła brata następnego dnia. Wizyta skończyła się podobnie, ale kto się czubi ten się lubi... Ona jak zwykle wytłumaczyła mu w prostych (i dość dosadnych) słowach swoje stanowisko. Miała rację. Lecz on i tak, jak zwykle, zrobił swoje... Zrobił swoje, czyli mimo swojego stanu zdrowia, pojechał do przyjaciółki(?) Bożenki do Mrągowa. Oponowaliśmy wszyscy. Zarówno my, rodzeństwo i jego dzieci. Zygmunt jednak zawsze miał jak zawsze inne niż my podejście do rzeczywistości i pojechał.

Miał wrócić na początku stycznia, bo od 15 zaplanowano mu chemioterapię. Wrócił jednak wcześniej. Stan jego pogorszył się na tyle, że sam zdecydował się wrócić do Niemiec jeszcze przed sylwestrem. Czuł się wtedy już bardzo źle, bo zarezerwował sobie w autobusie dwa miejsca siedzące. Mam żal do jego Bożenki, że widząc, w jakim on jest stanie, nie towarzyszyła mu w tej podróży. Od niej, jako jego przyjaciółki i jako zawodowej pielęgniarki miał prawo tego oczekiwać. Na pewno nic by to nie zmieniło, lecz jednak...

Nas, jak zwykle, nikt nie powiadomił o nagłym pogorszeniu jego stanu zdrowie i o jego wcześniejszym powrocie do Bielefeld. Dopiero, kiedy w sylwestrowy wieczór stracił przytomność, jego córki powiadomiły mnie o tym. Natychmiast zadzwoniłem do Basi i do Sabiny. Marian już wiedział, chyba Agnieszka do niego zadzwoniła.

Marcin zawiózł mnie do szpitala. Zygmunt nie odzyskał już niestety przytomności i nie mieliśmy możliwości, by się z nim pożegnać. Zmarł szóstego stycznia. Basia i jego córki czuwała przy nim do końca... Jego pogrzeb odbył się 10 stycznia, dokładnie w dniu urodzin Mariana. Niezbadane są wyroki...

Pogrzeb.

Śmierć Zygmunta dotknęła mnie bardzo. Dużo bardziej niż mogłem się tego spodziewać. Wspominałem już, że nigdy nie byłem z nim zbyt blisko związany, że związki nasze były raczej luźne. Okazuje się, że nie do końca. Do dzisiaj bardzo źle radzę sobie z

²⁰⁴Naturalnie, było to w pewnym sensie skutkiem ubocznym tego, że Zygmunt nie znalazł rzeczywistego przebiegu choroby i swojego stanu zdrowia. Mimo to, nadal uważam decyzję Anety i Agnieszki o ukrywaniu tego przed nim, za najlepszą, jaką można było podjąć w tej sytuacji.

jego śmiercią. Im więcej czasu upływa, tym gorzej. Nawet teraz, kiedy piszę ten tekst, kiedy minęło już kilka lat, muszę od czasu do czasu przetrwać, bo nie da się o tym tak normalnie pisać... Niby nic, a łzy same płyną po policzkach. Nie wiem, dlaczego... Dlatego piszę ten tekst najczęściej nocami. Nie mam wtedy widzów i nie muszę się tłumaczyć.

Zaczął się wszystko już na pogrzebie. Odbył się on w Bielefeld, na cmentarzu w Brake, gdzie pochowani są też ciocia i wujek Czychowscy, ich synowa Ruth i nasza mama. Uroczystość celebrował polski ksiądz. Zamiast pożegnać Zygmunta, opowiadał jakiś koszmarny bzdury. Podzielili świat na wierzących i niewierzących i przede wszystkim zajęli się straszeniem niewierzących, że ich życie jest bez sensu... W pewnym momencie chciałem wstać i pożegnać brata tak, jak na to zasłużył. Serdecznie i po bratersku. Marcin i Asia powstrzymali mnie, bo pewnie nie wiedzieli, czy przy okazji nie „przejadę się” po bajdującym głupoty księdzu. Szkoda.

Na pogrzebie była też Bożenka i wielu znajomych Zygmunta. Takich z jego czasów mrągowskich, ale i takich z czasów niemieckich, czyli ludzi, którzy wiedzieli, kim był i co było dla niego ważne. Tymczasem ksiądz przypominający swoją przemową dawnego wiejskiego klechę, który za cel swojego posłannictwa uważał jedynie straszenie parafian piekłem, nie wiedział i nie umiał powiedzieć o Zigmuncie nic. On nie przyszedł tam, by pożegnać Zygmunta. On przyszedł tam postraszyć zebranych nad grobem żalobników. Głównym sensem jego przemówienia²⁰⁵ był sens życia. Ale nie ten w znaczeniu filozoficznym, nad którym należy pochylić skroń, który należy przemyśleć i wyciągnąć wnioski. Nie. Ksiądz wiedział wszystko. Był wyrocznią i należało się tylko zastosować. Wyjaśnił zebranym, że życie wierzących ma sens, bo są wierzącymi. Życie niewierzących nie ma sensu. Absolutnie żadnego sensu.²⁰⁶ O Zigmuncie nie było prawnie nic. Żadnych ciepłych słów, żadnego pożegnania. Tylko tyle, że on już jest po drugiej stronie.

Do dzisiaj żałuję, że jednak nie wstałem i nie pożegnałem Brata. Tak po prostu. Ciepło, spokojnie, po bratersku. Ja, jego młodszy brat, byłbym w tym miejscu roli na pewno dużo lepszą osobą niż ksiądz, który nie miał najmniejszego pojęcia o człowieku, którego miał pożegnać.

Wiedziałem nawet, co chciałem wtedy Zigmuntowi powiedzieć. Zigmuntowi i innym. Tym, którzy przyszli go pożegnać. Nawet jego Bożence, do której zadra w moim sercu za niedowieszenie Zygmunta do Niemiec zawsze pozostanie. Do dzisiaj, kiedy jestem na cmentarzu, tak jak wtedy podczas pogrzebu, mówię mu to w myślach. Mam nadzieję, że on to tam, gdzieś na górze słyszy i rozumie.

Nie zrobiłem tego jednak, a szkoda. Z drugiej strony, nie wiem, czy poradziłbym sobie z tym i był w stanie przekazać wszystko, co kłębiło mi się w myślach. Tym bardziej, że było to niespełna dwa lata po śmierci mamy, a między jej i jego grobami są tylko trzy obce groby.

Dzisiaj ciągle jeszcze nie umiem sobie z tym wszystkim poradzić i jest z tym coraz gorzej. Czas nie goi jednak wszystkich ran, czasami je pogłębia. Tym niemniej postanowiłem spisać to, co chciałem wtedy wyrazić, a zabrakło mi po temu sił i odwagi.²⁰⁷

²⁰⁵Przemówienia, nie kazania czy pożegnania. Pożegnanie czy też kazanie brzmi inaczej.

²⁰⁶Kilka lat później papież Franciszek powiedział: „Jezus przytuli nawet niewierzących!” oraz „Nawet ateści będą zbawieni. Wszyscy mamy obowiązek czynienia dobra.”

²⁰⁷Ta sama sytuacja dotknęła mnie podczas pogrzebu Wólfa, brata mamy. Był naszym wujkiem, lecz wojna i inne sytuacje rodzinne spowodowały, że wychowywała go siostra, czyli nasza mama. Rocznik 1939, czyli niewiele starszy od nas. Od Zygmunta 9, ode mnie 12 lat. Wychowywał się razem z nami jak nasz starszy brat, i za takiego go zawsze uważaliśmy. Może nie każdy to

Zygmunt, braciszku. Jesteś już po drugiej stronie. Tam, gdzie już nic nie boli i wszelkie troski dnia codziennego nie mają żadnego znaczenia. Ciebie to już nie dotyczy.

Jak Cię znam, siedzisz pewnie za jakąś chmurką i patrzysz na nas. Zastanawiasz się, czym nas znówu zaskoczyć i jaką kolejną „z życia wziętą historyjkę” opowiedzieć by poprawić nam humory i rozjaśnić nasze poważne miny. Wszystkie Aniołki muszą się też nastawić na nowy rodzaj „niebiańskich opowieści”, bo one będą teraz nowymi słuchaczami twoich historyjek.

Nie zapomnij o nas. My też będziemy o Tobie pamiętali. My zebraliśmy się tutaj, aby Cię pożegnać, a nie rozpatrywać kwestii, które życie ma sens, a które nie. My wiemy, że każde ma sens. Inaczej by go nie było. A kto jest za mały, by to zrozumieć, nie powinien zabierać głosu.

Powiem Ci Zygmunt po prostu. Dla nas, dla wszystkich tych, którzy tu przyszli aby Cię pożegnać, będziesz żył nadal. Będziesz żył w naszej pamięci i w naszych wspomnieniach. W Twoich historyjkach, które nam tak chętnie opowiadałeś i w Twoim humorze, którego Ci nigdy nie brakowało. Zawsze, kiedy nam będzie źle, wspomnimy jedną z Twoich historyjek i z pewnością za chwilę zaświeci nam słońce. Czy to będzie historyjka o komunistach, którzy orzełkowi ukradli koronę, czy też ta o języku enerdownskim, czy też ta o Kaliningradzie – Królewcu. Nieważne. Tymi historyjkami będziemy wspominać Ciebie. Ty będziesz wówczas z nami, a my będziemy głęboko w naszych sercach słyszeli gdzieś tam u góry Twój trochę żartobliwy i trochę kpiący śmiech...

Żegnaj Braciszku...

Z życia wzięte. Zygmunrowskie opowieści.

Aby zachować w pamięci opowiadane przez Zygmunta „historyjki z życia wzięte”, spiszę w tym miejscu te z nich, które zapamiętałem. Zmieniały się one z biegiem lat, zatem moja ich interpretacja nie musi być do końca zgodna z tym, co zapamiętali inni. Natomiast fakt, że historyjki te zmieniały się z biegiem lat nie oznacza, że były nieprawdziwe. Na początku każdej z nich był jakiś fakt, jakieś zdarzenie. Wokół niego narastała historia. Potem każda z opowieści zaczynała żyć własnym życiem...

Dolina bez wyjścia.

Ta historia zaczęła się jeszcze w szkole podstawowej. Zygmunt rzadko ją opowiadał, szczególnie od czasu, kiedy urodziła się Aneta, a potem Agnieszka. Trudno przecież przyznać się dzieciom, jakim się w szkole było ancymonkiem.

Chodziliśmy z Zygmuntem do tej samej podstawówki. Była to tzw. Szkoła Ćwiczeń nr 5 na ulicy Lenina (teraz Mrongowiusza). Do szkoły należał też mały budynek po drugiej stronie boiska, zwany, chyba ze względu na odległość do budynku głównego szkoły, Kamczatką. Na parterze była tam pracownia przedmiotu „prace ręczne”, potem zwanego „zajęcia praktyczno-techniczne”, a na piętrze uczyli się najstarsi, czyli siódma

zrozumie, ale kto wtedy żył, będzie wiedział, o co chodzi. Socjalizm i niemieckie pochodzenie spowodowały, że został alkoholem i to zmarnowało mu życie. Zmarł mając zaledwie 65 lat. Marcin zawiózł mnie na jego pogrzeb do Olsztyna. Był luty, trzaskający mróz. Na cmentarzu staliśmy w kilka zaledwie osób nad jego otwartym grobem. Pastor prosił, żebym powiedział kilka słów na pożegnanie. Wiedziałem i do dzisiaj wiem, co powinienem wtedy powiedzieć, ale nie potrafiłem. Pożegnaliśmy go w milczeniu, a ja w myślach przestałem mu słowa pożegnania. Do dzisiaj często o nim myślę, i tak jak wtedy, podczas pogrzebu, w myślach przestałem mu słowa pożegnania i najróżniejsze wspomnienia. Mam nadzieję, że on to tam, gdzieś na górze słyszy i rozumie.

klasa. Po dojściu do siódmej klasy, uczył się na Kamczatce również Zygmunt. W dodatku całe dwa lata. Czasami żartowaliśmy sobie z niego, że spędził dwa lata na Kamczatce²⁰⁸ i to wcale nie dobrowolnie. Był to jak na tamte czasy żart bardzo niebezpieczny, więc częściej, chcąc mu trochę dokuczyć pomijaliśmy Kamczatkę i żartowaliśmy, że spędził dwa lata w dolinie bez wyjścia.

Autorem tego żartu był pan Tułodziecki, ojciec mojego kolegi z klasy, Andrzeja i jednocześnie nasz nauczyciel. Nie dość, że uczył nas kilku kluczowych przedmiotów, to jeszcze był wredny, a przynajmniej my go za takiego uważaliśmy. Mnie uczył prac ręcznych (potem zajęć praktyczno-technicznych), geografii, fizyki i chemii. Była to prawie połowa „poważnych” przedmiotów, jakich nas nauczano. Wystarczyło na jednym z tych przedmiotów się nie najlepiej popisać by mieć przegwizdane na wszystkich. Dlatego nie był to ani nasz, ani naszych szkolnych kolegów ulubiony nauczyciel. Nazywaliśmy go złośliwie „Łysy” i nie wynikało to z jego bujnej czupryny. Wynikało to raczej z faktu, że nic mu tak dobrze w życiu nie wyszło jak włosy. Mimo to z Andrzejem, jego synem byliśmy kumplami przez cały okres podstawówki. Potem nasze drogi się rozeszły i dzisiaj nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.

Zygmunt nie znosił Łysego z wzajemnością wzrastającą z roku na rok. Doszło do tego, że w siódmej, ostatniej klasie już nawet nie udawał, że interesuje go cokolwiek, co mówi nauczyciel, i na jego lekcjach namiętnie czytał pod ławką książki. Trzeba wiedzieć, że Zygmunt zawsze chętnie i dużo czytał. Najczęściej były to książki historyczne ze szczególnym uwzględnieniem Drugiej Wojny Światowej. Nie stronił jednak i od innej literatury, a w dzieciństwie pasjonował się książkami przygodowymi. Nieobce mu były książki Alfreda Szklarskiego z serii „Przygody Tomka...”²⁰⁹, a niezwykle przygody Winnetou²¹⁰ i Old Shatterhand’a²¹¹ Karola Maya należały do standardów, o których dyskutowało się z chłopakami na przerwie czy też wieczorami na codziennych spotkaniach chłopaków z ulicy. Te książki znał każdy. Nie zapominajmy, że był to okres przed telewizyjny. W tym czasie takie książki zastępowały nam telewizję. Mało tego. Niejednokrotnie odtwarzaliśmy ciekawsze bitwy czy zasady indiańskie w plenerze. Dzieliłiśmy się na grupy. Jedna grupa była grupą tych dobrych, czyli Indian i niektórych białych. Drugą była grupą tych złych, czyli bandytów. Jasne, że wszyscy chcieli być tymi dobrymi i wygrywać. Niestety, grą zawsze kierowali starsi chłopcy i oni wybierali te role dla siebie. Była w tym też jakaś prawdziwość. Nas, gówniarzy, łatwiej było pokonać, więc wygrywali zawsze Indianie i spółka. Ten sposób oddawaliśmy hołd sprawiedliwości.

Sama gra była bardzo prosta. Określaliśmy krótko, która bitwa czy zasadzka będzie odtwarzana, w jakim terenie będą się toczyć działania wojenne (ulice od...do, nad

²⁰⁸ Kamczatka – półwysep w azjatyckiej części Rosji. Rozdziela Morze Ochockie i Morze Beringa[1]. Jego powierzchnia wynosi około 370 tys. km² (wraz z przylegającym fragmentem części kontynentalnej i Wyspami Komandorskimi i Karagińskimi – ok. 470 tysięcy km²). Zamieszkały przez około 400 tys. osób. Ludność stanowią głównie Rosjanie, Koriacy i Itelmeni. Głównym miastem jest Pietropawłowsk Kamczacki[1] (195 tys. mieszkańców). Obszar wchodzi w skład kraju Kamczackiego (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Kamczatka>). W czasie rozbiorów Kamczatka była jednym z miejsc zsytki polskich patriotów. (Przyp. mój)

²⁰⁹ Alfred Szklarski (ur. 21 stycznia 1912 w Chicago, zm. 9 kwietnia 1992 w Katowicach) – polski pisarz literatury młodzieżowej. Publikował także pod pseudonimami Alfred Bronowski, Fred Garland, Aleksander Gruda, Alfred Murawski (w czasie okupacji). Był autorem wielotomowego cyklu o przygodach Tomka Wilmowskiego. (Źródło: pl.wikipedia.org)

²¹⁰ Winnetou – tytułowy (fikcyjny) bohater powieści niemieckiego pisarza Karola Maya oraz kilku innych jego przygodowych opowieści. Syn wodza Inncy Czuny. (Źródło: pl.wikipedia.org)

²¹¹ Old Shatterhand (Grzmocąca Ręka) – postać literacka, jeden z głównych bohaterów książek Karola Maya (alter ego pisarza). Jego przygody opisywane są m.in. w powieściach: Winnetou, Old Surehand, "Boże Narodzenie", "Szatan i Judasz", Old Shatterhand (Syn Łowcy Niedźwiedzi), Skarb w Srebrnym Jeziorze, Czarny Mustang, Upiór z Llano Estacado. (Źródło: pl.wikipedia.org)

jeziorem od pomostu przy... do łodzi..., albo w parku pod wieżą itp.) i mogliśmy zaczynać. Najpierw ruszała pierwsza grupa, czyli ta, która miała zostać napadnięta. Po ściśle określonym czasie ruszała grupa napadających, rozsyłając po drodze zwiadowców, bo teren działania był na ogół dość duży. Należało znaleźć i zaatakować uciekających, a nikt nie wiedział gdzie się znajdują, stąd aktywność zwiadowców. Potem, sprawiedliwie mieli wygrać ci dobrzy. Dokładnie tak, jak to opisał autor w odtwarzanej właśnie książce. Nic dziwnego, że czytanie książek było w tym czasie „na topie”. Kto nie czytał, nie mógł się z nami bawić. Nie znał przecież scenariusza zabawy. Scenariuszem była przecież powieść.

W tym miejscu chciałbym rozwiać mit, że to telewizja winna jest temu, że ludzie przestali czytać książki. Być może gdzie indziej, ale nie u nas na Banditenstrasse²¹². U nas winowajcą było kino. Opisany wyżej „przymus” czytania książek skończył się po premierze filmu „Krzyżacy”²¹³. Wtedy to nasze indiańskie do tej pory podchody zastąpiły sceny z „Krzyżaków”, których każdy z nas obejrzał w kinie. Niektórzy nawet po kilka razy. Zabawy „w Krzyżaków” wymagały wprawdzie więcej zachodu, ale nastała na nie moda i nie było odwrotu. Niejedna matka nie mogła doliczyć się w domu prześcieradeł czy też aluminiowych garnków średniej wielkości i złorzeczyła, co niemiara. Nikt z domowników nigdy nie wiedział, co się z nimi stało. Jednakże podczas kolejnych odtworzeń bitwy pod Grunwaldem chłopcy w cudowny sposób ubrani byli w białe krzyżackie płaszcze zrobione z cudownie odnalezionych prześcieradeł, a głowy ich połyskiwały aluminiowymi hełmami do złudzenia przypominającymi zaginione wcześniej rondle czy durszlaki. Czytać jednak nikt nie musiał. W ten sposób jedyna udana akcja komuny, czyli wprowadzenie książek pod strzechy upadła. Książki znowu się spod wielu strzech wycofały...

Wróćmy jednak do Zygmunta. Nie lubił on Łysego, oj nie lubił. W dodatku było to nielubienie wzajemne, co z perspektywy czasu mogę zrozumieć. Łysy próbował go zmusić do nauki poprzez coraz częstsze odpytywanie i sprawdzanie zadań domowych, a Zygmunt doszedł do wniosku, że skoro i tak nie zda, to po co się uczyć. Lepiej poświęcić się czemuś miłszemu. Wolał czytać książki. Spokojnie i cicho. Tak, by nie przeszkadzać nauczycielom czytał na wszystkich lekcjach pod ławką książki, a szczególnie tych prowadzonych przez Tułodzieckiego. Nauczyciele myśleli, że jest taki zajęty, bo się w końcu zaczął uczyć. A on czytał. Wpadł u Tułodzieckiego, kiedy czytał powieść „Dolina bez wyjścia”²¹⁴. To była dla Łysego gratka i używanie. Nabijał się z Zygmunta do końca roku szkolnego: „Oj, jesteś w dolinie bez wyjścia i już z niej nie wyjdiesz. Przesiedzisz w niej następny rok szkolny...” Tak się też stało. Łysy uziemił Zygmunta na drugi rok w siódmej klasie, a dolina bez wyjścia znalazła się na kilka lat w codziennym słowniku uczniów i nauczycieli ćwiczeniówki²¹⁵. Nie zdać do następnej klasy nazywało się od tej pory „pozostać w dolinie bez wyjścia”...

²¹² Banditenstrasse opisałem w innej części tych memuarów.

²¹³ Krzyżacy – polski film historyczny z 1960 roku oparty na powieści Henryka Sienkiewicza pod tym samym tytułem. Oficjalna premiera filmu odbyła się 2 września 1960, mimo że jego pierwszy publiczny pokaz miał miejsce 15 lipca 1960 (w 550. rocznicę bitwy pod Grunwaldem) w łódzkiej Hali Sportowej, zaś oficjalna prapremiera odbyła się 22 lipca 1960 w Olsztynie. (Źródło: pl.wikipedia.org)

²¹⁴ Dolina bez wyjścia: przygody podróżników w Himalajach. Autor Thomas Mayne Reid (ur. 4 kwietnia 1818, zm. 22 października 1883) – pisarz amerykański, pochodzenia irlandzkiego. Od 1840 przebywał w Stanach Zjednoczonych. Brał udział w wojnie z Meksykiem. Napisał kilkadziesiąt powieści przygodowych z życia Indian i pierwszych osadników na Dzikim Zachodzie. Akcja innych jego powieści rozgrywa się w Meksyku, Himalajach i Południowej Afryce. (Źródło: pl.wikipedia.org)

²¹⁵ Szkoła Ćwiczeń na 5 w Mrągowie

O tym, jak Zygmunt (nie) rozmawiał po enerdowsku.

Zygmunt, tak jak i ja był dzieckiem dwujęzycznym. W dzieciństwie rozmawialiśmy zarówno po polsku jak i po niemiecku. Po niemiecku w domu, po polsku poza domem. W sumie to on powinien znać niemiecki lepiej, niż ja. Kiedy skończyliśmy w domu mówić po niemiecku, on miał 10 lat, a ja tylko siedem. Potem, przez wiele lat nie rozmawialiśmy w tym języku, ale słyszeliśmy go niemal codziennie. Najczęściej w domu, kiedy nasza mama rozmawiała ze swoimi koleżankami. Nie mieliśmy żadnych problemów ze zrozumieniem tego języka. Gorzej było z mówieniem. Wiem to z własnego doświadczenia. W 1979 roku prowadziłem spływ kajakowy rzeką Drwęcą z Ostródy do Torunia. Po trzech tygodniach i wielu (kajakowych, nie lingwistycznych) przygodach dotarliśmy do Torunia. Tutaj planowaliśmy pozostać trzy dni. Rozbiliśmy obozowisko na prawym brzegu Wisły, w zaroślach niedaleko mostu, naprzeciwko Starego Miasta. Miejsce to było niezłe, ponieważ dojście od strony mostu do obozowiska wiodło przez chaszcze i wertepy, więc było zabezpieczone przed ciekawskimi. Jednocześnie mieliśmy cudowny widok na starówkę i spacer do niej nie był zbyt daleki. Najpierw trochę przez wertepy, potem już tylko most i starówka. Wspaniała baza wypadowa, z której korzystaliśmy bez opamiętania. Zwiedzaliśmy miasto, jak to się mówi, rano wieczór i w południe.

Zgodnie z tym hasłem, zaraz pierwszego dnia, a tak naprawdę to już nocą, po kolacji i wieczornym ognisku rozstawiliśmy w obozowisku warty i ruszyliśmy „w miasto”, na nocne zwiedzanie. Nie trwało to jednak zbyt długo, bo zaraz na początku trafiliśmy na starówce na dwoje całkowicie pogubionych młodych ludzi, którzy próbowali zagadać do nielicznych już o tej porze dnia, a właściwie nocy, przechodniów. Podeszli i do nas. Byli to Niemcy, Martina i Rudiger, studenci z Göttingen. W ramach zaplanowanej na te wakacje życiowej przygody zwiedzania dzikich krajów przyjechali starym „garbusem”²¹⁶ zwiedzać Polskę, o której nie mieli najmniejszego pojęcia. Właśnie dojechali do Torunia i szukali miejsca na nocleg, a tu ani widu, ani słyhu o jakimkolwiek kempingu czy też polu namiotowym. Szczególnie o takim, które zbliżone byłoby do standardów, znanych im z Niemiec. Byli przygotowani na nocowanie w namiocie i szukali w Toruniu miejsca na jego rozbicie.

Wtedy to, po dwudziestoletniej przerwie w praktycznym używaniu języka niemieckiego, musiałem ten język nie tylko rozumieć, ale też użyć go w mowie. Nie było to proste. Było to raczej bardzo skomplikowane. Do tej pory uważałem, że znam ten język całkiem niezłe, bo rozumiałem wszystko, więc z mówieniem też nie będę miał większych problemów. Niestety, miałem. W dodatku ogromne. Każde słowo przychodziło bardzo powoli, gdzieś tam z tyłu głowy, z najdalszych zakamarków pamięci. Do moich wyczynów lingwistycznych dołożyłem „mowę” nóg, rąk i całego ciała. W ten sposób udało mi się zaprosić nowopoznanych obcokrajowców do rozbicia namiotu na naszym dzikim obozowisku. Był to początek naszej wieloletniej przyjaźni. Nie widujemy się zbyt często, ale od czasu do czasu telefonujemy. Teraz, po prawie czterdziestu latach, całkiem niezłe mówię po niemiecku. Wiem też, dlaczego wtedy Rudi i Martina tak się na każdym kroku dziwili.

²¹⁶Garbus - Volkswagen Typ 1, szerzej znany jako Volkswagen Beetle czy też Volkswagen Garbus – kompaktowy samochód osobowy produkowany przez niemiecką markę Volkswagen (VW) w latach 1938-2003. Z ponad 21 000 000 wyprodukowanymi egzemplarzami w konfiguracji: chłodzony powietrzem silnik umieszczony za osią tylną z napędem tylnym, Garbus był najdłużej i najliczniej produkowanym modelem samochodu w historii motoryzacji. Łącznie wyprodukowano 21 529 464 egzemplarzy modelu, (z czego 15 444 858 w Niemczech – w tym 330 251 kabrioletów, około 3 350 000 w Brazylii). (Źródło: pl.wikipedia.org)

Mieszkam od dwudziestu kilku lat w Niemczech i wiem, jaki to był dla nich szok kulturowy. Niemniej, byli oni potem w Polsce kilka razy, zawozili tam nawet swoich znajomych i do dzisiaj bardzo te wyprawy lubią i często wspominają.

Wracając do Zygmunta i do jego języka niemieckiego sędzę, że miał on te same problemy, które ja miałem w Toruniu. Rozumiał wszystko doskonale. Nieraz widywałem go, jak oglądał niemiecką telewizję i nie potrzebował do tego żadnej pomocy i tłumaczenia. Kłopot był z mówieniem, wykręcał się od tego wszystkimi możliwymi sposobami, a najczęściej jakimś żartem albo anegdotą.

Największą część swojego zawodowego życia Zygmunt przepracował jako kierowca w słynnej mrągowskiej Bazie Sportów Wodnych, u Pana Józefa Nowickiego, założyciela i wieloletniego dyrektora Bazy. Chyba lubili się z Nowickim, albo przynajmniej nie umieli bez siebie funkcjonować. Zygmunt niejednokrotnie podpadał swojemu ulubionemu dyrektorowi, najczęściej za swoją „niewyparzoną gębę”. Lecz prawdopodobnie były też i inne powody. Po tylu latach możemy jednak spuścić na nie zasłonę milczenia. Nowicki, który też potrafił być raptusem, niejednokrotnie w takich sytuacjach zwalniał Zygmunta z pracy. Zwolnienia te pozostawały niezmiennie bez prawdziwego skutku. Zygmunt siedział dzień albo dwa, a czasami to tylko kilka godzin w domu, potem dzwonił Nowicki i kazał mu się brać do pracy. Za nieprzepracowane dni wypisywali urlop i na tym kończyło się każde kolejne wyrzucenie Zygmunta z pracy. Sprawa była prosta. Oni nie umieli bez siebie funkcjonować, a przynajmniej pracować. Z pracy w Bazie Zygmunt odszedł dopiero mając prawie 60 lat, kiedy zwolniła go Ola²¹⁷ Nowicka, córka i następczyni Józka Nowickiego na stanowisku Dyrektora Bazy.

Pewnego razu Zygmunt prawdopodobnie uratował Nowickiemu życie, albo się przynajmniej do tego przyłożył. Próbowałem kiedyś wyciągnąć z Zygmunta, jak to było, ale na takie tematy on nie rozmawiał. Historię tą opowiedziała mi Bożenka Skórzewska, dyrektorka Domu Dziecka.

Zygmunt miał zawieźć Nowickiego do Warszawy. Przed wyjazdem zajechali jeszcze do stacji paliw Zbyszka Kozdrunia zatankować samochód. W czasie tankowania Zygmunt zauważył, że z Nowickim „coś się dzieje”. Natychmiast rzucił końcówkę dystrybutora i podbiegł do szefa. Próbował go reanimować, ale kiedy zobaczył, że jego zabiegi nie na wiele się zdają, wskoczył do samochodu i zawiózł go do szpitala. Na szczęście, było to bardzo blisko. Lekarze stwierdzili zawał. Dzięki zdecydowanej postawie Zygmunta, jego pomocy i szybkiemu transportowi do szpitala, pacjenta uratowano.

Zadaniem Zygmunta w Bazie było nie tylko wożenie Nowickiego, ale, między innymi, również wożenie łódek po całej Europie i Związku Radzieckim na najróżniejsze regaty. Praca ta polegała na tym, aby na czas dowieźć sprzęt, rozpakować go i pomóc w przygotowaniu go do regat. Potem, aż do końca zawodów panowie kierowcy, poza jednym, dyżurnym mieli czas wolny, czyli czas do dyspozycji własnej. Regaty trwały często tydzień, czasami trochę krócej, ale często i dwa tygodnie. Panowie kierowcy nudzili się setnie, więc po przeczytaniu wszelkich przywiezionych książek i czasopism, zaprzyjaźniali się z panami kierowcami z innych ekip. Potem bywało różnie. Trochę zwiedzania, trochę zakupów, wieczorami nocne kolegów rozmowy, a czasami piwko albo i dwa. Ważne było jednak, aby na czas drogi powrotnej być znowu w pełni sił.

²¹⁷ Mogę pisać o niej „Ola”, ponieważ poznaliśmy się jeszcze w latach sześćdziesiątych w Krzywym, na kolonii Zuchowej prowadzonej przez Bożenkę Skórzewską, Dyrektorkę Domu Dziecka i naszą przyjaciółkę.

Któregoś razu, a było to jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, ekipa Bazy pojechała na regaty do NRD. Zygmunt też się na ten wyjazd załapał. Oczywiście, jako kierowca. Przebieg wyprawy był dla kierowców taki sam jak zawsze. Dowiezenie i rozładowanie łódek, a potem czas wolny. Trochę pozwiedzali, trochę odpoczęli i zaprzyjaźnili się z kolegami kierowcami z NRD. Wieczorami siadali razem, by wypić piwko, a czasami nawet jakiegos sznapsa. Siadywali wieczorami przy tym piwku i opowiadali sobie różne prawdziwe i mniej prawdziwe historie. Ot, jak to zwykle bywa w „takich okolicznościach przyrody”.

Zygmunt, jak to Zygmunt. Czasami potrafił być wodzirejem i przewodzić całemu towarzystwu, innym razem lubił sobie przesiedzieć w kąciku cały wieczór. Patrzył wtedy na swój bardzo specyficzny sposób „bykiem” albo jak twierdzą inni „spod oka” na całe towarzystwo i nic nie mówił. Kto o tym wiedział, nie przejmował się tym specjalnie, kto go nie znał, zaczynał wypytywać czy jest zdrowy i czy dobrze się czuje. Koledzy energowcy nie znali tego Zygmunutowego zwyczaju. Byli bardzo gościnni i bardzo starali się wciągnąć go do wspólnej zabawy.

Takie namawianie działało na Zygmunta jak płachta na byka i doprowadzało go do szewskiej pasji. Wielokrotnie zagadywany gotował się już w środku, ale cały czas zachowywał stoicki spokój. Patrzył na całe towarzystwo coraz bardziej spod oka, był uprzedzająco grzeczny i ani na nikogo z tych „dobrych kolegów” nie warknął, ani nie ewakuował się do pokoju. Nie chciał takim gestem obrazić gospodarzy wieczoru. Jeden z gospodarzy był jednak szczególnie namolny i tłumaczył: „Zygmunt, nie siedź tak sam, choć do nas i baw się z nami. Nie udawaj, że nas nie rozumiesz, przecież pochodzisz z Mazur, z Ostpreußen, więc musisz znać język niemiecki...” “Zygmunt wkurzył się ostatecznie i postanowił radykalnie zniechęcić namolnego pana do dalszej konwersacji: „Masz rację. Niemiecki znam, ale energowskiego mnie nikt nie nauczył!!!” Gospodarze nawet nie wiedzieli, dlaczego tak szybko zrozumieli, co powiedział Zygmunt. Zrozumieli, bo on im to powiedział po niemiecku. W „danych okolicznościach przyrody” nikt jednak tego nie zauważył i panom energowcom wydawało się, że tak dobrze opanowali przez te kilka dni język polski...

W każdym razie, prawie obrażeni panowie dali mu spokój, a on mógł sobie posiedzieć spokojnie w kąciku do końca spotkania.

O orzelku bez korony, litewskiej Babci i komunistach.

Innym razem, było to już w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, ekipa Bazy pojechała na regaty w głąb Związku Radzieckiego. Zygmunt też się na ten wyjazd załapał. Oczywiście, jako kierowca. Przebieg wyprawy był dla kierowców taki sam jak zawsze. Dowiezenie i rozładowanie łódek, a potem czas wolny. Po regatach spakowanie łódek i zawiezenie ich z powrotem do Bazy. Droga wiodła tym razem przez Litwę. Była to jeszcze ta stara, uciemiężona przez Rosję i komunizm Litwa, a nie ta wolna, dzisiejsza, należąca do Unii Europejskiej. Tę różnicę trzeba znać, aby właściwie zrozumieć przygodę, jaka spotkała Zygmunta na jednym z leśnych, przydrożnych parkingów. Winien był jak zawsze ten sam Bohater, a tak właściwie to jego niewyparzony język.

Najpierw przypomnijmy sobie jednak ówczesną rzeczywistość. Były to lata najgłębszego i najciemniejszego komunizmu. Handel i jakikolwiek objaw samodzielności był bardzo niemile widziany. Objaw samodzielności, który prowadził do bezpośrednich kontaktów obywateli dwóch różnych, chociaż podobno zaprzyjaźnionych krajów, był skrajnie

nieodpowiedzialny i prawie, jak wynikało w ówczesnej propagandzie, stawiął pokój między Demoludami²¹⁸ i Resztą (naturalnie tą gorszą i agresywną) Świata pod znakiem zapytania.

Niewiele ludzi podróżowało w tak zorganizowanym świecie. Na teren Litwy, czyli Związku Radzieckiego można było wjechać jedynie za specjalnym pozwoleniem. Prywatnie jego zdobycie było prawie niemożliwe. Służbowe pozwolenie można było otrzymać częściej.

Drogi też były inne niż dzisiaj. Ich jakość pozostawiała wiele do życzenia, a parkingami były na ogół co nieco utwardzone płacyki obok jezdni. Za obiekty sanitarne służyły okoliczne zarośla, więc parkingi leśne miały w tych czasach większe powodzenie, niż te w terenie odkrytym. Był też drugi aspekt wyższości parkingów leśnych nad innymi. Była to możliwość szybkiego pojawienia się „znikąd” i równie szybkiego zniknięcia. Naturalnie nie chodzi tu o znikanie podróżnych, lecz „tubylców”, którzy nagle i niespodziewanie pojawiali się na takim parkingu, by trochę pohandlować, a w razie policyjnych akcji zniknąć równie szybko, jak się pojawili.

Jak już wspominałem, podróżnych, szczególnie na Litwie, było owego czasu niewiele. Szczególnie tych międzynarodowych, a tylko z takimi opłacało się pohandlować. Jeżeli już się jakiś pojawił, był to na ogół, ktoś w podróży służbowej, tak jak Zygmunt. Inaczej było na Ukrainie. Tam wiodły szlaki tranzytowe z Polski na Bałkany i wielu Polaków pokonywało je nie w celach turystycznych, lecz by pod ich płaszczykiem pohandlować. Poza tym, to, czego nie udało się sprzedać na Ukrainie można było sprzedać w Rumunii lub Bułgarii. Tam też należało kupić artykuły na handel w drodze powrotnej i w Polsce. Dla naszej historii nie ma to jednak większego znaczenia. Znaczenie ma jednak fakt, w tych czasach należało poruszać się tylko po wyznaczonych szlakach. W innym przypadku można było wpaść w kłopoty z radziecką władzą. Zabronione też było nawiązywanie jakichkolwiek kontaktów z tubylcami, dlatego też miejscowe leśne parkingi były bardzo ważne. Tym bardziej ważne, że Polacy na ogół przestrzegali pierwszej zasady podróżowania po Związku Radzieckim, czyli zasadę nie opuszczania wyznaczonych szlaków. Drugiej zasady, czyli zasady nie nawiązywania kontaktów z miejscową ludnością nie przestrzegali nikt. Należało przecież sprzedać i kupić, bo bez tego podróż się „nie opłacała”. Kto zaś nie potrafił na takiej podróży zarobić, był w Polsce uważany za pokrzywdzonego umysłu. Ja, niestety, należałem do nich...

Należy tu też nadmienić, że za nieprzestrzeganie wymienionych tych i paru innych, mniej ważnych, zasad, można było zostać przymusowo i natychmiastowo wydalonym z Kraju Rad do żywotnym zakazem ponownego tam wjazdu.

Zakazy zakazami, a życie życiem. Handel kwitł na wszystkich dostępnych szlakach Związku Radzieckiego, bo nie ma życia bez handlu. Handel pomaga żyć i podwyższa jakość życia. Jednak, aby nie dać się na tym niecnym i nielegalnym w tych czasach proce-

²¹⁸Demoludami zwano popularnie krajów bloku wschodniego. Oficjalna nazwa brzmiała „Kraje Demokracji Ludowej” lub obóz KDL (Krajów Demokracji Ludowej). Obóz ten w odróżnieniu od wszystkich innych krajów Świata zawsze walczył o pokój i wyższość socjalizmu. (Nad czym? - Tego nigdy nie zdołałem się dowiedzieć.) W każdym razie my, którzy sami siebie nazywaliśmy trochę przekornie a trochę złośliwie demoludami, byliśmy „ci dobrzy”, a z całą pewnością „ci lepsi”. Od kogo? Tego pytania nikt nie stawił. To wszyscy powinni i tak wiedzieć, że od tych gorszych, czyli kapitalistów i burżujów z zachodu i reszty świata (za wyjątkiem Kuby), którzy nic innego w tych czasach nie robili, tylko stali z nożami w zębach na naszych granicach i dybali na naszą wolność i socjalizm. My, szarzy obywatele już wtedy zaszczerpiony mieliśmy gen Europejczyków i omijaliśmy obowiązujące zasady wszędzie, gdzie się dało. Było to coś w rodzaju sportu narodowego, albo i międzynarodowego. Zasada była jedna: ominąć, co się da... Nie bez kozery niektórzy twierdzili, że jeżeli Demoludy są, jak twierdziła oficjalna propaganda, obozem KDL, to Polska jest w tym obozie najweselszym barakiem...

derze złapać, przestrzegano pewnych niepisanych reguł. Kiedy na przydrożny parking wjechał samochód z rejestracją zagraniczną, w tych rejonach najczęściej polską, parking był pusty. Wyglądał jak wymarły. Po kilku minutach, kiedy niewidoczne, aczkolwiek wszędybylskie oczy sprawdziły, że to nie jest prowokacja i samochód naprawdę jest zagraniczny, i że nie ma w pobliżu milicjantów, jak spod ziemi pojawiali się miejscowi handlarze. Wychodzili ze swoich kryjówek i zaludniali parking. Czasami próbowali przejeżdżnym coś sprzedać, najczęściej jednak kupić. Nasi „podróżnicy” byli na to na ogół przygotowani i prezentowali tubylcom zabrane z kraju „chodliwe” na danej trasie towary.²¹⁹

Interesy te były na ogół bardzo korzystne dla obu stron, więc przydrożny handel kwitł sobie bez względu na milicyjne szykany. Jeżeli jednak w pobliżu pojawiała się milicja, zaczynały się scenki, jakby ktoś puścił nakręcony przed chwilą film, ale od tyłu. Tutejsi wyczuwali nadchodzące, najczęściej w postaci milicji, niebezpieczeństwo szóstym zmysłem i znikali jeszcze szybciej, niż się przed chwilą pojawili. Po prostu „zapadali się pod ziemię”. Jeszcze gorzej było, jeżeli jakiś mało uświadomiony podróżny nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni i w jakim kraju się znajduje „wypuszczał z siebie” jakiś komentarz, który można było uznać za polityczny. W oczach tubylców, była to prowokacja. Każdy, kto nawet niechcący coś takiego usłyszał, a nie daj Boże, jeszcze przytaknął albo skomentował, mógł zostać uznany za zdrajcę socjalizmu i wroga państwa. Nawet, jeżeli słyszał to całkowicie przypadkowo i nie było przy tym milicji. Nie tylko ten, który coś takiego mówił, ale przede wszystkim ten, który to słyszał, był w niebezpieczeństwie. Wystarczyło że ktoś, nawet dużo później, doniósł o tym gdzie trzeba, mogło się to skończyć nawet wieloletnim i niekoniecznie dobrowolnym pobytem w jednym z dużo zimniejszych niż Litwa czy Ukraina regionów Kraju Rad.

W taką właśnie sytuację wkręcił Zygmunt, przez swój niewyparzony język poznaną na leśnym parkingu pewną litewską starszą panią, którą dla uproszczenia będę nazywała Babcia.

Zygmunt wracał z regat, gdzieś w głębi Kraju Rad. Droga powrotna wiodła przez Litwę. Jechał już dość długo. Wjechał na leśny parking, by odpocząć. Handel go nie interesował, bo był już w drodze powrotnej i jeżeli nawet coś ze sobą zabrał, to już dawno się tego pozbył. Niemniej procedura zadziałała bezbłędnie. Najpierw pusty parking, potem prawie wesołe miasteczko. Zdziwił się nawet skąd w takiej pustej okolicy wzięto się tyle ludzi. Ponieważ nie miał czym handlować, wdał się w dyskusję z jakąś Babcia. Miło im się dyskutowało. Zygmunt lubił sobie pogadać, a Babcia nieźle mówiła po polsku. Po jakimś czasie trzeba było ruszyć dalej. Na pożegnanie zaprzyjaźniona Babcia poprosiła:

-Panie, dajcie mi na pamiątkę jakiś polski pieniążek. Taki z orzełkiem.

Zygmunt przeszukał kieszenie, znalazł jakąś złotówkę i dał ją Babci. Babcia ze łzami w oczach pięknie podziękowała. Zaczęła oglądać prezent i zdębiała:

-Panie, a co to za orzełek..... Bez korony!?

Zygmunt niewiele myśląc odpalił na tyle głośno, że i inni go usłyszeli:

-Babciu, korony niestety nie ma. Orzełek został, ale koronę podp.....li²²⁰ komuniści!!!”

²¹⁹Istniał cały nieoficjalny i ustnie przekazywany katalog gdzie, kiedy i za ile można kupić, jakie jest „przebiecie” na poszczególnych towarach itp. Fachowcy mieli wszystkie takie dane w jednym paluszku i nie potrzebowali do tego żadnych komputerów. My, jak już wspominałem, należeliśmy do tej nielicznej grupy poszkodowanych umysłowo, którzy nie znali się na takich interesach, wiedziliśmy o tym mniej.

²²⁰W tym miejscu należy wstawić wyraz powszechnie uznawany za wulgarny, ale jednocześnie najdokładniej i najdosadniej określa, że koronę ukradli komuniści.

Gdyby grom z jasnego nieba uderzył w tej chwili w sam środek parkingu, nie spowodowałby większej konsternacji i bardziej panicznej ucieczki, niż te słowa. Najpierw wszyscy zamarli, potem znikli. Jakby się pod ziemię zapadli. W ciągu kilku sekund.

Jak wspominał potem główny winowajca, Zygmunt, nigdy w życiu nie widział tak szybko biegnącej starszej pani...

O obrońcach Königsberg/ Kaliningradu.

Tym razem Zygmunt został zesłany na regaty do Kaliningradu, czyli do dawnego niemieckiego Königsberg. Należy tu wspomnieć, że obwód Kaliningradzki był w tych czasach zamknięty dla turystów, więc pojechać tam było jednak nie lada gratką.

Przebieg wyjazdu był typowy, taki jak zawsze. Najpierw wyładowanie i przygotowanie sprzętu, a potem dni wolne i czekanie na ładunek powrotny, czyli łódki po zawodach. Dwie sprawy była tu jednak inne. Po pierwsze Zygmunt ciekawy był Królewca. Była to przecież stolica Mazur. Po drugie, koledzy kierowcy z Kraju Rad byli bardzo gościnni i gorzałka płynęła strumieniami. Praktycznie, kto nie musiał, czyli nie miał żadnego dyżuru związanego z regatami, praktycznie nie trzeźwiał. Gospodarze, czyli kierowcy rosyjscy, nigdy by na taką plamę na honorze rosyjskiej gościnności nie pozwolili. Należało gościć się z nimi i pić, pić, pić... Po kilku dniach Zygmunt zagadał gospodarzy, by pokazali swoim polskim kolegom miasto.

- Почему бы и нет. (Czemu nie.) - Powiedzieli rosyjscy towarzysze i po suto zakrapianym śniadaniu ruszyli razem ze swoimi gośćmi w miasto.

Jak wspominał potem Zygmunt, było to typowo ruskie zwiedzanie. Mało miasta, dużo historii, ale tylko historii wojennej, czyli przejazd od jednego pomnika do drugiego i od jednego miejsca walki o socjalizm do drugiego. Tu walczył w 1945 generał taki to a taki, a tam walczył pułkownik inny i tak dalej... i tak dalej... Do całkowitego znudzenia. W czasie przejazdu od jednych okopów do innych przerwa na kolejny pomnik i na kolejną buteleczkę gorzałki. Potem znowu jakaś pamiątka II Wojny Światowej i znowu jakaś buteleczka. Po kilku godzinach mojemu wstawionemu już, co nieco, braciszкови znudziło się takie zwiedzanie i postanowił pożartować sobie z gospodarzy. Zagadał „wodza” gospodarzy:

- Служай Ваниа²²¹, ты ми не показуй gdzie walczyli jacyś generałowie. Ты ми покаж, gdzie walczył mój wujek”

Nikt z pijanego towarzystwa nie zapytał, jak nazywa się rzeczony wujek, tylko pojechali do następnego „miejsca pamięci” i opowiadają o następnym rosyjskim bohaterze. Zygmunt był nadal niezadowolony:

- Wania, ja ci już mówiłem, ty mnie zawieź tam, gdzie walczył mój wujek! - Towarzystwo ruszyło dalej. Do kolejnych miejsc, a gość był nadal marudny i niezadowolony. W końcu, na czwartym, albo i piątym postoju ktoś z gospodarzy wpadł na zbawienny pomysł: Może by tak zapytać marudnego gościa, jak się ten jego wujek nazywa? W końcu padło rozstrzygające pytanie:

- Скажи, Зигмунт, как звали твоего дядю? (Powiedz no Zygmunt, jak się ten twój wujek nazywał?)

Zygmunt był bardzo zdziwiony:

²²¹Dla Zygmunta każdy Rosjanin to Wania. Podobnie jak w czasie wojny, dla Niemców każdy Rosjanin nazywał się Iwan a dla Rosjan każdy Niemiec nazywał się Fryc.

- Jak to Wania, to ty nie wiesz jak się mój wujek nazywał?

- Нууу..., не знаю. (Nooo... nie wiem.)

Zdziwienie Zygmunta było coraz większe, a w oczach gospodarza pojawił się strach:

- Ty naprawdę nie wiesz?

- Нет... (Nie...)

- Onkel Fryc²²²!!! (Wujek Fryc!!!)”

Cisza zapadła taka, że gdyby w odległości kilometra pojawił się komar, to byłoby go słyhać. Prawdopodobnie każdy z gospodarzy zastanawiał się, co zrobić, by zdążyć przed innymi zgłosić tą prowokację gdzie należy. Zgodnie z panującymi wtedy w ZSRR zasadami, ten, który doniósł pierwszy jest niewinny, a przynajmniej trochę mniej winny.

Wszyscy wrócili w milczeniu do samochodu i pojechali do hotelu. Rozeszli się w milczeniu i to było ostatnie wspólne świętowanie w czasie tych regat. Jak się to skończyło dla gospodarzy, nie wiem. Może im się udało i żaden z nich nie doniósł, bo wszyscy byli równo umoczeni w kontakty z prowokatorem Zygmuntem i wszystkim groziło to samo. Donosicielowi też. To mogło ich uratować.

Kiedy próbowałem uświadomić Zygmunutowi, że on też mógł tam nieźle wpaść, on stwierdził, że głupie miny gospodarzy warte były tego ryzyka.

O obrońcach Königsberg/ Kaliningradu – 20 lat później.

Od bardzo, jak na tamte czasy, nierozważnego incydentu w Kaliningradzie minęło ponad 20 lat, kiedy życie dopisało do niego niesamowitą i zupełnie niespodziewaną pointę.

Było to już w latach dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia. Mieszkałem wtedy w Herford. Pewnego słonecznego popołudnia siedzieliśmy z ciocią Mietą (Czychowski) w jej ogródku w Brake. Ciocia miała już prawie dziewięćdziesiąt lat i aż do przyjazdu Basi z rodziną, a potem i pozostałych Turków, znała nas tylko z listów. Kiedy przyjechaliśmy do Niemiec, prosiła nas często, by opowiedzieć jej coś o rodzinie z Mrągowa. Opowiadałem to i owo, aż doszło do Zygmunta. Opowiadając o nim, opowiedziałem jej też jego przygodę w Królewcu. W czasie tego opowiadania ciocia coraz dziwniej patrzyła na mnie. Kiedy skończyłem, zapytała: „A skąd Zygmus wiedział, że mój Fryc walczył w Königsberg?”

Wtedy ja zrobiłem duże oczy. Potrzebowałem długiej chwili, by zaskoczyć, o co tu chodzi. Nie, Zygmunt nie wiedział, że wujek Fridrich walczył w Królewcu. Tak jak i my wszyscy. Nie wiedział też, że ciocia nazywała go Fryc, a nie Fridrich. Ona z kolei nie wiedziała, że dla każdego Rosjanina każdy Niemiec był Frycem, tak jak dla każdego Niemca każdy Rosjanin był Iwanem.

Tak to z przedniego, lecz niebezpiecznego żartu, historia ta przerodziła się w rodzinną historię o poszukiwaniu przez Zygmunta śladów rodziny w Królewcu.

O tatarskich niewolnikach.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy w Polsce wybuchła wolność, pierwsze przemiany jak zwykle zaszły w handlu. Nagle pojawiły się na rynku (w pełnym tego słowa znaczeniu: na rynku, czyli na targowisku) artykuły, o których do tej pory można było tylko pomarzyć. Kilka lat później na polskich targowiskach pojawili się

²²² Dla Rosjan każdy Niemiec to był Fryc.

Rosjanie i inni mieszkańcy republik graniczących z Polską. Był to dobry skutek zachodzących tam przemian. Handlarze z przydrożnych litewskich i innych parkingów przenieśli się na polskie targowiska. Również na mraǳowski rynek. Zygmunt lubił tam zaglądać. Niekoniecznie po to, by coś kupić. Bardziej po to, by się rozejrzeć i pogadać, a czasami potargować się. Ot tak, dla sportu i żeby nie wyjść z wprawy. Pewnego razu jak zwykle spacerował po rynku. Któryś ze wschodnich handlarzy zaczepił go i próbował koniecznie mu coś sprzedać. Najpierw było to zabawne, ale potem handlarz stawał się coraz bardziej namolny i agresywny. Koniecznie chciał coś sprzedać. Obojętne mu już było, co. Ważne było, aby sprzedać i nie dać odejść klientowi z pustymi rękami. A jeżeli już nie sprzedać, to przynajmniej zmusić klienta, by coś zamówił. Zamówiony towar przywiezie na pewno w przyszłym tygodniu.

Skoro tylko w ten sposób można było zadowolić sprzedawcę, Zygmunt złożył zamówienie. Zamówił dwóch tatarskich niewolników z dostawą za dziesięć dni. Poważne obstalunek. Sprzedawca zmarkotniał. Pomyślał, podrapał się po głowie i powiedział: -Słuchaj, z tatarskimi niewolnikami, to teraz ciężko. Na razie nie dam rady. Ale gdybyś chciał kupić kałacha i dwa wiadra patronów²²³, to za trzy dni przywieżę...”

Gołdowie.

Gołdowie to rodzina siostry naszej mamy Heleny Gołdy de domo Just. Było ich pięcioro. Hela, jej mąż Tadeusza Gołda i troje dzieci. Najstarsza córka, Danka urodziła się w 1952 roku w Mraǳowie. Jej brat Zbyszek urodził się w 1955 roku w Mraǳowie a zmarł w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w Löhne. Trzecią z rodzeństwa była Jola. Urodziła się w 1958 w Zielonej Górze i tam zmarła mając zaledwie dwadzieścia kilka lat.

Hela i Tadeusz.

Hela poznała Tacka podczas jakiejś podróży na dworcu w Poznaniu. W tym czasie „kręciła” ona wprawdzie z Bernardem (Benkiem) Michnowiczem²²⁴, lecz w czasie wspomnianej tu podróży byli niestety ze sobą pokłóceni. Hela postanowiła Benkowi dokuczyć i umówiła się z nowopoznanym Tackiem. Ten przyjechał na umówioną randkę aż do Mraǳowa i już tutaj został. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna legenda opowiadana mi przez nią osobiście. Ile w tym jest prawdy, nie wiem. Hela miała bujną wyobraźnię i lubiła sobie

²²³Patrony – w tym znaczeniu, naboje do karabinu Kałasznikow 44

²²⁴ Michnowiczowie mieszkali wtedy w najładniej położonym domu w Młynowie, na górze w kierunku Popowa. Widok z niego rozpościerał się aż do Czarnego Lasu (Schwarzwalde) nad Jeziorem Czarnym i do samego Popowa. Latem lubiłem tam chodzić i oglądać niesamowicie piękne widoki. Rodzina składała się z babci, mamy (taty Michnowicza nie pamiętam) i czworga dorosłych dzieci: najstarszej córki, która wyjechała do trójmiasta i chyba była chrześną mamą Zygmunta, ale nie jestem tego pewny. Druga córka to Marianka, pielęgniarka. Wiele lat później razem pracowaliśmy w szpitalu w Mraǳowie. Ona była pielęgniarką na bloku operacyjnym, ja byłem sanitariuszem w pogotowiu ratunkowym. Trzecia, Urszula, pracowała na poczcie w centrali telefonicznej. (Tak, to były jeszcze te czasy, kiedy rozmowy międzymiastowe łączone były ręcznie i czekało się na nie dość długo. Nie wspomnę o rozmowach międzynarodowych, na które czekało się czasami do kilku dni. Były one jednak nie do zapłacenia, więc się ich prawie nie zamawiało. Niemniej nasza znajomość skracala czasami okres wyczekiwania na rozmowę) Wysłała ona za Jurka Datiuka, z którym potem pracowałem potem w Bumarze. Był kierownikiem inwestycji. W latach siedemdziesiątych mieszkaliśmy z Datiukami w jednym domu, w „dziesiątce” na Parkowej, w jednej klatce schodowej. U Datiuków mieszkała wtedy też mama Michnowiczowa i była dodatkową wspaniałą babcią dla naszych dzieci. Oprócz trójki córek był tam jeszcze syn Bernard, z którym kiedyś „kręciła” Hela. Benek był mechanikiem a potem kierowcą autobusu w PKS. Jeździł tylko luksusowymi autobusami na dalekich trasach albo wozził wycieczki. Tam spotykaliśmy się, kiedy pracowałem, jako pilot wycieczek turystycznych. Wspominam go, jako ciepłego, sympatycznego człowieka. Czasami w domu w Młynowie pojawiał się jakiś chłopiec, mniej więcej w moim wieku albo młodszy. Bawiliśmy się razem, ale kto to był, nie pamiętam.

czasem podkolorować. Gdyby te wspomnienia były pisane jej ręką, byłyby z pewnością ciekawsze i bardziej emocjonujące, lecz dużo bardziej oddalone od rzeczywistości.

Hela nie zawsze była gospodynią domową. Kiedyś pracowała z naszą mamą w kiosku - sklepie, który stał naprzeciwko ratusza na ledwo odgarniętych do tyłu, poza skle-

pową budę powojennych ruin. Ruin, na których miejscu wybudowano w zbudowano w późniejszych czasach dom ze znanym powojennym mrągowianom sklepem „1001 Drobiazgów”. Dzisiaj nie bardzo wiem, co się tam mieści, lecz wówczas, jeszcze przed epoką powojennej odbudowy miasta była tam bardzo długa buda - kiosk. Był on przynajmniej trzy razy dłuższy niż inne kioski w mieście i rozciągał się na całej długości ruin, czyli późniejszego sklepu. Były tam trzy okienka, lecz sprzedawało się jedynie przez dwa z nich, ponieważ zatrudniano w nim tylko dwie sprzedawczynie. Moją mamę i ciocię Helę. Bywałem tam od czasu do czasu, lecz niewiele z tego pamiętam, bo miałem wtedy najwyżej 2, 3 lata. Pamiętam jednak, że kiedyś spałem tam w ogromnym (jak na mój ówczesny wzrost) kartonie na paczkach z ciuchami²²⁵, a karton schowany był pod ladą pod nieczynnym okienkiem.



Ta długa „buda” po lewej stronie zdjęcia, to kiosk naprzeciwko ratusza, w którym sześćdziesiąt parę lat temu pracowała nasza mama z Helą, swoją siostrą. Dzisiaj w tym miejscu stoi budynek zwany przez starych Mrągowian „1001 drobiazgów”, od nazwy sklepu, który się w nim przez wiele lat znajdował.

>Początkowo, aż do roku 1957 czy 1958 Hela i Tadek mieszkali w Mrągowie. On był milicjantem a ona, poza krótkim epizodem z kioskiem, wychowywała dzieci. Potem wyjechali do Zielonej Góry. Mieszkała tam mama i dalsza rodzina Tadka, a w niedaleko, w Żarach koło Żagania, była szkoła dla dzieci głuchych. Do tej szkoły chcieli wysłać Dankę.

Zielona Góra nie była jednak dla nich szczęśliwym miejscem. Wprawdzie tam Danką mogła pójść do szkoły i tam urodziła się w 1958 roku Jola, lecz Zbyszek zachorował na chorobę Heinego-Medina, Tadek stracił pracę w milicji a Hela zachorowała na serce. Zmarła w 1968 roku w maju w wieku 38 lat.

Mrągowskie adresy Gołdów. Okropnie straszne drzwi i schody.

Na początku lat pięćdziesiątych Ciocia Hela z rodziną przy ulicy Roosevelta 30²²⁶. W tym samym domu, w którym od 1958 roku mieszkaliśmy my. Nie pamiętam tego mieszkania Heli. Z tych czasów i wizyt u Cioci i Wujka pamiętam tylko jakieś straszne drzwi, po których otwarciu pojawiały się ogromnie długie i strome schody, których okropnie się bałem. Dorośli straszili nas, aby do tych drzwi nie podchodzić, a już na pewno ich nie otwierać, bo pospadamy i się pozabijamy. Strachu przed tymi drzwiami (a przyznaję się do tego po raz pierwszy po ponad sześćdziesięciu latach) pozbyłem się dopiero, kiedy już jako

²²⁵ Był to kiosk typu „mydło, szydło i powidło”, w którym sprzedawano również ciuchy

²²⁶ W latach sześćdziesiątych zmieniono numerację domów i do tego czasu mieszkaliśmy w domu o numerze 24.

człowiek dorosły całkiem przypadkowo je zlokalizowałem i stwierdziłem, że dla dzieci są one wprawdzie trochę niebezpieczne, ale mi nie mogą już nic zrobić.

Jak do tego doszło? Kiedy już wyprowadziłem się z domu rodzinnego i mieszkałem „na swoim”, mama ciągle jeszcze mieszkała na ulicy Roosevelta 30(24). W czasie którejś z wizyt u mamy i wspominkowych z nią pogawędek zgadaliśmy się, że w tym domu, w którym sobie gawędzimy mieszkała przed wielu laty ciocia Hela i stąd przeniósła się



Hela, siostra naszej Mamy.

potem do mieszkania na ulicy Armii Czerwonej, które pamiętałem już dużo lepiej. Tyle, że nie mieszkała tak jak my, na parterze, a na piętrze, gdzie teraz mieszka pani Piaścikowa. Wtedy coś kliknęło. W mojej głowie zwały się jakieś przewody i zrozumiałem, że największy koszmar mojego wczesnego dzieciństwa, re okropne drzwi i schody, to drzwi, które oddzielają korytarz na pierwszym piętrze tego właśnie domu, w którym mieszkałem ponad dwadzieścia lat, od schodów na parter. Dokładnie naprzeciwko drzwi do byłego mieszkania ciotki Heli, teraz pani Piaścikowej. Dobrze pamiętałem solidne, przeszklone w górnej swojej części kilkoma szymbami drzwi. Ich próg był jednocześnie początkiem schodów, więc zaraz po ich otwarciu pojawiał się ich pierwszy stopień, który stanowił zasadzkę dla niecierpliwych. Stopień ten nie znajdował się bowiem na poziomie zero, jak się tego zazwyczaj oczekuje, czyli na równi z korytarzem, lecz na poziomie minus jeden. Łatwo było otwierając te fatalne drzwi potknąć się i przekoziółkować na parter.

Przed tym ostrzegali nas rodzice i tego bałem się podświadomie przez tak wiele lat. Jednocześnie nie wiedziałem, że chodzi tu o drzwi, przez które w latach późniejszych schodząc ze strychu czy od sąsiadów z góry niejednokrotnie „przelatywałem” w wielkim pędzie i bez żadnego strachu, czy innych głupich myśli. Przecież ja się nie bałem tych konkretnych drzwi, ale tych wirtualnych, pozostałych w mojej głowie w formie nieprzewidzianego skutku straszenia małego dziecka. Kiedy po wielu latach zlokalizowałem te okropnie straszne drzwi i schody, koszmar minął bezpowrotnie. Nauka z tego jest prosta. Kochani aktualni rodzice pod wszystkimi szerokościami geograficznymi świata. Czasami warto się zastanowić, czym się straszy dzieci.

Potem Hela z Tadkiem i z dziećmi mieszkali przy ulicy Armii Czerwonej²²⁷ w oficynie domu, w którym była stara mrągowska księgarnia i, co dla starych mrągowian jest ważniejsze, mieszkała rodzina Grądzików²²⁸. Było to podwórko – studnia wyłożone kocimi

²²⁷ Po przewrocie w 1989 roku Armia Czerwona nie zdała egzaminu z historii i ulica ta nazywa się dzisiaj ulicą Królewiecką.

²²⁸ Rodzina Grądzików to osobny temat. Nazwisko to znane jest każdemu staremu mrągowianinowi. Temat ten wymaga osobnego rozdziału i być może kiedyś się tym zajmę. W skrócie. Grądziki, to była inna dzielnica i kto był spoza niej, np. tak jak ja, z Banditenstrasse, ten nie miał tam, co szukać. W dzieciństwie bałem się Grądzików i w tamte rewiry nigdy się samotnie nie zapuszczałem, chociaż nikt nigdy nie zrobił mi tam krzywdy, a nawet nie postraszył. Jak to w życiu bywa, potem zaprzyjaźniłem się z nimi i Danką (teraz Oracz) oraz Janusz zwanym Magillą należąc do moich przyjaciół. Wichry historii rozpedziły nas po świecie, nasze drogi się porozchodziły, kontaktów między nami praktycznie nie ma, lecz oni nadal są kimś ważnym w moim życiu. Wiem,

łbami²²⁹. My w tym czasie mieszkaliśmy w jednym z domków na stadionie, a ja miałem najpiękniejsze podwórko świata – mrągowski stadion sportowy. Z tego powodu Hela z dziećmi bywała u nas częściej, niż my u niej.

Danka i Karl-Heinz.

Najstarszym dzieckiem Heli i Tadeusza była Danka. Od niemowlęcia w 100% głucha. Ponieważ była tylko rok młodsza niż ja, była moją pierwszą towarzyszką zabaw w piaskownicy. Aż do wyjazdu Gołdów do Zielonej Góry widywaliśmy się niemal codziennie. Czasami my z Mamą bywaliśmy u nich na ulicy Armii Czerwonej, ale najczęściej oni u nas, na stadionie. Nasze mamy były przecież siostrami, a mrągowski stadion sportowy był, jak już wspominałem, najpiękniejszym podwórkiem na świecie.

Wróćmy jednak do Danki, pierwszej towarzyszkii moich zabaw w piaskownicy. Mimo, iż to ja byłem starszy, ona była moim obrońcą w piaskownicowych sporach i wodzirejem piaskownicowych zabaw. Była głucha i z tego powodu nikt poza mną nie potrafił się z nią w piaskownicy porozumieć. Ja potrafiłem. Jak to porozumiewanie się wyglądało, nie pamiętam, ale dogadywaliśmy się wspaniale i nie było z tym żadnych problemów. Problemy przyszły później, kiedy Danka chodziła do specjalnej szkoły dla dzieci głuchych w Żarach. Tam nauczono ją języka migowego i to utrudniło nam porozumienie. W efekcie i ja musiałem się tego języka nauczyć. Ale to było później. Wtedy, w piaskownicy radziliśmy sobie doskonale, a Danka była nie tyle „wodzirejem piaskownic”, co osobą tam rządzącą, rodzajem dyktatora. Nie słuchała nikogo, i zawsze robiła to, co chciała. Jeżeli jej się coś podobało, to sobie to po prostu brała. Jeżeli ktoś robił nie to, co ona chciała, to po prostu „dostawał w bańkę” i w ten sposób po pewnym czasie wszyscy wiedzieli, kto tu rządzi.

Danka dorastała trochę jak małe zwierzątko. Jeśli się sama nie przebiła, jeżeli czegoś nie zdobyła, to tego nie miała. To pozostało jej do dzisiaj. Rodziców, a szczególnie ojca, przerastała rola rodziców dziecka specjalnej troski. Tym bardziej, jak po zachorowaniu Zbyszka w ich domu pojawiło się drugie dziecko specjalnej troski. Poza tym były to czasy, w których, jeżeli dzieci już były, to i jakoś tam dorastały i nikt się nimi specjalnie nie przejmował. Określenie „dziecko specjalnej troski” mało się dopiero wiele lat później narodzić. Tu i teraz królowało jeszcze powiedzenie „bóg dał – bóg wziął”. Słysząc to było na porządku dziennym i stosowane było na co dzień.

Na drobiazgi nie było czasu. To, na co zdecydowali się Hela i Tadek, czyli wyjazd do Zielonej Góry, by zapewnić dziecku możliwość pójścia do specjalistycznej szkoły, nie było decyzją łatwą i niewielu rodziców by się na to w tamtych czasach zdobyło.

Co do pokolenia naszych rodziców to mam pewną teorię, która do tej pory nie została ani sprawdzona ani potwierdzona przez żadne badania naukowe, lecz odkryta została przez moje życiowe doświadczenie. Otóż nasi rodzice byli tzw. pokoleniem wojennym. Dorastali, czyli mieli po kilka, kilkanaście lat w czasie wojny. Podczas dorastania, kiedy to młody człowiek najbardziej potrzebuje rodzicielskiej miłości i dobrych wzorców osobowych, ich ojcowie, a często i dziadkowie byli na wojnie. Kobiety musiały zająć się

że gdybym ja lub moje dzieci albo też ktoś inny z rodziny zwrócił się do Janusza – Magilli albo do Danki o jakąkolwiek pomoc, to mimo pozorynych przez czas kontaktów, bez problemów by ją otrzymał.

²²⁹ Kocie łby - Bruk z kamienia polnego. Do lat 50. XX wieku często stosowano nawierzchnie z kamienia polnego (tzw. kocie łby), układanego ręcznie. Zaletą był tani miejscowy materiał i wysoka trwałość, natomiast główną wadą była nierówna powierzchnia. (źródło: <http://pl.wikipedia.org/>)

przede wszystkim wyżywieniem rodziny. Dorastające dzieci musiały zastępować brakujących ojców i pomagać matce w utrzymaniu rodziny. Wtedy nie było czasu na wychowanie, przytulanie, czy inne tego typu pierdoły. Po pracy należało nakarmić dzieci, coś tam przeprać, posprzątać, przespać się i znowu do pracy. Najpierw się myślało: byle przetrwać, wojna kiedyś się skończy, będzie lepiej. Potem często się okazywało, że lepiej, to już było...

Okazuje się, że nie tylko my, ale i nasi rodzice wychowani byli w sposób, który bardzo zbliżony jest do znanego w hodowli tzw. „zimnego wychowu cieląt”²³⁰. Dziecku należało zapewnić jedzenie i w miarę możliwości zadbać o jego zdrowie, najlepiej przez hartowanie. O resztę wychowania zadba już samo życie, czyli najczęściej ulica. Na inne fanaberie nie było czasu. Metoda ta stosowana była od pokoleń. Również w stosunku do naszych rodziców, a potem przez naszych rodziców w stosunku do nas. Jej ślady i to wcale niemałe, stwierdzam na sobie do dzisiaj. Ale to już jest całkiem inna historia...

Po przeprowadzce do Zielonej Góry Danka poszła do szkoły. Tam nauczyła się języka migowego, czytać oraz pisać. Z powodu ogromnej odległości do Zielonej Góry, nasz kontakt był coraz rzadszy. Prawdopodobnie, jak twierdziła Hela, uczyła się, lub też miała się uczyć kreślarstwa, ale jak się przygoda Danki z kreślarstwem skończyła, nie wiem. Potem nikt już nigdy o tym nie wspominał. Poza tym wszelkie nauki Danuty zostały przerwane po śmierci Heli. Po pierwsze Dance nie bardzo się chciało, po drugie Tadeusz zawsze uważał osoby kalekie za mało wartościowe, którymi nie warto się zajmować. Powtarzał mi to w naszych rozmowach kilkakrotnie. W

każdym razie po śmierci Heli w 1968 roku, Danka przerwała edukację. Potem odwiedziła nas kilka razy w Mrągowie, a w połowie lat siedemdziesiątych wyjechała do Niemiec. Tu już na wstępie odpaliła numer, który kosztował naszą ciocię Mietę prawie 300 DM. Było to w tym czasie bardzo dużo pieniędzy. Otóż Danka, która zawsze dbała przede wszystkim o siebie i swoją wygodę, wysiadła z pociągu w Braunschweig, czyli na pierwszej niemieckiej stacji w NRD. Tam wsiadła do tak-



Mama, Danuta, Marian i Tante Mieta. Bielefeld 1979 r.

sówki i przyjechała do Bielefeld. Możecie sobie wyobrazić minę cioci, która ze swojej niewielkiej renty musiała za tą taksówkę zapłacić...

Biedna Ciocia myślała, że Danka przyjechała z wizytą na dwa, góra trzy tygodnie. Myliła się. Danka nie miała najmniejszego zamiaru wracać do Polski, więc powstał problem, co dalej...

Danka nie była „łatwa w obsłudze”. My i Basia też się o tym przekonaliśmy, ale kilkanaście lat później niż ciocia i wujek. Po kilku miesiącach pobytu Danki w Bielefeld, tutejsza rodzina miała jej serdecznie dosyć. Delikatnie zaczęli ją podpytywać, kiedy ma

²³⁰ Istota zimnego wychowu cieląt polega na utrzymywaniu zwierząt w otwartych budkach umieszczonych na dworze. Chronią one cielęta przed wyciągającym działaniem wiatru, ale temperatura w nich jest prawie taka sama, jak na zewnątrz. Ten system utrzymania cieląt zapobiega schorzeniom układu oddechowego i pokarmowego, ze względu na wykorzystanie procesu „hartowania się organizmu”. Dodatkowo cielęta uczą się od siebie wzajemnie na przykład pobierania paszy. Cielęta muszą być utrzymywane na głębokiej ściółce, która łagodzi większe zmiany klimatyczne. (Informacja z <http://www.portalhodowcy.pl>)

zamiar wrócić do domu. Danka oświadczyła im, że nigdy. Kiedy jej spytali, co zamierza tutaj robić, odpowiedziała, że jej jest dobrze tak jak jest. Rada Familijna Czychowskich zaczęła się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Z jednej strony - kuzynka, więc tak na siłę odesłać do Polski to może jednak nie. W dodatku pokrzywdzona przez los. Nie dość, że głucha, to jeszcze z wielkimi problemami w sferze porozumienia się z otoczeniem. Z drugiej strony, nie można zostawić babci i dziadkowi na głowie kogoś, kto tylko wymagał, a w dodatku wymagania jego były niemałe. Zaczynało się do już od odzieży. Danka była damą i byle czego na siebie nie założyła. Ciocia wspominała mi, że pierwsze buty, które jej kupili, kosztowały dwa razy tyle, co oni zwykle wydawali w ciągu roku na buty dla całej rodziny. Ale wtedy myśleli jeszcze, że jest to wydatek jednorazowy i biednej kuzynce ze wschodu też się raz coś od życia należy. Kiedy sytuacja zaczęła się przedłużać a Danka wymagała to ciągle nowych ciuchów i to w dodatku tylko tych z najwyższej półki, sytuacja materialna dwojga rencistów stawała się nieciekawa. Do tego Danka postanowiła zostać u nich na stałe.



Rok 1990. Danuta i Karl-Heinz.

Rada w radę postanowiono jej pobyt zalegalizować. Nie było to takie trudne, bo przecież po mamie była Niemką. Dostała niemieckie dokumenty i do pomocy stawiał się niemiecki związek niesłyszących, który na początek dał jej mieszkanie w czymś w rodzaju internatu i zapisał ją na różnego rodzaju kursy integracyjne i językowe. Szczegółów nie znam, ale w tym czasie w jej życiu pojawił się Karl-Heinz. Był od niej prawie 10 lat starszy i, tak jak i ona, głuchy. Był jej dobrym duchem. Opiekował się nią, i na nią pracował. Dzięki niemu wiodła całkiem niezłe życie. Pobrali się jeszcze w latach siedemdziesiątych i byli ze sobą aż do jego śmierci w 2014 roku. Od jego śmierci Danka mieszka sama i ma opiekunkę czy też kuratorkę z urzędu. Całe życie miała kogoś, kto o nią dbał, kto załatwiał za nią sprawy urzędowe, więc teraz nie umie sobie poradzić z najprostszyimi problemami dnia powszedniego i taka pomoc jest jej niezbędna.

Karl-Heinz był wspaniałym człowiekiem i zawsze dbał o Dankę. Mimo najróżniejszych wyskoków, na które sobie przez całe życie pozwalała. Był jej aniołem stróżem i to dzięki niemu nie stoczyła się, do czego zawsze miała predyspozycje. Wybaczał jej wszystkie wyskoki. Wierzył, bo chciał wierzyć we wszystkie jej, nawet najbardziej nieprawdopodobne, tłumaczenia i zawsze wszystko jej wybaczał. Niestety, kiedy doszło do jego obłożnej choroby, ona nie była w stanie się nim zajmować, bo okazało się, że ma problemy alkoholowe. Jest skłócona z całą rodziną i przez to jest jeszcze bardziej samotna. Na pogrzebie Karla-Heinza oprócz niej była tylko Basia, Marcin i ja. Nawet jego brata nie znaleziono. Stracili z nim kontakt wiele lat temu. Nie wiem, czemu. Mogę się domyślać, kto był tego przyczyną. Z całą naszą rodziną kontakty pozrywała Danka, nie Karl-Heinz...

Po naszej przeprowadzce do Niemiec w 1990 roku znowu spotkałem Dankę. Była już żoną Karla-Heinza²³¹. Zamieszkaliśmy wtedy w Löhne, by być bliżej niej. Wówczas

²³¹ Karla-Heinza Zipling (1942-2014) poznałem w czasie mojego urlopu w Niemczech w 1988 roku. Wtedy również widziałem się krótko z Danką.

jeszcze sądziłem, że nasze relacje z dzieciństwa mogą być podstawą do zbudowania nowych, dorosłych już relacji. Na początku wydawało się nawet, że tak rzeczywiście będzie. Z Danką rozumieliśmy się doskonale i bardzo polubiliśmy Karla-Heinza. W pierwszej fazie naszego pobytu w Niemczech byliśmy trochę w tutejszej rzeczywistości pogubieni, a Danka z Karlem-Heinzem byli naszymi przewodnikami po tutejszym życiu codziennym. Uczyli nas tego życia i pokazywali nam²³², w pełnym tego słowa znaczeniu, co, gdzie i kiedy. Co, w którym urzędzie należy załatwić i co, w którym sklepie kupić oraz jak nie wpaść w różnego rodzaju pułapki finansowe itd, itd. Takie ABC życia codziennego. Niestety, szybko zaczęło się to psuć. Danka nadal była dyktatorem, lecz my żyliśmy już własnym życiem. Danka oczekiwała, że my będziemy tak żyli, jak ona nam podyktuje. Byliśmy jej bardzo wdzięczni za pomoc, ale mieliśmy własną wizję życia. Naszego życia, a nie życia na pokaz, według obcej reżyserii. Coraz częściej dochodziło na tym tle do konfliktów. Początkowo próbowałem wszystko łagodzić, lecz dyktatorskie zapędy Danki były coraz większe. Do tego doszły jej małe świństwka i intrygi. W końcu ona zerwała z nami kontakty. Kilkakrotnie próbowaliśmy je znowu nawiązać, ale kończyło się to zawsze tak samo. Zbyt bliski kontakt z nami przestał jej być na rękę. Stwierdziliśmy, że okłamuje męża i byliśmy świadkami, jak go oszukuje. Danka wiedziała o tym i starała się trzymać go daleko od nas. Bała się, że otworzymy mu oczy. Całkowity brak kontaktu z nami był dla niej najlepszym gwarantem naszego milczenia.

Zacząło się to jeszcze w czasach, kiedy pozornie było między nami wszystko OK. Danka z Karlem-Heinzem poprzez swoje znajomości w kręgach ludzi niesłyszących znalazła dla nas mieszkanie w Herford. Należało ono do głuchego dziadka Cullmanna, właściciela dwurodzinnego domu w Herford. Mieszkanie ładne, słoneczne, pięć pokoi, kuchnia, garaż, taras i ogromny ogród do wspólnego użytkowania z dziadkiem. Dom położony był na przedmieściu, lecz niedaleko szkoły oraz z doskonałym i szybkim (około 15 minut) dojazdem do centrum. Dziadek był głuchy, więc niezadowolony z powodu zbyt głośnego słuchania muzyki przez nasze dorastające dzieci raczej nie wchodziło w rachubę. Mieszkanie było idealne, lecz miało jedną małą wadę. Przez nasz, ogromny zresztą korytarz, dziadek przechodził do swojego mieszkania i do piwnicy.

Pierwsze miesiące w nowym mieszkaniu były idealne. Pan Cullmann nie mieszał się do nas, a my do niego. Dzieci poszły do nowej szkoły i w przeciwieństwie do poprzedniej były z niej bardzo zadowolone. Zaraz po wakacjach Marcin poszedł do gimnazjum a rok później w jego ślady poszła Asia. Dojeżdżali autobusem i byli z tego bardzo zadowoleni.

Bardzo często odwiedzała nas Danka z Karlem-Heinzem, lecz wizyty te coraz częściej przyjmowały dziwaczną formę. Pili u nas kawę, a potem Karl-Heinz zostawał z nami, a Danka pod różnymi pozorami wpadała „na chwileczkę” na górę do dziadka Cullmanna. Ta chwileczka była z dnia na dzień dłuższa i w końcu doszło do tego, że Danka już do nas na kawę nie wpadała. Otwierała jedynie drzwi do naszego pokoju (klucze do drzwi wejściowych miała od Dziadka), wpychała do naszego pokoju Karla-Heinza, i leciała na górę, do dziadka. Po kilku godzinach wpadała po męża i jechali do domu. Z nami nie szukała już kontaktu. Kontakt miała z dziadkiem Cullmannem, a u nas „garażowała” na czas tych kontaktów męża. Po kilku tygodniach sytuacja stała się całkowicie groteskowa. Jak u Mrożka.

²³² Karl-Heinz tak jak i Danka był głuchoniemy, więc słowo „pokazywali” jest tu jak najbardziej na miejscu.

Zipplingowie (Danka i Karl-Heinz) przyjeżdżali w piątek po pracy do dziadka. Tam pomieszkiwali razem do niedzieli. Naturalnie bardzo często jeździli na wycieczki (Karl Heinz był kierowcą), grillowali i wspólnie spędzali czas. W niedzielę po południu Karl-Heinz dostawał siateczkę z dwoma zamrożonymi obiadami, które dziadek Cullmann zamawiał dla siebie na sobotę i niedzielę i jechał do domu. Danka zostawała, bo pracowała u dziadka, jako sprzątaczką. Nie opłacało się jej jechać do domu, bo jutro musiałaby i tak przyjechać do pracy. Pracowała tak do środy, a czasami do czwartku i potem jechała do domu. W piątek po południu zaczynał się nowy (patrz wyżej) cykl tygodniowy. Być może nic złego tam się nie działo. Długo to sobie tak tłumaczyłem. Chyba nawet chciałem w to wierzyć, bo tak było wygodniej.

W czasach, kiedy jeszcze siadywała z nami na kawkę, często wypytywała, co stało się z gospodarstwem w Młynowie²³³. Czuła się prawowitą spadkobierczynią tego „majątku”, jak twierdziła. Coraz częściej wspominała też, że koniecznie musi zaopiekować się Cullmannem, to on przepisze na nią dom. Nie brała pod uwagę, że Cullmann ma troje dzieci, więc ma komu zostawić spadek i ona do tego nie jest mu potrzebna. Poza tym był on mimo siedemdziesiątki w doskonałej kondycji fizycznej i nie potrzebował opieki. Raczej potrzebował kobiety, bo od kilku lat był wdowcem. Danka miała wtedy 40 lat i jej „opieka” nad dziadkiem była coraz to ściślej. Tak ściśła, że przestało się to nam podobać, a Karl-Heinz udawał, że tego nie widzi. Szczytem wszystkiego był fakt, że Karl-Heinz musiał zmienić samochód, bo dziadkowi się na tylnym siedzeniu niewygodnie jeździło. Niestety, tak nam się tylko wtedy wydawało. Potem przyszły jeszcze inne szczyty. To był dopiero początek. Dance zamarzyło się, dostać spadek i robiła wszystko, by gdziekolwiek, jakkolwiek spadek dostać. Nie mogła przeboleć braku udziałów w Młynowie²³⁴. Ciągle zadawała mi to samo pytanie:

- Czemu ciocia jej nic nie dała, przecież jej się należało!?

Przez Młynowo całkowicie „straciliśmy u niej akcje”, ona zaś coraz bardziej zaczęła zajmować się dziadkiem Cullmannem. Spadek, to była jej „idée fixe”²³⁵. Tej idei było w tym czasie podporządkowane całe jej życie i nie szło jej tego wybić z głowy. Ona po prostu chciała dostać spadek...

Nie będę opisywał w szczegółach dalszej części tego romansu, bo jest to niesmaczne i bolesne. Tym bardziej, że zdarzyło się w tak bliskiej rodzinie. Z jednej strony szkoda nam było oszukiwanego Karla-Heinza. Z drugiej strony, kiedy Danka poczuła się

²³³ Gospodarstwo w Młynowie – w końcu XIX wieku spłonął dom rodzinny prababci Marii Piechotka (Jablonski). Dzieci w właściwie młodość z jej pokolenia, czyli ona, jej siostry i brat wywędrowali „na saksy” by zbudować nowy dom. Powstał on w Zyn-dakach (Sonntag), lecz nie we wsi, ale za jeziorem. Gospodarstwo te prowadził prababci brat (Fridrich Jablonski) a potem jego córka Eliza Becker, obecnie mieszkające w Schwerin. Po jej wyjeździe pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku do NRD, gospodarstwo przeszło w obce ręce. Prababcia z prazdiadkiem i jej siostra Friderike (Kapteina) po wielu latach pracy u obcych kupili sobie pod koniec lat dwudziestych poprzedniego stulecia gospodarstwa rolne z parcelacji majątku w Młynowie. Do gospodarstwa prababci należało 8 ha ziemi ornej, dom mieszkalny (dawne czworaki) i stodoła z oborą (dawniej należące do dworu) Budynki te były w środku wsi, naprzeciwko nieistniejącego już dzisiaj pałacu. Gospodarstwo Kapteinów było podobne i leżało po sąsiedzku. Niestety w 1961 (?) roku spłonęły zabudowania gospodarza, co znacznie obniżyło wartość gospodarstwa. Poza tym nieremontowany przez wiele lat dom popadł w ruinę u na remonty nie mieliśmy funduszy.

²³⁴ Kilka lat po śmierci prababci sąd podzielił spadek po niej, czyli gospodarstwo w Młynowie po połowie dla naszej mamy i dla Ulicha Piechottki, czyli wnuka Babci Piechottkowej po synu Frycu (Friedrich), który w bitwie pod Stalingradem dostał się do rosyjskiej niewoli i tam zmarł. Zrzuńowane już wtedy gospodarstwo Uli i mama sprzedali za grosze w latach siedemdziesiątych. Szczegółów nie znam, bo byłem w tym czasie w wojsku.

²³⁵ Idée fixe – coś nie do zrealizowania, marzenie, plany bez przyszłości. (Wikipedia: Idée fixe jest zaabsorbowanie umysłu Uważa się, że zdecydowanie odporne na wszelkie próby, aby go zmienić, utrwalenia. Nazwa pochodzi od francuskiego idée, "pomysł" i fixe "stałe". Chociaż nie jest to technicznie stosuje się do określenia konkretnego zaburzenia na psychologii, idée fixe jest często wykorzystywane w opisie chorób i jest szeroko stosowane w literaturze i codziennej angielskim.)

pewniej, zaczęła rządzić Dziadkiem i pokazywać swój prawdziwy charakter. Doszło nawet do tego, że kilkakrotnie musiałem wzywać policję, by broniła dziadka Cullmann przed Danką.

Pewnego dnia dzieci zadzwoniły do mnie do pracy, że boją się same siedzieć w domu. Na górze jest bardzo głośno i prawdopodobnie ktoś łamie meble. Pracowałem w Minden. W te pędy ruszyłem do domu. Dotarłem tam po godzinie. Już w korytarzu spotkałem zakrwawionego Dziadka, który prosił o wezwanie policji, bo Danka go pobiła. Policja przyjechała dość szybko. Poszli na górę do mieszkania Cullmanna. Po chwili zeszli do nas i poprosili o pożyczenie jakiegoś ubrania. Z ich relacji wynikało, że Danka chodziła po mieszkaniu kompletnie pijana i naga i rozbijała dziadkowi meble. Na stole stały dwie puste butelki po koniaku. Ponieważ dziadek Cullmann był abstynentem, prawdopodobnie opróżniła je Danka. Żeby ją zabrać, policjanci musieli ją najpierw ubrać.

Była to pierwsza interwencja policji w sprawie Danki, ale nie ostatnia. Sytuacji, w których wzywałem policję, by ratować Dziadka, było kilka. Jednocześnie była jeszcze druga strona medalu. Dziadek tak dał się zmanipulować przez Dankę, że próbował się nas pozbyć, by nasze mieszkanie zwolnić dla Danki. Mieliśmy bardzo poważną propozycję, by się zamienić na mieszkania z Danką i Karlem-Heinzem. My z dziećmi mielibyśmy zamieszkać w Löhne w ich dwupokojowym mieszkaniu, a Danka przejęłaby nasze, pięciopokojowe u Cullmanna. W ten sposób mogłaby, jak brzmiała oficjalna wersja, lepiej opiekować się Dziadkiem²³⁶. Naturalnie odmówiliśmy i zaczął się horror. Dziadek, z którym mieliśmy do tej pory przykładne stosunki, zaczął nam dokuczać, by się nas pozbyć. Na temat tego, co przeżyliśmy w tym czasie i co potrafił wymyślić Cullmann, by nam dokuczyć, można by napisać powieść. Z naszej strony, chętnie oddalibyśmy im to mieszkanie. Znając swoją kuzynkę, mogłem sobie wyobrazić, czym by się to skończyło. Niestety, był to okres największego po wojnie kryzysu mieszkaniowego w Niemczech, więc znalezienie jakiegokolwiek mieszkania nie było takie proste. Po jakimś czasie znaleźliśmy jednak coś i wynieśliśmy się. Zostawiliśmy tych dwoje szczęśliwych, że nie ma już świadków ich poczynań. Szczęście to nie trwało jednak długo i dziadek pogonił Dankę, kiedy jeszcze „domieszkivaliśmy” tam ostatnie dni przed przeprowadzką. Dziadek nie wiedział wtedy jeszcze, że my już mamy nowe mieszkanie i lada dzień się wyprowadzimy. Jego syn, z którym to uzgodniliśmy, zapomniał mu o tym powiedzieć. W tym czasie Cullmann, na złość Dance, a przede wszystkim na złość nam, dom sprzedał. Był bardzo zdziwiony i zdenerwowany, kiedy wyprowadziliśmy się stamtąd jeszcze przed nim, ale już po sprzedaży domu.

Danka na kilkanaście lat zerwała z nami wszelkie kontakty. Z Karlem Heinzem spotykałem się czasami, ale ona nic o tym nie wiedziała. Z nią zobaczyliśmy się dopiero, kiedy zmarła moja mama. Nauczeni doświadczeniem, trzymaliśmy ją, i nadal trzymamy na bezpieczny dystans.

Zbyszek.

Jak już wspominałem, Zbyszek zachorował w Zielonej Górze na chorobę Heinego-Medina. Od tego czasu, po długim leczeniu i wielokrotnym przebywaniu w różnych szpitalach, chodził o kulach i miał bardzo zdeformowany organizm. Kiedy zachorował,

²³⁶ Taka była wersja oficjalna. Była jeszcze druga wersja kolportowana przez Dankę wśród rodziny. Według niej byliśmy brudasami i musimy się z tego mieszkania wynosić, by nie doprowadzić go do ruiny. Niestety nasza wspaniała kuzynka nie przewidziała, że wszyscy poinformowani przez nią kuzyni natychmiast zadzwonią do nas z tą „miłą” informacją do nas, by nas poinformować, jakie historie są na nasz temat kolportowane.

zmienił się. Stał się wredny i okrutny. Wszystko, co mógł zrobić złego, zrobił. Nie pominął żadnej do tego okazji. Mówiono o nim, że choroba padła mu na głowę. Rzeczywiście. To, co on wyczyniał mimo swego kalectwa, nie mieściło się w ludzkiej wyobraźni i chyba potwierdzało teorię o jego niepoczytalności. Gdzie on przeszedł, pozostawały tylko ślady totalnego zniszczenia. Pewnego razu była to dziura w dachu bloku, w którym mieszkali. Wszyscy się dziwili, jak on tam wlaźł. Przecież ledwie się poruszał i to w dodatku o kulach! Koszt naprawy przekroczył dziesięć tysięcy złotych. Innym razem były to powybijane szyby u nielubianego sąsiada itd., itd. Aż do znudzenia.

Potem Zbyszek był w internacie we Wrocławiu. Chodził tam do jakiejś szkoły zajmującej się cybernetyką (dzisiaj byśmy powiedzieli informatyką) i mimo wszystkich swoich wyskoków ukończył ją. Zdolny był niesamowicie, to fakt. Na ogół jednak wszystkie swoje zdolności kierował w niewłaściwym kierunku. Na zasadzie „im gorzej, tym lepiej”. Wyglądało to tak, jak gdyby mścił się na wszystkim i na wszystkich za swoje kalectwo. Potem to już chyba utracił poczucie tego, co jest dobre, a co jest złe...

Swoje dorosłe życie, tuż po szkole, zaczął od pracy. Nie wytrzymał w niej długo, ale też nie miał na to żadnych szans po numerze, jaki tam odpalił. Pracował przy komputerze. Lata siedemdziesiąte poprzedniego stulecia, czyli była to jakaś, jak to się wtedy mówiło, końcówka „Odry” czy też inny, pewnie enerdowski komputer. Służył między innymi do naliczania płac. Nasz inteligentny kuzyn już po kilku dniach pracy w firmie zarabiał więcej niż jej dyrektor. Dlaczego? Nie wiadomo. Podejrzewano Zbyszka o manipulacje, ale nikt mu tego nie udowodnił. Tak przez kilka miesięcy komputer naliczał mu niebotyczną pensję i żaden fachowiec nie umiał sobie z tym poradzić. W końcu udało się jednak komputer naprawić a Zbyszek stracił pracę.

Latem 1981 roku Zbyszek wyjechał do Niemiec. Prowadziłem wtedy w Warszawie kolonie letnie dla dzieci z Mrągora. Zbyszek odwiedził mnie tam i przenocował u mnie. Przy okazji narobił mi tam takiego gnoju, że po wszystkich związanych z nim perypetiach i przyjemnością zapomniałem o nim na długie lata.

Dowiedziałem się wtedy od niego, że ma dziewczynę i syna (chyba w Olkuszu, ale nie jestem już tego pewny), lecz rozstał się z nimi (czytaj: porzucił ich) i jedzie do Niemiec zbudować sobie nową przyszłość. Trochę dziwnie to brzmiało i jak patrzę na to teraz, z perspektywy czasu, to myślę, że i tam musiał narobić jakiś głupot i go po prostu wygnali.

To był chyba taki typ człowieka. Z psychicznymi odchyleniami na tle swojej choroby. Mścił się za nią i za swoje kalectwo na wszystkich i wszystkim, a najbardziej na sobie. On chciał i musiał być ofiarą. Jeżeli już mu się w życiu cokolwiek udało, wpadał natychmiast w jakiś amok i to niszczył wszystko koncertowo. Jeżeli ktoś okazał mu serce i zrozumienie, natychmiast robił wszystko, by go znienawidził. Poza tym był bardzo inteligentny. Szybko się uczył i doskonale grał w szachy. Jednocześnie był niesamowicie wredny, samolubny i perfidny. Całą swoją wiedzę i inteligencję kierował na samozniszczenie, na dokuczanie innym, na znęcanie się nad zwierzętami itp.

Spotkałem go w Niemczech u Danki około 10 lat po jego wyjeździe z Polski, ale nie nawiązałem z nim żadnej rozmowy. Rozmawiając, musiałbym z nim wyjaśnić sprawę jego zachowania w Warszawie przed wyjazdem, a nie chciałem rozdrapywać wspomnień. On by i tak nic z tego, co miałem mu do powiedzenia nie wziął do serca, a zaistniałych wcześniej faktów ta rozmowa i tak by nie zmieniła.

Od Danki wiedziałem, że po przyjeździe do Niemiec zajęły się nim organizacje pomagające ludziom niepełnosprawnym i związek szachowy. Dostał urządzone mieszkanie i zasiłek na utrzymanie. Jeździł na mecze szachowe i miał bardzo dobre wyniki. Niestety, bardzo szybko pokłócił się ze wszystkimi i tak skończyła się jego przygoda z szachami. Potem powyrzucał przez okno wszystkie meble i sprzęty domowe, a wszystko, co się przy tym samo nie rozbiło, porąbał i wyjechał do Polski. Jak stwierdził „z burżujami nie chce mieć nic do czynienia”. Ponieważ w Polsce nie miał ani mieszkania, ani pracy, po kilku tygodniach wrócił. Urząd Socjalny²³⁷ znowu go urządził, ale tym razem dostał tylko pokój oraz pieniądze na utrzymanie i na zapłacenie czynszu. Mieszkał sam i tygodniami nie opuszczał mieszkania. Niestety, czynszu, mimo że otrzymywał na to pieniądze nie płacił. W 1990 roku, zamknięto go za długi na miesiąc w więzieniu. Napisał wtedy do Danki list. Danka nie chciała tego listu nikomu pokazać, ale Karl-Heinz wykradł go i przyniósł do mnie, bo był ciekawy, co pisze szwagier. List był pisany po polsku, więc musiałem go Karlowi-Heinzowi przetłumaczyć. Uśmieiałem się wtedy jak rzadko. Zbyszek pisał, że siedzi z przyczyn politycznych, bo prześladowają go burżuje. Ale to już niedługo, bo jak go tylko wypuszczą, to porzuci ten wredny kraj i wróci do Polski. Tam, z wdzięczności, (Za co? Nie wiem.) ucałuje buty pierwszego napotkanego ruskiego żołdaka. itd. itd...

Potem widziałem Zbyszka jeszcze raz albo dwa, ale bez kontaktu. O tym, że zmarł, dowiedziałem się kilka lat po jego śmierci.

Jola.

Trzecim dzieckiem Heli i Tacka była Jola. Z nią mieliśmy najmniej kontaktów, bo urodziła się już w Zielonej Górze w 1958 roku. Była rówieśnicą Sabiny, ale poza rokiem urodzenia różniły się wszystkim. Szczególnie dokładnie przekonaliśmy się o tym, kiedy po śmierci Heli w maju 1968 roku zamieszkała z nami. Początkowa zdawało się nam, że ona,



Rok 1968. Pogrzeb naszego taty. Od lewej:
Stryj Bolek, Ciocha Stefa i Stryj Zygmunt, rodzeństwo taty.
Dalej mama, wujek Tadek z Marianem i Jola.

jedyne fizycznie zdrowie dziecko w tej rodzinie, powinna być „normalna”, czyli z charakteru bardziej podobna do innych dzieci i do nas. Niestety, nad tą rodziną ciążyło chyba jakieś fatum. Ona też była w jakiś tam sposób poszkodowana przez życie. Ładna, inteligentna dziewczyna, lecz leniwa i o bardzo wysokim mniemaniu o sobie, mniemaniu graniczącym z zarozumiałością. Przy tym wydawało się jej, że jest stworzona do celów wyższych. Powinna się urodzić w rodzinie minimum hrabiowskiej, gdzie wszyscy by jej usługiwali, a ona byłaby wielką damą. Jednakże nie chciała zrozumieć, że wielkie damy też muszą się czegoś nauczyć, chociaż nie tego, co my, prostacy. Nauka czy też pomoc w domu nie należały do jej hobby. Raczej modne ciuchy i imprezy. Ale żeby te modne ciuchy były wyprane i wyprasowane to już było mniej ważne. Nie, to nieprawda. Te

ciuchy powinny być wyprane i wyprasowane, lecz to zrobić ktoś dla niej. Ona miała do wszelkiej pracy dwie lewe ręczki. Kiedy po śmierci Heli trafiła do nas, nie było jej łatwo. Była szóstym dzieckiem w rodzinie, w której każdy miał jakieś obowiązki. Obowiązki, które innym też nie sprawiały radości, ale rodzice pracowali i my musieliśmy się z tego, co było do wykonania, jakoś wywiązać. Inaczej rodzina nie mogłaby funkcjonować. Nam się też zdarzało się od tego czy innego obowiązku wymigać, czy też zwalić swoje obowiązki na rodzeństwo. Nam się to zdarzało, Jola była mistrzem w tej dziedzinie.

Patrząc na to wszystko z dzisiejszej perspektywy, wiele rzeczy widzi się inaczej. Środowisko, w którym wyrosła, tak ją ukształtowało.

Od Danki nauczyła się, że wszystko można na otoczeniu wymusić. Starsza głuchoniema siostra, której nikt nie rozumiał i która zawsze i wszystko, cokolwiek by sobie nie wymyśliła, potrafiła wywalczyć gwałtem i domową awanturą. Tak naprawdę to nikt nie wiedział, o co jej chodzi i czego tak naprawdę chce, więc dla świętego spokoju, nikt nie próbował „ustawić jej do pionu”²³⁸. Rodzice tłumaczyli: „Po co się denerwować. Przecież ona i tak nie rozumie.”

Od Zbyszka nauczyła się być samolubną i w żadnych okolicznościach nie mieć skrupułów. Jej kaleki brat poruszał się wyłącznie o kulach i w specjalnych aparatach na zniekształconych nogach. Zawsze robił to, na co miał ochotę i za nic były mu koszty czy następstwa takiego postępowania. Uważał, że koszty te powinni ponosić inni. Był niesłuchanie samolubny, ale też niesłuchanie inteligentny. Niestety wykorzystywał swoją inteligencję zawsze w najgorszy sposób. Tłumaczenie jego postępowania ze strony rodziców było zawsze takie same: „Przecież on jest taki chory, to mam mu jeszcze wszystkiego zabraniać.”

Ojciec bardzo szybko stracił orientację w tym, co się w rodzinie dzieje i dał sobie spokój. W Mrągowie hodował gołębie, a w Zielonej Górze, gdzie nie było warunków na gołębie, zajął się kanarkami. Przychodził z pracy, jadł obiad i zamykał się w kuchni ze swoimi ptakami. Na ogół budował tam nowe klatki. Dla własnych potrzeb, ale także na sprzedaż. Czasami sprzedawał nową klatkę albo parkę młodych kanarków, więc oficjalnie nazywało się to, że w ten sposób dorabia. Lecz tak naprawdę, to chował się on w kuchni za kanarkami przed problemami i przed okaleczoną rodziną.

Matka, Hela, „od zawsze” chorowała na serce. Brała silne leki, między innymi uspokajające. Były one tak daleko uspokajające, że nic nie potrafiło jej wyprowadzić z równowagi. Było to bardzo dobre, gdy odwiedzała, a raczej nawiedzała ją jej niesamowita teściowa. Tylko na lekach mogła taką wizytę przetrwać. Lecz jeśli chodzi o dzieci, to może byłoby dla nich lepiej, gdyby mama się czasami trochę zdenerwowała.

Kiedy w maju 1968 roku zmarła Hela, żył jeszcze nasz tata. Tata zmarł dopiero we wrześniu. Mama postanowiła ulżyć Tadeuszowi w najtrudniejszych po śmierci żony czasach i zabrała Jolę do nas, do Mrągowa. Miało to być tak „na jakiś czas”, żeby Tadeusz mógł na nowo poukładać sobie życie. Z tych kilku tygodni, czy nawet miesięcy zrobił się cały rok. Nawet śmierć naszego taty we wrześniu 1968 roku mama nie zmusiła Tadeusza do odebrania od nas Joli.

Nasza sytuacja finansowa była po śmierci taty krytyczna. Nie dostaliśmy po nim renty, bo zabrakło mu 11 dni pracy. Gdyby zmarł 15, a nie 4 września, renta by się nam

²³⁸ Ustawić(kogoś) do pionu - wymusić/wyegzekwować przestrzeganie obowiązujących zasad przez niesubordynanta. (Coś) doprowadzić do prawidłowego funkcjonowania. Źródło: <https://pl.wiktionary.org/wiki>

należała. Niestety śmierć nie poczekała i zostaliśmy tylko ze skromną pensją mamy. Pracowała wówczas w klubie „Ruchu” i zarabiała około 800 złotych miesięcznie. Było jasne, że aby ulżyć finansowo naszej mamie, Tadeusz zabierze Jolę do Zielonej Góry. Jasne to było niestety tylko dla nas. Nie dla Tadka. Odebrał Jolę dopiero w połowie 1969 roku. Niestety, dla mnie było to już za późno, mleko już było rozlane. Rzuciłem szkołę i poszedłem do pracy w pogotowiu ratunkowym, jako sanitariusz. Mamy nie było stać na opłacenie internatu. Było to 405 złotych. A w domu była jeszcze trójka, z Jolą czwórka, młodszego rodzeństwa. Do tego żadnych szans na wciągnięcie do tego kieratu Zygmunta, bo był wtedy w wojsku. Wrócił dopiero po roku, ale miał w tym czasie swoje lata buntu i jeżeli już pracował, to raczej na swoje potrzeby i na rozrywki. Nie pamiętam, aby w tym czasie kiedykolwiek dołożył się do rodzinnego budżetu. Dlatego też, tak na wszelki wypadek, moją wypłatę odbierała za mnie mama i do czasu, kiedy wróciłem z wojska, nigdy zarobionych przeze mnie pieniędzy nie widziałem.

W 1969 roku jesienią, czyli rok po śmierci naszego taty, Tadeusz po wielu moniatach zabrał Jolę do Zielonej Góry. Od tej pory widywaliśmy ją rzadko. Czasami wpadała do nas latem, dwa razy ja byłem przejazdem w Zielonej Górze, to się z nią krótko widziałem, ale do żadnej dłuższej rozmowy nigdy nie doszło. U nas nie miała na to czasu, bo zawsze gdzieś była jakaś dyskoteka, a w Zielonej Górze rzadko pokazywała się w domu, bo była skłócona z Irminą, nową żoną Tadeusza.

Irmina.

Irmina była bardzo sympatyczną kobietą, a za to, co wytrzymała od swoich parasierbów i teściowej zostanie kiedyś świętą. Obie, Irminę i matkę Tadeusza poznałem w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy spędziłem jeden dzień w Zielonej Górze. Jola wpadła wtedy na chwilę do domu, nawymyślała Irminie i znikła. Tadeusz swoim zwyczajem schodził kłopotom z drogi, więc zamknął się na ten czas w kuchni i lutował kolejną kłatkę dla kanarków. Potem, kiedy już się wszystko uspokoiło, wyszedł z kuchni i zaprosił mnie na piwo do słynnej zielonogórskiej palmiarni. Tam dowiedziałem się, że wizyta Joli była dla wszystkich zaskoczeniem. Nikt jej się tu nie spodziewał, bo Jola przed miesiącem poszła do kolejnej nowej szkoły. Był tam internat, więc do domu przyjeżdżała tylko w soboty. Jej wizyta w środku tygodnia oznaczała, że Jola najprawdopodobniej i tą szkołę rzuciła. By uniknąć dyskusji na ten temat, zrobiła Irminie piekło w domu i poleciała na skargę do babci. Wiedziała doskonale, że Tadek się do żadnej awantury nie włączy. Raczej, jak zwykle, zamknie się w kuchni. Na Irminę dodatkowo napuściła babcię, więc z tej strony też będzie miała spokój i nikt nie będzie jej wysyłał do szkoły. Tak się też stało. Kiedy poszliśmy z Tadkiem odwiedzić jego mamę, ona już na nas czekała. Widziałem ją wtedy po raz pierwszy i ostatni. Te kilka minut starczyło jednak, abym zrozumiał, dlaczego zarówno Hela, jak i Irmina nienawidziły jej serdecznie i twierdziły, że rujnuje ona życie im i Tadeuszowi.

Teściowa Heli i Irminy.

To był potwór. To był straszny potwór. Nie z wyglądu, lecz ze sposobu bycia i obchodzenia się z ludźmi. Nie tylko z obcymi, ale i ze swoimi najbliższymi, jak jej syn Tadeusz. O Irminie czy Heli lepiej już nie wspominać...

Na dzień dobry usłyszeliśmy kilka S.....synów i innych niezbyt dla nas pochlebnych określeń. Tadeusz próbował uspokoić mamuszkę, ale mu się to niestety nie udało. Nie

udało mu się też wytłumaczyć, kim ja jestem. Ona to już wiedziała od Joli i nie dała się zbić z tropu żadnymi, kłamliwymi jej zdaniem, argumentami. Ja, według niej, byłem kolejnym kochankiem Irminy, którego Tadeusz sprowadził specjalnie dla „tej K...”, czyli swojej żony. I tak dalej, i tak dalej przez następne piętnaście minut. Po tym czasie Tadeusz zdecydował się na odwrót i zostawiliśmy krzyczącego potwora na progu mieszkania. Jej głos słyszeliśmy jeszcze bardzo długo. Tadeusz nic nie komentował. Powiedział tylko: No i sam widzisz, co ja mam... Zrozumiałem wtedy, że to, co opowiadała o niej Hela, to „Pikus” przy tym, jaka ona była naprawdę.

Kilka lat później dowiedzieliśmy się, że Jola nie żyje. Podobno pobił ją mąż, i na skutek tego pobicia zmarła. Jednak to wszystko jest jakieś niejasne i zagmatwane. Mąż dostał niewielki, jak na taką sprawę wyrok, podobno z braku dowodów. Odsiedział kilka miesięcy i potem sam wychowywał ich dziecko. Ani jego, ani Joli dziecka nigdy nie udało mi się poznać.

Ostatnie danie z GS-u²³⁹.

W każdym razie mieszkaliśmy jeszcze w Löhne w mieszkaniu zastępczym, zwanym tu Notwohnung, czyli mieszkanie awaryjne. Niedaleko nas, na Brunnenstraße mieszkała Danka z Karlem-Heinzem. Nasze stosunki w tym czasie były jeszcze bardzo dobre. Mieszkaliśmy już jakiś czas w Niemczech i coraz lepiej radziliśmy sobie w życiu codziennym. Był to etap, kiedy potrafiliśmy już w niektórych sytuacjach pomagać Dance i Karlowi-Heinzowi. Wiedzieli o tym i korzystali z tego od czasu do czasu, a my pomagaliśmy im bardzo chętnie. Byliśmy u nich, a oni u nas, częstymi gośćmi. Czasami razem świętowaliśmy. Takie święta jak urodziny, Sylwester czy też Boże Narodzenie spędzaliśmy często wspólnie. Nasz pierwszy niemiecki Sylwester też spędzaliśmy u nich, w otoczeniu ich znajomych i przyjaciół, czyli ludzi niesłyszących. Nawet trochę potańczyliśmy. Trzeba było jednak uważać. Kiedy kończyła się muzyka, my przerywaliśmy taniec. Oni tańczyli dalej...

Sylwester był składkowy. Każdy z uczestników przynosił ze sobą coś do jedzenia. Tematem dnia były owoce morza, więc każdy uczestnik spotkania musiał przynieść ze sobą „coś na temat”. Karl-Heinz jeździł nawet specjalnie do Münster po małże i inne luksusy. Inni, jak się potem okazało, też nie zasypywali gruszek w popiele, lecz starali się wypaść jak najlepiej i przynosili „różne różności”. Czym my mogliśmy ich zaskoczyć? Przecież na tym etapie naszego życia w nowej ojczyźnie nawet nie wiedzieliśmy, jakie mamy pod tu tym względem możliwości. Poza tym, skąd wziąć na to pieniądze. Żyliśmy wtedy z zasiłku dla przesiedleńców. Rada w radę postanowiliśmy nie ryzykować żadnych cudów i zrobić coś, co znaliśmy z naszego „poprzedniego życia”. Padło na tzw. „ostatnie danie z knajpy GS”, czyli rybę po grecku²⁴⁰. Młodzieży wyjaśniam, że ryba ta nie ma,

²³⁹ Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” (w skrócie: GS albo GS „Sch”) – nazwa spółdzielni produkcyjno-handlowo-usługowych istniejących w większości gmin wiejskich i miejsko-wiejskich. Utworzone w okresie PRL gminne spółdzielnie miały wówczas praktycznie monopol handlu na wsi (w miastach ich odpowiednikami były w pewnym zakresie spółdzielnie spożywców „Społem”). Poza działalnością gospodarczą niektóre GS-y zajmowały się także aktywizacją lokalnej społeczności poprzez prowadzenie Klubów Rolnika. Większość Gminnych Spółdzielni przetrwała reformy rynkowe. Część spółdzielni działa nie tylko na terenach wiejskich, ale również w miastach – zazwyczaj wówczas pod nazwą Rejonowa Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu. Źródło: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Gminna_Spółdzielnia_\"Samopomoc_Chłopska\"](https://pl.wikipedia.org/wiki/Gminna_Spółdzielnia_\)

²⁴⁰ Ryba po grecku – podawana na ciepło lub zimno potrawa, na którą składają się smażone kawałki lub filety rybne w sosie warzywnym. Podstawowymi składnikami sosu są najczęściej tarta marchew, pietruszka i seler, cebula oraz koncentrat pomido-

oprócz nazwy, nic wspólnego z Grecją i jest jednym z dwóch dań, które nawet w okresie najciemniejszego komunizmu dostępne było w każdej knajpie. Nawet w tej najgorszej, czyli w każdej wiejskiej knajpie GS. W każdej knajpie zawsze były jaja w majonezie i ryba po grecku.

Na wszelki wypadek, dla ciekawskich i dla eksperymentatorów, podaję przepis na tą słynną poniekąd komunistyczną potrawę:

Składniki: ok.1 kg filetów rybnych, 5-6 (0,5-0,6 kg) dużych marchewek, 0,2 kg korzenia pietruszki, 0,15 kg selera, 0,5 kg cebuli, łyżeczka cukru, sól, 2-3 liście laurowe, po kilka ziarenek pieprzu i ziela angielskiego, 0,25 kg przecieru pomidorowego, 0,5 szklanki wody, 3 łyżki oleju plus olej do smażenia ryby.

Warzywa obrać i utrzeć na dużej tarce, cebulę pokroić w talarki i te przepołówić. Na patelni rozgrzać olej i udusić na wolnym ogniu przyprawione warzywa. Pod koniec duszenia dodać trochę wody, doprawić do smaku i dodać przecier pomidorowy. Na drugiej patelni usmażyć ryby. Kiedy ryby wystygną, układać je warstwami w półmisku i przekładać duszonymi warzywami. Przed podaniem danie powinno przynajmniej 24 godziny postać w lodówce. Nam smakuje najlepiej po trzech dniach, kiedy ryba przejdzie dobrze smakiem warzyw. Jeżeli Wam ten przepis nie odpowiada nie odpowiada, w internecie możecie znaleźć dziesiątki innych.

Przygotowaliśmy to, co było najtańsze i co umieliśmy przygotować. Przypominam, że internet z przepisami jeszcze w tych czasach nie istniał, nie mieliśmy innego wyjścia i zastosowaliśmy nasz domowy, patrz wyżej, przepis. Jedyne zamiast fileta zastosowaliśmy paluszki rybne. Ogromny ich półmisek w sosie greckim wylądował na środku stołu z najprzeróżniejszymi wykwintnościami z owoców morza. Początkowo uczestnicy balu patrzyli na obce sobie danie bardzo sceptycznie i woleli „siorbać” jakieś tam małże, czy też jeść jakieś inne morskie robactwo. Kiedy jednak spróbowali „ostatniego dania z GS-u” padły wszelkie wielkopańskie uprzedzenia i ryba po grecku stała się przebojem. W tym miejscu mogę tylko powiedzieć: „Cudze chwalicie...”, i dodać, że danie to jest do dzisiaj ozdobą naszego stołu i zawsze znajduje smakoszy, którzy się nim zachwycają.

Zbyszek sam w Nowym Yorku. Prehistoria filmu „The Terminal”.

Wróćmy jeszcze raz do Zbyszka. W roku 1990 albo na początku 1991 odbył on największą podróż swojego życia. Chciał pewnie dobrze, a wyszło jak zwykle, czyli o najgłupszy, albo może jednak „życiowy” numer, jakim się kiedykolwiek popisał.

Pewnego pięknego popołudnia przyjechali do nas niespodziewania Danka i Karl-Heinz. Byli bardzo podekscytowani i prosili, aby szybko pojechać z nimi do ich mieszkania. Pojechaliśmy. Po drodze wydobyliśmy z nich, że po południu spodziewają się pilnego telefonu z New York. Taką informację otrzymała dla nich ich sąsiadka od Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Naszym zadaniem było pośredniczyć w tej rozmowie. Całe popołudnie upłynęło nam na spekulacjach, kto będzie dzwonił i po co. Przecież ani Danka, ani Karl-Heinz, ani my nie mamy nikogo w New York.

rowy. Wszystko to smażone na oleju, a następnie duszone z dodatkiem wody, soli, pieprzu i przypraw (tradycyjnie ziela angielskiego i liścia laurowego oraz czasem innych). Po usmażeniu ryby krótko dusi się ją w uduszonych wcześniej warzywach. Wbrew nazwie, potrawa ta nie jest znana w kuchni greckiej. (Źródło: <http://pl.wikipedia.org/>)

Okazało się jednak, że mamy. Zbyszka. Poinformowała nas o tym pani z niemieckiego konsulatu w tym mieście. Zadzwonił telefon i miły głos zapytał, czy ktoś z nas zna nikajkiego Zbigniewa Golda. Pan ten został zatrzymany przez nowojorską policję na tamtejszym lotnisku. Przebywał tam około trzech tygodni, czyli od czasu przybycia z Niemiec. Policja ustaliła to na podstawie biletu lotniczego (w jedną stronę), paszportu i nagrań z monitoringu lotniska. Po prostu przyleciał do New York i przez trzy tygodnie nie opuszczał lotniska. Wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy, ale kilka lat później okazało się, że jest on pierwowzorem bohatera nakręconego w 2004 roku filmu „The Terminal”²⁴¹. Nasz realny bohater, ten z roku 1991, Zbyszek nie miał prawdopodobnie ani pieniędzy ani odwagi by opuścić lotnisko. Biletu powrotnego też nie miał, więc był w sytuacji bez wyjścia. Zamieszkał na lotnisku. Z czego i jak żył w tym czasie, tego nikt nie wie. Po kilku tygodniach koczowania i prawdopodobnie głodowania na lotnisku „odbiła mu palma”. Zaaatakował bez powodu jakąś przypadkowo przechodzącą kobietę. Do incydentu włączyły się służby porządkowe i aresztowały „podróżnika”. Po wylegitymowaniu i sprawdzeniu, kim jest i co tu porabia, zamknięto go w klinice dla psychicznie chorych. Tam przez kilka kolejnych tygodni przywracano go do zdrowia zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Fizycznie doprowadzono go do porządku, co do zdrowia psychicznego, to mam wątpliwości, czy on kiedykolwiek był zdrowy. Niemniej pani z nowojorskiego konsulatu szukała chętnych, którzy przejęliby koszty jego leczenia w klinice i koszty biletu powrotnego do Niemiec. Niestety, chętnych nie znalazła, bo ani ja, ani Danka nie mieliśmy ochoty ponosić kosztów ekstrawagancji Zbyszka. Nie byliśmy też w stanie ich ponieść, więc koszty te poniósł Bush Senior,²⁴² czyli USA, a koszt biletu powrotnego do niemieckiej ojczyzny Helmut Kohl,²⁴³ czyli państwo niemieckie. Danka musiała jedynie odebrać brata z lotniska w Hannover i przywieźć do Löhne. Niestety, od tego czasu nie miałem z bohaterem tej historii żadnego kontaktu, więc nie mogłem go też wypytać o szczegóły tej eskapady. Kilka lat temu dowiedziałem się, że Zbyszek nie żyje. Umarł tak jak żył. W samotności...

Mazurskie widoki.



²⁴¹ The Terminal - Fabuła filmu "Terminal" opiera się na prawdziwej historii człowieka, który przez wiele miesięcy koczował na terenie lotniska, ale z pozoru wygląda ona nieprawdopodobnie. Centralną postacią filmu jest Viktor Navorski ([film=313646]Tom Hanks[/film]), który przylatuje do Nowego Jorku z fikcyjnej Krakozii. Dokładnie w tym samym momencie w jego ojczyźnie dochodzi do puczu wojskowego. Pechowy turysta nagle staje obliczu biurokratycznego absurdu. Jego paszport i wiza przestają być ważne, nie może, więc ani wjechać na teren Stanów Zjednoczonych, ani też wrócić do domu. (Zródło: <http://www.filmweb.pl/Terminal/descs>)

²⁴² Bush Senior - George Herbert Walker Bush – amerykański polityk, republikanin, przedsiębiorca naftowy. W latach 1989-1993 41. prezydent Stanów Zjednoczonych, w latach 1981-1989 41. wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, ojciec 43. prezydenta George'a W. Busha. (Zródło: <http://pl.wikipedia.org/>)

²⁴³ Helmut Josef Michael Kohl (ur. 3 kwietnia 1930 w Ludwigshafen am Rhein) – niemiecki polityk (CDU), 1969-1976 premier rządu Nadrenii-Palatynatu, 1982-1998 kanclerz Republiki Federalnej Niemiec. (Zródło: <http://pl.wikipedia.org/>)

Emerytura. 01 czerwca 2015.

Motto:

Moja emerytura nie została zaplanowana jako Spółdzielnia Usługowa „Emeryt”, lecz jako Centrum Wypoczynkowe „Relax”.

Kilka emeryckich przemyśleń o emeryturze, matematyce i życiu.

Stało się! Jestem Emerytem. To nie jest błąd, to jest działanie celowe. Słowo „Emeryt” od tej pory będzie przeze mnie pisane dużą literą. Moja nowa zasada narusza wprawdzie zasady polskiej pisowni, ale, moim skromnym zdaniem, ta zasada pisowni narusza zasady zdrowego rozsądku, który krzyczy o wyrażenie Emerytom uszanowania. Również poprzez pisanie tego słowa dużą literą, ale nie tylko...

Stało się! Jestem Emerytem. Nareszcie... Po wielu latach pracy, zasłużony odpoczynek. Wspaniała okazja, by przytoczyć w tym miejscu fragment Pieśni K.I. Gałczyńskiego:

„Jesteśmy w pół drogi, droga pędzi z nami bez wytchnienia,
Chciałbym i mój ślad na drogach ocalić od zapomnienia.”

Jakże często słyszałem w moim życiu ten cytat. Jakże często przytaczałem go przy różnych okazjach. Jednakże chyba dopiero teraz zaczynam rozumieć jego głęboki sens i znaczenie. Z drugiej strony wcale nie jestem pewny, czy za kilka lat nie będę tego cytatu odbierał jeszcze inaczej. A może fragment ten ma czarodziejski dar dopasowywania się do rzeczywistości i w każdym odcinku życia ma inna sens i inne znaczenie? Nie wiem. Wiem jednak, że Gałczyński był czarodziejem słowa i ten „kawałek” został przez niego zaczarowany. Teraz ten zaczarowany fragment pojawia się w różnych odcinkach mojego życia „puszcza do mnie oczko” podsumowując moją przeszłość i przekonując mnie, że życie moje nadal „pędzi bez wytchnienia” i to, co najważniejsze ciągle jeszcze jest przede mną... Poza tym, nie znalazłem nic innego, co piękniej i dokładniej opisywałoby to, co już minęło i zarazem to, co jeszcze jest przed nami.

Te przemyślenia skłoniły mnie, aby żelazną matematyczną regułą, że „niema większej, ani mniejszej połowy” traktować czasami z przymrużeniem oka. W życiu nie ma też jednej trzeciej, która jest taka sama jak ta druga, czy też trzecia część całości. W matematyce na pewno wszystko się zgadza, ale życie jest bardziej skomplikowane. Życie, zgodnie z moimi przemyśleniami, składa się, lub składać się powinno, z trzech teoretycznie równych części czy etapów. Niektórzy twierdzą, że chodzi tu o młodość, drugą młodość i trzecią, jesienną młodość. To nieco matematyczne podejście do młodości jest mi coraz bliższe. Im jestem starszy, tym bardziej się do tej teorii przekonuję...

Pierwszych dwadzieścia kilka do trzydziestu lat życia, to pierwsza młodość. Składa się na nią czas dzieciństwa i dorastania, czas nauki i przygotowania do życia pod każdym względem. Zarówno do życia zawodowego jak i do życia rodzinnego. Jest to czas pierwszych życiowych prób, pierwszych życiowych doświadczeń i pierwszych miłości. Zarówno tych udanych, jak i nieudanych. Wszystkie próby, doświadczenia i miłości, zarówno te dobre, jak i te nieudane kształtują nas i procentują w naszym późniejszym życiu. Te, matematycznie widziane, „pierwsze życiowe trzydzieści lat” trwa u niektórych tylko

lat kilkanaście, inni zaś nigdy nie przestają być dziećmi. Matematyka mija się tu z kompletnie życiem. Zarówno w tym pierwszym, jak i w dwóch kolejnych odcinkach naszego życia...

Drugie dwadzieścia kilka do trzydziestu lat życia, to czas dorosłości, albo, jak kto woli, drugiej młodości. Czas dojrzałego życia, pracy i miłości. Niektórzy nazywają ten życiowy odcinek „najlepsze lata”. Mógłbym się o to posprzeczać, bo według mnie, najlepsze lata każdy z nas ma jeszcze przed sobą. Mało tego. Uważam, że najlepszą część swojego życia, każdy i w każdym wieku, ma jeszcze przed sobą. Lecz nie to jest w tym miejscu najważniejsze. Najważniejsze jest, że czas ten nieczęsto jest matematyczną jedną trzecią życia. Część ta jest na ogół najdłuższym życiowym odcinkiem i często przekracza nawet jego połowę. Bardzo często dzieje się to kosztem pierwszej życiowej części, ale na ogół jednak skraca to trzeci odcinek naszego życia. Odcinek, w którym nie musimy już „pędzić bez wytchnienia”. Odcinek, w którym zebrane doświadczenia życiowe pozwalają spokojnej i bardziej dogłębnie traktować życie. Odcinek, w którym nie musimy się już z nikim ścigać i możemy wybrać z życia wszystko, co najpiękniejsze. Możemy rozkoszować się wyłącznie tym, co jest dla nas najważniejsze i najlepsze. Takie są te trzecie dwadzieścia kilka do trzydziestu lat życia, czyli tak zwana „Złota Jesień” albo trzecia młodość. Stoję dopiero na jej progu, więc nie mam jeszcze żadnych doświadczeń w tym względzie i na ten temat mogę najmniej powiedzieć.

Uważam jednak, że jest to czas zbiorów. Czas, w którym zbieramy owoce poprzednich naszych życiowych odcinków. Czas dojrzałej mądrości i jej przekazywania młodszemu, oraz czas prawdziwej i dojrzałej miłości. Być może jest ona już czasami pozbawiona tych wielkich szaleństw, o których marzyliśmy w młodości. Być może jest ona już "po przejściach" i doświadczeniach. Lecz są to przejścia i doświadczenia, które uczą, że w dojrzałej miłości młodzieńcze uniesienia i szaleństwa nie są najważniejsze. Ich czas był kiedyś. Był piękny i minął bezpowrotnie. Teraz potrzebujemy ciepła, bliskości bezgranicznego zaufania. Zgoda, jakieś małe szaleństwo od czasu do czasu z pewnością tu nie zaszkodzi, wręcz przeciwnie. Teraz nie należy to jednak do standardu. Z biegiem lat standardy są coraz spokojniejsze...

Końcówka i start trzeciego życiowego etapu...

Pierwszego czerwca tego roku rozpocząłem ten właśnie, trzeci etap mojej po tym świecie wędrówki, czyli życie emeryta. Czy to ma jakieś znaczenie, że właśnie pierwszego czerwca? Nie wiem. Chyba nie, ale ja biorę to za dobrą wróżbę. Po pierwsze jest to Dzień Dziecka, a dziecko jest symbolem początku i długiej, ciekawej przyszłości. Po drugie, jest to pierwszy w tym roku dzień astronomicznego lata. Lata, nie jesieni... Zatem początek mojego bytu emeryta, a nie początek „jesieni życia”, jak to się popularnie mówi. Jest to początek mojego prawdziwego lata. Początek lata astronomicznego i jednocześnie początek mojego astronomicznie dobrego, długiego i ciekawego życia „na emeryturze”!!!

Początek emerytury zbiega się na ogół z zakończeniem pracy zawodowej. Tak było też w moim przypadku. Ostatni dzień mojej pracy zawodowej wypadł w piątek, 29 maja. Po ponad 45 latach pracy, w tym po niespełna 20 latach pracy w firmie Bury kończył się dla mnie mój drugi etap życiowej wędrówki. Taki dzień ma zawsze dwie strony. Tą słoneczną i tą nieco zacienioną. Słoneczną stroną tego dnia jest myśl o tym, że od jutra będzie więcej czasu „dla siebie”, na hobby i na inne, od dłuższego czasu „na później” odkładane zajęcia. Nowe, przepiękne pióro, które otrzymałem od Firmy na pożegnanie, „pali

się w rękach“ by nareszcie przelać na papier życiowe i rodzinne wspomnienia. Być może wnuki przeczytają to kiedyś i stare, zapomniane już historie znowu ożyją... Aparat fotograficzny też czeka niecierpliwie na nowe zdjęcia a wędki zapraszają do Szwecji na „prawdziwą rybę”...

To są te piękne wizje, które od miesięcy chodziły mi po głowie. Dzisiaj, kiedy przyszedł ten tak długo oczekiwany „dzień X”, słoneczna strona tego radosnego dnia, zaczęła powoli zachodzić cieniem. Proza życia jak zwykle ściągnęła mnie na ziemię. Dzisiaj jest nie tylko ostatni dzień mojej pracy, ale zaczyna się też ostatni etap mojego życia, czyli „trzecia młodość” albo jak twierdzą inni „jesień życia”. Na pewno będzie to etap piękny i długi, ale jednak ostatni. Kalendarza nie da się oszukać... Takie myśli są smutne i potrafią niejednokrotnie definitywnie popsuć „przesiadkę” do nowego życia. Niejednokrotnie, ale nie zawsze. Nie tym razem. Dzięki moim szefom, czyli Pani i Panu Bury oraz moim wspaniałym kolegom ta smutna część moich myśli pękła jak mydlana bańka. Zorganizowali mi oni wspaniałą uroczystość przejścia do następnego życiowego etapu i wszystkie smutne myśli rozplynęły się w nicości. Jeżeli do oczu cisnęły się momentami łzy, to był to wyłącznie objaw głębokiego wzruszenia.

Zaczęło się całkiem prozaicznie. Najpierw przestały dochodzić do mnie ogólne firmowe maile. „Czyżby mnie już wykreślili?” - Pomyślałem sobie i zrobiło mi się trochę przykro. Jak się potem dowiedziałem była to specjalna akcja dywersyjna działu IT, aby odciąć mnie od wiadomości na temat organizowanej właśnie imprezy. Imprezy ma moją część.

Rok 2015. Mój ostatni dzień pracy przed emeryturą. Od lewej:

Agnieszka Miarecka - szefowa kadr, Sabina Buchholz - szefowa księgowości, Pan Henryk Bury, Pani Renata Bury i ja.

trzymać. Po dwunastej zrobiło się w naszym biurówcu jakoś podejrzanie pusto. Większość pracowników gdzieś znikła, tylko ja trwałem na posterunku. Około 12.30 przyszła po mnie Agnieszka Miarecka, nasza szefowa kadr i poprosiła, by wyjść z nią na świeże powietrze. Poszliśmy. Przed budynkiem czekali na mnie wszyscy pracownicy Firmy, razem z Panią i z Panem Bury. Szefowa, Pani Bury wygłosiła wzruszające przemówienie. Bardzo miłe i wzruszające. Łezki zaczęły krążyć niedaleko oczu, ale zgodnie z zasadą „Chłopaki nie płaczą” udało mi się to jakoś zatuszować. Potem były gratulacje i życzenia oraz wspaniałe prezenty. Zarówno od Firmy jak i osobiście od Pani i Pana Bury, jak też od przyjaciół, koleżanek i kolegów. Dziękuję Wam wszystkim serdecznie i obiecuję, że będę o Was i tym wspaniałym święcie pamiętał do końca tego etapu mojej życiowej wędrówki...

Serdecznie dziękuję za wszystkie prezenty. Są wspaniałe. Nie będę teraz wszystkich wymieniał, jednak wspomnę, że szczególnie miejsce w moim sercu i na mojej półce zajmie Gałczyński a wspaniałe, luksusowe pióro przejdzie z pewnością do rodzinnych annałów, ponieważ spisywać będzie niesamowite i już prawie zapomniane historie rodzinne.

Potem był jeszcze wspólny obiad z wszystkimi pracownikami Firmy, kolejne rozmowy, gratulacje i podziękowania, ale też pierwsze wspomnienia. O tym, jak się poznali-

śmy, jak wyglądały nasze pierwsze dni w Firmie itd... itd... Potem jeszcze spotkanie z przyjaciółmi i pierwsze plany nowych „pozasłużbowych spotkań”. Tak zeszło do ostatniego fajrantu. Pozostaniecie zawsze w mojej dobrej pamięci.

„Pożegnalne” przemówienie Pani Renaty Bury.

Panie Henryku,

ja, ja ich weiß, Sie heißen Heinrich Turek, aber für mich und meinen Mann bleiben Sie Henryk. Ich habe mir den ganzen Abend überlegt, wie man so eine Abschiedsrede anfangen soll. Es ist keine leichte Aufgabe. Vielleicht "Heute ist die große Wende, Dein Berufsleben geht zu Ende ... " Nein, zu einfach. So etwas passt nicht zu Ihnen. "Verschiebe nicht auf morgen, was genau so gut auf übermorgen verschoben werden kann". Ein Spruch von Mark Twain als Motto für die folgenden Jahre? Schon besser, oder "Ein Abschied schmerzt immer, auch wenn man sich schon darauf freut" von Arthur Schnitzler.

Sie sind seit fast 20 Jahren bei uns. Angefangen haben Sie in der Buchhaltung mit dem KHK Programm. Dann kam das neue Programm Concorde/Damgaard. Sie waren bei der Einführung des Programms in der ganzen Bury Gruppe sehr aktiv. Sie unterstützten die Firma bei dem Organisationsaufbau. Bis heute, wen es um Damgaard geht, bitten wir Sie immer um Ihre Hilfe. Ihr Leben war immer mit der Buchhaltung und EDV verbunden. Anlagevermögen, Konten, Vorerfassung, Intrastat, Buchungen, Bilanzen und viele andere Sachen, die ich nicht aufzählen kann. Aber Eines, was mir für immer in Erinnerung bleibt, sind die Gespräche im Flur. Über verschiedene Sachen: Reisen, Schweden, Angeln, Heimat, Literatur, Politik. Und besonders über unsere gemeinsame Schwäche, sogar Liebe zum Gälczyński.

(Übersetzung / tłumaczenie)

Panie Henryku,

tak, tak, ja wiem. Pan się nazywa Heinrich Turek, ale dla mnie i dla mojego męża pozostanie pan Henrykiem. Cały wieczór myślałam, jak mam to pożegnalne przemówienie rozpocząć. To nie było łatwe zadanie. Może „ Dzisiaj nastąpi wielki przełom, Twoje zawodowe zaangażowanie dobiega końca...” Nie, to jest za proste, coś takiego po prostu do Pana nie pasuje.

„Nie odkładaj do jutra tego, co dokładnie tak samo możesz dołożyć do pojutrze”. To powiedzenie Marka Twain’a jako motto na następne lata? To już lepiej, lecz może jednak „Pożegnanie jest zawsze bolesne, nawet wtedy, gdy się z tego powodu cieszymy” Artura Schnitzera?

Pan jest u nas już prawie 20 lat. Zaczynał Pan w księgowości z programem KHK. Potem przyszedł nowy program – Concorde/Damgaard. Pan bardzo aktywnie wprowadzał ten program w całej grupie Bury. Pan wspierał Firmę w budowie nowych struktur organizacyjnych. Do dzisiaj, jeśli chodzi o Damgaard, prosimy zawsze o Pana pomoc. Pańskie życie (zawodowe) zawsze było związane z księgowością i działem komputerowym. (EDV – elektroniczne przetwarzanie danych). Środki trwałe, konta, rejestr rachunków, sprawozdanie intrastat, księgowania bilanse i wiele innych spraw, które trudno mi zliczyć. Lecz jedno na zawsze pozostanie mi w pamięci. Są to nasze rozmowy w korytarzu. Na wszystkie tematy. Podróże, Szwecja, wędkowanie, Heimat (Kraina Ojczysta), literatura, polityka. I szczególnie rozmowy o naszej wspólnej słabości, o miłości do wierszy Gälczyńskiego.

"Miliardy są nas na tym świecie,

który widzimy przez szkła,
i każdego z nas w dołku gniece,
i każdy z nas zgaę ma.
Nam nie wolno ogórków i grzybków,
nas malutki zabija rydz,
nam nie wolno niczego za szybko
i nie wolno w ogóle nic.

Chór: Ale choć nam nawala w wątrobie,
choć nas męczą zastrzyki i kasze,
śmiało, starcy! Stańmy na głowie!
Ziemia młodym. Lecz niebo jest nasze

Mit dem Word "Starcy" bin ich aber nicht einverstanden. Wir sind immer noch jung. Wie Goethe gesagt hat: "Alter macht uns nicht kindisch, wie man sagt, aber entdeckt in uns immer noch Ware Kinder."

Sie werden uns fehlen. Ihre feine Art. Sie Genießer, Sie Kenner. Sie Mensch, der die schönen Dinge des Lebens mag und genießen kann. Ich könnte noch lange über die Vergangenheit reden, über Sie. Es war schön mit Ihnen.

Danke.

Und zum Schluss wünsche ich Ihnen viele schöne Tage zum Wandern, die Welt erkunden, angeln, fotografieren, lesen, alte Plätze besuchen.

(Übersetzung/tłumaczenie)

Ze słowem „Starcy“ nie zgadzam się jednak. Jesteśmy przecież ciągle młodzi. Goethe powiedział na ten temat: „Starość nie czyni z nas dzieci, lecz odkrywa w nas ciągle na nowo Prawdziwe Dzieci.”

Będzie nam Pana brakowało. Pańskiego dobrego smaku. Znawcy. Smakosza. Człowieka, który kocha piękne strony życia i umie się nimi cieszyć. Mogłabym jeszcze długo rozprawiać o przeszłości i o Panu. Z Panem było piękne.

Dziękuję.

Na koniec życzę Panu wiele pięknych dni na wędrowni, poznawanie świata, wędrowanie, fotografowanie, czytanie i ponowne odwiedzenie miejsc związanych ze wspomnieniami.

"Tu, gdzie się gwiazdy zbiegły
w taką kapelę dużą,
domek z czerwonej cegły
rumieni się na wzgórzu:
to leśniczówka Pranie
nasze jesienne mieszkanie.
W nocy tu tyle nuceń
i spiewań, aż do rana.
Księżyc w srebrnej peruce
gra jak Bach na organach
i płynie koncert wielki
przez dęby i przez świerki -
to leśniczówka Pranie:
nocne koncertowanie.

Świerszczyk zaćwierka w kominie.
Nietoperz wzleci nad mur.
I pełny księżyc popłynie,
jak okręt przez porty chmur.
"Na majową wycieczkę!"
śpiewaj ze mną i mruż.
Zostaw suszkę i teczkę,
Zamknij biurko na klucz;
popatrz tylko na drzewa,
Na te brzozy i bzy;
bez kwitnie, wilga śpiewa,
kwitnij, śpiewaj i ty.

Konstanty Ildefons Gałczyński

Alter macht uns nicht kindisch, wie man sagt,
aber entdeckt in uns immer noch wahre Kinder.

Goethe

Wiek nie czyni nas dziecinnymi, jak to mówią
ale wciąż odkrywa w nas prawdziwe dzieci.

Goethe

I.
Sobota. Godzina trzecia.
Ach, jaki piękny świat!
Motyl z szuflady wyleciał
i wietrzyk przez okno wpadł.
Piosenka w szalonej głowie
szumi jak młody las.
Za miasto, za miasto, panowie,
Wędrujemy w majowy czas.
"Na majową wycieczkę!"
śpiewaj ze mną i mruż.
Zostaw suszkę i teczkę,
Zamknij biurko na klucz;
popatrz tylko na drzewa,
na te brzozy i bzy;
bez kwitnie, wilga śpiewa,
Kwitnij, śpiewaj i ty.

II.
Na szosie, szerokiej szosie
ileż młodzieńczych snów!

Boso pójdziemy po rosie,
kapeluszy rzucimy w rów,
Z odkrytą głową na wietrze
miło tak razem iść.
Pachnie majowe powietrze.
Tańczy brzożowy liść.
"Na majową wycieczkę!"
śpiewaj ze mną i mruż.
Zostaw suszkę i teczkę,
zamknij biurko na klucz;
popatrz tylko na drzewa,
na te brzozy i bzy;
bez kwitnie, wilga śpiewa,
kwitnij, śpiewaj i ty.

III

A kiedy wieczór odświeży
Ptakom rozgrzane źdźbła,
Do romantycznej oberży
zawiedzie nas ścieżka pstra

Mój email do wszystkich pracowników Firmy. Wersja DE.

Liebe Kolleginnen und Kollegen, Liebe Frau Bury, Lieber Herr Bury,
ich möchte mich recht herzlich für den, dank Euch netten, letzten Arbeitstag, den ich als
Vollzeitmitarbeiter vor meinem Renteneintritt in der Firma erleben durfte,
bedanken.

So ein Tag hat immer zwei
Seiten. Eine Sonnen- und eine Schat-
tenseite. Die Sonnenseite dieses Ta-
ges ist der Gedanke, dass man ab Mor-
gen viel mehr Zeit für eigene, längst
geplante, aber immer wieder „auf die
lange Bank“ geschobene Interessen
haben werde. Der wunderschöne neue
Füllhalter „brennt schon in der Hand“,
um alle alten Familiengeschichten für
die Enkel auf dem Papier festzuhalten. Der Fotoapparat lädt zum Fotografieren ein und die
Angelruten laden nach Schweden ein...



Rok 2015. Mój ostatni dzień pracy przed emeryturą.
Pożegnanie z pracownikami Firmy Bury.

Das sind die schönen Visionen, die ich mir seit Monaten vorgestellt habe. Heute kam aber der längst erwartete „Tag X“, und die Sonnenseite wurde langsam durch den Ernst des Lebens überschattet. Heute ist nicht nur der letzte Tag meiner Arbeit, heute fängt auch der letzte Abschnitt meines Lebens an. Vielleicht wird er sehr schön und lang sein, aber trotzdem ist das der letzte Abschnitt. Den Kalender kann man nicht betrügen...

So ein Gedanke macht meistens traurig und das überschattet das Umsteigen in ein neues Leben. Meistens, aber nicht immer. Nicht dieses Mal. Dank Euch und der schönen Feier, dank Ihren Glückwünschen und allen guten Ratschlägen, die ich von Euch für meine Zukunft erhalten habe, sind die traurigen Gedanken verflogen. Die haben sich einfach in Luft aufgelöst. Dafür danke ich Euch sehr herzlich.

Ich bedanke mich für den schönen Tag, den Ihr alle mir zu meinem Abschied geschenkt habt. Ich bedanke mich auch für die lange und nicht immer einfache Zusammenarbeit. Ich weiß, dass ich nicht immer der bequeme Zeitgenosse war, aber wenn wir schon gekämpft haben, haben wir das gleiche Ziel vor uns gehabt: Die Zukunft der Firma. Bei unserer Zusammenarbeit und den „Streitigkeiten“ haben wir nie Probleme gehabt, was wir wollen, nur wie wir das am besten erreichen können.

Ich bedanke mich für all die Möglichkeiten, die ich in dieser langen Zeit von Euch und von der Firma bekommen habe. Möglichkeiten, mich weiter zu entwickeln und dabei auch für unsere Firma was Gutes zu tun, was bleibt, wenn ich schon die Firma verlasse. Alle diese Möglichkeiten habe ich nach bestem Wissen und Gewissen genutzt.

Jetzt freue ich mich auf eine weitere, gute, auf einen geringeren wöchentlichen Zeitaufwand ausgelegte, Zusammenarbeit.

Danke schön.

H. Turek, Herford, den 29.05.2015

Mój email do wszystkich pracowników Firmy. Wersja PL.

Drogie Koleżanki i Koledzy, droga pani Bury, drogi Panie Bury, chciałbym Państwu serdecznie podziękować za ten, dzięki Wam miły, ostatni dzień mojej pracy na pełnym etacie, który dane mi było przeżyć w naszej Firmie. Taki dzień ma zawsze dwie strony. Tą słoneczną i tą nieco zaciemioną. Słoneczną stroną tego dnia jest myśl o tym, że od jutra będzie więcej czasu na własne hobby i na inne, od dłuższego czasu „na później” odkładane zajęcia. Nowe, przepiękne pióro „pali się w rękach” by nareszcie stare rodzinne historie przelać na papier, by wnuki mogły to kiedyś przeczytać. Aparat fotograficzny czeka już z niecierpliwością na nowe zdjęcia a wędki zapraszają do Szwecji na „prawdziwą rybę”...



Rok 2015. Od lewej: Pani Renata Bury i Sabina Buchholz, moje szefowe.

To są te piękne wizje, które od miesiąca chodziły mi po głowie. Dzisiaj przyszedł jednak ten długo oczekiwany „dzień X” i słoneczna strona tego radosnego dnia zaczęła powoli zachodzić cieniem. Proza życia jak zwykle ściągnęła mnie na ziemię. Dzisiaj jest nie tylko ostatni dzień mojej pracy, ale też zaczyna się ostatnia część mojego życia. Może ta część będzie piękna i długa, ale jednak ostatnia. Kalendarza nie da się oszukać...

Takie myśli są smutne i potrafią niejednokrotnie definitywnie popsuć „przeziadkę” do nowego życia. Niejednokrotnie, ale nie zawsze. Nie tym razem. Dzięki Wam i



Rok 2015. Od lewej: Ania Zuber i Marcelina Kopera. Współpracownicy.
Marcelina jest też moją następczynią..

wspaniałej uroczystości zorganizowanej z tej okazji, dzięki Waszym wspaniałym życzeniom i dobrym radom na moją emerycką przyszłość, smutne myśli rozpląnęły się w powietrzu. W tej świątecznej atmosferze nie miały po prostu żadnych szans. Za to dziękuję Wam z całego serca.

Serdecznie dziękuję Wam za ten wspaniały dzień, który mi подарowaliście na pożegnanie. Dziękuję też za długoletnią i nie zawsze prostą współpracę. Ja wiem, że nie zawsze byłem wygodnym i miłym współtowarzyszem naszych działań, ale nasze spory nigdy nie stawały pod znakiem zapytania tego, co chcemy osiągnąć, lecz najwyżej to, jak do tego celu dojść. Zawsze, w każdym współdziałaniu i każdym sporze mieliśmy wspólny cel: dobro Firmy.

Serdecznie dziękuję, za wszystkie te możliwości, które w ciągu tych wielu lat mojej pracy w Firmie otrzymałem. Możliwości rozwijania się zawodowego i jednocześnie wykonywania czegoś pożytecznego dla Firmy. Coś, co pozostanie, kiedy mnie już w Firmie nie będzie. Wszystkie te możliwości realizowałem zawsze z pełnym osobistym zaangażowaniem i z wykorzystaniem całej dostępnej mi wiedzy.

Teraz cieszę się z możliwości dalszej, chociaż już w ograniczonym wymiarze godzin, współpracy z Wami.

Dziękuję.

H. Turek, Herford, 29.05.2015



Rok 2016. Pamiątka z uroczystości dwudziestopięcioletnia pracy w Firmie BURY.

Odpryski odprysków. Przemyślenia, przypadki i wypadki.

Prolog²⁴⁴ do odprysków z odprysków.

Kiedy zabrałem się do pisania wspomnień, wyszło na to, że wcale nie są to wspomnienia w ogólnym tego słowa przyjętym znaczeniu, lecz „coś” nieco innego, nieco odmiennego. Nazwałem to odpryski, bo taki jest charakter tych wspomnień. Opisałem to już dokładnie w rozdziale „Odpryski” i zawało mi się, że mam ten problem „z głowy”.

Trafne wyrażenie: Zdawało mi się. Bardzo mi się zdawało. Stwierdziłem to jednak dopiero w czasie pracy nad odpryskami. Okazało się, że odpryski też mają odpryski. Najpierw, w czasie opisywania jakiegoś wydarzenia, zaczynają się przypominać najprzeróżniejsze drobiazgi związane, albo i nie bardzo związane z opisywanymi akurat wspomnieniem. Są to różne inne związane opisywanymi wypadki i przypadki, barwne wspomnienia, czasami zaś poważne przemyślenia, które zostały potem, w dalszym życiu wykorzystane lub też definitywnie zapomniane. Nie ma na to żadnych zasad ani reguł.



Rok 1995. W Polsce.
Spotkanie z rodziną Gogolów.
W tle SEAT czyli obiekt westchnień menela



Rok 1997. WCzasy w Szwecji, wycieczka do Norwegii.
SEAT, czyli obiekt westchnień menela.
Obok Henia i Sabina

Te wypadki, przypadki i przemyślenia nie pączkują, tak jak prawdziwe odpryski, nie rozmnażają się metodą drożdży, lecz odpryskują nagle w jednym niedużym kawałku od innych odprysków. Zagnieżdżają się w zakamarkach pamięci i mieszają w niej bez pytania o naszą zgodę. Kiedy usiłujesz sobie przypomnieć jakieś poważne sprawy albo pracujesz nad tym, „jak to było naprawdę”, by licentia poetica²⁴⁵ nie zakłamała całkowicie faktów, napada na ciebie taki drobiazg i boruje dziurę w głowie. Jesteś bezradny. Chcesz robić swoje, lecz po głowie chodzą ci zupełnie inne myśli...

Postanowiłem coś z tym zrobić. Poświęciłem „odpryskom odprysków” osobną część wspomnień. Ot tak, po prostu. Kiedy mnie taki drobiazg będzie zbyt długo męczył, spiszę go na tych kartkach, które zawsze i nie wiadomo, po co leżą na moim biurku i włożę

²⁴⁴ Prolog – wstępna, wyodrębniona część utworu dramatycznego lub narracyjnego, zawierająca relację o faktach poprzedzających zawiązanie akcji; prologiem nazywa się też autorski komentarz poprzedzający utwór. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

²⁴⁵ Licentia poetica – wyrażenie pochodzące z łaciny, oznacza wolność twórczą i poetycką.

Zasada, która dopuszcza w twórczości literackiej maksymalną swobodę, np. tworzenie na potrzeby danego utworu nowych słów, imion, nazw, zdarzeń lub stosowanie niespotykanej lub nawet błędnej formy odmiany danego słowa tak, aby zachować rytm albo rym. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org>)

do szuflady. Tam będzie leżał i czekał na kolegę, czyli na kolejny odpryskowy odprysk. W ten sposób ten rozdział będzie ciągle dopisywany i zostanie kiedyś zakończony, jako ostatni rozdział wspomnień...

Daj złotówkę.

Ta historyjka praktycznie dotyczy mnie i naszej rodziny tylko pośrednio, lecz jest pełna humoru. Ja byłem jednym z jej bohaterów i bardzo mnie ona rozbawiła, więc postanowiłem spisać ją dla potomnych.

Było to już wiele lat temu. W czasach, kiedy to już mieszkaliśmy w Herford a rodzice Heni mieli się jeszcze całkiem nieźle. Staraliśmy się wówczas odwiedzać ich przynajmniej raz w roku. Kupiliśmy właśnie nowego SEAT'a Toledo i pojechaliśmy nim do Żywca. Cała rodzina cieszyła się razem z nami i chwaliła nasz nowy samochód. Największy jednak z nim związany komplement powiedział mi jakiś przypadkowy, drobny pijaczek w Żywcu. Będąc u Dziadków zaparkowaliśmy samochód jak zwykle na ulicy, pod ich oknem. Tak było i tym razem. Wybieraliśmy się właśnie na jakąś wycieczkę a samochód czekał na nas pod oknem. Henia z dziećmi wybierali się jak zwykle, czyli jak sójki za morze. Wyszedłem pierwszy, by przygotować samochód. Niedaleko stał jakiś nie najlepiej ogolony mężczyzna. Wyglądał na nieco podchmielonego lumpa²⁴⁶. Podeszedł do mnie i zagadał stałym, zwykle w takich przypadkach używanym tekstem:

- Dzień dobry panie kierowniku! Bądź pan człowiekiem, poratuj pan spragnionego. Dorzuć Pan złotówkę. Zabrakło do piwa.

Zareagowałem jak zwykle w takich przypadkach. Warknąłem:

- Nic nie dostaniesz!

Lump zaniemówił. Zmierzył mnie, a potem auto lustrującym wzrokiem i powiedział:

- Masz, k...a, rację! Gdybyś, k...a, dawał każdemu, to byś, k...a, takim samochodem nie jeździł!

Rozbawił mnie tym bardzo, a jednocześnie polectał moją męską próżność. Dostał za to już nie tylko złotówkę, ale całego piąta. Mam nadzieję, że jego przepowiednia, „że jak będę każdemu dawał...” nie sprawdzi się w tym przypadku.



Przemyślenia na temat teorii Darwina.

„Najważniejszą cechą człowieka jest lenistwo. Przy czym nie można tej cechy mylić z marazmem i „nic nierobieniem”, bo prawdziwe lenistwo, to lenistwo kreatywne i twórcze. Lenistwo, które prowadzi do rozwoju nowych technologii i popycha świat do przodu.”

Darwin miał rację. Prawie w pełni zgadzam się z jego Teorią Ewolucji²⁴⁷. Brakuje mi w niej jedynie opisu bardzo ważnego faktora ewolucji, jakim jest wrodzone lenistwo

²⁴⁶ Lump, czyli menel.

²⁴⁷ Ewolucja biologiczna, ewolucja organiczna – zmiany cech całych grup organizmów następujące z biegiem pokoleń[1]. Procesy ewolucyjne powodują powstawanie bioróżnorodności na każdym poziomie organizacji biologicznej, w tym na poziomie gatunku,

wszystkich istot żywych, a w szczególności człowieka, który w tej dziedzinie osiągnął niezdo-
byste przed nim szczyty. Być może, że faktor ten nie był tak ważny w historii rozwoju
całego życia na ziemi, jednakże w historii rozwoju ludzkości jest bardzo ważny. Gdyby nie
faktor lenistwa, do dzisiaj skakalibyśmy po trzewach, jak nasi mniej leniwi kuzyni, czyli
małpy. Po prostu wielu naszych praprzodków było bardzo pracowitych i codzienne
grzeecznie skakało z gałęzi na gałąź i szukało swojej dziennej racji wyżywienia. Potem szu-
kali oni miejsca, na jako taki, w miarę bezpieczny nocleg. Następnego dnia wszystko za-
czynano się od początku i większość z nich nie myślała o jakiegokolwiek zmianie. Jeżeli już
o czymkolwiek myśleli, to o pracowitym przetrwaniu kolejnego dnia. Osobniki te niewiele
się z biegiem czasu zmieniły i do dzisiaj biegają po drzewach. Są to nasi najbliżsi kuzyni,
małpy.

Na całe szczęście wśród tych opisanych pracowitych praprzodków ludzkości znaj-
dowały się też osobniki, które w dniu dzisiejszym opisalibyśmy, jako osobniki aspołeczne
i leniwe. Na całe szczęście w tamtych prehistorycznych czasach nie było jaszce ani odp-
owiednich instytucji, ani polityków, którzy mogliby taką opinię sformułować, więc osobniki
te mogły spokojnie wylegiwać się pod drzewkami, po których skakały ich kuzynki małpy
i rozmyślać o tym, jakby tu zdobyć te piękne, rosnące wysoko na drzewach owoce, bez
wkładania w to większego wysiłku. Dzisiaj określilibyśmy to, jako dość popularne w na-
szych czasach pytanie: „Co by tu zrobić, aby się nie narobić i jeszcze przy tym zarobić”.

osobniczym i molekularnym. W połowie XIX stulecia Charles Darwin sformułował teorię naukową ewolucji poprzez dobór natu-
ralny, a odkrycie opublikował w monografii O powstawaniu gatunków (1859. Całe obecne życie na Ziemi pochodzi od wspólnego
przodka. Ostatni uniwersalny wspólny przodek, czyli ostatni wspólny przodek wszystkich dzisiejszych organizmów żywych, żył
około 3,5–3,8 miliarda lat temu, aczkolwiek w 2015 opisano szczątki mogące stanowić pozostałość życia sprzed 4,1 miliarda lat
w skałach Australii Zachodniej. Powtarzające się powstawanie nowych gatunków (specjacja), zmiany w obrębie gatunków (ana-
geneza) i wymieranie gatunków w obrębie historii życia na Ziemi demonstrowane są przez zespół wspólnych cech morfologicz-
nych i biochemicznych, w tym sekwencji DNA[10]. Większe podobieństwo wspólnych cech obserwuje się u gatunków dzielących
ze sobą późniejszego ostatniego wspólnego przodka, co może służyć rekonstrukcji biologicznego drzewa życia, bazującego na
pokrewieństwie ewolucyjnym (filogenetyka), z wykorzystaniem zarówno gatunków współczesnych, jak i kopalnych. Zapis kopa-
lany obrazuje progresję od wczesnego biogenego grafitu przez maty mikrobowe do skamieniałych organizmów wielokomór-
kowych. Istniejące wzorce bioróżnorodności wytworzyły się z udziałem specjacji i wymierań[15]. Powyżej 99% wszystkich gatun-
ków, jakie kiedykolwiek żyły na Ziemi, wyginęło. Obecnie Ziemię zamieszkują organizmy należące do 10–14 milionów gatunków,
z których do tej pory opisano 1,2 miliona. Ewolucja zachodząca poprzez dobór naturalny uwidacznia się w obserwacji, zgodnie z
którą organizmy wydają na świat więcej potomstwa, niż może przetrwać, w połączeniu z trzema faktami dotyczącymi populacji:
1) osobniki różnią się cechami morfologicznymi, fizjologicznymi i zachowaniem (wariancja fenotypowa), 2) różne cechy wiążą się
z różną zdolnością do przetrwania i reprodukcji (różne dostosowanie), 3) cechy mogą być przekazywane z pokolenia na pokolenia
(dziedziczność dostosowania)[3]. W kolejnych pokoleniach członkowie danej populacji zastępowani są przez potomstwo rodzi-
ców lepiej zaadaptowanych do przetrwania i rozrodu w danym środowisku, w którym zachodzi dobór naturalny. W tej teleonomii
chodzi o tworzenie i zachowywanie cech dostosowanych do funkcji, które wypełniają[20]. Dobór naturalny stanowi jedyną znaną
przyczynę powstawania adaptacji, ale nie jedyną przyczynę ewolucji. Inne, nieadaptacyjne procesy ewolucyjne obejmują muta-
cje, dryf genetyczny i przepływ genów na skutek migracji. Na początku XX wieku powstała współczesna synteza ewolucyjna,
integrująca klasyczną genetykę z darwinowską teorią ewolucji dzięki osiągnięciom genetyki populacyjnej. Wagę doboru natu-
ralnego jako przyczyny ewolucji zaakceptowano w innych dziedzinach biologii. Co więcej, niegdyś uznawane poglądy na ewolucję,
jak ortogeneza, XIX-wieczny ewolucjonizm czy inne poglądy dotyczące wrodzonego postępu w wielkoskalowych procesach ewo-
lucyjnych przeszły do historii. Naukowcy kontynuują badania różnych aspektów biologii ewolucyjnej przez formułowanie i testo-
wanie hipotez, tworząc modele matematyczne biologii teoretycznej i teorie biologiczne, wykorzystując dane obserwacyjne i
przeprowadzając doświadczenia w naturalnym środowisku i w laboratorium.

W sensie zastosowań praktycznych zrozumienie ewolucji wykorzystano na wielu polach nauki i przemysłu, włączając
w to rolnictwo, medycynę człowieka i innych zwierząt oraz nauki o życiu w ogólności. Odkrycia w biologii ewolucyjnej wywarły
znaczący wpływ nie tylko na tradycyjne dziedziny biologii, ale również na inne dyscypliny akademickie, jak antropologia biolo-
giczna czy psychologia ewolucyjna. Obliczenia ewolucyjne, dział badań sztucznej inteligencji, stosuje zasady Darwina do rozwią-
zywania problemów informatycznych. (Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Ewolucja_biologiczna)

Moment ten jest najważniejszym momentem w historii ludzkości, ponieważ ta leniwa część naszych przaprzodków stanowiła prapoczątek ludzkości²⁴⁸, której historia to historia wynalazków i rozwoju technicznego naszego świata. Począwszy od pierwszego pątyka, którym to leniwy przaprzodek próbował zerwać rosnące wysoko na drzewie owoce bez włożenia na to drzewo, czy też przystosowanych do najróżniejszych potrzeb kamieni²⁴⁹, aż po najnowsze wynalazki dzisiejszego dnia.

Od tego czasu te najbardziej leniwe osobniki naszego gatunku są lokomotywą postępu nie tylko technicznego, ale postępu w ogóle, czyli postępu świata, jako takiego, a przede wszystkim ludzkości. Nie tym, którzy z dnia na dzień ciężko pracują pchając pod górę życia swój syzyfowy²⁵⁰ głaz należy się laur za rozwój naszego świata, ale tym leniwym, którzy swoim lenistwem zmusili nasz świat do rozwoju.

Rozmowa.

- Podaj mi to...
- Co?
- No to...
- No, co...?
- Nie wiesz? No to... Leży tam, koło tego!
- Koło czego?
- Nooo... Koło tego!

Takie i podobne rozmowy odbywają się bardzo często nie tylko w naszym, ale również w wielu innych domach. Bohaterami są zawsze Ona i On. Która rola należy do Niej a która do Niego pozostawiam domyślności czytelnika. Ja, doświadczony czterdziestoletnim małżeństwem wiem. Prowadziłem takich rozmów wiele...

²⁴⁸ Najstarsi przedstawiciele Homo - Najstarsi ludzie pojawili się ponad 2,5 mln lat temu, prawdopodobnie w Południowej Afryce, gdzie żył najstarszy znany gatunek Homo gautengensis. Zamieszkiwany przez niego obszar sugeruje, iż mógł wywodzić się od Australopithecus africanus. Gautengensis był niewysoki (mierzył ok. 90 cm), miał jednak większy mózg od swoich przodków, zapewne posługiwał się kamiennymi narzędziami. Wśród nieco późniejszych praludzi, które zamieszkiwały tereny Afryki Wschodniej znajdują się Homo habilis (pojawił się ok. 2,3 mln lat temu) i Homo rudolfensis (występował od 2,4 mln lat temu), których wzajemne pokrewieństwo, a także relacje z Homo gautengensis pozostają nieznanne. Wyżej wymieniony Homo habilis posiadał dość duży mózg (ok. 750 cm³), jednak jego wysunięta do przodu twarzoczaszka i silne wały nadoczodołowej upodobniały go do wczesnych hominidów. Drugi, wschodnioafrykański praczlówek – Homo rudolfensis, mimo mniejszej puszki mózgowej (ponad 500 cm³), miał twarzoczaszkę bardziej przypominającą twarz człowieka współczesnego. (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Anthropogeneza>)

²⁴⁹ Najstarsze świadectwa działalności technicznej człowieka pochodzą z czasów prehistorycznych. Z tych najdawniejszych czasów mamy relatywnie dużo śladów owej działalności. Pierwszymi jej przejawami są najprostsze narzędzia kamienne pochodzące sprzed 2,5 mln lat. Około 600 tys. lat temu upowszechniły się pięściaki – uniwersalne narzędzia kamienne, oraz drewniane oszczepy służące do polowania. W tym czasie zaczęto też używać ognia co było rewolucyjną zmianą w dziejach. Wykorzystując go, można było przekształcać różne materiały, wzrosły możliwości przetrwania. (Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_tekniki)

²⁵⁰ Syzyf - w mitologii greckiej założyciel i król miasta Efyra (późniejszy Korynt), syn Eola, postać tragiczna, archetyp. ... Wtedy to bogowie zdecydowali, że ukarzą Syzyfa wieczną i bezużyteczną pracą – ma on wtaaczać na szczyt ogromnej góry wielki głaz, który jednak przed wierzchołkiem zawsze wymyka mu się z rąk i stacza się na sam dół zbocza. Współcześnie określenie „syzyfowa praca” oznacza ciężką, bezcelową pracę, nie mającą końca, z góry skazaną na niepowodzenie... (Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Syzyf>)

Trzeba się wyspać...

Henia kocha spać. Bardzo kocha. Może spać wszędzie i nigdy jeszcze nie było aż tak niesprzyjających okoliczności, że mogłyby one jej przeszkodzić „uciąć drzemkę”. Tak było też tym razem...

W latach osiemdziesiątych byłem kierownikiem ośrodka wypoczynkowego w Młyniku. Tam też mieszkałem od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Henia dojeżdżała do mnie na sobotę i niedzielę. Były to niestety czasy, kiedy to tylko nieliczni szczęśliwcy posiadali samochody. My do nich niestety nie należeliśmy, więc o codziennym dojeżdżaniu Heni z Młynika do pracy w Mrągowie nie mogło być mowy. Dzieci, zanim poszły do szkoły, też mieszkały w Młyniku. Tak też było tego pamiętnego dnia. My pomieszkiwaliśmy w Młyniku, a Henia mieszkała sama w naszym mieszkaniu w Mrągowie.

Było piękne słoneczne lato. Henia wróciła z pracy, zjadła obiad i postanowiła się zdrzemnąć. Ponieważ panował upał, postanowiła się do spania rozebrać, a nie, jak zwykle po południu, położyć się w ubraniu. I to ją zgubiło. Obudziła się około godziny siódmej. Była przekonana, że przespała całą noc. Była przecież rozebrana, tak jak do regularnego, nocnego spania. Po południu na ogół kładła się spać w ubraniu. Zerknęła na zegarek i przerażała się. Dochodziła siódma, czyli godzina, o której ona zaczynała pracę. Do Bumaru szło się z Parkowej 25 do 30 minut. Nie było żadnych szans, aby się nie spóźnić. Można było jedynie spróbować „ograniczyć starty”, czyli dostać się do pracy jak najszybciej. Najlepiej taksówką.

W tempie ekspresowym umyła się, ubrała i wybiegła przed dom. Miała szczęście. Taksówkę złapała prawie natychmiast. Zdziwiła się tylko, kiedy taksówkarz zapytał, czy może po drodze zatankować, bo za chwilę zamkną CPN²⁵¹. Zdziwiła się wprawdzie, dlaczego CPN zamyka się rano, ale w pośpiechu nie zwracała sobie głowy drobiazgami. Taksówkarz zatankował i pojechali dalej. Około godziny 7: 30, czyli pół godziny po rozpoczęciu dnia pracy dojechali do firmy. Henia była szczęśliwa. Spóźnienie było niewielkie, więc chyba uda się to jakoś wytłumaczyć i może obędzie się bez sankcji dyscyplinarnych. Zarejestrowała nawet, że jak na dzień pracy, to na parkingu pracowniczym stoi bardzo mało samochodów. Szybko zapłaciła taksówkarzowi i pobiegła do biura. Trochę się zdziwiła, że korytarze są o tej porze kompletnie puste, ale chciała jak najszybciej dotrzeć do swojego biura na drugim piętrze. Udało się. Niestety, drzwi do biura były zamknięte na klucz. To niemożliwe. W tym biurze pracuje przecież kilkanaście osób. Przecież nie mogli nagle wszyscy zachorować. Wróciła na dół, do portierni.

- Gdzie są wszyscy? - Zapytała grzecznie.

- Jacy „wszyscy”? – Upewnił się strażnik.

- Nooo... Wszyscy. W całym budynku nikogo nie ma...

- A co mieliby robić w biurach o godzinie 7: 30 WIERCZOREM?

Wtedy Henia zaskoczyła. Przestała ją dziwić, że parking jest pusty, a drzwi do biura zamknięte na klucz...

- Niech się Pani nie martwi. - Pocieszył ją strażnik. - Nie jest Pani pierwsza... i pewnie nie ostatnia...

²⁵¹ Centrala Produktów Naftowych (CPN) – byłe polskie przedsiębiorstwo zajmujące się magazynowaniem, transportem, dystrybucją hurtową i detaliczną przetworów naftowych, przede wszystkim.

Myśli podsłuchane górne i chmurne, czasami wręcz durne i bzdurne.

***** Dojrzewanie jest pierwszym etapem starzenia się.** Jeżeli tytuł tego odprysku skojarzył się komuś z ogródkiem czy sadem i z dojrzewaniem warzyw i owoców, to muszę go zmartwić. W tym przypadku chodzi o nas i o nasze życie. A dokładnie o drugą część naszego życia, która zaczyna się natychmiast po dzieciństwie. Zdawałoby się, że powinna to być jego, znaczy tego życia, część najbardziej radosna. Niestety muszę w tym miejscu rozczarować zarówno tych, którzy mimo swojego bardzo już dojrzałego a czasami nawet „podeszłego” wieku jeszcze nie zdążyli dojrzeć, jak o tych, którzy dopiero wchodzą w ten najciekawszy moim zdaniem okres życia. Okres ten jest, jak już wspominałem, okresem bardzo ciekawym, ale na pewno nie radosnym i nieczęsto miłym. Nie bez przyczyny jedno z chińskich przekleństw brzmi: „Bodajbyś żył w ciekawych czasach”.

Poza wszystkimi doświadczeniami, które każdy z nas w tym czasie zdobywa, jest to czas, kiedy to, na ogół z własnej i nieprzymuszonej woli i wbrew woli rodziców, którzy usiłują nas jak najdłużej chronić przed przykrą rzeczywistością, która czyha na nas dookoła, wyrwamy się im i koniecznie chcemy robić wszystko po swojemu. Nie znam nikogo, komu udałoby się ta tak długo oczekiwana samodzielność, o która w tej całej wojence dojrzewających dzieci przeciwko pokoleniu rodziców chodzi. Każdy z nas, kiedy to my byliśmy młodzi i każdy z nich, którzy teraz są młodzi, padli, w dodatku najczęściej niejednokrotnie „na twarz”. Ale to nie wszystko. Proponuję każdemu, kto wchodzi w okres dojrzewania, by zrobił sobie zdjęcie. Drugie powinien sobie zrobić po tym, kiedy uzna, że już jest dorosły, czyli dojrzały. Potem niech obydwa zdjęcia schowa i nie porównuje ich w żadnym wypadku, aż do czasu, kiedy zauważy, że wnuki uważają go za starca. Wtedy zrozumie to, co powiem teraz. Prawda czasu jest nieunikniona i nikomu nie da się z tego wywinąć. Tak, moi kochani. **Dojrzewanie jest pierwszym etapem starzenia się...**

Skąd to się bierze? Nie wiem, ale myślę, że najbliższe odpowiedzi na to pytanie był poeta Jan Izydor Sztudynger pisząc fraszkę „Skarga zmiętego”. Interpretację tego dzieła pozostawiam każdemu z czytelników do własnego uznania. Ja mam własną, głęboko przemyślaną interpretację i przy niej pozostanę. Niemniej zachęcam wszystkich do pochylenia się nad dziełem:

Skarga zmiętego:

Życie mnie mnie!

***** Kolor lakieru.** Nieważne, czy to jest wizyta w salonie manicure, czy w salonie samochodowym. Dla większości pań nie ma to żadnego znaczenia. O obu przypadkach najważniejszy jest kolor lakieru.

***** Życie jest jak choroba.** Nieuleczalna choroba. Zawsze kończy się śmiercią.

***** Najważniejszą cechą człowieka jest lenistwo.** Przy czym nie można tej cechy mylić z marazmem i „nic nierobieniem”, bo prawdziwe lenistwo, to lenistwo kreatywne i twórcze. Lenistwo, które prowadzi do rozwoju nowych technologii i popycha świat do przodu. (Moje)

***** Odpryski.** Prawdziwe wspomnienia są nieuporządkowane, niewygładzone, niechronologiczne i niepoukładane. Są to odpryski życia, które przychodzą najczęściej w bezsenne noce i kłębią się w głowie bez ładu i składu nie pozwalając zasnąć. Są one jak ślady, które pozostały na murze po potraktowaniu go przez Wańkę serią z kałacha²⁵². Podobne odpryski pozostawił na murze moich wspomnień symboliczny kałach życia.

²⁵² Kałach – Popularna nazwa karabinka AK – automatu Kałasznikowa, polskie oznaczenia: 7,62 mm pmK, 7,62 mm kbk – potocznie kałasznikow, karabinek automatyczny konstrukcji radzieckiej z okresu po II wojnie światowej. Zastąpiony został przez karabinek AKM. (Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Karabinek_AK)

Odpryski przychodzą chaotycznie i bez żadnego szacunku dla chronologii. Przychodzą za to stadami. Stadami związanymi jak grecki dramat jednością akcji, czasu i miejsca. Dotyczą jednego wydarzenia lub jednego człowieka, a potem pączkują jak drożdże. Każdy odprysk przypomina o innych z nim pośrednio lub bezpośrednio związanych odpryskach, lub przypomina o puentach, które do pewnych wydarzeń dopisało życie. Niejednokrotnie po wielu, wielu latach. I tak rozrasta się ten początkowo jednokomórkowy odprysk jak drożdże i po jakimś czasie jest wielki jak drożdżowa babka. (Moje)

***** Zdziwiennik.** W języku polskim używane są różne znaki przestankowe. W grupie znaków wyrażających emocje mamy wykrzyknik, wielokropek, myślnik i pytajnik. W moim odczuciu, do właściwego wyrażania emocji na piśmie, brakuje jeszcze jednego znaku. Dla moich potrzeb wymyśliłem go. Jest to zdziwiennik, który graficznie wyrazić można poprzez połączenie pytajnika z wykrzyknikiem:?! (Moje)

Z żoną²⁵³ na zakupach.

Henia wpadła właśnie na pomysł, aby pójść na spacer. Zanim wyszliśmy z domu, niewinnym głosikiem poinformowała mnie, że wczoraj spacerowaliśmy „na łonie przyrody”, więc dzisiaj pojedziemy pospacerować po mieście. Ogarnęło mnie przerażenie. Wiem z doświadczenia, że niewinny spacer po mieście zawsze kończy się małżeńskim kryzysem najwyższego stopnia. I to nie z powodu spaceru. Raczej z powodu niepotrzebnie zakupionych na tym „spacerze” najdziwniejszych i zupełnie niepotrzebnych rzeczy, na ogół ciuchów. To, że każdy spacer po mieście zawsze kończy się w sklepie ciuchami, to chyba nie jest dla żadnego z nas, „mężczyzn towarzyszących”, zaskoczeniem. Tak po prostu jest i nie ma żadnej możliwości, aby ten stan rzeczy zmienić. Zatem: Jeżeli idziesz z żoną na spacer po mieście, to na pewno będziesz uczestniczył w zakupach i ty, tylko ty będziesz winny zakupieniu całej masy całkowicie niepotrzebnych rzeczy, najczęściej ciuchów.

Zaczyna się wszystko bardzo niewinnie. Miły spacerek, kawka na staromiejskim rynku albo winnym równie pięknym miejscu i nie wiadomo kiedy spacerujecie, oczywiście całkowicie przypadkowo, niedaleko sklepów. Nagle, ni stąd, ni zowąd²⁵⁴ słyszysz miły głos żony:

- Wejdźmy tu na chwileczkę. Jak już tu i tak jesteśmy to zobaczą nowe buty, (sukienkę, bluzkę).

Nieważne, co nasza Pani chce zobaczyć. Każdy powód, aby wejść do sklepu jest dobry. Jeżeli nie masz dobrego pretekstu, aby tam nie wchodzić, a nie masz, albo nie dostałeś akurat zawału albo innej równie naglej przypadłości, jesteś stracony. W dodatku wcale nie dlatego, że musisz zapłacić rachunek. To nie jest najgorsze. Najgorsze spotka cię dopiero w domu, kiedy okaże się, że gdyby nie ty, to żona w zasadzie nic by nie kupiła. Przecież ta cała sterta przywleczonych ze sklepu rzeczy nikomu nie jest na nic potrzebna, i gdyby nie ty, to twoja żona na pewno by tego nie kupiła. Zawsze zaczyna się od:

- W zasadzie to mi się ta bluzka nie wcale ładna. Gdybyś mi nie powiedział, że tobie się podoba, nigdy bym jej nie kupiła. Właściwie to ja nawet nie mam jej do czego założyć.

Uwaga!!! W tym momencie żona nie tylko przerzuciła na ciebie odpowiedzialność za całe niepotrzebne zakupy, ale zasygnalizowała ci też, że w niedługim czasie będziesz ją musiał na następne. Skoro ta bluzka (sukienka czy cokolwiek innego), z twojej oczywiście winy, już została kupiona to trzeba ją do czegoś założyć.

W czasie tych następnych zakupów, nauczony doświadczeniem, będziesz próbował wywinąć się z odpowiedzialności za to, co twoja Pani kupi, aby mieć do czego założyć wspomnianą wyżej

²⁵³ Słowo „żona” należy potraktować w tym przypadku symbolicznie. W tym przypadku jest to osoba, która zabiera (w pełnym tego wyrazu znaczeniu) swojego (również, jak uważa kobieta, w pełnym tego wyrazu znaczeniu) mężczyznę na zakupy. Może to być żona, narzeczona dziewczyna czy też inna osoba określana często przez mężczyznę, jako „moja kobieta”.

²⁵⁴ ni stąd ni zowąd - nieoczekiwanie (Źródło: <https://sjp.pwn.pl>)

bluzkę. (Przypomnę, kupioną z twojej wyłącznej winy.) Nic z tego, To się na pewno nie uda. Dlaczego? To proste. Kobiety nie potrzebują ani doradztwa, ani pomocy w zakupach. One potrzebują pomocy w noszeniu zakupów i ewentualnie jeszcze osoby płacącej, nie mylić z osobą towarzyszącą. Najważniejszym jednak naszym męskim zadaniem jest danie naszym Paniom alibi, gdyba zakupione ciuchy w domu okazały się już nie takie atrakcyjne jak w sklepie. Dlatego każdy dorosły mężczyzna, przy czym nie wiek stanowi to o dorosłości, wie, że z wiatrakami się nie walczy. Wiedzą z doświadczenia, że niezależnie od tego, jak się zachowują w sklepie, i tak wina za nieudane zakupy spadnie na nich. Wiedzą też, że niemalże 100 % zakupów jest nieudana, nie ma więc o co walczyć.

Jeśli kobieta przymierzając w sklepie ciuch zapyta;

- No i jak ci się podoba? – odpowiedz:

- Podoba się – i będziesz miał spokój aż do powrotu do domu. Dopiero tam padnie tradycyjne:

- Gdybyś mi nie powiedział, że tobie się podoba... i tak dalej...

Można by się tu zastanowić, cóż by się stało gdybyś odpowiedział, że ci się nie podoba, albo gdybyś udawał skałę i nie patrząc na żonę nie odpowiadał na zaczepki. Ryzyko. Wielkie ryzyko. W pierwszym przypadku możesz się czuć szczęśliwy, jeżeli żona odpowie:

- Nie znasz się. Ale widzę po twojej minie, że ci się podoba. – Ciąg dalszy w domu jest taki sam jak zawsze. Standard. Druga, łaskawa dla ciebie odpowiedź to:

- Nie kombinuj. Widzę, że Ci się podoba. Szkoda ci tylko pieniędzy. - Ciąg dalszy w domu - standard. Niestety, można się narazić na kolejne pytanie:

- A tak właściwie to bluzka ci się nie podoba czy ja? – albo jeszcze gorzej:

- Ale ta ruda małpa w drugim końcu sklepu na którą się cały czas gapisz to ci się podoba. Na niej bluzka leżałaby z pewnością świetnie! – W tym przypadku fakt, czy w sklepie jest jakaś ruda czy też blond małpa i czy przymierza tą czy inną bluzkę nie gra tu najmniejszej roli. Wypowiedź ta jest jedynie zapowiedzią tego, co się stanie w domu. Na ten temat mogę tylko jedno powiedzieć: Dyskusja pod hasłem „Gdybyś mi nie powiedział, że tobie się podoba” jest z całą pewnością mniej nieprzyjemna. Sami przecież wiecie...

Pancerfausty²⁵⁵ z Młynowa.

Historia ta ma korzenie sięgające drugiej wojny światowej, ale ja dowiedziałem się o niej wiele lat później i to przez całkowity przypadek. W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy to jednym z kultowych seriali Telewizji Polskiej był film „Cztery pancerni i pies” oglądaliśmy kiedyś u Mamy kolejne jego telewizyjne powtórzenie. Leciła akurat odcinek, w którym to najdzielniejsza załoga świata zajmuje jakąś służbę na zapleczu



Młynowo 1944. Wtedy świat był jeszcze w porządku, ale mundury straszyły wszędzie. Od lewej (1)wujek Fritz Piechotta, (2)nasz Dziadek Alfred Just i Wólfli, (3)Dziadek Alfred Just.



²⁵⁵ Pancerfaust (niem. Panzerfaust) - typ ręcznego granatnika przeciwpancernego stosowany przez wojska hitlerowskie w czasie II wojny światowej. (Źródło: <https://de.glosbe.com/pl/de/pancerfaust>)

znenawidzonego wroga i przygotowuje się do nagłego zalania terenów, w którym tenże się okopał. Wróg wyczał jednak plany naszych bohaterów i zaatakował służę przeważającymi silami. Po dłuższej obronie przyczółku bohaterowie ulegają przeważającej sile wroga i ewakuują się na starej łódce. W ostatniej chwili usiłują jeszcze otworzyć wrota służy, ale udaje się im to tylko częściowo, bo wrota te zostały uszkodzone w czasie walki. Bohaterowie ratując swoje życie docierają do łodzi, którą mają się ewakuować. Po drodze Gustlik znajduje kilka pancernaustów i w ostatniej chwili rozwala wrota służy strzelając do nich z tychże. Cała załoga odpływa łodzią w stronę stanowisk bohaterskiej armii radzieckiej na wywołanej przez siebie powodziowej fali. Wszystko kończy się jak zwykle, czyli dobrze dla naszych bohaterów.

Mama, która w zasadzie unikała oglądania wojennych filmów, oglądała tym razem z nami. W momencie, kiedy Gustlik znalazł pancernausty zaniepokoiła się trochę. Kiedy zaczął z nich strzelać, westchnęła głęboko i powiedziała tak jakby do siebie:

-To jednak prawda...

Zainteresowałem się tym. O co tu chodzi. Chyba nie o Gustlika, albo innego kultowego bohatera. Miałem rację. Chodziło tu o pancernausty. Mama zaczęła opowiadać.

-Kiedy w czterdziestym piątym wróciliśmy do Młynowa z „wielkiej ucieczki”, znaleźliśmy w domu dwa takie urządzenia. Nikt nie wiedział, co to jest, więc stało to przez kilka miesięcy w kącie w korytarzu. Tam gdzie to znaleźliśmy. Kiedy udało się nam już trochę odbudować nasze gospodarstwo i zaczęliśmy hodować świnie, urządzenia te okazały się bardzo przydatne. Ich kształt, pogrubiony początek i dość wygodna rączka do trzymania powodowały, że doskonale nadawały się do tłuczenia kartofli dla świń. Kilka lat później, kiedy we wsi było już więcej mężczyzn, jeden z nich zauważył te urządzenia i powiedział nam, do czego to służy. Byliśmy przerażeni, ale nie do końca dawaliśmy mu wiarę. Może chce nas po prostu podpuścić, i kiedy te urządzenia wyrzucimy, on je po prostu zabierze. Rozterka trwała kilka dni, ale babcia podjęła męską decyzję. Nawet, jeżeli to nie strzela, to i tak trzeba wyrzucić, bo jak przyjdzie milicja, to nas pozamyka.



Młynowo 1944. Brat mamy Wólfi jej kuzyni Gerd, Georg u Ulla Czychowski. Wtedy świat był jeszcze w porządku.

Dla zatarcia śladów postanowiono utopić „nasze” dwa pancernausty w stawie, gdzie spoczywają do dzisiaj. Do dzisiaj nie byłam pewna, czy dobrze wtedy zrobiliśmy i czy „to” może strzelać albo wybuchać. Teraz wiem. To była prawda.

Nieporozumienia językowe.

W narodowościowej mieszance, którą zgotowała nam na Mazurach historia w okresie powojennym dochodziło do najprzeróżniejszych nieporozumień. Były to nieporozumienia zarówno wesołe jak i smutnie, czasami nawet niebezpieczne, lub przynajmniej przykre. Po prostu takie, jak to w życiu normalnie bywa. Najczęściej bohaterką takich wydarzeń była nasza mama, czyli po dzisiejszemu Babcia Turkowa. Dlaczego właśnie ona? Ponieważ ona skończyła w 1945 roku 19 lat i jako najstarsza z młodego pokolenia, musiała podjąć pracę oraz przejąć na siebie obowiązek utrzymania rodziny. Jej wykształcenie fotolaborantki i sprzedawczyni o specjalności artykuły chemiczne, drogeria i kosmetyki było w późniejszym czasie bardzo pomocne w zdobyciu odpowiedniej pracy. Na początku, zaraz

po powrocie z ucieczki i po wyjściu z kryjówki, w której chowała się przed pijanymi ruskimi żołdatami przez wiele miesięcy, musiała jednak podjąć taką pracę, do jakiej ją skierowano. Tym bardziej, że była Niemką i z obowiązującym w tym czasie językiem polskim nie dawała sobie w pierwszych tygodniach pracy rady. Później było coraz lepiej, ale językowe wpadki zdarzały się jej jeszcze wiele lat.

Kuszać.

Na początku skierowano ją do pracy w stołówce dla pracowników nowego, powojennego Zarządu Miasta. Ze stołówki tej korzystali też pomocnicy i doradcy, którzy dbali o właściwe wprowadzanie w dawnym niemieckim a teraz polskim mieście nowych, powojennych porządków. Byli to na ogół radzieccy oficerowie polityczni i ich wojskowa obstawa.

Do obowiązków mamy należało przede wszystkim sprzątanie i zmywanie. Po pewnym czasie, kiedy już jako tako radziła sobie z językiem polskim, wolno jej było od czasu do czasu zastąpić kucharkę i przygotować jakieś prostsze danie, na przykład jajecznicę, czy też jajko sadzone dla Bardzo Ważnej Osoby która spóźniła się na regularny posiłek. Wprawdzie regulamin stołówki bardzo precyzyjnie określał godziny posiłków, ale praktycznie nie dotyczyło to grupy Bardzo Ważnych Osób, do której należeli wszyscy rosyjskojęzyczni, najbardziej niezdyscyplinowani i nieprzestrzegający czasu posiłków stołkownicze.

Sercem stołówki było pomieszczenie jadalne niedaleko kuchni, w którym stał duży, przygotowany dla kilkunastu osób okrągły stół. Przy nim jadały tylko wspomniane już BWO²⁵⁶ i spóźnialscy. Osoby mniej ważne jadały w innym pomieszczeniu.

Któregoś dnia mama przygotowywała akurat jajecznicę jednemu ze spóźnionych VIP – ów. Ten wyszedł w tym czasie przed dom na papierosa i w momencie, kiedy mama weszła do jadalni z patelnią w rękę, aby nałożyć spóźnionemu (jak zwykle) gościowi jajecznicę na talerz, nie było go akurat w pomieszczeniu. Był za to inny. Mundurowy i rosyjskojęzyczny, czyli taki, który w tym powojennym czasie wzbudzał w młodych niemieckich kobietach panikę. Doświadczenia „Wielkiej Ucieczki” i okresu po niej powodowały u dziewcząt i młodych kobiet panikę i szukanie możliwości ucieczki.

Tak było też z mamą. Nie dość, że facet był mundurowy, to jeszcze gadał po rusku. Mama poznała już w tym czasie pewne podstawy obcego, ale obowiązującego teraz języka, ale był to język polski. Z tego, co mówił napotkany w stołówce mundurowy nie rozumiała jednak nic. Nie ma co się dziwić. Ona uczyła się polskiego, a facet rozmawiał po rosyjsku. Przerazona zaczęła uciekać dookoła stołu przed zbliżającym się do niej i gadającym coś niezrozumiale mundurowym. Pełna panika ogarnęła ją jednak, gdy w końcu zrozumiała, jak się jej wydawało, jedno, to najczęściej wymawiane przez niego słowo. Słowo to brzmiało „kuszać”. Po rosyjsku oznacza „jeść”. Mama przetłumaczyła je jednak po swojemu na język niemiecki i wyszło jej „küssen”, czyli całować. Dla niej sprawa była jasna. Rosjanin, mundurowy i chce całować... W pełnej panice uciekała coraz szybciej dookoła stołu zasłaniając się patelnią pełną jajecznicy i krzyczała „Nein!!! Nie küssen!!!” Za nią szedł ruski mundurowy i krzyczał na niemrę, która uciekała mu zabierając ze sobą pachnącą jajecznicę „Dawaj kuszać!!!”

²⁵⁶ BWO – Bardzo Ważne Osoby. Wymyśliłem ten skrót, ponieważ w tamtych czasach nie istniały jeszcze, Przynajmniej na Mazurach, powszechne w dzisiejszych czasach VIP - y. (V. I. P. - Very Important Person, czyli Bardzo Ważna Osoba.)

Taki obrazek zastał wracający z papierosa ruski oficer, który znał parę słów po niemiecku. Z ręką na kaburze pistoletu przesłuchiwał obie krzyczące i ganiające wokół stołu strony. Sprawa się wyjaśniła, mama przygotowała następną porcję jajecznicy dla „Całusznika” i wszyscy zainteresowani rozeszli się w pokoju. Dla mamy był to jednak ostatni dzień pracy w stołówce. Postanowiła nie narażać się więcej na niezrozumiałe zaloty do jajecznicy i poszukała sobie pracy w sklepie. Jak się potem okazało, tam też nie było łatwo. Ale o tym potem...

Koc i proch na kłaki.

Jednym z pierwszych sklepów, w którym mama pracowała, był sklep na ulicy Warszawskiej. Tam gdzie potem był Rolniczy Dom Towarowy, zwany też popularnie „sklepem żelaznym”, ponieważ można w nim było kupić gwoździe, młotki i inne narzędzia, łącznie z narzędziami rolniczymi. W czasach mojej mamy był to jednak sklep wielobranżowy, czyli, jak to się wówczas mówiło, sprzedawano w nim „mydło, szydło i powidło”. Sprzedawano też materiał, koce, naftalinę²⁵⁷ i inne przedmioty codziennego użytku. Wydawało się, że o językowe niebezpieczeństwo będzie tu raczej trudno. Nasza mama miała jednak wybitny talent do wpłamywania się w sytuacje dziwne, śmieszne i niepowtarzalne.

Podobne było i tym razem. Sytuacja była w zasadzie klasyczna. Porównywalna do tej w stołówce. Tyle, że tym razem nie chodziło o mundurowych, a o zwykłych klientów z ulicy. Przyszli kupić koc. Zwykły koc. Taki, jakich kilkanaście leżało na sklepowej półce. Tyle, że po niemiecku nazywał się „Decke”, a słowo „kotz” (czytaj koc) jest to tryb rozkazujący słowa „rzygać”, czyli „rzygaj!”

No i stało się! Prości, wyglądający na porządnymi ludzie, czyli klienci, wchodzą z ulicy do sklepu i każą mojej mamie rzygać! To nieprawdopodobne. Pani z dziećmi stoi w sklepie przed sprzedawczynią i coś tam mówi, ale z całej tej przydługiej wypowiedzi nasza mama zrozumiała tylko „koc”, czyli „Kotz!” Dla mamy był to rozkaz: „rzygaj”. Były to jeszcze czasy, w których hasło „Klient nasz pan” traktowano poważnie, więc mama nie od razu wygoniła źle wychowaną panią ze sklepu, lecz próbowała jej wyjaśnić, że tak na zawołanie to ona wymiotować nie umie i nic z tego „koc” nie będzie. Aby wzmocnić siłę swojej wypowiedzi robiła co chwilę odruchy wymiotne, kręciła głową, że się nie da i tłumaczyła: „Nein Kotzen, nie można, Koc, nie wolno...” itd. Teatr ten trwał już dłuższą chwilę, kiedy to na szczęście dla wszystkich obecnych do sklepu weszła jeszcze jedna klientka. Ta znała obydwa języki i nieporozumienie wyjaśniło się bardzo szybko. Koc zmienił właściciela i w zasadzie ta historia mogłaby się w tym momencie zakończyć. Niestety, klientka kupująca koc pochodziła z Kurpi, a region ten był w tamtych czasach innym obszarem językowym, nieznanym nawet naszej przypadkowej klientce, która wybawiła mamę z poprzedniego językowego lapsusu²⁵⁸.

²⁵⁷ Naftalina – Organiczny związek chemiczny, kiedyś stosowany jako środek owadobójczy, zwłaszcza przeciwko molom, które w tamtych czasach siały spustoszenia w naszych szafach, ponieważ odzież robiona była wówczas z włókien naturalnych, czyli jadalnych przez owady. Era włókien sztucznych przyszła później. Naftalina sprzedawana była w postaci białego proszku, potem w postaci tabletek.

²⁵⁸ Lapsus językowy – Nieporozumienie językowe, pomyłka.

Szczęśliwa z udanych mimo wszystko zakupów klientka postanowiła zaszaleć. Cóż tam koc. Skoro pierwszy zakup się udał, a wklepie oprócz mała kumatej²⁵⁹ sprzedawczyni jest jeszcze tłumaczka, pani „Kurpianka” zaryzykowała jeszcze jeden zakup:

- Poproszę jeszcze proch na kłaki...

W sklepie zapadła grobowa cisza. Mama nie nadwyreżała więcej swoich umiejętności językowych i stała za ladą jak słup soli. Pani „Tłumaczka” próbowała ratować sytuację i zadała kilka dodatkowych pytań. Po dłuższej chwili panie doszły do porozumienia, że proch na kłaki to inaczej środek owadobójczy stosowany przeciwko wszechobecnym w tamtych czasach mieszkańcom szaf ubraniowych, molom. Mama w milczeniu podała naf-talinę i skasowała należność. Tym razem nie zmieniła pracy, ale napisała kartkę „Zaraz wracam. Jestem u lekarza” i zamknęła sklep na dłuższą chwilę, aby dojść do siebie. Po raz pierwszy w jej życiu ktoś kazał jej wymiotować na komendę, a potem „poprawił” nieporozumienie prochem na kłaki...

Jak mama/babcia Turkowa kupowała łój.

Ponieważ tego językowego lapsusu mama wstydziła się najbardziej, pozostawie ten fragment w sferze inteligencji i domyślności czytelnika. Powiem tylko, że Oma Piechottka, moja prababcia zażyczyła sobie pewnego razu, aby mama poszła do miasta i kupiła jej kilogram wołowego tłuszczu. Jako jedyna w rodzinie ekspertka od języka polskiego w rodzinie, wytłumaczyła swojej wnuczce, a mojej przyszłej mamie, że wołowy tłuszcz w polsku nazywa się łój. Babcia mimo swojej niezaprzeczalnej znajomości języka polskiego, rozmawiała przecież płynnie po mazursku, niekoniecznie mocna była w polskiej gramatyce. Wytłumaczyła wnuczce krótko:

- Pójdiesz do rzeźnika i powiesz: „Poproszę jeden kilo łój”

Mama ruszyła na zakupy. Z Młynowa do miasta jest jednak ponad dwa kilometry, więc piesza przechadzka na zakupy trwa dość długo. Przez całą drogę mama powtarzała w pamięci nieskończoną ilość razy:

- Poproszę jeden kilo łój.

- Poproszę jeden kilo łój. – I tak aż do znudzenia. Bała się, że zapomni, co ma powiedzieć, więc co kilka metrów powtarzała:

- Poproszę jeden kilo... Wie war das? (Jak to było?)...Ahaaaa... łój.

W końcu coś jej się pomieszało i z nauczonego zdania zniknął łój, a pojawił się całkiem inny wyraz, który w sumie tak dobrze rymował się z wyrazem-protoplastą, że mama nawet nie zauważyła, kiedy to się stało. Pomyłkę zauważyła dopiero w sklepie, kiedy po podaniu przez nią zamówienia dość długa kolejka oczekujących klientów gruchnęła gromkim śmiechem...

Śmiech ten dość dokładnie uświadomił jej, że popełniła błąd. Coś się z tym łojem nie zgadzało, to było pewne. Ale co? Tego nie wiedziała jeszcze kilka lat. Kilka lat później, kiedy były już mężatką, nasz tata wytłumaczył jej, co zamówiła zamiast wołowego tłuszczu. Pozwólcie, że na szczegóły spuszczę tu zasłonę milczenia... Dla ciekawskich dodam, że zamówiony przez nią kilogram (tu odpowiedni wyraz) rymuje się z wyrazem łój i użyty w sensie potocznym jest wyrazem uznanym za obraźliwy, albo przynajmniej za brzydki.

²⁵⁹ Kumaty - Znaczenia (potocznie): pojętny, rozumny, obeznany, szybko orientujący się (Źródło: <https://pl.wiktionary.org/wiki/kumaty>)

Dla ułatwienia dodam tylko, że tylko pierwsza litera wyrazu jest do wymiany. Reszta, to już tylko ortografia.

Jak dyrektor potwierdzał urlop.

Dużo trudniejszą ekwilibrystką językową niż ta w sklepie był język urzędowy. Bo praca praca, ale od czasu do czasu trzeba było udać się do biura. A to oddać tygodniowy raport z obrotów, a to złożyć zamówienie, a to załatwić urlop i tak dalej. Sprawy zamówień i raportów załatwiano się z prostymi urzędnikami, ale kartę urlopową musiał podpisać dyrektor. Rozmowa z tak wysokim urzędnikiem jak dyrektor nie mogła być prowadzona na poziomie prostego, sklepowego języka polskiego. W takich rozmowach należało używać jego wzniosłej odmiany. Minimum był tu język urzędowy. Zgodnie z jego kanonami dyrektor nie podpisywał karty urlopowej, on potwierdzał urlop.

Naszej mamie jak zwykle mieszały się takie niuanse językowe i za każdym razem, kiedy musiała załatwić coś na wyższym poziomie urzędniczym, potrzebowała pomocy. Tak było i tym razem. Mama poszła do biura załatwić sobie urlop. Sympatyczne panie wypisały jej kartę urlopową i kazały iść do dyrektora po podpis. Mama nie bardzo wiedziała, jak ma się zwracać do tak wysokiego urzędnika, więc poprosiła panie o pomoc. Podpowiedziały jej, że ma poprosić dyrektora o potwierdzenie urlopu. Mama, dokładnie tak, jak w przypadku wołowego tłuszczu, czekając w sekretariacie na audiencję powtarzała sobie nauczony tekst. I tak jak w tamtym przypadku chyba coś się jej pomyliło, bo kiedy wyszła już z audiencji poszła w pretensjami do pań, że nauczyły ją niewłaściwego tekstu:

- Proszę mi wytłumaczyć, co mnie nauczyłyście. Chyba zażartowałyście sobie ze mnie.
- Co też pani mówi, pani Turek. Nie podpisał?
- Podpisał. Oczywiście, że podpisał. Ale najpierw na mnie tak dziwnie popatrzył, a potem się śmiał...
- A co mu Pani powiedziała?
- To, czego mnie nauczyłyście: Panie dyrektorze, proszę podpierać mój urlop.

Młynowo i Europa: mój poprzewracany świat.

Moje pierwsze świadome wspomnienia związane są z Młynowem, czyli z „miejscem na świecie” mojej prababci. Po wielu „zakrętach historii” i zakrętach mojego życia, moim miejscem na świecie jest Europa. Europa w dobrym, a nawet najlepszym tego słowa znaczeniu. Taka Europa, jakiej jeszcze nie ma, ale kiedyś będzie. Ja, prosty Polak, Niemiec, Mazur i Europejczyk, dawny Autochton, Szwab i Szkop²⁶⁰, wierzę w to głęboko. Wierzę też, że taka Europa musi przyjść i nawet politycy nie potrafią tej pięknej idei zniszczyć...

Młynowo i odpowiedzialność kilkulatka.

Od najmłodszych lat byłem, czasami mimowolnym, czasami trochę przymuszonym sytuacją, ale zawsze zainteresowanym słuchaczem najprzeróżniejszych wspomnień.

²⁶⁰ Szwab, szkop, hitlerowiec czy gestapo to najpopularniejsze przezwiska, którymi obdarzano w okresie powojennym rdzennych mieszkańców Mazur. W latach sześćdziesiątych zanikły one niemal całkowicie.

Zacząło się to już w wieku przedszkolnym, kiedy to mieszkalem z prababcia²⁶¹ w Młynowie²⁶². Już wówczas nałożono na moje wątle jeszcze barki trzy-, cztero-, pięcio- czy później sześciolatka pierwsze obowiązki. Bo to nie tylko prababcia miała obowiązek opiekowania się mną. Ja miałem również wielki (a przynajmniej tak to wówczas traktowałem) obowiązek. Obowiązek opieki nad niesprawną już wtedy babcią, która miała kłopoty z chodzeniem i poruszała się wyłącznie o lasce. Zawsze, kiedy rodzice nas odwiedzali, przypominali mi wielokrotnie: „Pamiętaj, jeżeli prababcia się przewróci albo nie będzie mogła wstać, pobiegnij po sąsiadów, by jej pomogli! Nie zapomnij, jak się tylko coś stanie, wołaj Opalów²⁶³!” Przerazało mnie to trochę, albowiem mówiono mi o czymś, co było dla mnie, kilkulatka, sprawą całkowicie nierealną. Dlaczego prababcia miałaby się przewrócić? Mieszkam z nią całe moje długie życie kilkulatka i nigdy się nie przewróciła. Dlaczego więc teraz... Poza tym Opale mieszkają za ścianą, można po prostu zapukać w ścianę. Robiliśmy to z babcią niejednokrotnie w innych przypadkach. O co tu chodzi? Nie rozumiałem tego i to mnie najbardziej przerażało. Nie przerażało mnie żadne realne zagrożenie, przecież nigdzie go nie widziałem. Przerazało mnie niewiadome, nieznanne...

U Opalów, którzy mieszkali w drugiej połowie naszego domu bywałem bardzo często. Szczególnie lubiłem starszą panią, mamę Pani Opalowej, z którą chodziliśmy od czasu do czasu do kóz. Przypominam sobie, że bardzo się tych kóz bałem. Były wredne i nie przepuściły żadnej okazji, by mnie bodnąć rogatym łbem. Jednakże przy starszej pani były grzeczne i mogłem je nawet pogłaskać. Od czasu do czasu, pod czujnym okiem opiekunki próbowałem też udoju. Niestety bezskutecznie. Wredne kozy nie chciały mi dać ani grama mleka... Byłem tym zawsze bardzo rozczarowany i biegłem wtedy do innych sąsiadów, do mojego rówieśnika Heinza Kopcia i tam razem narzekaliśmy na wszelką rogaciznę. Heinz miał bowiem podobne kłopoty z własną krową. Potem razem wymykaliśmy się z domu i dookoła gospodarstwa braci Szustakowskich²⁶⁴ biegliśmy po kryjomu pobawić się nad stawem. Było to surowo zakazane i kiedy nas tam ktoś ze wsi zobaczył (a zobaczył zawsze) i naskarżył prababci albo rodzicom Heinza, otrzymywaliśmy reprimendę.

²⁶¹Marie Piechottka z domu Jablonski, urodzona 24.06.1879 Bothau (Botowo), zmarła 20.06.1963 w Mrągowie.

²⁶² Osada młyńska, wraz z przynależnymi do młyna gruntami, uzyskała oficjalnie swą niemiecką nazwę Mühlenthal z dniem 15 stycznia 1817 r. (do tej pory ludność okoliczna nazywała osadę Młynowo). W 1822 r. w osadzie było 38 mieszkańców, w 1838 r. w Młynowie były 2 domy z 51 mieszkańcami. W 1870 r. "majątek z młynem" zamieszkiwało 55 osób. W 1871 r. nastąpił podział Młynowa na dwie odrębne osady: Młynowo I i Młynowo II. Pierwsza z nich z młynem i przynależnymi gruntami pozostała nadal przy Mrągowie, natomiast druga, oddalona od tamtej o jedno km na wschód, jako gospodarstwo dworskie, została przyłączona do wsi Popowo Sałęckie, ale nazywano ją Młynowo Górne (Ober Mühlenthal). W dniu 1 maja 1897 r. oddano do użytku zlokalizowany tutaj przystanek kolei wąskotorowej na linii Mrągowo-Kętrzyn. W urzędowym spisie miejscowości z 1928 r. Młynowo Górne traktowane jest łącznie z Popowem. W 1937 r. liczyło 111 mieszkańców. W 1946 r. zorganizowano tu pomocnicze gospodarstwo rolne Rejonowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Rolnik” w Mrągowie. Później utworzono tu ośrodek stawowy należący do Państwowego Gospodarstwa Rybackiego w Mrągowie, o powierzchni gruntów 0,94 ha i zalewu 0,83 ha. (Źródło: Wikipedia)

²⁶³ Horst i Rita Opala – nasi sąsiedzi. Mieszkała z nimi jeszcze mama Rity, ale jej nazwiska nie pamiętam. Potem urodzili się dzieci. Syn Reinhold i córka, której imienia też już nie pamiętam. Opale hodowali dwie kozy. Nazywały się Tulpe i Nelke. Były wredne i bardzo się ich bałem, ale ich mleko było bardzo smaczne. Ponieważ w tym czasie babcia nie prowadziła już gospodarstwa nie mieliśmy własnego mleka, ja wychowałem się na ich mleku.

²⁶⁴ Sąsiedzi Babci z lewej strony. Przed wojną gospodarstwo to należało do Kapteinów. Friderike Kapteina była babci siostrą. Ona z mężem nie chcieli wziąć udziału w wielkiej ucieczce w styczniu 1945r. Zostali pilnować dobytku. Kiedy babcia z rodziną wróciła z ucieczki zastali Kapteinów rozstrzelanych w progu swojego domu. Pochowano ich w ten straszny czas na ich polu niedaleko domu. Gospodarstwo przydzielono po wojnie repatriantom ze wschodu, braciom Szustakowskim. Byli to porządni ludzie, szybko wrosli w wieś a jeden z nich był tam dożywno sołtysem. Zawsze dbali o grób Kapteinów. Dopiero, kiedy w latach siedemdziesiątych ich ziemię przejął PGR, grób zaorano i dzisiaj nie ma po nim żadnego śladu.

Karin. Pierwsze zaloty.

Kiedy trochę podrośliśmy i osiągnęliśmy poważny wiek pięciu czy sześciu lat przestaliśmy uciekać za staw. Chodziliśmy bawić się na podwórko Weidów. Mieszkała tam Karin, nasza rówieśnica. My, jako już prawie dorośli panowie, smaliliśmy do niej cholewki.

Kilka lat później Heinz wyjechał z rodzicami do Niemiec a ja wyemigrowałem do Mrągowa, bo czas było zacząć nauki.

Co się stało z Karin, nie wiem. Prawdopodobnie też wyjechała, jak to się wtedy nazywało „za Odrę”²⁶⁵. Tak skończyły się nasze, Heinza i moje, pierwsze w życiu konkury.

Prababcia Marie Piechottka. Codziennosc i babcine prasówki. Kino.

Jak już wspominałem, mieszkalem wtedy z prababcia. W pustej połowie domu tylko ja, kilkulatek i ona, osiemdziesięcioletnia staruszka, która z trudnością poruszająca się o lasce. Od czasu do czasu, najczęściej raz w tygodniu, odwiedzała nas mama z Zygmuntem, moim starszym bratem, a czasami przychodził z nimi również tata. Poza tym byliśmy sami. Prababcia z powodu swoich chorób nie prowadziła już gospodarstwa. Hodowała jedynie kilka kur i prosiaka. Mleko, oczywiście kozie, kupowaliśmy od Opalów. Resztę potrzebnych do życia produktów dostarczano nam z miasta. Czasu mieliśmy, co niemiara. Latem uciekałem wprawdzie do Heinza, albo do innych dzieci we wsi, ale zimą siedziałem na ogół w domu. Przed obiadem prababcia oporządzała resztki gospodarstwa, przynosiliśmy z komórki drewno i paliliśmy w piecach. Potem prababcia gotowała obiad. Pomagałem jej w tym gotowaniu dzielnie. Może to jest dziwne albo i nieprawdopodobne, ale do dzisiaj pamiętam wiele jej kuchennych przepisów.

Po obiedzie prababcia gotowała kawę. Dla siebie prawdziwą. Tą, którą przysyłała nam ciocia²⁶⁶ „zza Odry”. Dla mnie Muckefuck²⁶⁷ z kawy zbożowej „Turek” z mlekiem kozim. Siadaliśmy przy stole i zaczynaliśmy prasówkę. Prababcia prenumerowała, prawdopodobnie „przymusowo na ochotnika”, jak to się wtedy było w zwyczaju, gazetę „Gromada – Rolnik Polski”. Przypominam, że prababcia doskonale mówiła po mazursku, co nie do końca znaczyło po polsku, ale pisała i czytała wyłącznie po niemiecku. Ja w tych czasach nie byłem jeszcze mistrzem w czytaniu. Od piątego roku życia umiałem jednak składać litery i czytać proste wyrazy, lecz nie było to żadne mistrzostwo świata w czytaniu...

²⁶⁵ W tamtym czasie w powszechnym użytku były dwa zapomniane już całkowicie powiedzenia: „za Odrą” lub „zza Odry” i „zza Buga”. Pierwszym z nich określane Niemcy. Mówiono na przykład „Dostałem list z za Odrę” albo „Wyjechał za Odrę” zamiast „Dostałem list z Niemiec” albo „Wyjechał do Niemiec”. Drugi zwrot, „zza Buga” dotyczył tzw. „repatriantów”, czyli Polaków wysiedlonych z ziem wschodnich, niegdyś polskich a potem radzieckich. Mówiono o nich „ci z za Buga” a w złości „zabugowcy” albo „ruskie”. Szczególnie źle byli oni na początku traktowani przez, jak to się oni wówczas sami nazywali „Polaków z centrali”, czyli przez Kurpi, ale to już całkiem inna historia. Kiedy pierwsze animozje pochodzeniowe zaczęły zanikać, tego typu zwroty też powoli zanikały. Lecz bywały związane z tym również sytuacje wesołe, na granicach surrealizmu. Pewnego razu gromadzki sekretarz partii w Nawiadach chciał szczególnie serdecznie przywitać zebranych mieszkańców wioski. Dla podkreślenia, że nikogo nie chce pominąć, że dla niego wszyscy są ważni, zaczął swoją mowę od zdania „Witajcie kochane ludziska i wy z za Buga”. W tych czasach po cichutku, na ucho opowiadało się też inny bardzo związany z tą epoką dowcip: „Pewien reporter zapytał Bieruta, czy Bóg jest dla Polaków ważny. Bierut zastanowił się chwilę i odpowiedział: Ależ oczywiście! Przecież gdyby nie Bug, to granicę mielibyśmy na Wiśle!”.

²⁶⁶ Ciocia Marie Czychowski, czyli Tante Mieta. Córka mojej prababci i siostra mojej babci Berty Just. Po wielkiej ucieczce znalazła się z dziećmi w Niemczech w okolicy Bielefeld. Potem, po powrocie z amerykańskiej niewoli dołączył do niej mąż Fridrich.

²⁶⁷ Napój z kawy zbożowej, często zabielały mlekiem. U babci było nawet urządzenie do palenia kawy zbożowej. Był to rodzaj żelwowej patelni z przykręcaną „na fest” pokrywą. Pokrywa posiadała wziernik do sprawdzania stanu palonego zboża i korbkę, która poruszała mieszađo. Kawy nie wolno było przepalić, bo była niesmaczna. W „moich czasach” nie paliliśmy już kawy, lecz kupowaliśmy gotową. Najlepsza była ta marki „Turek”, lecz nie miało to nic wspólnego z naszym nazwiskiem.

Prasówki te były szczególnie interesujące, że potrafiliśmy wyczytać w gazecie sprawy, o których się autorom artykułów nawet nie śniło. Największą naszą czytelniczą wpadką, o której jeszcze dziesiątki lat później opowiadano w rodzinie niesamowicie interesujące historie, był artykuł, którego tytuł odczytaliśmy, jako „Kobieta ma wszy”. Prababcia, kobieta starej daty bardzo się tym artykułem zdenerwowała. Nie dość, że jakaś baba nie dba o czystość i higienę, bo przecież tylko z tego biorą się wszy, to jeszcze ogłaszają to w prasie na cały kraj. Taki wstyd!!! Ze zdenerwowania, nie próbowaliśmy nawet przeczytać skąd te wszy się tam wzięły. Prababcia z niecierpliwością wyczekiwała soboty, kiedy to przyjdzie z wizytą wnuczka (moja mama), aby przed nią wylać z siebie całą gorycz. To nieprawdopodobne, żeby o takich sprawach pisać w gazecie!!!

W sobotę późnym popołudniem przyszła jak zwykle mama. Prababcia wyczekiwała w progu już od południa, aby jej natychmiast opowiedzieć o bezwstydnym gazecie. Opowieść o bezwstydnym (nieprzeczytanym) artykule trwała dość długo. W końcu prababcia dała mamie dojść do głosu. Mama zapytała, gdzie jest gazeta. Chciała osobiście przeczytać ten nieprawdopodobnie haniebny artykuł. Wzięła do ręki gazetę i po chwili wybuchła śmiechem. Śmiała się długo i serdecznie, a my patrzyliśmy na nią jak na niespełna rozumu. Po chwili mama się uspokoiła i wyjaśniła nieporozumienie. Błędnie przez nas, „naukowców za dychę”, odczytany tytuł nie brzmiał „Kobieta ma wszy”, lecz „Kobieta na wsi”!!! Długo jeszcze opowiadano o tej wpadce w całej rodzinie, jakby to był najlepszy żart. Już jako starszy pan musiałem kilka lat temu wysłuchać tej historii po raz kolejny, kiedy mama opowiadała ją mojej niemieckiej rodzinie. No i oczywiście rumieniłem się ze wstydu, że jako pięcioletek tak słabo czytałem. Prababcia nie musiała się już wstydić, bo już ponad pięćdziesiąt lat nie żyje.

Po prasówce siedzieliśmy nadal w kuchni przy stole. Stół stał przy oknie, które wychodziło w stronę ogrodu. Zwyczajowo mieszkańcy domu Weidów, rodzina Lulisów i bracia Szustakowscy²⁶⁸ mieli prawo do skrócania sobie drogi przez nasz ogród. Tędy im było dużo bliżej, a nam dużo ciekawiej. Szczególnie zimą, kiedy większość dnia spędzało się w domu. Kiedy ktoś przechodził pod naszym oknem, zgadywaaliśmy, dokąd i po co się wybrał. Mieliśmy coś w rodzaju dzisiejszego telewizyjnego reality show i to jeszcze przed epoką telewizji. Mało tego. Nie mieliśmy nawet najmniejszego pojęcia, co to jest telewizja. Mało tego. O kinie też jeszcze nie mieliśmy pojęcia. W moim krótkim życiu nie widziałem jeszcze ani jednego filmu, a prababcia tylko raz widziała jakiś film, lecz nie obejrzała go do końca. Uciekla.



1971. PDK. Pod dyrekcją pana Władysława Mańka wystawiliśmy Królową Śnieżkę. Grałem w tym spektaklu złą czarownicę.

²⁶⁸ Jeden z braci miał na imię Hipolit, drugiego, od piastowanego przez wiele lat stanowiska nazywano Sołtysem. Obydwaj byli starymi kawalerami i żyli tak, że film „Sami swoi” nie był dla mnie komedią, lecz wspomnieniem. Miłym wspomnieniem, bo byli to mili ludzie. U nich po raz pierwszy widziałem piec chlebowy, na którym można było spać. Po raz drugi i ostatni widziałem takie urządzenie u babci i dziadka Sultanów, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Majdan Zbydniowski na początku lat sześćdziesiątych. Wtedy jednak już nikt na nim nie spał. Kiedy po raz drugi odwiedziłem Majdan, pieca już nie było. Sołtys, mimo że był starym kawalerem, był jak na tamte czasy bardzo nowoczesny, bo miał nieslubną córkę. Była rok albo dwa starsza niż ja. Jednak nie mieszkała ona z tatą, lecz z mamą w domu Weidów, a tata ją często odwiedzał, czyli przechodził pod naszym oknem. Niestety straciłem z nią kontakt. Prawdopodobnie wyszła za mąż za rolnika w Gizewa lub Warpun.

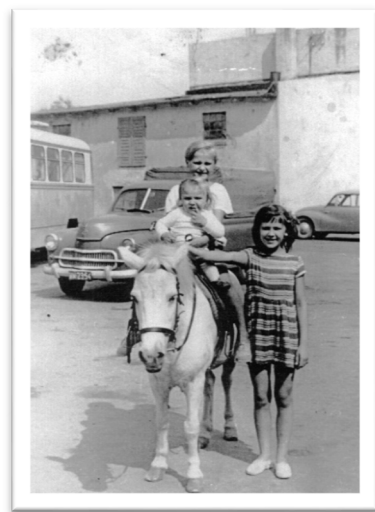
Było to w epoce kina objazdowego. Do nieistniejącego już dziś pałacu w Młynowie, który po wojnie spełniał rolę wioskowego domu kultury, przyjechało kino. Na film poszli wszyscy mieszkańcy Młynowa, więc prababcia też. Niestety nie udało się jej obejrzeć filmu do końca. Z opowiadań naocznych świadków wiem, że kiedy na ekranie pojawił się pociąg i zaczął pędzić w stronę widowni, prababcia uciekła w popłochu i nigdy więcej nie dała się na takie bezceństwa namówić.

Babcine wspominki. Wojna i mur. Pradziadek Julius.

Siedzieliśmy sobie w długie zimowe popołudnia przy kuchennym stole i piliśmy kawkę. Prababcia Bohnenkaffee, a ja Muckefuck. Patrzyliśmy sobie przez okno i gadaliśmy. O czym? Różnie. W zależności od dnia, od pogody, od tego, co przeczytaliśmy w gazecie. Patrzyliśmy też, kto i w którą stronę przeszedł pod naszym oknem. Rozmowy zaczynały się zwykle od spraw dnia codziennego. Potem prababcia przechodziła do wspomnień.

Do tych bliższych, czyli do wspomnień z drugiej wojny, która to rozruciła rodzinę po całym świecie. Potem przechodziła do wspomnień o tych, którzy nie wrócili, bo oddzielają nas od nich granice oraz o tych, którzy nie wrócili i już nigdy nie wrócą. O wielkiej ucieczce w 1945 roku i o ucieczce podczas pierwszej wojny. Do tego smutna opowieść o abdykacji Kajzera. Było też o młodości, o zalotach dziadka, o pracy „na saksach” itd... itd...

Czasami były to wspomnienia lżejsze, radośniejsze, jak te o dziadku smalącym cholewki do prababci. Prawdę mówiąc, to już wtedy zaczął się w naszej rodzinie problem graniczny, czyli stania w rozkroku po dwóch stronach jakiejś granicy. Granice te były różne w różnych pokoleniach i okresach historycznych. Ewaluowały z biegiem lat, polityki i historii. Nasze stanie na tych granicach też było różne. Od spokojnego trwania aż po prawdziwy historyczno-graniczny szpagat. W ostatnich kilkudziesięciu latach



Basia, Sabina i Marian. Mrągowo, ul. Żeromskiego. Ca. 1965 rok.

szpagat ten ewaluował do siedzenia okrakiem na symbolicznym berlińskim murze i trzymania się tego muru rękami, nogami i zębami, by nie dać się ściągnąć na niewłaściwą stronę. Z różnymi skutkami tego trwania, materialnymi i nie tylko, dotrwaliśmy do tam do ostatniego jego dnia trwania muru. Potem Unia Europejska spowodowała, że granice dzielące państwa zanikają i nikt już nie musi trwać na nich w rozkroku, ani trzymać się zębami muru dzielącego ludzi, by w ten sposób wykrzyknąć na cały świat swoje krzywdy. Jednakże lata trwania tych murów spowodowały nieodwracalne rysy w naszym życiu. Jedne z nich będą nas prześladować, jako koszmary i lęki do końca naszych dni. Inne spowodowały, że to my staliśmy się prawdziwymi Europejczykami. Zanim tak do końca wymyślono Europę my byliśmy już Europejczykami. Ta nie tak dawno połączona Europa dopiero zaczęła się zrastać. Niejednokrotnie jest to zrastanie bardzo bolesne. Widzimy to na co dzień. Szczególnie teraz, w czasach przeróżnych kryzysów. My natomiast już wtedy, siedząc okrakiem na murze przeszliśmy ten etap. My jesteśmy po prostu dalej... Wróćmy do wspomnień. Pradziadek Julius Piechotka nie był niestety Mazurem i ewangelikiem. Mieszkał gdzieś za

Choszczewem²⁶⁹, czyli już na Warmii. Nie to jednak dyskwalifikowało go w oczach miejscowych absztyfikantów prababci. Prawdziwą dyskwalifikacją był fakt, że pradziadek, tak jak każdy Warmiak, był katolikiem. To było nie do pomyślenia!!! Jakże to!? Dziewczyna z Botowa²⁷⁰ (Bothau), Mazurka i ewangeliczka a Warmiak i katolik smali do niej cholewki? Nie dość, że obcy, z innej wsi, to jeszcze odmieniec w pochodzeniu i wierze. To nie mogło się skończyć dobrze. Miejscowi chłopcy niejednokrotnie zasadzali się na przychodzącego w konkury dziadka i niejednokrotnie przetrzepali mu skórę. Nie było to jednak aż tak groźne, jak by się mogło wydawać. Prababcia opowiadała o tym z rozrzwiniem i z uśmiechem. W końcu to o nią chłopcy się pobili, a dziadkowi nic złego się nie stało. Będzie mogła kiedyś dziadkowi wypomnieć, że tyłu miała kandydatów a wybrała jego...

W końcu prababcia zapowiedziała dziadkowi, że wyjdzie za niego, ale pod jednym warunkiem. Że się nawróci na wiarę ewangelicką. Tak się też stało. Pobrali się, byli szczęśliwi i mieli troje dzieci. Przeżyli dwie okrutne wojny, a ich potomkowie rozpierchli się po całym świecie. Oni zaś niedługo po ślubie wywędrowali „na saksy” by pomóc rodzicom w odbudowie spalonego gospodarstwa. Kiedy wiele lat później czytałem książkę Ernsta Wiecherta „dzieci Jerominów” to opowiadane przez prababcie historie znowu powróciły. Historia dzieci Jerominów, to była żywcem wzięta historia mojej prababci i jej rodzeństwa. Ta sama atmosfera i klimat, znane mi z prababcinych opowieści. Historie ówczesnego młodego pokolenia ruszającego w świat „za chlebem” były takie same w powieści i we wspomnieniach prababci. Czytałem tą książkę ze łzami w oczach. Ale tymi „dobrymi łzami”. Te prababcine wspomnienia były wesołe, a momentami nostalgiczne. Smutne, przygnębiające i złe były te inne. Te wojenne. Była tam ucieczka przed Rosjanami w czasie pierwszej wojny i zaczynanie życia od początku, od niczego. Były tam okrutne historie o wielkiej ucieczce w czasie drugiej wojny. O tym jak pradziadek dwukrotnie stał pod murem i Rosjanie chcieli go rozstrzelać. Wtedy udało się. Prababcia uprosiła żołnierzy, by darowali życie staremu człowiekowi. Ale przeżycie to nie minęło bez śladu. Potem, już po wojnie wracało w nocnych koszmarach i pradziadek każdej nocy zrywał się w przekonaniu, że znowu trzeba uciekać. Pakował się i chciał uciekać. Nic nie pomagało. W dzień jakoś tam było. W nocy nie słuchał nikogo i niczego, w nocy uciekał. Zmarł w 1953 roku w szpitalu psychiatrycznym w Choroszczy i tam został pochowany.

Potem, wiele lat później, babcine wspomnienia uzupełnione zostały przez wojenne wspomnienia mojej mamy, a jeszcze później przez jej wiersze, które samie w sobie były rodzajem niemeo kramy i świadectwem okrutnej przeszłości. Wspomnienia czasów końca wojny i lat powojennych powracały w nich wciąż na nowo. I nie ma w tym nic dziwnego. Czasy te były dla tzw. autochtonów²⁷¹, czyli Mazurów szczególnie trudne, a często i tragiczne.

²⁶⁹ Choszczewo (dawniej niem. Choszewen) – wieś w województwie warmińsko-mazurskim, w powiecie mrągowskim, w gminie Sorkwity nad jeziorem Jelmuń. Kilka kilometrów za wioską w kierunku Biskupca zaczyna się Warmia. W XIX wieku we wsi założono szkołę, w której uczono po polsku. Wiem to od Babci, która do tej szkoły uczęszczała. Tam też prawdopodobnie, jeszcze w latach szkolnych poznała dziadka.

²⁷⁰ Botowo (Bałtowo) – mała miejscowość niedaleko Zyndak w powiecie Mrągowo. Leży na północnym końcu jeziora Cielądzkiego. Po pożarze domu młodzi z pokolenie mojej prababci, czyli ona jej siostry Fryderyka(Kapteina) i Wilhelmine (Krause), wyruszyli na saksy by odbudować gospodarstwo. Zabudowania odbudowano czy też kupiono nowe siedlisko, tego nie wiem, na kolonii w Zyndakach (Sonntag), za jeziorem, niedaleko drogi do Botowa.

²⁷¹ Autochton – człowiek należący do rdzennej ludności danego obszaru, np. Indianie amerykańscy czy Aborygeni australijscy. Według profesora Andrzeja Saksona, socjologa specjalizującego się w badaniach mniejszości etnicznych termin autochton określa także mieszkańca pogranicza polsko-niemieckiego, byłego obywatela III Rzeszy, deklarującego polskie pochodzenie. Termin ten był nie zrozumiały dla osób nim obdarzanych, był też stygmatyzujący. (Źródło: Wikipedia) Jak z powyższego wynika, byliśmy wtedy aborygenami Mazur.(Przyp. mój)

1945. Exodus.

Najgorsze czasy przyszły na rodzinę w styczniu 1945 roku. Wtedy to rodzina rozpadła się ostatecznie i bezpowrotnie. Zaczęło się od wielkiej ucieczki. Kapteinowie (siostra Prababci z rodziną) postanowili pozostać w domu, w Młynowie. Postanowili pilnować gospodarstwa, które było ich życiowym dorobkiem. Pradziadkowie zdecydowali się uciekać wraz z całą rodziną. Ich syn, Fritz, był w tym czasie na froncie pod Stalingradem, gdzie, jak się okazało po wojnie, dostał się do niewoli zmarł. Jego żona, Gertrud Piechottka z domu Gromadis i ich syn Uli Piechottka, w późniejszych latach znany mżągowski taksówkarz, byli w tym czasie w Małym Pniewie (Klein Stammen). Córka Marie z rodziną mieszkała w Mżągowie. Na wielką ucieczkę mogli zabrać mieszkających z nimi w Młynowie córkę Bertę (naszą Babcie) i wnuki, czyli Wölfę, Helę i Gertrudę, naszą Mamę. Zięcia nie było, bo był w Wermachcie. Na półwyspie Hel dostał się do rosyjskiej niewoli i po kilku latach został zwolniony do NRD. Osiedlił się przy polskiej granicy w Altwarp, bo do rodziny na Mazury nie wolno mu było wrócić. Był przecież Niemcem, a wszyscy, których nie wysiedlono z Mazur przymusowo, byli Polakami. Niezależnie, czy tego chcieli czy nie. Dziadek zmarł w Altwarp w 1959. Nigdy już nie zobaczył swojej mazurskiej rodziny. Jakiś czas po śmierci Babcy Berty w Mżągowie ożenił się w NRD po raz drugi.

Pierwszy etap ucieczki wiódł do synowej, do Pniewa. Potem dalej do rodzinnych Zyndak. Po dwóch dniach wyruszyli dalej. We wsi Ottern (Otry) wpadli w ręce Rosjan. Najpierw wymienili dziadkowi jego perszerony²⁷² na jakąś starą chabetę²⁷³. Po jakimś czasie przyszli inni i zamienili mu chabetę na jakiegoś mikrogo kałmuka²⁷⁴. Dziadek znany z tego, że miał najsilniejsze konie we wsi zdenerwował się i zaprotestował. Swoim protestem zdenerwował ruskich i dwa razy stawiali go pod ścianą do rozstrzelania. Kobiety płakały i prosiły o litość. W sumie wybłagały jego życie, ale za karę zabrano im również kałmuka. Zostali bez koni. Za bardzo nie była one też potrzebne, bo większa część dobytku też już zmieniła właścicieli. Nie wspomnę tu już o złotym łańcuszku, kolczykach i butach naszej mamy. Na skutek tych przeżyć pradziadek dostał już po wojnie nerwowej choroby. Bał się nocy, wydawało mu się ciągle, że trzeba uciekać, że idą po niego by go rozstrzelać.

Wróćmy jednak do roku 1945. Rodzina była w rozsypce, ale wszyscy Młynowianie wrócili. Ich powrót, to jeszcze inna historia. Kiedyś Wölfci odwiedził mnie w Młyniku, popatrzył na jezioro i zaczął mi opowiadać: „Tędy uciekaliśmy zimą w 1945. Właściwie to nie uciekaliśmy, a wracaliśmy. Ja z mamą. Bo reszta się gdzieś pogubiła. Pamiętam, że szliśmy przez lód, po śniegu. A śnieg był bardzo głęboki.” Potem zamilkł i już nigdy nie chciał nic na ten temat powiedzieć. Wtedy zrozumiałem, że powrót do domu po tej nieudanej ucieczce też nie był łatwy i prosty.

Potem też nie było łatwo. Wiem, że mama przez długi czas ukrywana była na strychu w specjalnej kryjówce za starymi materacami. Rodzina bała się, że włóczący się wszędzie rosyjscy żołnierze ją zgwałcą. Wiele lat później, w wywiadzie do książki Ralfa Giordano „Ostpreussen Ade” przyznała się, że w czasie ucieczki została zgwałcona.

²⁷² Perszeron - Perszeron jest koniem zimnokrwistym, który pomimo masywnej budowy sprawia bardzo eleganckie wrażenie. Poza dostojnym wyglądem ma też inną zaskakującą u koni jego pokroju zaletę – ognisty temperament. (Źródło: <http://pl.euroanimal.eu/Perszeron>)

²⁷³ Chabeta - chudy, nędzny koń.

²⁷⁴ Kałmuk - mały koń stepowy plemion koczowniczych w Azji (Źródło: <https://sjp.pl/Kałmuk>)

W końcu uciekinierzy dotarli do Młynowa. Niestety, Prababci siostra i jej mąż nie żyli. Znalaziono ich zastrzelonych na progu domu. Ze strachu prze wszędzie szwędającymi się rosyjskimi żołnierzami nikt nie miał odwagi wybrać się na cmentarz, który znajdował się w lesie. Rada w radę pochowano ich niedaleko domu. Na ich własnym polu, wymarzo- nym przez nich miejscu na ziemi. Szkoda tylko, że to miejsce wymarzyli sobie do życia a nie na pochówek.

Zarówno prababcia, jak i Szustakowscy, nowi właściciele gospodarstwa Kaptei- nów dbali o ten grób. Niestety, nasza prababcia zmarła a Sołtys i Hipolit się postarzel. Zabrano ich do domu starców, a ich ziemię podłączono do PGR.²⁷⁵ Grób został przez trak- torzystów z PGR-u zaorany i nikt już o nim nie pamięta.

Kiedy wojenna i powojenna sytuacja nieco się ustabilizowała, nowe władze przy- znały gospodarstwo po Kapteinach przesiedleńcom ze wschodu, braciom Szustakowski.

Szustakowscy, pierwsi Europejczycy w Młynowie.

Po pierwszych latach wzajemnego „obwąchiwania się” przez przesiedleńców i uciekinierów z różnych stron, zwanych w tych czasach repatriantami²⁷⁶, oraz miejsco- wych²⁷⁷, którzy powrócili tu po wielkiej ucieczce pokaleczeni nie tylko fizycznie, ale i du- chowo, życie zaczęło się stabilizować, a Szustakowscy zostali zaakceptowani przez cały przekrój mieszkańców wsi. Jeden z nich został nawet wybrany sołtysiem i pełnił tę nieprostą w tamtych czasach rolę dowódcy. Kiedy ja dorastałem, nikt z mojego pokolenia nie znał już ich nazwiska, a starsi go nie używali. Jeden z braci nazywany był Sołtysiem, drugiego nazywano po imieniu, Hipolit. Nazwisko nie było ani nam ani im do niczego potrzebne. Jak patrzę na ówczesne Młynowo i jego mieszkańców z dzisiejszej perspektywy, to widzę, że oni najszybciej stali się Europejczykami w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Albo na- wet w znaczeniu lepszym. Oni akceptowali, a przynajmniej tolerowali nawzajem wszystkie różnice związane z ich pochodzeniem. I te językowe, i te obyczajowe. Nawet piec do spania u Szustakowskich nikomu nie przeszkadzał. Naturalnie, podśmiewano się po cichu z róż- nych, nieznanych do tej pory obyczajów, z dziwnego języka, z innego sposobu bycia. Za- pewniam jednak wszystkich niedowiarków, że był to raczej element ciekawości, a nie zło- śliwości i rasizmu. Tak jest! My, gdzieś tam na końcu ówczesnego świata, czyli w Mrągo- wie, w Młynowie i w innych pipidówkach na „Ziemiach Wyzyskanych” już wtedy stawa- liśmy się Europejczykami. Już wtedy, czyli zanim jeszcze wymyślono Zjednoczoną Eu- ropę²⁷⁸, a ślepa nienawiść i wszelkiego rodzaju „...izmy²⁷⁹” na nowo nie podzieliły wszystko i wszystkich.

Wszystkie wymienione przeze mnie różnice jednak nie tylko dzieliły. Łączyły również. Najpierw wdychano głęboko zapachy z kuchni sąsiadów i zastanawiano się, coś to za pięknie, nieznane zapachy rozchodzą się po okolicy. Potem, kiedy już się jedni z

²⁷⁵ PGR - Państwowe gospodarstwo rolne – forma socjalistycznej własności ziemskiej w Polsce w latach 1949–1993; gospodar- stwo rolne, którego właścicielem było państwo. <https://pl.wikipedia.org/>

²⁷⁶ Repatriacja – powrót do kraju ojczystego osób (np. jeńców wojennych, osób internowanych lub przymusowo przesiedlonych), które wskutek różnych przyczyn znalazły się poza jego granicami. Często termin używany jest błędnie na oznaczenie deportacji, depatriacji albo też ekspatriacji, czyli przymusowych wysiedleń lub przesiedleń. W czasach PRL-u oficjalna propaganda nazywała „repatriantami” Polaków – mieszkańców Kresów Wschodnich, których po II wojnie światowej przymusowo wysiedlano z ich ziem ojczystych i osadzano na tzw. Ziemiach Odzyskanych. <https://pl.wikipedia.org/>

²⁷⁷ Miejscowych nazywano tu wówczas autochtonami, później przebiło się określenie Mazur.

²⁷⁸ Zjednoczona Europa- Mam tu naturalnie na myśli Unię Europejską.

²⁷⁹ ...izmy – Socjalizm, kapitalizm itd., itd.

drugimi trochę oswoili, panie zaczęły dzielić się przepisami kulinarnymi. Początek był zrobiony. Potem wszystko szło dalej. Pod koniec życia najlepszą przyjaciółką naszej mamy była pani Szyszkowa, repatriantka ze wschodnich, już teraz nie polskich, rubieży.

Ucieczka z Mazur. Wspomnienia cioci Miety i jej dzieci.

Później, kiedy mieszkałem już w Niemczech, często odwiedzałem ciocię Mietę (Czychowski). Była to siostra mojej babci i córka mojej prababci. Udało się jej w 1945 roku uciec wraz z dziećmi ostatnim pociągiem z Mrągowa. Po wielu perypetiach znaleźli się w Bielefeld. Tam też zmarła w statecznym wieku 90 lat. Spotykaliśmy się dość często, bo musieliśmy nadrobić te kilkadziesiąt lat, kiedy znaliśmy się tylko z listów. Poza tym ciocia Mieta była wtedy w tym wieku, w jakim była moja prababcia, gdy mieszkałem u niej w Młynowie. Dla mnie było to jakby cofnięcie się w czasie i powrót do dzieciństwa. Dla cioci

chyba też. Nasze spotkania zamieniały się w ciąg wspomnień. Ona opowiadała mi o Młynowie przed wojną, a ja jej o rodzinie i Młynowie powojennym, kiedy to jeszcze mieszkali tam jej znajomi sprzed wojny.

Tak to przez całe moje życie, od najwcześniejszego dzieciństwa byłem słuchaczem wspomnień i rodzinnych, a czasami nie tylko rodzinnych historii. Wspomnień lep-



Ciocia Mieta, siostra mojej babci Berty i wujek Friedrich Czychowski z dziećmi Gerdem, Ulą i Georgem. Brake ca. 1950

szych i gorszych, a czasami i tych całkiem niedobrych. Wszystkie one utkwiły we mnie bardzo głęboko i bardzo często powracały w różnych życiowych sytuacjach. Chyba czasami lepiej by było, tego wszystkiego nie wiedzieć...

Któręś dnia Tante Mieta opowiedziała mi o ich ucieczce w 1945 roku. Kiedy się to wszystko zaczęło mieszkali w Sensburg (Mrągowo), niedaleko dworca kolejowego w domku, który zbudowali sobie pod koniec lat trzydziestych. Jak wspominała Ciocia, kiedy sąsiadka krzyknęła do niej, że za chwilę odjedzie z dworca ostatni pociąg, ona gotowała właśnie obiad. Zdjęta z pieca garnek z zupą, kazała się dzieciom ubierać. Ubrała płaszcz, spakowała do jakiegoś tobołka wszystko, co było pod ręką i w ciągu kilku minut pobiegła z dziećmi na skróty, przez tory kolejowe w stronę dworca. Udało się. Dobiegli na czas. Pociąg ruszył i zaczęła się ich odyseja, która zakończyła się dopiero po kilku miesiącach w obcej i nie zawsze przyjaźnie nastawionej do uciekinierów wsi niedaleko Bielefeld. Dwa lata później dołączył do nich wujek, który wrócił z amerykańskiej niewoli.

Pierwszym pociągiem dojechali gdzieś za Olsztyn. Potem trzeba było mimo trzaskającego mrozu i głębokiego śniegu iść na piechotę. Czasami ktoś litościwy podwiózł dzieci wozem. Dotarli do Zalewu Wiślanego. Przez Zalew szli na piechotę po lodzie. W

drodze widzieli bombardowania, tonących ludzi, konie i wozy. Zabitych i zmarłych pozostawiano po prostu na lodzie, a w dalszej części wędrówki przy drodze. Mimo wszystkich przeciwności losu, mrozu, zmęczenia i głodu, udało im się dotrzeć do Gdańska, gdzie koczowali kilka dni w najróżniejszych warunkach. Przeżyli bombardowania, płonące i walące się domy. Ulice pełne były ruin. Udało im się dostać na statek, do którego należało dotrzeć na piechotę na skraj lodu, gdzie był przycumowany. Statkiem tym dotarli po kilku dniach podróży pod rosyjskimi bombami do Danii. Dalej było już spokojniej. Amerykanie nie bombardowali z rozmysłem cywilów...

Po latach próbowałem rozmawiać z Georgem, Gerdem i Ulą o tym, co pamiętają z tego czasu. Georg i Gerd zbyli mnie, że byli za młodzi i nic nie pamiętają. Gerd, najmłodszy z trójki dzieci nigdy nie opowiadał o ucieczce. Miał wtedy zaledwie kilka lat, więc prawdopodobnie mało z tego czasu pamiętał. Od córki Georga, Nicol, wiem jednak, że on z nikim o wojnie nie rozmawia, ale „nałogowo” ogląda w telewizji wszystkie filmy o drugiej wojnie i zawsze przy tym płacze. Nie wolno mu wtedy przeszkadzać. Musi być sam.

Jedynie Ula dała mi się kiedyś wciągnąć w rozmowę na ten temat. Miała w tym czasie już prawie 9 lat i była najstarsza z całej trójki, więc najwięcej zapamiętała. Z jej opowiadań nigdy nie zapomnę jednej sceny. Sceny bombardowania, którą przeżyli w Gdańsku. Przed wybuchającymi bombami i wszędobylskimi odłamkami schowali się w jakimś dole czy rowie. Mama przygarnęła i przykryła sobą przerażone maluchy osłaniając je własnym ciałem przed groźącym niebezpieczeństwem. Dla Uli starczyło już tylko miejsca przy matczynej nodze. Przytuliła się do niej z całych sił, na jakie stać było dziewięcioletką. Ta noga stała się nagle całym jej światem i jedyną ostoją, która dawała jej odrobinę bezpieczeństwa. Ta noga pomagała jej przetrwać ten ogromny strach, który dopadł ją w tych najgorszych w jej życiu chwilach. Poza tą nogą nie było na całym świecie nic innego. Tak naprawdę, to z całej ucieczki w pamięci utkwiła jej najbardziej ta dająca bezpieczeństwo matczyna noga.


Opowiadanie Uli o matczynej nodze jest najtragiczniejszym wspomnieniem wojennym, jakie kiedykolwiek słyszałem czy też czytałem.

Mama, jej wspomnienia i wiersze. Ralph Giordano.

Podobne wspomnienia pozostawały mi po wspomnieniach mojej mamy. Były zawsze smutne, czarno-białe i przygnębiające. Jak czasy, których dotyczyły. W połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia ich szarość i smutek pogłębiły się jeszcze. Okazało się wtedy, że mama pisze wiersze. Dla siebie, albo raczej dla swojej szuflady. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, nie traktowaliśmy tego poważnie. Ot, tam, babcia się nudzi i pisuje sobie... Znaczenie wielu tych wierszy zrozumieliśmy dopiero później. Dużo później. Na razie wszyscy patrzyli na to pobłaźliwie i na zasadzie: jak jej z tym dobrze, to niech sobie pisze. Tak minęło kilka lat. Dopiero, kiedy Asia wyciągnęła babci wiersze z przysłowiowej szuflady, zaczęliśmy patrzeć na tę twórczość inaczej.

Będąc na wakacjach w Mrągowie Asia skopiowała wszystkie babcine wiersze i przywiozła do Niemiec. Wtedy pierwszy raz je przeczytałem. Przeczytałem i wpadłem w depresję. Okazało się, że nie znam mojej własnej mamy. My, jej dzieci, od zawsze znaliśmy mamę, jako osobę, która potrafi sobie poradzić z wszystkimi trudnościami, która chroni i spaja całą naszą rodzinę. Jest twarda i żadne przeciwności losu nie dadzą rady jej załamać.

Tymczasem wiersze pokazały nam kogoś zupełnie innego. Osobę kruchą i delikatną, która całe swoje życie musi być kimś innym, niż jest w rzeczywistości i musi stawiać czoła wszystkim przeciwnościom losu. Wszystkie ciosy brała od najmłodszych lat na siebie chroniąc przed nimi mamę, rodzeństwo i babcię. Potem, po latach, kiedy zabrakło męża,



1993. Ralph Giordano schreibt das Buch 'Ostpreußen ade - Reise durch ein melancholisches Land'. Der Kapitel 'Dann es lieber so lassen, wie es ist' ist unserer Mutter gewidmet. Foto oben: Im Gespräch mit Ralph Giordano.

"Dann es lieber so lassen, wie es ist"

„Das Haus aus roten Ziegeln,
das mitten im Garten stand,
das war das Haus meiner Kindheit,
die ich so wunderschön fand.
Rundherum wuchsen Büsche
mit Kirschen, Äpfeln und Pfäusen'
auch viele Gemüse und Blumen,
genau wie in meinen Träumen.“

Nein, das sind keine Verse von Ernst Wiechert,
und mit dem Haus aus roten Ziegeln ist auch
nicht sein Geburtsort gemeint.
Geschrieben hat das Gertruda T aus Mragowo,
neben Hunderten und aber Hunderten anderen
Niederschriften solcher Art, die sie „Ihre
Gedichte“ nennt und die sie hütet und vorliest,
heute so gern wie gestern, ohne das rechte
Zeitmaß so wie sie auch nicht die Chronologie
der Ereignisse wahrt, wenn sie aus ihrem Leben
erzählt.

Es ist, wie sie sagt, das Leben eines Menschen, der in seiner Heimat geblieben
ist, aber sein Vaterland verlassen hat. Diese Heimat ist Ostpreußen, die engere
Masuren, das Vaterland Deutschland.
Gertruda T. ist 1926 Altallenstein bei Allenstein geboren, später nach Sernburg
umgezogen und dann geblieben, ohne genau zu wissen, warum es nicht zu
Ausweisung kam. Sie hat 1948 geheiratet, einen Polen, hat fünf Kinder geboren,
ihren Mann 1968 begraben, ist mehrfache Großmutter und hält ihre Freud und
Ihr Leid, ihres Kummer und ihr Glück, ihre Angst und ihren Trotz auf
unzähligen liierten Butter fest. Sie schreibt alles mit der Hand, nicht immer
firm in Interpunktion, Orthographie und Grammatik, wie die Zitate ergeben,
holprig, simpel und bar aller Empfindungen für den Rhythmus der Sprache und
Ihre melodischen Wellenbewegungen. Aber das verliert seine Bedeutung,
verlangt nach anderen Kriterien als denen hochmütiger Rezensenten, wenn ich
aus ihrem Munde höre:
„In meiner Heimat sind auch jetzt noch
mit Bäumen besetzte Chauassen.
Etwas weiter glitzern herüber zu uns
die kristallinen Seen.
Auch gibt es hier Hasen und Rehe
Püchse und manches Getier.
Das ist ein Stück meiner Heimat
ich bin noch immer hier“

Gertruda T. wohnt in einer öden, baumlosen Straße Mragowo, und ehe man im
Partere des Hauses bis hinten zu ihrem Zimmer vorgeht, muß man die
Wohnung ihres verheirateten Sohnes passieren, der mit ebenso mütterlichen
Frau maifauld vor dem Fernseher sitzt und sich nur schwer einen Groß
abringen kann.
Die dicke Luft im Vorderhaus tastet Gertruda T. aber offenbar nicht an. Sie
macht den Eindruck einer durch ihre Fülle zwar körperlich behinderten, sonst
aber energiegelassen und geistig äußerst regamen Frau, die Mappe mit den
Gedichten in den Händen und schon auf die kleinste Ermunterung hin nur zu
bereit, daraus vorzutragen.

Ich hatte eine Freundin,
warum ist sie nicht geblieben?
Ich hatte einen Freund,
warum hat er nicht geschrieben?
Ich hatte ein Vaterland,
warum hat man es mir genommen?“

Was steckt hinter diesen Zeilen, welche Geschichten, welche Not? Gegen Ende
meiner Reise treibt es mich noch einmal zu den Deutschstämmigen und mit
Gertruda T. beginne ich. Sie ist zwar eine chaotische Erzählerin, aber ihr
Erinnerungsvermögen, keine neue Erfahrung, reicht mit minutiöser Genauigkeit
bis tief zurück in die Kindheit.
„Im Sommer war ich oft am Scharner See gewesen, habe da gebadet mit den
anderen und am Strand und auf der Wiese gelegen. Im Winter bin ich mit dem
Schlitten gefahren, hatte aber keine Schlittschuhe, weil ich mir den Fuß
gebrochen hatte. Überall war Schnee, jedes Jahr, ganz anders als heute. Wir
sind von den Hügeln

chroniła nas, dzieci. W samotności przeżywała porażki i ciosy, których nie szczędziło jej życie, a wiersze były jedyną jej ucieczką od okrutnej rzeczywistości oraz rodzajem powiernika i spowiednika. Ralph Giordano²⁸⁰, niemiecki pisarz spotkał się z mamą podczas przygotowana swojej książki „Ostpreußen ade” i przeprowadził z nią kilka rozmów. W swojej książce poświęcił jej cały rozdział, a o jej wierszach pisał: „Potem, kiedy wróciłem do Köln, jeszcze raz przejrzałem ponad sześćdziesiąt kartek z wierszami. Będę je przechowywał z wielką troskliwością i pieczołowitością, mimo że zawartość wielu z nich daleka jest od wielkiej literatury, że są w nich błędy stylistyczne, gramatyczne czy interpunkcyjne. Brakuje im melodyki i rytmiki słowa. Jednak wiersze te są dla mnie najbardziej wstrząsającym świadectwem ludzkich przeżyć, jakie mi kiedykolwiek wpadły do rąk. Są swoistym „document humain”, którego nie da się do niczego porównać. Są one oddechem, który pozwolił Gertrudzie T. nie udławić się rzeczywistością.”

Tekst pana Giordano powstał kilka lat później, ale oddaje doskonale to, co ja czułem o przeczytaniu tych wierszy. Dzisiaj wiem, że są sprawy, o których się z dziećmi nie rozmawia, przed którymi się dzieci chroni. Z braku partnera do tego typu rozmów, mama cały swój żal do życia i świata wyrzuciła na kartki papieru, które po zapisaniu schowała w

²⁸⁰ Ralph Giordano (ur. 20 marca 1923 w Hamburgu, zm. 10 grudnia 2014 w Kolonii) – niemiecki dziennikarz, publicysta, pisarz i reżyser. Po II wojnie światowej rozpoczął pracę dziennikarza w żydowskim tygodniku Allgemeine Jüdische Wochenzeitung. Użył wykształcenie dziennikarskie w Niemieckim Instytucie Literatury w Lipsku.

szufladzie. Dopiero Asia zdołała docenić ich wartość. Wartość nie tyle artystyczną, co dokumentalną i uczuciową oraz ratującą życie i pozory normalności w tym nienormalnie nienormalnym świecie.

Wiersze te, jak już wspominałem, jeszcze bardziej zaczerniły mi obraz przeszłości. Przeszłości, o której tyle już słyszałem od moich bliskich. Okazało się, że to wszystko, co już, jako dziecko odbierałem w kolorze czarnym, ma jeszcze czarniejszą, niż mi się do tej pory wydawało barwę.

Słońce i kolor wspomnień. Mój impresjonizm.

Impresjonizm w życiu codziennym.

Jestem impresjonistą. Pewnie urodziłem się za późno, bo ta epoka dawno już minęła, ale na to nie ma rady. Taki już jestem i to się nie zmienia. W tym przypadku nie chodzi jednak o gatunek ulubionej sztuki, lecz o cechy charakteru, które kształtują moje życie i odbiór wszelkich bodźców zewnętrznych. I to nie tylko tych, związanych ze sztuką. To po prostu tak jest i tego nie da się zmienić. Polega to na tym, że każda przeczytana książka, każdy obejrany film czy obraz, każdy przeżyty kawałek życia, każda usłyszana historia pozostawia we mnie jakiś ślad. Ślad ten, to jest jakieś wrażenie, barwa, rodzaj barwnej plamy wspomnień czy coś w tym rodzaju, a nie pozostają mi za to w pamięci żadne szczegóły. Zjawisko to jest bardzo trudne do opisanego, a sprawy trudne czy przykre pozostawiają we mnie wrażenie ciemne i ponure. Tematy radosne pozostawiają wrażenie jasne, słoneczne i wesołe. Szczegóły zanikają. Są zbyteczne. Dlatego nigdy nie potrafiłem opowie-



Autor w harcówce na Parkowej w Mrągowie ca. 1978.



Tata Mietek w pracy w mleczarni w Mrągowie ca. 1978.

dzieć czy też streścić przeczytanej książki czy obejrzanego filmu. Potrafiłem za to opowiedzieć czy mi się to dzieło podobało czy też nie i dlaczego. Potrafiłem opowiedzieć o wrażeniach, jakie dzieło to na mnie wywarło. Czy jest smutne, czy wesołe. Czy wprowadziło mnie w stan radości lub też euforii, czy na odwrót, czyli rzuciło mnie w przepaść smutku albo doprowadzi do depresji. Mogło mnie też doprowadzić do zupełnego marazmu lub

podbudować do podjęcia nowych, niezwykłych wyzwań. Takim jestem odbiorcą i tak działa na mnie otoczenie. Niezależnie od tego, co to jest, czy tu chodzi o książkę, czy o film, o czyjąś opowieść czy normalne, codzienne stosunki międzyludzkie.

Tak też zawsze odbierałem wspomnienia. Te rodzinne i te dalsze. Wspomnienia mamy i wspomnienia cioci czy prababci. Każde z nich pozostawiało we mnie jakiś ślad, wrażenie i kolor.

Te wojenne i powojenne, czyli smutne i okrutne były w mojej pamięci zawsze czarno-białe, smutne i deszczowe. Oglądałem je oczyma duszy jak stary film. Czarno-biały, smutny, przygnębiający film. Wspomnienia prababci o jej dzieciństwie, o tym jak dziadek smażył do niej cholewki i miał przez to na pieńku z chłopcami ze wsi były natomiast wesołe, pełne humoru, kolorowe jak kwitnąca łąka. Przed oczyma mojej wyobraźni rozwijał się piękny kolorowy film, jak amerykańska superprodukcja w kinie. Ale zaraz potem wracała czarno-biała rzeczywistość pierwszej i drugiej wojny, ucieczka, pradziadek prowadzony na rozstrzelanie i tak dalej, i tak dalej... Smutny, odbierający chęć życia film, który chciałoby się przerwać a jednocześnie wraca się do niego wciąż na nowo...

Temat prosty a skomplikowany; Słońce i kolor wspomnień.

Zapewniam, że mimo wszelkich przeciwności losu w „naszych czasach” też świeciło słońce. Dlaczego to zapewnienie jest takie ważne? Odpowiedź jest zarazem prosta jak i skomplikowana. Zaczę od tej bardziej skomplikowanej strony, to ta prosta wyjaśni się sama z siebie.

Czy wspomnienia mają kolor?

Potem, kiedy przyszedł czas przygotowań do spisania tego wszystkiego, musiałem raz jeszcze zmierzyć się ze wspomnieniami. Tym razem z własnymi. Trwało to prawie trzy lata. Po raz pierwszy podjęła ze mną ten temat pani Jabłonowska²⁸¹ z Radio Planeta w Mrągowie. Było to w 2011 roku, przy okazji przygotowanej przez Panią Redaktor audycji z okazji 50 rocznicy lotu Gagarina w kosmos, której głównym bohaterem był mój tata²⁸². Po trzech latach, w pełnym tego słowa znaczeniu, „chwyciłem za pióro”. Zaczęła powstawać pierwotna wersja tych wspomnień. Wspomnień w formie chaotycznych, piórem przelanych na papier zapisków. Zapisków, które nie są uporządkowanymi, chronologicznymi wspomnieniami, lecz raczej tematycznymi odpryskami wspomnień. Wspomnień nie tylko moich, ale i osób bardzo mi bliskich.

Przy okazji całego tego eksperymentu okazało się jednak, że moje wspomnienia są bardziej kolorowe, bardziej słoneczne, niż te moich bliskich. Można by powiedzieć, że to normalne, bo moje wspomnienia nie są takie tragiczne, jak wspomnienia moich bliskich. Nie ma w nich wojny, ucieczki i podobnych wydarzeń. Zgadza się. Moje doświadczenia też były inne. Nie były aż tak okrutne i drastyczne, jak te babci, mamy, czy taty. Cieszę się

²⁸¹Mail od P. Jabłonowskiej z dnia 07.09.2011: Witam Serdecznie, Chciałbym pana zachęcić do pisania wspomnień z Mrągowa, Dariusz Żyłowski kierownik mrągowskiego muzeum (tel. do pracy 089 741 28 12) z ramienia towarzystwa miłośników ziemi mrągowskiej zachęci do pisania wspomnień. akcja ma się zakończyć najprawdopodobniej na koniec tego roku, wystawą wspominkową. Ze względu na to że na pewno pana wiedza na temat Mrągowa i wspomnień z tym miejscem związanym jest duża, na pewno takie napisane wspominki byłyby bardzo przydatne. Dziękuję i pozdrowienia, Paulina Duszak-Jabłonowska, Planeta FM Mrągowo, Mazurska 20, 11-700 Mrągowo mailto:paulina.duszak-jablonowska@planeta.fm, www.planeta.fm

²⁸² Patrz rozdział „Gagarin”.

z tego powodu bardzo i tym większą radością zauważyłem, że nawet w tych najbardziej tragicznych dla mnie wspomnieniach jest promyk słońca, promyk nadziei.

W czasie pogrzebu mojego taty świeciło słońce. Był to piękny, słoneczny dzień. Mimo ogromnego smutku spowodowanego jednoczesnym odejściem dwóch bliskich mi ludzi²⁸³, mimo serca przepelnionego rozpaczą, dzień ten pamiętam kolorowo, pamiętam słonecznie. Mimo czarnych nastrojów i smutku nadal kwitły kwiaty i świeciło słońce.

Kiedy 41 lat później zamarła mama, pogoda nie była taka łaskawa. Dzień był raczej mokry, pogoda zmienna, jak to jesienią. Padały przelotne deszcze i od czasu do czasu wychodziło na chwileczkę słońce. Jednak, kiedy spuszczano trumnę do grobu, w chmurach zrobiło się okienko i słońeczko oświetliło grób mamy jak teatralny reflektor...

Te wspomnienia też nie są szare czy czarno białe. Może nie do końca kolorowe, bo mój impresjonistyczny organizm buntuje się całym swoim jestestwem przeciwko tym smutnym faktom. Jednakże nie są czarno-białe.

Tak to moje duchowe przygotowanie do przelania moich wspomnień na papier przyniosły mi dodatkowe, bardzo dla mnie ważne odkrycie. Wspomnienia moich bliskich też nie mogły być tylko szare czy czarno-białe. To ja je tak odbierałem. Ich życie, mimo wszystko, też było kolorowe. W ich życiu też świeciło słońce. Dokładnie tak jak w moim.

Mimo życiowych tragedii i przeciwności losu w życiu każdego człowieka są też chwile radosne. Świeci słońce, jest kolorowo i pięknie. Nie ma życia, które jest tylko czarne czy czarno białe. Każde życie ma też kolorowe i słoneczne strony.

Kiedys poznałem w Herford panią, która była niewidoma i nie słyszała. Z otoczeniem porozumiewała się wyłącznie przez dotyk. W czasie naszej, w większym gronie odbywającej się rozmowy, jej mąż siedział obok niej i odpowiednio, jakimś tylko im zrozumiałym kodem dotykał jej ręki, przekazując jej w ten sposób relację z naszej rozmowy. Ona odpowiadała mu ten sam sposób. On z kolei przekazywał nam jej spostrzeżenia. W ten sposób brała udział w naszej dyskusji.

PAMIĘTAJ !!!

I nam, i naszym „starszym” też świeciło słońce. My też mieliśmy nasze słoneczne i radosne dni. Żadne czarne i smutne strony życia nam ich nie zabrają ani nie są w stanie ich przesłonić, chociaż zawsze i wszędzie wprowadzają ten gorzkawy na dnie smak...

Życie bez kolorów i słońca byłoby tragicznie smutne. Dopiero pisząc ten tekst zrozumiałem to tak naprawdę. Przy okazji dotarł do mnie sens słów powtarzanych często przez moją siostrę Basię: „Komuś mogę wybaczyć wszystko, poza jednym. Pozbawili moje dzieciństwo i moją młodość kolorów.” Chodzi tu o prawdziwe kolory, kolory otoczenia. Ale nie tylko...



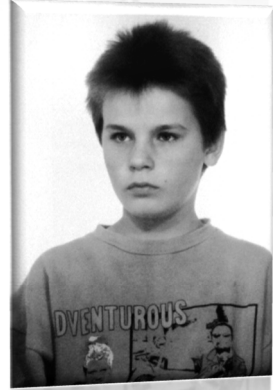
²⁸³ Mój tata i jego starszy brat Adolek zmarli 4 września 1968. Tata był bardzo blisko ze swoim o 4 lata starszym bratem, nawet w czasie wojny pojechał za niego na roboty do Niemiec. Adolek kilka dni po ślubie dostał wezwanie. Tata niewiele myśląc podał się za niego i w wieku 14 lat wyjechał na roboty. Tata zmarł w Mrągowie a Adolek w Majdanie. Byłem na obu pogrzebach. Dziesięć lat później historia się powtórzyła. W sierpniu, krótko po wizycie w Majdanie cioci Stefy (mieszkała już wtedy w USA) zmarł w Majdanie Stryj Olek a w opolskim jego o 4 lata starszy brat Jasiek. Wtedy powstało powiedzenie „Sultany odchodzą parami”.



Asia



Martin



Ania

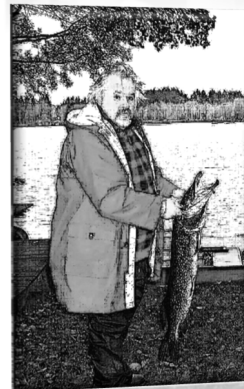
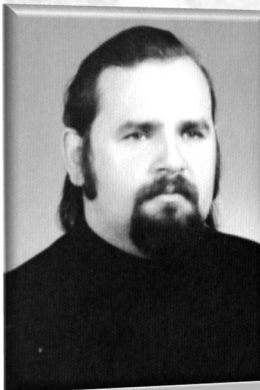




Henia



Heniek



Heniek i Henia





Julia



Sebastian




Julia | Sebastian 2014

MARIE (JABLONSKI) PIECHOTKA
1879 – 1963
JULIUS PIECHOTKA
1879 - 1952



- Berta (Piechotka) Just
08.01.1904 – 1953
Albert Just 08.01.1906-1959
- Marie (Piechotka) Czychowski
02.07.1908 – 1998
Friedrich Czychowski (?) -1979
- Fritz Piechotka
1910(?) – 1945(?)
Gertrud Gromadis 1920(?) -1990

BERTA (PIECHOTKA) JUST
17.10.1904 – 1953
ALFRED JUST
08.01.1906 -1959



- Gertrud (Turek) Just
25.05.1926-04.10.2009
Mieczyslaw Turek
05.02.1925-04.09.1968
- Helma (Gódek) Just
1932 - Mai 1968
Tadeusz Gódek
- Wolfgang Just
1939 - 2004
Tosia (?)

Zygmunt	06.11.1946
Hennrich	01.07.1951
Barbara	19.10.1955
Sabina	21.06.1958
Marian	10.01.1965
Danuta	1962
Zbigniew	1965 – 2000(?)
Jolanta	1968 – 1978
Weronika	1994(?)

MARIE (PIECHOTKA) CZYCHOWSKI
02.07.1908 – 1998
FRIEDRICH CZYCHOWSKI
(?) -1979



- Georg Czychowski
193(?)
Ruth → Nicole
- Oerd Czychowski
193 (?)
Sybille → Kristin
- Ursula (Fahni) Czychowski
1936
Erich Fahni → Frank
→ Martina

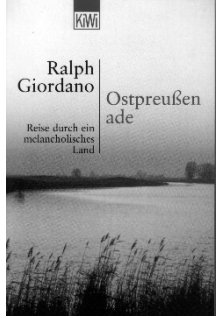
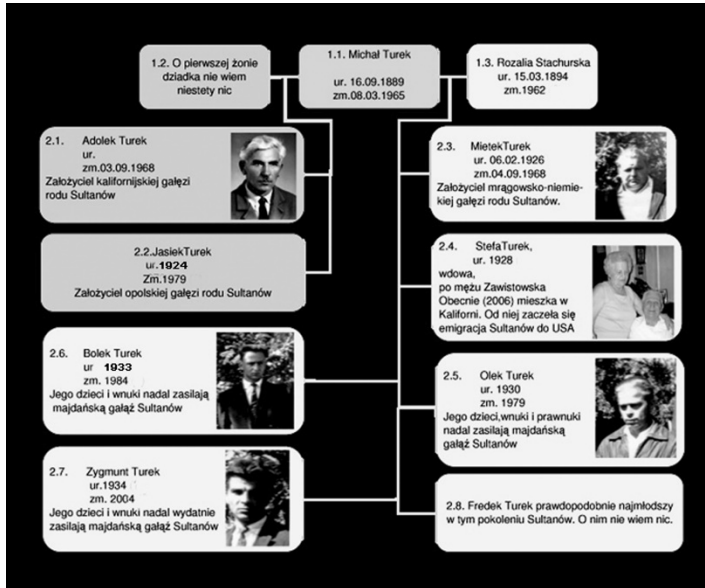
FRITZ PIECHOTKA
1910(?) – 1945(?)
GERTRUD GROMADIS
1920(?) -1990



Ulrich Piechotka
1944
Frau - Teresa

Niestety posiadam tylko zdjecie Fryca Piechotki, brata Babci.

Turki Sultany z Majdanu Zbydniowskiego



<i>Odpryski</i>	0
Pamiętnik a licentia poetica.....	2
Co to są wspomnienia.	2
Cyborg.	3
Odpryski.....	4
<i>Banditenstrasse, czyli obrazki z mojej ulicy.</i>	5
Ulica Roosevelta czy ulica Ogrodowa?	5
Obrazek pierwszy: Pani S. i koziorożce.	5
Obrazek drugi: Stary Pragacz i szorowanie podłogi.	7
Obrazek trzeci: Sąsiedztwo.....	10
Banditenstrasse czy Centrum Kultury Europejskiej?	15
Banditenstrasse a kultura.	16
Mrągowski Pomnik Rocha	19
Posłowie do Banditenstrasse.....	21
<i>Bo życie to jest teatr... Od Bernarda do Bibi.</i>	24
Bernard Ładysz i Bibi Blocksberg.	24
Bernard Ładysz w Mrągowie.	25
Bernard Ładysz po raz drugi.	27
Tym razem nie Ładysz. Teraz kolej na Bibi Blocksberg.	29
<i>Czapajew.</i>	31
Był Czapajew psem czy kotem?	31
Telewizja, internet i klub „Ruchu”	31
Opowiadka o perypetiach kinowych, czyli o tym,	34
jak być starszym niż na to pozwala legitymacja szkolna.	34
Mój przyjaciel Hansi.....	35
Perypetii kinowych ciąg dalszy.	37
Przygód Mamy i Czapajewa ciąg dalszy.	38
<i>Egzaminy.</i>	40
Egzamin życia. Wyścig szczurów. Bracia D.....	40
Przypadek, czyli zbieg okoliczności.	43
Łut szczęścia.	49
Inteligencja.	51
Elokwencja i erudycja.	52
<i>Z kamerą wśród ... nas.</i>	58
Pogotowie ratunkowe w Mrągowie (reportaż TVP Gdańsk).....	59
„Bąble” w Perkozie i... w Ameryce (reportaż TVP Gdańsk).	60
Basia.	61
Marian i jego „Rancho”.....	62
Jak zostałem „wycięty” z filmu „Dancing w kwaterze Hitlera”.	63
<i>Grudziądz. Wojsko a teatr.</i>	64
Dlaczego żołnierz wychodzi na przepustkę.....	64
Żołnierz na przepustce. W mundurze czy bez?.....	67
Spektakl. Scena i widownia.....	68
Surrealizm, albo rzeczywistość równoległa.	68

<i>Zajścia uliczne, czyli muzyczna rebelia w Mrągowie. The London Beats.</i>	69
Jak doszło do zadymy?	69
Kto był chuliganem w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.	70
Zadyma w mieście	74
<i>Okradłem muzeum.</i>	77
Posłannictwo Spółdzielni Mieszkaniowej „Perspektywa” i jej inspektor do spraw społeczno-wychowawczych.	77
O tych, którym się nawet wtedy chciało chcieć... (Harcówka, & Co.)	79
Stowarzyszenie Turystów z Ograniczoną Odpowiedzialnością Klubu Unikania Roboty i Ewentualnych Kłopotów.	80
Harcówka w podziemiu	81
Drużyna wędkarska, kółka fotograficzne i inne grupy zainteresowań.	82
Harcerski Klub Turystyczno-Artystyczny „ODCISK”.	83
Obozy, spływy, Nieobozowa Akcja Letnia	83
Harcerski Teatr Estradowy „Bąble”. Perkoz, Grunwald, Bonanza i wyrypy.	84
Jak się ma plac zabaw na osiedlu Brzozowa do jedyne go w historii napadu na mrągowskie muzeum?	85
<i>Jak Beja zamknęła ośrodek wypoczynkowy.</i>	88
<i>Melina. Dawniej cwaniak i spekulant, dzisiaj biznesmen.</i>	91
Czym spekulant się różnił od biznesmena.	91
Proza życia w początkach lat sześćdziesiątych. Pierwszy mrągowski biznes „na czarno”. 92	
„Pod Kulasem”.	93
Mój udział w przestępczym interesie	94
<i>Dyplom (acja). Dyplomy na (słusznie wy) czerpanym papierze.</i>	98
Dyplomowa moda	98
Mój ulubiony dyplom	99
Dyplomy naszego taty	99
Dyplomy naszej mamy	101
<i>Gagarin.</i>	103
Wizyta Gagarina w Polsce	103
Wizyta sobowtóra w Pieckach	103
Milicyjne poczucie humoru	104
<i>Mama chuliganka.</i>	105
Biedni bogacze. Powojenni młodzi na Ziemiach Odzyskanych.	105
O tym, jak zostaliśmy dziećmi najbardziej statecznej chuliganki w mieście	108
<i>Spotkania. Henia.</i>	111
Jesień 1976. Oleśnica. Pierwsze spotkanie.	111
23.09.1978. Mrągowo. Ach, co to był	113
23.09.1978. Mrągowo. Fragmenty “Gazety Ślubnej”	115
30.09.1978. Żywiec. Ach, co to był... Tym razem w kościele	116
Herford. 25 - lecie ślubu. Sprawozdanie z imprezy zorganizowanej przez Asię i Marcina. Teksty:	
Asia i Marcin. <i>Słowo do pary (nawet po 25 latach) młodej!</i>	117
Herford. 25 - lecie ślubu. Okolicznościowy wiersz autorstwa Asi i Marcina.	118
<i>Archipelag.</i>	121
„Archipelag ludzi odzyskanych” czy „Archipelag ludzi porąbanych”?	121
<i>Okrakiem, czyli Aborygeni Mazur.</i>	124
Okrakiem czy w rozkroku?	124
Europa i Europejczycy, czyli okrakiem na Berlińskim Murze	125
Pokolenie dzieci powojennych	128

132. <i>Patriota roku</i>	131
Patriota roku w świetle logiki i matematyki.	131
<i>Zerwane okowy</i>	132
Długa nocna rozmowa: NRD 1987 Opowiada: Eginhard Becker. Nagranie i opracowanie: Heinrich	
Turek.....	132
Prolog.....	132
Eginhard i NRD.....	134
Przygotowania i ucieczka.....	138
Ucieczka Basi i jej rodziny.....	144
<i>Zygmunt</i>	146
Rodzeństwo.....	146
Choroba i śmierć.....	148
Pogrzeb.....	151
<i>Zygmuntowskie opowieści, czyli z życia wzięte</i>	153
Dolina bez wyjścia.....	153
O tym, jak Zygmunt (nie) rozmawiał po ernerdowsku.....	156
O orzełku bez korony, litewskiej Babci i komunistach.....	158
O obrońcach Königsberg/ Kaliningradu.....	161
O obrońcach Königsberg/ Kaliningradu – 20 lat później.....	162
O tatarskich niewolnikach.....	162
<i>Gołdowie</i>	163
Hela i Tadeusz.....	163
Mrażowskie adresy Gołdów. Okropnie straszne drzwi i schody.....	164
Danka i Karl-Heinz.....	166
Zbyszek.....	171
Jola.....	173
Irmina.....	175
Teściowa Heli i Irminy.....	175
Ostatnie danie z GS-u.....	176
Zbyszek sam w Nowym Yorku. Prehistoria filmu „The Terminal”.....	177
<i>Emerytura. 01 czerwca 2015</i>	179
Kilka emeryckich przemyśleń o emeryturze, matematyce i życiu.....	179
Końcówka i start trzeciego życiowego etapu.....	180
„Pożegnalne” przemówienie Pani Renaty Bury.....	182
Mój email z podziękowaniem do wszystkich pracowników Firmy.....	185
<i>Odpryski odprysków. Przemyślenia, przypadki i wypadki</i>	187
Prolog do odprysków z odprysków.....	187
Daj złotówkę.....	188
Przemyślenia na temat teorii Darwina.....	188
Rozmowa.....	190
Trzeba się wyspać.....	191
Myśli górne i chmurne, czasami wręcz durne i bzduerne.....	192
Pancerfausty z Młynowa.....	194
<i>Nieporozumienia językowe</i>	195
Kuszać.....	196
Koc i proch na kłaki.....	197
Jak mama/babcia Turkowa kupowała tój.....	198
Jak dyrektor potwierdzał urlop.....	199

<i>Młynowo i Europa: mój poprzewracany świat.</i>	199
Młynowo i odpowiedzialność kilkulatka.	199
Karin. Pierwsze zaloty.	201
Prababcia Marie Piechottka. Codzienność i babcine prasówki. Kino.	201
Babcine wspominki. Wojna i mur. Pradziadek Julius.	203
1945. Exodus.....	205
Szustakowscy, pierwsi Europejczycy w Młynowie.	206
Ucieczka z Mazur. Wspomnienia cioci Miety i jej dzieci.	207
Mama, jej wspomnienia i wiersze. Ralph Giordano.	208
<i>Śłońce i kolor wspomnień. Mój impresjonizm.</i>	210
Impresjonizm w życiu codziennym.	210
Temat prosty a skomplikowany; Śłońce i kolor wspomnień.	211
Czy wspomnienia mają kolor?	211

Errata, a raczej uzupełnienie do strony 113, do kończącego się na tej stronie rozdziału

Kiedy książka ta była już w druku przygotowałem dla Heni prezent świąteczny. Był to album fotograficzny opisujący zdjęciami życie Heni od kołyski po dzień dzisiejszy, ze szczególnym uwzględnieniem wieku dziecięcego i późniejszych podróży, które Henia uwielbia.

Prawdopodobnie spodobał jej się ten album, bo po jego obejrzeniu popatrzyła na mnie trochę maślanymi oczami i po raz któryś usłyszałem tak nieczęsto wypowiedany przez nią pod moim adresem komplement, który w jej wykonaniu jest jednocześnie najpiękniejszym wyznaniem jej nieustającej miłości, którą obdarza mnie już ponad czterdzieści lat:

- Głupi...

